

BRIAN D'AMATO

KRÓLESTWO SŁOŃCA

ksiega 1 (część II)

[37]

Długą drogę w górę i w dół musiałem pokonywać w pośpiechu. Na-dal byłem słaby. Kiedy zasnąłem, tragarze mnie ponieśli. Podali mi ciepłą wodę. Hun Xoc, który dowodził, wyjął ze swojego бага-**žu** **k**awałek soli i pozwolił mi polizać. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że poruszam się dość zabawnie. Kołyszę się, pomyślałem. Wi-szę. Dosłownie. Opuszczano mnie poziomo, jak belkę, z jasności dnia w mrok pełen ech, trzasków i szeptów, gdzie unosiła się woń czeko-lady, uryny, żywicy i mokrego kamienia. Silne ręce ujęły zawiniątko, w którym się znajdowałem, odczepiły od lin i przeniosły czterdzieści kroków dalej, po czym ułożyły na stosie suchych liści kukurydzia-nych i rozwinęły.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zrozumiałem, że znaj-duję się w przestronnej jaskini. Po tym, co już widziałem i przeżyłem, wydało mi się, że grota jest wielka jak Hyperbowl. Leżałem w niszy, gdzie składowano pnie cedru, niełuskane owoce kakaowca w wysokich stertach oraz jelenie skóry, cuchnące naturalnym amoniakiem i dy-mem. Trzydzieści ramion dalej i pięćdziesiąt wyżej przez poszarpany okulus padały zielonkawe promienie słońca. To, co najpierw wziąłem za odsłonięte korzenie drzew, okazało się stalaktytami. Jaskinię wy-pępniały rusztowania, rozpory i liny oraz stojaki do suszenia, ale moją uwagę przyciągnęła chyba największa na świecie drabina sznurowa -pas około sześćdziesięciu szczebli z pali długości dziesięciu, dwudzie-stu ramion zamocowanych w grubych plecionych sznurach. Drabina

ciągnęła się w górę od miejsca, w które mnie opuszczono, aż do krawędzi okulusa. Pięciu niemal nagich robotników schodziło po niej jak żeglarze po wantach gafflowego takielunku, by znieść powiązane w płaskie pakunki niewyprawione skóry. W jaskini naliczyłem jeszcze ze trzydziestu mężczyzn. Niektórzy przyglądali się mnie i reszcie, chyba nazbyt ciekawie, ponieważ Hun Xoc, który właśnie zszedł, warknął, żeby zajęli się swoją robotą. Tragarze podnieśli mnie, ale nadal potrzebowałem pomocy dwóch ludzi przy chodzeniu - nie dlatego, że byłem ranny lub osłabiony torturami, choć to - rzecz jasna - nie poprawiało sytuacji, lecz dlatego, że bez świadomości Szakala musiałem dopiero nauczyć się kontroli nad nowym ciałem. Najgorzej wychodziły mi zwroty - gdy próbowałem się obrócić w lewo, wykonywałem ruch w przeciwnym kierunku. Mężczyźni wspierali mnie, gdy omijaliśmy duży naturalny zbiornik wodny w podłożu - tutejszy odpowiednik rzymskiego *impluvium* - oraz kucharza w kobiecym ubraniu, który na trzech niewielkich paleniskach przygotowywał tortille. Domyśliłem się, że kucharz jest kimś, kogo antropologowie nazywają *winkte* - osobą o dwóch duszach, która nie identyfikuje się ze swoją biologiczną płcią, dlatego może wykonywać typowo kobiece prace w przestrzeni przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn. Nad paleniskiem wznosił się gliniany komin, całość tworzyła prymitywny piec.

Skierowaliśmy się dalej w głąb groty. Musiałem się pochylić, by przejść pod stojakiem, na którym wisiały w pękach upolowane niedawno i powiązane za szyje żabiru oraz kaczki piżmówki, wbrew nazwie niewiele mające wspólnego z piżmem. Dopiero teraz poczułem głód.

Za strefą kuchenną na wysokiej drewnianej platformie paru starych księgowych z Klanu Orła w małych opakach na czołach zliczało miarki kukurydzianego ziarna i przekazywało je pomocnikom, którzy przesypywali je do sakiewek wplecionych z kukurydzianych łusek i zawiązywali kolorowymi sznurkami. Zwoje nagumowanego płótna oraz kiście bananów, wielkością i kształtem przypominające cygarowate torpedy, ułożone były na wiklinowych paletach, daleko od

ścian, ale też poza zasięgiem deszczu. Nic dziwnego, że Orły rządzą IX od prawie trzystu lat, pomyślałem. To mistrzowie survivalu.

Tragarze wyprowadzili mnie z głównej pieczary w ciemny ukośny wyłom prowadzący do bocznego przejścia, na poły naturalnego, na poły wykutego. Ze sklepienia zwisały szpikulce - niebezpiecznie blisko naszych głów - a nierówna podłoga opadała pod kątem trzydziestu stopni. Zanim znaleźliśmy się w całkowitej ciemności, jeden z moich towarzyszy zawołał na preparatorów. Czekaliśmy. Garderobiani pojawili się wreszcie i ponownie mnie umyli. Przynajmniej nie muszę się tu martwić o higienę. Kiedy byłem w szkole, spotykałem się z pewną Hinduską. Została nawet Miss Indii - wiem, trudno uwierzyć, że ktoś taki w ogóle się mną zainteresował. W każdym razie ta Hinduska przyznała, że nigdy nie umyła sobie sama włosów. Zdumiewające, ale nie zrobiła tego ani razu w całym swoim życiu. Okazało się, że w Indiach to nic nadzwyczajnego, tam nawet pokojówki mają pokojówki, a te również mają pokojówki... Tutaj chyba było podobnie - nawet więzień taki jak ja musiał dostać wizażystę.

Kiedy preparatorzy ze mną skończyli, pomogli mi wstać i powiedli w całkowity mrok - wykutą w piaskowcu drogę dało się wyczuć tylko dzięki nierównościom i krawędziom podłoża. Schodziliśmy spiralą w głąb góry. Było coraz mniej świeżego powietrza i coraz mniej zdrowych zapachów. Gdy pod stopami zacmokała mi glina, przejście się rozszerzyło w pomieszczenie o kształcie litery L, rozświetlone bladymi promieniami słońca. Tutaj w ścianach wykuto półki. Znajdowały się na nich proste naczynia, a wyżej gliniane figurki przodków, które wyglądały na zaniedbane i wykonane ad hoc. Nieco dalej dostrzegłem kolekcję drewnianych pornograficznych statuetek przedstawiających starych, karykaturalnych mężczyzn z młodymi kobietami - co jedna, to bardziej kiczowata. Cóż, Majowie też miewają marny gust, jak się okazało. A przecież nie wszystko z przeszłości jest wspaniałe. Tak się wydaje, bo zwykle po wiekach zostaje tylko to, co najlepsze lub najcenniejsze. Dopiero kiedy przypadkiem zachowa się wszystko - jak to miało miejsce choćby w Pompei - okazuje się, że w przeszłości też

było mnóstwo śmieci. Pompeja to dopiero tandetne miasto. Istna starożytna stolica tandety.

Ups! Przechylnono mnie i przeciągnięto za kotarę z jeleniej skóry, której nie zauważyłem. Tragarze poprowadzili mnie trzydzieści kroków do oświetlonej pochodniami rampy i kolejnej zasłony ze skóry ozdobionej paciorkami z muszli. Siedział tu starszy krewniak Orła, który wymienił bezsensownie formalne pozdrowienie z dowódcą tragarzy. Po czym stary krewniak wstał, uniósł zasłonę i przycisnął się do ściany, by zrobić nam przejście.

Ogarnął mnie zapach kardamonu i dzikich ziół. Hun Xoc i ja niemal na czworakach precyzyjnie przeszliśmy przez niszę wielkości lodówki do niewielkiego wejścia. Prowadziło do owalnej komnaty nie większej niż pojedynczy garaż. Nie było tu naturalnego światła, jedynie wysokie trzcinowe lichtarze z łożówkami pod najdalszą ścianą. Na szczęście dym się tutaj nie płóżył, lecz umykał przez szczelinę niesiony tam stałym podmuchem chłodnego, świeżego powietrza. Już choćby po tym można poznać „suchą jaskinię”, jak to nazywają grotolazi, czyli taką, która chroniona jest przed deszczem i zalaniem podziemnymi strumieniami, z twardymi nieprzepuszczalnymi ścianami. Tylna jednak powstała sztucznie - zbudowano ją z ciosanych bloków, ale pozostałe, naturalne, tylko zgrubnie obrobiono. Nieopodal dostrzegłem dwa naciekowe stalagmity, z których największy obrobiono, nadając mu kształt staroświeckiej rzeźby pana Orłów. Nadal mogłem odczytać datę początku jego panowania: 9 *Ahau*, 3 Strumień w pierwszy dzień ósmego *b'ak'tun*, czyli siódmego września roku Pańskiego 41, dwieście czterdzieści cztery dni po zamordowaniu Kaliguli. U podstaw statuy stały naczynia ofiarne (większość była rozbita). Resztę tej składnicy, czy może biblioteki, archiwum lub genizy, wypełniały równo ułożone skrzynie wielkości pojemników na chleb. Cztery z nich były otwarte, w jednej dostrzegłem księgę na wpół zanurzoną w soli kamiennej.

W jaskini wraz ze mną i Hun Xokiem znajdowało się ośmiu ludzi. 2 Inkrustowana Czaszka siedział na poduszce w najdalszym kącie, nogi miał owinięte bawełnianym, grubo tkanym pledem. Wielki

strażnik kuczał z opuszczoną głową po jego prawej stronie. Zesztywniał, ale nie podniósł wzroku, gdy weszliśmy. Mężczyzna był pewnie o głowę wyższy i ze dwa razy cięższy od każdego z nas. Był też starszy od strażników, jakich dotychczas widziałem - co mogło znaczyć, że należał do zaufanych ludzi 2 Inkrustowanej Czaszki. Gwardzista nosił lekką narzutkę na ramionach i przepaskę biodrową, a tatuaże na jego łydkach informowały, że podczas swojej kariery wojskowej ofiarował ośmiu jeńców Jedynemu Orłowi. Między mną i strażnikiem, po lewej, przykucnęło dwóch ludzi. Jednym z nich był drobny stary mężczyzna w ciemnej narzutce na ramionach, który poza tym nosił pod nakryciem głowy coś w rodzaju woalki. Przypominało przez to kask safari z moskitierą. Niewiele więcej udało mi się zobaczyć, ale i tak odniosłem wrażenie, że skądś znam tego człowieka. Widziałem już te przedramiona, ale nie potrafiłem skojarzyć gdzie i kiedy. Obok, bliżej mnie, siedział ten sam skryba w kostiumie małpy, którego spotkałem w zdobionej czerwono komnacie. Miał długie, cienki pędzel przywiązany do palca wskazującego. Nawet na nas nie zerknął, zajęty swoją pracą, czyli zapisywaniem niechlujnych kropek i kresek w kolumnach na wysuszonym palmowym liściu pełniącym rolę arkusza. W rzeczywistości określenie „skryba” jest mocno na wyrost w tym przypadku. Ten człowiek zajmował się czymś pośrednim między stenografią a rachowaniem. Może zatem należy po prostu opisać jego zajęcie dosłownie: upamiętniacz.

Trzech innych mężczyzn zasiadało po prawej stronie 2 Inkrustowanej Czaszki, pod ścianą: stryjeczny dziad 21c, 12 Rozwijacz, bliżej mnie, a dalej prapradziad, 40 Łasica. I jeszcze ktoś po lewej, w odzieniu tak starym i wypłowiałym, że nie potrafiłem dostrzec na nim żadnych znaków lub wzorów. Oczywiście wszyscy trzej byli martwi i na wpół z mumifikowani - to znaczy składali się właściwie tylko z wysuszonych głów, wypełnionych ziołami i zamocowanych na zawiniątkach z paroma głównymi kośćmi, prawdopodobnie łokciowymi i strzałkowymi. Każda z tych mumii spoczywała na niewielkiej platformie, niczym na japońskiej tacy-stoliku. Razem tworzyły pod ścianą równy szereg. Na wszelki wypadek ich czaszki pogrzebano

gdzieś indziej wraz z resztą kości, ulubionymi żonami i tym podobnymi dodatkami. Obecni, lecz bez prawa głosu.

2 Inkrustowana Czaszka rozłożył ręce w otwartym geście, który u Majów stanowił ekwiwalent wzruszenia ramionami.

Hun Xoc posadził mnie na macie dla podwładnych. Spuściłem oczy i odruchowo przyłożyłem prawą dłoń do lewego ramienia. Usłyszałem, jak mój towarzysz kuca za mną. 21c odezwał się:

- Raz jeszcze powiadam, zabierz swego robaka stąd.

Co, do cholery? Myślałem, że już to przerabialiśmy. Ale teraz przynajmniej podłapałem już obowiązujący protokół zachowań i wiedziałem, że jeżeli nie mam nic do powiedzenia, powinienem się po prostu nie odzywać. Spoglądałem więc w ziemię. Szlag... On nadal chce mnie zabić. Szlag, szlag, szlag.

- Piłką dziewiątą powaliłem cię - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka. Co należało rozumieć: to twoja ostatnia szansa.

Uniosłem wzrok.

- Jed? - rzuciłem. - Wynoś się, dobra? Albo przynajmniej się wycofaj. Proszę. Zrób to dla drużyny.

Nastąpiła pauza i, rzecz jasna, nic się nie stało. Nawet jeżeli ten drugi Jed zrobił coś na znak, że mnie usłyszał, 21c nic o tym nie wspomniał.

- Czy on słucha w ogóle cię? - zapytał w końcu.

Przyznałem, że nie wiem. Ostrożnie zasugerowałem, że przecież może się pozbyć mnie z głowy tak, jak pozbył się z mojej Szakala.

-Co robi w tobie Jed? - zapytałem.

-Krzyczy - odparł 21c.

Zadrzałem. Szlag. Wyobrazilem sobie tego biednego, larwalnego i nedorozwiniętego mnie, który szarpie się w okowach nieugiętej woli 2 Inkrustowanej Czaszki. Rany. To musi być prawdziwy koszmar.

Widzę, lecz nie znam nazw. We mnie

Twoje życie jest jak naczyń potłuczonych stos.

W głosie 2ic po raz pierwszy usłyszałem nutki niepewności.

Ach... Przynajmniej rozmawiamy, pomyślałem. Zdążyłem już się nauczyć, by ufać odruchom ciała Szakala - za bardzo zajmowały mnie ważniejsze sprawy, więc pozwalałem, by ciało reagowało instynktownie. Tym razem znało właściwy sposób, by nie odpowiadać. Bez wahania cmoknąłem i wykonałem gest: jako rzekłeś, ty nade mną. Lepiej się nie wyrywać z wyjaśnieniami. Im więcej wygadam, tym szybciej stanę się niepotrzebny i pójdę na stracenie. Czyż nie? Teraz jestem potrzebny 2 Inkrustowanej Czaszce, by nadać sens chaotycznej mieszance myśli w jego głowie. Oczywiście mógłby to ze mnie wydobyć torturami. Zatem może nie jest takim złym człowiekiem, po prostu się wściekł, gdy jego umysł został zgwałcony. A któż by się nie wściekł?

Szlag. Teraz miałem irracjonalne poczucie winy. A może wcale nie tak irracjonalne? Przecież w mózgu 2 Inkrustowanej Czaszki byłem najeżdźcą. Spokój, nakazałem sobie w duchu, nie powinienem mu współczuć. Ten człowiek zabije mnie bez drgnienia powieki, jeśli tylko zechce.

Za ciebie, ty poniżej mnie,
Oddał życie mój syn, I
zrujnowałem nasz ród.

Co? Syn? Ach, prawda.

Już wcześniej domyśliłem się, co zaszło. Syn 2 Inkrustowanej Czaszki został złożony w ofierze zamiast mnie po tym, jak zepsułem ceremonię w *mul*. Nie wiedziałem jednak, czy udawać, że nie zdawałem sobie z tego sprawy, czy też nie, więc poprosiłem o więcej informacji.

Ja poniżej ciebie Błagam
wybaczenia, Ale ja poniżej
ciebie Nie rozumiem nic.
Jak sprawiłem katastrofę tę,
Czemu stało się tak.

W ten sposób najlepiej udało mi się wyrazić - język Majów z Ix uniemożliwiał zadawanie bezpośrednich pytań przez podwładnego wyżej postawionemu w hierarchii rozmówcy. Pomimo starań moje słowa i tak nie były zbyt uprzejme. Jednak 2 Inkrustowana Czaszka odpowiedział. Formalnie, choć nieco urażonym tonem, opisał, że dwa lata słoneczne temu poproszono go o dar dla rządzącego rodu Ocelotów, by uczcić ponowne nadanie imienia i retronizację patriarchy, 9 Szponiastego Kolibra, jako Władcy Zapładniających Wód i *kalotnte*, czyli dowódcy wojsk Ix. Darem miało być albo umorzenie długu, którego - jak się domyślałem - 2 Inkrustowana Czaszka nie chciał się wyrzec, albo poświęcenie syna na zastępcę w udawanej ceremonii samoofiarniej 9 Szponiastego Kolibra. Lecz 21c miał tylko dwóch rodzonych synów, więc wynegocjował kompromis: jeden z jego adoptowanych synów z rodu Orła, mistrz gry w piłkę, Szakał, rozegra rytualną świętą grę przeciwko 9 Szponiastemu Kolibrowi, a potem rzuci się z *mul* w zastępstwie głowy rodu Ocelota.

Niestety, podczas ceremonii Szakał zawiódł, zwariował i złamał rytuał. Więc 2 Inkrustowana Czaszka nakazał uwięzić podwładnego w celu późniejszego przesłuchania - i, jak to ujął, uduszenia w ekskrementach - oraz posłać wiadomość do swoich rodzonych synów, obecnych na placu przed *mul* wraz z innymi członkami klanu. Starszy syn, 23 Jesion, natychmiast wspiał się na schody. Preparatory szybko przemalowali go w ofiarny błękit i chłopak skoczył.

2 Inkrustowana Czaszka zamilkł na chwilę.

Szlag, pomyślałem. Nieważne, czy ma się serce z kamienia, utrata dzieci musi boleć. „Oto krzesiwo i drewno, ale gdzie owca na spalenie w ofierze?” Czy ponownie przeproszać? Czulem, że to zły pomysł. Zapewniłem więc tylko, że zrobię wszystko, by mu to wynagrodzić. 21C odrzekł:

Ty pode mną,
Będziesz musiał dać więcej niż głowę twą mi,
Więcej niż dwadzieścia po dwadzieścia razy *tunob* bólu,
Więcej niż dzieci przodków twych.

Przepraszam, pomyślałem, a on mówił dalej:

Synowie 8 Strumienia szczęk pozbawili się,
I syn 3 Stopy też, jeleń poluje na nadchodzący świt.

Zrozumienie, o czym mówił, zajęło mi dobrą chwilę. Wyglądało na to, że trzech krewniaków, których pobiliśmy podczas polowania, poczuło się tak upokorzonych, że poprzezbijali sobie mięśnie szerokie szyi tuż pod podbródkiem, przeciągnęli tamtędy linę, jeden koniec wyciągając przez usta i zawiązując pętlę, a drugi przymocowując do gałęzi czy czegoś podobnego, po czym rzucili się w dół. Tym sposobem myśliwi wyrwali sobie żuchwy. Na domiar złego 2 Inkrustowana Czaszka dodał, że podczas mojego samobójczego ataku na stoku jeden krewniak został zabity, czterech zaś odniosło poważne rany. Jeden z rannych został nieodwracalnie okaleczony i poprosił, by go dobić.

Zapewne rany odniosło też wielu tragarzy, pomyślałem. Ale oni oczywiście nie liczyli się dla 2 Inkrustowanej Czaszki. Zacząłem wyjaśniać, że to nie ja skoczyłem ze zbocza, lecz Szakał, ale ugryzłem się w język. 21c już to wiedział. Bez znaczenia, nadal to ja byłem odpowiedzialny za wszystko, co się zdarzyło podczas polowania.

Ale to nic wobec szkód, które można określić jako religijno-polityczne. Ludzie gadali, że skandaliczne zachowanie Szakała w *mul* wywołało mdłości Bogini Ziemi, przez co jej lekkie kaszlnięcie przrodziło się w atak wymiotów. Dziś nadbiegli posłańcy z wybrzeża i opowiedzieli, jak wielki był wybuch wulkanu San Martin. Jak zwykle pesymiści od razu zaczęli wieszczyc koniec świata.

Nie, no cudownie, pomyślałem. Publiczne twierdzenie, że mam coś z tym wybuchem wspólnego, chyba nie było moim najlepszym pomysłem. Cóż, nie zawsze się wygrywa, prawda?

-Więc co możesz w zamian ofiarować mi? - 21c skończył litanie moich przewin.

-Nadal wiem o sprawach, które się wydarzą.

-Jak atak skurczów Bogini Ziemi? - doprecyzował 21c.

Potwierdziłem.

- 9 Szponiasty Koliber już wskazał to słońce, dwa *tunob* temu.

Cholera. Zwróciłem uwagę, że moje przewidywania były bardziej dokładne, czyż nie? 2 Inkrustowana Czaszka potwierdził - wykorzystał to przecież, by wyznaczyć polowanie na jelenia w odpowiednim czasie. Zapytał, co jeszcze wiem. Co się stanie z Klanem Orła po jego śmierci?

Musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, ale na ile można określić, Ix zostanie opuszczone za około ćwierć wieku. A przynajmniej większość irygacji na polach w okolicach miasta zniknie i ziemia wróci do dzikiego, nieuprawnego stanu, liczba gospodarstw i stert śmieci spadnie niemal do zera, nie zostanie też wzniesiona żadna nowa piramida lub posąg.

- A co ze mną stanie się po mojej śmierci w następnym *k'aturñ* - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

Co? Och, chodziło mu o głowę i szkielet. Powiedziałem, że nie wiem. Mężczyzna nie poruszył się, nie zmienił się też ton jego głosu, ale jakoś wyczuwałem, że szybko traci cierpliwość.

Lecz czy 2 Inkrustowana Czaszka nie powinien wiedzieć tego wcześniej? Zerknąłem ukradkiem na jego twarz i zaskoczył mnie jej wyraz. Pod maską pokerzysty coś się czało, słabość, a raczej ból lub desperacja. Zapytał o swojego następcę, na którego wyznaczył 17 Odłamka. Nie był to jego syn, lecz ulubiony bratanek, którego 2 Inkrustowana Czaszka wysłał do Oxwitza, czyli na tereny Belize, gdzie współcześnie znajduje się Caracol.

Przyznałem, że nie wiem, ale nie pamiętam też wszystkich imion z płaskorzeźb i steli. Pomyślałem jednak, że niedobrze się dzieje.

- A czy nasi następcy wykarmią światłem nas? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka. Miał na myśli, czyjego potomkowie będą palić ofiary dla niego i rodziny podczas różnych rocznic.

Zacząłem zapewniać, że w społecznościach Majów, które można określić jako konserwatywne, zachowany jest ogólny respekt dla przodków, pali się dla nich ofiary podczas różnych świąt i ceremonii, ale im dłużej mówiłem, tym mniej przekonująco to brzmiało. Jeżeli

chodzi o szczegóły... Twoje imiona - cóż, zabawne - do końca przyszłego *b'ak'tun* twoje imię najprawdopodobniej zostanie zapomniane nawet przez twoich następców, a inskrypcje o tobie, jeżeli jakieś były, znikną na sześćdziesiąt *k'atunob*, po czym zostaną odkurzone i źle przetłumaczone przez bandę hien cmentarnych z doktoratami. O ile nie wrócę, zakończyłem, pogratulowawszy sobie w duchu gładkiego przejścia do istotnego tematu. Obiecałem nawet, że dokonania 2 Inkrustowanej Czaszki spisane wraz z historią jego rodu zabiorę do swoich czasów i przekażę innym, by przywrócić mu rozgłos.

2 Inkrustowana Czaszka głośno wciągnął powietrze. To jakby powiedział: masz nasze pozwolenie, by się zamknąć.

Co też uczyniłem.

Zapytał, co się zdarzy przez pozostałe dwieście pięćdziesiąt sześć słońc bieżącego *tun*.

- 10 Jadeitowy Dym z Kan'Ex zasiądzie na tronie w 4 Deszcz, 17 Koniec - odparłem. - Weźmie w niewolę 2 Iskrzyka z Lakamha dwadzieścia trzy słońca później.

Powinienem to sobie zanotować: za dużo nieznanymi imionami, wróć do początku i zacznij jeszcze raz tłumaczyć, o co chodzi, podpisano - Jed.

-A ile dymu to zawieje w oczy me? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka. To znaczy: czemu powinno mnie to obejmować?

-Może żadnego dymu - odpowiedziałem. Szlag. Kończyły mi się informacje z głównego zestawu. Może nie powinienem się ceregelić, tylko od razu zapytać o Grę? Nie, lepiej nie. Nadal poruszałem się po niepewnym gruncie.

Co jeszcze?

Cholera. No, Jed, wymyśl coś. Podkoloryzuj troszkę. Przecież 21c tego nie widział. Z wyjątkiem... Nie, na pewno nie. Ale jest przenikliwy i sprytny. Lepiej nie próbować oszukać kogoś, kto już udowodnił, że jest sprytniejszy. Trzeba mu pozwolić zdecydować, czy mam pomóc w sprawach jego rodu. Dobra.

- Mogę pomóc Klanowi Orła zwyciężyć w każdej walce - oznajmiłem. Mój iksyjski brzmiał trochę sztywno, ale przynajmniej udało

mi się wykręcić od rozmowy, przy której musiałbym się zastanawiać nad każdym słowem. - Zerknij w pamięć Jeda. Poszukaj broni.

- Jakiej broni?

Opisałem wybuchy i zapewnilem, że muszą być w moich wspomnieniach. Zdawało się, że 2 Inkrustowana Czaszka zrozumiał. Wyjaśniłem, jak otrzymać proch strzelniczy czasie krótszym niż dwadzieścia dni.

Zamiast odpowiedzieć, odpalił cygaro od trzcinyowego lichtarza. Zasłonił palcem jedną dziurkę nosa i wciągnął dym drugą.

- Jeżeli ktoś widział broń jak ta - rzekł - jeżeli ktokolwiek choćby słyszał o niej, powie, że wzięłem ją od rzucających krosty.

Ci, którzy rzucają krosty, czyli ludzie, którzy potrafią zesłać choroby tylko tchnieniem w kierunku wybranej osoby. I mogą to zrobić na odległość. W szerszym znaczeniu termin dotyczy też każdego, kto potrafi robić ezoteryczne sztuczki, jak na przykład wiedźmy czy czarnoksiężnicy. Zsyłającym krosty może być zarówno człowiek, jak i niezupełnie człowiek - żywy lub nie całkiem. Niezależnie od tego jednak, gdy się jest filarem społeczności, jak 2 Inkrustowana Czaszka, nie wchodzi się z takimi osobnikami w żadne konszachty.

- Moglibyśmy razem - w duchu zaakcentowałem to „razem” - zrobić na początek długie łuki i przeszkolić grupę krewnych w ich użyciu.

Łuki mogą się tutaj okazać novum, chociaż to dziwne, gdy się zastanowić. Ale przynajmniej nie zostaną uznane za nadnaturalne.

- Wiem, co to łuk - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka. - Leśni kopologłowi polują nim na ptaki. Żaden szlachetnogłowy nie dotknie go-

Przez „szlachetnogłowego” rozumiał nas, elitę, Majów, którzy mieli ostro ścięte czoła. Uzyskiwało się ten efekt przez wkładanie noworodkowi na głowę specjalnej ramy z wygładzonych i odpowiednio wyprofilowanych deszczulek - czaszka kształtowała się pod naciskiem takiej formy. Wygląd ten wśród Majów uznawany był powszechnie za elegancki i *de rigueur*. Kopologłowymi natomiast byli wszyscy, którzy nie mogli sobie pozwolić na ten zabieg upiększający - czy to

rodzimi niewolnicy, czy też przybysze z obcych stron lub, jak w tym przypadku, niecywilizowane plemiona.

- Nawet bez nowej broni mogę nadal pomóc wywyższyć nasz ród - zapewniłem. - Mogę wykorzystać różne... - próbowałem znaleźć słowo, które stanowiłoby odpowiednik „technologii” - rzemiosła, jakie znam. Nie dotyczą one wyłącznie wznoszenia budowli. To także różne strategie.

- Masz na myśli lepsze sposoby - stwierdził 2 Inkrustowana Czaszka.

- Niekoniecznie. Mogą być gorsze.

Wkurzający drań, pomyślałem. Ale przynajmniej skłoniłem go do mówienia. Dobrze. Muszę sprawić, by 21c myślał, że jestem najlepszym *consigliere* od czasów Karla Rove'a, nie zawsze etycznego doradcy George'a Busha.

- Zapewne część naszych krewnych zostałaby złapana - powiedziałem - gdyby strzelali, by zabić, w formacji, zamiast brać jeńców. Jednak...

Przerwał mi, wydając głośne: „zzz!”, co jest odpowiednikiem „cii...”.

- Rębacze są niedaleko - na wpół wyszeptał, na wpół syknął. - W naszych domach, przy naszych paleniskach.

Rębacze? Nie wiedziałem, o kogo chodzi, chociaż z reakcji neuronów Szakala wyczułem, że to żywi ludzie, tylko potężniejsi niż my.

- Kiedy ty nade mną mówisz Rębacze - zacząłem - masz na myśli Oce...

- Zzzz!

Zamknąłem się od razu. I spuściłem oczy. Zapadła cisza, zakłócana jedynie szmerem pędzla przebranego za małą upamiętniacza na suchych palmowych liściach. Zerknąłem w lewo, upamiętniacz wykonał jeszcze kilka ruchów pędzlem i znieruchomiał. Uświadomiłem sobie, że robił notatki z rozmowy przy pomocy skrótów i symboli. Ach...

Odliczyłem dziesięć uderzeń serca, po czym podniosłem oczy na 21C. W kłębach tytoniowego dymu jego twarz przypominała maskę z wypolerowanego drewna. Odpowiedział twardym spojrzeniem.

Głupiec ze mnie, pomyślałem. Głupi głupiec.

- Władca Rębaczy był tu widywany, jak się skradał w swojej myśliwskiej skórce - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka. Miał na myśli, że 9 Szponiasty Koliber może się zmienić w ocelota i przekraść nocą przez miasto, by podsłuchiwać poddanych, dzięki wyostrzonemu, kociemu supersłuchowi. A gdybym się zapomniał i wspomniał jego imię, mogłoby to zaalarmować *uay* władcy. I znalazłbym się w taramatach. Racja. Kapuję.

Ale...

- Nie możesz wierzyć w to - zaoponowałem. - Spójrz w moje wspomnienia, będziesz wiedział, że to niemożliwe.

21C nie odpowiedział. Zaciągnął się głęboko, a potem wydmuchał na mnie kłęb dymu. Początkowo zeszywniałem z obrazy, zaraz jednak zrozumiałem, że mężczyzna nie próbował mnie lżyć. Chciał po prostu oczyścić otoczenie z pozostałości zanieczyszczeń po Jedzie. Mimo że przeszedłem przez każdy znany tu rytuał oczyszczający, nadal traktowano mnie jak Tyfusową Mary, a raczej Tyfusowego Marty ego. Dym był silniejszy niż ten z cygar w dwudziestym pierwszym wieku. Dziki tytoń, pomyślałem. Fuj. Jak wspomniałem, zdarzało mi się żuć tytoń, ale nigdy nie paliłem, chyba że składałem ofiarę, jak tę dla Maximóna czy kogokolwiek innego. Teraz jednak... Hm... To dziwne, ale miałem ochotę na cygaro. Zapewne jeden z nałogów Szakala, wypalonych w jego układzie nerwowym. Fuj. Mniem. Fuj i mniem w jednym.

Siedziałem w ciszy.

Dobra, tym razem niech 21c pierwszy zacznie mówić. I lepiej nie próbować przekonać go do rzeczy, których nie dostanie. Lepiej nie przyciągać jego uwagi do świata nauki. Skoro nadal wierzy w czaroksiężników i jaguałaki, niech tak zostanie.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że w społeczeństwie IX nikt nigdy nie jest sam. Nawet obecne spotkanie o tym świadczyło. Choć 2 Inkrustowana Czaszka chciał zachować naszą rozmowę w tajemnicy, nadal towarzyszyło mu kilku ludzi - małpowaty upamiętniacz, strażnik i ten gość z woalką. Ale dla 21c było to jak rozmowa sam na

sam. W mieście i okolicach, nawet jeżeli nie miało się w głowie drugiej osobowości, nigdy nie było się samemu fizycznie. Nikt tu nie sypiał sam lub choćby tylko z jedną osobą, sypiało się w tym samym pomieszczeniu z całą rodziną, a w przypadku wyżej urodzonych także ze służbą i strażnikami. Nikt samotnie nie spożywał posiłków. Nie podróżowało się samopas, nie uprawiało pól i nie mieszkało w pojedynkę. Jeżeli zdarzyło się, że człowiek został oddzielony od reszty stada choćby na chwilę, robił się nerwowy. Nawet w zwyczajnym życiu, nawet gdy się było najzwyczajniejszą osobą, nie miało się szans na tajność.

- Więc co ja nad tobą mam z tobą zrobić tu? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

Uznałem, że pora okazać choć trochę charakteru.

- Ty nade mną musisz mieć już dla mnie zastosoowanie, bo czemuż miałbyś się w innym przypadku fatygować?

Po trzech uderzeniach serca odniosłem wrażenie, że 2 Inkrustowana Czaszka się uśmiechnie - nie dlatego, że drgnęły mu usta, lecz wyduły się policzki. Ten facet ma przynajmniej odrobinę poczucia humoru.

- Co każe tobie poniżej mnie przypuszczać, że ocaliłem cię dla przyjemności?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

- Nadal w mroku chcę cię - odrzekł. To jakby powiedział: wciąż jestem na ciebie wściekły.

Uniosłem głowę i wbrew odruchom spojrzałem mu w oczy. Nastąpiło jakby zamknięcie obwodu i nieortodoksyjny kontakt został nawiązany. Mierzenie się wzrokiem było tutaj rzadkością, o ile w ogóle się zdarzało. A jednak nie potrafiłem odwrócić oczu.

Oczy 2 Inkrustowanej Czaszki nie były przyjazne.

- Teraz mam mroczny dług wobec ciebie poniżej mnie. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Zamierzam zrobić wiele ci.

Och, *chingalo*, pomyślałem. Muszę coś szybko wymyślić.

Rozejrzałem się nerwowo. Spojrzałem na gwardzistę. Nadal kuczał, nieruchomy, o dwa ramiona od 21c po prawej, odwrócony od

niego i patrzący w pustkę, na czerwonym, bawełnianym pledzie do siedzenia. Zerknąłem na małego upamiętniacza. Przestał notować i właśnie czyścił pędzel w skórzanym kubku z wodą. Popatrzyłem na stopy koszy i zawiniątek. Aż wreszcie mój wzrok zatrzymał się na mężczyźnie w woalce.

Ach. Teraz zrozumiałem, dlaczego jego przedramiona wydały mi się dziwne. Były owłosione.

Jak wiadomo, rdzenni Amerykanie nie mają obfitego owłosienia na ciele. Sam miałem dokładnie - to znaczy ciało Jeda z dwudziestego pierwszego wieku miało - pięć włosów na torsie. A przecież tanto ciało w ponad jednej trzeciej było hiszpańskiego pochodzenia. Tutaj, w tych starych dobrych czasach, nie spotkałem jak dotąd nikogo z zarostem. Choć wiedziałem, że to się zdarzało, w dwudziestym pierwszym stuleciu widywałem stare figurki Majów z brodami. Może trzeba się urodzić w wybranej rodzinie, by zapuścić zarost, a może trzeba najpierw skończyć siedemdziesiątkę... Przyjrzałem się mężczyźnie dokładnie. W dłoni miał kamień. A sposób, w jaki go trzymał...

To Strażnik Dnia.

Nic dziwnego, że mógł tu przebywać cały czas, słyszeć rozmowę... Im więcej Strażnik wie o sprawach człowieka, tym lepiej. Ponieważ dzięki temu będzie miał wgląd dalej w przyszłość i będzie mógł odczytać więcej. Oczywiście taki Strażnik musiał być człowiekiem zaufanym - cieszyć się bezwzględny i absolutny zaufaniem. Jak spowiednik. Ten człowiek zapewne służył tylko Klanowi Orła. Może nawet przez to, że znał wszystkie tajemnice, stał się po trosze niewolnikiem.

Zwróciłem się do niego:

- Ja równy tobie żądam Gry.

mi

Głowa Strażnika drgnęła lekko pod woalką.

W tej chwili nie posiadam nic - mówiłem dalej - ale wszystko co zdobędę w tym świetle oraz w następnym i jeszcze następnym, oddam tobie i Pani Łajna, patronce dzisiejszego wieczoru, a dziś jest 9 Ciemność, 11 Ropucha - czyli poniedziałek, dwudziesty ósmy marca Anno Domini sześćset sześćdziesiąt cztery - a także Mamowi i Oczekującej Kobiecie, czuwającym nad Grą.

Cisza.

Zasłona się poruszyła. Uznałem, że pewnie Strażnik uniósł lekko głowę, by spojrzeć na 2 Inkrustowaną Czaszkę. Więc również na niego spojrzałem. A 21c popatrzył na mnie. Znowu doznałem wstrząsu, gdy nastąpił kontakt wzrokowy i zanim odwróciłem wzrok, ujrzałem w żółtawych tęczęwkach nie bierność i spolegliwość, lecz rozbawioną świadomość tego, co było i nie było możliwe. 2 Inkrustowana Czaszka rzekł:

Mój Strażnik poniżej mnie, 7 Kolec, Odczytuje
tylko dla zwierzchników swych, Lecz może
porachować ci kości W grze-pojedyńku
przeciw tobie.

Och, szlag. Pojedynek. Świetnie. 7 Kolec, co? Urocze. Ciekawe, czy zostanę zabity, jeżeli przegram. Pewnie tak.

Nagle potężny gwardzista odwrócił się bezszelestnie, gotów rzucić się na mnie i udusić. 2 Inkrustowana Czaszka musiał mu coś zasignalizować. Dawał znaki w języku, którego Szakał nie znał. Dopiero wtedy zrozumiałem, że ochroniarz jest głuchy. Zapewne celowo pozbawiono go słuchu. A ponieważ przez całą rozmowę patrzył w ziemię, nie mógł czytać z ruchu warg. Pomyślałem, że zapewne 2 Inkrustowana Czaszka kazał mu nakarmić mną mrówkojady lub co tu zwykle robiono z niewygodnymi ludźmi, ale gwardzista jedynie kucnął z tyłu grotu i przy akompaniamencie trzasków i chrzęstów wyciągnął ze sterty kosz. Zerknąłem na 2 Inkrustowaną Czaszkę, a potem na 7 Kolca. Strażnik Dnia zdjął woal i nakrycie głowy. Był starszy od 2ic, w jego długim warkoczcu przebijały siwe pasma, a oblicze zapewne można by uznać za przeciętne, gdyby nie broda. 7 Kolec miał brodę. Wstrząsający widok. Nie była gęsta ani długa - najwyżej cztery cale - ale zadbana, przycięta w walec, jak u egipskich faraonów. Nie mogłem przestać się gapić. Poza tym Strażnik był chudy i pomarszczony. Nie miał też wielu tatuaży - tylko rząd czterech niebieskich kropek wielkości jednopensówki na lewym ramieniu. No i miał owłosienie. Jego zamglone oczy spoglądały na mnie życzliwie. Dotknął prawą dłońią lewego łokcia, co tutaj stanowiło najbliższy odpowiednik uścisku ręki lub skinienia głowy, czyli uprzejmego powitania. Odpowiedziałem tym samym, tyle że jako młodszy dotknąłem ramienia poniżej łokcia.

Cześć, kolego, pomyślałem. Witam cię jak jeden Strażnik Dnia drugiego. Braterstwo graczy. Świetnie.

Nie wstając, 7 Kolec obrócił się do mnie. Uczyniłem to samo, dzięki czemu mogliśmy na siebie patrzeć twarzą w twarz. Wyjął z sakiewki kilka liści tytoniu i zaczął zuć. Wziąłem resztę. Szlag, mocny. Strażnik Dnia położył między nami miskę piasku. Wtarłem nieco przeżutego tytoniu w udo - u Szakala nie dostrzegłem tu starych śladów, to był dla tego ciała pierwszy raz - a resztę wyplułem do miski. Starszy Strażnik zrobił to samo i odstawił miskę. Tymczasem głuchy ochroniarz podszedł z rulonem grubej tkaniny. Położył go między nami i rozwinął. Poczuliśmy się, jakby w małym ponurym pomieszcze-

niu wyrosła przede mną najpiękniejsza bożonarodzeniowa choinka, jak w Centrum Rockefellera - ozdobiona bombkami i światełkami.

Mata okazała się utkaną z bawełny i ptasich piór planszą do Gry. Cwiartki czasu lśniły karminową czerwienią i bursztynową żółcią, nawet czerń miała głęboki, etiopski odcień - zdawało się, że można w nią wpaść. Jedną z najbardziej zdumiewających cech przedmiotów wykonanych ręcznie jest ich jakość. Na przykład arrasy, brokatowe wzory na jedwabiu z Rajshahi lub wyszywane kryształkami stroje z kolekcji Romea Gigliego, jakie można było zobaczyć na rozkładówce włoskiego „Vogue” prezentowane przez Kristen McMenamy w sierpniu 1993, od początku do końca stworzyły ludzkie palce, w co aż trudno uwierzyć. Plansza miała kształt ośmiokąta, nie kwadratu, a zamiast czterech kolorów co dwieście sześćdziesiąt punktów miała oznaczenie wykonane ze szmaragdowego puchu pogardła quetzala. Ale i tak poczułem rozczarowanie. Miałem nadzieję, że zobaczę we wzorze planszy coś nowego, coś, co pomoże mi znaleźć rozwiązanie, po jakie tu przybyłem... Ale - nieważne, jak wspaniale była wykonana - bardzo przypominała planszę odtworzoną przez Taro na podstawie rysunku w Kodeksie.

Szlag.

2 Inkrustowana Czaszka zsunął się z poduszki, ukląkł przy nas i obrócił nieco planszę o parę stopni przeciwnie do ruchu wskazówek zegara - tak, by barwy zgadzały się ze stronami świata. Jak się okazało - i zapewne było to celowe działanie - 7 Kolec znajdował się na południowym wschodzie, stronie Orła, a ja grałem z czarnego północnego zachodu.

Jak przystało na dobrego arbitra, 21c wyjaśnił zasady rozgrywki. Jego wersja przypominała nieco Grę jeden na jeden, jaką przeszedłem z Tonym Sikiem, jednak jeszcze bardziej przypominała tę, w którą grywałem z matką, choć nie na tak dużej planszy, oczywiście.

W każdym razie było trochę podobieństw do gry w statki, ponieważ każdy z graczy miał pięć punktów na planszy, odpowiadających pięciu rzutom, i trzeba było odgadnąć, które pola należą do przeciwnika, oraz zapobiec, by przeciwnik odkrył nasze punkty. Ale żeby

odgadnąć, trzeba wykonać ruch kamieniem na dane pole, więc do pewnego stopnia można również blokować oponenta i mylić go, chroniąc nieważne pola. Nie wolno kłamać - szczególnie, że 2 Inkrustowana Czaszka znał numery pól obu stron - ale można było stosować zmyłki i podstępny.

Zapewne trochę też przypominało to strategię, moją ulubioną grę, ponieważ nie było żadnego faworyzowania którejś ze stron ani też jasnych informacji i wskazówek. Oczywiście prawdziwa Gra Ofiar-na, której używa się do odczytania przyszłych możliwości, nieco się różni, ale nie tak bardzo. Mniej więc jej tak, jak różni się remik od pokera.

Głuchy ochroniarz przyniósł naczynie z otworem z boku. 7 Kolec, który jak dotąd nie odezwał się ani razu poza znakami migowymi, odwrócił wzrok. Włożyłem dłoń do otworu. 21c popatrzył na garnek. Musiałem wyciągnąć pięć dowolnych liczb od zera do dwustu sześćdziesięciu. Starłem się, by moje wybory były jak najbardziej przypadkowe, co wcale nie przyszło mi łatwo, po czym podałem je 2 Inkrustowanej Czaszce i wyjąłem rękę z naczynia. 2 Inkrustowana Czaszka, włożywszy dłoń do naczynia, powtórzył mój wybór pól - zapamiętał bezbłędnie. Po czym musiałem się odwrócić, gdy tę samą procedurę wykonywał 7 Kolec. Kiedy skończyli, odwróciłem się znowu do planszy. 21c pożyczył mi kwarcowy pionek i dziewięć nasion *tz'ite*. 7 Kolec wyjął własny kamień i nasiona. Potem każdy z nas dotknął prawą dłońią ziemi obok planszy. To jak ukłon przed rozpoczęciem rozgrywki go. A ponieważ 7 Kolec był starszy, to jemu przypadł pierwszy ruch. Rozsypał nasiona i przesunął swój kamień na pole 11 *Ahau*.

De todos modos. Rozrzuciłem nasiona. Wykonałem ruch. On wykonał ruch.

Ach. Dobrze. Chyba pójdzie w ten sposób... nie, zaraz, w ten sposób. Dobrze. Najpierw stanie się to, potem nastąpi reakcja, właśnie.

Szlag, nie potrafię myśleć tak, jak we własnym dawnym ciele. Ale i tak wykonałem kolejny ruch. 7 Kolec odpowiedział.

Dobrze. No, ruszaj się, mózgu Szakala, skup się.

Myślałem. Zacząłem się pocić. A ponieważ nie mieliśmy zegara, domyśliłem się, że 2 Inkrustowana Czaszka przerwie mi i nakaże wykonanie ruchu, jeżeli będę zbyt długo zwlekał.

Dobra. Ruch. Tak. Tędy. Tutaj. Tam. Przynajmniej Szakal miał wysokie IQ. Strach pomyśleć, co by było, gdybym trafił do umysłu jakiegoś idioty. Dobrze by się to nie skończyło. Zwłaszcza że tak naprawdę Gra jest sposobem na połączenie logiki i intuicji. Nie trzeba być geniuszem od liczb, choć to nie przeszkadza, rzecz jasna. Wykonałem ruch. 7 Kolec odpowiedział. Mój ruch. Jego ruch.

Hm...

Mój ruch.

Dobrze, zamigał 7 Kolec. Ha! Zdobyłem jedno z jego pól.

Dobrze.

Chyba zaczynałem się przyzwyczajać do używania umysłu Szakala. Przynajmniej moje zdolności nie zgubiły się po drodze i nie zniknęły w zakamarkach nowego mózgu. Udało się bez strat przetransportować „Jedowość” przez czas - Taro jak zwykle miał rację.

7 Kolec zabrał mi pole. Mnie udało się przejąć jedno z jego, potem kolejne. W sto dziewięćdziesiątym drugim ruchu starszy Strażnik położył dłonie płasko na macie, sygnalizując, że rezygnuje.

Cholera, pomyślałem. I tyle?

Już wcześniej byłem rozczarowany, ale teraz - choć oczekiwałem, że poczuję satysfakcję z zaliczonej próby - byłem zdruzgotany. *Mierda*, pomyślałem. Ten facet niczego nie wie. Pewnie to jakieś beztalencie, które 2 Inkrustowana Czaszka przyprowadził, by mnie zniechęcić. Albo po prostu Majowie nie byli ani trochę lepsi w Grze teraz, jak w moich czasach. Może ta wyprawa to tylko strata czasu. Albo trafiłem w złe miejsce. Świetnie, trafiłem do amatorów z najsłabszej ligi. Kurwa. Kurwa moja mać.

7 Kolec coś zasygnalizował. 2 Inkrustowana Czaszka odpowiedział innym gestem. Nie zrozumiałem, o co chodziło. 7 Kolec znowu wykonał gest - zgoda. Wziął szczyptę tytoniu ze swojej sakiewki i włożył do ust.

- *T'aac a'an* - powiedział 2 Inkrustowana Czaszka. Rewanż.

Cmoknąłem na znak zgody.

Głuchy ochroniarz podał 21c wielką glinianą misę z solą. 2 Inkrustowana Czaszka zanurzył w niej dłoń, pogmerał i wyciągnął dwie malutkie gliniane buteleczki zapieczętowane woskiem. Pierwszą położył na bawełnianej szmatce na macie przed sobą i owinał naczynie tkaniną. Ochroniarz podał mu kamienny młotek. Ostrożnie 2 Inkrustowana Czaszka rozbił glinianą fiolkę i rozwinął szmatkę. Dziwny siny zapach wypełnił mi nozdrza - woń, której ani Szakał, ani ja nigdy wcześniej nie czuliśmy, uniosła się w pomieszczeniu. 2 Inkrustowana Czaszka odsunął kawałki butelki długim, pomalowanym na czarno i ozdobionym granatami paznokciem palca wskazującego. Podniósł malutką kulkę, która wyglądała jak woskowa, brązowa pigułka aspiryny, i położył ją na czerwonej ćwiartce przed 7 Kolecem. Strażnik Dnia wyjął z ust przeżuty tytoń, zgniótł go z podaną pigułką, po czym wszystko z powrotem włożył między górną wargę a dziąsła. Nie przeżuł. 2 Inkrustowana Czaszka rozbił drugą buteleczkę. Zawierała odrobinę żółtego gruboziarnistego proszku, przypominającego zeschnięty starty parmezan. 2 Inkrustowana Czaszka wziął odrobinę proszku na paznokieć najmniejszego palca i ostrożnie wyciągnął rękę nad planszą. Powoli 7 Kolec pochylił się i z namaszczeniem wciągnął substancję do nosa, po czym się wyprostował. 21c przykrył resztę narkotyków dwiema drewnianymi miseczkami.

- Mój Strażnik Dnia pode mną, 7 Kolec, poprosił o pomoc Starego Solnika - oznajmił 2 Inkrustowana Czaszka. Długą chwilę zajęło mi zrozumienie jego słów. Stary Solnik to jeden z bogów Gry, ale nazwa -Stary Solnik lub pył Starego Solnika - oznaczała również narkotyk. Należało pamiętać, że u Majów wszystko jest personifikowane. Nie mówi się, że z południa idzie deszcz, lecz że nadchodzi Chac Żółty Człowiek. Kukurydza była Ojcem-matką 8 Kości, a czekolada - Panem Kakawem. Kurzawę nazywano Małym Hurukanem, a mgłę Zakapturzoną Panią. Nawet jeden z wiatrów w moich czasach Majowie nazywają Marią. W każdym razie dałem znak, że się zgadzam. Ponownie wybraliśmy liczby-pola. Tym razem mnie przypadł pierwszy ruch. Rozrzuciłem ziarna i wykonałem posunięcie.

7 Kolec zawahał się przed odpowiedzią. Wyglądał normalnie, tyle że jego wzrok stał się rozproszony. A raczej - skoncentrowany na czymś bardzo odległym.

Wykonał ruch. Ja wykonałem ruch. Potem on. Znowu ja. Starszy Opiekun zawahał się, po czym przesunął kamień. Szlag. Przejął jedno z moich pól. Wykonałem ruch. Odpowiedział. Mój ruch. Jego. Znowu mój. I jego. Przejął następne z moich pól. Wykonałem ruch, potem on zrobił to samo. Zauważyłem, że z nosa na brodę 7 Kolca ścieka śluz. Typowy efekt uboczny zażycia psychodelików. Strażnik Dnia nie próbował się jednak wytrzeć, a - co dziwne - wcale nie poczułem na ten widok odrazy. Po czterdziestym ruchu zostało mi tylko jedno pole, a 7 Kolec miał nadal cztery. Dalsza rozgrywka nie miała sensu. Zrezygnowałem.

Cholera, co to za używka? Stary Solnik, co?

Ochroniarz zapalił nowe pochodnie. Chociaż wiedziałem, że to nieuprzejme, wyprostowałem nogi i skrzyżowałem je ponownie. Zesztywniały, ale to ciało nawykło do siedzenia w ten sposób przez długie godziny i wiedziało, jak uniknąć odrętwienia. W grocie nie zmieniały się warunki - temperatura powietrza i oświetlenie - dlatego zapewne nie czułem ani głodu, ani szczególnego pragnienia, chociaż siedzieliśmy tutaj przynajmniej od trzech godzin.

Dobra, pomyślałem. Dogrywka.

Zasygnalizowałem, że chcę zagrać jeszcze raz.

2 Inkrustowana Czaszka gestem wyraził zgodę. 7 Kolec zasygnalizował: wyzwanie przyjęte.

Popatrzyłem na dwie odwrócone miseczki, potem na 2 Inkrustowaną Czaszkę.

Spojrzał na mnie ze zrozumieniem. Wiedział, o czym myślę.

Mów, zamigał, domyślam się, że chcesz prosić o pomoc.

- Ja poniżej ciebie proszę o Grę z pomocą Starego Solnika - powiedziałem.

21C wziął szczyptę brązowego proszku i zsypał ją na planszę przede mną. O połowę mniej niż porcja, jaką zażył 7 Kolec. Wziąłem trochę tytoniu, przeżułem i wyjąłem z ust, po czym zgniotłem z proszkiem.

Już miałem wziąć do ust, ale 2ic mnie powstrzymał, kładąc mi dłoń na przedramieniu.

Wetrzyj w udo, zamigał.

Czemu? - oburzyłem się w duchu. 7 Kolec zażył doustnie, czemu ja też nie mogę? Pewnie nie chce, żeby narkotyk działał na mnie długo. Cóż, nie będę się kłócił.

Wtarłem tytoń z używką w udo.

- Stary Solnik to sędziwy, zielonkawy człowiek - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka. - Rozpoznasz go po kropkach na podbródku i nosidle na plecach. Jeżeli przybędzie w canoe, będzie tym, który siedzi na środku.

No tak. Skinąłem dłonią. Będę miał na niego oko.

2 Inkrustowana Czaszka odłożył pustą miseczkę i uniósł drugą. Zadrzałem lekko, nie bez powodu. Choć nie wziąłem substancji do ust, wyczułem smak - jakiś nieludzki, syntetyczny, sztuczny, jaki daje się wyczuć w niektórych owocowych gumach do żucia. 2 Inkrustowana Czaszka wziął na palec odrobinę drugiego proszku - najwyżej kilka ziarenek, jak zdołałem się zorientować w niepewnym świetle pochodni, z dziesięć razy mniej niż dawka dla 7 Kolca - i podsunął mi pod nos. A, co tam. Wciągnąłem proszek jak stary narkoman i usiadłem wygodniej.

Nic się nie stało. Sądziłem, że może 21c poda 7 Kolcowi kolejną dawkę, ale najwyraźniej Strażnik Dnia był jeszcze na hajcu z poprzedniej. Cóż, nieważne.

Tym razem to 7 Kolec miał rozpocząć Grę. Rzucił ziarna i wykonał ruch. Potem ja wykonałem ruch. Następnie on. I ja. I on.

Hm...

Poczułem słony posmak w kącikach ust i laskotanie śluzu spływającego mi na podbródek. Typowy efekt uboczny po zażyciu LSD i większości halucynogenów - to znaczy siąpienie z nosa - jednak po tym preparacie wcale nie czułem się jak po zażyciu środka halucynogenowego. W sumie niczego szczególnego jeszcze nie czułem.

Fuj, przemknęło mi przez głowę. Ale nie podniosłem ręki do twarzy. Miałem przeczucie, że śluz z nosa jest świętym przejawem, stygma-

tem od opiekunów Gry. Może to właśnie mają symbolizować niektóre tatuaże na górnych wargach - nie krew, lecz święty smark. Taa...

Uświadomiłem sobie, że 7 Kolec wykonał ruch już chwilę temu. Spojrzałem na planszę. Było dla mnie jasne, gdzie są jego dwa lub trzy pola. Nad matą do Gry zawisło pasmo, jakby nitki babiego lata lub pajęczyny, ale kiedy przyjrzałem się bliżej, zrozumiałem, że to smuga dymu z cygara 2 Inkrustowanej Czaszki - nieruchoma, jak zastygła w powietrzu.

Chyba wypada się ruszyć, pomyślałem. Sięgnąłem po kamień--pionek, ale ręka na kolanie ani drgnęła. Próbowałem nią poruszyć - nic z tego. Poczulem ucisk w żołądku i falę lęku przed paralizem, ale zaraz zorientowałem się, że dłoń oderwała się nieznacznie od kolana, uniosła najwyżej o parę cali i mozolnie przesuwiała do kwarcowego kamyka, który leżał o piętnaście cali dalej, po prawej stronie planszy. Próbowałem poruszać się szybciej, walcząc z oporem powietrza, nieoczekiwanie zmienionego w galaretę - i rzeczywiście zdołałem pokonać kolejny cal w czasie krótszym niż minuta, jak mi się wydawało.

Och.

Zazwyczaj podczas Gry nie czuje się, ile czasu upłynęło i jak długo trwa partia, dopóki na przykład nie zauważy się, że za oknem zapadła noc. Ale tym razem czas wokół mnie po prostu zwolnił. A raczej Stary Solnik okazał się środkiem chronotropowym, czyli takim, który przyspiesza przewodnictwo na synapsach, nie powodując wylewu, nie wywołując oszołomienia lub omdlenia czy innych odmiennych stanów świadomości. Mrugnąłem i brązowy półmrok powiek opadł powoli niczym cień wielkiej chmury, która przysłania nagle słońce. Ale prędkość myślenia wcale mi nie spadła, co więcej - miałem wrażenie, że myśli mam bardziej przejrzyste. Wykonałem kilka obliczeń w pamięci, by to sprawdzić. Szybko przekonałem się, że tak właśnie jest - myślałem równie szybko jak zawsze, na dodatek do dyspozycji miałem więcej mocy obliczeniowej niż jako Jed, a jako Jed miałem jej przecież niemało.

Kiedy popatrzyłem na planszę i pomyślałem o wszystkich danych i możliwościach otwierających się w przyszłości, poczułem, jakbym

stał pod kaskadą wielościennych kostek do gry i miał dość czasu, by wybrać dowolną, jakbym mógł się skoncentrować tylko na jednej lub na wszystkich naraz, zapamiętać ich pozycję, gdy przelatywały obok, i na tej podstawie obliczyć, gdzie upadną i co z tego wyniknie.

Może o to chodzi, pomyślałem. Muszę zdobyć te substancje i przekazać je zespołowi. Chciał kiedy Taro się o tym dowie, będzie rozczarowany. Taro pragnął znaleźć rozwiązanie matematyczne - takie, jakiego mógłby nauczyć LEON-a. Ale zdaje się, że chodziło o intuicję. Cóż, w tym meczu to nie rozum się liczy.

W końcu wykonałem ruch i 7 Kolec wykonał swój. Przyglądałem się jednemu z paznokci Strażnika Dnia. Było to jak obserwacja księżyca przesuwającego się po nieboskłonie. Udało mi się wykonać następny ruch, po czym do odpowiedzi przystąpił znowu 7 Kolec, jednak tym razem wiedziałem już, co zamierza zrobić, i zacząłem się nudzić. Rozejrzałem się po grocie, przekręcając powoli gałki oczne. Przyjrzałem się smugom tytoniowego dymu wylatującym z nosa 2 Inkrustowanej Czaszki, rozwijającym się powoli jak rozgwiazda wysuwająca się cierpliwie z załomu rafy koralowej. Obserwowałem powolny ruch włosków na twarzy 7 Kolca, niczym drzenie liści na zboczu porośniętym lasem. Patrzyłem w płomienie lampek łożowych kołyszące się powoli jak rastamani w transie. Przy dziewiętnastym ruchu ustawiłem swój kamień na polu z ostatnim numerem przeciwnika. Nie miał nawet czasu, by się poddać.

Jasna cholera. Niech no tylko dostanę parę torebek tej używki, a wrócę do dwudziestego pierwszego wieku i nie tylko wysledzę przyczynę zagłady, lecz rozwiązę całościowo hipotezę Hodge'a, odkryję prostopadłościan doskonały i rozwiązę problemy formatowania pomiędzy różnymi edycjami Microsoft Word. I nawet się przy tym nie spocę.

7 Kolec wykonał gest poddania - jakby mówił: gratulacje, świetna gra - po czym wstał powoli. Kolana mu strzyknęły jak pękające orzechy. Niepewnym krokiem wyszedł ze skalnej komnaty. Usłyszałem za plecami łopot kotary z jeleniej skóry. I wtedy dopadły mnie wyrzuty sumienia zwyczajny - uczucie, które zawsze nadchodzi, kiedy się

kogoś naprawdę przygniotło. Na dodatek straciłem czucie w nogach. Kiedy zacząłem wstawać, w uszach mi zaszumiało, jakby przez dwa szlauchy pomknęły w głąb czaszki silne strumienie, lecz nie wody, a krwi, zaraz też w gardle narosły mi mdłości jak balon żółci, rozrastający się od jelita cienkiego w górę przewodu pokarmowego. Zapadłem w miękką ciemność. Poczulem krople wilgoci - ktoś pryskał mi wodą w twarz - a kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem gwardzistę, lecz nie tego głuchego. Chciałem odwrócić głowę, by się rozejrzeć, ale unieruchomiło mnie ukłucie bólu w karku. Spróbowałem ruszyć ręką. Auć. Była całkowicie sztywna, jak wtedy, gdy się zaśnie w bezruchu po zażyciu dużej dawki kodeiny. Jednak uświadomiłem sobie trzy sprawy: że zemdlałem, że minęło dużo czasu od zakończenia Gry i że może, może jeżeli zdobędę ten pył Starego Solnika i przekażę go mojemu zespołowi w ostatnim *b'ak'tun*, ludzkość będzie miała szansę.

Strażnik podał mi wodę. Wymasował mnie mocno - do czego ciało Szakala było wyraźnie przyzwyczajone i dzięki czemu mogłem usiąść. Po czym poczęstował mnie pastą z niesłodzoną czekoladą, którą należało zlizywać z płaskiej miseczki. Tak zrobiłem. Zawierała pewnie tyle kofeiny, co pięć espresso. 2 Inkrustowana Czaszka wszedł do jaskini i usiadł na miejscu 7 Kolca przy planszy do Gry. Miał na sobie ten sam strój co wcześniej, te same łańcuchy i bransolety z jadeitu i muszli spondylusa, ale wyglądał czyściej. Może wziął szybką kąpiel. Usłyszałem szmer za plecami, pewnie jeszcze jednego strażnika, ale tym razem zachowałem się jak należy i nie odwróciłem głowy.

- Stary Solnik przyszedł do ciebie za pierwszym razem - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka.

Cmoknąłem twierdząco.

- To dobry znak.

Potem dodał, że większości ludzi przy pierwszym spotkaniu Solnik nie na wiele się przydaje.

Jak to zwykle z narkotykami, pomyślałem. Ale jeżeli ta pierwsza dawka nie była duża, to co będzie, gdy się ją zwiększy? Założę się, że gdybym na tym środku grał z LEON-em, mógłbym w okamgnieniu znaleźć przyczynę zagłady. A przecież zażyłem najwyżej ćwierć zwykłej dawki. Co mnie omal nie zabiło, ale jednak...

2 Inkrustowana Czaszka wziął świeże cygaro, przypalił od węgielka i dmuchnął dymem. Patrzyłem. Nagle, co zaskakujące, 21c mnie

poczęstował. Podziękowałem krótko i ceremonialnie. Odpowiedział równie krótko i ceremonialnie, że nie ma za co. Odpalił drugie cygaro, po czym mi je wręczył.

Miałem kłopoty z podniesieniem ręki. Najwyraźniej po zażyciu pyłu Starego Solnika występował efekt uboczny - miałem wrażenie, że albo stałem się ofiarą podwyższonej grawitacji, albo nagle przybrałem na wadze co najmniej sześćdziesiąt funtów. Ale udało mi się wziąć cygaro i wsunąć do ust. Wiem, wiem - gdy się weszło między wrony... ale nieszczególnie miałem ochotę wciągać dym przez nos. Cygaro miało mocny roślinny posmak z domieszką czekolady i mięty, a na koniec krzemienia. Cholera, doskonale. Ciało Szakala było beznadziejnie uzależnione.

Może jednak zrobiłem wrażenie na 2 Inkrustowanej Czaszce. Przecież praktycznie wgniotłem w ziemię tego 7 Kolca, prawda? Tyle że o tym nie wspomniałem. Nie wypada obrażać Strażnika Dnia przed głową Klanu Orła, nieważne, jak niekompetentny się okazał.

- Mieliśmy ośmioczaszkowego Strażnika, ale umarł - odezwał się 2 Inkrustowana Czaszka, najwyraźniej czytając mi w myślach.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Może znaczyło to, że stary Stażnik umiał grać ośmioma pionkami równocześnie. Jeżeli tak, musiał być naprawdę utalentowany. Ale choć nie rozumiałem, cmoknąłem, że rozumiem.

- 7 Kolec jest trzyczaszkowym Strażnikiem - wyjaśnił 2 Inkrustowana Czaszka. - Staramy się pozyskać siedmioczaszkowego z Rozwartego Nieba. Ale Klan Ary także przedstawił mu ofertę.

Cmoknąłem. A zatem istnieje między rodami rywalizacja o najlepszych Strażników. Tak samo było na Alta Verapaz za mojego dzieciństwa, różne osady starały się zdobyć jak najlepszych *curanderos*.

Podwładny nie powinien wypytywać zwierzchnika, ale uznałem, że mogę zaryzykować. Pomyślałem, że 2 Inkrustowana Czaszka zaczyna się przy mnie otwierać. Łączy nas przecież wyjątkowa więź, czyż nie?

- O ty, któryś nade mną, kto według ciebie jest najlepszym Strażnikiem Dnia?

- 11 Wir jest jedynym dziewięcioczaszkowym Strażnikiem w Ix
-
stwierdził 21c. - Jest tylko trzydziestu jeden.

Sądząc po składni, chodziło mu o to, że na całym świecie jest tylko tyłu dziewięcioczaszkowych Strażników Słońca. Wyjaśnił też, że 11 Wir jest związany z Klanem Ocelota od dziecka, czyli od ponad sześćdziesięciu lat, i że jego moc jest legendarna.

- Może w tej chwili już mnie sprawdza - wyznał 2 Inkrustowa na Czaszka. - Niedługo zorientuje się, że polowanie na jelenia było oszustwem. A kiedy zlokalizuje mnie przy pomocy Gry, Klan Ocelota wyśle oddział, by mnie pojmać.

Zapytałem, dlaczego ród Ocelota jest nadal na nas zły - i w duchu zaakcentowałem to „nas” - skoro zadośćuczyniliśmy ich krzywdom polowaniem na jelenia. Ledwie to powiedziałem, pożałowałem, że w ogóle otworzyłem usta. Pytanie mogło być uznane albo za głupie, albo irytujące. Nakazałem sobie lepiej pilnować języka.

Lecz 21c nie dał po sobie poznać, jeżeli moje nieopatrne słowa go zdenerwowały.

- Większość Ocelotów zapewne uważa, że zepsuliśmy ceremonię ofiarną w *mul* celowo - wyjaśnił. - Ale korzenie niezgody sięgają głębiej w przeszłość. Klan Ocelota rządzi Ix od założenia miasta.

2 Inkrustowana Czaszka podał nawet przybliżoną datę: 9 Pan, 3 Łyk, 8.0.0.0. Tego dnia Jedyny Ocelot ogłosił swoje prawa do wodnych jaskiń w tutejszej górze i podzielił ziemię wokół niej pomiędzy swoją rodzinę oraz *ahau* pozostałych czterech klanów, włączając w to Klan Orła.

O ile, rzecz jasna, ten Jedyny Ocelot w ogóle istniał. A nawet jeżeli - wątpliwe, by obecny *ahau ahauob*, 9 Szponiasty Koliber, był z nim spokrewniony w prostej linii, jak chciał, by wierzono. Oczywiście nikt nawet nie pomyślałby o podważeniu jego władzy nad słodką wodą - czyli nad systemem irygacyjnym - a zatem kontroli nad większością upraw w Ix, lub monopolu na niewolników, który utrzymywał dzięki temu, że jako jedyny mógł wypowiedzieć wojnę. Ród Ocelota sprawował również w Ix obowiązki kolektywne, co mniej więcej można określić jako kapłaństwo i sprawowanie pieczy nad rytuałami oraz

ceremoniami. Klan miał też wyłączne prawa do polowania niemal wszędzie i na określone zwierzęta, prawa do żądania od podróżnych подарunków, czyli praktycznie podatku drogowego, a także wyłączne prawo do rozdzielania wojennych łupów, prawo do handlu jadeitem i tak dalej, i tak dalej. Klan Ocelota miał także prawo własności do jednego dnia w każdym *uinal*, czyli dwudziestodniowym miesiącu, oraz pięciu dodatkowych dni w *tun* - trzystusześćdziesięciodniowym roku słonecznym. A co najważniejsze, Klan Ocelota miał absolutny monopol na narkotyki do Gry. Narkotyki, których nie dało się niczym innym zastąpić. Ich zapas odnawiano co cztery lata, gdy uzbrojone karawany krewniaków z rodu Widłogonów przynosiły używki z Meksyku.

Świetnie, pomyślałem. Właściwie chodzi zatem tylko o handel narkotykami.

2 Inkrustowana Czaszka powiedział, że istnieje jeszcze jeden narkotyk do Gry. 7 Kolec nigdy go nie próbował. Używka nosi nazwę pył Starego Sternika i, jak rzekł 21c, Sternik jest starszy nawet od Solnika. Tak stary, że jego skóra zrobiła się ciemnoszara. Stoi z długim wiosłem na rufie canoe. Jak dla mnie wychodziło, że Stary Solnik jest personifikacją narkotyku chronotropowego, a Stary Sternik to uosobienie używki o właściwościach topotropowych, ale nie w sensie chemii komórkowej, lecz takiej, która oddziałuje na poczucie przestrzeni. Zapewne w przypadku zażycia obu środków powstawał efekt synergii. Strażnicy Dnia mówią, że kiedy dwaj starcy są razem, potrafią wywołać takie objawienie we krwi człowieka, jak za czasów naszych praojców-pramatek, gdy można było widzieć wnętrza skał.

- Jednak - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka - nawet z monopolem na narkotyki do Gry, Klan Ocelota nie jest zbyt silny.

Przez kilka ostatnich *k'atunob* zaczął się chylić ku upadkowi. Zbyt wielu krewniaków Ocelota prowadzących kosztowny tryb życia i zbyt mało zyskownych zajęć. Klan stawał się coraz uboższy. A na dodatek ich nowe *uayob* skarłały - jak twierdził 21c. W dawnej Europie na podobną sytuację powiedziano by, że ich krew się rozcieńczyła. Ostatnie pokolenia królewskiej linii Ocelota rodziły się nienormalne lub

martwe. 9 Szponiasty Koliber był karłem i nikt poza najbliższą rodziną nie widział go bez maski. Nie było to spowodowane chowem wsobnym, jak u starożytnych Rzymian, ale coś musieli robić źle. A ostatnio roztrwonili środki i plony z ziemi na festiwale i nieudane projekty budowlane. Na ostatniej uczcie z okazji zwycięstwa w ustawionym meczu piłkarskim krewniacy Ocelota zużyli, a następnie spalili czterdzieści tysięcy osiemset piór kolibrów uszaków zielonych, z których każde warte było więcej niż miesiąc pracy niewolnika. A i tak był to tylko jeden z dwudziestu rodzajów zniszczonych wówczas piór.

W tym samym czasie rody Orła i Ary, a także mniej znaczny Klan Pancernika, szybko się bogaciły. Tworzyły coraz większą sieć szlaków handlowych od Sonory aż do południowych krańców Panamy. 2 Inkrustowana Czaszka prowadził handel czekoladą jak firmę rodzinną o organizacji piramidy. *Milperos*, którzy zajmowali się hodowlą drzew kakaowych i zbiorem owoców, byli albo niewolnikami Klanu Orła, albo swoistymi lennikami. Dziesiątki mieszkańców wioski, którzy łuskali, fermentowali, suszyli i wypalali ziarna kakaowca - czekolada wymaga bowiem mnóstwa pracy - były nadzorowane przez członków wielkiej rodziny 2 Inkrustowanej Czaszki. Handlarze podróżujący do najbardziej odległych zakątków również byli z nim mniej lub bardziej spokrewnieni. I nawet towary, które przychodziły do klanu z zagranicy, takie jak sól i obsydian, były składowane w osadach podlegających 2 Inkrustowanej Czaszce, dopóki on nie zdecydował, kiedy i gdzie mają zostać sprzedane.

Ostatnio Klan Orła stał się też głównym kredytodawcą władcy - jak inne dynastie świata, tak i ród Ocelota był wiecznie zadłużony. Oczywiście 21c nie ujął tego w ten sposób. Po iksyjsku najbliższym wyrażeniem było, że Klan Ocelota przestał być mile widziany. Co znaczyło, że nie odwzajemniał darów. I zamiast dzielić się bogactwem, jak choćby prawami do wody pitnej, zwyczajnie je trwonił. 9 Szponiasty Koliber zaczął się nawet domagać darów powitalnych, czyli dodatkowej opłaty od towarów, których transport wymagał zaledwie przecięcia dróg należących do rodu panującego.

Zapytałem o trzy pozostałe możliwe rody IX. 2 Inkrustowana Czaszka powiedział, że dwa z nich - klany Ary i Pancernika - nie darzą Ocelotów estymą, podobnie jak Orły. Lecz także jak Orły rody te były związane z Ocelotami przez sieć małżeństw i adopcji. Dziad 2 Inkrustowanej Czaszki był zarazem stryjem teścia 9 Szponiastego Kolibra. Siostra 9SK była ciotką głowy rodu Ary. Patriarcha Klanu Pancernika adoptował dwóch synów kuzynek 9 Szponiastego Kolibra. I tak dalej. Wiele przywilejów rodu wynikało z tych rodzinnych powiązań z domem panującym. Atakowanie Klanu Ocelota mogło zatem zagrozić pozycji i interesom pozostałych - zwłaszcza że zabicie członka rodziny przychodziło tutejszym ludziom trudniej niż zabicie obcego. Zresztą takie uczynki wstrząsnęłyby systemem społecznym i wywołały waśnie wśród pozostałych rodów. Na dodatek byłoby trudno oszczędzić członków własnej rodziny przebywających wśród Ocelotów.

A nawet gdyby udało się uniknąć tych problemów, 9 Szponiasty Koliber nadal pozostawał żywym bogiem. Ojciec-matka kociego klanu to jak papież w renesansie - nieważne, jaki drań lub głupiec piastował stanowisko, ludzie wierzyli, że stoi za nim Bóg. Nawet najemnicy, którzy nie wahali się przed niczym, nie wazyli się go tknąć. A jeżeli już się postanowiło, że obali się papieża, należało najpierw zdobyć pewność, że zajmie się jego miejsce. I to szybko. 2 Inkrustowana Czaszka, który doszedł do władzy i ciągle powiększał swoje wpływy, mógłby wymusić, by Klan Ocelota posadził go na swojej górze - czyli żeby uznał go za prawowitego dziedzica. Wymagało to przygotowania genealogii dowodzącej, że 2 Inkrustowana Czaszka pochodzi w prostej linii od Jedynego Ocelota, by potem - w sfałszowanych wyborach w *popol na*, domu rady - wybrać go na *ahau* klanu. Ale, jak stwierdził 2ic, nie ma szans, żeby tak się stało.

Oczywiście nawet w premonetarnym społeczeństwie bogactwo i władza idą w parze, zatem jeżeli wszystko toczyłoby się tym samym torem przez *k'atun* lub dłużej, Klan Orła stałby się tak bogaty, że mógłby sobie pozwolić na opłacenie najemników, którzy rozprawili-

by się z Ocelotami. Ewentualnie ród Orła mógłby się wżenić w Klan Ocelota albo przeciągnąć na swoją stronę inne rody. Ale Klan Ocelota nie pozwoli, rzecz jasna, by wszystko toczyło się tym torem. Starał się oczyścić pole, zanim Orły staną się silniejsze, i tylko czekał, aż rywale popełnią błąd, który da Ocelotom pretekst do rozpętania wojny. Prawie się udało, gdy zrujnowałem ceremonię powtórnej intronizacji 9 Szponiastego Kolibra w *mul. A* od tamtej pory ród Ocelota wymyślił coś jeszcze groźniejszego.

- Ród Ocelota wyzwał nas na wielki mecz w piłkę - rzekł 21c.
-A ja nazwałem to słońce: 1 Zmiecenie, o Zbiór.

Czyli za sto sześć dni. Według 2 Inkrustowanej Czaszki wielki mecz może się odbyć tylko wtedy, gdy nadchodzi nowy patron roku, co następowało raz na cztery lata. Minęło osiem lat, odkąd ostatni raz Oceloty grały przeciw Orłom. W dawnych czasach, wiele *k'atun* temu, w najważniejszych meczach uczestniczyli najwięksi *ahau* i jeńcy z królewskich rodów innych miast. To dawało okazję, by *ahau* wykazał się, że nadal jest zdolny do sprawowania władzy. Inne rozgrywki zastępowały pojedynki między braćmi, synami lub teściami królów, pozwalając na rozwiązanie konfliktów, które w innym przypadku prowadzić by mogły do wojny domowej. Ale w naszym zdegenerowanym *b'ak'tun* - jak ujął to 2 Inkrustowana Czaszka - władców reprezentowali zwykle profesjonalni gracze z rodu, tacy jak Szakał. Czasami wyzwany ród kompletował gwiazdy wypożyczone z innych miast lub wynajęte spośród wolnych graczy i wystawiał drużynę marzeń. Ale tym razem Klan Orła nie mógł sobie na to pozwolić, straciłby twarz i zhańbił się przed całym światem. Drużyna Ocelota składać się będzie wyłącznie z członków rodu, zatem i grupę obrońców stanowić będą krewniacy Orła.

I w większości przypadków tak właśnie być powinno. Drużyna Klanu Orła dobrze sobie radziła przez ostatnie trzy sezony. Stanowiła też dla 2 Inkrustowanej Czaszki niezłe źródło dochodu - zarówno dzięki udziałom w zyskach ze zwycięstw, jak i kontraktom wymiany i wynajmu graczy, jakie z tego wynikały. Ale w tym sezonie drużyna

Ocelota będzie równie dobra, o ile nie lepsza. A to, że Szakal odpadł, też raczej nie pomoże, dodał 2 Inkrustowana Czaszka.

Przepraszam, pomyślałem.

2 Inkrustowana Czaszka wyjaśnił mi nie tyle w słowach, co bardziej między wierszami, że teoretycznie zaproszenie do gry przeciw rodowi panującemu stanowi zaszczyt, ale w rzeczywistości oznacza katastrofę. Zgodnie z tradycją większość członków każdego klanu będzie chciała obstawić zwycięstwo swojej drużyny i zaangażuje w to sporą część swojego majątku. Pod naciskiem 2 Inkrustowana Czaszka zmuszony będzie postawić ponad połowę swoich ziem. A jego sojusznicy, lennicy lub wspierający go członkowie pomniejszych klanów razem postawią zapewne jeszcze więcej. Jeżeli Orły przegrają, stracą ogromną część swojej własności, ale ocala życie i nie trafią do niewoli, przynajmniej na jakiś czas. Jeżeli wygrają, Oceloty zapewne zaprotestują i oskarżą przeciwników o nieczystą grę. Orły będą musiały wyzwąć Oceloty - i wojna domowa gotowa. Możliwe także, że Ocelotom uda się od początku ustawić grę, albo przez przekupienie sędziów, albo przy pomocy innych sztuczek. A wówczas albo zabiorą własność Klanu Orła, albo - jeżeli Orły zaprotestują - przystąpią do ataku. Tak czy siak, Klan Orła ma przechłapanie. Szwindel był oczywisty, ale nie miało to znaczenia. Nie można było odrzucić wyzwania. W tych czasach i w tym miejscu jeżeli straciło się twarz, straciło się wszystko.

La gran puta, pomyślałem. Dopiero teraz zacząłem rozumieć, pod jak wielką presją jest ród Orła. Może w innych okolicznościach mógłbym się zająć wprowadzeniem koła garncarskiego i podobnymi przedsięwzięciami. Ale niezależnie od miejsca i czasu nad szefami mafii, jak i nad 2 Inkrustowaną Czaszką czy 9 Szponiastym Kolibrem, wisi groźba zbrojnej konfrontacji. A teraz, po fiasku w *mul*, 9 Szponiasty Koliber tylko czekał na pretekst, by rozpętać wojnę. I nie zamierzał przegrać.

To beznadziejne, pomyślałem. Jestem po złej stronie. Powinienem wymknąć się i przystać do Ocelotów. Tyle tylko, że: a) nie mogłem

stąd wyjść, a co gorsza, nie miałem też żadnego wejścia, b) *ahau* Ocelotów nie zrozumie mnie tak jak 2 Inkrustowana Czaszka - miałbym szczęście, gdyby mi się udało uniknąć tortur, zanim zostałbym zjedzony.

Och, ach...

Miałem paskudne wrażenie, że 2 Inkrustowana Czaszka domyśla się, co mi chodzi po głowie - to znaczy o tym, żeby przejść na drugą stronę.

Popatrzyłem mu w oczy. 2 Inkrustowana Czaszka popatrzył mi w oczy. Nie odwróciłem wzroku. Byłem pewien, że każe mnie zabić. Ale kiedy przywykliśmy do kontaktu wzrokowego, z sekundy na sekundę zacząłem czuć do tego człowieka przywiązanie. Może dopadł mnie syndrom sztokholmski.

Albo po prostu w obcym, dziwnym miejscu człowiek stara się trzymać blisko osoby, która wydaje się najbardziej podobna, nawet jeżeli jest też obca. Może 2 Inkrustowana Czaszka nie jest wcale taki zły. Może ma w sobie dość mnie, by czuć ze mną więź.

Zaraz, zaraz. Nie oszukujmy się. Przez tego faceta przeżyłem najgorsze godziny w moim życiu - lepiej o tym nie zapominać.

- Przywiąż swojego *uay* na noc - powiedział 2 Inkrustowana Czaszka. Co mniej więcej znaczyło: niech ci nie przyjdzie do głowy zrobić coś głupiego. Ale powiedział to z lekkim rozbawieniem.

Och, no dobra. Dobra, pomyślałem. Lepiej zmienić temat.

- Chciałbym zagrać jeszcze raz - oznajmiłem. Chciałem spróbować znowu pyłu Starego Solnika i dowiedzieć się, czy 11 Wir naprawdę mnie sprawdza i co Orły powinny zrobić ze zbliżającym się meczem. Nie powiedziałem, że jestem lepszy od 7 Kolca, ale oczywiście tak pomyślałem.

2 Inkrustowana Czaszka stwierdził, że nie powinienem przyjmować kolejnej dawki przez parę dni. Muszę się dostroić do Solnika. Co znaczyło, że trzeba brać coraz większe dawki przez lata. Ale nawet jeżeli uda mi się wytworzyć tolerancję, nie dowiem się tyle co 11 Wir. Gra miała tajemnice, których słabsi (o mniejszej liczbie czaszek) Strażnicy nie powinni znać i których zwykle wyżsi w rankingu Strażnicy

ich nie uczyli. Władcy nie życzyli sobie, by ich Strażnicy Dnia przyjmowali zbyt wielu uczniów, ponieważ wrogowie mogliby ich przejąć. Większość Strażników, nawet ci, którzy pochodzili z miast Majów, była szkolona w Tamoan i tylko nieliczni opuszczali to miasto w każdym *k'atun*.

Tamoan? Nie znałem tej nazwy, ale z zakamarków pamięci Szakala wypłynęło skojarzenie z triadą wielkich piramid.

2 Inkrustowana Czaszka powiedział też, że z trzydziestu jeden żyjących dziewięcioczaszkowych Strażników Dnia, o których wiedział, osiemnastu pozostawało w Tamoan. Pozostałych trzynastu żyło rozproszonych po różnych miastach Mezoameryki, po jednym, najwyżej dwóch w tym samym mieście. A jeżeli nie będę się uczył od któregoś z nich, nigdy nie osiągnę poziomu dziewięciu czaszek. A nie będę, bo jestem za stary.

Rozumiem, zasygnalizowałem. Szlag.

- A nawet jeżeli skłonisz któregoś, żeby cię uczył, może się okazać, że niczego się nie nauczysz - dodał 21c. - Na każdego dziewięcioczaszkowego Strażnika Dnia przypada czterystu, którzy nigdy nie zaszli tak daleko.

Gówno prawda, pomyślałem. Dałbym radę. Ale tego nie powiedziałem.

- A nawet gdybyś okazał się dobrym uczniem - podjął 2 Inkrustowana Czaszka - gra dziewięcioma kamieniami wymagałaby lat ćwiczeń. Z trzydziestu jeden dziewięcioczaszkowych graczy bardzo niewielu ma poniżej czterdziestki. Chociaż - dodał sumiennie - nie które z kobiet są młodsze.

Zapytałem dlaczego.

- Stary Solnik jest bardziej przyjazny kobietom. A przynajmniej tak mówią.

Pewnie, pomyślałem. Albo po prostu kobiety są w tym lepsze.

A na dodatek pyłu zostało niewiele, dodał 2 Inkrustowana Czaszka, i robił się przestarzały. Jego skuteczność, jak się okazało, nie tyle zależała od dawki, lecz od jej świeżości. Narkotyk nie zyskiwał mocy z upływem czasu. A nie należało liczyć, że Klan Ocelota zaopatrzy

Orły w kolejną porcję. Zresztą zapewne Ocelotom też zaczynało już brakować pyłu Starego Solnika.

- Poza tym 11 Wir znajdzie cię pierwszy. Trzeba być dziewięcioczaszkowym, by oszukać dziewięcioczaszkowego.

Było to frustrujące, ale musiałem przyznać, że 2 Inkrustowana Czaszka miał sporo racji. W ten sam sposób działał ranking szachistów lub graczy w go - był tak trwały, że rzadko zdarzały się zmiany. Jeżeli na przykład było się profesjonalnym graczem w go i miało poziom pierwszego dana, szanse na pokonanie gracza z dziewięcym danem, nawet w wyrównanej grze, wynoszą około jeden do trzydziestu. Chociaż czułem się wspaniale podczas Gry jeden na jednego, nadal przecież grałem tylko jedną czaszką, czyli pionkiem lub kamieniem. I nie potrafiłem sobie wyobrazić Gry więcej niż czterema czaszkami, nie mówiąc o dziewięciu.

Cóż... A skoro już przy tym byliśmy, musiałem zapytać o coś, co mnie dręczyło... No to siup.

-Czy 11 Wir jest jedynym dziewięcioczaszkowym w Ix? - rzuciłem. - A co z tą kobietą od Kodeksu, *ahau-na Koh*?

-Widziałem ją w księdze twojego robaka - odpowiedział 2 Inkrustowana Czaszka. - *K'aana'obol* pani Koh - czyli jej starszy wuj od strony matki - był moim *eta taxoco' obo l'ta'taxoco*.

Czyli był przyrodnim bratem drugiego kuzyna dziadka od strony matki 2 Inkrustowanej Czaszki.

Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy, pomyślałem.

Pani Koh - jak powiedział 2 Inkrustowana Czaszka - urodziła się dwadzieścia osiem lat słonecznych temu w osadzie położonej około dwóch *jornadas* na północ od Ix. Jej rodzina stanowiła odgałęzienie rodu panującego z Lakamha, czyli współcześnie Palenque, i była spokrewniona zarówno z Klanem Ocelota z Ix, jak i Orła. Dziewczyna wcześniej ujawniła znaki, że nadaje się na Strażniczkę Dnia. Jedną z takich oznak było posiadanie jedenastu dzieci w rękach - czyli jedenastu palców. Kiedy miała siedem lat, Klan Ocelota zaaranżował wysłanie jej i kilkorga innych dzieci z wysoko postawionych rodów Majów do Gwiazdowego Grzechotnika w Tamoan. Taka sama liczba

dzieci z wysokich rodów *tunikob* - czyli ofiarników lub kapłanów ofiarnych, a dosłownie: karmicieli - Gwiezdnego Grzechotnika została wysłana na południe od Tamoan, do miast Majów. Jak podejrzewałem, był to mniej więcej układ gości-zakładników, ale wydawało się, że przypominał też wymiany studenckie. Tyle że większość uczniów u Majów nie mogła tak po prostu zebrać manatków i wrócić do domu - musiała zostać w Tamoan przez kilka lat. Koh stała się jedną z czterdziestu Strażników Dnia w Stowarzyszeniu Gwiezdnego Grzechotnika. Tymczasem jej rodzinna osada została zdobyta przez Tikalob, a bliscy trafili do niewoli. 21c nie wiedział, czy zostali zabici, czy też nadal żyli.

- W Kodeksie było napisane, że pani Koh jest w Ix - zauważyłem.

2 Inkrustowana Czaszka zaprzeczył. Czytał Kodeks z moich wspomnień i na ile dobrze pamięta - a pamięta - było tam napisane, że Koh POCHODZI z Ix.

Niech to szlag trafi, pomyślałem. Jak się nad tym zastanowić, to glif rzeczywiście był dość niejasny. Świetnie, jeszcze jeden błąd do kolekcji szeregu porażek. Michael Weiner po prostu założył, że pani Koh będzie gdzieś w okolicy. Kretyn.

-Co z Grą opisaną w Kodeksie? - zapytałem.

-Mam kopię opisu tej Gry - przyznał 21c. - Chociaż Koh grała dla Ocelotów.

No, pięknie. Zdaje się, że to pieprzony bestseller. Chociaż był w tym jakiś sens. Z mojej perspektywy może i wyglądało to na wielki i ważny sekret, bo przecież kiedyś w przyszłości będę spacerował po ruinach Orlando, a księga Majów zostanie znaleziona w jakimś zapadłym, zakurzonym zakamarku. Ale tutaj czemu miałyby być tajemnicą? Raczej po prostu książką w rodzaju „Zagłada Orlando dla opornych”, „Biblia dobrej nowiny” czy nawet „Matrix: nowelizacja”.

Zapytałem, gdzie rozegrano partię. 2 Inkrustowana Czaszka odparł, że w Tamoan, jako dar dla krewnych na południowym-wschodzie.

- Ty nade mną, czy Tamoan to nazwa Teotihuacan?

- Tej drugiej nazwy nie znam.

Wyjaśniłem, że chodzi o duże miasto z trzema wielkimi *mulob* i setką mniejszych. I że znajduje się na zachodzie północnego zachodu, o trzydzieści pięć *kinob*, czyli *jornadas*, dni podróży stąd, jeżeli przyjąć, że dziennie wędrowiec posuwałby się w tempie około trzydziestu mil.

2 Inkrustowana Czaszka cmoknął głośno. Tak jest.

Ach...!

Teotihuacan to nazwa aztecka. Ale Aztekowie, którzy po raz pierwszy dotarli do miasta w czternastym wieku, ujrzeli tylko ogromne ruiny. Ani oni, ani nikt inny nie znał prawdziwej nazwy tego miejsca. Twierdzili za to, że to miejsce narodzin Czwartego Słońca i Trzeciego Księżyca. Moim zdaniem mogło to być największe ówczesne miasto na zachodniej półkuli, liczące sobie przynajmniej sto tysięcy mieszkańców, a zatem dorównujące Londynowi z 1750 roku.

2 Inkrustowana Czaszka powiedział, że Teotihuacan - możemy używać tej nazwy dla wygody - znajduje się zaledwie o *jornada* od miejsca, gdzie zaczął się czas. Ten dzień to 4 Pan, 8 Ciemność, 0.0.0.0.0., czyli 13 sierpnia 3113 przed naszą erą. W tym właśnie momencie prajcowie-pramatki, Jadeitowa Wiedźma i Huragan, wybudowali miasto Tola, z przepięknymi wodospadami, wieżami z czerwonego koralu oraz placami wyłożonymi ametystem i jadeitem. Pierwsi cieleśni ludzie mieszkali tam do dnia 4 Pan, 18 Las, 7.0.0.1.0., czyli do 25 czerwca 353 przed naszą erą. Wtedy to Psoтник i Pożeracz Słońca zniszczyli miasto przy pomocy cyklonu rozżarzonych ostrzy. Ci, którzy ocaleli, ukryli się w jaskini, a potem poszli za sępem nad ukryty w dolinie strumień około trzydzieści mil na wschód. Po dwudziestu bezsłonecznych dobach, w dzień 11 Pan, 18 Ukrycie, zaczęli budować nowe siedlisko - Teotihuacan. Ocalali przysięgli, że w nowym mieście nikt nie uczyni niczego, co mogłoby zdenerwować Psoтника czy innego boga. Do władzy nie dojdzie żaden *ahau*-, ponieważ rządzić będzie rada patriarchów z dwóch ugrupowań, a każdy mieszkaniec przynależać będzie do jednej z dwóch społeczności - strony czerwonej, która zajmować się będzie aktami wojny, lub białej, dzierżącej pokój. Żaden

ze starszych nie będzie mógł się wywyższyć, ponieważ nie wolno mu używać imienia ani w mowie, ani w piśmie. W rzeczy samej sztuka pisania nie cieszyła się estymą. O świecie i w południe każdy mieszkaniec będzie musiał stanąć pod gołym niebem i ofiarować dym patronom świata. Nie będzie żadnych wyjątków lub odstępstw od tego zwyczaju - ani z powodu wojny, ani pogody, choroby czy innych okoliczności. I przez tysiąc i siedem lat rzeczywiście nie było.

Imperium Teotihuacan rozrastało się coraz bardziej. Powstała pierwsza na półkuli zachodniej regularna armia (a przynajmniej jej odpowiednik) z wymusztrowaną piechotą, która maszerowała w formacjach i miotała salwy strzał przy pomocy *atlalti*, miotaczy oszczepów. Wodzowie z Teotihuacan podbili inne miasta Majów, jak Tikal czy Kaminaljuyu, po czym założyli tam swoje dynastie. Setki miast i tysiące osad wysyłały co roku ustaloną daninę. Teotihuacan kontrolowało handel obsydianem z pobliskich kopalni, dlatego w niektórych dialektach nazywano je *K'Kaalom K'sic*, Imperium Ostrzy. Ale miasto eksportowało również hematyt, sól kamienną, niewolników z północnych krain i setki innych rzeczy. I miało monopol na pył Starego Solnika oraz Starego Sternika.

Jednak przez ostatnie dwa stulecia imperium słabło i zaczynało się rozpadać. Każdego roku pojawiała się coraz więcej przeciwników - których, jak mi się zdaje, można nazwać barbarzyńcami - na granicach. Pomimo sił piechoty niektóre posterunki na granicach napadano niemal codziennie. A co gorsza, podbite miasta w granicach imperium przestawały płacić trybut, ignorowały tych, którzy powinni go zbierać, i starały się wyrwać spod władzy syndykatu. Na przykład imperium miało nadzorować handel solą, ale ostatnio Ix oraz inni zaczęli kupować sól bezpośrednio od mieszkańców osad nadmorskich. Także samo miasto Teotihuacan miało problemy, które w dwudziestym pierwszym wieku można by określić jako urbanistyczne: przepełnienie, rozprzestrzeniająca się gruźlica, spowolnienie gospodarki i niechęć rolników, a ostatnio coś, co w naszych czasach nazywano problemami religijnymi, natomiast 2 Inkrustowana Czaszka - krzykiem i kamieniami sypiącymi się na ród Gwiazdznego Grzechotnika.

To nie potrwa długo. Według archeologów główny okres upadku wielkich miast Majów przypada na lata 650-700 naszej ery. Lecz nawet z technologią pozwalającą badać DNA w pyłkach kwiatowych, radioizotopami i różnymi innymi wynalazkami służącymi do datowania nie udało się ustalić tego bardziej precyzyjnie.

Co nie znaczy, że miasto zniknęło w mrokach niepamięci. Około roku tysięcznego naszej ery Toltekowie staną się dominującą cywilizacją na wyżynach Meksyku i chociaż nie wiadomo, czy byli spokrewnieni z mieszkańcami Teotihuacan, zapewne można powiedzieć, że czerpali z ich osiągnięć. A trzysta lat później tak zwani Aztekowie przejmą to, co pozostało po kulturze Tolteków i zmienią w imperium, które w roku 1518 dorównywało będzie obecnemu Teotihuacan.

W każdym razie imperium Teotihuacan jeszcze nie upadło i tylko to się teraz liczyło. Głównie dlatego, jak stwierdził 2 Inkrustowana Czaszka, że dwa *popolob* Teotihuacan - tu chyba należy przełożyć *popolob* jako synody, ponieważ były to rady nie tylko świeckie, ale i religijne - mogły odciąć zaopatrzenie w pył Starego Solnika i Sternika każdemu, kto przestanie udzielać imperium wsparcia. Sieć Strażników Dnia, która przypominała nieco luźno powiązaną międzynarodową gildię, potrzebowała stałych dostaw narkotyków. Prawdopodobnie ostatnio dostawy zostały wstrzymane dlatego, że synod chciał wywołać wojny pomiędzy miastami Majów, by je osłabić, zauważył 2 Inkrustowana Czaszka. A przecież Gra była jednym z głównych środków utrzymania pokoju. Przecież dzięki niej władcy mogli przewidzieć, co się stanie, gdy ogarnie ich paranoja, i jakie konsekwencje przyniesie rozwiązanie różnych sytuacji.

- I oczywiście - mówił dalej 21c - Strażnicy z Teotihuacan mają zawsze dostęp do pyłu, zwłaszcza w sezonie pokoju, dlatego mogą od tak dawna skutecznie strzec miasta. Mogą przewidzieć zbliżające się zagrożenia, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Ale dłużej się nie uda.

2 Inkrustowana Czaszka przerwał. A kiedy przerywał, to naprawdę przerywał. Nie miał na sobie wiele, więc można było dostrzec wyraźnie, że przestał nawet oddychać.

W milczeniu zaciągnąłem się głęboko cygarem. Cholera, mocne. Fuj. Cóż, wyrzuci mnie na nice i wytrzęsie jak stary pociąg. Nie szkodzi.

- Ja poniżej ciebie mam pytanie - przerwałem ciszę. - Czy to prawda, że ostatnie słońce Teotihuacan nie zostało jeszcze nazwane?

2 Inkrustowana Czaszka odpowiedział, że o ile wie, to nie.

- Ale w twoim robaku dostrzegam wspomnienia, że miasto nie przetrwa przez następne dwa *k'atunob*.

Cmoknąłem.

- Jeśli upadnie imperium, Klan Ocelota także ucierpi - przyznał 2ic. - Ale dla nas i tak będzie za późno.

Co ty nie powiesz? - pomyślałem. Miałem zaledwie siedem miesięcy, zanim mój mózg zmieni się w budyń.

Nastąpiła kolejna irytująca pauza. Nogi zaczęły mi drętwieć pomimo lat praktyki. Może powinienem poprosić o jeszcze jakąś używkę.

- Ty nade mną, dlaczego ród Gwiazdowego Grzechotnika jest ka mienowany w Teotihuacan?

2 Inkrustowana Czaszka przyznał, że dokładnie nie wie. Ale problem narasta od dawna. Gwiazdny Grzechotnik był największy w swojej klasie istot, które nie tylko nie były ludźmi, lecz także nie były spokrewnione z żadnym przodkiem. Zapewne można by go nazwać bogiem, ale to niezupełnie dobrze oddawało znaczenie. Przodkowie byli bogami, dlatego mieli znaczenie dla żyjących. W rzeczy samej, jak ktoś kiedyś powiedział, we wszystkim mieszka mnóstwo małych bogów. Może lepszym określeniem na Grzechotnika i na Ziemska Ropuchę oraz czwórka Chaków, oraz gromadę pomniejszych stworów jak góry czy jeziora byłoby: moce żywiołów. We wszystkich miastach każdy miał kapliczkę i kapłanów-ofiarników, czyli karmicieli, a także wyznawców. Ale teraz, czyli w 664 roku naszej ery, kult Grzechotnika rozprzestrzenił się najszybciej.

I jak wiadomo, rozwijał się szybko. Później von Humboldt nazwał Grzechotnika smokiem Majów; Morley - pierzastym wężem;

a Salman Rushdie ptakowężem. W yucatec Grzechotnika nazwano Kukulkanem, ale najbardziej rozstawił się pod imieniem z języka na-hauatl: Quetzalcoatl - tak bardzo, że nawet znalazł się jako postać w grze „Warcraft”. A ponieważ ciało Grzechotnika było Drogą Mleczną, ofiary dla niego nie łączyły się z żadnym konkretnym rodem lub kolorem. Teoretycznie obejmowały wszystkie kolory i rody. Zatem w tym kulcie obowiązywał swoisty internacjonalizm, który nosił w sobie zarzewie buntu. Ale nadal miał wsparcie królewskich rodów. W Ix, i jak przypuszczam innych miastach Majów, każdy należał do kilku stowarzyszeń świątynnych poza tymi, które opiekowały się przodkami danej osoby. Na pewno większość iksyjskich wysokich rodów składała ofiary Grzechotnikowi. *Mul* Gwiezdnego Grzechotnika w Ix był niewielki i stary, ale dobrze utrzymany i bogaty.

Ale w Teotihuacan Grzechotnik cieszył się wyjątkową czcią. I to wzbudzało niechęć w wyznawcach innych, starszych kultów. Zapewne - a wieści opóźniały się zwykle o około dwadzieścia dni - dzieci Grzechotnika przyciągały codziennie coraz więcej ofiarników, czyli wyznawców. Dwa synody w Teotihuacan, które posiadały dwie ogromne piramidy - później przez Azteków nazwane Piramidą Słońca i Piramidą Księżycy - nadal przyciągały wyznawców, ale też z coraz większym trudem, co przyczyniło się do zamieszek. Po tych wydarzeniach czterdzieści Strażniczek z Grzechotników praktycznie stało się zakładnikami politycznymi pozostającymi w areszcie domowym i niemogącymi opuszczać budynków na południowym krańcu miasta.

Ach, tak...

- Czy pani Koh jest lojalna wobec Ocelotów? - zapytałem.

Nastąpiła kolejna pauza. Ciągnęła się i ciągnęła, jak roztopiony ser na gorącej pizzy. Nagle 2 Inkrustowana Czaszka parsknęła śmiechem. Po raz pierwszy widziałem, jak się śmieje, i był to czarujący chichot Świętego Mikołaja, który sprawił, że sam również wybuchnąłem śmiechem.

- Jest blisko spokrewniona z Ocelotami - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka. - Jednak to właśnie Klan Ocelota odesłał ją do Teotihuacan, choć tego nie chciała.

Ha! Może tęskni do tropików? Większość ludzi z tropików, którzy nie mieszkają już w tropikach, tęskni do tropików.

Taa... Może należało spróbować podejścia nie wprost i zajść Oceloty z innej strony.

Dobra. Trzeba się tym zająć. On myśli, że naprawdę mogę coś zrobić, coś istotnego, co pozwoli nam zmienić los. Inaczej przecież nie pozwoliłby mi żyć, czyż nie? Zresztą 2 Inkrustowana Czaszka nie może opuścić miasta. Ale ja - tak.

Zasugerowałem *ahau* Klanu Orła, że może ja poniżej niego powinienem odwiedzić Teotihuacan.

Na dziewiątą orchideę, czyli pierwszą nocną wartę, zaraz po zachodzie słońca, 2 Inkrustowana Czaszka przedstawił mnie Orłowi, 11 Żmii Stowarzyszenia Karawan. Była to nowa organizacja, a raczej nowe bractwo, lub nawet korporacja, którą powołano tylko po to, by mieć pretekst do nieplanowanej wyprawy handlowej, a tak naprawdę, by przerzucić mnie dyskretnie do Teotihuacan.

Usiedliśmy na macie z piór na wypalonym szczycie niskiego stożkowatego wzgórza między dwoma wyższymi wzniesieniami na równinie. Nadal znajdowaliśmy się dość blisko Kakaowego Miasta, które można by nazwać główną osadą 2 Inkrustowanej Czaszki. W powietrzu unosił się aromat czekolady. Siedziałem z twarzą zwróconą na południowy wschód wraz z dziewiętnastoma krewniakami, członkami bractwa. Zazwyczaj podróżowało się *katob* - dwudziestkami. Druga dwudziestka przysiadła naprzeciw nas w nierównym półkołu. Ramiona i nogi mieli skrzyżowane. O wiele później Siuksowie Oglala na pokazach Buffalo Billa pod tytułem „Świat Dzikiego Zachodu” będą siedzieć w podobnej pozycji i stąd zrodzi się przekonanie, że jest to sposób charakterystyczny dla północnoamerykańskich Indian. Ale Majowie nie siedzieli. W ich wykonaniu była w tym skondensowana gotowość, jak w ściśniętej sprężynie. 2 Inkrustowana Czaszka, *Bacab* Wschodu, Ojciec-matka Klanu Orła, oprawca niezdary Jeda DeLandy i w ogóle Wielki Boss, siedział obok, po mojej prawicy, męskiej stronie. 3 Nie-

bieski Ślimak, karzeł-kantor, podszedł do niego niepewnie i poprawił zawiniątko mat ofiarnych. Przemówił dzieciнным dyszkantem:

Słuchajcie, wszyscy z nas poniżej niego:
Tego, który wyrzeźbił nas,
Naszego Ojca-matki,
Który ukształtował nas,
Wygładził nas,
2 Inkrustowana Czaszka
Niech przemówi do nas.
Słuchamy go my
Poniżej niego,
Czekamy, klęcząc,
Wytężamy słuch.

2 Inkrustowana Czaszka odpowiedział:

-Ja sam zwracam się do was wielu przy mnie. I
każdy oprócz mnie odrzekł:

-My poniżej ciebie odpowiemy tobie ponad nami.

- Przyjmiecie dar? Udźwigniecie brzemię to? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka. Nie podniósł głosu, ale zdawało się, że słyhać go lepiej niż innych, gdy słowa odbiły się echem od dalekich, niewidocznych zboczy. Wiedziałem, że 21c cieszy się sławą oratora, ale do teraz nie rozumiałem dlaczego.

Nastąpiła pauza, podczas której krewniacy mogli mi się dobrze przyjrzeć. Ja również się im przyglądałem. Formy kontaktu wzrokowego tutaj stanowiły sztukę walki - jeżeli się ośmielało, należało też być gotowym do starcia. Krewniacy odpowiedzieli spojrzeniem. Hun Xoc i jego młodszy brat, 2 Ręka, siedzieli razem po prawej stronie szeregu. Podczas gry w piłkę byli skrzydłowymi Szakala, a w czasie polowania na jelenia to oni chronili moje plecy. Tylko cztery osoby wiedziały z grubsza, co się stało i dlaczego w ciele Szakala znajduje się teraz ktoś inny - Hun Xoc i 2 Ręka należeli do tej grupy. Inni

krewniacy widywali Szakala podczas gier, ale nigdy z bliska, więc jak dotąd żaden nic nie podejrzewał. Starszy gość siedzący po lewej od braci nosił imię 18 Śmiercionośny Deszcz. Pełnił w karawanie funkcję zarządcy ciężarów, czyli mniej więcej głównego kierownika finansowego. Pызaty, gładkoscóry, sprawiał wrażenie dobrodusznego. Po prawej miał upamiętniacza, ale nie tego samego, który towarzyszył 2 Inkrustowanej Czaszce w jaskini. Niski i szczupły, z wypukłymi oczyma, w małym stroju. A na końcu po lewej stronie prężył się mu skularny osobnik z zapadłymi oczami i wysuszoną przez słońce skórą - 12 Kajman. Był bratem męża kuzynki 2 Inkrustowanej Czaszki i przysługiwał mu tytuł zarządcy długich pakunków, co praktycznie oznaczało mistrza walki, pomniejszego wodza. Był też *nojuchi*, czyli kapitanem eskorty. Miał nieładne spróchniałe zęby i grudki na ramionach - okruchy krzemienia wbite w ciało. Tatuaż na jego bokach upamiętniał wysokiej rangi brata, który zginął podczas napadu na Motul. Krążyły plotki, że ten mężczyzna potrafił widzieć nawet w całkowitej ciemności, ponieważ miał dziadka borsuka. 12 Kajman był także najstarszy spośród zgromadzonych.

Dalej, po prawej, siedział pomniejszy krewniak w kolorach oblata. Nazywał się Hun Aat albo po prostu Aat (czyli Penis) i był akolitą 3 Niebieskiego Ślimaka. Był też czwartą osobą, która o mnie wiedziała. Aat został naszym mistrzem rytuałów i oficjalnym Strażnikiem Słów

ca. Ciekawe, jak dobrze zna się na Grze? Zapewnie gorzej niż 7 Kolec. Boże, ale banda frajerów. No dobra, kto jeszcze...

Szlag, ta chwila ciszy chyba się przeciąga? Ci tutaj pewnie zaraz wstaną i zaczną mnie dźgać paluchami, żeby doszukać się skaz i nedoróbek, po czym mnie odrzucić. Wszystko to tylko dym w oczy. Kurwa, kurwa, kurwa mać i...

Nagle krewni wyciągnęli prawe ręce i przyłożyli je do lewego ramienia w powolnym, majestatycznym salucie, po czym odezwali się niemal równym chórem:

My poniżej ciebie
Nie zasługujemy na dar ten,

Ale będziemy czcić to,
Otoczymy troską go.

Jej, pomyślałem, cieszę się, że to już ustalone. 2 Inkrustowana Czaszka rzekł do mnie:

A zatem oto są, Twój starsi
bracia, Twój młodsi bracia.
Podążaj w ślad ich, służ im,
Słabości nie okazuj, Nie
przynieś wstydu mnie.

Odpowiedziałem od razu:

Ja poniżej ciebie
Podolałem próbom ich.

- Zostałeś przyjęty. Skończone - ogłosił 2 Inkrustowana Czaszka.

Wstałem i obróciłem się o trzysta sześćdziesiąt stopni w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, ofiarując się każdej z pięciu stron świata, po czym przykucnąłem z dłońmi na czole, poddając się rodowi. Zarządca długich pakunków podszedł pierwszy i podarował mi dmuchawkę. Dzięki, dokładnie mój rozmiar. Potem dostałem świeży, pachnący miętą podróżny *wikal*, czyli średniej długości narzutę z bawełny. Wszyscy tutaj takie noszą, gdy się robi chłodno. Określenie poncho nie bardzo pasuje do tego ubioru, ponieważ poncho jest okrągłe lub ośmiokątne i z przodu rozcięte na całej długości, peleryna z kolei kojarzy się z szytym strojem, często z kapturem. Dlatego narzutę Majów będę nazywał mantą - ze względu na kształt. Moja miała czarno-czerwone obramowanie z doszytymi szponami - jak u reszty krewniaków Orła. Rdzeń powstał pewnie z jakiejś odmiany bambusa, poza tym wpleciono paskami jeleniej skóry moje imię

i symbole genealogiczne. Główny krajczy zarządców nie spał przez dwie doby, by wykonać strój na czas. Po mancie pozostali członkowie klanu zaczęli podchodzić i wręczać mi kolejne podarunki: parę misternie plecionych nagumowanych sandałów, szpulkowe ozdoby do uszu, zwój skórzanych linek i rzemieni, czarną opaskę na prawy nadgarstek, sznur dwudziestu zatrutych strzałek do dmuchawki z czubkami okrytymi zawiązkami szyszek dla bezpieczeństwa, maskę podróżną, słoik trucizny przenikającej przez skórę, słoik trucizny do spożycia, sakiewkę na moje nieświęte przedmioty, sakiewkę na rzeczy święte, prosty pled - praktycznie wszystko poza gwiazdką z Gwiezdnego Łona. Na koniec 21c podarował mi włócznię z okuciem i orlimi piórami, co znaczyło, że nie jestem byle wojownikiem z dmuchawką, lecz należę do osobistej gwardii 2 Inkrustowanej Czaszki.

Para tragarzy wstąpiła do kręgu, uniosła 2 Inkrustowaną Czaszkę na ramionach, obróciła się z nim na cztery strony świata, a potem zeszała po zboczach na wschód. Gdy tylko znikli nam z oczu, mogliśmy ruszać. Krewni podnieśli się i ustawili. Podszedł mój akolita, ukląkł i zwinął się w kłębek u moich stóp w oznace czołobitności. Widziałem go po raz pierwszy, ale wiedziałem, że tymczasowo, zanim nie zostanie krewniakiem, nosi imię Łajno Pancernika. Chłopak miał trzynaście lat. W zasadzie może powinienem nazywać go giermkim, nie akolitą, ale to by sugerowało, że sam stałem się rycerzem lub samurajem, a przecież tak nie było. Jeszcze nie. Zatem może wystarczy określenie „osobisty asystent”, ale to z kolei nie wskazywało, jak bardzo podobny jest do ministranta. Cóż, pewnie wstydę się użyć określenia, jakiego używano na wszystkich akolitów. Chyba jednak powinienem. Akolitów nazywano *aanatob* - fellatorami. Dlaczego? Kiedy jest się na wyprawie czy polowaniu, nie uprawia się z nikim seksu, ponieważ osłabiłoby to męskość czy coś podobnego, a - co gorsza - charakterystyczny zapach mógłby zwabić wrogię *uay* i -co najgorsze - wróg mógłby odnaleźć w ten sposób pozostawione w obcych ciałach nasienie i użyć go do rzucenia krost na tego, do kogo nasienie należało. Jednak na polowania lub wyprawy handlowe, które pod względem rytualnym niewiele różniły się od polowań,

wyruszeni zwykle krewniacy w wieku od czternastu do dwudziestu lat. Trudno sobie więc wyobrazić, by udało się w takiej grupie utrzymać wymuszony celibat. Dlatego właśnie podwładni musieli się zatroszczyć o przyziemne potrzeby i apetyty krewniaków. W ten sposób wszystko dosłownie zostawało w rodzinie. Oto jeden z sekretów Łoży Wojowników.

Uch. Dobrze, że nie muszę się tym martwić.

W każdym razie Łajno Pancernika spakował mój nowy dobytek -wszystko włącznie ze szpulkami do uszu. 12 Kajman zasygnalizował, że pora ruszać. Krewni zasalutowali w stronę osad swoich przodków, a ja poszedłem w ich ślady. Czulem przy tym tremę, jak w pierwszym dniu liceum. Za krewniakami przekroczyłem prowizoryczną, rytualną bramę.

Bez zbędnych dyskusji członkowie wyprawy zeszli ze wzgórza łagodnie opadającym na wschód stokiem. Grupa niekrewnych - można ich nazwać personelem pomocniczym - czekała spakowana i gotowa na świeżo zroszonej ścieżce w następującym porządku:

- sześciu biegaczy lub też zwiadowców na przedzie,
- czterech wypatrywaczy węży, którzy nieśli duże grabie, tykwy do zraszania i grzechotki,
- dwóch oficjalnych posłańców, heroldów nawet, z długimi drewnianymi fletami na ramionach,
- czterech biegaczy-zwiadowców na flankach,
- dziesięciu tragarzy ofiarnych z pustymi wiklinowymi nosidłami, przypominającymi hipisowskie nosidełka dla dzieci, na plecach,
- dziewięciu bagażowych zajmujących się trzema parami wielkich włóków,

- pięciu zwykłych tragarzy, każdy z dużym walcowatym koszem na plecach przytrzymywanym dzięki opasce na czole - w koszach znajdował się ekwipunek awaryjny, na wypadek utraty włóków,
- dwóch braci z obcego małego klanu, którzy mówili niezrozumiałym językiem i których dziedzicznym zajęciem było niesienie, zdobywanie, oczyszczanie i rozdawanie wody pitnej,
- przeżuwacz, czyli ktoś pomiędzy degustatorem a kucharzem i aptekarzem,
- dwóch treserów, każdy mający pod opieką piętnaście dobrze odkarmionych psów i dziesięć psów myśliwskich/strażniczych,
- czterech ludzi z bardzo niskiej kasty, których chyba powinienem nazywać odpędzaczami owadów, ponieważ ich zajęcie polegało właśnie na odpędzaniu insektów,
- krawiec lub lokaj albo garderobiany,
- sandalnik, czyli wytwórca sandałów,
- zarządca masek, który zajmował się nie tylko maskami, ale wszystkimi rytualnymi regaliami,
- dwóch płatnerzy, czy raczej wytwórców włóczni, na usługach 12 Kajmana,
- człowiek do rozpalania ognia z krzemieniami i wiertłami do rozżegania oraz koszem gorących węgli,
- osobny sandalnik dla niekrewnych,

- osobny kucharz dla niekrewnych,

-czterech ludzi, których można by nazwać „nietykalnymi”. Dwaj zbieracze odpadów mieli dwadzieścia psów, których jedynym zadaniem było zjadanie naszych ekskrementów, żeby wrogowie nie mogli ich zdobyć i użyć do rzucenia klątw. Pozostali dwaj należeli do *nacamob*, ofiarników, i stali w oddaleniu od reszty grupy, jak para kruków czekająca, aż stado sępów opuści padlinę. *Nacamob* mogli dokonać zabójstwa, jeżeli zajdzie konieczność, a także zająć się trupami. Czwórka nietykalnych - i ich tragarze, jeżeli jakichś mieli - pójdzie za resztą grupy, zachowując odległość czterdziestu kroków i trzymając się nieco z boku, by nie zanieczyścić naszej ścieżki.

-dziewięciu zwiadowców z tyłu. Czterech specjalizowało się w podchodach, pozostałych natomiast określano jako czterosłonecznych kurierów, czyli wyszkolonych zwiadowców-biegaczy, których prawdziwym zadaniem było przyniesienie narkotyków do Gry i informacji z Teotihuacan do 2 Inkrustowanej Czaszki. Podobno potrafili biec przez cztery doby - i podobno dwóch niosło na plecach trzeciego, by mógł się przespać, ale to chyba tylko bajki.

-czterech strażników do ochrony idących na samym końcu. Trzech wkrótce zniknie i będzie obserwować, czy wyprawy nikt nie śledzi. Ostatni natomiast będzie szedł na szarym końcu i pilnował, czy nikt niczego nie upuścił, nawet piórka czy koralika. Będzie też rozsypywał na naszych śladach chili, by rytualnie zatrzeć trop i częściowo usunąć zapach.

Jak widać, wyprawa liczyła sto dwadzieścia głów, nie licząc psów. A jeszcze dochodziło po pięciu niżej urodzonych służących na każdego krewniaka. Nie można powiedzieć, że krewniacy należeli do

wojowników pierwszej klasy, jednak 2 Inkrustowana Czaszka chciał, by było ich dość do powstrzymania potencjalnego ataku na tyle długo, bym zdążył uciec, lecz nie tak wielu, by wzbudzali obawy, że to armia.

Nagle wszyscy się zatrzymali. Szeregi zamarły.

18 Śmiercionośny Deszcz dał sygnał. Dziewiętnastu krewniaków i ja - a może raczej z dumą powinienem powiedzieć: my, dwudziestu krewniaków Orła - zajęliśmy pozycje w środku grupy z 12 Kajmanem na czele i krewnym najniższej rangi za nami. Sam należałem do krewniaków niższej rangi, ale złamałem protokół i podróżowałem w środku grupy. Przede mną szedł Hun Xoc, a za mną 2 Ręka. Naszych dwudziestu jeden akolitów uformowało rząd za krewniakami.

De todos modos, pomyślałem. Wypalmy jointa i trzymajmy się planu. Przed nami złoty szlak do Tamoan.

12 Kajman dał znak pierwszemu ze zwiadowców. Ten pobiegł naprzód. Bezszelestnie i równo nasz pochód ruszył jak kolejka magnetyczna, której również nie towarzyszy nawet syk pary. Psy truchtały obok, żaden nie zaskomlał. Nawet roczniaki nie ośmieliły się szczekać, chyba że im wydano rozkaz lub gdy były na warcie. Z paroma zaledwie trzaskami rzemieni i skrzypnięciami jednego czy dwóch z dwustu czterdziestu natłuszczonych sandałów skierowaliśmy się na północny wschód ku uprawnej dolinie. Właściwie nie był to marsz, lecz bardziej trucht. Moglibyśmy nawet posuwać się szybciej, ale chcieliśmy wyglądać normalnie. Hop, pomyślałem. Hop. Bez problemu. Hop.

Męską stroną traktu płynął niemal wyschnięty strumyk, a co czterdzieści ramion musieliśmy przechodzić nad rowem irygacyjnym, rozgałęziającym się na kolejne wypalone *milpa*, prostokąty spieczonej ziemi wołającej o deszcz. Dalej znajdowały się ugory z wcześniejszych sezonów i kolejne wypalone pola, niekiedy z rusztowaniem pod spichlerz, który właśnie wznoszono. Niektóre z pól nadal dymiły, ale drzewa na skraju sadów morwowych rosnących pomiędzy *milpa* nadal miały liście i nic nie wskazywało, że ogień wyrwał się spod kontroli. Jak słyszałem, w każdej z osad Orłów wypalanie skończyło się

bez większych wypadków. To był bardzo dobry omen - świadczył, że pomimo kłopotów 2 Inkrustowana Czaszka nadal pewnie sprawuje rządy.

Chyba zaczęliśmy opuszczać tereny miasta. Poczulem się wspólnie. Może wszystko zaczęło się układać jak należy. Mieliśmy już plan, a przynajmniej szkic planu. Kiedy tylko dotrę do Teotihuacan, uzyskam jakoś audiencję u pani Koh. Obaj z 2 Inkrustowaną Czaszką zgodnie uznaliśmy, że nie powiem jej, kim jestem naprawdę, ani słowa o Jedzie, w co zresztą władczyni nie uwierzyłaby, ani też o Szakalu, o ile się uda. Miałem wymyślić coś ogólnego i skrótowego, co przyciągnie jej uwagę. A potem przekonać ją, że mam najwyższej wagi informacje o nieuchronnym końcu Teotihuacan, i skłonić panią Koh do opuszczenia miasta w tajemnicy. Jak to się mówi w siłach prawa i porządku oraz organizacjach szpiegowskich, miałem ją przekabacić. A kiedy ujawni mi składniki narkotyków do Gry i jak tylko poznam recepturę ich wytwarzania, wyślę wszystko do 21c przez pięciu speckurierów. W zamian za to 2 Inkrustowana Czaszka zakupie zapieczętowaną kamienną skrzynię z próbkami tych substancji oraz moimi notatkami o Grze. Skrzynia znajdować się będzie na przecięciu ramion krzyża z namagnesowanego żelaza, więc Marena i spółka łatwo ją znajdą. I od tej chwili będę mógł uznać swoją misję za wykonaną. Dane dotrważą do 2012 roku, a grupa badawcza Taro ulepszy Grę i dokładnie przeanalizuje koniec świata, znajdzie tego, który rozpętał apokalipsę, po czym przywróci Ziemię do normy i wszyscy odjadą triumfalnie w stronę zachodzącego słońca.

Wszyscy oprócz mnie, niestety. Ja nadal będę tutaj. Jednak właśnie dlatego powstała faza numer dwa. Kiedy wrócę do 1x, 2 Inkrustowana Czaszka będzie już korzystał z danych o narkotykach do Gry jako elementu przetargowego. Jeżeli przejmie kontrolę nad zaopatrzeniem w Starego Solnika i Sternika, wszyscy dziewięcioczaszkowi Strażnicy Dnia na świecie będą musieli przyjść do niego. A na dodatek, jak sam powiedział, jeżeli wytworzy silniejsze dawki tych środków, 7 Kolec będzie w stanie się zmierzyć z 11 Wirem, Strażnikiem Dnia Ocelotów. Nie sądziłem, by 7 Kolec był aż tak utalentowany. Ale może 2 Inkrustowana

stawianej Czaszce chodziło o to, że NAWET 7 Kolec będzie w stanie... i tak dalej. W każdym razie, jeżeli 2 Inkrustowanej Czaszce uda się zdobyć pozycję *kalomte*, a przynajmniej zniwelować zagrożenie ze strony Klanu Ocelota, a mnie się uda wrócić na czas, postąpimy tak samo, tyle że kamienna skrzynia będzie większa, by pomieściła też moje ciało.

Oczywiście nie miałem jasności, dlaczego 2 Inkrustowana Czaszka myślał, że będę w stanie tego wszystkiego dokonać. Choć może poza Ix moich działań nie będzie nic ograniczać i wykorzystam w pełni swoją INNOŚĆ. Przypuszczalnie 21c wywnioskował, że skoro dotarłem w tak odległą przeszłość i nawet dostałem się do jego głowy, to warto dać mi szansę. Przecież wiedział, że mam silną motywację. Zresztą, poza przekazaniem danych do roku 2012, nie miałem innych osobistych ambitnych celów. Na dodatek wiedziałem, że nie pożyję długo. I nie miałem dokąd pójść. Należałem do 2 Inkrustowanej Czaszki na dobre i na złe. Poza tym...

...co to było?

Odruchowo zerknąłem w prawo i w lewo, próbując dostrzec ruch. Ach, to tylko wiewiórki na drzewach. Wśród liści zafurkotał lelek. Trakt zmienił się w ścieżkę. Pochód opuścił już osady chłopów, ale nadal znajdował się w okolicach, które można zapewne nazwać terenami łowieckimi Klanu Orła. Szlak meandrował coraz bardziej, okrężał wielkie pnie. Nawet oczy Szakala z trudem mogły przebić się przez ciemności rozpraszane jedynie blaskiem gwiazd, ale stopy instynktownie znajdowały miejsca, gdzie stąpali idący przede mną. Gdyby nasze ślady zobaczył śledzący nas tropiciel, nie umiałby określić, ile osób tędy przeszło. A przynajmniej nie dałoby się tego odczytać z tropu. A ktokolwiek, kto właśnie przebywałby w dżungli - traper, przemytnik czy szpieg, czyli ktoś, kto nie miałby prawa znaleźć się na szlaku - nie usłyszałby nic podejrzanego. Hop. Hop. Wyczuwałem pod warstwami skórzanych podeszew źdźbła wiechlinowatej trawy, łądygi trzciny i gumę moich nowych, nierozchodzonych sandałów. Minęliśmy trzy małe osady, wszystkie pod zarządem Klanu Orła. W końcu Xoc zwolnił i odciągnął mnie na bok. Dwóch młodszych

krewniaków z pięciu o podobnej jak ja posturze i dla bezpieczeństwa -mojego bezpieczeństwa, żeby było jasne - ubranych jak ja, zrobiło to samo. Hun Xoc wyszeptał, że rany, które pozostały po usunięciu od-cisków, muszą się jeszcze goić. Zapewniłem, że wszystko w porządku, ale dotknął mego prawego kolana. Rana ropiała. Hun Xoc skinął na tragarzy. Czterech natychmiast wystąpiło z szeregu i uklękło. Nasza czwórka, czyli ja, moje sobowtóry i Hun Xoc, usiedliśmy na siodeł-kach, obejmując udami pas tragarza. Mój wstał, objął mi kolana ra-mionami, przycisnął mocniej do boków, po czym zajął moje miejsce w pochodzie i zrównał krok z resztą wędrowców.

Około osiemnaście mil od miejsca, skąd wyruszyliśmy, szlak skrę-cił na północ i powiódł nas ze wzgórz w dzikie zarośla, które tworzyły ciemny, liściasty tunel nad ścieżką. Z przodu niósł się ciszy szmer, po-chrapywanie Prawuja Żółtej Drogi, prowadzącego na północ, na pu-stynię, która eony lat temu była morzem, i na białą krawędź świata.

Weszliśmy w ciemną dolinę z rzeką emanującą ujemną energią. Pochód ścieśnił się i zwolnił. Byłem „jadeitowym ładunkiem”, czyli czymś co należało chronić, więc pięciu krewniaków skupiło się wokół mnie, ale między nimi mogłem dostrzec chaty wioślarzy na tle szarego pasa wody. Później ta rzeka zostanie nazwana Rio Sebol, obecnie mówiło się na nią Kanbe, czyli Żółta Droga. Znajdowała się bliżej niż trzydzieści ramion od nas. Woda pieniała się nieco wyżej niż zimą i wydawało się, że nie uda się płynąć z jej nurtem, ale przy brzegu zacumowano przynajmniej czterdzieści dziesięcioosobowych canoe. W mniej niż trzy minuty służący rozwiązyli ładunki, wypakowali je z włóków, owinęli w nagumowane płachty i pod kierunkiem przewoźników ułożyli w łódkach. Nie zapalono ani jednej pochodni, ale domyśliłem się, że ci ludzie nie potrzebowali światła do pracy - mogliby ją wykonać z zawiązanymi oczyma.

Tragarze opuścili włóki. A my zdjęliśmy sandały. 12 Kajman złożył ofiarę wielkiemu głazowi, w którym kryła się część *uay* rzeki. Przewoźnicy w tym czasie zabrali resztę wyprawy na canoe. Krewni mieli płynąć w ostatnich pięciu, nie licząc dwóch łodzi tylnej straży, które będą trzymać się w pewnej odległości od całej flotyli. W każdym canoe mieściło się ośmiu pasażerów, czterech krewnych i ich przybocznych siedzących między właścicielem, stojącym na dziobie z długą tyczką, i sternikiem na rufie. Mnie umieszczono w łodzi drugiej od końca, najbezpieczniejszej. Kiedy do niej wsiadłem, dno ugięło

się pode mną. Nie było z wydłubane z drewna, lecz raczej splecione z miękkich witek. Wyczułem zmianę, jak zawsze, gdy wkracza się do świata pływów, gdzie obowiązują inne niż na lądzie prawa fizyki. Canoe zostało odepchnięte od brzegu i porwał je nurt. Gwiazdy przesłoniły chmury i ogarnęła nas ta straszniejsza, miękka, jakby kłaczkowata ciemność. Ale przewoźnicy nadal nie zapalili pochodni na dziobach - prowadzili łodzie na wycucie i orientując się według sporadycznych błysków bioluminescencyjnych grzybów oraz świetlików i żuków. Między niewidocznymi drzewami mrugały od czasu do czasu oczy zwierząt - małp, kinkażu, sów, a nawet, jak mi się zdawało, jaguarów. Przepłynęliśmy przez obszar cichych chrzęstów, które - jak później się zorientowałem - były odgłosem gąsienic przeżuwiających liście, minęliśmy strefy chitynowych trzasków wydawanych przez skrzydła setek gatunków *Orthoptera*, czyli szarańczaków, zagłuszających inne dźwięki, oraz pasma rozbrzmiewające żabim rechotaniem, które przypominało warkot hordy starych traktorów z krztuszącymi się silnikami diesla - odgłos, który w moim, to znaczy Jeda, dzieciństwie zwiastował tę samą radosną nowinę co i teraz: NADCHODZI DESZCZ i który, jak się nad tym zastanowić...

No właśnie! Tego brakowało w tle dźwiękowym z roku 2012, gdy byłem tu z Mareną.

Ale przecież te wszystkie stworzenia nie mogły wyginąć, prawda?

Zapewne jednak mogły. Węglowodory aromatyczne złożone to przecież niezłe gówno.

Szlag.

Uszy Szakala wychwytywały nie tylko niedostępne mi wcześniej dźwięki, lecz również wyczuwały, że coś było nie w porządku. Może hałas był za duży. A może był niewłaściwy? A może to brak sów? Sowy są bardzo mądre, pomyślałem. Wiedziały, że środowisko zmieniło się pod wpływem wybuchu wulkanu.

Inni krewniacy też to wyczuwali, prawda? W ich ruchach pojawiła się sztywność, jakiej nie powinno tam być... Zatem nie tylko ja. I nie chodzi wyłącznie o godną postawę. Wszyscy się napięli. Aktywność

sejsmiczna sprawa, że żywe stworzenia robią się nerwowe. Wstrząsy ziemi - w obecnych czasach budziły największy strach.

Kiedy rzeka się rozszerzyła, minęły nas inne canoe. Niektóre miały na dziobach trzciniowe pochodnie. Przed świtem wmieszaliśmy się w typowy, handlowy ruch rzeczny. Narzuciliśmy sobie szybkie tempo i wyprzedziliśmy mnóstwo łodzi. Od czasu do czasu słyszałem, jak z drugiej łodzi na czele 12 Kajman krzyczy na rybaków, by zabrali swoje sieci ze środka nurtu. Tuż przed zachodem słońca Żółta Droga skręciła i dołączyła do Szarej Drogi, czyli późniejszej Rio San Diego, wiodącej do miasta nazywanego Wiecznie Hałaśliwym Miejsmem, później znanym jako ruiny Tres Islas. Podobnie jak ongiś Tyr to niewielkie miasto rozrosło się na małym półwyspie tak bardzo, że nowe budynki wyrastały już z wody przy brzegu. Wyobraziłem sobie, że w niewielkich *mulob* płonie wieczny ogień, który wraz z pochodniami przy przejściach nocami oświetla duży bezdrzewny plac targowy. W świetle dnia woda miała kolor i fakturę starego wysłużonego linoleum obramowanego wiecznie zieloną ścianą drzew owocowych *Pouteria sapota* z tutejszych sadów i na wpół wykończonych *halach yotlelob*, spichlerzy lub budek do suszenia ziarna. W drugiej trzynastej dnia wpłynęliśmy na wody szerszej i szybszej Ayn Be, Krokodylej Drogi, w przyszłości noszącej miano Rio Pasión. W oddali dostrzegłem miasto Chakha', Czerwona Woda (w przyszłości El Ceibal), wzgórze z pałacami i składami przyciśniętymi do zboczy jak kostki cukru, przez co nie dało się powiedzieć, która z budowli została postawiona, a która wykuta w skale. Miasto wkrótce zniknęło, gdy meandry rzeki zniosły nas na południe. Z oddali usłyszeliśmy bulgot spienionej kipieli, ale przewoźnicy już skierowali łodzie do brzegu i przycumowali przy kamiennej przystani, a tragarze wyładowali i unieśli canoe nad głowami, po czym potruchtali wydeptaną ścieżką.

Kiedy i ja znalazłem się na plecach jednego z tragarzy i zostałem poniesiony tą samą ścieżką, dostrzegłem stopnie wodospadu między chatami i płotami - dziwnie regularne katarakty nad gładkimi białym płytami wapienia. Hun Xoc wyjaśnił, że to schody ofiarne, które błotne dzieci zbudowały podczas trzeciego słońca. Przedostaliśmy

się przez wodospady na Drogę Białego Wyjca, która później otrzymała nazwę Rio Usumacinta.

Często mówiono, że Usumacinta jest dla Majów jak Nil dla Egipcjan. Ale Nil płynie dość prosto, przez płaską pustynię, i wylewa oraz cofa się mniej więcej regularnie. Usumacinta meandruje w górskich wąwozach, a potem rozszerza się i zwalnia wielkimi zakolami w dolinach. Ale dla społeczeństwa bez koła czy nawet koni lub łam był to najlepszy szlak transportowy.

Thusty purpurowy blask jutrzeńki wskazywał, że światło nie prześca się przez zwykłe chmury. W powietrzu unosił się popiół po wybuchu San Martin. A w drugą trzynastą dnia po naszej kobiecej stronie pojawiły się zabudowania Pa'Chan, Rozwartego Nieba, czyli Yaxchilán. Miasto leżało na półwyspie o stromych brzegach, z trzech stron zatem otaczała je woda, a połączenie z lądem zostało mocno ufortyfikowane. Fasady pałaców od strony wody zapchane były zdobieniami, by prezentować bogactwo tutejszych rodów. Pięciorzędowe szerokie schody dla pielgrzymów zygzakiem przecinały wzgórze, na którym wznosił się akropol z pięciu *mulob*. Doskonale zlokalizowane miasto, ponieważ przybysze mogli przyjrzeć się mu wystarczająco dobrze z daleka, ale nie dało się równie łatwo przeprowadzić ataku z wody. Brzegi opadały tu stromo, a gdyby nawet znalazło się dobre miejsce na lądowanie i ktokolwiek poważił się spróbować, wystarczyło podnieść sieci przed i za najeźdźcami, by ich odciąć.

Okrzyżyliśmy łagodnym łukiem wzgórze i podryfowaliśmy pod *halach be*, wielki wiszący most. Dwa ogromne prostopadłościennymi filary z podstawami o przekątnej około trzydziestu sześciu stóp i wysokości na sześćdziesiąt podtrzymywały kładkę o długości sześciuset i szerokości dwustu trzech stóp. W 664 roku był to najdłuższy wiszący most świata i nic równie wielkiego nie powstało aż do 1377, gdy w Pradze ukończono budowę Mostu Karola.

Przed mostem zobaczyłem rząd czterdziestu nagich jeńców zawieszonych na palach wzdłuż kamiennego wału. Wyglądali jak żółte strachy na wróble. Właściwie, jak się okazało, gdy znalazłem się bliżej, to w pewnym sensie były strachy na wróble. A przynajmniej kukły.

Wypchane skóry z prawdziwymi dłońmi i stopami, lecz z doprawionymi fałszywymi głowami, prawdopodobnie zrobionymi z tykw. Żółta barwa zapewne stanowiła skutek uboczny konserwacji za pomocą kauczuku. Kończyny ciała wydawały się spuchnięte i dziwaczne, jak serdelki. Domyśliłem się, że wypchano je kukurydzianym włosiem. Hun Xoc wyjaśnił, że cztery z nich to krewniacy z iksyjskiego Klanu Nietoperza Wampira, złapani podczas napadu sześć lat temu. Kiedy mówił, łódź prowadząca zbliżyła się do brzegu i jeden z ludzi 12 Kajmana wyskoczył. Dobrnął do skarpy, wspiał się po trzech stopniach, przebiegł przez plac przed palowiskiem i położył u stóp truchel z nietoperzowego rodu stosik ofiar, a kiedy już myśleliśmy, że będzie trzeba go zostawić, mężczyzna wskoczył do ostatniego z naszych canoe. Inni krewniacy wygwizdali go głośno, co stanowiło odpowiednik wiwatów. Pozer.

Kiedy znaleźliśmy się w cieniu mostu, zdawało się, że pada śnieg. Uniosłem głowę. Most ciągnął się pięćdziesiąt stóp nad nami, sześć lat na dziesięć stóp i zabezpieczony podwójnymi linami, grubymi chyba na sześć cali. Ludzie tam po prostu stali i obserwowali setki łodzi - szereg mężczyzn i, co niezwykle, grupa niezamężnych kobiet z wysokich rodów. Jedna z nich potrząsała koszem, z którego sypały się białe płatki. Hun Xoc wychylił się niebezpiecznie za burtę, złapał jeden z nich i zjadł na szczęście. Okazało się, że to popcorn.

Po naszej męskiej stronie wyrosły budynki. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że oto patrzę na największego rywala Yaxchilán, Yokib'. Nazywane księżniczką wśród najwspanialszych miast, w przyszłości otrzyma nazwę Piedras Negras. Yokib' znaczyło „Wejście” lub „Próg” i podobno znajdowała się w nim jaskinia, która wiodła prosto na główny dziedziniec-boisko do gry w piłkę na dworze Xib'alb'a, krainy zmarłych. Yaxchilán było różowe, Ix turkusowe, ale Yokib' miało barwę żółtą - straszliwie intensywny odcień zimnej, jasnej żółci obramowanej czernią. Nawet w rozproszonym popiołem świetle trudno było na nie patrzeć, tworzyły się geometryczne wzory wypełniające dolinę migotliwym efektem *moiré*, niczym na obrazach Bridget Riley. Największy *mul* był czysto żółty, ostra jednolita bryła

odcinająca się od zmiennego tła. Wspinali się na nią robotnicy zajęci polerowaniem i zdobieniem jej ścian. Prawdopodobnie ostatnie części piramidy zostały ukończone *k'atun* temu, kiedy miasto zniszczyło dwóch swoich rywali i wzięło tysiące jeńców. Możliwe, że zaprawa do budowy powstała z pokruszonych kości zabitych niewolników, jak w Pałacu Błota i Krwi w Beninie. Naliczyłem pięćdziesiąt cztery głowy wystawione na pokaz przy brzegu u wejścia do miasta. Niewiele, ale wyglądały na świeże, uznałem więc, że to pewnie drewniane podróbki. Jednak kiedy podpłynąłem bliżej, dostrzegłem, że niektóre, zapewne starsze, są pomarszczone. Zatem prawdziwe, ale oczyszczone, nasolone, naciągnięte na gliniane formy, natłuszczone i podmalowane. Zapewne również okrywano je, gdy padał deszcz. Na czołach każdej z głów wytatuowano imię i datę pojmania, prawdopodobnie jeszcze za życia. Zaszyte usta jakimś sposobem wydepto, by wydawały się pełne i żywe, natomiast gałki oczne zastąpiono zwykłymi białymi kamieniami, przez co wydawało się, że głowy patrzą na przybyszy. Zapewne pozbawiono je języków i mózgów oraz wszystkiego w środku, co mogłoby zgnieć. Ale przynajmniej nie były skarłowaciałe i zeschnięte jak te z niebiańskiego miejsca w Wielkim Pałacu Królewskim w Bangkoku. Ani też, jeżeli już o tym mowa, nie były wylęgarniami robactwa, jak te wystawiane na Tempie Bar do roku 1746.

Nie zatrzymywaliśmy się na przystaniach nawet po wodę pitną. Łodzie handlarzy podpływały do nas i robiliśmy zakupy w ruchu. Nasi zbieracze odpadów wylewali urynę i karmili ekskrementami psy. Chyba to lubiły. Może to jakaś specjalna rasa, dostosowana do tego jednego celu. Później zbieracze owiną kał psów w liście wielkości uszu słonia i przekażą miejscowym zbieraczom odpadków, którzy pojawiali się na canoe otoczonych chmarami much. Zwiadowcy wysuwali się daleko w przód, by się upewnić, że przy kolejnych kataraktach czeka pełna obsługa. W dwudziestym pierwszym wieku ludzie często powtarzają, jak to nowoczesne życie przyspieszyło, podczas gdy ongiś, zanim wynaleziono telewizję i telefony komórkowe, płynęło o wiele bardziej leniwym rytmem. Tymczasem na własnej skórze przekonałem się, że wcale tak nie jest. A przynajmniej nie wtedy, gdy należy

się do elity paranoików, którzy śpieszą się, by wyprzedzić w swoich knowaniach innych. Zresztą, w przyszłości czy w przeszłości, deadline to deadline. A chyba już wspomniałem wcześniej, że zbliżało się zaćmienie słońca? Według zachodniej rachuby - pierwszego maja. 2 Inkrustowana Czaszka określił nawet *kin*: 6 Śmierć, 14 Jeleń, gdy mieszkańcy Teotihuacan zapewne zamkną granice - pięć dni przed zaćmieniem. A do zaćmienia zostały już tylko dwadzieścia dwa słońca. Wtedy populacja Teotihuacan zacznie w ciszy obserwować niebo i nikt nie wyjdzie ani nie wejdzie do doliny, dopóki wszystko się nie skończy. A tak przy okazji należy nadmienić, że wbrew powszechnym przekonaniom z dwudziestego pierwszego stulecia informacja o zaćmieniu wcale nie była tajemnicą znaną tylko nielicznym. Wieści niosły się lotem błyskawicy i kiedy zbliżała się data, każdy, włącznie ze swoimi ojcami-matkami, był gotów do działania. Miasto będzie zamknięte. I nie zapowiadało się, że zacznie się święto - raczej czuwanie lub straż.

W każdym razie, kiedy 2 Inkrustowana Czaszka oznajmił, że musimy dostać się do Teotihuacan w dwadzieścia siedem dni, pomyślałem, że to pobożne życzenia. Przecież mieliśmy pokonać sześćset pięćdziesiąt osiem mil, na litość boską! Nie jestem ptakiem, żeby to się udało. Samochodem byłoby to prawie tysiąc dwieście pięćdziesiąt mil po głównych drogach i autostradach. Ale tutaj nie mieliśmy ani nowoczesnych dróg, ani samochodów. Nie mieliśmy nawet koła. A najbliższy koń biegał po Irlandii. Pamiętam z historii, że armii Napoleona udało się podczas kampanii w Austrii pokonać dwieście pięćdziesiąt siedem mil w dwadzieścia trzy dni i uznawano to za cud. Ale też armia nie ma tragarzy. Każdy z tych nieszczęsnych Francuzów musiał dźwigać swój ekwipunek i broń. Nieważne, jak naciskał cesarz, ludzie musieli zatrzymywać się na popas i odpocząć choć przez chwilę. Tymczasem wyprawa, w jakiej brałem udział, nie przewidywała postojów. Zanosilo się, że będziemy podróżować dzień i noc, spać, pić, jeść (głównie surowe rzeczne ślimaki, wysuszone ptasie mięso i *cha-nac*, kukurydzianą papkę utwardzoną psią krwią), iskać się, wydalac i Bóg wie co jeszcze robić na plecach tragarzy. Podobno inkascy po-

ślańcy potrafili przetranszować wiadomości z Cuzco do Quito w Ekwadorze w pięć dni, a odległość, którą musieli pokonać, wynosiła ponad tysiąc mil. No, owszem. Inkowie byli szybsi. Ale skoro doświadczony piechur z niewielkim obciążeniem może dziennie przejść dwadzieścia mil, to my - ze zmieniającymi się tragarzami - zapewne zdołamy pokonać pięćdziesiąt. Jednak część drogi odbędziemy wodą... A dwadzieścia mil dziennie na canoe to naprawdę rekordowy rezultat. Ale na dwuosobowym, bo te większe są szybsze. Zatem jeżeli będziemy mieć zmieniających się często wiosłarzy, pewnie uda się zrobić dziennie pięćdziesiąt mil, nawet przez ocean. Dla bezpieczeństwa przyjąć należy, że trzeba pokonać tysiąc sześćset mil, ale przy takim tempie zaczyna to się wydawać możliwe. Zakładając, że wyprawy nie opóźnią warunki atmosferyczne czy inne nieprzewidziane okoliczności. Terminarz jednak był napięty. Ale Majowie przecież robili to już nieraz, nie byli debiutantami. Poza tym 2 Inkrustowana Czaszka nie miał powodu, by obiecywać mi coś, czego się nie da zrobić. Może zatem powinienem być dobrej myśli.

Przy mieście nazywanym Tam, Gdzie Ugotowano 3 Żółwia - później będą to ruiny Aguas Caliente - minęliśmy pierwszą grupę naszych wrogów. Na obu brzegach połączonych dwoma sznurowymi mostami wznosiły się kolorowe budynki. Po kobiecej stronie stała *mul* rządzącego klanu - piramidę niemal do połowy wysokości okrywały drewniane figury. Domyśliłem się, że to zapewne dary ofiarne na jakieś święto, ale wyglądały tak realistycznie, dokładnie wyrzeźbione i barwnie ubrane, że miejsce wydało mi się tak przeładowane barwami jak tamilski festiwal Thaipusam. Rząd dużych, ozdobnych canoe ciągnął się pod piramidą, a Hun Xoc wyjaśnił, że zielone i żółte pasma u sterników oznaczają, że to kuzyni Kak Ujol Kinich, *ahau* rodu Jaguara z miasta Oxwitza, czyli Caracol. Klan ten pozostawał w stanie wojny z pięcioma wielkimi rodami z Ix przez prawie cztery *k'atunob*.

Z łodzi do łodzi przekazane zostało polecenie, że mamy utrzymać obecne tempo wiosłowania i udawać, że nie widzimy *Oxhuitzob*, chyba że oni pierwsi nas powitają.

Jak dotąd witaliśmy się ze wszystkimi, których mijaliśmy na rzece. Sternicy i wiosłarze okrzykiwali się z tymi, których znali, czasami otwarcie, niekiedy tylko przez lekkie uniesienie prawego ramienia - odpowiednik kiwnięcia głową. Najwyraźniej nasza wyprawa wyglądała dość zwyczajnie i nie budziła zdumienia, choć odbywała się nieco po sezonie i przebiegała w nieco większym niż zwykle pośpiechu.

Niestety, krewniacy z Klanu Jaguara na łodziach dali nam sygnał, więc musieliśmy zwolnić i zbliżyć się do nich jak gdyby nigdy nic. Udawaliśmy, że od początku planowaliśmy się przywitać. Na płyciźnie nasze załogi ujęły specjalne długie wiosła i użyły ich jak bosaków. Wyczułem napięcie na pokładzie swojego canoe. Ręka Hun Xoca bezwiednie powędrowała na rufę, do zawiniątka z dmuchawkami i maczugami.

To nic, pomyślałem. Ci ludzie witają nas w pokoju, można było to wyczuć. My również. To znaczy każda nasza łódź miała zawieszoną na bukszprycie małą figurkę w kształcie głowy zwierzęcia, z której nozdrzy unosił się dym. Zapach palonej żywicy akacjowej, gumy i sproszkowanego tytoniu mówił każdemu, że przybywamy bez wrogich zamiarów.

Kiedy znalazłem się bliżej, dostrzegłem na ostatnim canoe przywódcę. Nosił wysokie kocie nakrycie głowy, twarz miał pobieloną, resztę ciała natomiast poczernioną. Zmierzył nas ciemnymi, przenikliwymi oczyma. Ja i pięciu krewniaków, moich sobowtórów, mieliśmy szerokie stożkowe kapelusze przypominające wietnamskie *nonlas*. Staralem się nisko trzymać głowę, na ile pozwalała mi postawa. Szakał grał przeciwko drużynie z Piłkarskiego Bractwa Aguti w Oxwitza i wygrał. Zapewne wielu z tych kotów widziało ową grę.

Wszystko będzie dobrze, zapewniłem się w duchu. Nikt mnie tu nie rozpozna. Jak większość zawodników Szakał także i grał, i odbierał nagrody w zwierzęcym hełmie, który przynajmniej do połowy zakrywał mu twarz. I nawet jego figurki-podobizny tylko z grubszą oddawały podobieństwo fizyczne. Z dłuższymi włosami, bez odcisków typowych dla piłkarzy, z nowym tatuażem i innymi odruchami - nikt mnie nie rozpozna. Przecież na dodatek straciłem tyle na

wadze, że nikt nawet nie pomyśli, że mógłbym grać. Nikt z zewnątrz nie skojarzy mnie z Szakalem. 2 Inkrustowana Czaszka zasugerował nawet, żebym wyglądał na chorego i nieco opóźnionego, przez co ludzie nie będą skorzy, by mnie zagadywać. Oczywiście, o ile nie popatrzą nikomu w oczy.

Kantor 12 Kajmana zaśpiewał powitanie. Herold wskoczył do wody i podał przybocznym gościom o pomalowanej na biało twarzy czerwone zawiniątko z tytoniem, jademitem i naszym głównym towarem - sproszkowaną czekoladą.

Wszyscy zamarli. Przez lata IX straciło setki krewniaków w konflikcie, który przypominał się wiecznej zemsty wstrząsającej losami świata. Ale przynajmniej ta wojna była ograniczona, jednostkowa, a nie masowa. Należało się raczej martwić tym, żeby ktoś nie przysiągł zemsty i nie wyruszył w pościg, bo się zrobiło nieświadomie coś, czego nie wolno. Zachowywaliśmy się zatem trochę jak gangi, które wędrują w dzień wokół śródmieścia i próbują sobie nie wchodzić w drogę. Można też powiedzieć, że przypominało to trochę sytuację na Środkowym Wschodzie, gdzie ciągle trwa jakiś konflikt, ale nie przeszkadza to w kampaniach reklamowych i usługach turystycznych, gdzie cały czas przez granice jeżdżą autobusy wycieczkowe, a cywile kręcą się po strefach przyfrontowych.

Szlaki wodne, a także targowiska handlowe, były podobne do kościołów. Tylko one przez tysiąc lat stanowiły prawdziwie wspólną własność. Na wodzie było się pod ochroną Jadeitowej Wiedźmy, która wykopała rzekę w dniach trzeciego słońca, zanim nastąpiła Siódma Ara. Ataki z rzeki zdarzały się niezwykle rzadko i uznawane były za haniebne - jak napaść Pazzich na Giuliana z rodu Medyceuszy we florenckiej katedrze. Ktokolwiek uciekł się do przemocy na rzece, narażał się na rozczłonkowanie żywcem nie tylko przez czujnych miejscowych, lecz także przez swoich towarzyszy. Prawdziwe było również powiedzenie, że wkroczenie do osady szanującej tradycje to jak wejście do salonu. Tutaj wszędzie było się czymś gościem. I każdy znajdował się w sieci wzajemnych przysług. Zamiast pokazywania paszportów i łapówek lub banknotów dawało się podarunki i otrzymywało w zamian

tańsze dary. A jeżeli podarunek nie był dość dobry albo jeżeli sprawiało się kłopoty, ludzie pamiętali i później odplacali pięknym za nadobne - niekiedy bardziej niż w dwójnasób.

Wreszcie na którejś z łodzi Jaguarów zabrzmiała odpowiedź na pieśń naszego kantora, zaraz też jeden z kotowatych krewniaków podał nam zawiniątko zawierające barachło, jakie było specjalnością rodu, i sprawa się zakończyła.

- Patrzył na ciebie - zauważył Hun Xoc, nie poruszając ustami, jak brzuchomówca. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku, nakazał mi założyć lekką maskę, a moich pięciu dublerów uczyniło to samo. Zapewne noszenie masek na co dzień wydaje się dziwne, ale w Europie robiono to niemal do końca dziewiętnastego wieku. Mężczyźni i kobiety nosili maski podróżne, po części dlatego, że chroniły przed kurzem dróg, a po części ze względu na to, że miały chronić przed chorobami - pewnie stąd wziął się później pomysł masek sanitarnych i przeciwigazowych - ale przede wszystkim, by uniknąć rozpoznania i kłopotów. W USA jeszcze w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku wiele kobiet nosiło kapelusze z woalką. To nie takie niespotykane, jak się może wydawać. Poza tym tutaj, wśród Majów, udawanie kogoś innego wcale nie było popularne. Gdy zakładało się maskę, nie znaczyło to, że chce się ukryć swoją tożsamość, lecz że honoruje się lub czci stworzenie, w które się wcielało. Maski zatem bardziej odsłaniały to, kim się jest naprawdę, niż ukrywały.

Zresztą większym zagrożeniem niż rozpoznanie mnie było rozdzielenie naszej armady, napad lub zmuszenie, byśmy zawrócili, albo wszystko naraz. Oraz to, że wyjdzie na jaw prawdziwy cel naszej podróży i dotrze to do uszu Ocelotów. Oczywiście wszyscy krewniacy z wyprawy, a także kilku ich przybocznych, wiedzieli, że Szakal nie zginął pod koniec polowania na jelenia. Dano im jednak do zrozumienia, że dwie z tego, co można nazwać duszami - *uay* i wewnętrzne imię - opuściły ciało mężczyzny pod wpływem egzorcyzmów i pozostał tylko oddech Szakala. Inne dusze zostały zastąpione moimi.

Co ciekawe, 2 Inkrustowana Czaszka obrócił tę sytuację w pozytywną: 10 Scynka - jak oznajmił - przybył z góry Klanu Orła przed

czasem swoich narodzin, by ostrzec przed niebezpieczeństwem i pomóc przetrwać rodowi.

Dowódca tylnej straży czekał na nas przy następnej przystani. 12 Kajman, 18 Śmiercionośny Deszcz i Hun Xoc zatrzymali się na spotkanie. Nie poprosili mnie, bym dołączył, na dodatek szeptali w dialekcie myśliwskim, którego nie znałem. Ale kiedy znowu znaleźliśmy się na rzece, Hun Xoc powiedział mi, że około dwudziestu ludzi płynie za nami oraz że prawdopodobnie tyleż samo śledzi nas z łądu, podążając z tragarzami szlakiem holowniczym wzdłuż brzegu. Zwiadowcy nie umieli określić, skąd pochodzi ogon, ale ze strzępków rozmów zorientowali się, że pościg rozmawiał w iksyjskim narzeczu handlowym.

Dowódca tylnego zwiadu mówił również, że chyba rozpoznał nakrycia głowy rodu Suma z Xalancab, w pobliżu Kaminaljuyu. Klan Suma był neutralny i okazywał respekt zarówno Ocelotom, jak i Orłom, ale też żaden ze zwiadowców nie rozpoznał nikogo z grupy, więc może ci, co nas śledzili, byli w przebraniu. Ród Suma niczym się nie wyróżniał, stanowił zatem idealną przykrywkę.

Hun Xoc powiedział także, że 12 Kajman zapytał, czy obcy poruszali się lub mówili jak małpi strzelcy. Określenie to oznaczało zabójców do wynajęcia. Dowódca zwiadu przyznał, że nie wie. Ale na pewno grupa nie próbowała się z nami zrównać. 12 Kajman zapytał, czy to znaczy, że obcy wiedzą, dokąd zmierzamy, czy tylko nas śledzą z dystansu. Tego również dowódca zwiadu nie wiedział.

- Gdybym miał się zakładać, postawiłbym dwa do jednego, że to Rębacze - stwierdził Hun Xoc. To przezwisko oznaczało członków Klanu Ocelota, którzy mieli prawo używać w walce specjalnych dużych toporów. - A może 9 Szponiasty Koliber podsłuchiwał nas nocą, gdy przechadzał się pod postacią swojego *uay* - dodał po namyśle.

Może *ahau* nabrał podejrzeń, że Szkał nadal żyje. Gdyby Oceloty mnie dorwały, zdobyłyby dowód na bluźnierczy spisek, a 9 Szponiasty Koliber mógłby przejąć wszystko, co posiada Ród Orła - dobra, prawa do wody i ziemi, nawet ludzi - i żaden z pozostałych klanów nie ośmieliłby się zaprotestować.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Po prostu nie wyrzucaj mnie za burtę, dopóki nie zyskasz pewności, pomyślałem. Zaraz też chciałem zapytać, czy śledzących nas ludzi nie mógł wysłać sam 2 Inkrustowana Czaszka, ale w porę ugryzłem się w język. Hun Xoc albo o tym nie wiedział, albo próbował mnie oszukać - pytanie było zatem bezcelowe.

Poza tym wołałem, żeby moi towarzysze myśleli, że jestem bliżej z 2 Inkrustowaną Czaszką niż naprawdę. Dzięki temu dopuszczano mnie do większości spraw - jakby pozwalano dziecku siadać do stołu z dorosłymi - ale miałem wrażenie... właściwie miałem pewność, że otrzymali także rozkazy, żeby mieć mnie stale na oku. Budziłem się i zawsze dostrzegałem, że ktoś mnie obserwuje. Nigdy nie pozwolono mi oddalać się samotnie od krewniaków, nieodmiennie towarzyszył mi 2 Ręka lub Łajno Pancernika - ten zwykle wybiegał dalej przede mną. Zauważyłem też, że nie mogę się zbliżać do zapasowych sandałów, jedzenia lub wody.

Ale też doprawdy 21c miał powody do zmartwienia. Oczywiście musiałem mu ufać. Niekiedy zawiera się umowę, bo nie ma innego wyjścia. Ale nie zapominałem, że 2 Inkrustowana Czaszka kazał mnie torturować. I nie mogła tego wymazać z pamięci nawet uroczysta, rytualna adopcja oraz nawiązanie więzi, choć każdy obcy w obcym kraju pragnie rodziny i przyjaciół. Nadal jednak w chwilach *selbst ehrlich* musiałem przyznać, że nie mogę całkiem zaufać 2 Inkrustowanej Czaszce. Nie byłem pewien, czy *ahau* Klanu Orła będzie działał w moim najlepszym interesie. Jego cele różniły się od moich. Tak naprawdę 21c chciał po prostu zdobyć tajną recepturę na wyjątkowy sos. Jeżeli uda mu się złamać monopol teotihuacańczyków na narkotyki do Gry, będzie mógł dyktować warunki i zrobić, co mu się żywnie spodoba. Ale jak na razie musiał na mnie uważać. Mógłbym przecież uciec od krewniaków, znaleźć jakąś samotną osadę, skłonić miejscowych, by stanęli po mojej stronie, wypuścić się z nimi w teren, złapać paru Strażników Dnia z mniejszych miast - w końcu w Mezoameryce było przynajmniej czterdziestu pięciu dziewięćczaszkowych Graczy, pomijając tych siedemdziesięciu lub więcej w Teotihuacan - zdobyć

próbki *drogas* i zakopać je, by grupa Twix mogła je później odnaleźć (a, doprawdy, naukowcom nie potrzeba więcej niż po miligramie, by udało się ustalić skład obu narkotyków), po czym mógłbym... Cóż, jak o tym pomyśleć, wyglądało to dość zniechęcająco. Ale to nie znaczy, że było niemożliwe, więc 2 Inkrustowana Czaszka powinien się martwić, że mógłbym spróbować.

Nietrudno się domyślić, że gdybym chciał uciec czy nawet tylko zaczął planować ucieczkę, w okamgnieniu zostałbym wypatroszony jak gęś na Boże Narodzenie.

Ale może należy tak zrobić? - zastanawiałem się. Nie należy przecież zapominać, że pani Koh to autorka Kodeksu Norymberskiego. To ona przeprowadziła Grę, prawda? Nawet jeżeli nie była najlepiej znaną ze Strażników Dnia - według 2 Inkrustowanej Czaszki takim był 11 Wir z iksyjskiego Klanu Ocelota lub Ugotowany Tapir, który pracował dla Pakala Wielkiego w Palenque - mogło się okazać, że najlepiej mieć panią Koh po swojej stronie. Może ta kobieta była wyjątkowa, może naprawdę należała do najlepszych Strażników Dnia - takich, jacy rodzą się raz na *b'ak'tun*, jak rzekł kiedyś 2 Inkrustowana Czaszka. Może po spotkaniu z nią wszystko zacznie się toczyć gładko. Przecież tylko pani Koh potrafi wyjaśnić wszelkie niedopowiedzenia z Kodeksu. Może nawet będzie umiała od razu przeanalizować, przez kogo nastąpi koniec świata. Wystarczy, bym przekazał to imię zespołowi badawczemu w dwudziestym pierwszym wieku, i świat da sobie radę. I może jeszcze ta kobieta poda mi notowania paru transakcji na giełdzie. Jeżeli/kiedy wrócę, stanę się bardzo bogaty, bogatszy niż księżę Al-Walid bin Talal bin Abdul Aziz al-Saud, dwudziesty najbogatszy facet na świecie według listy Forbesa.

I tego powinienem się trzymać, pomyślałem. Przynajmniej na razie. Nie warto myśleć za dużo.

Zapytałem, czy ludzie, którzy nas śledzą, mogą pochodzić z Teotihuacan. Hun Xoc przyznał, że ktoś stamtąd mógłby ich wynająć, ale po co? A pani Koh - czy raczej Dwudziesta Druga Córka Niebiańskich Tkaczy, bo tak ją nazywano, by przez wypowiedzenie prawdziwego imienia nie zaalarmować *uay* pani Koh - nie wynajęłaby ludzi,

ponieważ to dziewięcioczaszkowa Strażniczka Słońca. Na pewno już zobaczyła w jednej ze swoich Gier, że nadchodzimy.

- Racja - zgodziłem się potulnie, ale w duchu pomyślałem: nie sądzę. Na nic talent, choćby nie wiem jak wielki. Gra to nie kryształowa kula.

MORZE.

Prekambryjski zapach soli, czy raczej woń małych stworzeń -wielbicieli soli. Spojrzałem po swoich towarzyszach. Widać było, że też to czują, poznawałem po przyśpieszonych ruchach. Znajdowaliśmy się niemal na krańcu suchego świata. Jutro dotrzemy nad zatokę i na szlaki handlowe prowadzące do Imperium Ostrzy oraz Morza Skrzydeł.

Dwa canoe i ich załogi czekały już w ustalonym miejscu wybrzeża -na ukrytej plaży, trzy mile na północ za ujściem rzeki. Nie mogło pozostać jednak żadną tajemnicą, skoro przyglądały się temu po-nad trzy setki niechlujnych ludzi rozrzuconych na spłachetku żółtego piasku poprzecinanego czarnymi pasmami lawy. Leżało tu także truchło rzeczno- go żarłacza - negapriona - pulsujące w rytm ruchu fal. Po raz pierwszy od momentu wyruszenia mieliśmy opóźnienie. Właściciele łodzi powiedzieli, że z powodu wybuchu wulkanu wioślarze boją się, że zostaną ugotowani i zjedzeni przez Ziemią Ropuchę, dlatego musimy przepłynąć dalej, niż to zwykle uznawano za bezpieczne. I oczywiście zażądali wyższej zapłaty, niż była umówiona parę godzin wcześniej. Na dodatek musieliśmy zatrudnić poważanego tutaj *k'al maac*, czyli kogoś, kogo w Afryce nazywa się *inyanga* -doktora wody, który pomoże nam w przeprowie, lejąc świeży olej na fale lub nieustannie śpiewając czy robiąc podobne rzeczy. Sądziłem, że to jakiś hochsztapler, ale później zobaczyłem, jak mężczyzna używa dziwnej i - jak na moje oko - prostej wersji Gry, by przewidzieć morską pogodę. 18 Śmiercionośny Deszcz potargował się jeszcze i wkrótce znaleźliśmy się na pokładzie. Tylna straż pozostała na brzegu, aby się rozejrzeć i sprawdzić, czy nadal jesteśmy śledzeni. Potem mieli do nas dołączyć. Ofiarowaliśmy krew Opiekunom Północnego Zachodu i odbiliśmy.

Mogliby się wydawać, że nie da się zmieścić ponad dwustu osób w dwóch canoe, ale to nie były wyroby Old Town Canoes Co. z Maine. Na oko każde miało dziewięćdziesiąt pięć stóp długości i osiem stóp w najszerszym miejscu. Dłubanki, a raczej dębokowypalanki z mahoniowych pni wielkości sekwoi z kalifornijskiego rezerwatu nad Zatoką Humboldta. Każdy z nich mógł śmiało konkurować z Luną, królową sekwoi z tamtych okolic. Łódź prowadząca miała przymocowaną na dziobie małą głowę na długiej szyi, przypominającą łeb elazmozaura, a druga - w której siedziałem - uwieczniona została homaropodobnym stworzeniem z antenką. Czarne kadłuby pokryte były łuskami z pomarańczowymi i białymi glifami, lśniącymi od oleju z manata. Nad pokładami rozpięto baldachimy, upodabniające canoe do barki Kleopatry, jednak 12 Kajman szybko kazał je zdjąć, by płynąć szybciej. Nigdzie nie widziałem żagli. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie pokazać załodze, jak skorzystać z wiatru, ale zaraz uznałem, że lepiej nie przyciągać uwagi.

Gdy tylko pokonaliśmy fale przyboju, krewniacy wyraźnie się rozluźnili. Nareszcie, po raz pierwszy od opuszczenia Kakaowego Miasta, mogli swobodnie porozmawiać.

- *Ac than a puch tun y an I pa oc in cabal payee tz'oc t pitzom?* - zabrzmiało nagle. Pamiętasz, jak graliśmy tu i pierwszy raz wybiłeś oko?

Zajął mi chwilę uświadomienie sobie, że zwrócono się do mnie.

- *B'aax?* - zabrzmiał znowu ten sam głos. Odpowiednik zwrotu: Ziemia do 10 Scynki, halo?

Mówił do mnie 2 Ręka, brat Hun Xoca. Siedział za mną, a Hun Xoc przede mną. Ze znacznych ludzi na pokładzie znajdował się również 3 Powracająca Ćma, upamiętniacz, oraz 4 Rozwidlony Język, jeden z moich dublerów. Nasi akolici siedzieli z lewej strony. Odwróciłem się.

-*Ma'ax ca'an* - odpowiedziałem. To nie byłem ja.

-Tak? Tamten zawodnik upadł, a ty odbiłeś piłkę biodrem tak, że uderzyła go w tył głowy. Opaska ochroniła mu głowę przed rozbi-

ciem, ale wypadło mu oko. - 2 Ręka był duży i krępy z okrągłą twarzą i o wypukłych jak u owada oczach. Teraz rozwarł palcami powieki prawego oka i wytrzeszczył je na ile się dało. - Ale drugim okiem wciąż widział, więc próbował włożyć to, które wypadło, do oczodołu, ale nie mógł, a nie wiedział, co zrobić, ale czuł, że zaraz zemdleje, a nie chciał, żebyśmy dorwali to oko. Więc je zjadł.

-Nie pamiętam tego - stwierdziłem.

-Powinieneś zjeść wielką miskę tapioki - odezwał się do brata Hun Xoc. Był to idiom: „nie podniecaj się tak”. Szakał w pewnym sensie został skazany na *damnatio memoriae* i pytanie mnie o coś, co zdarzyło się przed podmianą, było niebezpiecznie bliskie złamania zasady, że nie wolno wymawiać mojego wcześniejszego imienia. Ale 2 Ręka chyba nie przywiązywał do tego szczególnie dużej wagi.

Usłyszałem, jak 4 Rozwidlony Język próbuje stłumić chichot.

-Naprawdę tak było? - zapytałem.

-Niezupełnie tak - mruknął Hun Xoc.

-Dokładnie tak - zaoponował 2 Ręka. - A pamiętasz 22 Strupa?

-zwrócił się do mnie.

Cmoknąłem, że nie.

-Był ogrodnikiem 3 Jaj - wtrącił Hun Xoc. - Wyglądał paskudnie i miał brodawki. Zawsze mył się sam, ale kiedyś 22 Oszust się na niego natknął. Okazało się, że 22 Strup ma ucięty koniec penisa. I nie chciał się przyznać nikomu z nas, jak to się stało.

-Pamiętasz, jak się dowiedzieliśmy dzięki Osrany Włosom?

-odezwał się 2 Ręka.

-Pytasz mnie? - zapytałem. Cmoknął twierdząco.

Odcmoknąłem przecząco. Przyjrzałem się 2 Ręce zza maski. Zastanawiałem się, na ile to kupił. To znaczy - moją amnezję. Nie wyglądał na bystrzaka, ale wyczuwałem w nim lekką rezerwę. Ciekawe zresztą, na ile reszta w canoe kupiła moją historyjkę. Czy w ogóle ludzie z wyprawy, którzy ją słyszeli. Czy uwierzyli 2 Inkrustowanej Czasce na słowo, czy po prostu wykonywali ślepo jego rozkazy? Nie byli głupcami. Ale też nie panowały tu tradycje sceptycyzmu

i sekularyzmu. Prawdopodobnie reagowali na różne sposoby: jedni wierzyli, inni natomiast uważali, że ich religijno-polityczni przywódcy wykazują tendencję do przesady. Zresztą nawet ci, którzy uwierzyli, na pewno są na mnie wściekli za Szakala. Dlatego w przemowie do krewnych 2 Inkrustowana Czaszka tak podkreślał, że przybyłem na ratunek wszystkim, także Szakalowi. Ale musiało pozostać trochę rezydentów. I, co tu kryć, również strach. Moi towarzysze nie byli pewni, czy jestem człowiekiem.

Zresztą nie powinienem popadać w paranoję. Nie wszystko kręci się wokół mnie.

2 Ręka podjął opowieść.

-W drodze powrotnej z meczu zatrzymaliśmy się w tej zabłoczonej wiosce. Mieszkała tam *k'aak* - czyli kopułowia dziewczyna -która chciała się ze wszystkimi pieprzyć. Z każdym graczem w piłkę. Miała długie włosy z brązowymi pasmami. Ciągle się koło nas kręciła. Przeżywalimy ją Osrane Włosy. Pamiętasz?

-Nie - zapewniłem. Coś zaczęło mi świtać, ale potrzebowałem dokładniejszego kontekstu, by wyciągnąć to wspomnienie.

-To pewnie nie pamiętasz też, jak spałeś, a 1 Czarny Motyl posmarował ci penisa *c'an aak'ot*?

Ponownie cmoknąłem przecząco.

-I co się stało? - wtrącił 4 Rozwidlony Język.

-No i Sz... ten tu się obudził. - 2 Ręka się uśmiechnął. - Zaczął podskakiwać, trzymając się za jaja, i krzyżeć: „Mój penis jest za duży!

MÓJ PENIS JEST ZA DUŻY!"

Najwyraźniej *c'an aak'ot* było jakimś tropikalnym halucynogenem wywołującym priapizm.

- A potem zaczął biegać po placu, zobaczył Osrane Włosy i pewnie nie pomyślał: aha! Więc ją złapał i zaczął pieprzyć w dupę. Po chwili poczuł się lepiej, wytarł penisa. Ale wtedy Osrane Włosy zaczęła podskakiwać i biegać w kółko. Biegała i jęczała: aj-j, aje-e, je, je-e-e!

Łatwo zgadnąć, że 2 Ręka zaczął nie tylko naśladować okrzyki, ale również wykonał żwawą pantomimę, by zobrazować, co się działo. Prawie przewrócił łódź.

- A potem Osrane Włosy przykucnęła i zaczęła srać. Naprawdę mocno srała, a my tylko staliśmy i patrzyliśmy. A wtedy ona zaczęła srać swoimi flakami. Coraz więcej wnętrzości zaczęło wychodzić jej z tyłka, spadały pod nią na kupę i wtedy przylazł jakiś pies, zła pał za wysrane kiszki i zaczął z nimi uciekać, i wyciągać z niej więcej. A potem zaczął jeść te flaki, ale i tak wylażyło coraz więcej, a Osra ne Włosy skrzywiła się nagle bardziej, bo właśnie wysrała kawałek flaków, w którym coś było. A wtedy ten tu - 2 Ręka miał na myśli mnie - wyrwał kiszki psu, wypchnął to coś, co wypychało flaki, przez wygryzioną dziurę. I na ziemię wypadł kawałek ciała, pomarszczo ny i z brodawkami. To był kawałek penisa 22 Strupa! Ten tutaj tak powiedział, że poznałby ten penis wszędzie, że to 22 Strupa! I żeby ktoś pobiegł i przyprowadził 22 Strupa, bo znaleźliśmy jego penisa! Znaleźliśmy go!

Akolici przygryzali wargi, by opanować chichot. 3 Powracająca Ćma i 4 Rozwidlony Język śmiali się otwarcie. Wioślarze na szczęście nie rozumieli naszego rodowego narzecza.

-To dla mnie zupełna nowość - zapewniłem. A potem też parska-
nąłem śmiechem. Może nawet to się naprawdę zdarzyło, ale
domyśliłem się, że aby wiedzieć na pewno, trzeba by przy tym
być.

-Dość - wtrącił Hun Xoc. - Skończone. Rębacze wyczują zapach
waszych wzwodów.

Pewnie napomknąłem wcześniej, że podczas wyprawy nie powin-
niśmy mieć żadnych przygód seksualnych. Długodystansowe podróże
były jak święte polowanie. Nie wypada dostać erekcji nawet w tajem-
nicy przed resztą uczestników, lepiej jej unikać, ponieważ można tak
zepsuć grę i spłoszyć zdobycz lub - jak zauważył Hun Xoc - zdradzić
się przed wrogami. Niestety, większość krewniaków na wyprawie była
nastolatkami. Nastoletnimi chłopakami.

- Musimy być jak *sac kanob* - podjął Hun Xoc. To oznaczało
fer-de-lance, czyli żararakę lancetowatą. Mieliśmy być jak ten wąż:
wyjątkowo szybcy, trudni do zauważenia i - przede wszystkim -
cisi.

2 Ręka usiadł.

- Poza tym - dodał Hun Xoc - opowiadasz więcej, niż się naprawde zdarzyło. Wypadł jej tylko mały kawałek wnętrzości.

Odchylił się wygodniej i wsunął do ust kawałek tytoniu do żucia.

Zapadła ciemność. W Królestwie Słońca nie ma zmierzchu.

W oddali nasze canoe minęły ognisko na Comalcalco i skierowały się na północny zachód, w kierunku śmierci - płynąc prostopadle do gwiazd Teotihuacan, Sępiej Gwiazdy i Sępiej Rany. Tę pierwszą później Arabowie nazwą Thuban. Od 3113 roku przed naszą erą, czyli od początku Długiej Rachuby, stanowiła ona gwiazdę polarną wraz ze swoim czerwonym cieniem, i-Draconis. Widziałem czerwień tej drugiej gwiazdy wyraźniej jak nigdy w życiu, wyraźniej nawet niż przez teleskop. Hun Xoc powiedział, że jesteśmy blisko i dlatego możemy usłyszeć syczenie, gdy gwiazdy stykają się z wodą. Wiedziałem, co ma na myśli - odgłos jakby niedopałka żarzącego się cygara zanurzanego w wodzie - ale to był tylko dźwięk wydawany przez fale. Fitobakterie błyskały przy każdym zanurzeniu wiosła jak iskry między krzemieniami. Tuż przed świtem - najlepszą porą na łowy - wychyliłem się za burtę i starając się nie patrzeć na swoje nowe odbicie (bo czułem się wtedy bardzo niepewnie), tylko liczyć zwroty i obserwować otoczenie. Dostrzegłem krewetki, oczywiście, oraz długie czerwone pasma kryla, ale były tu jeszcze te duże meduzy parzydełkowce oraz jakaś odmiana jasnorożowych *ctenophora*, czyli żebroplawów, w odcieniu pasa Wenus, których nie umiałem rozpoznać. Dostrzegłem też rozgwiazdę, która na pewno nie została opisana, ale kiedy chciałem po nią sięgnąć, okazało się, że w wodzie pływa wielka gromada jadowitych stułbi - jedna mnie oparzyła i chybiłem.

Tylna straż wyprawy dogoniła nas w południe. Płynęła canoe wąskim jak łódź wyścigowa, z dziesięcioma pracującymi wiosłarzami i zmianą, która właśnie odpoczywała. Hun Xoc i pozostali krewni chwycili za miotacze oszczepów, ale dostrzegli na burtach sztuczne kwiaty w kolorach Klanu Orła. Nasze łodzie podpłynęły bliżej do plaży.

Dowódca tylnej straży wspiał się na pokład naszej łodzi i ruszył na rufę. Sternik natychmiast porzucił swój posterunek i wraz z resztą przeszedł na dziób, by pięciu z nas mogło porozmawiać.

Okazało się, że jesteśmy śledzeni przez dziesięcio- lub nawet piętnastoosobowy oddział. Ten sam, który podążał za nami rzeką.

Nikt nie powstrzymał się, by nie spojrzeć na wschód. Płynęło tam wiele canoe, ale dowódca tylnej straży powiedział, że grupa jest za daleko i nie da się jej stąd dostrzec.

12 Kajman nakazał, aby zwiadowcy przybili do brzegu, wynajęli dwie mniejsze łodzie, po czym ruszyli za grupą, która nas śledzi. Tymczasem my mieliśmy się postarać odpłynąć od pogoni na jak największy dystans. Jeżeli ścigający wiedzieli, dokąd się udajemy, zostaną na wodzie, wyjaśnił 12 Kajman. W przeciwnym razie będą się zatrzymywać w każdym porcie, żeby sprawdzić, czy też tam byliśmy.

- I nie próbujcie do nas dołączyć, dopóki się tego nie dowiecie -zakończył.

W konsekwencji zamiast odpocząć na lądzie, ponownie skierowaliśmy się na północ-północny zachód, dalej w głąb zatoki, i zapłaciliśmy wioślarzom pierwszą premię za szybkość. Późno w nocy znowu zmieniliśmy kurs na zachodni, by zgubić ogon. Obserwatorzy -przysłaniając oczy zrolowanymi pasmami skóry przypominającymi lunety - cały czas sprawdzali, czy na horyzoncie za nami nie pojawi się pogoń, jednak w powietrzu uniosła się mgła, czy może dym, więc nie udało im się dostrzec nic podejrzanego.

O poranku w wodzie pojawiły się migotliwe pasma wydzielin z martwych waleni i zdechłych karp. Nie widzieliśmy ani nie czuliśmy opadającego na nas pyłu, ale szybko zaczęliśmy przypominać szare figury, a jeśli się przeciągnęło mokrą szmatką po twarzy, biała bawełna natychmiast robiła się czarna. Szczątki przyciągnęły mewy. Wszystkie mewy świata. Nie przesadzam, przysięgam. Niektóre nie przewyższały rozmiarami wron, inne były wielkie jak pteranodony. Kiedy przepływaliśmy przez białe, szalone stado, rozrywające

truchło chyba morświna, jeden z wiosłarzy myślał, że ptaki wylęgają się w tym trupie. Na dodatek pojawiły się również muchy, chmary much, a wiatr był za słaby, by trzymać je z daleka. Na szczęście Łajno Pancernika wykonał dobrą robotę, odpędzając nieznosne insekty przy pomocy miotełki z ludzkich włosów, którą muskał mi ramiona przez wiele godzin. Biedny, zaharowany Łajno Pancernika.

Dziewiątej nocy po opuszczeniu IX wody zatoki wzburzyły się i sternicy połączyli canoe długimi deskami, tworząc jakby katamaran. Musieliśmy jeszcze bardziej oddalić się od brzegu, by silny wiatr nie zepchnął nas na skały. To huragan, pomyślałem. A my stanowimy grupową przynętę. Ten szalbierz od wody na nic się nie przydał. Jego pierwszego za to wyrzucimy za burtę. Ale wiatr ucichł i około trzeciej nad ranem wielki pomarańczowy księżyc wynurzył się zza chmur jak pół tabletki valium, po czym spadł w fale. *So auch aufjener Oberflache sich noch im krystallinischen Zustand befande.* A następnego dnia dotarliśmy do przystani jak na skrzydłach - niosła nas burza. Miasto stanowiło przyczółek Teotihuacan i nazywało się Tam, Gdzie Się Oślepiało. Wzniesiono je na północnym skrawku wybrzeża, które w przyszłości wyznaczać będzie kraniec Laguna de Alvarado, i przypominało pod wieloma względami Aapravasi Ghat - był to kompleks błotnistych teras i budynków schodzących do płytkiego portu, gdzie tłoczyły się tratwy i canoe oraz załogi mówiące w pięćdziesięciu różnych językach. Znajdował się tu również obóz warzelników soli, błotnisty i cuchnący. Wiatr niósł charakterystyczny smród gnijących ryb i padliny.

Podczas gdy duzi chłopcy się targowali, 2 Ręka i Łajno Pancernika umieścili mnie w przenośnej wiklinowej chatce, nie większej od pralki automatycznej. Wyciągnąłem zestaw do pisania i czystą, składaną księgę w prostych okładkach. Zamierzałem użyć węgla, ale 3 Powracająca Ćma dał mi odłamki hematytu, które zostawiały o wiele wyraźniejsze znaki. Pisanie przypominało trochę robienie rytów na zagruntowanym arkuszu. Zacząłem pisać i szyfrować wiadomość do domu.

(odszyfrowano)

aktualne słowo klucz:

awhnnbaghsddlpfsetqhytahbdsz

Od: Jed DeLanda

Tacoanacal Pana Tonat (Alvarado)

Do: grupa Twix

Ruiny Ix, Alta Verapaz, Gwatemala

31 marca Anno Domini 664, środa, około godz. 11:00

Droga Mareno, Taro, Michaelu, Jedzie i inni!

Zauważyliście na pewno, że w pierwszym liście próbowałem opisać miejscowy koloryt, ale szybko się poddałem. W tej wiadomości skupię się na tym, co najważniejsze. Jak wspomniałem, muszę dotrzeć do Teotihuacan i sprawić, by kobieta od Kodeksu N., ahau-na Koh, udzieliła mi audiencji.

A oto, co o niej wiem:

Urodziła się, a raczej dostała imię, w dniu: 1 Ben, 11 Chen, 9.10.13.13.13., w miejscu, które nazywa się Zbutwiata Trzcina, czyli niedużej osadzie w Baakal na peryferiach Lakamha, czyli Palenque. Pani Koh należy do rodu panującego w mieście, klanu nie kocięgo, lecz ptasiego, i jest spokrewniona z 2 Inkrustowaną Czaszką przez babkę po kądzieli. W wieku pięciu lat Koh wykazała oznaki talentu i została przeszkolona w Lakamha przez Strażniczkę Dnia należącą do Stowarzyszenia Grzechotnika. Pani Koh okazała się wyjątkowo uzdolniona do Gry, więc sześć lat później stowarzyszenie wysłało ją do Teotihuacan, żeby uczyła się od Niebiańskich Tkaczy - to taki konwent Strażników Dnia oddających cześć Grzechotnikowi.

Choć pewnie to skomplikowane, muszę wspomnieć, że Tkacze zostali nazwani tak od wielkiego pająka tkacza z rodziny

prądkowatych, Nephila clavipes, i należą do Sępnika lub Sępa, lub Bieli, lub Czasu Pokoju, czyli ugrupowania i synodu Teotihuacan.

Przeniesienie miało zapewne na celu zacieśnienie więzi Lakamha z Teotihuacan, chociaż pani Koh prawdopodobnie musiała ceremonialnie wyrzec się biologicznej rodziny, by wstąpić do zakonu Grzechotnika. Jednak pokrewieństwo nadal mogło politycznie wesprzeć jej klan, zwłaszcza gdyby wróciła do domu. Zic wspomniał, że kiedy pani Koh opuszczała rodzinę, przywódcy wszystkich pobliskich ptasich klanów przysłali dary. Zic podarował jej wtedy bardzo utalentowaną akrobatkę nazywaną o Jeżozwierz, która zapewne nadal pozostała ulubienicą pani Koh. W Teotihuacan ahau-na była jedną z kilku młodych Strażniczek, które miały się uczyć na dziewięcioczaszkowych graczy, czyli adeptów zdolnych używać i może także wytwarzać narkotyki do Gry. Ludzie mówią, że pani Koh potrafi rozmawiać z muchami i zmienia skórę na każdy sezon pokoju. Jak paru innych członków stowarzyszenia, Koh albo zdecydowała się nie wracać na tereny Majów, albo jej na to nie pozwolono ze względu na napięcie panujące między dziećmi Grzechotnika a klanami panującymi.

Ludzie mówią, że stroje pani Koh utkane są przez pająki, że pamięta czas, gdy przebywała w łonie matki, oraz że potrafi zmieniać skórę jak wąż. Kult, do jakiego przynależy Koh, Stowarzyszenie Gwiazdnego Grzechotnika w Teotihuacan, zostało powołane przez przesiedlonego ahau o imieniu 11 Xcux Tsuc (Wąż Koraliowy), który 9 sierpnia A.D. 106 założył rodzinę w mieście. Ród rozwijał się powoli przez stulecia i zdobywał silne wpływy. Jednak w tym samym okresie dwie rady, synody miasta, zostały zdominowane przez klany Sępa i Widłogonów. Około osiemdziesięciu lat temu oba klany oraz spokrewnione z nimi rodziny zaczęły umacniać dominację swoich bogów protektorów, szczególnie Huraganu, Pomarszczonego Mędrca i Kotalatcacalanako, wodnej kobiety z kłami, nazywanej Jadeito-

wą Wiedźmą. Stowarzyszenie Grzechotnika zostało ujarzmione i zmuszone do wybudowania muru zasłaniającego widok na piramidę Grzechotnika z placu targowego, gdzie handluje się fetyzami. Wcześniej rynkiem tym władało stowarzyszenie. Może zatem Niebiańscy Tkacze zostali zdziesiątkowani i może będą skłonni zawrzeć ze mną umowę, żeby wydostać się z matni. Cóż, zobaczymy.

Nie mam pomysłu na lepszą strategię. Muszę przyznać, że myślałem o ucieczce i zabawieniu się w Lorda Jima. Może powinienem udać się do jakiejś zapadłej wioski i potem, gdy jej mieszkańcy staną się lucznikami wyborowymi, wmaszerować po prostu do Ix i przejąć władzę. Ale to wymagałoby czasu, którego nie mam.

Zastanawiałem się też, czy jest inny sposób, by poznać Grę i narkotyki, które ją wspomagają. Czy nie ma innego dziewięcioczaskowego Strażnika Dnia, który przebywa bliżej Ix i którego mógłbym pojmać, a potem zmusić do puszczenia farby?

Kiedy jednak wspomniałem o tym 21c, wyraził trzy obiekcje.

Po pierwsze, każdy Strażnik Dnia z kociego klanu wolałby raczej umrzeć, niż dostać się do niewoli. Śmierć jest dla tutejszych ludzi niczym, potrafią popełnić samobójstwo, jeżeli się tylko na nich krzywo spojrzy. A nawet gdyby udało się złapać Strażnika i pilnować, by się nie zabił, nadal nie byłoby żadnego sposobu, by zmusić go do mówienia. To mit, że nie ma człowieka, który nie ugiąłby się przed utalentowanym mistrzem tortur. Tutaj to się nie sprawdza, przynajmniej nie zawsze. Według słów 21c można sprawić, by człowiek wrzeszczał przez całą dobę siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia lat, ale nadal nie odpowiedziałby na żadne zadane mu pytanie.

Po drugie, Strażnicy Dnia w tej części świata mogą mieć przygotowane tylko niewielkie zapasy narkotyków. A 21c pragnie poznać recepturę i zdobyć składniki - tutejsze rośliny lub cokolwiek, o ile uda mi się je znaleźć i mu dostarczyć.

Jak na złość, 21c podał też powód, dla którego nie możemy ukraść zapasów Ocelotów. Jak widzieliśmy na radarze, sieć jaśni i ich odgałęzień ciągnie się w głąb wzgórza od mul Ocelota. W tej chwili w jednej z grot zapewne wykuwany jest grób dla 9 Szponiastego Kolibra. Podobno mieszka tam też niewielka kolonia ofiarników, którzy rzadko wychodzą spod ziemi. I to oni trzymają łapę na narkotykach. Jeżeli nawet znajdziemy miejsce, gdzie przechowują narkotyki, ofiarnicy po prostu połkną proszek i zabiją się, zanim zdążymy zabrać im choć szczyptę. Musicie wiedzieć, że łapówki rzadko się sprawdzają w wysokich rodach. Ci ludzie są całkowicie nieprzekupni.

Czterdzieści lat temu Oceloty zamordowały ostatniego z najlepszych Strażników Słońca, który nie był z nimi spokrewniony. 2ic jest tylko czteroczaszkowym graczem, ale i tak został mianowany seniorem Strażników Dnia w Klanie Orła. Jest też ahau rodu Orła. Wiele lat temu umarł jego ośmioczaszkowy Strażnik Dnia i teraz jedynym graczem na poziomie wyższym niż cztery czaszki, jaki pozostał w Ix, jest n Wir, a ten należy do Ocelotów. I, o ile mi wiadomo, wszyscy dziewięcioczaszkowi gracze przebywający poza Teotihuacan podlegają rodowi z linii Jaguarów.

Czy możliwy jest w tych okolicznościach nowy sojusz i jak przekonać panią Koh, nie mam pojęcia.

Wydaje się, że między Strażniczkami i Strażnikami Dnia istnieje konflikt. Krążą opowieści, że w dawnych czasach większość Strażników stanowiły kobiety i że mężczyźni kastrowali się, by podnieść swój poziom umiejętności w Grze. Niektórzy nadal uważają, że Strażniczki Dnia są lepsze, ale mężczyźni zyskali nad nimi przewagę liczebną. Najwyraźniej grupa Koh obeszła ten problem, zmieniając się praktycznie w mężczyzn. Podobno Koh i inne członkinie Stowarzyszenia Grzechotnika mają nawet żony, to znaczy kobiety-żony lub konkubiny. Chociaż może to tylko lubieżne plotki.

2 Inkrustowana Czaszka twierdzi, że jeżeli wrócę i wypełnię zadanie zgodnie z planem, zamierza rozdać dawki narko-

tyków głowom rodów z Ix niespokrewnionych z Ocelotami, poczym ogłosić, że skoro umie wytworzyć te mikstury, to on, a nie 9 Szponiasty Koliber jest osobą, którą jedyny Ocelot, mityczny założyciel Ix, chce widzieć na tronie miasta. Takie posunięcie powinno osłabić na tyle Klan Ocelota, by 2Ic uzyskał wsparcie innych iksyjskich wysokich rodów. I wówczas będzie mógł poszukać wymówki, by odwołać mecz. Idealnie by było, gdyby inne rody zmusiły Oceloty do ustąpienia i wybrały na ahau miasta 2 Inkrustowaną Czaszkę. Wtedy, jeżeli przeżyłby wystarczająco długo, mógłby opuścić Ix i znaleźć sobie inne miasto, gdzieś na wschodzie. Z tego, co wiemy na podstawie wykopalisk i innych badań archeologicznych, rodzina 2Ic mogła nie tylko przeżyć, ale zdobyć władzę na następne dwieście lat.

2Ic przysiągł, że jeżeli przyprowadzę Koh lub innego gracza na dziewiątym poziomie oraz poznam sposób wytwarzania narkotyków, zadba, bym spoczął w grobie bez inskrypcji, ale oznakowanym ułożonymi odpowiednio kawałkami magnetytu, wraz z informacjami i próbkami chemicznymi. Oczywiście zdaję sobie sprawę, jak wiele pozostało w tym planie zmiennych. Nie wiem też, na ile 2Ic był szczery. Rzecz jasna, będę go obserwował do samego końca, ale chyba mogę założyć, że po kilku długich naradach ja i 2ic wbrew pozorom staliśmy się sobie dość bliscy. Rozumiemy się nawzajem. I na ile mogę się zorientować, ahau Klanu Orła jeszcze ani razu mnie nie okłamał.

Zalążam pięćdziesiąt sześć stron na temat tego, czego już się nauczyłem o Grze. Zobaczycie, że w krótkim czasie przed opuszczeniem miasta 2Ic sporo mnie nauczył - nowych (dla nas) strategii i zasad Gry. Wbił mi też do głowy zasady etykiety, które pozwolą mi grać z każdym Strażnikiem Dnia Majów.

Pewnie się zastanawiacie, czy 2Ic nauczył mnie o Grze wszystkiego, co sam wie. Też się nad tym zastanawiam. Wiem jednak, że nawet gdybym ćwiczył pod jego kierunkiem przez następne dziesięć lat, miałbym szczęście, gdyby udało mi się dotrzeć do poziomu, na którym umiałbym grać sześcioma kamieniami.

A to przecież nic w porównaniu z dziewięcioma. Prawdopodobnie spędziłbym lata, grając, ale nigdy by mi się nie udało odczytać przyszłości na więcej niż jeden k'atun, a i to mgliście, a już na pewno nie na osiemdziesiąt naprzód.

Zatem albo znajdę dziewięciokamieniowego gracza, który dla mnie przeanalizuje partię, albo LEON rozwinie się błyskawicznie, albo narkotyki wykonają za nas większość roboty, albo ludzkość jest stracona. Nie wiem, czy 21c coś przede mną ukrywa, czy ma swojego Strażnika, który sfingował tę całą Grę w jakimś celu. Ale nie sądzę. Jednak, jak doskonale wiecie, nigdy nie byłem dobry w określaniu, co ludzie myślą i czują, jakie mają motywy i zamiary.

21c przyrzekł, że jeżeli nie wrócę z tej wyprawy, ale dostanie te notatki, spróbuje je umieścić w grobowcu razem z innymi materiałami na temat Gry Ofiarnej, jakie uda mu się znaleźć. Obiecał, że grób znajdzie się jak najbliższej strefy docelowej, a nad nim będzie wzór z magnetytu, o którym mu powiedziałem. Nie pokładałbym w 2 Inkrustowanej Czaszce wielkich nadziei, jeżeli odbędzie się mecz... ale mam dobre przeczucie, jeżeli chodzi o Teotihuacan. Ufam, że dotrę tam na czas i może się okazać, że będzie to najbardziej owocna faza naszego przedsięwzięcia.

Raz jeszcze dziękuję Wam za zaufanie, jakim mnie obdarzyliście.

Pozdrawiam serdecznie -

JDL

(załączniki)

Wodospady Nacouitan nazywane są Xcaracanat, Miejsce Połogu.

Tutaj Ziemska Ropucha została okaleczona przy tworzeniu - jej oczy zamieniły się w głązy, potoki i jaskinie, a ocean stał się kałużą krwi której umierała i umiera do dziś. 18 Śmiercionośny Deszcz powiedział, że miała usta na kolanach, łokciach i nadgarstkach oraz *o wiele więcej stawów oraz że każda erupcja to po prostu jej krzyki pragnienia ciała i krwi podtrzymujących jej egzystencję mimo otwartych ran.* Po czym oddał ofiarnikom tragarza, z którego nie byliśmy zadowoleni. Krewniacy usiedli pod baldachimem, poczekali na sprzedawców, po czym zaczęli się z nimi targować. Hun Xoc wrócił z drogi i przykucnął obok mnie.

-Wzięliśmy osiemnaście dwunogich żółwi - oznajmił, co zna-
czyło, że musiał dokupić niewolników, którzy z pewnością nie
będą dobrymi tragarzami.

-Racja - cmoknąłem.

-Nie chodzi o oszczędzanie - dodał. Po prostu niewielu było za-
wodowych nosicieli. Pewnie, że lepiej by było zatrudnić
zawodowców, a nie obszarpanych niewolników, których wcześniej
czy później i tak trzeba będzie zostawić przy drodze albo
sprzedać.

Cmoknąłem, że oczywiście. To znaczy cmoknąłem twierdząco
dwa razy dla większej ekspresji. Do Morza Skrzydeł pozostało jeszcze
dwieście czterdzieści mil, a droga wiodła głównie na zachód. Jeżeli

będziemy wędrowali po dwadzieścia godzin dziennie, może dotrzemy przed Wielką Przerwą. Ale drogi robiły się zatłoczone.

Hun Xoc spojrział na mnie. Odpowiedziałem spojrzeniem.

-Mówię do Szakala czy 10 Scynki? - zapytał zniechęca. Miał talent do zaskakiwania, to trzeba przyznać.

-Szakal odszedł - odpowiedziałem. - Naprawdę nazywam się Jed DeLanda.

-Jed DeLanda? - powtórzył. Wymówił to tak samo jak ja. Był myśliwym i na pewno ćwiczył naśladowanie głosów zwierząt.

-A więc, Jedzie obok mnie, skąd naprawdę pochodzisz?

-Mieszkałem niedaleko IX.

-Kiedy? - indagował.

-W trzynastym *b'ak'tun* - przyznałem. - Podejrzewam, że 2 Inkustowana Czaszka, który jest nad nami, wołałby, aby to nie dotarło do powszechnej wiadomości.

-Owszem.

Ech, wyczułem więź, choć Hun Xoc szybko popatrzył przed siebie.

-Jak tam jest?

-Cóż... Wiemy sporo. Ludzie dużo budują, miasta nawet większe niż Teotihuacan... W trzynastym *b'ak'tun* nie szlibyśmy tędy, ale ślizgalibyśmy się na wielkich włókach z rolkami. Tyle że te rolki są przymocowane do włóków, więc nie trzeba ich podkładać. I posuwalibyśmy się o wiele szybciej niż teraz.

-Ee... Byłeś wcześniej w Mieście Ostrzy?

-Tak, ale w trzynastym *b'ak'tun* to tylko puste kamienie.

-I ty obok mnie naprawdę wiesz, co jest na północnym zachodzie od Teotihuacan?

-Tak.

- Co tam jest?

Powiedziałem, że jeszcze więcej łądu, a potem ocean, a potem znowu łąd po drugiej stronie świata, który przypomina kształtem piłkę. Powiedziałem, że ani ludzie, ani przedmioty nie spadają, bo piłka je przyciąga w taki sam sposób, jak jeden kawałek magnetytu przyciąga

drugi. Powiedziałem też, że świat krąży wokół Słońca, które też ma kształt piłki, tylko że większej i płonącej.

-Ale zerowa skóra też jest rozpalona - zauważył Hun Xoc.

Potwierdziłem, że wewnątrz Ziemi jest w środku gorące.

-Jest pod Xib'alb'a? - zainteresował się.

-Xib'alb'a nie istnieje - mruknąłem. Może zaczynałem się czuć nieco rozdrażniony.

-Wiem, że istnieje. Przecież widziałem.

Richard Halliburton, który był wszędzie, i to co najmniej dwa razy, pisał, że zawsze wprawiał ludzi w zdumienie, gdy zapytany o najpiękniejsze według niego miejsce na świecie, odpowiadał: Meksyk. I chociaż później Meksyk nieco zubożał, ludzi, którzy mieszkają tam lub w okolicy, wcale nie zdziwiłby zachwyty amerykańskiego podróżnika. Wielu mieszkańców twierdzi też, że droga z Veracruz do Puebla jest najwspanialszym szlakiem w Meksyku. Jednak kiedy się próbuje przejść ją w rekordowym tempie, raczej nie wpadnie się w turystyczny zachwyty. Moja wyprawa przepychała się przez tłum i posuwała szybko jak ślimak.

Droga pięła się w góry. Minęliśmy tak wiele nieokreślonych miast--osad, że straciłem rachubę. Zresztą przestałem liczyć po czterysta pięćdziesiątym piątym. Powiedzenie „wioska za wioską” nagle stało się ciałem, brakowało tylko tablicy informacyjnej ze znakiem nieskończoności. Wydawało się bowiem, że osady ciągną się bez końca. Każda miała żalostną małą piramidę, *mul*, otoczoną pierścieniem chat. Gromadki niedożywionych dzieci i nisko urodzonych próbowały zaczepiać co bardziej bezradnych wędrowców.

Późnym popołudniem ruszyliśmy truchtem - a raczej nasi tragarze ruszyli, a my zaczęliśmy poskakiwać na ich nosidłach - między szarymi wzgórzami, a w zasięgu wzroku nie napotkaliśmy żadnej innej grupy podróżnych. Usłyszałem wtedy odgłosy ptaków. Dochodziły z północy. Jednak, co było dziwne, odgłosy wydawały ptaki, które nigdy nie przebywały razem - mewy, kruki, skowronki, tłuszczaki... I nagle spadło na nas kolorowe stado, setki ar żółtoskrzydłych, wielkich czerwono-biało-czarno-niebiesko-żółtych papug, jak latające szympansy

w strojach klaunów i z długimi ogonami. Hun Xoc, który znajdował się zaledwie o kilka kroków przede mną, zeskoczył z pleców tragarza, wystąpił przed szereg, przyłożył zwinięte dłonie do ust i zaśpiewał:

Ah yan, yan tepalob'ah ten Ix tz'am!

Ah ten popop u me'enob nojol...

„Wy wszystkie ary, dumne ary, lećcie do Ix, Lećcie na południowe ziemie, I powiedzcie naszym dziadom, powiedzcie naszym

dzieciom,

Naszym braciom, naszym kobietom, Wyśpiewajcie w naszych ogrodach, na naszych progach, Niech czekają na nas cierpliwie, odważnie. Czekajcie nas, czekajcie nas, czekajcie nas, czekajcie..."

Stado rozpierzchło się, po czym znowu ścieśniło. Zdawało się, że zapada się w sobie, gdy ptaki krążyły nad nami z na wpół złożonymi skrzydłami. Wyglądało to, jakby biel nieba rozpadła się w feerię wszystkich barw tęczy. Parę ptasich kup spadło tuż obok mnie, jedna spłynęła po piersi Łajna Pancernika. Cóż, ciągnie swój do swego, prawda? Papugi podchwyciły piosenkę Hun Xoca i odśpiewały ją zniekształconą na tysiące sposobów, ale nadal rozpoznawalną. Powtarzały refren raz po raz, coraz ciszej i ciszej, gdy zaczęły oddalać się na południe: *t'u men, t'u men* - czekajcie nas, czekajcie nas...

Tej nocy 12 Kajman zmienił tempo z marszu na marszobieg, więc mogliśmy rozprostować nogi bez konieczności zbyt dużego wysiłku. Przypominało to trochę sposób, w jaki skauci zwykli przebiegać trzydzieści kroków, po czym iść tyle samo - w wersji Majów było to jednak około dziesięciu tysięcy kroków. Po trzydziestu paru rundach ujrzeliśmy Citlaltépetl - największy wulkan w Meksyku. Po hiszpańsku Orizaba, ale 12 Kajman nazywał go Tam, Gdzie Krostowaty Wskoczył do Paleniska. Z krateru unosiła się smuga dymu, a może była to po prostu chmura. Ostatni raz wulkan wybuchł dwa tysiące

lat temu, licząc od obecnego czasu, a kolejna erupcja nastąpić miała nie wcześniej niż w 1687 roku.

Na drogę padł cień i przez chwilę myślałem, że nadchodzi burza lub lawina piroklastyczna po niedawnym wybuchu gdzieś w pobliżu, ale okazało się, że to znowu ptaki - tym razem gołębie. Kilka spikowało dość nisko, ale miałem problemy z przypomnieniem sobie, co to za gatunek, ponieważ miały białe podbrzusza i czerwono-miedziane piersi, w nieokreślonym ciepłym odcieniu. I wtedy do mnie dotarło: to gołębie wędrowne. Wszystkie w stadzie równocześnie zmieniły kierunek lotu. Niebo przypominało teraz las topoli lub osik, przez który nagle przetacza się podmuch wiatru i odwraca liście, przez co krajobraz nieoczekiwanie zmienia barwę. Gołębie nadlatywały z zachodu i kierowały się do Nacananomacob, Morza Skrzydeł. Jeszcze godzinę później widać było na niebie mniejsze grupy tych ptaków. Aż trudno uwierzyć, że udało się je wytępić, a jeszcze bardziej niewiarygodne wydawało się, że nadejdzie czas, gdy przy życiu pozostanie tylko jeden gołąb wędrowny i ten jeden gołąb umrze 1 września 1914 roku o 12:30. W południe musieliśmy zatrzymać się przy Tapacanoc, czyli Wzgórzu Nosa, z powodu tabu dotyczącego kierunku. A może powinienem raczej powiedzieć - wektora. Chodzi o to, że podczas wędrówki w określoną stronę należy przedstawić się odpowiednim bóstwom opiekuńczym, na przykład zamieszkującym niektóre góry. I trzeba to uszanować. W tym przypadku chodziło o Hun Zotz - Jedynego Nietoperza - który żył na zachodzie i był niedyspozycyjny aż do zmroku. Nikt nie chciał mi wyjaśnić, w czym problem, ale odniosłem wrażenie, że on chyba był „oną”, która właśnie dostała swojego niebiańskiego okresu. Co było cholernie wkurzające. Nakazywałem sobie spokój. Ale i tak wiedziałem, że nieważne, jak daleko jestem od celu, chodzi o to, by do niego zdążyć. Właśnie takie myślenie doprowadziło mnie tu, gdzie byłem teraz.

W pięć dziewiątych nocy zaatakował Czerwony Pożeracz - to znaczy nastąpiło częściowe zaćmienie tarczy księżyca. Zapewne Pożeracz miał oczy jak sowa i mógł nawet w ciemności dostrzec ruch. Na dodatek sprzyjał Ocelotom. Dlatego musieliśmy się zatrzymać i rozbić

obóz na zachwaszczonym ugorze zbyt blisko szlaku. Wokół rozlegały się krzyki i piski, niektóre daleko, inne zbyt blisko jak na nasz gust, gdy ludzie próbowali przepłoszyć cień. Słyszałem zarówno krzyki starców załamujące się na starożytnych wyrazach z narzeczy, jakimi tutaj bełkotano, jak i słowa z dialektów dalekich stron, którymi posługiwali się podróżnicy i uchodźcy nocujący w Choula, a do harmidru dołączyły nawet psy, oswojone małpy saimirí i dzikie koty, akompaniując ludziom szczekaniem, wyciem, skrzekiem i powarkiwaniami. Wspiąłem się na ramiona Łajna Pancernika, by popatrzeć nad wysoką trawą na obracające się w ruinę miasto. Pięćdziesiąt dwie nisze widoczne z tej strony na podobnej do kopca mrówek *mul* zabłysły w mroku, gdy ofiarnicy rozpalili ognie.

Rdzawy cień sięgnął do *Mare Vaporum*. Rozległ się ponury akord septymowy, który rozpoznałem dzięki pamięci słuchowej Szakala jako dźwięk długich cienkich meksykańskich trąb. Zabrzmiały po raz pierwszy podczas tej podróży i wywołały odruchowy dreszcz. Za osiemset pięćdziesiąt cztery lata Aztekowie zagrają na nich, by przestraszyć i odpędzić Corteza. *Mul* świeciła i dymiła jak wulkan. Wreszcie czerwony cień Pożeracza cofnął się - zgodnie z przewidywaniami, o czym chciałem nawet powiedzieć, ale miałem nie przyciągać uwagi, więc milczałem. Rozległy się syczące wiwaty, które ucichły, by potem zmienić się w cztery czy pięć ścierających się wersji piskliwego hymnu, niez mordowanie powtarzanego raz za razem w nierytmicznej fudze. Księżycowa Królicza zabłysła nad wierzchołkiem rozżarzonej czerwono *mul* i z wahaniem, jakby próbowała zdecydować, w którą stronę ruszyć, przesunęła się dalej. Nie spałem tej nocy, ale trochę drzemałem.

O świcie wrócili zwiadowcy i powiedzieli, że Tam, Gdzie Żyje Babka - czyli nieopodal San Martin Texmelucanon, głównego traktu wiodącego nad jezioro - wybuchły zamieszki, więc zdecydowaliśmy, że pójdziemy do bliższego południowego szlaku wiodącego na *altiplano* - płaskowyż przy Paseo Cortés. Droga pięła się ze wzgórza na wzgórze, jak zerodowane gigantyczne schody. Minęliśmy setki akrów niedawno wypalonych ściernisk i wyciętych lasów, znaczonych dy-

miącymi wapiennikami przypominającymi ogromne ule. Wkrótce nawet te nieliczne drzewa o twardych pniach, które zostawiono ze względów religijnych, znikną. Zbocza porośnie trawa sawanny i sosny *Pinus cembroides*. Ludzie tutaj żyli w kamiennych domach i uprawiali drobną czarną kukurydzę. Stosiki obsydianowych odłamków błyskały między kamieniami. Obsydian dla Teotihuacan był tym, czym stal dla Anglii lub Niemiec w okresie rewolucji przemysłowej. Istniał na niego niewyczerpany popyt na całym świecie i - jak stal - wyznaczał wektor rozprzestrzeniania się wirusa militarizmu.

Wąskie ścieżki schodziły się w główną drogę. Zapach cedru unosił się wszędzie, lecz nie pochodził z żywych drzew, a od załóg niosących pnie z północno-wschodnich lasów. Nocą temperatura spadała do prawie czterech stopni i jak dla nas stanowiło to już klimat polarny. Nasze psy wypłoszyły cietrzewie i bekasy z zarośli jałowca, a 2 Ręka zaskakująco sprawnie zabił kuropatwę oszczepem. Za karę 12 Kajman kazał mu oddać zdobycz miejscowym - za to, że złamał rytm. Moje kolana miały się lepiej i próbowałem nawet biec, ale gdy zobaczyłem szczyty, straciłem zapał i wróciłem na nosidło. Niech „prole” się wykażą. Polityczną poprawność zostawiłem już dawno za sobą.

Wspominając o szczytach, miałem, rzecz jasna, na myśli Itzacihuatl i Popocatépetl po lewej stronie oraz daleko na prawo - wulkan Tláloc. Nasze nazwy to 1 Dom Hunahpu, 7 Dom Hunahpu oraz 18 Wściekły Chac. Większość stożków w tej okolicy była martwa od epoki lodowcowej, ale Popo czasami przejawiał nieznaczną aktywność, może solidaryzował się z San Martin, i na jego wschodnim zboczu zbierały się kłęby pyłu. Od czasu do czasu jednak wybuchał, choć słabo - może półtora punktu w skali eksplozywności wulkanicznej VEL. Gdyby to był rok 1345, 1945 lub 1996, wtedy byłibyśmy w tarapatkach.

Dwudziesty dzień od opuszczenia Ix był słoneczny, na niebie pojawiły się tylko strzępiaste pojedyncze obłoki płynące na wschód. W południe minęliśmy najwyższy punkt szlaku. Morze Skrzydeł, w dużej mierze osuszony w moich czasach kompleks jezior w Dolinie Meksykańskiej, rozciągało się cztery tysiące siedemset siedemdziesiąt stóp poniżej, otoczone mandorlą z łuków dwóch sierr. Z góry dobrze było

widać, jak wielka i szeroka jest pozbawiona fal powierzchnia wody, że przy łagodnych brzegach ze skał i osadów wulkanicznych rośnie sitowie oraz rzęsa wodna o jasnozielonym, niemal miętowym odcieniu, który płynnie przechodzi w srebrzyście lustrzaną, nienaruszoną nawet jedną zmarszczką taflę niczym rtęć, nie woda.

Najdalszy punkt znajdował się ponad czterdzieści mil od nas, ale można było dostrzec, że niecka jest zamieszkała. Przy jeziorze rozrzucone były wioski, a od nabrzeży wysuwały się groble i pomosty, przy których tłoczyły się canoe, barki oraz wielkie okrągłe tratwy.

Przynajmniej nie muszę się zastanawiać, dlaczego nazwano to miejsce Nacananomacob - Morze Skrzydeł, pomyślałem. Stada *bach haob'* i *halach bach haob'*, czapli i białych ibisów, gromady *kuka'ob'*, tygrysek nagobrodych, brodzących na płyciznach, polujące nieco dalej za strefą zieleni *bich ha*, żurawie kanadyjskie, poruszające się na sztywnych nogach parami jak zmarznięci na kość piechurzy napoleońscy. Populacja epoletników krasnoskrzydłych wzbiła się w powietrze z odgłosem przypominającym skrzywienie nienaoliwionych zawiasów i na chwilę błękit nieba niemal całkowicie zniknął, przesłonięty setkami hitchcockowskich ptasich rojów, które nagle w swoim kolektywnym mózdzku zmieniły zamiar i jednak uznały, że mogą wylądować. Nacananomacob, pomyślałem. **Νεφελοκοκκυία**. *Nephelococcygia*. Kraina Kukułczych Stad.

Zaczelśmy schodzić. Owiało nas powietrze, specyficzne i charakterystyczne tylko dla okolic przy wysoko położonych jeziorach, wilgotne, lecz zbyt rozrzedzone, by mogło utrzymać dużo wilgoci. Im niżej, tym dokładniej można było zobaczyć, jak bardzo zurbanizowany jest ten obszar. Co większe wysepki zostały zabudowane jak Mont Saint-Michel. Ludzie zmuszeni byli stawiać chaty coraz bliżej jeziora, a nawet na jeziorze, na stosach głazów, na palach i - jak się zdawało - na niczym. Peryferie Teotihuacan, jak peryferie prawie wszędzie na świecie niezależnie od czasów, w dziewięćdziesięciu procentach stanowiły dzielnice biedoty. 12 Kajman powiedział, że większość tutejszej ludności żyje z datków i zapomóg, uzależniona od różnych klanów i członków różnorodnych stowarzyszeń niosących pomoc. Zapewne

datki Grzechotnika są jednymi z największych. Członkowie tego stowarzyszenia rozdawali długie plecione ciastka z manioku podobne do *churros*, hiszpańskich faworków o przekroju gwiazdy smażonych na tłuszczu, a płacili za nie z danin dla bogów i opłat za Grę.

Dwa tysiące stóp nad poziomem jeziora przekroczyliśmy izobare i powietrze znowu się zmieniło. *Kos*, śmiejący się sokół, spikował na sznur cyraneczek modrych, lecz te zakwakały, zamachały skrzydłami i uciekły. Zielone zimorodki opiekowały się młodymi. Rybołów wbił się w taflę, zniknął pod wodą i wypłynął po długiej chwili, ale bez zdobyczy. Dwa *halach pocob*, bociany żabiru z czarnymi głowami, białymi tułowiami i czerwonymi szyjami, jak zakonnice dominikanki z poderżniętymi gardłami, spacerowały wśród sitowia, nie okazując niepokoju, jakby wiedziały, że karą za ich zabicie była śmierć przez ucięcie penisa. Dostrzegłem tu nieliczne stada gołębi inka oraz jeszcze trzy inne ich odmiany. Wielu z tutejszych ptaków nie widziałem nigdy w życiu, nawet na zdjęciach - i na pewno nie były to młode lub tokujące samce w godowym upierzeniu. Krótko mówiąc, napotkałem tu tyle nieznanymi gatunków i odmian, że ornitolog David Allen Sibley dostałby ataku serca z wrażenia. Zapewne mógłbym zrobić listę i przesłać do dwudziestego pierwszego wieku, może nawet jeden z nieznanymi gatunków nosiłby moje imię? Pewnie nie zajęłoby to wiele miejsca...

Tłum w dole zaczął pokrzykiwać, a kiedy do niego doszliśmy, wyjaśniła się przyczyna napięcia: trwał właśnie amatorski mecz. Zawodnicy odbijali dużą drewnianą piłkę krzywymi kijami jak do walijskiego hurlingu. Nasza grupa minęła prowizoryczne boisko i weszła się w gromadę zamaskowanych suplikantów na długich krętych ramkach. Większość dźwigała kosze wypełnione kośćmi. Nieśli szkielety swoich rodziców do ossuarium w wiecznym mieście, gdzie na podpisanych kamieniach będą czekać na resztę rodziny. A ptaki były wszędzie. Wydawało się niemożliwe, żeby zaznać tu głodu. Wystarczyło wyciągnąć rękę i wziąć sobie obiad. I pewnie na każdy tysiąc ptaków, które się zjadło, pojawi się następne dziesięć tysięcy. A przynajmniej tak się wydawało ludzkim mieszkańcom kotliny.

Mijaliśmy setki otwartych warsztatów na dziedzińcach niskich, biało tynkowanych składów - na trzech rzemieślników dwóch zajmowało się piórami. Myśliwi wyciągali żywe ptaki ze zwiniętych sieci, skręcali im karki i sortowali w stosy według gatunków, podczas gdy rachmistrz wrzucał kamień do jednego z glinianych garnków, by policzyć rodzaj, a ogólnej rachuby dokonywał przy pomocy węzłów na sznurze. Jedna kobieta oprawiała i skórowała zdobycz, druga skubała, myła i sortowała. Przypominało to trochę pralnię produkcyjną Forda, gdzie każda osoba wykonuje tylko określone czynności, składające się na większą procedurę. Niektóre rodziny specjalizowały się w skubaniu bez zabijania i kiedy przechodziło się obok ich warsztatów, słychać było tylko czaple oraz czakalaki skrzeczące i wrzeszczące, jakby trafiły do dantejskiego piekła. Później pozbawione piór ptaki kuśtykały po podwórzach, dziobały kawałki ryb lub rozrzucone resztki kukurydzianych ziaren i machały nagimi skrzydłami przypominającymi zdeformowane ramiona ofiar talidomidu. Cywilizacja Majów opierała się na piórach, tak jak Anglia na wełnie. A my przynieśliśmy tutaj jeszcze dwa włóki pełne piór. Jednak to wcale nie było wnoszeniem drewna do lasu - tutejsze pióra miały inne barwy niż nasze. Można tu było znaleźć mnóstwo czarnych, białych, szarych, brązowych, brunatnych, błękitnych, różowych i czerwonych. My przynieśliśmy ciemnozielone w różnych odcieniach, fioletowe, niebieskie, ciemno-niebieskie, turkusowe i złoto-zielone.

Wokół nas tłoczyło się społeczeństwo. Większość stanowili ludzie, o których zaczynałem myśleć jako o *maala baob*, osobnikach niedo-rastających mi do pięt. Może powinienem pozostać zwolennikiem tolerancji, ale tutaj rasizm był cnotą.

Przepychaliśmy się przez ciżbę. Czasami jedyne, co widziałem nad morzem głów, to mile rozwieszonych na rozwidlonych palach sieci rybackich. Hun Xoc wyszeptał, że 14 Zraniony powinien przynajmniej wyjść nam na powitanie nad brzeg jeziora. O naszym przybyciu dowiedział się cztery dni temu od naszych posłańców - nie trzymaliśmy gołębi pocztowych, nie chcieliśmy też używać systemu

ognisk-semaforów na szlakach z wybrzeża - więc miał dość czasu, by się przygotować.

-14 Zraniony odgrywa Siódmą Arę - rzekł Hun Xoc. Co znaczyło mniej więcej, że trzyma się na dystans.

-Aha - cmoknąłem. Zmrużyłem oczy. Przede mną ciągnął się rząd niskich, jakby ceremonialnych łuków oddzielających drogę od grobli, która ciągnęła się na dwie mile przez rodzaj rozlewiska łączącego się z jeziorem. Po bliższym spojrzeniu okazało się, że na łukach odgradzających moło są czaszki.

Szlag, pomyślałem. Przez to możemy zyskać opinię rzeźników. W domu zabijaliśmy tylko paru celebrytów i od czasu do czasu niegodziwców. Tutaj chyba wykonywano karę śmierci na kimkolwiek, kto choćby krzywo spojrzał na niewłaściwą osobę, po czym wystawiano czaszkę na palu jak trofeum. Te najdalej na zachodzie były tak stare i zerodowane, że nie dało się rozpoznać, czy to ludzkie. Tutejsi mieszkańcy nie mają za grosz finezji, uznałem.

Za pomocą podarunków czy też łapówek wykupiliśmy sobie wejście na groblę. Dotarliśmy nią do małego półwyspu, skąd peoni załadowali nas na dwie tratwy. Każdą sterowało czterdziestu mężczyzn z długimi tyczkami. Popłynęliśmy na wschód i północ, do Tammoanowacananac, czyli portu przy Teotihuacan. Minęliśmy wyspę, gdzie tylko warzyło się sól i gdzie krótkowłosi niewolnicy wydobywali wodę z jeziora przy pomocy systemu żurawi i czerpaków, po czym wlewali ją do pokrytych białą skorupą rynien. Szkarłatny ibis spojrzał na mnie, jakby wiedział więcej niż ja. Jak Tot, ten egipski bóg mądrości, pomyślałem. Ciekawe, jakim bogiem jest tutaj.

Nad wzmocnionym kamieniami nabrzeżem wznosiła się prowizoryczna palisada z tysięcy ściętych drzew, z gałęziami wyciągniętymi nad jezioro, by utrudnić atakującym pokonanie ogrodzenia. Przybliżyliśmy do szczeliny w tym drewnianym murze i starając się zachować godną postawę, co nie jest łatwe przy schodzeniu z chybotałiwej tratwy, wkroczyliśmy do Babel.

Miastá takie jak - powiedzmy - Marrakesz, Benares czy inne podobnie wyglądają uroczo na filmach w Travel Channel, ale kiedy się je odwiedzi, okazuje się, że panuje tam smród i ubóstwo. Wtedy nie marzy się o niczym innym, jak tylko o powrocie czym prędzej do Tenafly czy innej wiochy, skąd się przyjechało - i to jak najszybciej.

Tamoanatowacanic było jak Benares bez filmowego podkładu muzycznego. Mieszkało tu chyba z osiem tysięcy ludzi - a przynajmniej tyłu widziałem - tłoczących się na brzegu i próbujących przejść gdzieś indziej. Tragarze mnie podnieśli, więc miałem widok nad głowami tłumu.

Znajdowaliśmy się w otwartym kręgu, czy może raczej pomerium - okręgu wyznaczającym granicę miasta - o średnicy tysiąca ramion, między murem nad brzegiem za naszymi plecami a zrujnowaną palisadą ze stanowiskami obserwacyjnymi przed nami od wschodu. Miejsce sprawiało prowizoryczne wrażenie, jakby nagle porządny park zmienił się w slums, gdzie nędzarze rozstawili namioty, jurty, szałas z płacht albo tylko rozsiedli się na gołej ziemi. Dwudziestki oszczepników z Klanu Widłogona przepychały się przez tłuszczę, grożąc nazbyt agresywnym pielgrzymom biczami z włókien palmowych. Krewniak na końcu każdej grupy niósł trzydziestostopową tyczkę z wielką tarczą z piór zwisającą na około pięć ramion. Każda tarcza miała inny wzór - zapewne było to coś w rodzaju sztandaru oddziału. A na szczycie tyczki opalona skóra kogoś, kto wszedł tam,

gdzie nie powinien, lub zrobił coś, czego nie wolno, łopotą głucho jak wilgotna flaga przed muzeum.

W tym świecie strój był paszportem. Przez tłum pomagał nam się precyzyjnie oddziaływać oszczędnie. Tylko dla VIP-ów, pomyślałem. Przedzierał się przez gromady plebejuszy. Teraz umiałem już odróżnić klany i pochodzenie na podstawie ubiorów i tatuaży, a w bonusie z pamięci Szakala wpływały odruchowo powiązania i status, wszystko zaprawione wyraźną pogardą. Na przykład: pomarańczowe sari noszone przez krępych, niskich i zakurzonych mężczyzn wskazywało, że to Cacaxtlanie, a trochę dalej wysocy, muskularni kopułogłowi - szlag, zaczynam używać przezwisk, co tutaj stanowiło przejaw dobrych manier, ale w dwudziestym pierwszym wieku wręcz przeciwnie - osobnicy z opalenizną w stadium przedczerniakowym i z popełkaną od słońca skórą, pochodzą z Chanacu, to proto-Mixtecy, z gór wokół Zampoalpetl. Związana linami grupa wysokich i szczupłych asteników ze strupami i pokutnymi woreczkami przywiązanymi do kostek okazała się nie kontyngentem niewolników, lecz ludźmi z Yaxacan, leżącego na najdalszym północno-zachodnim krańcu doliny, którzy musieli odpracować dług. Drobni, bladzi i przygarbieni, niemal nadzy osobnicy z wydatnymi, ozdobionymi ustami i glinianymi miskami z rytym wzorem przybyli z bardzo dalekiego południa, może nawet z Costa Rica, i sprzedawali kute ze złota małe żaby oraz owady, co w tej części świata było zupełną nowością. Pomniejszy król Zapoteków, okryty klekoczącymi łuskami z żółtych muszli, jechał na plecach umięśnionego giganta, mającego chyba z siedem stóp wzrostu. Dostrzegłem także przybyszy wyglądających na ludzi z zachodu: *Taxcanob* z wybrzeża Pacyfiku i plemię, którego lokalizacji nie umiałem sobie przypomnieć, rybaków ze skórami węgorzy i zębami rekinów. Czterech z nich kucą wokół wyciśniętych w ziemi dziurek tworzących kształt krzyża i grało w uproszczoną wersję Gry. Reszta stała nad nimi i głośno kibicowała. Co za durnota, pomyślałem. Pełna Gra Ofiarna i to, w co grali ci ludzie, różniły się tak, jak finały turnieju brydżowego i rżnięcie w czarnego piotrusia. Prawdziwa Gra Ofiarna jest tysiąc razy bardziej skomplikowana.

Hun Xoc wskazał grupkę wysokich mężczyzn odzianych w jelenie skóry. Pochodzili z dalekiej północy, a przynajmniej tak wyglądali. Podróżowali tu chyba latami przez pustynię i - chociaż to brzmi niewiarygodnie - mogli przybyć aż z Ohio, znad Mississipi. Handlowali błękitnymi kamieniami, które tutaj osiągały zawrotne ceny, ponieważ takich kamieni jeszcze na terenach Majów nie znano. Były to turkusy. Przed nami rozległy się odgłosy bójki, a obok przemaszerował niezależny licytator, który zajął się sprzedażą dzieci pielgrzymów, by ich rodzice mogli przejść do miasta. Właśnie podniósł czteroletniego chłopca, by dobrze go pokazać potencjalnym klientom. Trzymał go za sznur, który pętał nadgarstki i kostki. Dziecko straciło równowagę i pisnęło przestraszone. Oddział krewniaków z jakiegoś niskiego klanu zawrócił obok nas. Po wysoko upiętych włosach rozpoznałem ludzi z Yucatec. Natomiast faceci ze spiralami wypalonymi na skórze po lewej stronie ciała na pewno przywędrowali z Colima, by kupić jak najwięcej glinianych naczyń. Zastąpią one wyposażenie, które zostanie rozbite podczas Cisy. Najprawdopodobniej - a nie byłem jeszcze całkiem tego pewien - chodziło o to, że wszystko, co ma duszę, czyli cokolwiek, czego się używa, jak broń czy narzędzia, lub nawet miska, może łatwo zostać opętane podczas czuwania, a potem zaatakować właściciela. Wyobraziłem sobie gospodynię domową machającą bezradnie ramionami, gdy atakuje ją rój sztućców i garnków w wykafelkowanej kuchni. W każdym razie należało zniszczyć potencjalnie groźne sprzęty i zacząć od nowa. Zresztą może to był tylko chwyt marketingowy, by można było sprzedać więcej towarów. Gdy sprzęt się starzeje, klienci zwykle wymagają nowych wzorów i pomysłów, a tak nie trzeba się przejmować, skoro wystarczy wszystko uprościć do zaplanowanego zniszczenia w określonym czasie.

Przeciskaliśmy się do palisady. Odsunąć się, idą vip-y. Ale to wcale nie wydawało się łatwe. Szereg krewniaków Widłogonów - najmocniejsza brama, jaka mogła powstać w czasach pokoju - strzegł jedynego przejścia za mur. Dalej przez parę unoszącą się z setek łaźni można było dostrzec terasowe zbocze zabudowane krytymi świeżą

strzechą składami oraz stopy okorowanych i wygładzonych pni. Zacząłem się już martwić, czy nie pokonaliśmy długiej drogi na darmo, kiedy dostrzegłem, że dochodzimy do gościnnie nastawionej formacji krewniaków, a 12 Kajmanowi salutuje pięciu Majów w kwinkun-ksie, którzy jakby wyrosli spod ziemi. Hun Xoc wskazał mi jednego z nich: sławnego 14 Zranionego, adoptowanego bratanka 2 Inkrustowanej Czaszki.

Wydawało się, że 14 Zraniony ma na sobie więcej klejnotów, niż wymaga okazja, ale był nieco niższy niż przeciętny dobrze urodzony Maja i nawet w masce sprawiał wrażenie niczym się niewyróżniającego. Był dowódcą czegoś w rodzaju misji handlowej Klanu Orła w Teotihuacan. Właściwie trudno to opisać, bo kwestia była bardziej skomplikowana. Orły stanowiły część czegoś w rodzaju międzynarodowej federacji rodów spod znaku ptaków spokrewnionych z orłami i 14 Zraniony prowadził interesy przede wszystkim z nimi. Lecz co ważniejsze, 14 Zraniony trzymał w garści handel większości doliny i nawet jeżeli nie był obywatelem Teotihuacan (choć definicja wzmiankowanego obywatelstwa należała do bardzo płynnych), to na pewno miał mnóstwo przyjaciół w najwyższych kręgach władz miasta.

14 Zraniony stał pośrodku kwadratu, którego wierzchołki tworzyło czterech adoptowanych krewniaków. Byli to przesiedleni rolnicy *Ixob*, zapewne uchodźcy, których dowódca misji tak czy inaczej włączył do swojego klanu. Chociaż ich twarze miały charakterystyczne rysy Majów, jednak emanowała z nich obcość przybyszy z dalekich stron. Może to przez sposób niedbałego noszenia mant, a może przez czerwonawe lśnienie skóry posmarowanej psim tłuszczem. Mieli też *tanasacob*, czyli ozdoby w kształcie grzebieni, które zawieszano, przeciągając rzemień przez przegrodę nosową tak, by wisior znalazł się tuż nad ustami. Przypominało to trochę podkreśzonego wąsa, tak modnego w okresie wiktoriańskim w Anglii, i sprawiało, że czterej krewni wyglądali poważnie, ale i groźnie. Grzebienie zdecydowanie utrudniały także odczytanie wyrazu twarzy. Zapewne to właśnie był powód noszenia *tanasacob*, w mieście z założenia wolnym od prze-

mocy pokazywanie zębów stanowiło zbyt wyraźny przejaw agresji. Podobno również z ust ludzi mógł wydostać się zły powiew niosący wrzody - co, jak się zastanović, nie było dalekie od prawdy. Grzebienie pełniły rolę amuletu odwracającego złe spojrzenie, a w tym przypadku - zły oddech. Jeżeli *tanasac* oderwie się lub odpadnie, należy zasłaniać usta dłonią, jak to robią chichoczące Japonki.

Nie przyszło to łatwo, ale udało nam się połączyć siły i uzyskać dla siebie trochę wolnego miejsca w tłumie.

-Pozwólcie nam, proszę, ugościć was, nie odmawiajcie naszych potraw - powiedział 14 Zraniony. Miał melodyjny, choć nieco ochrypy głos starego palacza. Niewiele można było wyczytać z jego twarzy, lecz w oczach czaiło się rozbawienie.

-Dziękuję twoim panom za gościnę dla naszych krewnych - odpowiedział 12 Kajman uprzejmie. Hun Xoc rozwinął matę podarunkową i 12 Kajman położył na niej zawiniątko z najlepszymi cygarami z wyżyn.

Wykonaliśmy cały obowiązkowy taniec powitalny. 14 Zraniony dotknął swojego ramienia, salutując mi, ale nie jak równemu sobie, raczej jak młodszemu bratu. Wcześniej gościł już 12 Kajmana i dwóch innych krewnych z naszej grupy. Ale nie odwiedził Ix od ponad dwudziestu lat, więc na szczęście ani on, ani żaden z jego domowników nigdy nie widzieli Szakala. Odpowiedziałem mu salutem przeznaczonym dla zwierzchnika. To nie była pora na prychanie i ustalanie porządku dziobania.

Tymczasem tragarze, którzy przepychali się za nami przez tłuszczę, nareszcie dołączyli do grupy. Opasali nas kręgiem, niczym lina owinięta wokół wiadra. 14 Zraniony niechętnie podzielił się swoimi obawami. Jak powiedział, ród Widłogona postanowił wcześniej zamknąć drogi, więc musimy czym prędzej ruszać. Jasne, pomyślałem, a niby co robiliśmy przez cały ten czas? Leżeliśmy brzuchami do góry i żarli popcorn? Dureń.

Uformowaliśmy się w szyk typu „spotkanie ze względnie ważnymi obcymi”, czyli półokrąg z trzech szeregów krewniaków ustawionych od najwyższej do najniższej rangi z 12 Kajmanem w środku. Mnie

ustawiono na pozycji „drugi młodszy obok najważniejszego”, żeby nie musiał nic mówić.

Tutaj wszystko załatwiano za kulisami. Trzeba było znać kogoś ważnego. 14 Zraniony dogadał się wcześniej z Widłogonami. Ściana krewnych z ptasiego klanu rozsunała się powoli i zamknęła, gdy tylko ostatni z naszej wyprawy minął przejście. Zupełnie jak ameba pochłaniająca wrotka. Gdyby to była prawdziwa brama, nie ludzka, zapewne część hołoty próbowałaby się przepchnąć za nami. Znaleźliśmy się na przestrzeni między palisadą a przejściem na szczyt wzgórza ciągnącym się na jakieś tysiąc ramion. Leżały tu stopy drewna na opał, a bawełniane manty suszyły się na sznurach, jak na tyłach pola campingowego dla przyczep turystycznych. Choć ciężko było znaleźć odstęp szerszy niż na łokieć, udało nam się wyszukać pasaż. Tragarze rozdzielili ładunek między siebie i unieśli nad głowy części po rozmontowaniu wózków. Wydawali się zasmuceni, że musieli się z nimi rozstać. *Same ja wręście pokochałem pęta**. Wkrótce kilku dziwacznym osobników z teotihuacańskiego rodu zwanego Żurawiami przejrzało zawartość pakunków. Chyba pełnili tu funkcję inspektorów podatkowych. 12 Kajman i przywódca Żurawi wytargowali dary za przejście na wzgórze - coś w rodzaju myta. Rachmistrz przeszedł dookoła tragarzy, zawiązując motylkowe węzły na parcianym, włóchatym sznurze. Wyjęliśmy broń i kilka zakazanych przedmiotów, jak na przykład zielone tkaniny czy cokolwiek wykonane ze skóry węża oraz wyposażenie do gry w piłkę. Mecze dużymi piłkami uznawane były tutaj za starcie wojenne, właściwie można chyba powiedzieć, że *pitzom* uważano za jedną ze sztuk walki - dlatego w Teotihuacan jej zakazano. Dozwolone były wyłącznie lacrossopodobne czy też hokejopodobne rozgrywki piłkarskie, jakie widzieliśmy przed palisadą, a te nie liczyły się w żadnym oficjalnym rankingu. Hun Xoc i pozostali gracze musieli owinąć odciski na kolanach i ramionach plecionymi opaskami - w tych okolicach zawodowych graczy nie darzono szacunkiem.

* George Gordon Byron: „Więzień Czylonu”, w przekł. Franciszka Morawskiego, „Pisma zbiorowe wierszem i prozą”, Przekłady - tom III, Poznań 1882.

- Wolno mi przynieść gówna w brzuchu? - zapytał rachmistrza 2 Ręka w dialekcie naszego rodu. Co znaczyło: muszę to tutaj zostawić?

Rachmistrz odparł, że nie rozumie.

- Albowiem chciałbym to odzyskać, gdy odchodzić będę - wyjaśnił 2 Ręka.

Wszyscy musieliśmy włożyć ciemnoszare manty i *tanasacob*, grzebieniowate ozdoby zwisające z nosa nad ustami. Ale chociaż moją zrobiono specjalnie dla mnie - nie było nawet mowy, by założyć cudzą - nie pasowała. Niech ją szlag. Nie wolno paradować z obnażoną twarzą po świętej dolinie. Nawet służba musiała obwiązać sobie usta szmatami, jak bandyci z Dzikiego Zachodu. W każdym razie trudno sobie wyobrazić bardziej irytującą męską ozdobę niż *tanasete*. Widywałem czterocalowe kolczyki sromowe, które były bardziej wygodne. Chyba...

Zarządca masek przebiegł nasze szeregi wzdłuż i wszerz, by nas przygotować, jak charakteryzator przed pokazem mody. Potem tujejsi akolici pokazali nam ceremonialne zasady. Były obce, ale i tak musieliśmy się dostosować i robić, co nam kazano. Zapewne tak samo mistrz ceremonii mógłby pouczać księcia Walii, co ma robić, gdzie usiąść i kiedy wstać podczas jakiejś gali. Każdy z nas, nawet niewolnicy, musiał powtórzyć krótką przysięgę pokoju, zarówno w rodzimym języku, jak i teotihuacańskim. Tutejsze narzecze było aglutynacyjne, przyłączane afiksy zdawały się wydłużać wyrazy w nieskończoność, do tego jeszcze dziwnie ściągnięte samogłoski okazały się niemożliwe do wymówienia dla większości z nas. Rota przysięgi stwierdzała, że nie będziemy grozić nikomu bronią, nie podniesiemy jej na nikogo, zawsze będziemy zasłaniać usta i pojawimy się, by nakarmić bogów w południe i o zmierzchu. Następnie należało wrzucić w ognisko część swojego ubioru. Na szczęście podczas przygotowań przywiązano nam do kostek kokardy właśnie na tę okoliczność. Przygotowacze właśnie zasłużyli sobie na premię, pomyślałem. Już chciałem wrzucić w ogień przepaskę biodrową. Potem musieliśmy przejść przez linię wyznaczoną zerwanym o poranku powojem, barierę dla *uay*, której

żadne niewidzialne i złe stworzenie nie mogło przekroczyć. Na koniec turyferariusze owiali nas dymem z wielkich fajek i wręczyli małe przedmioty z gliny.

Popatrzyłem na swój z miną: „Dzięki, ale co, do cholery, mam z tym zrobić?“, zupełnie jak podczas ceremonii zakończenia nauki w Yale, gdy dostaje się gliniane fajeczki i tytoń. Tutaj był to podłużny kawałek nieglazurowanej gliny, świeżo wypalonej, z dwoma zagłębieniami. Ach, jasne. W zagłębieniach znajdowały się drobno pokruszone węgielki z żywicą i szkarłatnym pszczelim woskiem zmieszonym z dodatkami zapachowymi. Dostałem małą kadzielnicę.

Wykonaliśmy gesty pożegnalne i skierowaliśmy się szeroką drogą na wschód, mając jezioro za plecami. Dostrzegłem, że wkrótce czterech wysokich mężczyzn, odzianych jak akolici z Klanu Widłogona, dołączyło do naszej grupy. Myślowcy, przemknęło mi przez głowę. To znaczy szpiedzy. 12 Kajman wyjaśnił, że to *tsazcalamanob*, przewodnicy lub gospodarze, których mamy nie zauważać, dopóki się nie odezwą. Świetnie. Trzeba udawać, że to ministranci. Dla własnego dobra.

W przeciwieństwie do większości mezoamerykańskich miast Teotihuacan miało niewiele fortyfikacji - tylko niskie kamienne ściany w kilku kluczowych miejscach. Odniosłem wrażenie, że od dawna miasto uznawano za niezdobyte tylko na podstawie legendy, którą obrosło. Chociaż ostatnio zaczęto tu wznosić drewniane zasieki, później, w starych dobrych kawaleryjskich czasach nazwane *chevaux-de-frise*, końmi fryzyjskimi lub kozłami hiszpańskimi. Tutaj wykonywano je z okorowanych pni ustawianych prostopadle do siebie i zaostrzonych. W ten sposób powstawały najeżone trójnogi wysokości kilku ramion, z których można było tworzyć przenośne barykady.

Minęliśmy cztery grupy niewolników ciągnące kozły. Jutro zaczną je ustawiać w poprzek drogi w określonych miejscach. Zauważyłem też trzy świeżo wykopane rowy, a właściwie wilcze doły, najeżone na dnie drewnianymi kolcami, nad którymi przeszliśmy po wiszących kładkach. Jedna wydawała się tak rozklekotana, że zszedłem z mojego tragarza i przekroczyłem ją na własnych nogach. 12 Kajman posłał

mi groźne spojrzenie, ale miałem dość pompy. Potem jednak znowu wsiadłem na mojego ludzkiego wierzchowca.

Ptaki latały wokół nas. Mecz lacrosse za palisadą dobiegł końca i okrzyki kibiców ucichły. W oddali rozległ się grzmot. Nie, nie grzmot, lecz dudnienie. Głębokie jak hałas wody bębniącej o wielkie głązy i wydobywającej z nich niewytłumaczalnie satysfakcjonujący basowy dźwięk D podobny do tego, jaki wydają wielkie perkusyjne kotły, wybuchający i rozchodzący się długim echem w pauzach między kolejnymi uderzeniami: bumbumbumbum-bum...bum-bumbumbum-bumbumbum... bumbumbumbumbum... Uświadomiłem sobie, że wybijany rytm to numery dnia - *Wak Kimi, Kanlahun Sip* - 6 Umierający, 14 Jeleń, raz po raz w unikalnym wzorcu, który nigdy się nie powtórzy, sześć... czternaście... dziewięć... jedenaście... jedenaście... dwanaście... sześć... bumbumbumbum-bum-bumbumbum... bumbumbumbum... bumbumbumbumbum... Bęben wzywał wiernych na południową ofiarę. Nasi piechurzy zwolnili i stanęli. 12 Kajman gestem dał mi znać, abym zsiadł. Szlag. Od tego miejsca trzeba chodzić na własnych nogach, w świętym mieście niedozwolone było wożenie się na plecach innych ludzi. Właściwie to wcale nie powinno się wozić na plecach innych ludzi, chyba że nie można chodzić samodzielnie.

Wszystkie grupy podróżnych i pielgrzymów się zatrzymały. Każdy obrócił się twarzą na północny wschód. Ptaki uspokoiły się i nieco przycichły. Wyciągnęliśmy gliniane kadzielnice. Teraz bębnienie rozległo się zza szczytu przed nami, ze świętego miasta. Bębny odpowiedziały zza jeziora, opóźnione o pół taktu, by zsynchronizować się z echem. Dalej, dalej. Jak „Rock the Casbah” zespołu The Clash, pomyślałem. Dudnienie wypełniło dolinę i świat zdawał się kurczyć. Stopniowo włączały się małe, domowe bębenki, aż rytm zmienił się w mniej zdyscyplinowane i coraz mniej rozróżnialne werble. Rozżęgacze przechodzili między ludźmi z płonąca pochodnią. Jeden rozpalil taką moje kadzidło i wyszeptal niewyraźnie, że to świeży ogień z *mul* Huraganu. Powinienem mu jakoś zapłacić? Zanim zdążyłem się zastanowić, mężczyzna odszedł. Ach, ten czysty, żywiczny zapach.

Zapach świeżości. Auć, sparzyłem się w kciuk. Szlag. Odwróciłem kadzielnicę i uniosłem ją na wysokość czoła, by dym mógł się unosić w niebo. Po obu stronach kobiety i dzieci oraz przygarbieni starcy tłoczyli się dachach chat i unosili swoje dymiące naczynia. Nikt w granicach miasta nie mógł uniknąć stawienia się przed obliczem słońca o świcie i w południe. Nawet jeżeli się miało sto lat i paraliż, nawet jeżeli padało - ba! zwłaszcza kiedy padało, bo należało podziękować za cholerny deszcz, więc należało wyjść i zapalić kadzidło. A jeżeliby się nie udało kogoś wyciągnąć z domu, to go wieszano. Dlatego odrobina świeżego powietrza dwa razy dziennie tutaj była przymusowa.

Bębnienie zagłuszył coraz głośniejszy śpiew, głębokie, przeponowe ulu-lu-lu, które miało chyba jeszcze mniej spółgłosek niż język hawajski. Wymamrotałem coś pod nosem i pod grzebieniem. Później usłyszałem, że chyba już nikt nie pamięta, co znaczyły słowa pieśni. Może wszyscy po prostu bełkotali lub mamrotali. Ple-ple-ple... Proszę nie zwracać na mnie uwagi, jestem tylko kolejnym baranem w tym stadzie.

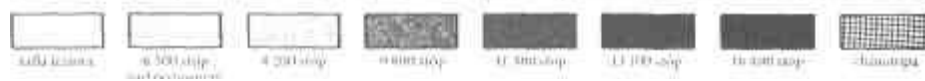
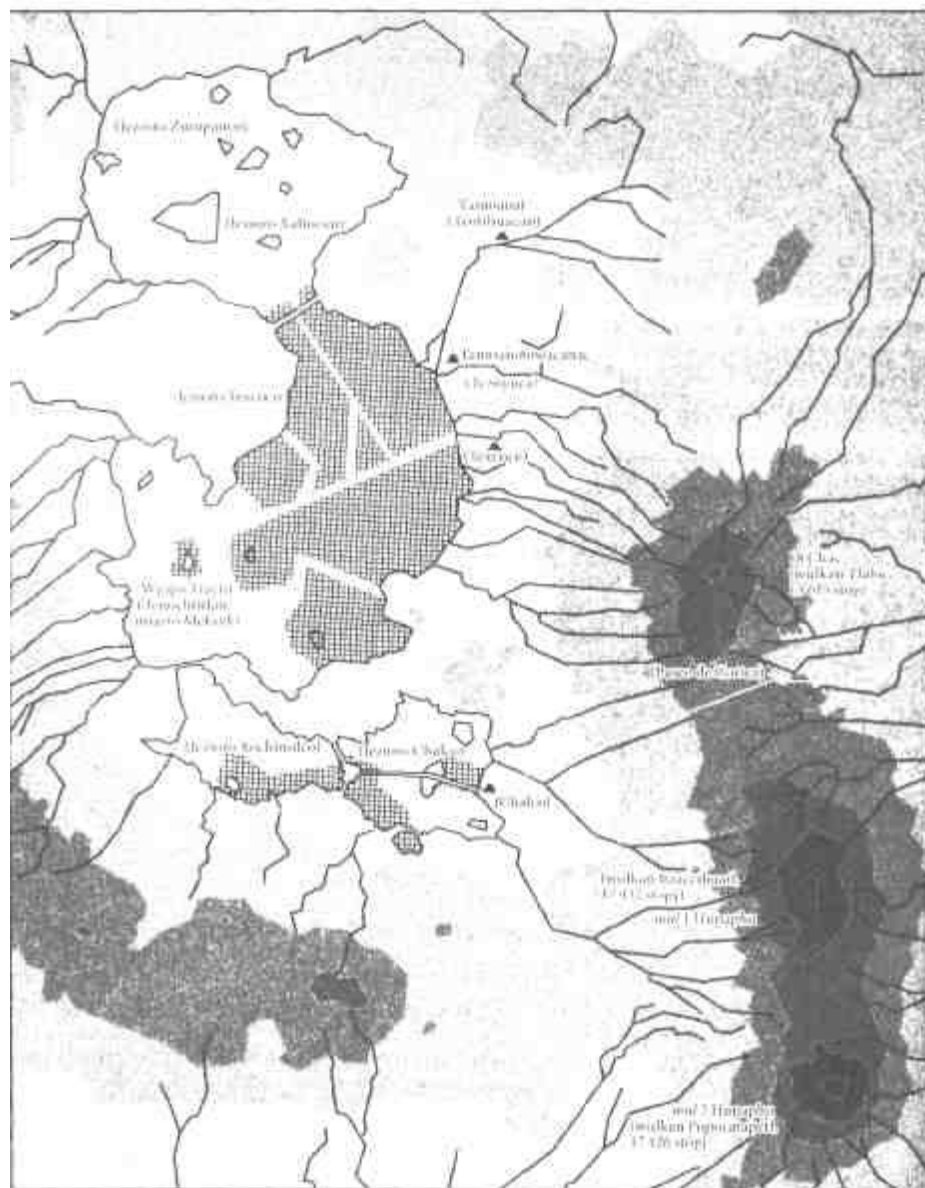
Śpiew ucichł. Jak wszyscy wziąłem garść piasku z naszej ścieżki i rozdmuchnąłem przez nozdrza. Wspięliśmy się po szerokich białych schodach i zanurzyliśmy się w chłód za wielkimi rytualnymi wrotami, jak owe chińskie *karamon*, by wejść do miasta.

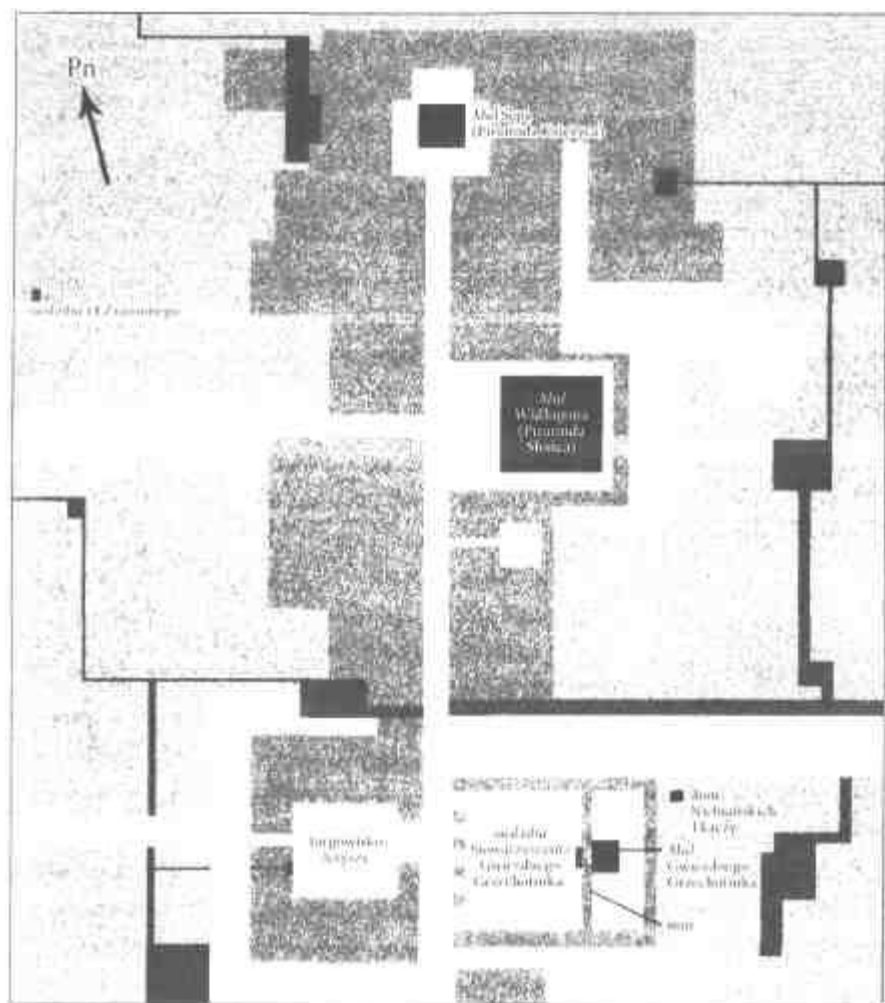
- *B'aax ka mulac t'een?* - zapytał 2 Ręka. Ale gdzie jest miasto?

TRZY

**MIASTO
OSTRZY**

MORZE ŚRÓDZIEMNE





**TEOTIHUACAN
W ROKU 664**

□
otwarta
przestrzeń

□ (dotted pattern)
budynek
mieszkalny

□ (textured pattern)
budynek
sakralny

■
kanał
odciekowy

W dolinie poniżej skłębiła się mgła znad jeziora i tylko szeroki stożek Cerro Gordo, Białej Góry miasta, pozostał widoczny na tle szarego nieba. Stanęliśmy w przejściu na południowym krańcu niecki. Stopnie przed nami prowadziły w dół między rzeźbionymi kamieniami ścian dużych domów aż na gładki aluwialny, jak wie-działem, płaskowyż. To nie mgła, dotarło do mnie nagle - mgła nie jest sina. To był dym. Dym z setek tysięcy małych ofiarnych kadziel-nic. W nieruchomym powietrzu doliny sine kłęby nie rozpraszały się szybko, ale i tak można było wyraźnie dostrzec nad nimi jedno, a po-tem trzy pomarańczowe światła - błyszczały na tej samej wysokości, na której i ja się znajdowałem - jedno w oddali tuż nad Cerro Gordo, a dwa bliżej na prawo. A potem dostrzegłem niewyraźne drżące kształty pod nimi i zrozumiałem, że to ogniska strażnicze na trzech największych *mulob*: najbardziej oddalonej Jadeitowej Wiedźmy na północnym krańcu, na ogromnej *mul* Huraganu po prawej i bliżej, też na prawo, choć mniejszej od dwóch poprzednich piramid, błękit-nej *mul* dzieci Gwiazdnego Grzechotnika. Pozostałe ognie również powoli przebijały się przez szarość, każdy na szczycie jednej z setek pomniejszych *mulob* - nie tak wysokich jak tamte trzy, ale też nie ka-rzelkowatych. Wreszcie dym się unióśł i zaczął rozwiewać, kontury budynków stawały się coraz bardziej wyraźne. Wynurzały się z nico-ści niczym miasteczko Brigadoon, które według legendy pojawia się na jeden dzień co sto lat - coraz bardziej materialne i solidne, rosnąc

powoli jak kryształy aleksandrytu w laboratoryjnej kadzi, monokryształiczny szkielec przemieniający się w klejnot gigantów.

Po raz pierwszy ujrzałem to miasto za trzysta stuleci i pięćdziesiąt jeden lat, byłem wtedy mieszczuchem z końca dwudziestego wieku, nawykłym do podróży samolotami i do drapaczy chmur, a jednak i tak widok zaparł mi dech w piersi. Dla Mezoamerykanów z ósmego stulecia nie było żadnej wątpliwości, że oto widzą raj na ziemi, największe miasto, jakie powstało i jakie powstanie, zbudowane przed pojawieniem się człowieka przez bogów zasiadających w środku dwudziestu trzech powłok wszechświata i rządzone przez następców owych bogów. Nie ma słów - ani w języku angielskim, ani hiszpańskim, ch'ol czy klingońskim, ani w żadnym innym - które mogłyby wyrazić zaświatową cudowność tego miejsca w pełni jego chwały i świetności. Zanim ujrzało się tłumy, można je było usłyszeć i wyczuć - zupełnie jak wtedy, gdy przyłoży się dłoń do ula. A potem dostrzegało się, że na wszystkich poziomych powierzchniach poruszają się plamy oranżu, czerni i szarości - tłum wypełniający miasto. Nie ma możliwości, by ci ludzie mogli się tu pomieścić, pomyślałem. To nie tylko miejscowi. I gdzie oni śpią? Nie zmieszczą się w domach, nawet gdyby spali jeden na drugim. Miasto się przecież nie rozciąga jak guma...

Do moich czasów zachowały się tylko resztki konstrukcji Teotihuacan, podobnie jak w przypadku Ix. Ale w przeciwieństwie do Ix to miasto było restaurowane i odnawiane we wczesnych latach dwudziestego wieku. Spędziłem tu parę tygodni w 1999 roku i dobrze znałem archeologiczne mapy tego miejsca. Dopiero teraz widziałem, jak nieudana i błędna była rekonstrukcja przeprowadzona przez Instituto Nacional de Antropología e Historia. Ale nawet gdyby była doskonała, nie wszystko może przetrwać z upływem czasu. Dostrzegałem tu tyle nowego, że ledwie mogłem poznać miejsce, które kiedyś studiowałem. To, co widzą turyści, stanowi zaledwie centrum strefy *teocalli*, kamień i odcienie brązu w środku niczego. Teraz jednak to centrum było bardziej wyszukaną częścią ludnej metropolii, rozciągającej się na wszystkie strony niczym formacja połączonych ze sobą uli, wydająca się ra-

czej jedną budowlą niż skupiskiem wielu mniejszych, zajmującej całą dolinę i wszystkie wzgórza pod i nad Cerro Gordo. Tak agresywnie sztuczny krajobraz kojarzy się raczej z Hongkongiem lub Las Vegas, a nie z cywilizacją przedkolumbijską czy jakkolwiek poprzedzającą okres industrialny. Nie wypatrzyłem żadnych ulic. Nic dziwnego, skoro były tu tylko alejki i wąskie przejścia między domami, czy też raczej kompleksami rodzinnych mieszkań. Z daleka teren mieszkalny bardziej przypominał aglomeracje na Środkowym Wschodzie niż te ze Starego Świata, choć, rzecz jasna, różnił się kolorystyką i stylem zdobnictwa. Podobnie jak Manhattan to miasto również odchyliło się nieco od osi północnej na wschód, w tym przypadku o piętnaście i dwadzieścia pięć setnych stopnia, by wyrównać do gwiazdy Kochab, czyli *Beta Ursae Minoris*, a długi, prosty łańcuch dziedzińców ze schodkowymi miejscami dla widzów, który później Aztekowie nazwą Drogą Śmierci, rozwijał się przed nami. Właściwie nie była to droga, lecz co najwyżej trasa procesji, połączone place, najeżone wieżyczkami, o których nawet nie pomyślano podczas rekonstrukcji. Dla jasności przekazu będę to przejście nazywał osią główną.

Mul Huraganu była czarna i czerwona, a piramida Jadeitowej Wiedźmy czarno-biała, natomiast *mul* Grzechotnika - czarna i błękitna. *Mul* Huraganu wznosiła się groźnie nad wzgórzami, ogromna ponad wszelkie pojęcie, budowla nie dla ludzi i wykraczająca poza ludzką skalę. Czulo się jej masę i miało wrażenie, że piramida przyciąga do siebie otoczenie - gdyby położyć na ziemi metalową kulę, na pewno potoczyłaby się w stronę wielkiej budowli. Na jej szczycie płonął ten sam ogień, nieustannie od czterdziestu czterech lat, od ostatniej przerwy w cyklu kalendarza, ale teraz wygaszono jedenaście pozostałych ognisk, by nie powstrzymywać Psotnika, Czarnego Pożeracza. Kiedy zaćmienie się skończy, zostaną rozpalone ponownie od słońca. Ten widok wzbudzał odrętwiającą pewnością, która po prostu nie pozwalała na bunty i spory. Kto choćby pomyśli o rewolucie przeciw TEMU?

Widać też było *mul* Jadeitowej Wiedźmy - dużo później nazwaną Piramidą Księżyca - na końcu przejścia dla olbrzymów. Znajdowała

się za daleko, by dostrzec szczegóły wśród kłębow dymu i pary, ale wydawało się, że wokół niej panuje ruch. Ptaki? Czy oczy mnie zwo-
dzą?

Trzecia wielka piramida, błękitna - jedyna błękitna budowla w mieście - dom Stowarzyszenia Gwiazdowego Grzechotnika, znajdowała się tam, gdzie powinna, ostro opadając schodkami na stromym zboczu przy południowo-wschodnim krańcu głównej osi, niczym wieża zmierzająca do pola króla. Budowla była mniejsza od poprzednich, ale o wiele bardziej ozdobna i nadal dość duża, by budzić respekt - nawet większa niż ta po rekonstrukcji INAH stulecia później, zapewne dlatego, że rekonstrukcja usunęła wcześniejszą fasadę. Znać po niej było spory wpływ Majów z południa, ponieważ front pokrywały płaskorzeźby splełanych węży, ale nawet taki wzór został zgeometryzowany, czy może zmeksykanizowany lub skubizmowany, tak że obie części piramidy wpasowywały się, ale zarazem wyróżniały z otoczenia, jeszcze jedna asymetria, w tym przypadku trochę bardziej destabilizująca.

Na środku osi głównej - na wielkim placu przed *mul* Huraganu -znajdował się czwarty obiekt na mapie, którą stworzyłem sobie w wyobraźni. 2 Inkrustowana Czaszka o nim nie wspomniał, nie został też zrekonstruowany przez archeologów. Jak mogli to przeoczyć? Cholera, był to wielki, ogromny stromy stożek wycelowany w niebo jak zielony kciuk, prawie tak wysoki jak *mul*. Gdy skupiłem na nim wzrok, okazało się, że jest to jakby otwarta pagoda o trzynastu kondygnacjach lub platformach, każda położona około pięciu ramion nad poprzednią. Ludzie tłoczyli się po niej jak mrówki, nadzy i poznaczeni jedynie pasmami szarości, która świadczyła, że to niewolnicy. Konstrukcja zapewne została zbudowana z trzciny i młodego drewna - musiał to być *xcanacatl*, rodzaj ogniska marności, o którym wspominał 12 Kajman. Na czas zaćmienia zostanie wypełniona darami ofiarnymi i o świcie na drugi dzień po tym, jak karmiciele odciągną Pożeracza, podłożą tu rozpalony na nowo ogień.

Mul Jadeitowej Wiedźmy zwrócona była do głównej osi, jak generał dokonujący inspekcji wojsk, ale *mul* Huraganu zwracała się

w pustkę. Średniej wielkości place po obu stronach osi głównej miały to zrównoważyć, ale tak się nie działo i potężna budowla jakby spoglądała na zachód - emanowała samotnością i poczuciem straty. Pobudzała do myślenia, do zadawania sobie pytań i snucia przypuszczeń jak wtedy, gdy widzi się marmurową statuę helleńskiego atlety z uniesionym ramieniem, tyle tylko, że owo ramię jest odłamane. Wtedy człowiek zaczyna się zastanawiać: czy ta postać saltuje, czy może rzuca oszczepem? Unosi miecz? Albo jak wtedy, gdy słyszy się początek musicalu, ale bez zakończenia i jest to tak irytujące doznanie, że zaczyna się nucić, próbując sobie wyobrazić, jak ta melodia powinna brzmieć w finale. Wyczuwałem dziwne napięcie... nie tyle poczucie niepełności, lecz po prostu OCZEKIWANIE. Jak u pani Havisham z powieści Dickensa, gdy stół wielkości świata jest już zastawiony na wizytę ważnego gościa, bardzo ważnego gościa z daleka, który wkrótce się pojawi.

Nasi tragarze się zawahali. Mój wymamrotał krótką modlitwę o ochronę w języku swojej osady: „przodkowie, zatroszczcie się o mnie” Czy coś podobnego, ale 12 Kajman pogonił grupę, by ruszyła w dół. Grzebień nad moimi ustami zwilgotniał, rzemień w przegrodzie nosowej sprawiał ból. Ponieważ droga miała stopnie, nie musiała zygzakować jak zejścia Starego Świata, ale miejscami bałem się, że spadnę. Falami napływała do nas woń suszonego chili, gotowanej kukurydzy, palonych odchodów, a także gliniasty posmak niedawno obrobionego krzemienia i obsydianu. Nieustanne trzaski i chrzęsty stawały się coraz głośniejsze tam, gdzie łupano i gładzono kamienne narzędzia^ jakby tysiące chrząszczy i świerszczy tłukło się w jednym miejscu. Białolicy registrarator z Klanu Sępa podszedł i kazał nam podać imiona, tytuły oraz towary, po czym zawiązał węzły na sznurze, jakby robił spis przy pomocy inkaskiego *kipu*.

Przegrupowaliśmy się. Ze składu wyprawy pozostało tylko dwudziestu ludzi. Nie wyglądało to na dobry znak. Znowu zaczęliśmy schodzić. *Mul* Huraganu rosta nad nami i materializowała się w niewyjaśniony sposób - pojawiały się kolejne warstwy i elementy, które potem znikaly, ostre i mniej wyraźne, po czym znowu ostrzejsze. W tym szaleństwie musiała być jakaś metoda.

Kiedy znaleźliśmy się prawie na dnie doliny, może pół mili od dzielnicy *teocalli*, skręciliśmy na zachód ze szlaku handlowego w -jak przypuszczam - alejkę spacerową. Była zatłoczona i ludzie 14 Zra-

nionego stanęli przed naszą grupą, by machając ramionami i bicza-
mi, odgonić hołotę z drogi. Jak w „Kandydzie”: *Place, place, pour le
Reverend Pére Coronel!* Mijaliśmy powoli rzędy drzwi zastawionych
czy może wypełnionych kamieniami i zawiązanymi bluszczem. Hm...
Spodziewano się kłopotów? Zbyt wielu żeglarzy w porcie?

Obywatele usuwali się i przechodzili obok z prawej i z lewej. Przy-
glądali się, nie wrogo, lecz z czystą ciekawością, która też budziła zde-
nerwowanie. Może to przez malunki. Majowie malowali twarze tylko
na kilka specjalnych okazji. Natomiast mieszkańcy Teotihuacan ma-
lowali się za każdym razem, gdy wychodzili z domu. Na dodatek ma-
lunki były agresywnie abstrakcyjne - ciemne pasma w poprzek oczu
maskowały rysy, przez co wszyscy wyglądaliby niemal identycznie,
gdyby nie kropki-symbole klanu, których i tak nie umiałem odczy-
tać. Niektórzy mieli pod malowidłami wrzody lub krosty i większość
sprawiała wrażenie niezbyt zdrowej. Słyszałem często pokasywanie i
odchrząkanie. Panuje tu gruźlica, pomyślałem. To choroba typowa
dla zatłoczonych populacji. A zapewne można było napotkać tu o
wiele więcej pasożytniczych infekcji, może nawet jakieś niesklasy-
fikowane plagi... No, świetnie. Tylko tego mi trzeba.

Przepychaliśmy się naprzód, ale tłum gęstniał. Zaczynałem mieć
złe przeczucia dotyczące tego miejsca. To znaczy silniejsze niż tysiąc
innych złych przeczuc. Ciekawe, co mnie gryzie? Nie chodziło o to, że
miasto było brudne, powiedziałbym nawet, że w swoisty taoistyczny
sposób jest schludne. I nie roilo się tutaj od ciemnych typów. Mijani
ludzie sprawiali wrażenie, że pochodzą co najmniej z klasy średniej.
Oczywiście w mieście Majów nie można nic zakładać. W Ix albo się
było na topie, albo wcale. Może to z powodu ścian natartych drobnym
zwirem węglowym, czarnych i matowych, ale ze sporadyczną iskrą
tu i tam, gdy jakiś większy węgielek odbił światło. Może właśnie ta
czerń budziła niepokój? Ale przecież miasto nie było całe czarne, jak
mi się najpierw zdawało. Chodniki, jeżeli się pojawiały, wyłożone
były czerwonymi kamieniami, kolorowe tkaniny powiewały w gór-
nych oknach, sznury paciorków z muszli oraz listowia szeleściły na
drzewach, które rosły w ogrodach na dachach. Mogłoby się wydawać,

że to niemal wiszące ogrody Babilonu... A jednak czułem niepokój. Może dlatego, że nie dostrzegłem żadnych wrytych inskrypcji. Nic, żadnych znaków, żadnych steli z glifami, żadnych napisów. Zupełnie nic. W rzeczy samej, 12 Kajman powiedział mi, że tutaj nie ma pisma. Może na pismo się boczono tak samo, jak na zbyt ostentacyjne prezentowanie bogactwa. W każdym razie poza kilkoma rachmistrzami, którzy nauczyli się pisać od skrybów Majów, mieszkańcy Teotihuacan pozostawali niepiśmienni. A jednak umieli utrzymać administrację i rządy nad całkiem sporym imperium.

Skręciliśmy na północ w jeszcze ciemniejszą alejkę.

Zastanawiałem się, dlaczego musimy iść do białej części, czyli na czarną stronę? Założę się, że czerwona strona miasta jest ładniejsza. I czemu, do cholery, czarną stronę nazywa się białą? Tak samo jak w USA określa się niektóre stany czerwonymi, podczas gdy są to stany antykomunistyczne. Niepotrzebne wprowadzanie w błąd.

Każda rodzina w mieście należała do jednego z dwóch stowarzyszeń. Sępy, symboliczna biel, stowarzyszenie pokoju, żyły głównie po zachodniej, czarnej stronie osi głównej. Były tu setki głównych „białych” rodów, ale najważniejszym pozostawał ród Powoju. Patriarchą Powojów był ktoś o imieniu 40 Aguti - 2 Inkrustowana Czaszka powiedział, że to również miejscowy przybrany ojciec pani Koh oraz przywódca, archont Białego Synodu. Zapewne przysługiwał mu tytuł Pana Pokoju. Drugie stowarzyszenie, „czerwone” zgromadzenie Widłogonów, tradycyjnie zarządzane było przez rody Pумы. Tytuł Pana Wojny nosił przywódca Klanu Pумы o dziwnie dla mnie brzmiącym imieniu Zwój Gówna. Sępy tradycyjnie zajmowały się rolnictwem, wodą i terenami wodonośnymi, a także tym, co nazwalibyśmy religią, handlem i większością rzemiosł. Widłogonom przypadała wojna, jak również rzemiosła związane z wytwarzaniem broni i handel zagraniczny. Wydawać by się mogło, że taki podział to proszenie się o kłopoty, jednak ze względu na brak mariaży w obrębie stowarzyszeń - co znaczyło, że kobiety z Sępów musiały wychodzić za mąż za mężczyzn Widłogonów i vice versa - obie grupy były silnie powiązane i zależne od siebie. Przez stulecia udawało się utrzymać równowagę. Mogło to

wynikać również z socjalistycznej niemal etyki. Nie było w zwyczaju honorować przywódców klanów poza najbliższą rodziną, miastem też nie rządził nigdy jeden człowiek, lecz dwie rady złożone z przywódców stu lub więcej rodów przynależnych do każdego stowarzyszenia.

Znowu skręciliśmy w kolejną alejkę. Było tu tak wąsko, że ludzie, by ustąpić nam z drogi, musieli praktycznie zawracać. Nieco dalej nareszcie się zatrzymaliśmy. Herold 14 Zranionego wspiał się na strome schodki. Poszliśmy za nim. Wspięliśmy się na dwie kondygnacje i znaleźliśmy znowu w blasku słońca.

Dotarliśmy na tę samą wysokość, na którą wznosiła się *mul* Huraganu, i mieliśmy doskonały widok na białą dzielnicę miasta. We wszystkich kierunkach rozciągały się płaskie, tarasowe dachy, od czasu do czasu z ogrodem, gdzie na cienkim podłożu wulkanicznej gleby rosły nawadniane poranną rosą kwiaty i drzewka owocowe. Wstęgi pary unosiły się z ukrytych otworów wentylacyjnych i znikwały szybko w suchym powietrzu. Kilka budynków wznosiło się na mniej więcej trzy kondygnacje, ale większość miała tę samą wysokość, można więc było przechodzić po dachach z jednego miejsca na drugie, jak w pueblo lub starych dzielnicach miast muzułmańskiej Afryki. Za nami tragarze zdjęli nosidła. Przekazałem sygnał gotowości do przodu i skierowaliśmy się na północ po kładce z rozklekotanych desek. Hun Xoc wskazał duże przykryte gliniane naczynia na krawędziach dachów i wyjaśnił, że trzymano tam wodę na wypadek pożaru. Wreszcie doszliśmy na dach placówki handlowej Orłów. Stanowiła ona część większego kompleksu, który dawał schronienie ptasim klanom Majów z kilku nizinnych miast. W alejce na dole coś się działo, ale nie mogłem wiele dostrzec. Wydawało mi się, że słyszę odgłosy bijatyki. Fellator 14 Zranionego musiał zejść na dół, by zapytać, co się stało. Potem nastąpiła chwila ciszy, aż wreszcie ktoś zaczął wyjaśniać zdarzenie podniesionym głosem. Gdy skończył, zabrzmiało zupełnie inne wyjaśnienie. Szlag, nie mamy całego dnia, pomyślałem. Przepchnąłem się do 12 Kajmana.

- Wyślijmy teraz kuriera do pani Koh - powiedziałem w języku Klanu Orła.

- Powinniśmy poczekać, aż będziemy ukryci - odpowiedział. Miał na myśli, że dopóki nie znajdziemy się w środku. Dodał jeszcze, że nierozsądnie byłoby pokazywać nasze towary tam, gdzie mogą je ujrzeć przypadkowi przechodnie.

Racja, przyznałem w duchu. Na sąsiednich dachach tłoczyli się ludzie ciekawi, co się dzieje. Cmoknąłem na znak zgody. Wróciłem na swoje miejsce w szeregu i zacząłem się kołysać na stopach.

14 Zraniony wrócił i wyjaśnił, co słyszeliśmy. Jakaś kobieta została zabita przez akolitę synodu Powoju za to, że kichała podczas południowego czuwania. Podejrzewam, że ten akolita przypominał talibskich fanatyków religijnych.

12 Kajman zakazał nam schodzić na ulicę. Powiedział, że moglibyśmy nie dostać się przez oficjalne wejście do środka. Zatem zeszliśmy po stromych drewnianych schodkach na mały wewnętrzny dziedziniec, właściwie kwadratowe patio o boku około trzydziestu ramion, puste poza ołtarzem na środku i dużą drewnianą statuą przodka w każdym rogu. Na każdej ze ścian znajdowały się tylko jedne drzwi. Odruchowo ustawiliśmy się przy wschodniej ścianie, po stronie, skąd przyszliśmy. Grupa 14 Zranionego stanęła na zachodzie.

Praktycznie wszyscy mieszkańcy natychmiast wyszli, by się na nas pogapić. Zapadła niezręczna cisza. Powinno się poprosić o pozwolenie, zanim się wejdzie do czyjegoś domu, ale my już byliśmy w środku. Na szczęście 12 Kajman dał znak stopą i przystąpiliśmy do zwyczajowego wręczania cygar. Miałem nieodparte wrażenie, że 14 Zraniony i jego ludzie zerkają na mnie ukradkiem. Wiedziałem, że kilku z nich widziało mecze Szakala. Jednak wyglądałem przecież teraz zupełnie inaczej, prawda? Zapewne przyciągałem uwagę siłą osobowości. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że zyskałem charyzmę lub prezencję, której nie miałem jako Jed. Szakal był wielkim atлетą i nawet jeżeli próbowałem się nieco garbić i powstrzymywać, ciało nadal zachowało jego cechy. Kiedy się spotka na przykład znanego bejsbolistę - wystarczy sekunda, by zrozumieć, że to ktoś wyjątkowy. Zadrzałem w ataku nagłej tremy. 2 Inkrustowana Czaszka wymusztrował mnie i nauczył, jakich powitań i gestów używać w domu 14 Zranionego, jak należy

chodzić w Teotihuacan, jak klękać przed kimś lub górować, gdzie mam siadać w stosunku do 12 Kajmana, paleniska, moich towarzyszy, na jakie słowa powinienem podnosić wzrok, a kiedy spuszczać i tak dalej, i tak dalej... Ale nawet po tym moja pozycja w grupie nadal była trochę niejasna, co wszystkim sprawiało trudności. A tutaj, w Teotihuacan, łatwo było obrazić kogoś, jeżeli - powiedzmy - obróciło się w niewłaściwą stronę. Trzeba zachować ostrożność, nakazałem sobie w duchu. Bez nerwów, ale ostrożnie.

Hun Xoc przysunął się do mnie nieco bliżej - albo żeby mnie zasłonić i utrudnić rozpoznanie, albo udzielić milczącego wsparcia. Dzięki, pomyślałem. Dobry z siebie człowiek.

14 Zraniony podprowadził nas do jednej z dużych drewnianych figur, tej w południowo-wschodnim narożniku. Posąg przedstawiał brzydką, przysadzistą i niemal nagą kobietę. Nie należała do przodków, jak mi się wydawało w pierwszej chwili. Była to raczej podobna Jadeitowej Wiedźmy. 14 Zraniony i jego podkomendny chwycili rzeźbę za wypustki na ramionach i kolanach, po czym ją podnieśli.

Tylko połowa przodu się uniosła. To znaczy statua otworzyła się jak muszla małża. Przednia część odchyliła się do góry, od połowy ramion po skrzyżowane kostki. Stopy i tył pozostały na kamiennym postumencie. Wnętrze wypełniały malowane gliniane laleczki, pewnie z sześćdziesiąt sztuk. Znajdowały się wszędzie, nie tylko na dole, ale też w ramionach i w udach. Zapewne każda reprezentowała kogoś z domu 14 Zranionego. Może matrioszki też powstały z podobnego pomysłu? Podwładny przyniósł tacę z dwudziestoma podobnymi laleczkami, po jednej dla każdego z nas. Musieliśmy czekać, aż malarz oznaczy każdą różnymi kolorami, by je zindywidualizować.

Zerknąłem na Hun Xoca. Co to za nowe szaleństwo? - mówiła jego mina. Spuściłem wzrok, żeby nie parsknąć śmiechem. Malarz podał mi laleczkę. Zrobiono ją z matrycy, przykucnięta figurka, krępa, z wysoką fryzurą charakterystyczną dla uczesania w Teotihuacan, w ogóle do mnie niepodobna poza czerwonymi pasmami na przepasce. Ale teraz, skoro ją trzymałem, zapewne symbolizowała mnie. Poczekałem na swoją kolej i wręczyłem lalkę akolicie. Położył ją na półce

w lewym pośladku statuy. Czy to ma jakieś specjalne znaczenie? Czy tylko tutaj zostało trochę wolnego miejsca? 12 Kajman zawahał się, zanim podał swoją figurkę. Symbolizowała meksykańskie wierzenia. Nie Majów. Odniosłem wrażenie, że 12 Kajman uznał 14 Zranionego za trochę za bardzo zadomowionego. Kiedy wszystkie figurki zostały włożone, Zraniony i jego pomocnik zamknęli posąg. Mimowolnie poczułem, jak ściany pomnika mnie otaczają, bezpieczne i przytulne, bo oto znalazłem się w wielkim organizmie społecznym, gdzie nie istnieje wolność jednostki. Może tak samo było ze wszystkim w Teotihuacan - małe *mulob* tłoczyły się wokół większych, placyki łączyły się placami i jedno zależało od drugiego.

Teraz, gdy zostaliśmy rodziną, mogliśmy nareszcie wejść do łaźni. Gdy przekraczaliśmy północny łuk, 12 Kajman przeprosił i wraz z Hun Xokiem, 3 Powracającą Ćmą, naszym upamiętniaczem/recytatorem/rachmistrzem, oraz mną wymknął się przez boczne drzwi. Nie było to zbyt uprzejme, ale 12 Kajman bywał już w tym domu i każdego tutaj przewyższał rangą.

Potrzebowaliśmy trochę prywatności, ale pierwsza izba, w jakiej się znaleźliśmy, potwornie cuchnęła. Źródłem smrodu okazała się piątka niewolników. Każdy miał około ośmiu lat, kucali cierpliwie w kącie pod ścianą, powiązani ze sobą rytualną, cienką linką. Jeden drgnął, gdy na ramieniu usiadła mu kolejna mucha i zaczęła chodzić po skórze, ale nie próbował odpędzać owadów. Przeszliśmy przez kolejny dziedziniec. Znajdowały się tu zbiorniki, krzewy awokado w koszach, bawełniane żółte manty suszące się na stojakach i kobiety w żółtych *quechquemits* - czyli tunikach z trójkąta noszonych tutaj zamiast *huipil*, tunik z prostokąta - farbujące tkaniny w beczce z barwnikiem. Wszystko normalnie, pomyślałem i spróbowałem się odprężyć.

Wreszcie znaleźliśmy ciemniejszy, opustoszały pokój. Sprawiał wrażenie prowizorycznej jaskini zbójów. Pod ścianami w stosach leżały beły materiału oraz duże słoje, które - sądząc po kształcie - służyły do przechowywania soli. Jeden z podkomendnych 14 Zranionego wszedł za nami, ale 12 Kajman spojrzął na niego tak groźnie, że chło-

pak czym prędzej się wycofał. Hun Xoc rozpakował swoje zawiniątko i wyjął dar, który przygotowaliśmy w Ix dla pani Koh. Było to pudełko wielkości ludzkiej głowy z czterystoma małutkimi krawatkami, czyli skórkami z podgardla samczyków z gatunku trogonów fioletowych. Kiedy Hun Xoc uchylił wieczko, by sprawdzić prezent, krawatki zdały się świecić w półmroku jak napromieniowane. To był niewiarygodny dar, zdobywany przez setki dni i praktycznie bezcenny.

Jedną z osobliwości naszej współczesnej kultury, pomimo wszystkich książek i nawyku czytania, jest to, że nie mamy listów. Mam na myśli kulturę epistolarną. Tak naprawdę nie wysyłamy nikomu długich pisanych wiadomości - okazynie zdarza się jedynie, że załączymy ozdobną kartkę do czegoś jeszcze, najczęściej do prezentu. Nikt bez powodu nie wypisuje i nie przesyła notatek. Tutaj mieliśmy od tego upamiętniaczy - ludzi takich jak 3 Powracająca Ćma, którzy znali dziesięć języków, byli sprawdzonymi biegaczami, przeszkolono ich w przetrzymywaniu tortur, a na dodatek potrafili wysłuchać długiej przemowy tylko raz i bezbłędnie wyrecytować ją potem na każde życzenie. Przypuszczam, że byłem do nich podobny - gdy miałem swój dawny mózg. Oczywiście z wyjątkiem biegania i tortur. Dlatego to, co teraz zamierzałem zrobić, stanowiło pewnego rodzaju innowację. Cóż, może nadeszła pora, by dać sobie spokój z niezwracaniem na siebie uwagi. Byle tylko zainteresować tę kobietę. Nawet jeżeli przez to uniesie się parę brwi.

12 Kajman spytał mnie i Hun Xoca, czy chcemy coś dodać do wiadomości, jaką opracował 2 Inkrustowana Czaszka. Zaprzeczyliśmy. Wyrecytował wiadomość. 3 Powracająca Ćma powtórzył ją po nim. Była to zarówno prośba o dar audiencji, jak i ostrzeżenie, że my, emisariusze z rodziny pani Koh, mamy obowiązek powiedzieć jej o groźbie. Nie wiedzieliśmy jednak, jak kobieta to przyjmie. *Jej* lojalność może być podzielona.

12 Kajman przyznał, że po drodze dowiedział się, gdzie dokładnie jest pani Koh. Zastanawiałem się, czy zachował przy przepytaniu wystarczającą dyskrecję. Cóż, to bardzo ostrożny człowiek, pomyślałem. Będzie dobrze. Na pewno będzie dobrze. 12 Kajman powiedział, że pani Koh przebywa we wschodnim budynku jej zgromadzenia. A potem ku memu zaskoczeniu dodał, że musimy poczekać dwie godziny i że wyśle dwóch ludzi 14 Zranionego z upamiętniaczem.

Miejscowa eskorta, pomyślałem. To tyle, jeżeli chodzi o dyskrecję.

Czekaliśmy w przedsiönku sauny z 14 Zranionym i jego fellatorem, synem 14 Zranionego o imieniu Lewa Juka. Uczesano nas. Tutaj lepiej wyglądać dobrze. Podejrzewam, że podobnie mają celebryci, a przynajmniej celebrytki, które muszą się promować, dlatego uczestniczą w jednej koszarnej gali po drugiej, a przedtem codziennie spędzają godziny na układaniu fryzury i robieniu makijażu, zamiast na przykład uczyć się greki. Mnie i Hun Xocowi zrobiono fryzury na modłę teotihuacańską - z dodatkiem oleju, bez paciorków lub warkoczyków. Większość mieszkańców Ix byłaby zbyt dumna, a można nawet powiedzieć, że zbyt patriotyczna, by zrobić coś podobnego, ale chcieliśmy się łatwiej wtopić w tłum, jeżeli zajdzie konieczność. Przynajmniej wyjęto nam ozdoby z nosa. Bogom niech będą dzięki.

Teotihuacańczycy słynęli z lakoniczności, nie rozmawiali tyle co mieszkańcy Ix, a 14 Zraniony i jego mały dwór podłapali ten zwyczaj. Ale 12 Kajman uprzejmie i przebiegle wyciągał z niego informacje i teraz właśnie 14 Zraniony mówił nam, że obecnie w mieście żyje ponad tysiąc rodowitych Majów - oczywiście nie istniał jeszcze koncept Majów, jednak wymienił rodziny i pochodzenie z różnych miast. Okazało się, że tylko trzydziestu pochodziło z Ix. Osiemnastu z tej trzydziestki należało do klanów zależnych od Orłów i mieszkało w domu 14 Zranionego, pozostali należeli do rodzin spokrewnionych z Ocelotami. W porównaniu do ponad setki przybyszów z Tikal była to stosunkowo mała społeczność. A odkąd 14 Zraniony musiał unikać Ocelotów, zrobiła się jeszcze mniejsza. Pewnie czuł się osamotniony.

12 Kajman zapytał, gdzie zgrupowały się Oceloty. Ze wszystkich ludzi w Teotihuacan krewni Ocelota byli tymi, których przede wszystkim należało teraz unikać. Na szczęście, jak odpowiedział 14 Zraniony, Oceloty mieszkają u Pum. A Pумы zrobiły się ostatnio niemożliwe.

Obecna sytuacja w Teotihuacan nie mogła trwać dłużej, powiedział nam 14 Zraniony. Chalco, Zumpanco i pięć innych miast-stanów w wielkiej strefie ekonomicznej Doliny Meksykańskiej - które przez stulecia bez szemrania podporządkowywały się Teotihuacan - teraz zalegały z daninami. Co więcej, nie przysyłały też drewna na opał do miejskich pieców wapiennych. Nie wspomniał, ale domyśliłem się, że wycinanie lasów przez lata spowodowało wylewy, erozję i błotne lawiny, czego skutki widywaliśmy w drodze do doliny.

Pomimo to, kontynuował, do Teotihuacan przybywało coraz więcej imigrantów, zwłaszcza Zbyt-Wysocy. Podobno to oni stanowili tutaj największy problem. Zamieszkało ich czterysta po czterysta razy po czterysta rodzin (idiom oznaczający bardzo dużo) i gdyby zebrali się razem, mogliby zalać miasto. Pochodzili od kojotów, dlatego tak cuchnęli. Powinno się ich wytępić.

Problem w tym, że miasto miało obowiązek przyjąć wszystkich, którzy doń przybyli. Po języku, jaki rozpoznałem z urywków ich rozmów, domyśliłem się, że Zbyt-Wysocy byli następcami lub bliskimi krewnymi tych, których później nazwiemy Toltekami. Dlatego mnie ciekawili. Ale 14 Zraniony oznajmił, że Zbyt-Wysocy to klan niskiego urodzenia, kłopotliwy jak mgła - nie poznałem więcej szczegółów, nie miałem szansy zapytać - który został wyrzucony z rodzinnego miasta i przybył do doliny, szukając, co tu można ukraść. Z tego, co mi powiedziano, wynikało, że miasto owo znajdowało się około stu mil na północ. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, by tam istniało jakiegokolwiek miasto, o którym choćbym słyszał. 14 Zraniony zapewnił, że owszem, bo w nim był - nędzne, popadające w ruinę i śmierdzące barbarzyńskie miejsce, gdzie dzieci jedzą odchody, a po podwórzach biegają stada kojotów.

Pумы polowały na Zbyt-Wysokich na wzgórzach, wyjaśnił 14 Zraniony. Ale nie mogły tego robić w dolinie. Wybuchaly walki uliczne

i zamieszki, a wojownicy Pum zrobili się niezdolnie hardzi. Przez kilka ostatnich okresów pokoju brakowało jedzenia, zaś w biednych dzielnicach pojawiły się brązowe krosty - rodzaj zarazy. Na dodatek deszcze przychodzą nieregularnie i zbliżające się zniwa zapowiadają się na najsłabsze od siedemdziesięciu jeden lat.

A co najgorsze, dokończył 14 Zraniony, rośnie napięcie między Stowarzyszeniem Gwiazdowego Grzechotnika a synodami obu wielkich zgromadzeń. W tym, co opisał, dostrzegłem podobieństwa do sytuacji w Rzymie z drugiego wieku naszej ery.

Kult Gwiazdowego Grzechotnika przeżywał odrodzenie, szczególnie wśród bezdomnych plemion i mieszkańców okrągłych chat, czyli klanów z niższych kast, które nieustannie napływały do miasta. Stowarzyszenie Grzechotnika przyciągało coraz więcej zwolenników i wyznawców, ludzi związanych zarówno z białym, jak i czerwonym zgromadzeniem, którzy byli niezadowoleni z, powiedzmy, stagnacji panującej w społeczności Teotihuacan. Zdaje się, że Stowarzyszenie Grzechotnika oferowało mniej hierarchiczną, mniej zależną od przodków religię, z wszechmocnym protektorem, którego ciało nie znajdowało się w żadnym określonym chrampie czy świątyni na ziemi, lecz było Mleczną Drogą. 14 Zraniony powiedział, że wielu z neofitów, którzy zmienili wyznanie, związało się przez krew z charyzmatyczną panią Koh.

Kult Grzechotnika przypominał rewolucję religijną Echnatona na długo przed ruchem protestanckim czy Lutra. Gdziekolwiek powstał syndykat kapłanów i działał przez długi czas, zawsze zaczyna gromadzić ogromne bogactwa i reszta społeczeństwa zaczyna odczuwać niechęć. A właśnie teraz Grzechotniki unosiły się na fali rozkwitającej popularności wśród wydziedziczonych. Cisza zacznie się za trzy dni i potrwa przez pięć - do zaćmienia. Przez ten czas w mieście obowiązywać będzie zaciemnienie, wszystkie ognie zostaną wygaszone, nawet największe - na szczytach *mulob*. A chociaż Cisza nadchodziła regularnie co pięćdziesiąt dwa lata, ta była wyjątkowa - poza terminem, co budziło o wiele większy lęk. Przez pięć dni nie można będzie liczyć na ochronę żadnych przyjaznych patronów lub przodków, po-

nieważ te dni nie będą rzeczywiste, nie będą miały imion - kosmiczne pomyłki. Ludzie zostaną zepchnięci w koszmar zmiennego czasu, na łaskę bezdomnych, złośliwych *uayob*. Większość mieszkańców miasta na pewno miała nadzieję, że przetrwa dzięki przejściu na białą stronę Grzechotnika, czyli jeżeli poprosi o ochronę, skoro wszyscy inni bogowie ich opuścili. W każdym razie ze słów 14 Zranionego wynikało, że z każdym dniem coraz trudniej będzie dostać się do pani Koh. Musimy działać szybko.

A jednak 14 Zraniony nie wydawał się zmartwiony. Wyglądał raczej na rozluźnionego. Może wierzył w mit, że Teotihuacan jest wieczne. Rzeczywiście, okazało się stabilniejsze od innych miast Majów. Jeżeli *ahau* Majów nie radził sobie dobrze przez kilka lat z rzędu, cała administracja była skłonna do zmiany i władca musiał abdykować albo ginąć. Lub też miejsce zyskiwało złą sławę i ludzie je opuszczali. Teotihuacan było inne. Ale to nie znaczyło, że będzie istnieć wiecznie.

14 Zraniony urwał. 12 Kajman milczał. Ani on, ani Hun Xoc, ani ja nie wspomnieliśmy o pani Koh. I nakazaliśmy 3 Powracającej Ćmie, upamiętniaczowi, aby nie mówił swojej eskorcie, dokąd idzie.

- Ostatnio - podjął 14 Zraniony - wojownicy Pum zaczęli neo fitów Grzechotnika w drodze na targ przy forum Grzechotnika, czyli Ciudadela, a dwa dni temu rodzina wyznawców została zabita. Krew ni domagają się odszkodowania od Pum, ale ludzie mówią, że umowy z Widłogonami są niepewne jak deszcz.

W takich warunkach nadchodzące pożarcie, zaćmienie słońca, które nastąpi za osiem dni, będzie bardzo niebezpiecznym okresem.

Zapadło milczenie. 12 Kajman spojrział na Hun Xoca, potem na mnie. Jego oczy spoglądały groźnie, jak każdego silnego dowódcy, ale się nie odezwał. My również nie.

- Ty obok mnie, czy składałeś ofiary naszym przodkom wraz z panią Koh? - zapytał w końcu 12 Kajman. Z tego, co wiedzieliśmy, ta kobieta mogła już nie być w areszcie domowym. 12 Kajman próbował się upewnić, że pani Koh nadal żyje.

14 Zraniony nie odpowiedział wprost. Stwierdził natomiast, że on i inne Orły w Teotihuacan zwykły widywać panią Koh na procesjach ku czci Grzechotnika, lecz ostatnio w nich nie uczestniczyła. A podobnie jak kilku innych karmicieli Grzechotnika pani Koh należała do najlepszych oratorów. Jednak zaczęły krążyć plotki, że otrzymała prośby o osobistą posługę od ponad stu nowych wyznawców, którzy przyłączyli się do Stowarzyszenia Grzechotnika.

- Podobno cztery pory wojny temu doniesiono na nią do synodu Pумы - powiedział 14 Zraniony. - I tej nocy skorpion wkradł się do domu donosiciela i użądlił tego, kto oskarżył panią Koh. Oczy do nosiciela napuchły i stracił wzrok. Podobno również pani Koh prze widziała powódź trzy pory pokoju temu i widuje się tylko z głowa mi najważniejszych klanów służących Stowarzyszeniu Grzechotnika, i nie przyjmuje więcej klientów, podobno też ma dwie żony oraz może odczytać nienarodzone *k'atun*. - To znaczyło, że potrafi odczytać przyszłość na dwadzieścia lat naprzód. - Potrafi również rozmawiać z pajakami i skłonić je, by utkały kolorowe sieci, nici tkackie lub pro porce.

Spojrzałem na Hun Xoca. Ten spojrzał w dół - odpowiednik Majów na wzruszenie ramionami. Cóż, to możliwe. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

- Oba synody jej nie ufają - zakończył 14 Zraniony.

Najwyraźniej pani Koh była blisko szczytu, choć nie na samym szczycie, tutejszej społeczności lub zakonu nazywanego Dziećmi Niebiańskich Tkaczy. Do zakonu należały kobiety, które z rytualnych powodów mogły się zachowywać i mówić jak mężczyźni oraz nosić męskie stroje. Zapewne mógłbym je nazwać przebierańcami, ale wtedy sugerowałbym, że to tylko gra aktorska. Transwestytki? Nie, też nie o to chodzi. Hm... W wielu opracowaniach używa się terminu *winkte*, ale słowo to odnosi się do mężczyzn z indiańskich kultur nizinnych Ameryki Północnej. Może bardziej odpowiednie byłoby określenie *androgynne*. Chociaż to wydaje się terminem zbyt biologicznym. Nieważne. W każdym razie przez ostatnie dwa *tunob*, jak

powiedział 14 Zraniony, Koh i reszta Tkaczy, a także odpowiadający im zakon męskich karmicieli Grzechotnika, praktycznie stali się zakładnikami. Oczywiście 14 Zraniony nie ujął tego w ten sposób, ale z jego słów wynikało, że wojownicy Klanu Pумы trzymali zakony w areszcie domowym.

Posłaniec zagwizdał. 12 Kajman odgwizdał w odpowiedzi, co znaczyło: masz pozwolenie, by wejść. Posłaniec wszedł i przykucnął przed 12 Kajmanem, po czym wyszeptał mu coś do ucha. 12 Kajman przeprosił i wyszedł. Ruszyłem za nim wąskim korytarzem. 12 Kajman odwrócił się i szepnął do mnie, że 3 Powracająca Ćma wrócił i przekazał wiadomość: cedrowa laska została złamana. Co znaczyło, że pani Koh nas nie przyjmie.

12 Kajman, Hun Xoc i ja zabraliśmy 3 Powracającą Ćmę oraz jego straż do składu, tego ze słojami soli, i pomogliśmy upamiętniaczowi się ogarnąć. Biorąc pod uwagę topografię miasta, zapewne biegł ze trzy mile w każdą stronę, a teraz był spocony i próbował nie dyszeć. Promienie słońca wpadały ukośnie przez okulus. Mniej więcej czwarta rano. Późno. 3 Powracająca Ćma zapewnił, że o ile mu wiadomo, pani Koh osobiście odebrała i odpowiedziała na wiadomość. Odesłała krawatki z równie cennym podarunkiem dla nas, więc nie była to obelga. Jej próznicy, czyli odźwierni lub portierzy, przyznali, że wszystkie Dzieci Niebiańskich Tkaczy poświęcają swój czas na żywienie Pożeracza, co znaczyło, że poszczą przed zaćmieniem.

12 Kajman zwykle wydawał rozkazy, ale tym razem zapytał, co chcę zrobić. Odparłem, że nie mamy wyjścia, musimy działać.

- Wyślemy niebezpieczny podarunek podobnej wartości - dodałem. - Porównywalnej. Albo nawet wyższej.

Czyli wytoczmy armaty. Wysłałem Hun Xoca po kilka rzeczy z przyniesionych przez tragarzy zawiniątek.

- Duży tłum tam jest - rzekł 3 Powracająca Ćma. I dodał, że jeżeli pójdziemy, musimy kierować się na południe do osi głównej, jak dłużej się da. Z dzielnicy *teocalli* starano się usunąć ludzi niższych klas,

więc ruch tam jest mniejszy. Ale chyba wyżej urodzonym nadal po zwalano tu przebywać, przynajmniej do zachodu słońca. 12 Kajman

pochwalił upamiętniacza za dobrą robotę. Hun Xoc wrócił z dużym zawiniątkiem w ramionach.

Zawierało dwie *rzeczy*: pelerynę z piór zielonej ary, która była warta trochę więcej niż dwustu dziesięciu młodych niewolnych chłopców - moglibyśmy za to sfinansować obecną wyprawę i jeszcze pewnie by zostało. Cóż, nawet jeżeli 21c się zadłużył, to i tak był to najmniej z jego problemów. Podarujemy ją stołowi Grzechotnika, nie pani Koh, więc kapłani będą musieli spalić narzutę w ofierze na ołtarzu. To na panią Koh nałoży obowiązek, by podziękować nam osobiście. Drugi przedmiot był białym naczyniem wypełnionym płatkami, które wyglądały jak suszone liście wielkości znaczka pocztowego z Jeffersonem. Symetryczne, z poszarpanymi krawędziami, jasnoróżowe z biomorficznymi czarnymi plamami, jak na wzorach Rorschacha. Były to wysuszone skóry żab drzewnych żyjących w lasach deszczowych wokół IX, których trucizny używano do pocisków w dmuchawkach. Dar symbolizował niebezpieczeństwo, a dokładniej znaczył: przygotuj się, zrób strzałki.

Zapytałem 12 Kajmana, czy skórki nie będą deklaracją wrogości. Odpowiedział, że nie. Takie dary miały dokładnie określone znaczenie, a jako stary i doświadczony żołnierz widział wszystkie. Zamknąłem naczynie. Zrobiono je niedawno - wzór glików reprezentował dwoje wspólnych przodków pani Koh i 2 Inkrustowanej Czaszki. Dodatkowa wiadomość dla pani Koh - przypomnienie o obowiązkach wobec rodziny.

- Chciałbym dodać podsumowanie - oznajmiłem.

12 Kajman zerknął na mnie uważnie. Wyjaśniłem, że sprawa jest na tyle poważna, by nieco odkryć karty. Zacząłem dyktować:

4 Ahau: ajtonxa pochtał Tamoan...

„W dziesiątym *b'ak'tun*, w piątym *k'atun*, szesnastym *tun*, zerowym *uinal* (czyli w sierpniu 530 roku naszej ery) Biały Węgorz (czyli kometa Halleya) zapłonie nad nami.

W dziesiątym *b'ak'tun*, w ósmym *k'atun*, w trzynastym *tun*, w jedenastym *uinal* (czyli w lutym 607 roku naszej ery) Biały Węgorz zapłonie nad nami znów.

W dziesiątym *b'ak'tun*, w dwunastym *k'atun*, w jedenastym *tun*, w trzecim *uinal* (w kwietniu 684 roku naszej ery) Biały Węgorz zapłonie nad nami jeszcze raz.

Zanim nastanie czternasty *uinal* dziewiętnastego *tun* dwunastego *k'atun* dziesiątego *b'ak'tun* (czyli przed styczniem 692 roku naszej ery), Teotihuacan zostanie opuszczone.

Skończone".

Żadna z tych dat nie pojawiła się w Kodeksie Norymberskim ani w innych zapisach Gry, o jakich wiedziałem od 2 Inkrustowanej Czaszki. Lecz każde z tych zdarzeń było prawdziwe. 21c powiedział mi również, że wszyscy wiedzą o komecie Halleya. Naturalnie. Ale nikt nie umiał przewidzieć, kiedy kometa pojawi się znowu, nawet przy użyciu Gry nie dało się tego przewidzieć. Przyznałem, że nic dziwnego - trajektoria tego ciała jest mało regularna. Potrzeba było nowoczesnych instrumentów, by określić powrót komety Halleya w przybliżeniu do dwóch lat, a dopiero w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku udało się określić to precyzyjnie. Koh powinno to zaintrygować, prawda?

Kazałem 3 Powracającej Ćmie powtórzyć całość. Zapamiętał za pierwszym razem. Wysłaliśmy go znowu do pani Koh.

- Nie będziemy czekać na odpowiedź - zdecydowałem. - Damy jej cztery tysiące uderzeń - to idiom znaczący około godziny - a potem po prostu staniemy u jej drzwi.

12 Kajman spojrział na mnie podejrzliwie, ale to była moja misja, więc zmilczał.

Hun Xoc, syn 14 Zranionego Lewa Juka i ja wyszliśmy przez opustoszały dziedziniec. Inni goście przygotowywali się do snu na dachu i musieliśmy przejść nad nimi, by dostać się do północnej wąskiej alejki, a potem na wschód do osi głównej.

- Bądźmy cicho - doradził Hun Xoc. Nie chciał, by ktokolwiek usłyszał, że mówimy w języku z IX. Nalegałem, abyśmy założyli lekkie ofiarne maski zamiast zwisających z nosa grzebieni. Grzebienie doprowadzały mnie do szału, nie ma nic gorszego niż niewygodny piercing. Poza tym mieliśmy miejscowe manty z szaroczerwonym wzorem skorpiona wyszytym paciorkami, który oznaczał po prostu, że odłożyliśmy nasze klanowe obowiązki, by złożyć ofiary wraz z całym świętym miastem. Dzięki temu nie można było określić naszego rodu i pochodzenia. Co nie znaczy, że upodobniliśmy się do mieszkańców Teotihuacan. Mielibyśmy kłopoty, gdyby nas na czymś takim przyłapano. Rozejrzałem się. Udało nam się chyba zgubić szpiegów, o ile można ich tak nazwać, skoro pozostawali na widoku. Podejrzewałem, że sytuacja przypominała tę w Związku Radzieckim, gdzie ludzie doskonale wiedzieli, kto jest agentem, a przynajmniej umieli rozpoznać większość z nich. Może w Teotihuacan szpiegów mieli za dużo pracy - do miasta przybyły przecież tłumy obcych. Zamieszanie było dla nas sprzyjającą okolicznością. Zresztą nie robiliśmy nic wywrotowego. To znaczy jeszcze nie.

Skręciliśmy w prawo do ciemnego przejścia przypominającego środkowowschodnie *alameda*. Było szerokie mniej więcej na pięć ramion i biegło równoległe do osi głównej. Przejście tędy przypominało nieco spacer po dużo węższej Madison Avenue, gdzie przy każdym skrzyżowaniu można dostrzec Central Park. Wybraliśmy inną trasę niż ta, którą szedł 3 Powracająca Ćma. Upamiętniacz na pewno już dotarł pod dom Niebiańskich Tkaczy. Trzeba dać pani Koh trochę czasu, żeby mogła wysłuchać posłania. Niech pozna wieści, niech je przetrawi.

Na niskim murku zauważyłem wygrzewającego się wielkiego węża. W Teotihuacan skrupulatnie przestrzegano zasady, by nie drażnić *Squamata serpentes*. Zupełnie jak w hinduskich świątyniach, gdzie żyły małpy lub święte krowy. Korzyści uboczne z tego stanu rzeczy: dość niska liczba szczurów i względnie wysoka - śmierci od ukąszeń, którą uważano za dobrą, ponieważ oznaczała, że Gwiezdny Grzechot-

nik osobiście wysłał jedno ze swych wnucząt, by zabrało *uay* człowieka do trzynastej warstwy wszechświata.

Dwie dzielnice dalej na południe przekroczyliśmy niewidzialną granicę i znaleźliśmy się w rdzennym Teotihuacan. Obszar na północy-północnym zachodzie gościł najbogatszych przedstawicieli Majów. Choć domy były tu starsze i mniejsze, okolica miała charakterystyczny klimat. Podejrzewam, że wykazywała sporo podobieństw do dzielnic etnicznych w wielkich miastach. Używając znowu nowojorskich porównań, to jakbyśmy przeszli przez Mulberry Street i przecięli włosko-chińską granicę na Kanale. Trójka niezdarnych Zbyt-Wysokich, którzy zawędrowali wyraźnie za daleko od swoich dzielnic, wyszła z bocznej alejki. Hun Xoc stanął między nimi a mną. Posłałem mu spojrzenie-podziękowanie.

Nie ma za co, odpowiedział lekkim skrzywieniem ust.

Nie ufam mu, dałem do zrozumienia, zerkając na Lewą Jukę.

Nie martw się, odparł bez słów Hun Xoc, nic mu nie powiem i będę go obserwował jak złodzieja.

Domy zrobiły się większe i nowsze, miały przynajmniej dwie kondygnacje - pierwszą z kamienia i otynkowaną, drugą z drewna również pokrytego tynkiem.

Handlarze i pielgrzymi mijali nas, pozdrawiając milczącym salutem, zawsze w grupach trzysobowych lub większych. Wydawali się tak samo czujni, jak my - może mieli równie delikatne misje do wykonania? Przeszliśmy obok kilku zbieraczy odpadków z wielkimi, śmierdzącymi naczyniami, którzy cofnęli się przed nami z szacunkiem. Pięciu wojowników Pумы przebiegło środkiem uliczki. Zapewne szukali okazji, by uwięzić kogoś lub wpaść do domu i skonfiskować akcesoria, które uznaliby za zbyt wystawne.

W mieście zapadała cisza. W osadach Majów zawsze ktoś śpiewał, lecz tutaj pieśni dozwolone były jedynie w określonych porach. Teraz słyszało się kroki lub ptaki, czasami trzaskanie krzemienia albo chrobot kamiennych pił na drewnie, ale niewiele więcej. Dźwięki odbijały się echem od grubych ścian i zlewały w płynny, niski pomruk. Połowa

przechodniów nosiła zawieszona w nosach grzebienie, reszta - zapewne bardziej tradycjonalistyczna - maski lub woale. No i dobrze, pomyślałem. Odczuwałem swoiste zmęczenie, jakie towarzyszy niekiedy podróżnikom - widziałem już zbyt wiele twarzy. Zaczęły dla mnie wyglądać tak samo i przestały być interesujące. Maski też wydawały się identyczne, gładkie, wykonane z zagruntowanej kory lub miejscowego odpowiednika papier maché, kukurydzianej papki - kremowobiałe, z migdałowymi otworami na oczy, uproszczone, bez wyrazu, bez oznak wieku, płci, pochodzenia etnicznego. Oblicze nie martwe, ale też nie do końca żywe. Wśród tych masek, długich mant, wobec ciszy i braku drzew lub trawy w wąskim przejściu między domami, jedynym naturalnym elementem wydawało się zmieniające kolor niebo.

Gdy znaleźliśmy się na południe od *mul* Huraganu, skręciliśmy w lewo, do osi głównej. Na rogu stało pięciu wojowników Pumi i Lewa Juka odezwał się do nich w miejscowym dialekcie. Mówił płynnie i bez akcentu. Wojownicy ledwie raczyli go zauważyć, a potem obojętnie obserwowali nasze odejście.

Zacząłem się zastanawiać, gdzie podziały się wszystkie laski? Oczywiście znajdowałem się w strefie ceremonialnej. Obowiązywała tu segregacja płci. Ale nawet na ulicach rzadko można było dostrzec kobiety i jeszcze rzadziej dzieci. Pod tym względem Teotihuacan przypominało miasto mużułmańskie, w którym kobiety wyższych kast uznawane są za zbyt wartościowe, by pozwalać im na wychodzenie z domu. A przynajmniej tak się to tłumaczy. To miejsce mnie denerwuje. Nieważne, i tak nie zamierzam się tu osiedlić.

Miasto było duże, ale różniło się od wyobrażeń, jakie mógłby sobie wyrobić ktoś z dwudziestego pierwszego wieku. Przypominało bardziej zestaw osad. Można się było urodzić w jednej części i nigdy nie odwiedzić sąsiedniej dzielnicy. A gdyby nawet się tak zdarzyło, byłoby to jak wejście do salonu obcych ludzi. I gdyby się jednak weszło, należało najpierw spędzić trochę czasu z pierwszą napotkaną osobą, wymienić imiona swoich krewnych i spokrewnione rody, zapytać o jej krewnych, gałęzie rodziny i klany, a jeżeli się nie znajdzie żadnych wspólnych przodków, należy się liczyć z pobiciem. Dlatego nie było

powodu, by się włóczyć po mieście. Nie istniały restauracje - koncept całkowicie tutaj nieznanym - ani sklepy, jedynie różne targowiska. Nie było teatrów, jeśli nie liczyć religijnych pokazów na określonych placach, a i na te mogli wejść tylko członkowie wybranych grup. Nie było też żadnych rozrywek, jeśli nie liczyć odwiedzin krewnych z klanu i słuchania ich śpiewaków. No, ewentualnie to można uznać. Ale wiadomo, o co chodzi: nie wychodziło się tak po prostu na imprezę. W rzeczywistości ludzie rzadko tutaj wychodzili, nie na tyle, by warto o tym mówić. Nie chodzili na spacer. Nie wyjeżdżali na wieś, by odetchnąć świeżym powietrzem w weekend. Nie odprowadzali dzieci do szkoły. Ani też nie pracowali całymi dniami. Głównie, jak mi się zdaje, zajmowali się wypełnianiem obowiązków - wobec rodziny, rodu, klanu, stowarzyszenia, grupy patronów, tych żyjących, nienarodzonych oraz przede wszystkim umarłych. Zajmowali się tym, co my - mam na myśli ludzi z dwudziestego pierwszego stulecia - nazwalibyśmy rytuałami. Dla ludzi z tej epoki było to codziennością. Chodzi o to, że w Teotihuacan panował charakterystyczny poważny nastrój, atmosfera obowiązkowości i świętości, jak w Jerozolimie. Może to zaraźliwa pobożność, którą przynosili pielgrzymi? Miasto poza tym było równie przepełnione jak Jerozolima i równie napięte. Czuło się, że istnieją tu różne kultury i są ze sobą skłócone. I dawało się wyczuć coś jeszcze, choć może to tylko wyobrażenia - że jak każda wielka stolica, która rosła i rozwijała się zbyt długo, Teotihuacan od środka zaczyna gnić. Mój pobyt w Ix trudno zaliczyć do przyjemnych, ale teraz za nim tęskniłem. Pomimo hierarchii w miastach Majów panował nastrój święta i zawsze słychać było śmiech. Tutaj, pomimo *teocalli*, ptaków i kwiatów, dominował ponury chłód.

Przecieliśmy plac. Na jego środku ogarnęło mnie nieodparte doznanie siły emanującej z *mul* Jadeitowej Wiedźmy. Przystanąłem oszołomiony. Hun Xoc dotknął mnie i ruszyłem za nim na południe. Tłum był coraz gęstszy. Jak zwykle droga wiodła na schody. Nie męczyły mnie, dawno już miałem za sobą ten stan, ale przechodzenie wciąż w górę i w dół wywołuje trans lub coś podobnego. Pasma ciemnych i jasnych barw na ścianach i przejściach tworzyły optyczno-artystyczną

iluzję tak, że nie zawsze dostrzegało się różnicę między poziomami, odległość od muru lub kolejny stopień. Jeśli namalować na schodach poziome pasy - ludzie będą próbowali na nich stanąć i upadną. Szlag, Marena na pewno by stąd spadła. Powiniennem ją tu zabrać i...

Uważaj, zasygnalizował mi Hun Xoc. Popadłem w trans, wchodząc, a z góry zbliżał się oddział Pum i powinniśmy się odsunąć. Odeszliśmy na prawo, w stronę dużego otwartego targowiska fetyszów. To chyba najlepsze określenie, bo plac był przeznaczony do handlu takimi towarami, jak figurki i narkotyki oraz niewolnicy i broń, a także zaklęcia i generalnie przedmioty posiadające silne duchy. Jednakże my nie mieliśmy czasu na zakupy. Skręciliśmy na wschód, w stronę Ciudadela, na Dziedziniec Grzechotnika.

Był zarówno imponujący, jak i zapraszający, większy i lepiej wykończony niż inne place. Znajdował się powyżej średniego poziomu miasta, otoczony z trzech stron dwunastoma platformami widokowymi z szerokimi schodami o trzydziestu jeden stopniach. Widać było, dlaczego Hiszpanie myśleli, że to twierdza. Na wschodnim krańcu budowli wznosił się bezsensowny mur, wysoki niemal na dwie trzecie wysokości *mul* Grzechotnika. Zapewne synody zagroziły, że podniosą Grzechotnikom podatki, jeżeli nie wybudują tej bariery. Najwyraźniej rady uważały, że jeśli piramida będzie się mniej rzucać w oczy, spowolni to napływ wyznawców do Stowarzyszenia Grzechotnika. Ale odnosiłem wrażenie, że skutek był odwrotny. Tłok na dziedzińcu świadczył, że to najpopularniejsza świątynia w mieście. Przepychaliśmy się na południe i południowy wschód, gdzie widać było krene-laże dachu budynków przy *mul*. Jeden z tych domów musiał być siedzibą Niebiańskich Tkaczy.

Minęliśmy kolejną grupę wojowników Pumi. Zdawało się, że ich przybywa, może obserwowali Grzechotniki. Potem pojawiło się kilka starych kobiet. Po raz pierwszy tutaj widziałem kobiety bez obstawy mężczyzn. W przeciwieństwie do placów na północy ten dziedziniec sprawiał wrażenie otwartego, co oznaczało obecność wielu niekoniecznie dobrych ludzi. 14 Zraniony powiedział, że dzieci Niebiańskiego Węgorza tutaj właśnie rozdawały zapomogi, tutaj również od-

bywały się sądy, ale i tak wydawało się, że to raczej miejsce publiczne niż święte. Nie było tu kramów, nie odbywało się widoczne przekazywanie dóbr, ale i tak wiedziałem, że toczy się tu niezły biznes. Brokerzy barterowi zawierali umowy, rachmistrze z abakusami przeliczali wpływy, a bukmacherzy zbierali zakłady. W starych miastach naprawdę używało się przestrzeni publicznej. Do przeprowadzenia transakcji, gdy nie ma pieniędzy ani telefonów, potrzebne jest forum, agora lub piazza. Minęliśmy młodzież grającą w *taxac*, skomplikowaną grę w słówka, oraz *kak*, odmianę łapek. Zauważyłem, że bruk pod moimi stopami jest czarny, a potem - gdy przeszliśmy za ołtarz na środku - zmienił się na chwilę w żółty, a potem czerwony. Szliśmy po polach planszy do Gry, które miały niezwykle intensywne barwy, zapewne uzyskane przez nasycenie barwnikiem wapiennych brył. Para wróżbitów Grzechotnika w błękitnych nakryciach głowy zdawała się przepływać przez tłum, odpowiadając na pytania zgromadzonych.

Oto duch misjonarski, pomyślałem.

Ominęliśmy grupy pochylone nad miskami z żarem - ci ludzie składali ofiary Grzechotnikowi lub za pośrednictwem Grzechotnika dla nieobecnych krewnych i przodków, których imiona lub szczątki przepadły. Większość przybyszów spoza Teotihuacan wyglądała dla mnie jak wioskowi kaczykowie. Każdy z nich reprezentował zapewne kilkuset przerażonych chłopów Bóg wie skąd. Lewa Juka wyjaśnił, że susza przyciągnęła jeszcze więcej ludzi do Niebiańskiego Węgorza, czyli Gwiezdnego Grzechotnika. Synody Widłogonów i Sępów posiadały własne rody Strażników Dnia, ale ci ze Stowarzyszenia Grzechotnika nadal uważani byli za najlepszych. 14 Zraniony wyjaśnił, że to dzięki pismu. Grzechotniki umiały pisać i czytać i zgromadziły biblioteki zbyt wielkie, by jeden człowiek, czy nawet kongregacja griotów, mógł je zapamiętać. Wielu Strażników Dnia w Stowarzyszeniu Grzechotnika pochodziło z klanów Majów, jak pani Koh, zatem tworzyli w Teotihuacan oazę piśmiennictwa.

Może pani Koh prowadziła posługę wśród pozamiastowych, jak Zbyt-Wysocy, używając w ofiarowaniach różnych języków. Lewa Juka zapewnił, że Grzechotnik nie miał nic przeciwko temu. Poza tym

Gwiezdny Grzechotnik nie żądał cennych ofiar, tylko pieśni, dymu z mięty, tytoniu i kosmyka włosów.

Rozległo się coraz głośniejsze bębnienie. Tłumy zwolniły i przystanąły.

Dźwięki odbijały się echem po mieście, rozprzestrzeniały na wzgórze i dalej. Majestatyczny rytm, jakiego wcześniej nie słyszeliśmy, powtarzalne serie pięciu uderzeń.

- Mówią, że granice miasta zostały zamknięte - przetłumaczył Lewa Juka. Dwa dni wcześniej. Zamknięto miasto na czas czuwania i nikt nie mógł już wejść ani wyjść.

Cholera, pomyślałem, spojrzawszy na Hun Xoca.

Zamknięci jak w pułapce, zasygnalizował, wykorzystajmy to jak najlepiej.

Kiedy bębnienie ucichło, tłum wrócił do swoich zajęć, ale bardziej pośpiesznie i ciszej.

Piekło i szatani! Chciałem wykraść odrobinę dopalaczy do Gry, skądkolwiek, nieważne, a potem zwiać gdzie pieprz rośnie, zanim zacznie się czuwanie. To tyle, jeśli chodzi o moje wielkie plany.

Zeszliśmy po zatłoczonych schodach. Wojownicy Pумы po obu stronach mierzyli nas uważnymi spojrzeniami, więc trzymałem głowę nisko i tylko raz zerknąłem na *mul* Grzechotnika. Były na niej wyrzeźbione splecione dwa gatunki wielkich węży, a raczej dwa aspekty Grzechotnika: Morski Grzechotnik, przedstawiony w naturalnych, sinusoidalnych splotach, oraz Niebiański Grzechotnik, stylizowany i geometryczny, z błękitnymi wypukłymi oczyma Chaka i równoległymi kłami. Zgromadzenie kobiet, do którego należała Koh, mieszkało w południowej części kompleksu, a jego męski odpowiednik - w północnej. Ale na podstawie wyglądu budynku trudno było powiedzieć, który jest który. Gładko otynkowane ściany domów w starym stylu, prawie bez okien, tylko z niewielkimi, rzadko rozmieszczonymi lufcikami, miały fronty pomalowane na niebiesko, choć po tej stronie zwykle pojawiał się kolor pomarańczowy. Drzwi były małe, z wyrzeźbionymi maskaronami, ale bez ostentacji. Przed każdym z głównych wejść siedział jeden lub dwóch strażników. Zawsze tu byli czy tylko

teraz, ze względu na zaostrzający się konflikt? W alejce tłoczyły się rodziny suplikantów - miejscowych, Zbyt-Wysokich i innych. Nie mieli śpiworów ani ognia. Po prostu siedzieli lub kucali i trzęśli się ze strachu. Nic dziwnego, że Koh nie chciała z nami rozmawiać. Pewnie musiała odprawić z kwitkiem tłumy.

Przeszliśmy między nimi, a niekiedy i po nich. Paru ludzi zaczęło narzekać, ale dzięki systemowi kastowemu nie spotkało nas nic gorszego. My byliśmy krewniakami, a oni - hołotą. I tyle. Lewa Juka poprowadził nas do budowli, nie do frontowych drzwi, lecz nieco obok. Tutaj się nie pukało. Byłoby to zbyt agresywne zachowanie. Albo się świstało cicho, jak najciszej, albo po prostu czekało, aż ze środka ktoś wyjdzie. Jednak przed progiem kucalo trzech dworników i grało w hazardową odmianę *patolli* na poplamionej szmacianej planszy. Na nasz widok wstali. Przedstawiliśmy się. Nie chcieli nas zaanonsować, twierdzili, że to nic nie da, ale Lewa Juka chyba po ostatniej wizycie poznał ich bliżej, bo zaczął im tłumaczyć, że nawet jeżeli jesteśmy spokrewnieni z panią Koh tylko w piątej linii, to przecież nie znaczy, że ludzie mają gadać o rozrzuceniu przez nią kamieni paleniska, czyli o pogwałceniu zasad gościnności. Prawda?

Dwornicy kazali nam czekać. Jeden wszedł do budynku. Poczuliśmy się jak w 1989, gdy próbowałem przekonać Armando, wykidajkę w pewnym luksusowym klubie nocnym, żeby mnie wpuścił.

Czekaliśmy. To kretynizm, pomyślałem. Może Koh to tylko mierzalna amatorka, która ledwie daje sobie radę w Grze? Czasami się nad tym zastanawiałem. To znaczy zastanawiałem się nad oczywistą kwestią: jeżeli Gra dziewięcioma kamieniami była tak potężna, czemu najlepsi Strażnicy Dnia nie zapanowali nad światem?

Odpowiedź była jednak oczywista: zapanowali. Przynajmniej nad swoim światem. Mieli ugruntowaną władzę nad tym miastem i resztą Mezoameryki, choć pozwolili kocim klanom bawić się w politykę. Właściwie zastanawiało mnie bardziej to, dlaczego Gra nie dotarła i nie opanowała tak zwanego Starego Świata?

Fernand Braudel zwykł prosić swoich studentów, by wyjaśnili, dlaczego czternastowieczne Chiny, które posiadały wielką flotę, banknoty

i inne nowoczesne wynalazki, nie odkryły Ameryki. Jego najlepsza teoria głosiła: ponieważ nie potrzebowały. Każdy, kto miał władzę w Chinach, radził sobie doskonale, a jedyna rzecz, jaka pozostała do zrobienia, to bardziej się obwarować. Może tak samo Strażnicy Dnia nie czuli potrzeby, by rozciągnąć panowanie gdzie indziej? Skoro wszystko idzie dobrze, po co to psuć? Dobre wynalazki nie zawsze się upowszechniają. Czasami umierają pomimo lub ponieważ są tak dobre. Maszynę różnicową Babbage'a skonstruowano dopiero po stu latach. Ludy Polinezji początkowo znały garncarstwo, a potem o nim zapomniały. Rzymianie wytwarzali beton, a potem, gdy receptura zaginęła, nikt nie próbował jej opracować na nowo aż do roku 1824.

Rozejrzałem się. Robiło się zimno. Przypomniały mi się pierwsze dni w stolicy Meksyku. Byłem zaskoczony, jak chłodne są tu noce. Doleciała mnie gorzka woń jakiegoś kadzidła. Rodzina Zbyt-Wysokich, która przepychała się po drugiej stronie alei, nagle znieruchomiała z opuszczonymi głowami.

Coś było nie tak. Ale co?

Hmm...Mieszkańcy Teotihuacan nie byli hałaśliwi, ale zawsze wyczu-owało się, że są ich wokół zyliony. Cały dzień słyszeliśmy głosy, szme-ry, chrobotanie, łomotanie, trzaski tortilli i krzemienia, brzęczenie niezadowolenia jak w ulu. A teraz miałem wrażenie, jakby wszyscy zniknęli. Wszelkie odgłosy ludzi umilkły.

Tutaj nie było rytuałów o zachodzie słońca, jak na terenach Majów. Tylko niepewna cisza. W tym mieście nawet podczas normalnej rozmowy unikało się wspomniania o zachodzie słońca. Mówiło się „później” lub „wczesny wieczór”.

Spojrzałem na swojego towarzysza. Hun Xoc wypuścił powoli powietrze z płuc - odpowiednik wzniesienia oczu do nieba. Ludzie w pobliżu popatrzyli na niego z naganą, jakby chcieli powiedzieć: „Cii, nie hałasuj!”.

Zacząłem nasłuchiwać. Nadal dochodziły do mnie z oddali skrzeki mew i psów, łopot skrzydeł indyków i ultrawysokie piski nietoperzy, ale cała ludzkość wstrzymała oddech.

Ożeż. Ależ napięcie, pomyślałem. Przyjrzałem się błagalnikotn. Patrzyli w ziemię lub na rąbki swoich mant, wszędzie, byle nie na niebo. Kobieta po prawej u moich stóp drżała i nie sądzę, że z zimna czy choroby, lecz z przerażenia. Po ośmiuset latach miasto nadal bało się ciemności.

Wreszcie, gdy słońce znikło, słudzy Koh podeszli i poprowadzili nas przez pusty niebieski dziedziniec i obok łaźni. Rozebrano nas, natarto jeszcze raz tłuszczem i odziano w nowe szaty, fioletowe bawełniane kilty i przepaski, a na to obszerne manty-narzuty. Fiolet był kolorem neutralnym, nie w sensie zdobniczym, lecz symbolicznym -nie wskazywał na żaden klan. Dworzanie powiedli nas przez labirynt ciemnych korytarzy, może tylko po to, by nam namącić w głowach i zmieszać, a potem przez kolejny niewielki dziedziniec do małej kwadratowej komnaty. Siedziało tam na ławie siedem osób i spoglądało na nas ponuro, jakbyśmy przerwali coś ważnego. I zapewne tak właśnie było. Pięć osób miało na sobie męskie stroje i niebieskie manty z romboidalnym wzorem. Nosili duże nakrycia głowy podobne do luźnych turbanów, które zasłaniały prawie całą twarz. Ale i tak rozpoznałem po piercingu, że to miejscowi, może przedstawiciele wysokich rodów, którzy przyłączyli się do Tkaczy. Jednym był muskularny mężczyzna ze złamanym nosem. Czarne i pomarańczowe paciorki na jego pelerynie identyfikowały go jako osobę, o której 14 Zraniony wspomniał, że możemy ją tu spotkać: 1 Jaszczur, przywódca rodu Jaszczura, największego kupieckiego stowarzyszenia Sępa, które przeszło na stronę Grzechotnika. Z 1 Jaszczurem był syn. Obaj wyglądali mi na zbirów. A przecież nigdy się nie spotkaliśmy. Nawet ich oficjalnie nie zauważyliśmy. Jeżeli nie ma się zamiaru przechodzić przez formalny ceremoniał wzajemnego przedstawiania, który zajmuje dużo czasu, lepiej udawać, że się nie widzi siebie nawzajem. Kolejne dwie osoby nosiły kobiece stroje i chyba naprawdę były kobietami. Czy to żony Koh? A dalej, jak się domyślałem, przycupnęła klaun lub trefniś - przebrany w zabawny kostium jeżozwierzka. Gdy mój wzrok dostosował się do ciemności, zobaczyłem, że w kącie za nami siedział pies, a na podłodze, ułożone warstwami na oślepiająco biało-niebieskich dywanikach, stało mnóstwo małych dzbanków i misek oraz szeroka taca z luksusowym topniejącym śniegiem. Za nimi na ścianie znajdował się mural, malowidło przedstawiające ławice gnomowatych kobietek baraszkujących wokół podwodnego wulkanu.

Według 14 Zranionego w tym domu mieszkało pięć lub sześć rodzin. Rodzin złożonych wyłącznie z kobiet. Ale nie były to związki lesbijek, nie. Z tego, co usłyszałem - a nie było to zbyt jasne - córki Niebiańskich Tkaczy nie były wszystkie androgyniczne. Ale oficjalnie przedstawiały się jako normalne, heteroseksualne rodziny - część kobiet pełniła role męskie, część kobiece. Pani Koh, jako krewna, mogła przejąć rolę męską - w antropologicznym, rzecz jasna, rozumieniu - miała prawo wchodzić do świętych miejsc mężczyzn, przykładowo do *mul* Grzechotnika. Tak przypuszczałem...

Och! Co, u diabła?

Pies się podniósł. Poczulem dreszcz. To nie był pies, lecz człowiek.

Karlica. Z wydłużoną twarzą, prawie naga. Skórę miała zabarwioną na zielono, ale w głębokim półmroku wydawała się czarna. Kiedy kuśtykała kaczkowatym chodem wokół paleniska, przypominała mi pingwina. Ale bynajmniej nie było mi do śmiechu. Nie miała achondroplazji jak 3 Niebieski Ślimak. Miała zespół wad, który nazywa się karłowatością pierwotną. Zespół Seckela. Pamiętałem, że tacy ludzie nie żyją długo. Ta karlica musiała być jeszcze nastolatką. Myślałem, że ludzie z tą chorobą są opóźnieni umysłowo, ale ta mała sprawiała wrażenie normalnej. Wykonała gest słuchania. Przykucnąłem jak najniżej.

-Wy nad nami... Pani Koh mówi tylko... do jednego naraz - oznajmiła. Głos miała monotony i miauczący, a posługiwała się męską odmianą teotihuacańskiego, przez co brzmiał wątle.

-Ja poniżej ciebie przynoszę prośbę - odpowiedziałem. I popatrzyłem na Hun Xoca. W jego oczach odbiło się wahanie. Musiałby postąpić wbrew rozkazom, które nakazywały mu obserwować mnie nieustannie. Ale też niewiele mógł zrobić w obecnej sytuacji. Przymknął oczy, jakby chciał powiedzieć: „No dobra, co sobie chcesz”.

Dzięki za zaufanie - postarałem się mu to przekazać wyrazem twarzy.

Karlica uniosła jeden z dywaników. Pod spodem znajdował się kwadratowy otwór. Jak na dworze francuskim za Ludwika XIV, tu też

wszyscy mieli świra na punkcie pułapek, sekretnych przejść i ukrytych judaszy do podglądania. Karlica weszła do otworu na czworakach, głową do przodu, jak Biały Królik do nory. Wsunąłem tam najpierw stopę, by sprawdzić, jak jest głęboko. Wyczułem pochyłe podłoże, więc kucnąłem i wczołgałem się za małą przewodniczką. Kolanami przycisnąłem sobie ubranie i odruchowo chciałem się wyprostować. Tunel opadał pod kątem prawie trzydziestu stopni. Czołgałem się w mroku przez ponad pięćdziesiąt ramion i wyszedłem przez mysią dziurkę na środku przejścia pod otwartym niebem. Karlica powiodła mnie za róg, przez kolejne niewielkie drzwi ukryte pod płachtami zwierzęcej skóry do ciemnej kwadratowej komnaty o długości najwyżej ośmiu ramion. Pomieszczenie znajdowało się niżej niż poprzednie, ale dach pozostał na tym samym poziomie, przez co sufit wznosił się na prawie dwadzieścia ramion. Miałem wrażenie, że jestem w studni. Dostrzegłem sinawy poblask padający z okulusa, z czego wywnioskowałem, że pomieszczenie znajduje się po stronie zatłoczonego dziedzińca. Ściany pokryte były czymś, co wyglądało na metalowe łuski. Znajdowało się tu gliniane grube naczynie z dogasającym żarem, dwa kosze wielkości tych na pionki do go, gliniane miseczki na niewielkiej tacce, para włosianych miotełek do odpędzania owadów i kościany stojak z mirtową pochodnią dającą zielonkawo płomień. Zielona narzuta z piór oraz naczynie z trującymi skórkami - dary, które przysłaliśmy - leżały w kącie, zwinięte niczym para śpiących kotów. I unosił się tu specyficzny zapach, którego nie potrafiłem dokładnie opisać.

Nie był gorzkawy jak dym na dziedzińcu, ani też nie przypominał tego, jaki wydobywa się z nawoskowanych jagód mirtu w pochodni - ten przypominał aromat sosen i jodeł zmieszany z olejkami z siemienia lnianego. Ta inna woń była przyjemna. Wydawało mi się, że to przeciwieństwo cynamonu, o ile w ogóle coś takiego istnieje. Zapachy nie są jak barwy, nie ma tu głównych, podstawowych, z których mieszanki wychodzą różne inne. Ale dzięki temu tworzy się nowe zapachy tak, jak nigdy nie mogłyby powstać nowe barwy. Podciągnąłem stopy pod siebie i próbowałem z gracją poprawić mantę. Nie-

stety, tylko opadłem jak mors na piasku. Rany, ależ ze mnie niezdar! Powinienem być to przeciwzyć. Karlica przemknęła obok mnie i wróciła tam, skąd przyszedliśmy.

Usiadłem w pozycji na wpół błagalnej, obowiązkowo twarzą do miski z żarem. Podłogę pode mną wyścielały gąbczaste maty posypane płatkami geranium do ochrony przed moim zanieczyszczeniem.

Siedziałem. Dziwnie się czułem. Po dłuższej chwili zrozumiałem dlaczego. Po raz pierwszy, odkąd obudziłem się w wiklinowej klatce więzienia 2 Inkrustowanej Czaszki, byłem sam w pustym pomieszczeniu. Nie miałem jednak możliwości sprawdzić, czy naprawdę jestem sam.

Kłapa zaszemrała. Usłyszałem za plecami ciche, czujne kroki. Gdybym się odwrócił, zachowałbym się wbrew dobrym manierom, więc ani drgnąłem. Niska, szczupła postać - najwyżej półtora ramienia wzrostu - przekuśtykała obok mnie, wspierając się na lasce z niebieskimi kokardami. Niepewnie usiadła naprzeciw, po drugiej stronie miski z żarem, położywszy kostur przed sobą. Była starą kobietą w męskiej mancie i uczesaniu.

Zadrzałem lekko, choć miałem nadzieję, że tylko w duchu. Twarz staruszki była tak zasuszona i pomarszczona, że wyglądała jak posklejana z drobnych kamyków. Ale bez trudu dostrzegłem, że po prawej stronie skórę ma czarną, a po lewej normalną, choć bladą. Oblicze dzieliła granica w kształcie litery S, tak jak na rysunku, który pokazał mi 2 Inkrustowana Czaszka. Sękate dłonie oparła na kolanach. Czarne włosy musiały być peruką. Zapadnięte oczy tonęły w mroku i nie dostrzegłem nawet błysku białek.

Zic mylił się co do jej wieku. Ale jak to możliwe? A może wyglądała starzej, bo została otruta, jak Wiktor Juszczenko?

Usiadła wygodniej i wyciągnęła ręce nad żarem, by się ogrzać, chociaż w komnacie było ciepło, co najmniej dwadzieścia pięć stopni. Bez wątplenia nikt nie przyszedł razem z nią. Co było dziwne. Żadnej eskorty. Czyżby można pani nie obawiała się ataku?

Pani Koh wyciągnęła ciemną pomarszczoną rękę otwartą dłonią do góry.

Powiedz coś, nakazałem sobie, po czym odezwałem się w dialekcie iksyjskim używanym do rozmów między wyżej urodzonymi lub równymi:

-*Tzitic uy oc caba ten lahun achit.* - Co znaczyło: poniżej ciebie mam na imię 10 Scynka. - Nasze rodziny pod tobą nazywają mnie bratem (czyli krewnym) z rodu Orła w Ix, osiemnasty (to znaczy adoptowany) syn dwudziestokrotnego zwycięzcy, 2 Inkrustowanej Czaszki.

-A kto ojcem twym jest? - zapytała pani Koh. - I jakie inne imiona masz prócz 10 Scynki?

-2 Inkrustowana Czaszka ojcem mym - odpowiedziałem.

-A kto oświecił przebudzenie twe? - indagowała. Nie odpowiedziałem na pytanie o inne imiona, ale Koh, jak każdy wytrawny przesłuchujący, nie powtórzyła bezowocnej kwestii, a przynajmniej nie od razu. Ale na to pytanie odpowiedziałem. Powiedziałem, że 2 Inkrustowana Czaszka uświęcił dzień imienia babki.

-A kto oświecił dziadów twych?

Na to też odpowiedziałem. To znaczy wymieniłem odpowiednie imiona z linii 2 Inkrustowanej Czaszki, do której zostałem zaadoptowany.

-A kiedy stałeś się bratem krewniaków Orła?

-Trzydzieści trzy słońca temu.

-A kto *grandeza* dał ci?

Pytała, który ze Strażników Słońca był moim mentorem? Jej spleniący głos wydawał mi się starszy niż jej skóra, brzmiał, jakby pływające drwa upadły na wilgotny, błotnisty żwir.

- 7 Kolec - odparłem. - Z Orłów w Ix.

Nawet w moich uszach nie zabrzmiało to przekonująco. Jestem po prostu zdenerwowany, uspokoiłem się w duchu. Dobrze sobie radzę, muszę tylko zachować spokój.

-A czemu ty pode mną nie ufasz synowi 14 Zranionego, Lewej Juce? - Koh zadała kolejne pytanie. - A może mówi zbyt wiele?

-Ufam mu.

Ta-ak... Czyżby ta kobieta obserwowała nas z ukrycia, gdy przechodziliśmy przez dziedziniec? A jeśli nawet, czy to, co myślałem o Lewej Juce, było aż tak oczywiste? Zdradził mnie język ciała? A może coś innego?

- A czy dom Orłów nadal silny jest, nadal zielony?

Idiom dotyczył listew ciasno powiązanych w ściany i świeżej trzcinowej strzechy. Pytanie zatem znaczyło: czy ród Orłów ma się dobrze?

Zapewniłem, że dom jest w porządku.

- Lecz Orły mają zaplanowaną wielką rozgrywkę w piłkę przeciw Ocelotom - zauważyła pani Koh.

Niech to szlag, pomyślałem. Przeszliśmy tak długą drogę, a ta kobieta już słyszała, że klan jest w tarapatkach. Nieważne, jak szybko się podróżuje, plotka zawsze jest szybsza. Jakby ci wszyscy ludzie mieli telefony komórkowe. Czy pani Koh słyszała o porażce ceremonii w *mul**. Domyśliła się, że moja wizyta ma z tym coś wspólnego?

Cmoknąłem na potwierdzenie - tak, wielka gra w piłkę ma się odbyć. Nie wyjaśniłem nic więcej.

- A ty grałeś w piłkę. Ale teraz nie grasz. Prawda to?

Cholera. Odgadła to na podstawie muskularnej budowy ciała i złamanego nosa Szakala? Może ta Koh wyłapała coś z języka ciała. Albo ona lub jej szpiedzy przyjrzeni się moim kolanom i łokciom, skąd usunięto odciski. W każdym razie uznałem, że lepiej nie kłamać więcej niż to konieczne. Cmoknąłem, że tak.

Koh umilkła.

2 Inkrustowana Czaszka spędził ze mną godziny na powtarzaniu raz po raz, w jaki sposób mam przedstawić naszą sprawę. Ogólnie pomysł był taki, by zrobić to jak najdelikatniej. Miałem poprosić, by Koh zagrała do końca Teotihuacan. Jeżeli zajdzie potrzeba, miałem ujawnić trochę wyjątkowych informacji, by przekonać ją, że miasto czeka zagłada. Potem miałem skierować rozmowę na problemy Stowarzyszenia Grzechotnika. W idealnych warunkach to miało zaintrygować i skłonić panią Koh do natychmiastowej ucieczki z miasta.

A potem należało tylko sprawdzić, czy ta kobieta poprosi nas o pomoc, czy trzeba będzie ją w to jakoś wmanewrować. I wówczas zaoferowalibyśmy jej w IX.

Oczywiście, aby to zrobić, musiałbym panią Koh przekonać, że Klan Orła ją ochroni. Jednak 21c nie życzył sobie, bym zdradził za wiele. Sądziłem, że wystarczy wykorzystała parę sztuczek, by zrobić na Strażnicze wrażenie - skonstruować barometr lub pływający kompas, narysować elipsę przy użyciu cyrkla albo tylko kusić urywkami wieści z przyszłości. Zakładając, że pani Koh jest na tyle zainteresowana, by tego rodzaju sztuczki wywarły na niej wrażenie. Biorąc pod uwagę, że należała do Strażników Dnia, powinna być zainteresowana. Przypuszczaliśmy, że będę mógł nawet wymienić parę z trików i urywków informacji za narkotyki i receptury. Ale nie należało pytać pani Koh o Grę z Kodeksu, ponieważ to prowadziłyby do dyskusji o dniu 4 Pan w 2012 roku i gdybym wydał się szczególnie zadowolony tą datą, kobieta zaczęłaby się zastanawiać dlaczego. Poza tym do trzynastego *b'ak'tun* pozostało jeszcze wiele, wiele czasu. Zdecydowaliśmy również, że nie powiem niczego o Jedzie i skąd naprawdę pochodzę. Głównie dlatego, że pani Koh pewnie mi nie uwierzy. Nawet bezkrytyczni ludzie nie wierzą w nic, czego nie potrafią sobie wyobrazić. Tylko ci, którzy tego doświadczyli, jak 2 Inkrustowana Czaszka i ja, wiedzieliby, o co chodzi. W innym przypadku byłoby to jak mówienie po marsjańsku o marsjańskich sprawach.

Do tego, gdybym ujawnił za wiele sztuczek lub naukowej wiedzy, mógłbym zostać uznany przez panią Koh za zbyt potężnego. Mogłaby pomyśleć, że jestem jednym z tych, co rzucają króty, a może nawet patronem, bóstwem w ludzkiej skórze. Albo że jestem przedstawicielem jakiegoś wielkiego Strażnika Dnia, współpracującym z 2 Inkrustowaną Czaszką tylko po to, by zamaskować swoje prawdziwe cele. Albo że sam jestem dziewięcioczaszkowym graczem, o którym Koh nigdy nie słyszała, bo ukrywał swoje zdolności. A co, jeżeli pomyśli, że szpieguję dla jednego z synodów Teotihuacan? Jak wieść gminna niesła, synody wiedziały wszystko, zatem pani Koh mogłaby uznać, że próbuje się ją sprowokować do aktu otwartej zdrady. Nie można

było jednak przewidzieć, jak zareaguje ta kobieta. Co będzie, jeżeli opowie o mnie reszcie Tkaczy? Przecież była z nimi spokrewniona. Zapewne zakonowi jak zwykle zadrżałyby kolana, uznaliby, że jestem zbyt groźny dla status quo, i zostałbym zlikwidowany.

W najlepszym razie Koh zrozumiałaby, że ją wrobiłem. Zrozumiałaby zapewne - i miałyby ku temu powody - że kiedy tylko dostanę, czego chcę, zostawię ją na pastwę losu. Dlatego powinienem się przedstawić jako gracz nowicjusz, który mimo to ma szczególne wyniki, i na tym poprzestać. Pani Koh nie powinna wiedzieć, dlaczego przybyłem do Teotihuacan, powinna sądzić, że jestem tu na zwykłej wyprawie. Nie powinna również wiedzieć, że 21c ma problemy w IX. Ale teraz było już za późno.

Miałem ją upewnić, że 21c nadal rządzi silną ręką i tylko on spośród wysokich rodów w ojczyźnie zamierza zaoferować pani Koh bezpieczną przystań. Musieliśmy sprawić, by ta kobieta uważała, że przyniesienie darów do IX to jej pomysł. I, oczywiście oraz przede wszystkim, nie wolno mi było pod żadnym pozorem pytać o oba pyły. Nie powinienem o nich nawet wspominać. Gdyby pani Koh miała choć cień podejrzenia, że 2 Inkrustowana Czaszka i ja chcemy głównie narkotyków, podniosłaby każdy możliwy alarm, żeby się mnie pozbyć.

Koh skinęła jasną, kruchą dłonią. Kobieta pingwin nadeszła z tyłu i wślizgnęła się między nas. W małych dłoniach trzymała duży koszyk. Przyklękła nad misą z żarem, usiadła i wzięła dwie gliniane miseczki i dwa gliniane kubki. Jak wszystkie naczynia i wazy w Teotihuacan były dobrej jakości, lecz pozbawione ozdób jak duraleks. Zapewne niektórzy patroni tutaj byli biedni, więc oznaki luksusu były groźne - mogły sprawić, że poczuliby zazdrość. Karlica zmieszała sproszkowane ziarna kakaowe, miód i gorącą wodę - w tej kolejności - i z widoczną wprawą przelała kilka razy napój z naczynia do naczynia, by uzyskać pianę. Odstawiła pusty kubek, a pełny podała pani Koh. Koh upiła łyk i oddała naczynie karlicy, a ta przekazała je mnie. Drobnym gestem podziękowałem, wypilem połowę, zamigilem, że napój jest wspaniały, i wypilem resztę. Był gorący, gorący od

przypraw, i kardamonowy. Odstawiłem naczynie, a kobieta pingwin je zabrała.

I tyle, jeżeli chodzi o poczęstunek. Uświadomiłem sobie, że jestem głodny. Chętnie przekąsiłbym jakąś pieczoną rybę lub coś podobnego. Ale tutaj się tak nie robiło. Częstowanie napitkiem gości przez gospodarza nie miało zaspokajać pragnienia, stanowiło rytuał. Nieczęsto się zdarzało, że po prostu siadło się z kimś i piło. To nie herbata na Wschodzie czy drinki na Zachodzie ani nic podobnego. Tu się wypijało napitek, najlepiej szybko, kilkoma łykami, i oddawało naczynie. A jedzenie stanowiło czynność, którą wykonywało się w innych okolicznościach i o innej porze. To jedna z tych rzeczy, które zapewne wytrąciłyby mnie całkowicie z równowagi, gdyby ciało Szakala do nich nie przywykło. Tutaj nawet ludzie, którzy mogli sobie pozwolić na wszystko, rzadko jedli więcej niż dwa posiłki dziennie. I mniej więcej co trzeci dzień pościli. Najczęściej, jeżeli się komuś proponowało kawałek suszonego jeleniego mięsa, przykładowo Hun Xocowi, słyszało się: „Och, nie, dzięki, jadłem wczoraj”. A Hun Xoc był przecież graczem w piłkę, musiał mieć masę. Ale kiedy ludzie tutaj jedli, były to uczty Lukullusa. Podczas takiego posiłku u wyżej urodzonych trzy czwarte jedzenia szło na marne. Nieważne. Do meritum.

Czas coś powiedzieć.

- My poniżej ciebie zawiniątko ci przynieśliśmy.

Zawiniątko to uprzejme omówienie daru lub ofiary. Tym bardziej należało uciekać się do omówień nie wprost, że moje prezenty niosły wiadomość: „Nie wolno ci odmawiać prośbie” i nie można ich było zwrócić.

-Ja poniżej ciebie próbowałem czytać czaszki dla nas, dla mojej rodziny, ale zawiodłem. Błagamy cię, przyjmij zawiniątko i odczytaj nasze czaszki.

-Ty obok mnie dajesz za dużo - odparła Koh.

Znowu pozwoliła, by zapadła irytująca cisza. Powtórzyłem prośbę. Szlag z tym, pomyślałem. Jeżeli Koh odmówi, chyba zacznę rozbijać naczynia. Chociaż tak naprawdę jeden Strażnik nie może lub nie po-

winien odmówić Gry dla innego. A przynajmniej nie prosto w twarz. Ale może za bardzo polegałem na zawodowej uprzejmości...?

Kobieta pingwin rozpałała w małym naczyniu. Było to kadzidło, którego w okolicach Palenque używano jako zegara. Z tego, co mogłem oszacować, miałem około ćwierć dziewiątych świateła, czyli około czterdziestu pięciu minut. Lepiej się pośpieszyć. Ale milczenie się przeciągało.

Wreszcie pani Koh cmoknęła dwa razy, co znaczyło, że przyjmie prośbę. Rozwiązała dwie kokardy na swojej lasce. Okazało się, że była to sprytnie związana plansza. Stara kobieta rozwinęła ją po zachodniej stronie misy z żarem. Plansza miała ten sam wzór, który widziałem u 2 Inkrustowanej Czaszki, z tą samą liczbą pól i resztą, tylko rozmiar był większy. Pani Koh wzięła jedno z naczyń, wyjęła szczyptę tytoniu i wtarła ją po wewnętrznej stronie uda.

Dobra, pomyślałem, czas na niską piłkę.

Poprosiłem, by podała mi datę mojej śmierci.

Koh ujęła *grandeza* z ziaren drzewa *tz'ii* i rozrzuciła je po planszy.

W jej ruchach przebijała powierzchowność i odniosłem wrażenie, że Koh nie planuje niczego ujawnić i chce szybko się mnie pozbyć. Cztery pionki gonili kamień mojego alter ego do bliskiego końca. Po krótkich kalkulacjach kobieta oznajmiła, że będzie to przyszły *Wak Ahau*, *Waxac Muan* lub 6 Pan, 8 Zdobna Sowa, czyli za sto trzydzieści dwa słońca od dziś. To najbardziej prawdopodobna data. Brzmiało rozsądnie, jeżeli chodzi o przewidzenie śmierci tego ciała. Biorąc pod uwagę postęp nowotworu mózgu, miałem co najwyżej sto, sto dziesięć dni umysłowej jasności. Koh wyznaczyła też inne, wcześniejsze daty śmierci, w obecnym *tun*, szczególnie: *Kan Muluk*, *Wuklahun Xul*, czyli 4 Deszcz, 17 Zakończenie, i *Hun Eb*, *Mih Mol*, czyli 1 Zamieć, o Zgromadzenie. Nieważne. Cmoknąłem, co znaczyło, że akceptuję diagnozę.

Jak dotąd byłem rozczarowany. Nie zobaczyłem nic odbiegającego od normy, niczego nowego się nie dowiedziałem. Zadałem drugie pytanie:

- Gdzie potomkowie moi - wyraz „potomkowie” nie dotyczył bez pośrednich potomków, bo takich przecież nie miałem, ale potomków mojej rodziny, czyli 2 Inkrustowanej Czaszki - będą w dzień 9 Noc, 1 Ciemna Woda, w pierwszy *tun* piętnastego *k'atun* jedenaste go *b'ak'tun*? I jak wielu ich tam będzie?

Było to jedno z typowych pytań, tyle że bez określenia czasu. Data oznaczała 1522 rok naszej ery, trzysta trzynaście tysięcy dwieście osiemdziesiąt pięć dni od teraz. Była to jedna z dat katastrof opisanych w Kodeksie.

Wydawało się, że Koh nie zareagowała. Wzięła pięć pionków i rozrzuciła kukurydziane główki po planszy, przeliczyła je szybko, a potem oznajmiła, że tego dnia około piętnastu potomków Orłów ponownie pogrzebie zawiniątka kości patronów na bezrecznej północy. To będzie Jukatan, pomyślałem. Pozostali, około setki, rozproszą się po dżungli, lasach, które wyrosną na wspaniałych miastach.

No, to robi wrażenie, pomyślałem. Dobra, czas na najważniejsze pytanie.

- Jakie słońce będzie ostatnim dla Miasta Ostrzy? - rzuciłem. Pani Koh milczała długą chwilę, jak zwykle. Siedziałem. W końcu się odezwała.

- Dzieci - miała na myśli petentów - pytały mnie o to czterysta razy.

A potem wyjaśniła, że w zeszłym *k'atun* paru co bardziej innowacyjnych Strażników rzeczywiście ustaliło różne daty końca miasta. Daty te nadeszły i minęły, a Strażnicy zostali zabici.

Dodała jednak coś jeszcze. Pojawiło się milczące przecucie, że koniec jest bliski, przynajmniej wśród najlepszych Strażników Dnia i ich elitarnych klientów. Zapewne nawet niektóre rody rządzące zaakceptowały to i przygotowywały swoje klany na ewentualną migrację.

Ja też nie wiedziałem, jak długo przetrwa miasto. Chyba już o tym wspominałem. Może nikt tak naprawdę nie wiedział. Data wyznaczona przez archeologów była bardzo zgrubna. A Kodeks Norymberski też nie mówił o upadku Teotihuacan - nie na stronach, które czyta-

łem. A teraz okazało się, że według słów Koh data ta nie pojawiła się w żadnej z Gier.

-Ale ty odkryłaś datę? - zapytałem.

-Znajduje się to zbyt blisko dla oczu naszych - odrzekła pani Koh.

Miała na myśli to, co Taro nazywał problemem stożka zdarzeń. Chodzi o to, że nie da się przewidzieć tego, na co można wpłynąć. Bliiskość oślepią. Nazywa się to także problemem obserwatora i uczestnika zdarzeń. La Rochefoucauld określił to jako *l'aveuglerie de l'oeil qui ne voit pas lui-meme* - ślepotą oka, które nie może siebie zobaczyć - natomiast Stephen King nazwał to strefą śmierci. Mogłoby się wydawać, że trudniej jest przewidzieć dalszą przyszłość, łatwiej natomiast tę bliższą. Zwykle to prawda, ale do pewnej granicy. Za tą granicą - to się nigdy nie sprawdza. Tak jak z radami: zawsze trudniej przyjąć własną.

-Ale czy ty nade mną mogłabyś zagrać do tego słońca? - zapytałem.

-To słońce pozostaje w dymie - odrzekła Koh.

O cholera. Ona chce mnie splawić, pomyślałem. Szlag, myślałby kto, że będzie bardziej ciekawa. Powinna się już zastanawiać, co ze mnie za Strażnik, skąd znałem daty z przekazanego Koh listu... Nie-ważne. Dobra, chyba trzeba jej coś dać.

-Wiem, że Miastu Ostrzy pozostała tylko garść słońc - stwierdziłem.

-To światło minione i przyszłe - zabrzmiała odpowiedź. - Tak samo, jak wtedy, gdy tu przybyłam.

Było to, jakby powiedzieć: „Jak zwykle, co w tym nowego?”. Odpowiedź nie należała do uprzejmych. Ale może pani Koh uważała, że maniery jej nie obowiązują.

- *Ch'ak sac la hun Kawak, ka Wo* - dodała pani Koh. Nie zaczynaj niczego w dzień 10 Huragan, 2 Ropucha. Ale przekaz zawierał głębi

szy sens: nigdy nie podejmuj żadnych decyzji w ten dzień, po prostu zostań w domu i trzymaj się z dala od kłopotów.

Cmoknąłem na tak.

Dobrze, odparła gestem. A potem wstała.

Chwiejnym krokiem pokuśtykała do zasłony za moimi plecami. Usłyszałem szelest.

I zostałem sam.

Siedziałem przez czterysta uderzeń serca, potem przez kolejne czterysta. Nie wróciła.

Co jest, kurwa? O co chodzi? Pani Koh tak po prostu wyszła? Nikt tego nigdy przy mnie nie zrobił. Co to, kurwa, jest? No co?

Siedziałem. Policzyłem czterysta uderzeń. Nasłuchiwałem. Nic, żadnego dźwięku. Jak się udaje utrzymać tutaj taką ciszę? Pewnie ten dom został tak zbudowany, by tłumić hałasy miasta. Nie wyczuwałem nawet podmuchów powietrza. Dym z pochodni wznosił się niemal w prostej linii do okulusa. Nadal siedziałem.

Do cholery, pomyślałem. To było jak wiadro pomyj na głowę. Może odbyłem tę długą podróż na próżno. Może 2 Inkrustowana Czaszka chciał się mnie pozbyć. Może zaraz ktoś zajdzie mnie od tyłu i udusi. Albo może pani Koh wcale nie jest taka super. Niech to szlag, czemu zawsze mam do czynienia z przeciętniakami? Chociaż raz potrzebny mi był ktoś wybitny! Osoba, która mogłaby dla odmiany przejąć inicjatywę.

Policzyłem kolejne osiemset uderzeń serca. Chyba trochę mi szumiało w głowie. Coś w tym czekoladowym napoju sprawiało, że czułem się w stanie. Nie wiedziałem, w jakim stanie, ale na pewno to był stan.

Może powinienem powiedzieć więcej pani Koh. Informacje w przekazanej wiadomości tak naprawdę nie wystarczyły, by przyciągnąć jej uwagę. I jak się nad tym zastanowić, to dlaczego 21c tak zależało na trzymaniu wszystkiego w tajemnicy? Może chciał, aby pani Koh uważała, że zdumiewająca wiedza pochodzi od niego? Nie chciał zatem, żebym to ja wywarł na kobiecie wrażenie większe niż trzeba, ponieważ lepiej, żebym nie stał się zbyt pewny siebie. Albo zbyt niezależny.

Cóż, za późno.

Może po prostu wyslizgnę się i wrócę drogą, którą przyszedłem. O ile w ogóle znajdę drogę. A może posiedzę tu jeszcze parę godzin i sprawdzę, co się wydarzy. Może...

Pieprzyć to.

Nigdy nie uważałem się za szczególnie przenikliwego, a przynajmniej nie poza granicami tego, nad czym panuję, jak choćby w przypadku Gry. Ale z niezrozumiałych powodów - może dlatego, że dręczyło mnie to już od pewnego czasu, a może po prostu przez zderzenie - ogarnęło mnie uczucie podobne do tego, jakiego się doznaje nocą w pustym, jasno oświetlonym domu, gdzie nie ma, nawet dla psychicznej higieny, rolet lub żaluzji w oknach. Odniosłem nieodparte wrażenie, że jestem obserwowany. I to niekoniecznie przez przyjaciela. Wyjąłem więc pochodnię ze stojaka i wcisnąłem w podłogę. Wybuchły małe Wezuwiusz iskier. Pochodnia była zrobiona z wosku i mirtu zanurzonych w psim tłuszczu. Palące się nasiona rozsypały się po matach - które, jak się domyśliłem, musiały być nieco wilgotne jak tatami - i z sykiem zgasty.

Ogarnął mnie mrok. Nie widać już było nawet śladów błękitu przy okulusie. Uświadomiłem sobie, że na zewnątrz też nie ma dość światła. W Królestwie Słońca nie istnieje półmrok. Zostałem sam w ciemności. Trzeba to sobie powiedzieć wprost: mój czas minął. Obserwowałem, jak rozżarzone ziarnka mirtu gasną jedno po drugim niczym umierająca galaktyka.

Nasłuchiwałem. Cisza. Siedziałem. Wydawało mi się, że coś widzę.

W pomieszczeniu pozostało trochę światła. Tuż przede mną. Choć nie tyle w pomieszczeniu, a w drugim - sąsiednim. Pochyliłem się nad misą z żarem, tam gdzie wcześniej siedziała Koh, i wbiłem wzrok w ciemności. Dopiero teraz dostrzegłem słabą poświatę z ogniska lub naczynia z żarem. Światło biło zza zasłony, zapewne wykonanej z piór. Za ścianą znajdowała się druga komnata. Cóż, nie tyle za ścianą, co za parawanem z metalicznej tkaniny, jak siatka w teatrze. Nie wiem, z czego ją wykonano, że przypominała metalowe łuski, ale rozpoznałem, do czego służyła. Lustro fenickie.

Za przesłoną ktoś był, zaledwie o trzy ramiona ode mnie. Zacząłem już odróżniać zarys postaci. Młoda kobieta w identycznym stroju i pozie jak stara kobieta.

Ona wie, pomyślałem. Wie, że mogę ją zobaczyć.

Spokojnie, nakazałem sobie w duchu. Wziąłem głęboki wdech, wyprostowałem się, a potem wypuściłem powietrze z płuc. Kobieta ani drgnęła. Teraz mogłem już dostrzec więcej szczegółów. Prawą rękę miała chyba pomalowaną na czarno, przez co była niemal niewidzialna, ale lewa dłoń, niezabarwiona i jasna, odcinała się wyraźniej w mroku. Skupiłem się na tej ręce. Miała sześć palców. Najmniejszy, wielkością nieprzekraczający naboju do strzelby, był zdeformowany, nie miał stawów i przypominał czułek morskiego ukwiału.

Podniosłem wzrok na twarz kobiety. Błada na czole i na wpół blada, na wpół czarna na podbródku. Granica przebiegała pod lewym okiem, nad górną wargą i przez prawy policzek oraz krzywą szczękę.

Jakich innych imion używasz ty obok mnie? - zapytała kobieta.

Jej

głos brzmiał tak samo jak staruszki.

Lepiej jej powiedzieć trochę prawdy, pomyślałem.

Moje imię, jakiego używałem jako gracz w piłkę, to Szakał.

- A kim są twoi inni ojcowie, matki inne, inni starsi bracia, młodsi bracia?

Na początku w jej głosie brzmiały przedwczesne, ochryple starcze nuty, ale kiedy kobieta wypowiadała słowo *naob*, matki, jej głos zabrzmiał już nisko i gładko, jakby zaczął młodnieć.

Podąłem jej imię biologicznego ojca Szakała.

- A przybyłeś skąd?

Teraz jej głos brzmiał już naturalnie, czysty kontralt, niższy niż przeciętnie u kobiet Majów. Co, u licha? Kiedy mówiła ta stara kobieta, prawdziwa pani Koh podkładała głos zza pleców staruchy. Dlaczego? I skąd oszustka wiedziała, kiedy otworzyć usta? Pewnie dzięki jakimś sygnałom. Zapewne przy pomocy sznurka lub kijka na podłodze. Cóż, nieważne.

-Z Ix.

-Ale przed Ix?

-Z Bolocac. - Była to nazwa wioski Szakała.

-A skąd pochodziłeś przed Bolocac? - zapytała Koh. Mówiła melodyjnie, co chyba lekko mnie hipnotyzowało.

-Z Yananekan - odpowiedziałem bezmyślnie. Była to obecna nazwa terenów wokół Alta Verapaz, gdzie dużo później będę dorastał jako Jed. Cholera.

-A po tym, lecz przed Bolocac?

-Jestem w mroku - odpowiedziałem po chwili przerwy. To było, jakby powiedzieć: „Nie rozumiem”. Niech to szlag, pomyślałem. Pozwalam, by manipulowała mną ta *marimacha*. Trzeba się opanować.

-Musiałeś opuścić Yananekan, zanim stałeś się krewnym - stwierdziła.

Cmoknąłem na potwierdzenie. Czuję, że mi się przygląda. Może nie powinienem nawet próbować oszukiwania tej kobiety. Jak każdy dobry Strażnik Dnia umiała rozpoznać kłamstwo nawet najlepiej zamaskowane.

-A jakie słońce świeciło przy odejściu twym?

Podałem wiarygodną datę.

-A jak wtedy ludzie nazywali cię?

-Szakal nazywali mnie.

-Lecz to nie było pierwsze imię twe?

Chciałem powiedzieć, że było, ale się zawahałem. Za późno, pomyślałem. To wahanie stanowiło równie dobre potwierdzenie, jak wypowiedź na głos.

Pani Koh zamilkła. Zerknąłem na nią ponownie. Po tym, co zobaczyłem na portrecie pokazanym mi przez 2 Inkrustowaną Czaszkę, myślałem, że Koh ma na twarzy malunek. Teraz jednak wyglądało mi to na tatuaż. Ale nawet z tym całym draństwem tak tutaj modnym, wcale nie była brzydka. Miała śliczną skórę, pomijając zabarwienie, symetryczną twarz i roztaczała kobiecą aurę. To znaczy taką aurę może współczucia, macierzyństwa, czy raczej przedmacierzyństwa, taką pewność, że kiedyś ta kobieta będzie miła dla swoich dzieci, ale jeszcze nie dziś. Szybko spuściłem wzrok i skupiłem się na jednym z płatków geranium na macie przede mną.

-A ty obok mnie czemu podróżujesz? - zapytała pani Koh.

-Ponieważ 2 Inkrustowana Czaszka chce chronić rodzinę swą.

- 2 Inkrustowana Czaszka chce, czego chce. Ale ty obok mnie, czego ty chcesz?

W jej głosie zabrzmiał inny ton, coś... Nie byłem pewien, jak go zinterpretować. Cień oburzenia, jakby chciała zapytać: „Czemu mi nie ufasz?”.

-Ja poniżej ciebie chcę po prostu tego, czego on chce - odparłem.

-A wydaje mi się, że chcesz więcej niż to.

-Skoro ty nade mną mówisz tak.

Cisza. Odliczyłem czterdzieści uderzeń serca.

- A czy ty należysz tu? - zapytała w końcu Koh.

Nie, pomyślałem. Na pewno nie. I zaraz uświadomiłem sobie, że nie tylko to pomyślałem, lecz także wypowiedziałem. Szlag. Łamiąc zasady, podniosłem wzrok. Pani Koh przyglądała mi się uważnie.

Ona to dostrzeża, pomyślałem. Dostrzeża samotność. Widać to po mnie jak błękit u smerfa. Spuściłem znowu oczy i zrobiłem gest znaczący, skoro ty nade mną tak mówisz.

-A zatem gdzie przed Bolocac tyś był?

-Na północy.

Nie muszę tego wszystkiego mówić, pomyślałem. Zaraz się wkurzę.

-Jak daleko na północy?

-Dalej niż stąd do IX.

Ups... Nie to chciałem powiedzieć.

- Byłeś dalej niż za Oceanem Kości? - Miała na myśli pustynię na północ od krainy jezior.

Już miałem powtórzyć gest: jak mówisz, ale zaraz pomyślałem, że unikam rozmowy jak rozwyrzony, obrażony smarkacz. Więc cmoknąłem potwierdzająco.

-Jak było tam?

-Inaczej niż tu, inaczej niż w IX.

-Jak bardzo inaczej?

-Bardzo - mój głos zabrzmiał jak z oddali.

- Ale tam było bardziej inaczej niż tylko bardzo inaczej.

Zamarłem. Co, u diabła?

- Masz rację - przyznałem. - Było tam inaczej, tak bardzo, że nie da się nawet namalować tego.

To znaczyło, że nie można sobie tego wyobrazić.

Te słowa sprawiły, że pani Koh zamilkła na dłużej.

- A kto pierwszym twym ojcem był? - zapytała w końcu.

Cisza. Szlag, pomyślałem. Ta kobieta jest za blisko prawdy. Nic dziwnego. Paplam jak jakaś rozchichotana małolata po dwóch drinkach. Muszę się zamknąć, na litość boską.

Udało mi się nie odpowiedzieć.

Cisza się przeciągała. Sto dwadzieścia uderzeń serca. Dwieście. Wreszcie, wbrew własnej woli, uniosłem wzrok.

Ooch, czym prędzej popatrzyłem w ziemię.

Wydawało mi się, że dostrzegłem w jej twarzy groźny błysk. Nie gniew, lecz niebezpieczeństwo.

Szlag. Koh wie, że coś ukrywam. Coś ważnego. Może wychyciła mikroekspresję. Trzeba uważać. Tutaj łatwo zniknąć. Handlowy Klan Orła był bogaty, ale nie miał wielkich wpływów w Teotihuacan. Nawet jeżeli Niebiańscy Tkacze mają polityczne problemy, nie znaczyło to, że nie mogą mnie zgnieść jak robaka.

- Kto patronem był, który pierwszy oświetlił twarz matki twojej? - zapytała Koh.

Podąłem jej datę nadania imienia matce Szakala. Pragnąłem powiedzieć więcej, ale wsunąłem język pod górną wargę, między wystające zęby, i przycisnąłem, dopóki nie zaczęło boleć. Dzięki temu się nie odezwałem. Sztuczka Szakala. Na litość boską, co było w tym piekielnym napoju? Zapewne jakiś dysocjant, pochodna *Salvia divinorum* lub tetrodotoksyny nawet albo... cóż, cokolwiek to było, dawało się przewalczyć. Bez trudu. Przy serum prawdy trzeba pamiętać o najważniejszym: tak naprawdę ono nie działa. W najlepszym przypadku skłania do słowotoku. Nie wolno stracić odwagi. I nigdy więcej nie pić tej gorącej czekolady. Przygryzłem język jeszcze raz.

Au!

Kobieta pingwin pojawiła się w polu mojego widzenia. Wsunęła krótki kciuk do pętli przy ekranie, który oddzielał mnie od Koh, i pociągnęła w swoją stronę. Tkanina złożyła się jak harmonijka i znikła. Teraz pani Koh i ja znajdowaliśmy się naprawdę w tym samym pomieszczeniu i różnica okazała się zaskakująca. Jakby kobieta pingwin nie usunęła zasłony, lecz zdarła ze mnie ubranie. Teraz widziałem wyraźnie, że ciemna strona pani Koh nie była tatuażem, lecz naturalnym kolorem. To znaczy pani Koh miała piebaldyzm. Po prawej stronie jej twarzy skoncentrowała się melanina, jak w naturalnym znamieniu, przez co skóra była ciemna, prawie czarna. Górna część jej twarzy nie była jednak niebieska, jak na portrecie 21c. Miała zupełnie normalną barwę, jak u Majów, i jak u wszystkich kobiet Majów z wyższych kast, była blada od unikania słońca. Może i wykonano też jakiś tatuaż, ale tylko po to, by podkreślić kontrast między różnokolorowymi częściami twarzy. Granica była nieco zbyt regularna, zbyt krągła i wyrazista, aby uznać ją za naturalną. Wcześniej ujawniła znaki, powiedział 2 Inkrustowana Czaszka. Bez żartów... I wspomniał też, że pani Koh była spokrewniona z Janaab' Pacal, *ahau* Lakamha, czyli Palenque. A Pakal miał jedenaście palców, prawda? Może bielactwo wiązało się jakoś z polidaktylią? W końcu nie są to aż tak odległe skazy... W każdym razie lepsze to niż warga habsburska. Albo hanowerska hemofilia. Koh wzięła głębszy wdech i dostrzegłem dwa przednie zęby ozdobione chyba szmaragdami.

Karlica przywiązała złożony ekran do ściany i znikła, zapewne w jednej ze swoich mysich dziur. Czy Szakala zachowały się uprzemie i spojrzały znowu na matę.

Koh odezwała się znowu:

Kiedy ostatni raz dotknąłeś ojca swego? I
Kiedy ostatni raz dotknąłeś matki swej? Kim
był patron, co rozwiął popioły nad nią? Kiedy
nadeszła ciemność jej? Dlaczego odszedłeś i
nie zostałeś U stóp ich, u paleniska?

Poczułem ucisk w krtani. Nie, bardziej w piersi. Niech ją, pomyślałem. Czyta we mnie jak w otwartej księdze. Empatyczna suka. A wydawało mi się, że zdołałem utrzymać minę pokerzysty. Przyłapała mnie, gdy się obnażyłem, a teraz zwęszyła trop.

Dobra. Spokojnie. Najpierw pomyśleć, potem pomyśleć jeszcze raz, a dopiero potem mówić.

- Było, o ty nade mną, było wiele powodów - odpowiedziałem.

Gdzie matka twoja? I gdzie ojciec twój? I
gdzie ogród twój jest?

Zastanawiałem się, czy już o to nie pytała. Ogarniało mnie delikatne drżenie.

Zасыpiam, pomyślałem. Muszę się wziąć w garść. Mocniej przygryzłem język. Słaby posmak krwi rozlał mi się w ustach. Nie odpowiedziałem.

Kiedy siostry swoje młodsze widziałeś ostatni raz,
Kiedy siostry starsze swe?
Kiedy braci młodszych swych widziałeś ostatni raz,
Kiedy braci starszych swych?
Kiedy *milpę* twą wypalono ostatni raz? Czy oczyszczona jest?
Czy obsiana i wylewiona jest?
Kto zamiata spichrze twe tam? Czy strzechą okryto je?
Czy posprzątane na żniwa są?
Kto strzeże ziarna przed wilgowronami? Kto wiąże
Twoje snopki?
Kto spisuje imiona twe na dziedzińcu, gdy wnuki twe
Biegają wokół ogniska?
Kiedy przyjdiesz do domu z bolącymi plecami,
Kto posmaruje je olejkami z mięty?
Kiedy przyjdiesz do domu późno w zimną noc,
Kto na dziedzińcu będzie czekał cię?

Nie mogłem odpowiedzieć. Nigdy nie płakałem jako Szakal i prawdę mówiąc, nie umiałem sobie przypomnieć ani jednej chwili w jego życiu, kiedy płakał, przynajmniej nie od pierwszej inicjacji do gry w piłkę. Tam gdzie Szakal dorastał, ci, co płakali, umierali. Z tego, co wiedziałem, nie potrafił nawet zmusić się już do płaczu. Wybił z siebie płacz. Ale teraz poczułem w oczach napięcie, jakbym zaraz miał wybuchnąć szlochom - poczułem gorzki smak w ustach i narastające w ciele gorąco, a pod powiekami wezbrała mi wilgoć. Niech to szlag, pomyślałem. Muszę się wziąć w garść!

Wbiłem wzrok w plątek geranium. Był dłuższy niż pozostałe i nie leżał, lecz stał wsparty na podkreśnionej końcówce, jak konik morski.

- Chcesz mi powiedzieć coś - odezwała się znowu Koh. A może tylko mi się zdawało? Wziąć się w garść...

Wyprostowałem się nieco i zerknąłem na nią ukradkiem. Gdybym zrobił zdjęcie tej kobiety, założyę się, że jej twarz pozostałaby bez wyrazu. Ale z tak bliska wydawało mi się, że Koh patrzy na mnie pobłaźliwie, ze współczuciem i niemal uśmiechem. Może to było w jej oczach. Albo lekkim przechyleniu głowy. Albo celowo wydzielala jakiś rodzaj feromonów.

- Coś więcej w tobie jest - oznajmiła.

Mocniej przygryzłem sobie język. Wykonałem gest: skoro tak mówisz, ty nade mną. Zerknąłem. Patrzyła wprost na mnie. Chyba wspominałem, jak tutaj się odnoszono do kontaktu wzrokowego? Zupełnie jak w filmie „Oficer i dżentelmen”, gdy Louis Gossett Jr wrzeszczy: „Nie gap się na mnie, rekrucie! Obserwuj kątem oka!”. Znowu spuściłem wzrok.

-Odpowiedzi są także prawnukami pytań - rzekła Koh. Chyba chodziło jej o to, że jeżeli nie chcę nic powiedzieć, jak mogę oczekiwać, że Strażniczka policzy moje słońca?

-Ja poniżej ciebie nie nawykłem do mówienia, lecz pragnę ujrzeć policzone słońca me - odpowiedziałem. Co miało znaczyć, że nie chcę gadać, chcę rozpocząć Grę, i to już, do cholery!

- Ja poniżej ciebie jestem za biedna, by odwzajemnić zawiniąt ko tve.

W skrócie: zabierz swoje przeklęte prezenty i wynocha stąd. Patrzyła w bok, na lewo - na zachód, który symbolizuje przeszłość. No właśnie. Ta rozmowa jest przeszłością. Skończyliśmy.

- Słońce, które zliczyć chcę, niewiele jest - odparłem. - I świecą one tobie też.

Co znaczyło: na ciebie też zagłada, suko-czarownico. Twoje dni można policzyć na palcach jednej ręki i jeżeli nie spełnisz mojej prośby, wszyscy możemy...

Rozległ się trzask jakby złamanego za plecami ołówka. Uniosłem wzrok. Koh patrzyła na mnie, ale tym razem inaczej.

Treserzy mówią, że różnica między wilkami i psami polega na sposobie patrzenia. Psy patrzą na człowieka, wilki patrzą poprzez człowieka. Psy patrzą człowiekowi w oczy i potrafią się wczuć w ludzkie emocje. Koh nie patrzyła mi w oczy. Patrzyła poprzez mnie.

Ona chce mnie skrzywdzić, pomyślałem. Muszę się stąd wydostać. Odruchowo przeniosłem ciężar tak, by szybko wstać. Ale zamiast zmienić środek ciężkości - punkt równowagi - jak należy, zachybiłem się jak pijany. Straciłem czucie w nogach i teraz mięśnie mnie zakłuły boleśnie. Szlag! Koh pewnie chce... Cholera, może po prostu powinienem wyciągnąć rękę, chwycić ją za gardło i spróbować... Nie. Na pewno obserwuje nas ochrona. Muszę się tylko wziąć w garść i opuścić jak najszybciej to miejsce. Wyprostowałem powoli odrętwiałe nogi, aby nie wywołać alarmu. Pochyliłem się nieco i przesunąłem rękę, by oprzeć je o podłogę. Dobra, na trzy. *A la uno, a la...*

Koh wrzasnęła.

Wbiłem wzrok w jej twarz. Wykrzywiła się w przerażającym grymasie. Białka oczu lśniły wokół tęczywek i rozszerzonych źrenic, a zdobione szmaragdami zęby wyglądały jak rząd dodatkowych ślepi. Wrzask wznosił się i opadał, rozdzierający bębni w uszach, podobny do tego, jaki wydawała królowa krzyku, Fay Wray, w „King Kongu” -krzyk czystego przerażenia i agonii, jaki można wydać, gdy czuje się kły jaguara zaciskające się na szyi.

Cofnąłem się, a przynajmniej tak mi się zdawało, bo wcale się nie poruszyłem. Siedziałem dokładnie w tej samej pozycji co wcześniej. Byłem sparaliżowany.

Policjanci uczą się krzyczeć „stać!” tak rozkazująco, że ludzie rzeczywiście się zatrzymują. Problem w tym, że nie na długo. Teraz było inaczej. Zapewne kombinacja dopalacza w czekoladzie i krzyku wywołała instynktowny skurcz i bezruch, pierwotny odruch, jak u torbaczy, gdy słyszą drapieżnika, lecz nie mają gdzie uciec.

- *Hain chama* - powiedziała Koh. Weź to.

Pochyliła się i wyciągnęła jasną rękę. Między palcem wskazującym i serdecznym trzymała ziarno drzewa *tz'ite*, jak kamień do go.

Moja prawa ręka pojawiła się w polu widzenia. Patrzyłem, jak w zwolnionym tempie wyciąga się pod dłoń Koh, otwarta, dłonią do góry. Ziarno wpadło prosto w nią. Zamknąłem palce i opuściłem rękę na udo. Uniosłem wzrok. Dwa kręgi szyjne trzasnęły mi głośno.

Opadłem do poprzedniej pozycji. Czułem oszołomienie. Uniosłem i opuściłem oczy. Twarz Koh wróciła do obojętnego, nieobecnego wyrazu. Co dziwne, nie czułem gniewu. Tylko apatię.

- Kiedy śpisz, można wiele uczynić ci - oznajmiła Koh. Miała na myśli, że potrafi mnie unieruchomić znowu, kiedy tylko zechce, a potem torturować i zmusić, abym powiedział wszystko, co chciała by usłyszeć. Mam swoje sposoby - i takie tam gówno...

Nigdy nie uważałem się za szczególnie odważnego. Ale - może dlatego, że nagle włączył mi się instynkt gracza Szakała lub byłem zmęczony - rzuciłem w odpowiedzi tylko dwa słowa:

- *Bin el*.

Co znaczyło: spróbuj. I, jak mi się zdaje, udało mi się to powiedzieć z przekonującą beztróską. Poczułem naraz, jak ogarnia mnie siła, hart ducha czy też odwaga, nie byłem pewien. No, do dzieła, *cabrona*. Jak to mówią: „Dawaj, mała!”.

Nawet nie mrugnęła. Jej twarz pozostała doskonale i absolutnie obojętna.

Jak twarz Kenny'ego Transa w 2010, gdy ograł mnie do suchej nitki podczas rozgrywek pokera Commerce Casino, gdzie nie obowiązuje limit stawek.

- *Actan cha ui alai* - odezwała się wreszcie Koh. Z grubsza zna czyło to: jeśli chcesz.

Może tak zrobię, pomyślałem. Nagle jednak, zanim zdążyłem się zastanowić, w głowie poczułem mętlik i zalała mnie fala kosmicznej frustracji. Świetnie, siedziałem w tej studni od paru godzin i, cholera, to znaczy, dokąd mam iść? Nie da się ukryć przed globalnym holokaustem. A w moim przypadku, nie da się też uciec od nowotworu w moim mózgu. Niby co mógłbym zrobić? Skradać się po Teotihuacan w poszukiwaniu innego sposobu na zdobycie dopalaczy do Gry? Wkroczyć do czerwonej świątyni i przekupić tamtejszych Strażników, by mi dali recepturę na oba rodzaje pyłu? Nie wydaje mi się. Zostałbym złapany przez KGB Widłogonów i powoli zmieniony w *carne molida*. Szlag, szlag, szlag. Coś mi mówiło - a choć nienawidzę polegać na tej starej, głupiej intuicji, teraz naprawdę miałem silne przeczucie - coś mi mówiło, że teraz mam jedyną szansę.

-Wszystkich tutaj czeka zagłada - powiedziałem. - I naprawdę przybyłem, by ci pomóc. Mam wiedzę, której sama nigdy byś nie zdobyła. I wiem, że Miastu Ostrzy pozostało zaledwie kilka słońc.

-A jak na imię masz? - zapytała Koh.

Przeszedł mnie lekki dreszcz, może od jej tonu, i miałem wrażenie, że kobieta dostrzega gęsią skórkę rozchodzącą mi się po ramionach. Cały czas, gdy tu byłem, stykałem się z ludźmi, którzy stosowali to, co nazywali magią. A jednak nie natknąłem się na nic - poza Grą, ale to się nie liczy - co można naprawdę uznać za magię, parapsychologię czy nawet tylko trudną do wytłumaczenia koincydencję lub intuicję. I na pewno to, że Koh mnie sparaliżowała, nie było nadnaturalne. Ale wystarczyło, by utrzymać mnie w stanie dziwnego... oddalenia.

Spokojnie, nakazałem sobie w duchu tysięczny i pierwszy raz. Koh nie jest czarownicą. Zerknąłem na nią szybko. Jeżeli ją to zaskoczyło, nie dała po sobie poznać. Mierzyła mnie spojrzeniem, więc czym prędzej spuściłem oczy.

Cholera, pomyślałem. Po prostu rzuć kości, kobieto.

-*Caba ten* Joaquin Carlos Xul Mixoc DeLanda - odpowiedziałem. Hiszpański zabrzmiał tu obco. Wydawało mi się, że w głębi jej oczu dostrzegłem błysk, jakbym nareszcie ją zaintrygował.

-A które słońce oświecało nadanie imienia ci?

-Słońce nazywa się 11 Wyjec, 4 Biel w piątym *uinal* pierwszego *tun* osiemnastego *k'atun* trzynastego *b'ak'tun*.

Zapadła cisza, ale nie tak długa, jak by się można spodziewać.

-Kim była matka twa? I kim był ojciec twój?

-Matką była Flor Tizac Maria Mixoc DeLanda z Ch'ol, a ojcem Bernardo Koyi Xul Simon DeLanda z T'ozil.

-A kim patroni twoi są, ci, którzy chronią cię?

Podalem jej imiona bogów Jeda, świętej Teresy i Maximóna. Temu ostatniemu przywróciłem imię z języka Majów - Mam.

-Kiedy odszedłeś z progów swych?

-13 *Imix*, 4 *Mol*, w piątym *uinal* jedenastego *tun* osiemnastego *k'atun* trzynastego *b'ak'tun*.

To znaczy 2 września 1984, w dniu, gdy rodzice wysłali mnie do szpitala w Xacan.

Cisza.

No świetnie, pomyślałem. To już drugi raz w tej podróży, gdy puściłem farbę. Mieszanka znużenia z samotnością i szczypta rozwiązującego język psychotropu - i tyle, jeżeli chodzi o dochowanie tajemnicy.

-A jak dostałeś tutaj się?

-Na światła kaskadzie przybyłem tu. Właściwie byłem światłem tym.

O czym ja bredzę? To nawet nie jest dobra metafora. Och, trudno, niech będzie.

- Ach - westchnęła Koh. - Więc w czasach twych nasz ród bez żywicieli jest? Patroni nasi głodni są?

W jej głosie usłyszałem... Och, cóż, waham się o tym mówić, ponieważ zabrmi to, jakby Koh mnie zdołowała, a stało się dokładnie na odwrót - poczułem się dziwnie naładowany, jakby wręczono mi

ostrą maczetę lub broń dużego kalibru. W jej głosie pobrzmiwał ton bezgranicznego smutku, jak u kogoś, kto widział za wiele jak na jednego człowieka, a już na pewno tak młodego - jakby ta kobieta widziała miliony, u których młodzieńczy entuzjazm zmienił się w równie wielkie rozczarowanie i na koniec w bezgraniczną zgrozę.

Czy w czasach twych wciąż imiona bogów śpiewa się?

Czy wciąż okadza się szkielety ich?

Czy rodzimych naszych patronów wciąż karmi się

niewolnych krwią? I

czy naprawdę chronią oni cię?

-To prawda, że moi współcześni zapomnieli część obowiązków swych - przyznałem. Lamerska wymówka. W tutejszym dialekcie brzmiała chyba nawet gorzej niż po angielsku. - Lecz niektórzy z następców twych nadal karmią patronów - na ołtarzach na wzgórzach. Nawet jeżeli nie pamiętają imion ich, próbują nakarmić wszystkich.

-A czym karmią ich?

Cóż, pomyślałem. Na pewno nie ludźmi.

-Większość ludzi naszych uboga jest - powiedziałem.

-Wygląda na to więc, że ich przodkowie głodni są.

-Ludzie robią, co mogą.

-A świat gnije pod stopami ich.

Tak, pomyślałem. W dwudziestym pierwszym wieku świat naprawdę się rozpada. Ludzie nie chcą tego dostrzec, wolą snuć się do Betlejem... A najgorsze jest to, że brak w tym wiary i przekonania.

-Tak być może - przyznałem. - Lecz nie musi.

-Zatem czemu jesteś tu? Czyim szlakiem podążasz? - Koh pytała, dla kogo pracuję. Już miałem powiedzieć, że dla 2 Inkrustowanej Czaszki, ale ugryzłem się w język. Dlaczego miałbym ponownie prowadzić wcześniejszą przepychankę na słówka? Powiedziałem, że dla Mareny Park.

-A dlaczego *Ix-ahau* Maran Ah Pok wysłała cię tu? - zainteresowała się Koh.

-Widzieliśmy w księdze cię - zacząłem wyjaśniać. - Do naszego *k'atun* ocalała jedna z ksiąg opisujących Grę twą z dnia 9 Pan, 13 Zgromadzenie. Widziałem książkę tę w 2 Jaguarolak, 2 Żółć, w dziewiętnastym *k'atun* trzynastego *b'ak'tun*.

-Dwa słońca przed tym, jak czarownicy rzucili z obsydianu ogień.

-Tak.

-I w tamten dzień *Ix-ahau* poprosiła, abys przybył tu?

-Nie, parę dni później - wyjaśniłem i dodałem, że musiałem praktycznie błagać Marenę, żeby mnie wysłała.

-Lecz księgę pokazała ci na czas.

Zaprzeczyłem. Nie na czas, ponieważ było za późno, by cokolwiek zrobić, i tysiące ludzi straciło życie.

- Lecz dla ciebie na czas, żebyś wiedział, że nadchodzi złe słońce.

-Tak.

-Więc może *Ix-ahau* Maran Ah Pok pokazała księgę ci, bo planowała wysłać cię tu.

-Musiałem błagać ją - powtórzyłem.

- I jak długo trwało przekonanie jej? - zapytała Koh.

Wróciłem wspomnieniami do tamtej chwili.

- Niezbyt długo - przyznałem. Jak się nad tym zastanović, to najwyżej półtorej minuty.

- I może to jest odpowiedź twa - rzekła pani Koh.

Zamyśliłem się nad jej słowami. Mogła mieć rację. Ależ ze mnie głupiec. Próbuje uchodzić za inteligenta, mądrałę, ale tak naprawdę jestem tylko ufnym prostaczkiem. Może Marena, Lindsay Warren i Michael Kutasowaty oraz Taro i cała reszta zespołu najzwyczajniej w świecie mnie wykorzystali. Może Sic nawet się nie zastanawiał nad wyprawą w przeszłość, podstawiono go tylko, żeby wywołać u mnie zazdrość. Nic dziwnego, że tak słabo znał cholski, wiedział, że nie będzie mu potrzebny.

Jednak nie chciało mi się w to wierzyć. Leciutko i dyskretnie potrząsnąłem głową. Próbowałem się otrząsnąć.

-I chciałeś spotkać Strażnika, który przeprowadził tę Grę
-stwierdziła Koh. Odpowiedziałem, że nie rozumieliśmy, co ma się stać w dzień z ostatnią datą.

-W ten dzień czterysta dzieci powie nam, czego chce - wyjaśniła Koh.

Cisza. Przygryzłem język, by się nie odezwać. Wiedziałem, że należy czekać.

Jednak Koh nie podjęła tematu. Inaczej niż podczas porządných przesłuchań. W końcu nie mogłem dłużej wytrzymać.

- W księdze zapisane jest, że chłopcy będą czymś więcej niż wcześniej, ale nadal niczym - powiedziałem.

Koh cmoknęła potwierdzająco.

- I że będą o coś prosić - dodałem. - Będą?

- Poproszą o coś, czego nie dać im nie możemy.

Cisza.

No dobra. Może po prostu będę pytał, pomyślałem.

- A kim jest Rozrywacz Ciała?

Koh odpowiedziała gestem, że nie wie.

- A co z wszystkimi słońcami ich radości i wszystkimi słońcami ich mąk?

-Każde żywe stworzenie mniej radości, a mąk więcej zna. To prawda, przyznałem gestem.

-A co to miejsce zdrady jest?

- To w bezimiennych słońcach jest - odpowiedziała. Dosłownie oznaczało to pięć bezimiennych dni przestępnych na końcu roku słonecznego w rachubie kalendarzowej Majów. Ale w tym kontekście, ja kiego użyła Koh, przypominało to raczej stwierdzenie „nie wiadomo gdzie”, tyle że w tym przypadku chodziło o „nie wiadomo, w jakim czasie, nie wiadomo kiedy”. Czyli nie zdarzy się to w tym samym strumieniu czasu - wektorze czasu czy wymiarze czasu - co reszta życia. To oznaczało raczej limbo, rodzaj zawieszonyj otchłani, jak przerwa w grze w piłkę.

Cisza.

-A jak się weźmie dwa z dwunastu, wyjdzie Jedyny Ocelot? - zapytałem znowu.

-Nie, to coś, co Jedyny Ocelot uczynił - odpowiedziała Koh.

-Nie rozumiem.

-Jedyny Ocelot nie wyjaśnił dokładnie.

-A co ujrzałaś w tamto słońce?

-Niczego nie widziałam - odparła. - Od Jedynego Ocelota usłyszałam to.

-Grałaś przeciwko Jedynemu Ocelotowi?

Chyba już wspomniałem, że Jedyny Ocelot był protoplastą Klanu Ocelota - tym, który otworzył żyły słodkiej wody w Ix i który zerwał korę z drewnianych ciał utopionych niemych ludzi w ostatnich dnia trzeciego słońca.

Koh cmoknęła potwierdzająco.

-Było to w sanktuarium *mul* Ocelota? - zapytałem.

-Przyniesiono go na sekretny dziedziniec - odpowiedziała. Miała na myśli, że przodka zabrano z piramidy i Koh grała przeciwko niemu. Oczywiście musiał wykonywać swoje ruchy i mówić przez interpretatora-tłumacza.

Mam za swoje, że od razu się nie domyśliłem. Jak się zastanowić, to ta osoba z Kodeksu wydawała się trochę dziwna. Jak chyba już wspomniałem, a może nie - mumie u Majów miały ogromne znaczenie. Jednak nie przypominały mumii egipskich. Były kukłami z drewna i papki kukurydzianej, okrywającej czaszkę i kilka kości szkieletu. Często nakładano im maski - jedną zrobioną z wyprawionej skóry twarzy innego zmarłego, a czasem także drugą, obrzędową, z bardziej zwyczajnych materiałów, jak pióra czy kawałki roślin. Mumie miały również szaty i regalia. I w przeciwieństwie do tych z Egiptu nie leżały jedynie w grobowcach. Mumie brały udział w ucztach i naradach, noszono je na uroczystości i nawet do bitew. Były w pobliżu. I, rzecz jasna, sporo mówiły przez tłumaczy.

- A czy ty nade mną zechciałabyś powiedzieć więcej mi?

-O tamtej Grze nie ma więcej nic do powiedzenia. Księga kompletna jest.

-Lecz czasami można gonić zwierzynę tą samą ścieżką - zauważyłem. To był idiom, ale w tym kontekście chodziło mi o to, że można podjąć pod koniec tę samą Grę i rozegrać inne jej zakończenie. Jak w szachach, gdyby prześledzić partię, cofnąć się do ruchu, który zapewnił zwycięstwo, i od tego miejsca przeprowadzić starcie inaczej, choćby tylko po to, by sprawdzić, czy strona przegrana miała jednak szansę.

-Tego uczynić nie można - odparła Koh. - Jedyny Ocelot nadal gra żywymi kulami.

Kule oznaczały pionki.

- Może nigdy już nie zdarzy się tak wielka Gra. Skończone.

Szlag, pomyślałem. Najwyraźniej Koh miała na myśli, że sztuka Gry umierała. A kiedy ktoś tutaj mówi „skończone”, znaczy to, że nie ujawni więcej informacji, nawet na torturach. Rzecz jasna, można sprawdzić, czy tortury okazały się skuteczne - ot, w ramach etykiety.

Koh spojrzała na kadzidło odmierzające czas. Dopaliło się. Spotkanie dobiegło chyba końca. Niech to szlag. Oczekiwałem, że w starożytności będzie dużo czasu. A teraz próbowałem przedłużyć audiencję choćby o parę minut, niemal jak jakiś dziennikarzyna pośledniego sortu próbujący przeprowadzić wywiad z Madonną. Koh odwróciła ode mnie wzrok, co stanowiło uprzejmość. Kurwa. Kurwakurwakurwakurwa. Pomyślałby kto, że będzie choć trochę zainteresowana. No, niecodziennie spotyka się chrononautę, prawda? Ale też mogłem ją zrozumieć. Nie miała zwyczajnie czasu - wkrótce zaczynała się Ciszka, a długie kolejki bogatszych i ważniejszych suplikantów ciągnęły się pod jej drzwiami, synody przygotowywały się do zniszczenia Klanu Grzechotnika... Nie było czasu na nic.

No dobra. Czas na przegrupowanie. Pora wypróbować inne podejście.

- Znam dokładny moment, kiedy Pożeracz zaatakuje słońce za dziewięć dni - oznajmiłem. - Nastąpi to w osiemset dwudziestek i dziewięć dwudziestek oraz jedno uderzenie po pierwszych promieniach świtu.

Wspomniałem chyba, że każdy Strażnik Słońca w Mezoameryce wiedział o zaćmieniu słońca? I wiedział, że nastąpi ono o wczesnej porze dnia. Ale nawet najlepsi z nich, głowy klanów zajmujących się astronomią w Teotihuacan, Ix lub Palenque, nie mogli określić tego precyzyjnie. Nie wiedzieli nawet, czy zaćmienie będzie częściowe, czy całkowite. Do tego potrzebne są teleskopy i odpowiednie równania.

-Ten, który wie, wie - odpowiedziała Koh. Ten idiom należał do nieprzetłumaczalnych, ale z grubsza to jakby powiedziała: „Będziemy musieli poczekać, żeby się przekonać, prawda?”. Jakby: „Powiedz coś, co mi się przyda teraz, zaraz”. Słuszna uwaga.

-Wtedy słońce zniknie na dziewiętnastą dwudziestkę i osiem uderzeń - dodałem. - A czterdzieści jeden dwudziestek i osiemnaście uderzeń później znowu zaświeci.

Cisza. Ale Koh mnie nie wyrzuciła, więc mówiłem dalej:

- Tyle że tak naprawdę nic nie pożera Słońca. Krwawa Królica przechodzi pomiędzy Ziemią i Słońcem. - Koh cmoknęła z rozczarowaniem, co znaczyło, że już to wiedziała. - A Krwawa Królica jest kulą z tą samą stroną zwróconą zawsze do nas, Słońce zaś jest płonąca kulą, podobną do tej używanej w nocnych rozgrywkach w piłkę, a Zwycięzca Słońca i Zwiastun Słońca są tym samym.

Na to ostatnie również cmoknęła znacząco.

-A to też kula, a poziom zerowy - czyli Ziemia - również jest kulą, a trzyma nas na jej powierzchni siła podobna do tej, która sprawia, że duży magnetyt przyciąga i utrzymuje przy sobie mniejsze. A ognie cygara Iztamna i Ixchel oraz 7 Hunahpu, one także są kulami i wszystkie krążą wokół Słońca.

-Ale nie spadają - zauważyła Koh.

Ha! Maską opadła. Cesarzowa lodu nareszcie się czymś zainteresowała.

- Spadają - odpowiedziałem. - Ale mają do pokonania długą drogę, zanim uderzą w Słońce. Będą spadać przez następne czterysta *b'ak'tun* razy czterysta.

Oby to ją oszołomiło, pomyślałem. To mój pakiet materiałów A, którego beczelnie nauczyłem się na pamięć specjalnie na tę wyciecz-

kę. Podniosłem płytką, okrągłą miskę z rzędu obok paleniska, zębami oderwałem jeden z paciorków, którymi ozdobiona była przy szyi moja manta, zdjąłem go z nici, wrzuciłem do miski i potoczyłem blisko obrzeża. Model był bardzo rozchwiany, ale i tak podjąłem wykład:

-Środek na dnie miski to Słońce. A my znajdujemy się na powierzchni paciorka. I kiedy paciorek się obraca, wydaje nam się, że to ruch Słońca. Ale tak naprawdę to nasz świat się kręci.

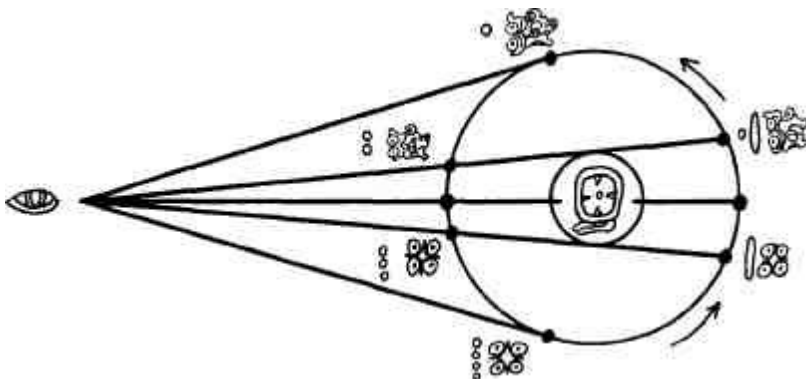
-Zatem ty obok mnie twierdzisz, że Słońce jest dnem niebieskiej miski.

-Nie, nie ma miski. Nie ma niebiańskich warstw. Niebo jest jak wiatr. I nie krążymy po nim jak po kręgu. Kształtem droga przypomina gęsie jajo.

Nieświadomie pochyliłem się nieuprzejmie - znowu - ale liczyłem, że etykietę mamy już za sobą. Zmiotłem mocarnym ramieniem Szakala płatki przede mną, odsłaniając półokrągły skrawek jasnej, równo splecionej trzcinowej maty. Wsunąłem palec wskazujący do na oko najchłodniejszego miejsca w misie z żarem, by pobrudzić go sadzą, po czym narysowałem na macie dwa koła.

- Ten mały okrąg to Czwarte Słońce - powiedziałem. - A ta kula to zarówno Zwycięzca Słońca, jak i Zwiastun Słońca, który krąży po tym większym kręgu.

Musiałem nabierać jeszcze sześć razy sadzy, zanim skończyłem rysunek.



Oczywiście mój szkic był nieco bardziej zgrubny, ale nadal czytelny.

- Tutaj jest poziom zerowy - powiedziałem i narysowałem glif oka-ostrygi daleko po lewej. - A tutaj Zwycięzca Słońca wschodzi najdalej i świeci biało. - Naszkicowałem glif Wenus jako Wieczornej Gwiazdy na godzinie jedenastej większego kręgu i dorysowałem przy nim kropkę.

Myślałem, że Koh zaraz się odezwie, ale milczała.

- To miejsce Zwycięzcy Słońca z ostatniej nocy. - Zapisałem glif niżej po lewej od pierwszego i dodałem obok dwie kropki.

Koh spoglądała na rysunek bez słowa. To prawda, że kalendarz Majów zasłynął w rzeczy samej z dokładności, rachuba słoneczna była w nim bardziej precyzyjna niż w kalendarzu gregoriańskim. Ale Majowie nie znali jeszcze heliocentryzmu, chociaż z tego, jak moja towarzyszka przyjmowała to, co mówiłem, mogłem założyć, że przynajmniej najlepsi z tutejszych astronomów mogli już tę koncepcję rozważać.

- A ten trzeci punkt to pozycja kuli na początku poranka, kiedy nazywana jest Zwiastunem Słońca - oznajmiłem, przesuwając palcem w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. - Zazwyczaj świeci żółto o poranku. To jest z ostatniego poranka. Potem znika za Słońcem na pięćdziesiąt dni i pojawia się znowu jako Zwycięzca Słońca, tutaj. Dwanaście części i cztery dni, i dziewięćdziesiąt jeden części, i pięć uderzeń całość. - Narysowałem liczbę sześć obok ostatniego glifu. Nie wspomniałem o mniejszej i większej koniunkcji. Czemu dodatkowo utrudniać?

Zamilkłem.

Cisza zaczęła się przeciągać.

Mam cię, pomyślałem. Jeżeli chodzi o Majów, to najlepszym sposobem, by ich zaintrygować, jest wskazać parę zjawisk z astronomii, które można zaobserwować gołym okiem. A Koh na dodatek była Strażniczką Dnia. Każdy Strażnik zawsze starał się zdobyć przewagę nad innymi. Nawet jeżeli postępowanie zostanie odrzucone - a przynajmniej to, co my, martwi biali mężczyźni, uważamy za postępowanie - nadal

pozostawały rozrzucone tu i tam oazy postępu, który pojawia się naturalnie i niepohamowanie z czystej potrzeby poznania. Strażnicy Dnia należeli do ludzi przedsiębiorczych, zawsze szukali nowych rozwiązań. I nie tylko po to, by - powiedzmy - przewidzieć pierwszy deszcz nieco dokładniej niż Strażnik w sąsiednim mieście, ale także po to, by wymieniać się wiedzą z pozostałymi Strażnikami. Jeżeli chodzi o Koh, na pewno podzieli się nową wiedzą z innymi Niebiańskimi Tkaczami, więc całe stowarzyszenie będzie mogło wykorzystać dokładniejsze dane o zaćmieniu w sporze z synodami. Wreszcie Koh się odezwała:

-A zatem twierdzisz, że tak samo jest wtedy, gdy 2 Pekari występuje z procesji i schodzi do jaskiń po białej drodze? - Miała na myśli Mars.

-On w ogóle nigdzie nie znika. To tylko tak wygląda dla nas, ponieważ Ziemia pod stopami naszymi się porusza. Tak samo dzieje się w przypadku Zwiastuna Słońca. Ale 2 Pekari jest dalej od Słońca niż my i droga zajmuje mu więcej czasu.

-A Zwiastun Słońca jest bliżej?

-A Zwiastun Słońca jest bliżej.

-I mówisz, że Słońce większe jest niż poziom zerowy.

-Większe niż czterysta razy czterysta razy. A gdybyś zaczęła iść do Słońca teraz, choć to niemożliwe, ale powiedzmy, że gdybyś leciała tak szybko, jak chodzisz, nie dotarłabyś do niego nawet przez dziewięćset razy czterysta *b'ak'tunob*.

Koh przyjrzała się schematowi z namysłem. Na pewno teraz wykorzystuje to, czego się dowiedziała, do sprawdzenia tych stwierdzeń do innych planet, pomyślałam. Koh to Kopernik na Warmii. To Tycho Brahe, który odmrażał sobie nos, obserwując gwiazdy. To Johannes Kepler. To ten dziwak Galileusz... Poczekaj, aż opowiem ci trochę o względności. Nawet na swoim liczydło dojdiesz do e równa się niuńki do kwadratu.

- A zatem ludzie z twojego czasu wiedzą wszystko - odezwała się w końcu Koh. Musiałem opanować drgnienie, cisza trwała tak długo.

Nie wszystko, odpowiedziałem gestem.

-Ale starali... Ale będą starali się dowiedzieć wszystkiego.

-I wszyscy pochodzą z potężnych wysokich rodów? - Co znaczyło: czy wszyscy mają władzę i bogactwo?

-Nie, wielu nadal mieszka w okrągłych chatach. Ale jednak są bogatsi od tutejszych ludzi z okrągłych chat. Jest tak wiele jedzenia, że nawet ci bez paleniska robią się grubi. Większość będzie żyć dłużej niż trzy *k'atun*. Przepłyniemy niebo w wielkich, latających jak ptaki canoe z brązu. Będziemy mieć zimne pochodnie, które palą się przez studziszestkowe noce, i broń, która zabija setki ludzi oddalonych o setki *jornadas*. Będziemy rozmawiać i widzieć swoje twarze niezależnie od dzielącej nas odległości dzięki słowom i obrazom przesyłanym na liniach niewidzialnego światła. Zanim się urodziłem, dwunastu ludzi popłynęło w canoe z brązu na kulę Księżyca. Ci ludzie znajdują się czterysta po czterysta po czterysta po czterysta po czterysta ramion od nas. Będziemy mogli zaglądać do swoich ciał bez ich otwierania. Zbudujemy urządzenia, które będą od nas mądrzejsze. Zanurkujemy na dno słonego morza i zostaniemy tam przez wiele dni, po czym wrócimy żywi.

-Ale zapomnieliście o najważniejszych sprawach - zauważyła Koh. - I dlatego jesteś tu? Czy tak?

Znieruchomiałem. No cóż...

-Tak - cmoknąłem.

-Ponieważ w twoim czasie zapomniano twoich praojców-pramatki - dodała.

Wykonałem gest znaczący: nie całkiem.

- Ale wiesz, przez ile słońc Miasto Ostrzy będzie składać jeszcze ofiary - stwierdziła. Tak naprawdę pytała, czy wiem, jak długo trwa Teotihuacan.

Szlag.

- Tego nie wiemy - przyznałem.

Koh zapytała dlaczego, skoro przybyłem z trzynastego *b'ak'tun* i wiem tak wiele. Czemu nie wiem, ile dokładnie słońc?

Opowiedziałem jej, jak - na długo przed moim urodzeniem - prawie wszystkie księgi Majów zostały zniszczone, a tych kilka, które

ocalało, nie podawało daty. Próbowałem wytłumaczyć, czym się zajmują archeolodzy i jak datują znaleziska. Opowiedziałem również, że według obliczeń badaczy opuszczenie miasta nastąpiło między jedenastym, dwunastym lub trzynastym *k'atun* obecnego *b'ak'tun*, czyli z grubsza między rokiem 650 a 710 naszej ery, ale nie udało się określić dokładnie. Zniszczenia będą zbyt duże, by archeologom udało się datowanie bardziej precyzyjne - próbowałem powiedzieć.

Znowu zapadła cisza. Koh spojrzała na szkielet.

Nie odzywałem się. Łatwiej mi było milczeć, niż wcześniej mówić. Umysłowa biegunka już przechodziła. Koh ujęła miotłkę na owady i oparła ją o udo. Znaczyło to, że posłuchanie dobiegło końca.

- Może ty obok mnie i ja poradzimy się czaszek znowu za garść słońca, po tym, jak Pożeracz zostanie odpędzony - zaproponowała.

Niech to JASNY szlag, pomyślałem. Nie, raczej zaskrzeczałem w duchu. Suka. Może najlepiej, jak zabiorę się stąd i nie wrócę, może powinienem zbierać gówno z ulicy, zamiast siedzieć tu po próżnicy...

Nie. Trzeba nalegać. Kto wie, może Koh po prostu się ze mną targuje, by zdobyć więcej bezcennych darów? No, to podnieśmy poziom.

- Stowarzyszenie Niebiańskich Tkaczy nie przetrwa wiele dłużej - rzuciłem desperacko, łamiąc protokół. - Nie wiemy, jak długo, ale wiemy, że to nie będzie długo.

- Ja obok ciebie wiem to od dawna.

- 2 Inkrustowana Czaszka oferuje azyl w Ix dla ciebie i twojego zgromadzenia.

Koh się poruszyła. Zdawało mi się, że przekrzywiła nieco głowę, jakby nasłuchiwała, ale może tylko sobie to wyobraziłem. Nie odpowiedziała.

Cholera, pomyślałem. Pakiet A mi się wyczerpał. 21c powiedział, że powinienem poczekać z ofertą schronienia, dopóki Koh nie poprosi, a wtedy udawać, że to ustępstwo, bo inaczej kobieta domyśli się, że wszystko zostało ukartowane.

Znowu się poruszyła. Przez chwilę bałem się, że po prostu wstanie i wyjdzie - i tyle. Ale Koh się odezwała.

- A zatem ty obok mnie zakładasz, że 2 Inkrustowana Czaszka wygra mecz przeciwko Ocelotom?

Miała na myśli, że Orły przegrają - uczciwie lub nie - i będą musiały uciekać z IX.

- *Ma lo yanil* - odparłem. Co znaczyło: bez problemu. - Wygrają

czy nie wygrają, Orły zostaną. A Oceloty uciekną.

Chodziło o to, by dać Koh do zrozumienia, że dzięki mojej ludzkiej wiedzy 2 Inkrustowana Czaszka otrzymał dość siły ognia, by odeprzeć Klan Ocelota.

Jak się można domyślić, nastąpiła kolejna nieskończona chwila ciszy. Przynajmniej ta kobieta nie papla jak przeciętna *chica perka*.

- Przybyłeś tu po Sternika, nie po mnie - oznajmiła nagle. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Może właśnie o to chodziło, pomyślałem. Zaraz mnie wyrzuci. Wracam na pole zero. Ale Koh znowu się odezwała:

- Ludzie z twego rodzimego czasu zapomnieli, jak ustalić cykl.

CMoknąłem na potwierdzenie.

-Ale *ahau*, którym służysz, chcieliby zrodzić linię nowych słońc. Po tym, jak słońca trzynastego *b'ak'tun* umrą już.

-Chciałbym pomóc w rozpoczęciu nowego cyklu - przyznałem.

-A dlaczego? Wrócisz tam?

-Chcę spróbować - odparłem wymijająco. Już myślałem, że zapyta, jak zamierzam tego dokonać, ale Koh uznała moje słowa za potwierdzenie i zadała kolejne pytanie:

-*Bax ten tex kaabet?* - Co znaczyło: dlaczego chcesz (przechodzić przez wszystko to)?

-Każdy chce chronić rodzinę swą.

-A ty obok mnie masz rodzinę tam?

-Mam ludzi... rodzinę, która mnie adoptowała - przyznałem. A przynajmniej mam paru znajomych w sieci, pomyślałem. Koh chyba się domyśliła, że lepiej nie drażnić tematu.

A jeśli ludzie z twego czasu przeżyją, to

Nadal nie będą pamiętać nas?

Czy będą obserwować dni nadania imion nam
I naszej śmierci dni?
Czy zapomną, jak uprawialiśmy ziemię, jak walczyliśmy,
Budowaliśmy i wychowywali dzieci?
Czy niekiedy zaśpiewają pieśń z naszymi imionami w niej?
Czy pamiętać będą?

- Zadbam, by pamiętano ród twój i karmiono twego *uay* w dni śmierci twej.

-Lecz rzekłeś mi, że ofiary nędzne są.

Niekoniecznie, odpowiedziałem gestem.

-I powiedziałeś też, że ludzie z twego czasu są niehonorowi.

W iksyjskim języku nie było tak naprawdę słowa na określenie zła, a nawet gdyby było, niehonorowi stanowiłoby większą obelgę.

Ale kiedy to powiedziałem? - zastanawiałem się zaskoczony.
Och.

-Pod wieloma względami ludzie będą gorsi niż obecnie - stwierdziłem. - Ale pod wieloma względami ty ponad mną uznałabyś, że są lepsi.

-A więc chcesz, bym zagrała dziewięcioma kamieniami. I myślisz, że tylko patrząc, nauczysz się Gry w dwa słońca.

Dwa słońca było idiomem, który można było zrozumieć: „Wydaje ci się, że możesz się tego nauczyć w okamgnieniu”.

-Ja poniżej ciebie nie myślę tak.

-Zatem co jeszcze ty obok mnie i ja mamy tu do zrobienia?

-Ja poniżej ciebie proszę o Grę.

-Ale ja obok ciebie już grałam dla ciebie.

-Ale chcę wymienić coś więcej tym razem - zaproponowałem. Zapewniłem, że mogę powiedzieć jej wszystko, co Koh zechce, o odkryciach i wynalazkach lub wytworach, jakie powstaną przez następne cztery *b'ak'tunob*.

-Wiem już dość, by było mi przykro, że wiem to - odpowiedziała. Nie było jasne, czy chodziło o to, co jej powiedziałem, czy o to, co już wiedziała, czy też o jedno i drugie.

-Pozwól zatem, że powiem coś, co może pomóc ci. Pozwól, że podaruję ci coś.

-Podarowałeś mi kształt słońca już.

-Pozwól, że dam ci coś, co przyniesie miód dla twych sprzymierzeńców *chanac*. - To znaczyło: coś, co pomoże zwykłym ludziom. -Ja obok ciebie... Możemy zbudować dowolną ilość niewidzianych jeszcze urządzeń - kuśilem.

To znaczy jakich? - zasygnalizowała. Odłożyła miotełkę na stół.

- Co powiesz na stałe rolki?

Co masz na myśli? - zapytała gestem.

Zacząłem jej opisywać koła. Opowiedziałem, że są jak rolki, ale połączone drążkiem zamocowanym w środku każdej i jak przydatne są taczki, nawet zacząłem jedną rysować, ale Koh mi przerwała, twierdząc, że mają takie, i wysłała kobietę pingwina, by przyniosła egzemplarz na potwierdzenie. Nie wiedziałem, co myśleć. Ale karlica przyniosła figurkę jaguara z kółkiem na każdej łapie. Koh wyjaśniła, że podobne zabawki na kółkach są bardzo popularne wśród elity, ale nie wolno ich wносить z domu, gdzie mogłoby je zobaczyć społeczeństwo.

Na ile się domyśliłem, nie chodziło o to, że ktoś nisko urodzony mógłby uznać koło za przydatne, lecz że mógłby użyć go do zebrania zwolenników. Ktoś taki mógłby pójść do innych miast, zrobić wrażenie swoimi gadżetami na biedocie, wypromować się na wielkiego czarnoksiężnika i w końcowym rozrachunku stać się problemem dla arystokracji. Koło stałoby się jeszcze jednym czarodziejskim przedmiotem, obiektem kultu, załączkiem kolejnego zakonu, jak nóż z ognia lub rzecz najbardziej strzeżona przez męskie i żeńskie zakony Grzechotnika, czyli, oczywiście, narkotyki do Gry.

- A poza tym - dodała Koh, a ja parafrazuję to dość swobodnie - jest teraz tak wielu mieszkańców z okrągłych chat, że taczki są zupełnie niepotrzebne.

Jeżeli się tutaj chciało przenieść coś ciężkiego, wystarczyło zwołać plebs, aby to zrobiono.

Było to wkurzające, ale odpuściłem kwestię. Kiedyś podwoziłem dziewczynę z dobrej rodziny z Nowego Jorku do New Haven. Wspominałem, że powinna nauczyć się prowadzić. Zapytała po co.

-A gdybym dziś nie jechał, jak byś się dostała do New Haven?

-odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

-Zadzwońiłabym do innego chłopaka, żeby mnie podwiózł.

-Wzruszyła ramionami. - A potem bym go przeleciała.

Teraz czułem się tak samo.

Cóż, zapomnijmy o kole do transportu. Ale może do zastawy stołowej?

Zacząłem opowiadać o kole garncarskim. Rzecz w tym, że - co zaskakujące - naczynia tutaj, to znaczy w Mezoameryce, trzeba przyznać, że choć pięknie zdobione, były jednak nieco niekształtne. Ktoś, kto umiałby wytworzyć idealnie okrągłe miski czy talerze, wzbudziłby sensację. Ale Koh wyraziła te same obiekcje, co poprzednio. To znaczy, że synody mogłyby uznać tego, który wytworzył takie naczynia, za niezwykle silnego czarnoksiężnika i natychmiast wysłać zbrojne oddziały, by się go pozbyć. A nawet jeżeli tak się nie zdarzy i naczynia z koła się przyjmą, to tysiące rodzin garncarzy skazane zostaną na śmierć głodową, ponieważ nie będą umiały się przestawić na nowy typ wytwórstwa. Zapewne ten sam powód krył się za naszą - to znaczy Majów lub mieszkańców Teotihuacan czy innych dużych miast Ameryki Środkowej - odmową używania łuków, chociaż Zbyt-Wysocy stosowali je z powodzeniem. Przypominało to sytuację samurajów i ich kultu miecza. Tokugawa szybko domyślił się, że jeżeli do Japonii trafi broń palna, zmieni to układ sił, nawet jeżeli szogunat dostanie ją jako pierwszy. Dlatego Tokugawa i jego następcy skonfiskowali strzelby i proch, wyrzucili portugalskich kupców niemal z całej Japonii i praktycznie trzymali kraj w zacofaniu jak długo się dało, czyli przez następne dwieście pięćdziesiąt lat.

- Nie możemy tu tego użyć - powiedziała Koh. - Skończone.

Szlag. Kończyły mi się pomysły. Tego w Paliku nie braliśmy pod uwagę.

-Zatem uczyni to, by nową piłkę rzucić tylko - poprosiłem. Odpowiadało to stwierdzeniu, by w pokerze wydać wszystko na sprawdzenie tylko po to, by zobaczyć, jakie karty mają przeciwnicy. Niech to będzie wyzwanie, niech to będzie los, niech to będzie czysta nieopisana rozpierducha.

-Myślisz, że nie jestem ciekawa twojego poziomu - odezwała się znowu Koh. Nie odpowiedziałem. - A jestem ciekawa. Ale ciekawość to dręczyciel, to oprawca.

To znaczyło, że jej ciekawość może skrzywdzić ludzi, których krzywdzić Koh nie miała powodu.

Przynajmniej zdradziła się, że ma odrobinę współczucia, pomyślałem. Czyż nie? Rzecz w tym - a nie chcę rzucać tu generalizacji o ludzkości w ogóle i człowieku w szczególności, i nie dlatego, że są błędne, lecz dlatego, że powtarzano je wielokrotnie - rzecz w tym, że albo jest się osobą, która potrafi współczuć choć trochę, albo - znacznie częściej - nie. A Koh albo należała do tej pierwszej grupy, albo ludzkość mogła się pożegnać z życiem. I tylko to się liczyło.

No dobra. Ale musiałem coś wymyślić.

Empatia jako koncepcja abstrakcyjna była nieco trudna do wyrażenia po iksyjsku. Trzeba było się ograniczyć do pojęć z zakresu rodziny.

No to jazda.

-Wiem... - zacząłem - wiem, że gdybyś znalazła się na drodze i zobaczyła, jak ktoś dusi pięciocyklowe dziecko - to znaczy około trzyletnie - chciałabyś to powstrzymać. Nawet gdyby to było dziecko tego człowieka, nawet jeżeli dziecko miałoby wrzody i niechlubne pochodzenie, nawet jeżeli ów człowiek miałby wszelkie prawo, by je zabić, nadal pragnęłabyś go powstrzymać i gdybyś miała władzę, gdybyś mogła, zrobiłabyś to. Na pewno.

-Ludzie z twojego czasu nie są na naszej drodze - zaproponowała Koh.

-Są. Za wiele, wiele, wiele słońc wszyscy oni będą twoimi następcami lub następcami sióstr twych i braci, ponieważ... - urwałem.

Podniosłem wzrok. Koh nadal patrzyła za mnie, nad moją głową.

- Oni umrą - wykrztusiłem. - Będą umierać i zanim odejdą, będą się zastanawiać, dlaczego nikt nie chciał im pomóc. A gdyby wiedzieli, że ja poniżej ciebie i ty mogliśmy ich uratować i zdecydowaliśmy tego nie robić, zastanawialiby się dlaczego, a gdybyśmy im powiedzieli, to „nie” by nie było wystarczającym uzasadnieniem...

Urwałem. Te nigdy nienarodzone łzy wezbrały mi za oczami. I trudno mi było oddychać. Oddech zrobił się płytki i zaczynałem się jękać, jak w dzieciństwie, gdy ogarnięty paniką próbowałem mówić po angielsku.

Weź się w garść, nakazałem sobie w duchu. Opanuj się, zbież do kupy.

- Ja obok ciebie podjęłam decyzję - oznajmiła Koh.

Zbyt wiele słońc już się narodziło

I zbyt wiele nadchodzi.

Wszystko dla ludzi zrodzonych z kukurydzy

Skończy się wraz ze słońcem

4 Pan, 3 Żółć.

Może po tym kiedyś nowy dziedzic Iztamna nadejdzie,

I może stworzy nowe rody z materiałów innych,

Może z jadeitu.

Zamilkła na chwilę, po czym zaczęła mówić *caek* - skończone, ale wtedy jej przerwałem.

- CZEKAJ! - powiedziałem, a raczej krzyknąłem. - NIE CHCESZ przecieżyć...

Spokój, nakazałem sobie w duchu.

-...Ty daleko nade mną nie masz władzy, by decydować o tym za nich. Nawet jeżeli decyzja twa słuszna jest.

-Nie. - Koh przytknęła oczy. - Chodziło mi o to, że nie mam prawa przedłużać ich czasu na zerowym poziomie, nawet gdybym mogła uczynić to.

- Nie, zrobisz to. Bo chcesz ich ocalić, ale uważasz, że nie powin naś, a raczej wiesz, że nie powinnaś, ale gdybyś widziała to co ja i gdy byś dodała do tego wszystko, co widziałaś ty... - Znaczyło to mniej więcej: byłem w obu miejscach i widziałem takie rzeczy, że...

Szlag, straciłem wątek.

Zacząłem od nowa:

- Gdybym miał powiedzieć tylko jedno z tego, co wiem, nawet jeżeli nie jest to nic dobrego, ale prawdziwego, to powiedziałbym, że wolno ci robić, co chcesz.

A skoro już wcześniej złamałem wszystkie zasady przyzwoitości, spojrzałem jej w oczy.

Koh miała je szeroko otwarte... zaraz, nie. Miała je zamknięte, ale powieki pomalowane na biało wywoływały wrażenie, że oczy, choć bez źrenic i tęczówek, nadal są otwarte. Fuj. Trochę mną to wstrząsnęło. No, więcej niż trochę. Szlag, Koh ani razu nie mrugnęła? Jeżeli nawet, to nie zauważyłem. No dobra.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc tylko patrzyłem na fałszywe oczy. Domyśliłem się, że kobieta nie chce patrzeć w ziemię czy nade mną, choć miała do tego prawo, więc po prostu opuściła powieki.

Niedobrze. Muszę natychmiast coś wykombinować, pomyśla-łem.

- Ja poniżej ciebie wyzywam cię, abyś spojrzała na mnie - oznaj miłem. To było jak stwierdzenie, że wyzywam ją, by mnie uderzyła. Ale czułem, że tego potrzebuję - kontaktu wzrokowego, który nie bę dzie sposobem na zaznaczenie hierarchii i dominacji. Może była to czysta siła ducha, może wola walki - czy wspomniałem, że tutaj na wyzwanie robiło się wszystko? - w każdym razie Koh uniosła powie ki i spojrzała mi prosto w oczy.

Kiedy chodziłem do szkoły mormonów - i wiem, że tak naprawdę nigdy nie jest dobra pora na przerwanie opowieści, a nawet gdyby była to nie tutaj, ale jednak, jak to się mówi: zacny czytelniku, pozwól my sobie na chwilę przerwy - na zastępstwie miałem starą nauczycielkę, która uczyła młodsze klasy. Była to pani poważnej postury, pamiętająca czasy, kiedy wnukowie pionierów przychodzili do szkoły boso, oraz wiedząca» o kim warto snuć długie, zabawne gawędy. Wiedziała też o szmacianych lalkach, wyszywankach oraz o grach salonowych -szaradach, dwudziestu pytaniach i straszliwym rytuale zjadania jabłek zawieszonych na sznurkach, szukaniu pierścionka, ciuciubabce, krzeselkach - straconych dla świata wypełniaczach wieczorów przed epoką elektryczności. Tak czy inaczej, pewnego piątku nauczycielka wycięła trzy pary małych dziurek w starym prześcieradle i kazała nam powiesić tkaninę na framudze w otwartych drzwiach. Połowa dwudziesto-czterooosobowej klasy weszła za zasłonę z prześcieradła, a troje z nich mogło przyglądać się drugiej połowie grupy przez dziurki. Ta obserwowana połowa mogła za to podejść blisko, spojrzeć w oczy podglądacza i zgadywać, kto obserwuje. Wskazanie obserwatora okazało się prawie niemożliwe - wyjątkiem okazał się przypadek Jessiki Gunner-son, niemal albinoski o jasnorudych włosach i oczach tak fiołkowych, jak metanolowy barwnik w ostatniej i najmniejszej wersji powielacza białkowego. Jednak, nie widząc twarzy, nie można było powiedzieć, czy patrzy się na najłepszego przyjaciela, czy na najgorszego wroga, nie

wiadomo też było, czy osoba po drugiej stronie prześcieradła robi głupie miny i drwi ze zgadującego, nie dało się nawet określić płci. Było to na tyle niepokojące, że wiele lat później, gdy patrzyłem w oczy młodych panien, próbując nawiązać kontakt przynajmniej na nadzwyczajnym poziomie lub chociaż wytropić iskrę zainteresowania albo, w najgorszym razie, prawdy, czułem, że owszem, dziewczyna jest ze mną szczerą, ponieważ gdy patrzyłem prosto w przejrzyste głębie jej okien duszy czy czegoś tam, znikąd wypływało wspomnienie tej głupiej gry towarzyskiej i nagle źrenice towarzyski zaczynały wyglądać jak dwa wycięte otwory, za którymi rozciąga się międzygalaktyczna próżnia. To uczucie oderwania zawisało pomiędzy nami i pogłębiało się, pozostawiając wrażenie rosnącego dystansu w kosmicznej pustce, gdzie nie tylko nie ma kontaktu z inną istotą, ale gdzie taki kontakt jest po prostu niemożliwy ani teraz, ani nigdy i wszystko obróci się po prostu w *mierditas refritos*. A teraz - to znaczy w 664 roku naszej ery - przeżywałem to znowu, gdy patrzyłem w oczy pani Koh. Miałem nadzieję, bardziej niż desperacką, że ujrzę w nich coś, iskrę magii lub duszy, czegoś nieokreślonego, znak, że Koh i ja jesteśmy oboje mniej lub bardziej rzeczywiści i świadomi oraz autonomicznie wolicjonalni i obecni w tym samym miejscu oraz czasie. Jak chyba nadmieniałem, twarz pani Koh była dla mnie równie pozbawiona ekspresji, jak wszystkie inne twarze - a widziałem kamienne oblicza nad ponad dziesięcioma tysiącami szachownic, plansz go i karcianych stołów w kasynach - ale oczy tej kobiety miały w sobie coś jakby płynne zawirowania, niczym w oczach Cléo de Mérode, piękności belle époque. Tęczówki Koh były tak ciemne, że nie dało się rozgraniczyć źrenic, ale dostrzegano się, że miały inny odcień - jak na portrecie pędzla Ada Reinhardta, gdzie lewe oko jest chłodniejsze, a prawe cieplejsze i ciemniejsze... Myślałem, że na dworze zaczęło padać, dopiero po chwili dotarło do mnie, że słyszę szum swojej krwi.

Pokaż się, pomyślałem. Wiem, że tam jesteś. No, pokaż się...

Minęło czterdzieści uderzeń serca. Wydawało mi się, że nieruchoma twarz Koh drgnęła, jakby kobieta przygryzała język, by zadać sobie ból, niezbyt duży, ale zaraz uznałem, że tylko to sobie wyobraziłem.

Osiemdziesiąt uderzeń.

To nie musi być przemoc. Wróćmy do krainy łagodności, dobrze?

Przy stu dwudziestym uderzeniu serca trzasnęło mi w krzyżu i miałem nieodpartą ochotę odwrócić wzrok. Zwalczyłem to pragnienie. Byłe wytrzymać jeszcze trochę, powtarzałem sobie w duchu. Czuję, jakbyśmy byli parą półtonowych zapaśników sumo napięrających na siebie w środku *dojo*. Śmiało, myślałem. Nie ma sensu walczyć, dziewczyno. Pokaż się. Otwórz się. Proszę, Nieistniejący Wszechmocny Panie, spraw, aby tym razem coś się pojawiło w tych oczach. Proszę, proszę...

-Naprawdę troszczę się o wszystkich ludzi jak o własne dzieci. Dlatego nie chcę, by musieli się męczyć na poziomie zerowym - głos Koh zabrzmiał, jakby dochodził z oddali. Nie odwróciła wzroku.

-Poziom zerowy to jedyny poziom - wydusiłem.

-Jeśli to prawda, tym lepiej.

-Nie, nie... Nie, to wcale nie lepiej, ludzie chcą... chcą być ze sobą jak najdłużej.

-Zatem są chciwi i bojaźliwi.

-Nie, nie, nie. Są jak rodzina idąca na święto.

-I co jest do zobaczenia podczas święta? - zapytała Koh. Chciała zapewne powiedzieć, że zabawa z czasem się przecież znudzi.

-Właśnie dlatego chcą mieć dzieci. Aby ujrzeć wszystko świeżym okiem... Ty i ja mówimy na to *b'ach na tok*. - Co znaczyło: to wszystko jest po prostu śmieszne.

-Owszem - cmoknęła Koh.

-A jeśli słońca naprawdę dobiegną końca i jeśli narodzą się nowe słońca... kto wie co się po tym stanie? Ty i ja moglibyśmy grać czterysta razy po czterysta partii, a i tak nie poznalibyśmy prawdy. Może w ciągu dziesiątków *b'ak'tun*, w ciągu setek *b'ak'tun*, wydarzy się coś, co będzie tego warte...

Umilkłem. Jezu, pomyślałem. To zaczyna mnie trochę przerastać. Miliardy lat ewolucji i pięć milionów lat ludzkiego rozwoju, a wszystko sprowadza się do nas dwojga - mnie i Koh.

-W ciemnościach góry stoi naczynie - odezwała się Koh. - *Yaj*
-czyli ból lub dym bólu, a w tym przypadku łączy wszelkiego
stworzenia na świecie - sływa do tego naczynia.
-Ja poniżej ciebie słyszałem o tym - odparłem. Koh ciągnęła:

*Laican h'tulnaac,
Lail x nuc homoa
Cu tz'o, cu tza.*

A kiedy wielkie naczynie
Wypełni się po brzegi swe,
Skończy się, roztrzaska się.

- *X'tan boc ch'ana k'awal nab* - odpowiedziałem. Utwardzanie
kukurydzianej papki moczem pekari. Po iksyjsku było to wyrażenie
najbliższe stwierdzeniu: bzdury. Podejrzewam, że brzmi zabawniej,
gdy się spędzi cały dzień, popychając dwustufuntowe bloki wapie
nia na dziewięćdziesięciostopową piramidę w czterdziestostopnio-
wym upale.

Skoro ty obok mnie tak mówisz, odpowiedziała Koh gestem.

I z niewyjaśnionych przyczyn miałem pewność, że to nie sztucz-
ka, że nagle poczułem, że na sekundę lub dwie straciłem świadomość.
To było tak, jakbym myślał o czymś szalenie ważnym i nagle o tym
zapomniał, a kiedy sobie przypomniałem, o co chodzi, już na siebie
nie patrzyliśmy. Patrzyłem w dół. A Koh ukryła się za swoją mantą.
Nie dzieliliśmy tej samej czasoprzestrzeni.

- Stary Sternik nie pochodzi stąd - oznajmiła nagle Koh. Miała
na myśli, że nie ma pyłu Starego Sternika, topotropowego kompo-
nentu narkotyków do Gry.

- A ty obok mnie zagrałabyś bez niego? - zapytałem.

Zasygnalizowała, że to nie ma sensu.

- Ale czasami idziesz za Sternikiem, prawda? - upewniłem się.
Cmoknęła potwierdzająco.

Pochyliła się i dmuchnęła dymem przez ażur kosza. Odczekała, po czym podniosła pokrywkę, sięgnęła i wyjęła nieco mniejszy koszyk, który spoczywał w większym. Ten mniejszy był bardziej ażurowy i dostrzegłem wewnątrz ruch oraz biały, sercowaty kształt. Koh położyła kosz przed sobą, prawą ręką uniosła pokrywkę. Biały przedmiot okazał się gniazdem, niewielką kolonią os klecanek. Szybciej niż okamgnienie kobieta długimi paznokciami kciuka i szóstego palca lewej ręki chwyciła grubą złoto-zieloną samicę, którą włożyła do miseczki. Osa miała przynajmniej dwa cale długości, ciężki odwłok i długie pokładelko. Skrzydła jej usunięto. Osa przyglądała się otoczeniu wielkimi oczami. Koh uniosła palec wskazujący lewej dłoni i przycisnęła łącznik między tułowiem a odwłokiem owada do dna naczynia. Nawet oszołomiona dymem osa próbowała się uwolnić, jej odnóża ślizgały się konwulsyjnie po gładkich ściankach naczynia. Koh, używając paznokci prawej ręki jak noży, odcięła owadowi głowę. Ta potoczyła się po miseczce, nadal zaciskając i rozkurczając żuwaczki. Potem złapała żądło i pokładelko, wyszarpnęła je z odwłoku nieszczęsnego owada. Wraz z nimi odpadł woreczek z jadem, parę przezroczystych owadzych jaj oraz trochę żółtych włosków i kawałki chitynowego pancerza. Koh odepchnęła to na krawędź miseczki. Nadal przytrzymując palcem odwłok, oderwała jedną z sześciu kurczących się i prostujących nóg - prawą przednią, jak mi się zdaje - i upuściła ją na drugą małą miseczkę, którą przysunęła w moją stronę.

Koh podniosła ruszający się pięcionożny i bezgłowy korpus owada, włożyła sobie do ust, przeżuła dwa razy i połknęła.

Zawahałem się.

No już! Przecież nie jestem mięczakiem, zachęciłem się w duchu. Podniosłem odnóżę owada, potoczyłem je po dłoni podejrzliwie, jakby miało podskoczyć i ukłuć mnie w oko. No dobra. Włożyłem je do ust. Nadal się ruszało, gdy miałem je na języku. Zgryzłem i przełknąłem jak najszybciej. Koh podała mi kubek z napojem, pewnie, żeby mi ułatwić przełykanie. Wziąłem duży łyk. Płyn był trochę gorzki i mocno przyprawiony, ale niezły. Nie wiedziałem, czy wypada mi

odstawić naczynie, więc je nadal trzymałem. Karlica wróciła, rozłożyła kilka koszy, naczyń i małych talerzyków po obu stronach misy z żarem, jakbyśmy siedzieli na angielskiej herbatce. Miałem wrażenie, że usta robią mi się większe niż głowa. Koh się odezwała:

A teraz zapewne mam zacząć wielką Grę tu,
Przed tobą, ty obok mnie.
Czy zdradziłbyś wrogim klanom mnie?
Albo wskazałbyś obcym mnie?
Opowiedziałbyś innym, co teraz się stanie
W cytadeli tej?
Tu, na jadeitu górze, tu, pod sklepieniem nieba,
Na ziemi sercu bliskiej?
Rozciąłbyś stworzoną moją krwawicą księgę
W słońcu, w świetle dnia?

Obróciłem słowa odpowiedzi na języku, który zdawał się wielki i powolny jak ślimak.

Jak mógłbym nadal krewnym być,
Gdybym zdradzał tajemnice?
Od tego czasu nie można by
Nazwać mnie synem rodu Orła.
Wilgowrony by na mnie skrzeczały, szerszenie mnie żądliły
W obie wargi me, w oboje oczu mych,
A potem pancerniki lizałyby czaszkę mą
Wśród piasków, na pustkowiach,
Daleko od schronienia w górze tej
Nad kraterem morza,
Pod sklepieniem nieba.

Jak mi poszło? - zastanawiałem się. Wystarczająco dobitnie? Mam to powtórzyć również po łacinie?

Powoli Koh wykonała gest: przyjęte. Obserwowałem, jak jej ciemna ręka opada na udo. Zdawało się, że opada i opada, ale nigdy nie upadnie, jakby kobieta zatrzymała ją w pół ruchu. Dziwne, pomyślałem. Zerknąłem na zegar-kadzidło, a raczej zacząłem, ale trochę mi to zajęło. To rozbijacz czasu, pył Starego Solnika. Chronotrop. Tyle że ten jest o wiele bardziej chronotropowy niż poprzednio. Och, to jest to. Oczy mi wreszcie dotarły do kadzidła-czasomierza. Chyba wypaliło się do połowy, ale nie widziałem dobrze, bo karlica przysłoniła je jakąś przezrystą szmatką... Ach, nie. To dym. Wydawało się, że zawisł nieruchomo - a przynajmniej mnie wydawał się nieruchomy przez narkotyk. Usłyszałem szept. Kobieta pingwin. Odwróciłem spojrzenie na Koh. Oczy miałem jak z granitu, ciężkie i toczące się powoli w naoliwionych oczodołach. Koh rozkazującym gestem kazała mi czekać - tym samym gestem, którego Klan Orła używał na polowaniach i wyprawach wojennych. Gest, który nakazywał wszystkim natychmiast stanąć nieruchomo jak kamień.

Na zewnątrz komnaty rozległ się gwizd. Karlica ruszyła do drzwi. Zdawało się, że mijały minuty między każdym krokiem. Koh wstała. Wyglądało to, jakby góra wznosiła się niespiesznie pod wpływem subdukcji płyt tektonicznych. Odwróciła się do mnie i poprawiła mantę.

Łał, pomyślałem. Zaskakujące, ale kobieta była wyższa niż przeciętnie u Majów, może nawet nieco wyższa ode mnie, to znaczy od Szakala, a Szakal był przecież wielkim facetem. Niegrzecznie rozejrzałem się po otoczeniu. Pod *quechquemil* Koh wydawała się szczupłą. Większość Strażników Dnia jest szczupła, ale Koh była chyba trochę za szczupłą. Zrobiła cztery kroki na środek pomieszczenia-przedsiionka i ukłękła twarzą do drzwi za moimi plecami. Nie jestem znawcą baletu, ale dawno temu widziałem Rudolfa Nuriejewa w „L'Après-Midi d'un Faune” i w ruchach tancerza była ta sama wyniosłość, jakby nawet najmniejszy palec dawał do zrozumienia: ja jestem największy, a reszta świata to pył. Koh pod wieloma względami mi się z tym kojarzyła. Jednak tutaj wcale nie było to odpychające.

Odwróciłem głowę.

W małym przejściu ukazały się głowa i ramiona, przesunęły się w dół i w górę, gdy przybyły schylał się i prostował. Źrenice musiały mi się zwęzić, ale powoli i stopniowo, przez co obraz obcego wyostrzył się powoli, jak widok mgławicy w wielkim teleskopie. Był wysokim mężczyzną. Nosił cienką, ciemną mantę. Włosy opadały mu luźno na ramiona jak u *nacoma*, a w skórę miał wtarty szary popiół. Nie potrafiłem rozpoznać jego znaków, ale wyczułem zapach jakby kociego piżma, a raczej roślinnych substancji zapachowych wytwarzanych z *Mimulus inoschalus*, jednej z odmian kroplika. Podobnych „perfum” używali również niżsi rangą członkowie Klanu Ocelota w IX. A zatem ten mężczyzna przybył z siedziby Klanu Puma, ale sam nie był kotem. Zapewne pochodził z jakiegoś zaadoptowanego rodu, który służył Pumom. Cicho wyrecytował coś, czego nie mogłem zrozumieć, a Koh odpowiedziała w tym samym języku.

Nie rozumiem, pomyślałem. Czemu nie mówi w języku, który znam?

Mężczyzna podszedł do Koh w pięciu powolnych, drobnych krokach. Koh się nie poruszyła.

W tej scenie coś mi się nie podobało. Budziła we mnie dreszcz. Puma sięgnął do pasa. Nie wierzę, pomyślałem. Wyciągnął małą sakiewkę, uniósł na wysokość twarzy, rozwiązał z trudem - zapewne zamknęto ją przy pomocy tajemnych i skomplikowanych węzłów marynarskich - i wyjął coś, ale nie widziałem co.

Koh pochyliła się bardziej i otworzyła usta. Puma położył to, co wyjął, na jej języku. Kobieta zamknęła usta, cofnęła się i przeżuła.

Przeżyłem lekki wstrząs, relik z czasów, gdy wychowywano mnie na katolika. Czy tak właśnie zaczął się rytuał komunii? Bierzcie i jedzcie, a potem odlatujcie na haju... Myślałem, że się uduszę, jeżeli czegoś nie powiem.

Było coś wzruszającego w widoku tej kobiety, gdy robiła zwyczajną, ludzką rzecz - jadła. Miałem wrażenie, że przez maskę opanowania Koh przebiła się znużona czułość, jakby przyjmowała tę „komunię” tysiące razy. Nagle stała się dla mnie bardziej zwyczajna, jak dziewczyna, z którą miło spędza się czas. Choć może trochę odjechana.

Posłaniec Pum pochylał się, przyglądając, jak Koh przełyka. Karlica podała mu kubeczek chyba z gorącą wodą, a mężczyzna podał go Koh. Kobieta ujęła naczynie przez mantę, wypłała do dna i oddała. Mężczyzna spojrzął do kubka, po czym na Koh. Otworzyła szeroko usta. Puma sprawdzał przez chwilę, po czym rozłożył ręce na znak, że jest usatysfakcjonowany. Dla mnie wyglądało to nieco upokarzająco, jak przy podawaniu leków uspokajających w więzieniu.

Puma wyjął zza pasa kolejną sakiewkę. Kobieta pingwin podsunęła mu tacę i Puma położył tam niewielki przedmiot. Malutką figurkę Koh z twarzą pomalowaną w jej charakterystyczny wzór. Może to właśnie Koh dała wcześniej karlicy. Pingwinica wyrecytowała śpiewnie krótkie podziękowanie dla gościa w tym samym starożytnym narzeczu, którego wcześniej używali Koh i Puma.

Puma wyszeptał podziękowanie dla gospodyni, przykucnął i wycofał się z komnaty przez wąski tunel. Karlica poszła za nim.

Więc tak to się odbywa, pomyślałem. Koh i inni Tkacze nie mają nawet bezpośredniego dostępu do wszystkich składników wspomagających Grę. Istniał tu po prostu system sprzężenia zwrotnego. Żeby osiągnąć pełny efekt w Grze, trzeba było zażyć dwa różne komponenty. Najlepsi Strażnicy Dnia z Klanu Powoju wiedzieli, jak uzyskać jeden, a Strażnicy z Klanu Widłogona - drugi, ale żadne ze zgromadzeń nie zdradziło drugiemu swojego sekretu, nigdy, nawet setki lat po tym, jak jakiś bezimienny geniusz wymyślił ten układ.

Cóż, mogłem się tego domyślić. Nic dziwnego, że miasto przetrwało przez tak długi czas. Szlag, czemu od razu na to nie wpadłem?

Cholera, to znacznie wszystko utrudni.

Frustracja. Głęboko w moich zaciśniętych pięściach czułem białe paznokcie, które rozdzierały mi skórę. Nakazałem sobie spokój. Prawdziwa siła polega na rozumieniu, że każdy koniec to nowy początek.

Głęboki wdech.

Koh siedziała nieruchomo. Ja także się nie poruszyłem. Mrugnąłem. Powieki opadły mi powoli, jak słońce chylące się za widnokrąg, i po długiej ciemnej nocy nastąpił świt, gdy uniosły się znowu. Panowała cisza poza szmerem w tunelu za wąskim przejściem. A potem

rozległ się niski gwizd, niczym lament gołębicy. Koh wstała, podszła do mnie, pochyliła się. Nie miałem nawet szansy, by się cofnąć. Chwyliła mnie za włosy, nie za fałszywy warkocz, ale za kosmyk na czole, a potem pocałowała - mocno i głęboko, wciskając mi giętki język w usta, przesuwając nim wokół mojego, po dziąsłach, podniebieniu, ostrych zębach, świeżych rozcięciach i starych bliznach na moich wargach, wszędzie...

Smakowała jak nic, co w życiu poznałem - ani w dziewiątym *b'ak'tun*, ani w trzynastym, może był w tym lekki posmak jak *uni*, surowego rmorskiego jeżowca, ale mroczniejszy i starszy oraz bardziej

metaliczny. Ach, pierwszorzędny pocałunek, pomyślałem. W obecnej sytuacji nigdy bym się tego nie spodziewał. Zwłaszcza że rdzenni Amerykanie nie należą do kultury pocałunkowej.

Zastanawiałem się, czy Koh oczekuje, że zedrę z niej pieprzone ubranie i po męsku zabiorę do sprawy, rozważałem nawet, czy nie ośmielić się na obmacywanki - o ile wezmę się w garść - ale wtedy kobieta puściła moje włosy, oderwała się od moich ust z cichym cmoknięciem i cofnęła na swoje miejsce po drugiej stronie misy z żarem. Karlica, która tymczasem wróciła, postawiła na podłodze kosz pełen małych naczyń, po czym podała Koh kubek. Strażniczka wypila, jakby chciała wymyć mój smak z ust. Przygarbiłem się na macie, próbując uspokoić oddech. Koh zachowywała się, jakby nic się nie stało. Co dziwniejsze, czułem, jakbym zdradzał Marenę. Choć przecież nie byliśmy parą - chyba. Ocknij się, marzycielu, nakazałem sobie w duchu. Koh nie jest zainteresowana jakimiś małymi brudnymi... nieważne.

Och! Odrętwiający posmak, jak po fugu, rozlewał mi się w ustach. Zachwiałem się lekko i szybko wyprostowałem.

Ach, więc na tym to polega, pomyślałem. Koh po prostu podała mi trochę dopalacza. Całkowicie profesjonalne podejście. Spokojnie.

A zatem kolonia os produkuje związek chemiczny X - być może, aby go wytworzyły w ciałach, trzeba je specjalnie karmić - i tak powstaje pył Starego Solnika. Proces znają tylko Tkacze. Jeżeli zaś połączy się pył Starego Solnika z pyłem Sternika - narkotykiem topotropowym, który przyniósł pani Koh posłaniec Pумы - uzyska się pełny efekt pozwalający na Grę dziewięcioma kamieniami.

Cholera. Co za rozczarowanie. 2 Inkrustowana Czaszka myślał, że pani Koh ma zapas dopalaczy pod ręką. Tymczasem Strażniczka musiała prosić o preparat i zażywać go pod nadzorem kociego klanu. A ze sposobu, w jaki mówiła o tym wcześniej, wynikało, że obecna sytuacja nie należała do zwyczajnych, że Pумы nie przynosiły specyfiku na każde żądanie. Zapewne obecną dawkę dostała w zamian za przysługę lub jako spłatę zobowiązania. Kurwa.

Hm.

Gotów? - zapytała Koh gestem.

Wyprostowałem się na macie.

Gotów, zasygnalizowałem. Koh zaciągnęła się głęboko cygarem.

- Oddech mój czerwony jest, oddech mój biały jest - zaintonowała.

Kiedy się gruntuje przed Grą, ukorzenia - jak to dosłownie się nazywa - trzeba uwierzyć, że jest się w sercu wszechświata. Ale tym razem nie musiałem się przekonywać, by uwierzyć. Wiedziałem to z absolutną pewnością. Grawitacja wydawała się silniejsza niż wcześniej, ale zarazem czułem, jakby mnie napędzała, ładowała niespożytą energią. Wyczuwałem każdą warstwę materii pod sobą - bawełnę, trzciniową matę, glinę, glebę, skałę, magmę - aż do rozgrzanego do białości krystalicznego jądra Ziemi. Światy pod wodami i nadświaty wirowały wokół nas. Byłem w domu.

Karlica wsunęła rękę w pętlę wystającą z podłogi i uniosła drewnianą prostokątną klapę, po czym odsunęła na bok. Kłapa wydawała się ciężka, ale nie wyglądało, żeby sprawiła małej kobiecie trudność. W dole nie było jednak paleniska, jak myślałem. W niemal idealnie kwadratowym zagłębieniu - głębokim na piętnaście cali i o boku czterdziestu - na płaskim dnie mogłem dostrzec zarys planszy do

Gry, trzynaście na trzynaście pól. Koh siedziała na południowym zachodzie, ja na północnym wschodzie. Karlica zapaliła na północnym zachodzie i południowym wschodzie trzcinowe pochodnie, wypełniające dół migotliwym światłem. Ciemny kamień planszy ze spójnego, drobnoziarnistego gnejsu miał patynę i gładkość, jaką uzyskać można jedynie wtedy, gdy kolejne generacje rąk dotykają, klepią, głaszczą i polerują skałę. Koh uderzyła w południowo-zachodnią ściankę zagłębienia pięć razy rączką od miotełki na muchy. Z rezonansu, a raczej jego braku dawało się wywnioskować, że planszę wykuto w żywej skale, a ja i Koh siedzimy na szczycie aluwialnego wzniesienia na dnie doliny, które korzeniami sięga do Sierra Madre Oriental.

- *Ya'nal Wak Kimi* - mówiła Koh.

Teraz, 6 Umieranie, 14 Jeleń, w jedenastym *tun*, licząc, Blisko końca jedenastu *k'atun* w dziesiątym *b'ak'tun*, licząc, Teraz pożyczam tchnienie tych słońc, teraz pożyczam jutra, Teraz pożyczę wiatr słońc, które przyjdą po jutrze.

Wzięła szczyptę wilgotnego tytoniu z naczynia w koszu i wsunęła dłoń pod *quechquemilt*, by wetrzeć ją w udo. Pod tkaniną ubioru niewiele było widać, ale i tak był to bardzo seksowny gest.

Wyprostowałem się nieco. Nie czułem się najlepiej. Do gardła podchodziły mi mdłości - miałem wrażenie, że nie tylko z żołądka, ale z całego przewodu pokarmowego. Jakby wszystko od przelęku po okrężnicę miało się wyrzucić na nice i wystrzelić mi z ust na planszę do Gry. Przełknąłem i usztywniłem kręgosłup. Nakazałem sobie spokój. Chciałem grać z dorosłymi? No to gram.

- Teraz oddech mój jest żółtym wiatrem - zaczęła Koh.

Teraz oddech mój jest czerwonym wiatrem. Teraz oddech mój jest białym wiatrem, Czarnym wiatrem, szmaragdowo-zielonym wiatrem. Ty, z rodu wuja mego,

Ty, z tak daleka, tak blisko teraz mnie,
Oto razem siedzimy tu,
Pomiędzy czterema wzgórzami, czterema wulkanami,
Tu, na niebiesko-zielonym wulkanie,
Pięć słońc od białej góry na północnym wschodzie,
Pięć słońc od południowo-wschodnich wzgórz twych,
Od rodzinnej czerwonej góry twej,
Pięć słońc od żółtego wulkanu na południowym zachodzie,
I pięć słońc
Od ciemności,
Od czarnego wygasłego wulkanu na północnym zachodzie.

Karlica pochyliła się do Koh. Podąła jej czarny kamień, gładki i stożkowaty, prawie na dwa cale szeroki u podstawy i siedem cali wysoki, gładki jak szkło. Strażniczka postawiła go w czerwonej ćwiartce - a choć na planszy widać było jedynie ślady barwnika, każdy, kto grał, znał układ kolorów - na polu, czy raczej niedużym zagłębieniu, które reprezentowało dzisiaj. Dół pionka doskonale pasował do zagłębienia, dzięki czemu kamień stał pionowo i pewnie. Kobieta pingwin podała Koh kolejny kamień i jeszcze jeden, aż dziewięć filarów wznosiło się nad planszą, tworząc mapę nieba tego określonego dnia w tym określonym czasie - z Plejadami, Księżycem, a potem Wenus wschodzącą tuż nad wschodnim horyzontem. Następnie Strażniczka dodała pięć kamieni, które, jak się domyśliłem, odpowiadały pięciu wzgórzom Teotihuacan, to znaczy ustanawiały nasze dokładne miejsce na ziemi.

Koh uniosła ciemną rękę i otworzyła powoli dłoń, co znaczyło: a teraz, jakie masz pytanie?

Dobra, pomyślałem. Lepiej to dobrze sformułować.

Nadal nie byłem pewien, czy ta kobieta jest skłonna mi pomóc. Musiałem sprawić, by się zaangażowała. Jeżeli to nie wystarczy, by wskazać, kto jest aniołem śmierci, Koh będzie musiała pokazać mi, jak grać dziewięcioma kamieniami. A jeżeli do tego trzeba obu narokotyków, będzie musiała powiedzieć mi również wszystko o nich.

Właśnie.

- Ty obok mnie powiedz, proszę - zacząłem powoli - jak mogę ocalić rody ludzi z czasu mego w ostatnie słońce trzynastego *b'ak'tun* i przez trzynaście *b'ak'tun*, które nadejdą po słońcu tym.

Koh ani drgnęła. Ale cisza przeciągała się, przez co miałem wrażenie, że Strażniczka jest niezadowolona. Cóż, przynajmniej jak dotąd mnie nie wyrzuciła. Cisza. Cisza. Cisza.

Wreszcie kobieta pingwin, która chyba odbierała od Koh polecenia telepatycznie, jak homunkulus, podeszła z kolejnym zestawem wiklinowych pojemników. Z jednego wyjęła gliniane naczynie i pędzelek, po czym pomalowała ściany i planszę tłuszczem lub olejem. Miał dziwny zapach. Następnie karlica pomalowała też ścianki stojących pionków-kamieni.

O-och! Odurzający zapach.

Posmak, jaki pozostał po pocałunku Koh, rozlał mi się po całym ciele. Mięso kraba i kwas, ale nie tak mocny jak mrówkowy, a pod tym smakiem vibracje jak po kokainie, a głębiej i później nienaturalny smak, trochę przypominający napój, jaki piłem w dzieciństwie - chemicznie barwiona, sztuczna, futurystyczna nowość, której nazwy zapomniałem, jak to było, jakby...

Gdzie skończyłem?

Karlica podała Koh koszyk. Strażniczka wyjęła z niego małe różowo-brązowe stworzenie i położyła je w środku niebiesko-zielonej ćwiartki. Stworzenie przykucnęło tam i odwróciło głowę, mrużąc oczy przed światłem. To była maleńka małpka, mniejsza niż mysz laboratoryjna - najwyżej dwa cale wzrostu, gdyby stanęła w pionie, czego nie zrobiła, rzecz jasna - i niemal naga. Jej genitalia zostały pomalowane lub pofarbowane na czarno, co wyglądało, jakby nosiła przepaskę biodrową, w podobny sposób przebarwiono jej głowę, jakby miała czapkę. Zapewne po to, by uzyskać podobieństwo do człowieka. Małpa jednak nie przypominała ludzkiego dziecka, miała proporcje dorosłego. Nie potrafiłem rozpoznać gatunku, ale z długiej, chudej sylwetki i spiralnego ogona wywnioskowałem, że może

to być małpa z rodziny *Ateles*, czepiakowatych - czarnych, małych zwierząt żywiących się owocami i prawie nigdy nieschodzących na leśne podłoże. Czepiaki rosły szybko, więc ten musiał urodzić się bardzo niedawno, ale zaczynał już pokrywać się puchem sierści. Kiedy przeszedł do krawędzi planszy, wydawał się mobilny jak każdy dorosły osobnik. Próbował wspiąć się w narożniku natłuszczonej ściany, a potem chciał unieść między dwoma pionkami, które stały blisko siebie, ale zsuwał się po śliskiej, natłuszczonej powierzchni, bezradnie majtając łapami. Potem próbował podskoczyć i myślałem, że mu się uda sięgnąć krawędzi, ale nie miał mięśni i koordynacji dorosłego czepiaka, nie mógł też podskoczyć na wysokość dwa razy większą niż jego wzrost. Wreszcie czepiak znieruchomiał i nasikał na środek czerwonej ćwiartki. Nie widziałem szczegółów - potrzebowałbym chyba lupy jubilerskiej - ale odniosłem wrażenie, że zwierzak był samczykiem. Popatrzył na nas z dołu, choć te małe ślepka, rzecz jasna, nie umiały się jeszcze koncentrować, po czym pokuśtykał do czerwono-czarnego kąta i skulił się tam, drżąc. Koh wzięła jeden z kubków, przykryła nim małpę i przesunęła do białej ćwiartki, która odpowiadała dniowi dzisiejszemu - cztery linie od zaćmienia, na granicy czarnego kwadrantu.

Znowu zapadła cisza. Przyłapałem się, że trochę się przechyłam. W tej chwili to, co mi zaaplikowała Koh przez pocałunek, nie wystrzało mi już postrzegania, lecz przeniosło w stan, w jakim nie umiałbym powiedzieć, kim jestem - chociaż, jak się nad tym zastanowić, chyba właśnie o to chodziło. A dostałem zaledwie śladowe ilości tego, co wzięła Koh. Strażniczka pewnie miała w organizmie tyle narkotyków, że mogłoby to zabić wieloryba. A przecież była mniejsza ode mnie. Nic dziwnego, że dziewięciokamieniowi gracze muszą przyzwyczajać się do dopalaczy, odkąd skończą pięć lat. Ja prawdopodobnie uśmiechałem się bezmyślnie i szczęśliwie, jak na haju. Pani Lucy in the Sky with Diamonds pomyśli, że jestem beznadziejny. Cóż, to się zdarza za pierwszym razem.

Kobieta pingwin podała Koh drugie pudełko. Wyglądało trochę jak mała chatka z pętelką na spadzistym dachu. Tym razem Straż-

niczka postawiła je na środku czarnego kwadrantu, rozwiązała węzeł i pociągnęła za jeden ze sznurków. Ściana pudełka odsunęła się w górę jak w chińskich klatkach dla świerszczy.

Koh położyła otwartą dłoń przed pojemnikiem.

Czekaliśmy.

Co teraz? - zastanawiałem się.

Para segmentowanych długich czułek wysunęła się z cienia, zamarła, zakręciła w różne strony, znowu zamarła, a potem białe kły pomknęły do dłoni pani Koh. To był wij lub skolopendra - jednak nie potrafiłem określić gatunku. Bez wątpienia stworzenie jaskiniowe, bezokie i bezbarwne. Zapewne identyczne żyły w tych samych niedoświetlonych zapadłych dziurach od czasów, gdy głównym przedstawicielem kręgowców była latimeria. Skolopendra nie miała pigmentu, w miękkich częściach ciało wydawało się przezroczyste, ale na krańcach chitynowych płytek pancerza pojawiała się zbrązowienie jak na ciastkach beżowych. Stworzenie miało chyba ze dwanaście cali - wystarczająco, by przyciągnąć uwagę. Stało nieruchomo na tyle długo, żebym zdążył policzyć, że ma dwadzieścia jeden par odnóży, a zamiast oczu tylko cztery zgrubienia. Kły, czy raczej żuwaczki jadowe, były lekko zakrzywione jak kawaleryjskie szable. A *setae*, szczecinki, czyli ruchome wąsy jak antenki, były długie, niczym kolce kaktusowatych *ocotilla*.

Wydawać by się mogło, że wszechświat nie zdołał tknąć tego albinosa.

Szybciej, niż nadążyłem wzrokiem, Koh sięgnęła lewą ręką - tą heptadaktyliczną - i chwyciła stworzenie za drugi segment, tuż za głową. Położyła je w płytkiej miseczce i przytrzymała kciukiem. Skolopendra wila się, drapiąc przegub Strażniczki odnóżami.

- Ona żyje już *k'atun* i *tunob* - oznajmiła Koh. - Jest bardzo mądra.

I cofnęła kciuk.

Zeszywniałem na moich skrzyżowanych nogach. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem. Doprawdy, spodziewałem się, że Koh po prostu weźmie kamienie i zacznie grać. Cóż, *uno nunca sabe*.

Koh uderzyła paznokciami tuż obok skolopendry, najwyraźniej porozumiewając się z nią jakimś językiem wibracji. Stworzenie uniosło nogogłaszczki i zdawało się słuchać. Wreszcie rozluźniło się nieco i spojrzało na mnie ślepo. Poczulem dreszcz na myśl, że ta skolopendra zapewne potrafi rozpoznać nasz smak. Przemknęła dwa razy wokół dłoni Koh i zwinęła się w luźną spiralę, jak bransoleta. Koh przemówiła do niej cicho, tym razem w innym języku, pełnym przy-mkniętych samogłosek i sybilantów. Pochyliłem się chyba za bardzo, bo skolopendra odwróciła się i kłapnęła szczękoczułkami na ciepło mojej twarzy. Usłyszałem dwa trzaski.

- Twój kręgosłup musi się przesunąć na północny zachód - po wiedziała Koh. Miała na myśli, żebym się trochę cofnął. Tak uczyni

łem. Miałem wrażenie, że uśmiecha się na widok moich problemów z narkotykiem. Pewnie wyglądałem jak dwunastolatek po pierwszym joincie. Bardzo śmieszne.

Koh położyła dłoń przy najdalszym południowo-wschodnim polu. Skolopendra zsunęła się płynnie jak rtec i wzięła w posiadanie róg planszy. Poprawiła swoją pozycję, po czym rozsiadła się wygodnie. Zdawało się, że jest do tego przyzwyczajona.

- Przebacz mi i poprowadź mnie, lśniaca pani - szepnęła Strażniczka. Wyszkolonym zapewne w wielu Grach ruchem przykryła skolopendrę kolejnym niewielkim kubkiem. Przypominało mi to nie przyjemną zabawę, jaką urządzili sobie kiedyś moi przybrani bracia w Utah - w skrzyni po telewizorze zorganizowali gladiatorską walkę między szczurami laboratoryjnymi i jaszczurkami *Cnemidophorus*. Strażniczka położyła jasną dłoń na naczyniu przykrywającym skolopendrę, a ciemną na kubku z małą i zaintonowała:

Mój oddech czarny jest, mój oddech żółty jest,
Mój oddech czerwony jest, mój oddech biały jest, mój oddech
Teraz jest niebiesko-zielony...

Uniosła oba kubki.

Nic się nie poruszyło. Obserwowałem skolopendrę przez tygodnie, miesiące i lata. Wreszcie wyprostowała czułki, uniosła je i przepłynęła powoli po łuku, klekocząc jak pałeczki na marimbie, gdy smakowała-dotykała planszy. Zatrzymała się. Wyczuła coś, pomyślałem. Czy plansza rezonowała sejsmograficznie? Czy skolopendra wyczuwała drżenie i ruch lawy dwie mile pod nami? Czy też reagowała na wpływ księżycy?

Oba stworzenia na planszy były maksymalnie oddalone od siebie, a z powodu wznoszących się pomiędzy nimi kamieni-pionków nie mogły się widzieć. Ale powoli skolopendra poruszyła się, orientując w przestrzeni, a potem, macając czerwoną ćwiartkę, zrobiła trzy czujne kroki na wschód, prostopadle do małpy. Ze sposobu, w jaki przechodziła przez zagłębienia na powierzchni, wywnioskowałem, że zna teren. Małpka zesztyniała. Na coś się zanosilo.

Pod względem rozmiaru skolopendra miała przewagę. Ale widywałem, jak wyjce zabijają wielokrotnie od nich większe węże. A nawet jeżeli małpa uzna, że lepiej nie walczyć z wijem, będzie mogła po prostu odskoczyć. Skolopendra była ślepa. Jak na moje oko sytuacja nie wyglądała najlepiej dla bezkręgowców.

Małpa leciutko przechyliła głowę w lewo. Skolopendra uniosła głowotułów w tym samym kierunku. Nie do wiary, że wyczuła czepiaka. Ale też przodkowie skolopendr żyli pod ziemią przez długi czas i nauczyli się wyczuwać najdrobniejsze wibracje. Nastąpiła kolejna długa pauza, a potem małpa przesunęła się nieco w lewo, sprawdzając możliwą drogę na południe. Skolopendra zareagowała w okamgnieniu. Małpa zamarła, po czym pokuśtykała naprzód. Doliczyłem się czterech uderzeń serca, nim skolopendra także się poruszyła - najpierw pogłaskała jedynie planszę wokół siebie, a potem potruchtała *au pas de loup* na południe, równoległe do małpy. Czułki tylko od czasu do czasu muskały powierzchnię. Wydawało mi się, że słyszę klekot chityny o skałę i zmienny ton tych uderzeń. Skolopendra po-deszła do krawędzi pola, na którym stał kamień symbolizujący dzisiaj. Jej czułki dotknęły pionka z różnych stron. Przypomniała mi się

fotografia Mareny przy skale, wyobraziłem sobie, jak kobieta wspina się, wymacując pęknięcia i szczeliny nad głową. Małpa podeszła bliżej. Skolopendra prześlizgnęła się naprzód - wyglądało, jakby wygryzała sobie drogę przez przestrzeń - a potem nagle zamarła, smakując powietrze. Z daleka przypominała otwartą paszczę z zębami - krwawy uśmiech jaguara z Cheshire. Małpa zatoczyła się w lewo, wychodząc zza osłony stojącego pionka.

Skolopendra zeszywniała.

Czepiak ujrzał ją. I zamarł.

Wiedział, czym była? Ssaki instynktownie boją się segmentowanych stworzeń. Ale małpy, nawet owocożerne jak ta, zjadają także mnóstwo owadów i robaków. A ten czepiak nie tylko wyglądał na wygłodniałego. Naprawdę był wygłodzony. Zmrużył oczy i po żączy w jego ślepiach, jaką wzbudzić może tylko niedożywienie, wiedziałem, że gotów jest zaatakować wszystko, *co* nadawało się do wypchania żołądka. Ciekawe, czy czepiak złapie skolopendrę za ogon i rozbije jej głowę o kamień? Czy też podkradnie się i skoczy na nią, by rozerwać, jak to robią lisy ze skorpionami?

Czepiak przyglądał się skolopendrze. Skolopendra zaś podeszła bliżej, czujnie, na żółtą część planszy, a potem obróciła się zgodnie ze wskazówkami zegara do strefy czerwonej. Małpa nie drgnęła, ale uważnie śledziła ruchy przeciwniczki. Skolopendra przeszła do strefy czerwonej. Małpa przysiadła. Nagle, zbyt szybko, by to dostrzec, skolopendra wystrzeliła naprzód. Czepiak odskoczył i przycaił się za jednym z kamieni-pionków. Skolopendra zwolniła i zawróciła.

Nastąpił impas. Doliczyłem się pięciu uderzeń serca, potem dziesięciu. Małpa cofnęła się, cały czas ukryta za kamieniem. Przy czternastym uderzeniu znowu zaczął się ruch. Przeciwnicy rykoszetowali po planszy zbyt szybko dla oka, jak kulki we flipperze lub cząstki elementarne poruszające się w animowanym modelu chmury gazu. Najpierw wydawało mi się, że to małpa goni skolopendrę, potem - że skolopendra małpę, głównie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wokół kamieni, które tworzyły przeszkody na kursie. Po każdym okrążeniu skolopendra podchodziła bliżej do czepiaka.

Małpa znajdowała się teraz w czerwonej części planszy, a skolopendra przesuwała się ku czerwieni i po bieli, potem czepiak przemknął do czerni ze skolopendra depczącą mu po piętach. A potem skolopendra już nie gonila małpy, lecz zawróciła, jakby domyślała się, gdzie czepiak dobiegnie, i zanim nadażyłem wzrokiem, ślepy stawonóg przyparł małpę do jednego z kamieni-pionków. Ale czepiak obiegił skolopendrę. Zmylił ją, pomyślałem. Skolopendra zamarała. Małpa chyba zbierała się na odwagę, bo zaraz skoczyła, chwyciła ostatni segment ciała stawonoga, by rzucić wijem o ziemię. Ale zanim czepiak zdołał unieść skolopendrę, ta zwinęła się tak, by jej głowa znalazła się za plecami małpy. Miałem nieodparte wrażenie, że stawonóg to zaplanował, że przewidział taki przebieg zdarzeń. Skolopendra zacisnęła się wokół tułowia czepiaka i wbiła jadowe ostrza w jego kark.

Mały ssak szarpnął się, cofnął i zatoczył. Było jasne, że został śmiertelnie ukąszony. Zatoczył się na zachód, odczołgał się na czworakach, ale przy polu 8 Trzcina łapy go zawiodły. Popelzł obok Wenus i z powrotem skierował się na północ. Doszedł do pola 13 Wiatr. Po latach grania wyczułem, choć nie umiałbym wyjaśnić jak, że przerażenie czepiaka wiązało się z podstawowym wzorem na planszy.

Zerknąłem na Koh. Koncentrowała się na dramacie, z pałacą intensywnością - nie umiałem lepiej tego określić - obserwując strach małpy.

Skolopendra znieruchomiała w oczekiwaniu. Znajdowała się teraz w samym centrum, na zielonym zerze, które również reprezentowało Teotihuacan w aspekcie planszy jako mapy świata. Po upływie pół minuty czepiak szedł jeszcze bardziej sztywno, sunąc z wysiłkiem naprzód, jak najdalej od stawonoga. Zapewne już nie czuje bólu, pomyślałem. Sam czułem przerażające zimno. Dwie minuty później czepiak znalazł się w najdalszym rogu czarnej ćwiartki. Przewrócił się sztywno jak figurka z drewna i zamarł pyszczkiem w dół. Nadal mógł kurczyć i prostować dłonie, ale poza tym wydawał się sparaliżowany od szyi w dół. Skolopendra zbliżyła się do niego, tym razem bardziej beztrosko, niespiesznie przesuując odnóża niczym wiosła galery. Kiedy znalazła się tuż obok małpy, pogłaskała delikatnie

nieruchome ciało długimi czułkami, po czym owinęła się wokół niego. Czepiak szarpnął się jeszcze, ale tylko zdołał zacisnąć ręce na dwóch odnóżach skolopendry, jakby próbował ją odepchnąć. To były małe zwierzęta, ale scena wydawała się wielka, epicka - jakbym oglądał prawdziwą, nieocenzurowaną opowieść o świętym Jerzym i smoku. Czepiak zaczął krzyczeć.

Dźwięk był nieznośnie wysoki, niczym skrzyp, jaki wydaje szkło cięte diamentem. To był cichy dźwięk. Ale tak przenikliwy, że bez wątpienia słyszał go Hun Xoc i reszta grupy na dziedzińcu, nawet 14 Zraniony mógł to usłyszeć po drugiej stronie miasta, ludzie na pustyni, w IX, na biegunie północnym i na Marsie. Po stu czterech uderzeniach serca szkło pękło w drobny mak i krzyk się urwał, a potem zabrzmiał znowu i umilkł, aż wreszcie małpka krzyczała już bezgłośnie, z otwartymi ustami i obnażonymi malutkimi zębami. Po trzech tysiącach uderzeń serca czepiak spuchł od soków trawiennych robaka, ale dalej drżał. Skolopendra zaczęła się pożywiać, na ciało ofiary spłynęła galaretowata wydzielina, małe żuwaczki i szczęki stawonoga poruszały się jak usta dziecka ogryzającego kolbę kukurydzy. Wiję jedzą niechlujnie, ciało małpy wkrótce lśniło od wilgoci wydzielin, a pod nim formowała się kałuża. Po sześćdziesięciu tysiącach uderzeń serca enzymy stawonoga rozpuściły większość mięśni i organów wewnętrznych czepiaka, przez co wyglądał już bardziej na skórzany bukłak niż żywe stworzenie. Skolopendra przeżuła jego kark, potem sięgnęła do miękkiej czaszki i mózgu, a później do torsu. Obserwaliśmy to w dławiącej ciszy. Koh miała tak rozszerzone źrenice, że jej brązowe tęczówki wydawały się zaledwie aureolą wokół zaćmionych słońc. Skolopendra obróciła zwinnie truchło i zaczęła wydziełać soki trawienne na brzuch małpy. Oszacowałem, że za najwyższej godzinę i czterdzieści minut z czepiaka nie zostanie więcej niż kilka skrawków skóry i zęby.

Ponownie popatrzyłem na Koh. Patrzyła na mnie jednym okiem, podczas gdy drugie nadal miała wbite w skolopendrę. Och! Zawsze niepokoiły mnie rozmowy z ludźmi, którzy mieli zeza. Ale w przeciwieństwie do osób z problemami okulistycznymi Koh najwyraź-

niej potrafiła kontrolować każde oko z osobna. Znowu spojrzałem na planszę. Nic się nie zmieniło przez wieczność. A kiedy już czułem, że wszystko się skończyło i oboje zmieniliśmy się w mumie od czekania, Koh drgnęła. Podniosłem na nią wzrok. Nic. Popatrzyłem więc na skolopendrę. Coś było nie tak.

Skolopendra zamarła w napięciu, jakby wyczuła wroga. Przechyliła głowotułów w lewo, potem w prawo, dwukrotnie zacisnęła i rozkurczyła szczęki. Wyglądała na przerażoną. Zatoczyła krąg zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem drugi w przeciwną stronę - przez czerwoną ziemię, przez żółtą ziemię, do ósmego *b'ak'tun*, po czym zawróciła w prawo i pobiegła na czarną ziemię, a potem z powrotem na białą i żółtą, daleko, daleko poza obecny czas, do trzynastego *b'ak'tun*, w przód i w tył, w przeszłość i przyszłość, przecinając teraźniejszość raz po raz, aż wreszcie, pośrodku północnej ćwiartki, na polu 14 Noc, zwinęła się ciasno i okręciła przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, po czym jeszcze raz i jeszcze... Z niewiadomych powodów przez głowę przemknęło mi tylko jedno słowo: SZALEŃSTWO. Przy dwudziestym ósmym obrocie skolopendra chyba doszła do siebie, bo zatrzymała się z uniesionym odwłokiem. Jej czułki drżały, a odnóża bębniły nienaturalnie szybko. W iskyjskim jest przysłowie, że nigdy nie ruszasz się szybciej niż wtedy, gdy uciekasz przed śmiercią.

Skolopendra wykonała cztery kroki na północ, potem sześć powolnych na południowy wschód, a potem zatrzęsła się i znieruchomiła w zagłębieniu z numerowanymi kamieniami reprezentującymi datę 12 Ruch, 5 Turkus w siódmym *k'atun* dwunastego *b'ak'tun*, czyli 3 grudnia 1773 roku. Był to rok trzęsienia ziemi, które zniszczyło Antigüe, gdy była stolicą Gwatemali. Czy powinienem o tym wspomnieć Koh? A może Koh już to wiedziała? Postanowiłem nie odzywać się niepytany. Skolopendra znowu się poruszyła, chwiejnie, o ile można się chwiać na dwudziestu jeden parach nóg, aż znalazła się na 2 *Etz'nab*, 1 *K'ank'in* - 2 Ostrze, 1 Żółć, dwa dni przed datą końca świata.

Najwyraźniej skolopendra zatrzała się czepiakiem lub czymś, czym małpa została nafaszerowana. Stawonóg drżał, skręcał się i rozkręcał,

przewracał na grzbiet, zwiwał i rozwijał, a potem przewracał na brzuch. Ugryzł się nawet w podstawę osiemnastego odnóża. Pasma ciała zawisły, wyszarpane przez pęknięcia egzoszkieletu. Z jadowych kłów unosiła się mgielka, skolopendra wypompowywała neurotoksynę w powietrze. Znowu przewróciła się na grzbiet i ugryzła. Rozdarcie pojawiło się na środku jej ciała i poszerzyło, po czym rozprzestrzeniło na kolejny segment i następny. Liniała.

Stawonogi linieją przy pomocy ruchów perystaltycznych. Pająk pozbywający się pancerza przypomina dłoń bez ciała wypychającą się z rękawiczki. Owady zwykle odrywają kolejne części chitynowej okrywy jedną po drugiej. Skolopendry zwiwiają się i rozciągają, jak stopy zrzucające kaptcie. Zwykle linienie ujawnia całkowicie nowy pancerz, jakby stworzenie rodziło się na nowo. Przypomniałem sobie, jak matka - moja lub Szakala - powiedziała, że gdybyśmy mogli zrzucić skórę, żylibyśmy wiecznie.

Ale ta skolopendra próbowała linieć, gdy nie była jeszcze gotowa. Nie miała nowego egzoszkieletu pod tym, którego się pozbywała, tylko żywe nagie komórki wydzielające bąbelki hemolimfy. Ujmując rzecz w przenośni, skolopendra obdzierała się żywcem ze skóry. Skręcała się i ocierała o kamień wyraźnie w agonii. Kawalki chitynowego pancerza spadały osobno na skałę z przyrośniętymi doń strzępami ciała. Brzuszne części dwóch ostatnich segmentów zdawały się poruszać, lub może ścisnąć, a potem odpadły od reszty. Nie, to wewnątrz nich coś się ruszało, chyba robaki? Były ich setki - malutkich, przejrzystobiałych skolopendr, każda nie większa od wiórka kokosowego ze staroświeckich śmietankowych deserów lodowych. Wydawało mi się, że skolopendry składają jaja, ale ten gatunek - jak mogłem się przekonać na własne oczy - był inny. Małe tłoczyły się, przepychały i wierciły przy kawałkach ciała matki, wysysając posokę. Wreszcie matka zwinęła się w pierścień, gryząc samą siebie i żując, dopóki nie zmieniła się w splątane wnętrzości na polu 9 Czaszka, 11 Wiatr w białej ćwiartce planszy.

Tylko czułki jeszcze zataczały powolne ósemki. Po kolejnym tysiącu uderzeń serca dzieci również znieruchomiały. Palce Koh spły-

nęły z góry. Jej paznokcie zamknęły się na szczątkach skolopendry. Strażniczka podniosła stawonoga - był sztywny jak wysmażony plaster bekonu - i na jego miejscu postawiła pion z opalu. Wytarła resztki czepiaka i pozostałości po skolopendrze czystą szmatką. Karlica podsunęła gliniany pojemnik i Strażniczka umieściła tam zawiniątko z obojgiem zwierząt, po czym powiedziała coś do niego w dwóch językach. Karlica zabrała pojemnik, zapewne na godny pogrzeb. Koh natomiast, zanim się zorientowałem, zabrała duże kamienne pionki i zaczęła układać czaszki, to znaczy kamyki, na polach, na których stawały zwierzęta, licząc znowu w tym starym języku, którego nie rozumiałem. Zdawało mi się, że zatrzymuje się na długą chwilę pomiędzy jednym kamykiem a drugim, i musiałem się napominać, że to nie ona porusza się tak wolno, lecz to ja myślę tak szybko.

Ale nawet przy takim tempie myślenia walka między stworzeniami odbyła się tak szybko, że ledwo nadążałem wzrokiem. A Koh nie tylko ją widziała, ale również doskonale zapamiętała każde zapętlenie na trasie, każde miejsce spotkania. Odtwarzała je teraz przy pomocy łańcucha znaczników, używała kamyków o różnych kształtach do zaznaczenia odpowiednich pól zdarzeń - płaskiego owalu na polu, gdzie skolopendra uderzyła po raz pierwszy, trapezowatego tam, gdzie umarł czepiak, i niemal doskonałej kuli w miejscu śmierci stawonoga. Była to uczta dla oczu - oglądać to mistrzostwo spostrzegawczości i pamięci, najwspanialsze, jakie w życiu widziałem, a widziałem już trochę. Dla mnie to, co się stało na planszy, w większości stanowiło rozmyte pasma. Założę się jednak, że Koh mogłaby obejrzeć dziesięciominutowy film pokazujący toczące się kule podczas rozgrywki bilardowej i umiałaby naszkicować wektory dla każdej - klatka po klatce.

Wreszcie Strażniczka klepnęła planszę pięć razy i opróżniła sakiewkę małych kamyków. Każdy był inny. Niektóre kształtem przypominały spłaszczone dropy. Każdy reprezentował planetę lub główną gwiazdę. Koh wybrała te, które obecnie znajdowały się na niebie, i schowała resztę. Rozłożyła mapę nieba z dzisiejszej nocy na planszy, nieco inaczej tym razem, z Ostatnim Panem Nocy chyłącym się ku zachodowi i rodzącym się Zdobywcą Słońca, czyli Wenus, na wschodzie.

Kamień, którego użyła do reprezentowania Księżyca, był gładkim, owalnym hydrofanem, wodnym opalem. W średniowiecznej Europie nazywano go okiem świata. Koh oznajmiła:

Teraz czerni poświęcam jaskinię zmarłych,
Teraz żółci poświęcam jaskinię oddychających,
Teraz czerwieni poświęcam jaskinię nienarodzonych,
Teraz bieli poświęcam jaskinię nigdy niewydarzonych.
Teraz rozrzucam żółte ziarna, czarne ziarna.
A teraz rozrzucam
Białe czaszki i czerwone czaszki,
A oto twoja niebiesko-zielona czaszka
Z imieniem twym.
A teraz ruchy wykonamy.

Wzięła zielony kamień i przesunęła go naprzód, kierując się na zachód, po czym na wschód i z powrotem do rozwidlenia przy Drzewie Krokodyla, obok Czterystu Chłopców, czyli Plejad, i wzdłuż białej długiej drogi z brzuchów węży, obok paleniska, czyli Pasa Oriona, wreszcie na południe ku Syriuszowi i Murzimowi, błękitnemu olbrzymowi w Gwiazdozbiórze Psa, nazywanemu tutaj Drugim Panem Nocy. Koh pozostawiała po sobie trop z kamieni przez sploty czasu. Poruszała się szybko, ale nie miałem trudności, by za nią nadążyć. Chociaż mózg Szakala nie miał ścieżek wyrobionych Grą, jakie były w moim mózgu Jeda, z narkotykami radziłem sobie lepiej niż w starych Grach. I nie chodziło o to, że myślało mi się jaśniej. Chodziło o coś innego - o uczucie, jakie wywoływał topotropowy dopalacz. To nie było jak latanie w przestrzeni, lecz jak połączenie z przestrzenią, jakby mieć świat w dłoni i wystarczy lekko obrócić, by znaleźć się tam, gdzie się pragnie dotrzeć... A może bardziej jakby świat był talią kart i aby przybliżyć do siebie odległe miejsca, wystarczy potasować i oto Cejlon znajdzie się w Oklahomie lub mgławica Trójlistna Koniczyna trafi do tej komnaty.

Koh rozłożyła białe kamyki i zaczęła nimi polowanie na pionka. Miała do wykorzystania osiem dni - za tyle nastąpi zaćmienie. Powiedziała, że wyczuwa z tego pola szary zapach i że dla mnie jest na tym polu, w tym dniu, *kii*. Słowo oznaczało spisak lub strategię, sposób, by obrócić przebieg zdarzeń na moje. *Kii* składa się z dwóch części zwanych *chaat ha anachan*.

Pierwsze słowo, *chaat*, znaczy północno-zachodni wiatr, który jest suchy, gorący i przypisany do czerni. Albo po prostu ogólnie wiatr. Drugie - *anachan* - oznacza miasto trupów, czyli miniaturowe miasto umarłych w typowo meksykańskim stylu. Minąłem ich setki w długiej podróży w głąb lądu z San Martin. Poza tym - jak to ujęła Strażniczka - warstwa pyłu była za duża, by mogła zobaczyć dokładniej.

Wiatr na cmentarzysku, pomyślałem. Hm...

Pięć słońc, czternaście słońc i trzydzieści słońc,
Pięćdziesiąt pięć słońc, dziewięćdziesiąt jeden słońc,
Sto słońc...

Kiedy ustawiła dwadzieścia kamyków, Koh podniosła pierwszy i postawiła na kolejnym polu, jak samotny wspinacz ustawia linę bezpieczeństwa, wspinając się wyżej, mocując następny hak, po czym schodząc, by wyjąć poprzedni. Pomyślałem, że Strażniczka użyje szczypiec, by przesunąć kamyk na najdalszą część planszy, ale zamiast tego pochyliła się i mogłem zajrzeć jej w dekolt. Mmm... Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nie miałbym nic przeciwko kolejnemu pocałunkowi Kobiety Pajaka. To czarno-białe ubarwienie skóry jest całkiem ładne. Na swój sposób. Co się tak w ogóle stało Koh? Miała tylko przebarwienia czy to coś więcej? Zaburzenia rozprzodzenia melaniny powodowane są często nierównowagą hormonalną. A może to zwykłe bielactwo? Melanodermia? Choroba Addisona? Hemochromatoza? Angina? *Xeroderma pigmentosum*? Na skórę pergaminową nie wygląda... Gra o sumie zerowej.

- Zero słońc - powiedziała Koh. Doszła do daty, która odpowiadała miejscu, gdzie został zabity czepiak. Ale nie zatrzymała się tam.

Bez wahania ustawiała kamyki dalej, jakby skolopendra nadal goniła małpę przez dodatkowe wymiary zwijającej się przestrzeni Kaluzy-Kleina. Niektóre z pól wypełniły się stosikiem kamyków. Gdyby to była Gra jednym lub dwoma pionami, mógłbym ją śledzić. Ale, jak już wspominałem, każdy dodatkowy kamień wielokrotnie zwiększa poziom trudności. Gra dziewięcioma kamieniami nie jest dziewięciokrotnie trudniejsza od tej jednym kamieniem. Jest trudniejsza 9! razy, czyli 9x8x7x6x5x4x3x2, albo po prostu 362 880 razy trudniejsza.

- Czternaście, pięćdziesiąt jeden, sto dwadzieścia cztery, dwieście czterdzieści pięć - wyszeptała Koh. Odczytała kolejność naprzód, po czym do tyłu. Cofnęła się całą drogę do 4 *Kaban*, 15 *Chen*, 8.14.17.7.17., daty zamieszczonej w Kodeksie jako upadek A'K'aakan, czyli El Mirador, po czym zawróciła i zaczęła posuwać się wzdłuż ścieżki ku przyszłości, wychodząc naprzód trzysta dziewięćdziesiąt cztery dni, na krawędź czerwonej ćwiartki i daty powstania Ix. Niepokoilo mnie coś we wzorze, który się pokazał, w sposobie, w jaki ścieżka się cofała i wychodziła naprzód, od punktu do punktu jak w krzywej kreślonej wahadłem Foucaulta, róży Maurera, i w sposobie, w jaki ten wzorec się powtarzał w mniejszej i większej skali, szczególnie w większej, co raz większej... ale zawsze miał ten sam kształt, zahaczony w punktach regularnych krzywych. Było coś w tych łukach, co zdawało się przenikać przez rozmycie wyników i wydobywać ich przyczyny, jak nóż rozcinający brzoskwinię, by wydobyć pestkę.

Kiedy znaleźliśmy się w miejscu i słońcu, które były mi obce, Koh oznajmiła:

- Powiem ci o tym, co odczytałam, a ty nadasz temu imię.

Cmoknąłem, że tak uczynię.

Procedura, jaką wybrała, nie była niezwykła. W rzeczy samej istniały już precedensy w protokole Gry. Na przykład, klient mógł zadać pytanie Strażnikowi Dnia, co się prawdopodobnie zdarzy w zamierzonej podróży. Jeżeli klient mówił o miejscu, które znał, ale którego nie znał Strażnik, ten ostatni, odczytując ogólne wskazówki, o szczegóły dopytywał klienta.

- Trzysta dziewięćdziesiąt pięć, pięćset sześć - oznajmiła Koh. Przesunęła jedną ze ścieżek pięćdziesięciu dwóch lat słonecznych, a potem kolejną i kolejną. *Tzam lic* trzaskało mi pod skórą jak wylądowania elektrostatyczne w kuli Van de Graafa. Koh opisała, że główne miasta pokryje dżungla, a ja wyobraziłem to sobie jak wybuch rakiety z fajerwerkami, tylko wolniej - roziskrzona zieleń na tle błękitu. IX, Axcalamac, Yaxchilán, Bonampak, Palenque, Kaminaljuyu, Ti ak'al, Uaxactun, i Tonil, wszystkie rozpadające się pod uderzeniem fali, która wybuchła w Teotihuacan, stolicy imperium. Palce Strażniczki przesunęły pionek-czaszkę naprzód, do następnego pola, przy każdym ruchu robiąc pauzę, pozostawiając wolne pole, ale pole przebudzenia, pole możliwości dla linii nasion, i układ na planszy skryształizował się w historię. Nowe miasta narodziły się na północy - Kan Ec, Różowa Góra, Tula, Krzemienne Jezioro, Chichén, Kabah, Uxmal i Mayapán. Później, po rozpoczęciu się dziesiątego *b'ak'tun*, nowe piramidy wzniosły się nad taflą jeziora, tuż obok środka planszy, ale na południe i zachód od Teotihuacan - Tlaxcala i Tenochtitlan oraz setki innych miast pod panowaniem Trójprzymierza, które w 1430 roku naszej ery stało się zalążkiem azteckiego imperium. Oddziały żołnierzy rozchodziły się ze stolic przez Mezoamerykę jak wojownicze mrówki. Zerknąłem na Koh. Napięła się z wysiłku, prowadząc mnie przez historię, jakby surfowała na magmowej fali ze mną na plecach. Jeżeli gra się w zawodach szachowych lub go, a nawet w rywalizacji „Neo-Teo” czy innej najnowszej niebanalnej grze komputerowej, ma się wrażenie umysłowej agonii podobnej do tej, jaką musi czuć atleta dźwigający zbyt ciężką sztangę. Wykonuje się ten ostatni wysiłek z myślą, że nie może się tego dokonać, a wtedy się udaje, przekracza się granice i podnosi ciężar, ale wówczas okazuje się, że nie ma możliwości, by go postawić, i wpada się w panikę, wzywa pomoc. Koh utrzymywała w umyśle tysiące możliwości i obserwowała, jak się rozwijają od pionka - jej alter ego - przez każdy ruch, po czym wybierała jedną z nich. Canoe wielkości miast przeslizgiwały się przez morze do czerwonej krawędzi planszy. Koh widziała znowu ludzi w srebrzystych łuskach,

a potem fragmenty opalanej skóry, na której wybuchały granatowe krosty, płuca pulsujące wrzodami, setki ciał umarłych rozkładających się szybciej, niż można było je pogrzebać. Przesunęła się do roku 1518 - roku, w którym Hernán Cortez dotarł do Meksyku, zaledwie kilka mil od ruin Teotihuacan. Białe miasta na jeziorze skurczyły się w eksplozji płomieni. Koh znowu się przesunęła.

-9 Wiatr, 10 Myśl, szesnasty *k'atun* - oznajmiła. To był 4 lutego A.D. 1525. Jezioro wyschło na bagno i rozwiało się w tumanach kurzu.

-Prawie nas zniszczył - powiedziała Strażniczka.

-Kto? - zapytałem.

Opisała olbrzymą z pomarańczową brodą i w odzieniu ze srebrzystych wielkich łusek.

Przyznałem, że wiem, kto to jest.

Kto? - zapytała gestem.

- Pedro de Alvarado.

Koh powtórzyła nazwisko. Przeszedł mnie lodowaty dreszcz, gdy je usłyszałem - tutaj, teraz, wypowiedziane jej głosem. Teraz jesteśmy niewolnikami - oznajmiła Strażniczka. Skoncentrowałem się znowu na planszy. W tej chwili Gra była wielka jak cała półkula zachodnia, a ludzkość rozprzestrzeniała się po niej jak paciorki toczące się po tacy. Koh opisała miasta powiększające się dwukrotnie co porę pokoju, jak pleśń, i czarne podwójne pnącza z mokrymi, wilgotnymi robakami ślizgającymi się wzdłuż nich. Domyśliłem się, co opisuje. Powtórzyła za mną słowo: koleje. Następnie ruszyła z 24 grudnia 1917 do 1918 roku, do daty trzęsienia ziemi, które zniszczyło Ciudad Guatemala. Opisała, że pnącza się powielają i płączą, i wydzielają asfalt. Mknęły po nim ciemne kleszcze, wysysające krew Ziemskiej Ropuchy, a drzewa wędną od ich oddechu. Po dziewiątym *k'atun* ostatniego *b'ak'tun* śmierdzące kleszcze rozmnożyły się w nieprzeliczone stada, czerwone, niebieskie i żółte, a niektórym wyrosły nawet skrzydła. Powiedziałem, że Koh wyobraża sobie drogi i samochody oraz samoloty. Potem opisała kwarcowe kryształy, które wyrosły przez noc i wypłuły białe muchy nad popękana błękitno-zieloną misą. Nie byłem pewien, co to mogło być. Strażniczka przesunęła swój szafirowy pion na pole 11 Wyjec, 4 Biel, w piątym *uinal* pierwszego *tun* osiemnastego *k'atun* trzynastego i ostatniego *b'ak'tun*.

- Dzień nadania imienia ci - oznajmiła. Cmoknąłem potwierdzająco. Prawidłowo.

Przesunęła pion do 4 lutego 1976, dnia ostatniego wielkiego trzęsienia ziemi w Gwatemali, potem dalej w ostatni *b'ak'tun*.

-11 Poruszenie - powiedziała. - Wąż-dmuchawka ze złączonymi ustami i odbytem wyrzuca kłęby pyłu w ogień Boga Zer, a piasek zmienia się w kryształowe ostrza. - Data na planszy w kalendarzu Majów odpowiadała 2 czerwca 2009 - dacie wybuchu akceleratora w Huajapan de Leon. Zacząłem o tym mówić, ale Koh ruszyła naprzód, przesuwając główny kamień - opał - dalej, do pola 6 Ostrze, 6 Żółć.

-Walczą ze sobą tu - oznajmiła. - W mieście gier na północnej koralowej równinie.

-Disney World - odpowiedziałem.

-A co dokładnie stanie się w słońce to?

Opisałem horror w Disney World najlepiej jak umiałem.

Koh ruszyła naprzód. Doszliśmy do krawędzi świata najdalej na zachodzie planszy, do pola nazwanego 4 Pan, 3 Żółć, czyli 21 grudnia 2012 - do kresu czasu.

- Ukryty *ahau* obraca podwładnych przeciwko swoim ludziom - stwierdziła. - Ma pękniętą czaszkę.

Cmoknąłem twierdząco, ale to raczej nie były przydatne informacje.

- Nie, czekaj. - Koh się cofnęła. - On nie jest *ahau*. On tylko używa głosu *ahau*. Jego imię to Milin.

Oho! To na swój sposób bardzo precyzyjna informacja. Tyle tylko, że nigdy w życiu nie słyszałem o nikim, kto nazywałby się Milin.

Hm.

Iksyjski termin, jakiego użyła, *t'aal chaconib*, oznaczał czekoladowy kwiat kolibrów. I na pewno miała na myśli milin, czyli *Campsis radicans*. Ale rzecz w tym, że słowo to popularniejsze było w użyciu jako przymiotnik - idiomatyczne określenie barwy różowo-łososiowej. To znaczy milin obecnie jest czerwony, ale dzięki odmiany miały kwiaty różowe lub łososiowe. Może zatem Koh miała po prostu na myśli jasną czerwień.

- Możesz mi wskazać, gdzie on jest? - poprosiłem, ale Strażniczka już ruszyła znowu naprzód, poza ostatni dzień, w czas nienazwany.

Szlag. Zerknąłem na nią. Gracze uczą się ukrywać mentalne znużenie. Ale uczą się też sobie z nim radzić. Nawet jeżeli Koh nie okazywała nic poza napięciem i suchością oczu, jaką można nabyć przez zbyt długie skupianie wzroku, oraz może poza jedną lub dwoma widocznymi żyłkami na jasnej, pozbawionej melaniny stronie jej twarzy, nadal odnosiłem wrażenie, że kobieta jest bliska omdlenia. Kropla potu spłynęła spod jej natłuszczonych włosów. Na planszy - i jak się zdawało, wokół nas - mnóstwo nieokreślonych kształtów przetaczało się i nadlatywało przy akompaniamencie kakofonii dźwięków wydawanej przez stado gigantycznych ssaków w wielkiej skalistej jaskini. Przed nami wyrastała jakby krawędź, a poza nią strefa, która nie była ani zamglona, ani mroczna - przypominała obszar poza polem widzenia, te osiemdziesiąt procent sfery wokół głowy, której nie tylko się nie widzi, ale też nie ma pojęcia, jak sobie zwizualizować taki kąt widzenia. Czasami, starając się spojrzeć na koniec własnego nosa, widzi się coś jakby kłąb brązowej mgły, ale dalej, poza tym, nie ma nawet ciemności, jedynie nicość, której mózg nie jest zdolny sobie wyobrazić.

- I oto jest zbrocze klifu - oznajmiła Koh. Co znaczyło, że tam nie ma już nic.

Cisza.

No, to była długa jazda, pomyślałem. Zdusiłem skurcz w gardle. Czuję mdłości. Karlica przykuśtykała, zabrała kamienie i kamyki. Nastąpiła długa pauza, nim Koh spojrzała znowu na pustą już planszę. Oczy miałem tak zmęczone, że wszystko wokół robiło się sine. Kiedy Strażniczka się cofnęła, karlica wytarła planszę wodą z *balche* i solą, a potem klepnęła pięć razy, by przekazać *uayob*, że odchodzimy, następnie opuściła klapę i przysypała podłogę świeżymi płatkami geranium. Inną mokrą ścierką wyjętą z innego naczynia wytarła resztki po kikutach pochodni.

Zamrugalem. W pomieszczeniu było światło. Sina poświata, która, jak wcześniej myślałem, powstała tylko ze znużenia moich oczu. Nadal słaba, ale wystarczająca, bym dostrzegł, że woskowa warstwa pokrywająca ściany komnaty, przegrody i sufit, które w świetle ognia

zdawały się czarne, nie jest ozdobiona kawałkami papieru, liści lub piór, lecz mozaiką błękitnych morfo. Znajdowały się tu małe okrągłe wzory pieczołowicie wykonane z motyli skrzydeł przyszytych u podstawy do kanwy pokrywającej powierzchnie zasłon i ścian. Dzieśiątki tysięcy migotliwych metalicznobłękitnych dysków drżących w niewyczuwalnych dla człowieka podmuchach powietrza. Zapewne tutaj, na północnym wschodzie, morfo były *uayob* zaszlachtowanych wojowników i nie można ich było dotykać, dopóki nie umarły śmiercią naturalną. Czasami zbieracze musieli tropić umierającego motyla przez wiele dni. Jak długo trwało zebranie tej kolekcji? Ile godzin ludzkiego życia wart był ten jeden pokój? Światło zamigotało. Zdawało się, że spada z okulusa powoli jak śnieg. Miałem wrażenie, że dostrzegam pojedyncze fotony. Błękit pogłębił się do tej niewyobrażalnej płynnej ultramaryny, złożonego odcienia, którego nie uzyskuje się dzięki pigmentom, lecz tylko przez interferencję miliardów łusek, jakie znajdują się na skrzydłach tych wielkich motyli - barwa, którą mogła zniweczyć jedna kropla wody. A teraz kolor pogłębił się jeszcze, jakbyśmy zanurzali się w tropikalnym oceanie, i stawał przejrzysty - i to było tak, jakbym do teraz nie widział nigdy w życiu prawdziwego błękitu.

Karlica znieruchomiała, przerywając pracę, i podbiegła, jakby odebrała telepatyczny sygnał.

Uznałem, że tak właśnie jest. Wziąłem głębszy wdech i zacząłem tradycyjną mowę dziękczynną, ale Koh przerwała mi gestem, oznaczającym: zatrzymaj się tu, gdzie jesteś.

Zamknęła oczy. Miałem wrażenie, że to najbardziej intymna czynność, jaką zrobiła, odkąd tu przyszedłem.

Siedzieliśmy.

Zastanawiałem się, czy tę Grę powinniśmy uznać za porażkę. Koh zabrała nas tam, jak sądzę... ale nie przyniosło to wystarczających informacji, by wytropić kogokolwiek. Prawda? Nie mogłem...

- Muszę to rozegrać jeszcze raz - oznajmiła. - Z pełną miarą pyłu Solnika i Sternika.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć, więc - jak rzadko - milczałem.

Hm, ona uważała, że ta Gra to porażka. Ale przynajmniej miała wiarę w sukces. To nieco przypominało podejście Taro, który powiedział, że musimy rozegrać jeszcze dziesięć do dwudziestej potęgi rund, żeby na pewno objąć zasięgiem anioła śmierci. Oczywiście nie mogliśmy tego zrobić, nie mieliśmy dość mocy obliczeniowej i na całej planecie nie było jej dość, ale przynajmniej Taro wiedział, że zadanie jest możliwe do wykonania.

Cóż, może powinniśmy tak właśnie to zrobić. Koh myśli, że...

Usłyszałem cichy szelest i uniosłem wzrok. Kobieta pingwin wróciła, podeszła do Koh i zaczęła szeptać jej do jasnego ucha.

Siedziałem nieruchomo.

Karlica szeptała i szeptała. Moje poczucie czasu nie wróciło jeszcze do normy, ale byłem pewien, że cicha rozmowa ciągnęła się co najmniej z dziesięć minut. Koh zadała kilka pytań znakami jednej ręki, których nie znałem. Zerknęła na mnie w sposób, który wzbudził we mnie zdenerwowanie. Wreszcie karlica odeszła. Koh przybrała znowu oficjalną pozę i zmierzyła mnie spojrzeniem, pod którym czym prędzej spuściłem wzrok na miejsce, gdzie pod płatkami geranium znajdowała się kłapa ukrywająca planszę do Gry.

W antycznych tragediach greckich cała akcja dzieje się poza sceną. A widzowie oglądają jedynie epizod w stylu: wpada posłaniec i oznajmia na przykład: „Pani moja, Tesalończycy zostali pokonani!”. Kiedy przeczytałem taką scenę po raz pierwszy, uznałem, że przedstawienie jest sztuczne i nierealistyczne. Ale im więcej wiedziałem o świecie, szczególnie tutaj, to znaczy w dawnych czasach, tym mocniej uświadamiałem sobie, że jest wręcz przeciwnie. Królowie i księżęta, *ahauob* czy inni władcy, większość czasu spędzali w swoich kwaterych i otrzymywali raporty z trzeciej ręki, po czym wysyłali kurierów i generalnie trzymali się z dala od wszelkich akcji.

- Powiedziano mi, że siedziba Orłów 14 Zranionego została najechna - oznajmiła Koh. Nie popatrzyła na mnie groźnie, ale w jej

tonie pojawiła się beznamiętność, która stanowiła coś więcej niż tylko wyczerpanie Grą. Koh była wściekła.

-*B'aach?* - zapytałem. Co? Zachowałem się znowu z niewybaczalną nieuprzejmością, ale chyba cofnąłem się do mojego braku manier z dwudziestego pierwszego wieku.

-14 Zraniony jest na dziedzińcu z ludźmi twymi.

-Co stało się z resztą iksyjskich krewniaków? - zadałem następne pytanie.

-Z tego, co wiemy, oni również idą tu - odpowiedziała Koh.

Zacząłem rozprostowywać nogi.

-Ja poniżej ciebie powinienem...

Obróciła dłoń, co znaczyło: zamknij się, zanim dokończyłem, że powinienem wyjść i porozmawiać z przybyłymi.

- Powiedziano mi, że to Klan Widłogona wkroczył do siedziby Orła - dodała Koh.

To te pieprzone gnojki z Klanu Jaguara w Oxwitza, pomyślałem. Te łodzie, które nas śledziły w zatoce. Zapewne Jaguary przyplłynęły zaraz po nas, wyłożyły swoją sprawę przybranym kuzynom z Klanu Pumy i dobrały się do 14 Zranionego. Miałem stuprocentową pewność, że za tym wszystkim stoją Oceloty z Ix. Cholera.

- Powiedziano mi, że jest ich więcej i idą tutaj - oznajmiła Koh. Najwyraźniej Orły, którym udało się wymknąć z zasadzki Pum i Ja guarów, próbowały znaleźć tymczasowe schronienie w siedzibie Grzechotników.

Szlag, Koh jest wściekła, pomyślałem. I bynajmniej nie dlatego, że dzieci Grzechotnika nie miały ochoty przyjmować więcej uchodźców. Rzecz jasna, mogły być temu niechętne, pomimo że powszechne prawo gościnności - którego obecny festiwal czuwania był przesadzonym rozwinięciem - praktycznie do tego zmuszało. Problem polegał na tym, że incydent przekreślał wszelkie szanse na poprawę stosunków między synodami i Stowarzyszeniem Grzechotnika.

No i dobrze, pomyślałem. Zmiana planów. Nie traćmy odwagi. Nieważne, jak daleko jest cel, liczy się konsekwentne do niego dążenie.

Nadal mieliśmy trochę czasu. 14 Zraniony był jedynie płotką, prawda? Synody mogą najechać pomniejszego obcego kupca tuż przed Wielkim Świętym Tygodniem, ale nie rozpętają żadnego konfliktu z Grzechotnikami, nie przed zakończeniem czuwania. Na pewno nie.

Dobra, musiałem się zastanowić. I to szybko.

Nie było sensu sięgać po szczwane sztuczki. Będziemy musieli zostać w siedzibie Grzechotników aż do zaćmienia, a potem znaleźć sposób, by się wydostać.

A Koh lepiej niech przyjmie ofertę azylu. Przyjmie, pomyślałem. Musi.

- Błagam cię, ty nade mną, wróć do Ix - powiedziałem. - Ojciec mój, 2 Inkrustowana Czaszka, ofiaruje ci...

Osiem dni później, na początku drugiego dziewiątej dnia, czyli około dziesiątej trzydzieści, każdy ludzki mieszkaniec świętej doliny Teotihuacan był na zewnątrz, patrząc w niebo i czekając, aż Pożeracz dobierze się do słońca. Tylko powierzchnie *mulob - talud i tableros* - pozostały niezajęte. Krewniacy, niewolnicy, handlarze, rzemieślnicy, pielgrzymi, tragarze, jeńcy, dzieci, stare kobiety, młode kobiety, niemowlęta, a nawet ludzie, którzy nie mogli widzieć lub stać, nawet umierający, w rzeczy samej - nawet ci, co niedawno odeszli, zgromadzili się w szeregach swoich klanów oraz stowarzyszeń, stłoczyli na placach i ogrodach na dachach. Starcy siedzieli na ramionach swoich synów, a młodzi założyli sandały ze szczudłami lub balansowali na wysokich stołkach. Każdy mężczyzna po inicjacji trzymał kołatkę lub inny instrument tradycyjnie przypisany do klanu lub dozwolony przez starszych - bębenki, marakasy, okaryny, rogi, gliniane dzwonki, kamienne dzwonki, kastaniety, pałeczki, kołatki, świstawki, gwizdki, flety i setki innych, każdy nowy i przygotowany specjalnie na tę okazję.

W całej kotlinie nie było ognia. W rzeczywistości nie było ognia na całym *altiplano*. I nawet poza najdalszą granicą imperium paleniska zostały wygaszone i rozrzucone. Zapewne niemal na całej półkuli zachodniej i prawdopodobnie w całej Mezoameryce nie płonęła żadna pochodnia, żagiew, żar, cygaro ani choćby ogarek. Minionej nocy chmury zasłoniły księżyc, więc kiedy kończyliśmy finalne przygoto-

wania na jednym z dziedzińców siedziby Grzechotników, miało się wrażenie, że choć to najbardziej zatłoczona okolica na obecnym świecie, równie dobrze mogliśmy samotnie przebywać pod ziemią w wielkiej, pozbawionej nawet luminescencyjnych porostów jaskini. Między pustynią Sonora a Andami kontynent był tak ciemny, jak w czasach przed ludzką infekcją, czyli trzydzieści tysięcy lat temu.

Wszystkie naczynia, poza kilkoma misami i garnkami, zostały przedziurawione lub potłuczone. Pledy i ubrania poplamiono, rozdarto lub pocięto. Piktograficzne inskrypcje zostały przekreślone pasami błękitnej farby. Inwentarz i niewolnicy zostali zabici, a tysiące starych, chorych lub po prostu pobożnych ludzi zabiło się samo. Każdy, a przynajmniej każdy poza mną i co najwyżej garstką sceptyków, panicznie bał się, że oto nadchodzi ostateczna śmierć słońca. Ja też się panicznie bałem - choć czegoś innego.

Z naszego miejsca, wysoko nad wejściem do *mul* Grzechotnika -czyli mniej więcej w połowie wysokości piramidy, na wschodzie za targowiskiem fetyszów za południowym krańcem osi głównej - mogliśmy już wyczuć rosnące ciepło bijące od ludzkich ciał, melanż oddechów, gorzką woń z owrzodzonych gardel jeńców stojących w ciasnych wiklinowych klatkach, czerń unoszącą się z tytoniowych, pokancerowanych płuc. Niebo było czyste i, na szczęście, wiała tylko lekka bryza. Doskonały dzień na koniec świata.

Przestąpiłem z nogi na nogę. W jednym z bojowych sandałów luźny koniec wiązadła z jelita wpijał mi się w łydkę. Nie chciałem jednak się schylać, by go porządnie związać. Tego się po prostu nie robiło. Zgarbiłem się nieco. Hun Xoc wyciągnął ramię i przywrócił mnie do pionu.

Staliśmy twarzami na zachód w centrum głównej grupy krewniaków Orła. Hun Xoc po lewej, a Łajno Pancernika za mną. Jego zadaniem było chronić moje plecy. Otaczało nas jedenastu innych krewniaków z klanu oraz dwudziestu jeden niekrewnych. 12 Kajman trzymał straż na przedzie, gotów ruszyć na tyły w razie ataku.

Wszystkich nas okrywały błękitne manty, które świadczyły, że jesteście nowicjuszami w Stowarzyszeniu Grzechotnika. Pod pele-

rynami każdy ukrył tyle broni, ile mógł, nie wzbudzając podejrzeń. Wszyscy mieliśmy wiklinowe nagolenniki i naramienniki oraz kamizelki z dwóch warstw grubego miękkiego splotu, ciasno pikowane i z wplecionymi kawałkami drewna - *pancerz powstrzymujący* większość ostrzy. Byliśmy też uzbrojeni w krótkie maczugi lub buławy przywiązane do wewnętrznej strony jednego uda i zwijane wiklinowe tarcze przymocowane do drugiego. Mieliśmy również trzyczęściowe składane włócznie przywiązane do pleców słabymi, łatwymi do zerwania sznurkami, ukryte pod mantą wraz z wykonaną specjalnie na dzisiejszą akcję dodatkową zwijaną tarczą. Tarcze składały się z trzech nasuwanych części oraz pary uchwytów z niewyprawionej, usztywnionej skóry, które trzeba było trzymać oburącz. A jednak żałowałem, że nie są większe. To mogło okazać się naszą piętą achillesową.

Krewniacy Pумы na *mul* po przeciwnej stronie mieli pełne zbroje i trzymali wysokie, galowe oszczepy, które - pomimo że bardzo ozdobne nie tylko przy krzemiennym ostrzu, lecz i na całej długości drzewca - stanowiły również całkiem groźną broń. Jak wspomniałem, Pумы nienawidziły dzieci Grzechotnika i przy najdrobniejszej prowokacji były gotowe skorzystać z okazji, by zlikwidować ich jak najwięcej. A na dodatek u Pum gościli nadal krewniacy z iksyjskiego Klanu *Ocelota*. *Kto wie co słyszeli?* Słowa *podróżują* o wiele *szybciej* niż ludzie. Ktoś w domu mógł się zorientować, że 2 Inkrustowana Czaszka coś knuje, i przesłał wiadomość do Teotihuacan, po czym nakazał Klanowi Pумы wypatrywać iksyjskich Orłów. I na domiar złego istniała możliwość, że za nasze głowy wyznaczono nagrody.

Patrz, zasygnalizował Hun Xoc, klepiąc mnie w lewe ramię.

Powiodłem za jego wzrokiem naprzód i w dół. Trzy dwudziestki oszczepników z Widłogonów w czerwonych plecionych pancerzach przepchnęły się przez tłum i ustawiły między placem a targowiskiem fetyszów, blokując przejście do osi głównej.

Niech to, pomyślałem. To nam trochę popsuje plany.

Czy Koh też to widziała? Oby.

Zerknąłem przez ramię. Za nami szczyt zdobnej *mul* Gwiazdznego Grzechotnika celował w sine niebo. Na stopniach tłoczyli się zwolen-

nicy i nowicjusze. Sześćdziesiąt ramion nad nami, przed wejściem do sanktuarium, pięćdziesięciu dwóch starszych karmicieli i Strażników Dnia stało w posągowo nieruchomym szeregu. Ubrani byli niemal identycznie, w męskie stroje, z niebieskimi maskami o oczach niczym u Chaków, jak grube szklane gogle, które miały pomóc w patrzeniu przez technienie Czarnego Pożeracza, a także w łuskowate hełmy i sandały na platformach. Nad nimi, na wierzchołku *mul*, dostrzegłem postać z wysoko upiętymi włosami. Pani Żółć, seniorka Strażniczek Dnia ze stowarzyszenia Niebiańskich Tkaczy. Jak słyszałem, miała sto osiem lat.

Odliczyłem pięć postaci od północnego narożnika, by znaleźć panią Koh. Głupio, ale poczułem falę dumy, że ją tak łatwo rozpoznałem. Jej twarz, a przynajmniej ta widoczna część, wyglądała na beznamietną.

Trudno było uwierzyć, że naprawdę wyruszamy z Teotihuacan. Skąd Koh wiedziała, że to nie pułapka? No, przynajmniej wiedziała, że jej nie okłamałem. Przesłuchiwała mnie dokładnie. Założę się, że teraz uważała mnie za kogoś, kogo ma pod kontrolą. Może tak było. Jednak nawet Koh nie wiedziała, co się stanie po naszym powrocie do Ix.

A może wiedziała? Może poznała więcej ze swojej przyszłości, niż ujawniała?

Może ta kobieta chce przejąć narkotyki wspomagające Grę, by założyć własne imperium?

Hm. Mnie to nie przeszkadza. Czemu nie? Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga. Ale nie warto się teraz tym przejmować. Wszystko po kolei: a, b, c. W tej chwili „a” to oddział Widłogonów.

Koh na pewno też ich widzi, pomyślałem. Czy powinniśmy mimo wszystko próbować przebić się przez nich? Czy też może zmienić trasę? A jeżeli zmienimy, jak powiadomić o tym Koh?

Nie, lepiej nic nie zmieniać. Postępować zgodnie z planem. Przejść do pierwszego punktu zbornego przy farmakopei i potem zmieniać plany, jeżeli będzie trzeba.

Hun Xoc znowu dotknął mojego ramienia. Szybko się wyprostowałem. Wzrok naprzód, żołnierzu.

Chyba najbardziej nienaturalne w tym całym czuwaniu wydawało mi się milczenie. Pomimo niejednej pokusy nikt w tłumie nie wydał przedwcześnie żadnego dźwięku. No, ćwiczyli przez pięć dni, pomyślałem. Sam też tylko szeptałem od tak dawna, że nie byłem pewien, czy moje struny głosowe jeszcze działają. Miałem też wrażenie, że jedynymi żywymi istotami, jakie słyszałem, były ptaki.

Przez tłumy przechodziło drżenie. Można było wyczuć woń oczekiwania w ludzkim pocie. Masy szeleściły i trzaskały, jak dżungla w tych cichych porach nocy, tuż przed świtem, nim zacznie się poranny chór. Dłonie zaciskały się na instrumentach, ale nikt nie gwizdał, nikt nie wybijał rytmu, nie upuścił grzechotki. Zastanawiałem się, czy w całej historii ludzkości pojawiło się lub pojawi kiedyś miasto, którego mieszkańców cechowałaby tak silna więź i poczucie wspólnoty? Wydawało się, że nawet na zwierzętach cisza zrobiła wrażenie. Pojedynczy skwir mewy, trel kosa czy szczeknięcie psa sprawiały wrażenie niepewnych -ot, drobne szmery. Od czasu do czasu pisnęło też dziecko, ale natychmiast zostawało uciszone. I prawdopodobnie uduszone, pomyślałem.

Dranie. Pomimo barw i świeżości oraz kolektywnej dobrej woli był to nadal ciężki, straszny dzień. Nawet jeżeli nie znało się tego miejsca -gdyby się tu nagle weszło, powiedzmy, przez teleport - instynktownie by się czuło, że miasto jest w punkcie przełomowym. Atmosfera przypominała trochę tę w przychodni lekarskiej, gdy czeka się, aż recepcjonistka wywoła nazwisko, by profesjonalnie neutralnym tonem powiadomić pacjenta o nadejściu wyników testu.

Oczywiście z perspektywy dwudziestego pierwszego wieku cała ta heca wydawała się głupia. Przecież to tylko zaćmienie. Ale i tak odnosiło się wrażenie - a próbowałem kultywować emocjonalny dystans - że tylko tu panuje zdrowy rozsądek. W dwudziestym pierwszym wieku ludzie po prostu prą naprzód, a kiedy przytrafi się im coś złego, nie mogą w to uwierzyć. Tutaj przynajmniej nikt nie próbował wierzyć, że wszystko jest zawsze w porządku.

Zerknąłem w prawo, w stronę centrum miasta. Wielka oś główna ciągnęła się na północ. Miasto falowało od serpentyn i pęków piór warząchy przywiązanych do setek wysokich bambusowych tyczek.

Wszystkie były pomarańczowe, by przywołać słońce, i drżały lekko w łagodnym wietrze, jak macki ośmiopromiennych koralu. Pod każdym proporcem stało tysiące krewnych w określonym miejscu *teocalli*. Każdy krewny miał na lewym ramieniu owalną tarczę, a każda tarcza oznaczona była wzorem z piór - jasnym, prostym, geometrycznym i nieco różniącym się od pozostałych. Wszyscy stali odwrócenii w jedną stronę - na zachód - przypominając pole słoneczników. Efekt jednak był bardziej majestatyczny, heraldyczny nawet. Jak na średniowiecznym zgromadzeniu rycerstwa na Polu Złotogłowa. Wszyscy mieli nakrycia głowy lub twarzy. Nawet niewolni zawiązali szmaty nad ustami. Wyżej urodzeni dźwigali jadeit i muszle, a jeśli dodać do tego wysoko upięte fryzury ozdobione długimi piórami, wyglądali, jakby mieli szkielet zewnętrzny i antenki. Wydawało się, że ludzkie figurki zostały powbijane tak, by wypełniły miasto, w porządku ustalonym przez przynależność do wysokich rodów, klanów zależnych, podklanów, podpodklanów, klanów służebnych i niewolniczych oraz niestowarzyszonych niewolnych. Można by powiedzieć, że przypominało to reżim umundurowania we współczesnych armiach, gdyby nie to, że istniały drobne różnice i nie było dwóch ludzi z dokładnie takimi samymi ozdobami i znakami.

Pozwoliłem, by mój wzrok powędrował na północ wzdłuż osi głównej, aż natrafił na dwa place odbijające błękit nieba. Niższe dziedzińce obok *mul* Ocelota zostały wypełnione wodą, jak baseny. Na powierzchni jednego pływały *axolotl*, lilie wodne, oraz przechadzały się zabiru, święte ptaki Jadeitowej Wiedźmy. Tafla drugiego była pusta. Najpewniej nasycono ją wyciągiem z nasion *ololiuqui*, powoju *Rivea corymbosa*, dzięki czemu jeńcy, którzy zostaną tam wrzuceni, utopiają się bez walki. Wzdłuż zachodniej ściany *mul* znajdowały się platformy dla ofiarników i na jednej z nich dostrzegłem plamy turkusu - zapewne stroje piątki krewnych Ocelota z Ix, których 9 Szponiasty Koliber wysłał w delegację na festiwal. Przynajmniej jak dotąd udało nam się ich unikać.

W połowie długości osi głównej nabrzmiała bryła *mul* Huraganu sprawiała, że wszystko wokół wydawało się karłowate. Czubek

piramidy znajdował się dwa razy wyżej niż my. Gdyby przyjść tutaj w mglisty poranek spowity dodatkowo kłębam dymu ofiarnego, można by uwierzyć, że *mul* sięga chmur. Ale dzisiaj bystry wzrok Szakala wychwytywał wszystkie szczegóły otoczenia: pomniejszych członków synodu na drugim od góry stopniu, podtrzymujących dwudziestoramienną długości gigantyczne aerofony, przypominające rogi alpejskie. Na najwyższy poziom z czterech stron *teocalli* wyszli członkowie synodu z Klanu Pумы w czerwono-pomarańczowych wysokich nakryciach głów.

Tłum zaszemrał. Zniekształcona przez schodkowe piramidy perspektywa sprawiała, że synod wydawał się złożony z olbrzymów i równie niedostępny jak sklepienie nieba. Teotihuacan nie miało królów, a stanowisko archonta przechodziło na różnych członków obu rad. Kiedy pojawiali się publicznie, zawsze nosili maski, więc nikt spoza synodu nie miał prawa wiedzieć, kim są. Ale Koh z pewnego źródła dostała informację, że obecnym archontem Widłogonów jest starszy Puma o imieniu Fala Gnoju. Strażniczka kazała również obserwować osobnika, który prawdopodobnie jest dziedzicem archonta, krewniaka Pумы, imieniem Ucięta Prawica. Dziedzic podobno miał dopiero trzynaście lat, ale już uznawano go za następcę. Mówiono, że urodził się z futrem i kłami, że bez treningu umiał się zmieniać w swoją kocią formę. Mówiono również, że żywił się ludźmi, jeńcami młodszymi od niego. Ale to pewnie tylko propaganda. Koh powiedziała, że jego kolory to żółć i liliowy.

Przesunąłem spojrzeniem po wielkich stopniach *mul* do świeżo wybudowanej drewnianej piramidy. Pięćdziesięciu dwóch ofiarników, każdy w wieku dokładnie dziewięciu lat i dwudziestu dziewięciu dni, czuwało tam przez ostatnie pięć dni. Kiedy *mul* zostanie podpalona, ofiarnicy pomogą w składaniu darów i przekazaniu ich nowo narodzonemu słońcu.

Ponad dwieście ramion dalej na południowy wschód od pago-dy znajdowała się niewielka *mul* z pomarańczowo-czarnym wzorem rombów. Farmakopea Pum, a właściwie ogród, gdzie Klan Pумы hodował i destylował komponenty narkotyku do Gry. Nasz cel.

Według Koh karmiciele Widłogonów dokładnie znali czas trwania zaćmienia - osiemnaście i pół minuty - i zamierzali wykorzystać to do wzmocnienia iluzji, jak są potężni. Będą czekać, aż do końca pozostanie najwyżej sto lub dwieście uderzeń serca, a wtedy, zanim słońce się pojawi ponownie, Fala Gnoju da sygnał. Na stopniu poniżej pięćdziesięciu dwóch karmicielei zaczną dąć w rogi z kości udowych ich poprzedników. Na jeszcze niższym stopniu dwa tysiące sześćdziesięciu akolitów będzie dmuchać w wielkie aerofony, a jeszcze niżej, skąd rozprzestrzeniać się to będzie na cały znany świat, mężczyźni użyją swoich kołatek i instrumentów, a kobiety i dzieci zaczną krzyczyć lub zawodzić: *Marhóani, marhóani!* - odejdz, odejdz. Dzieciom zaproszy się oczy sproszkowanym chili, by płakały, a psy będzie się kopać po żebrach, by skamlały głośno. Wszyscy będą hałasować, dopóki Pożeracz nie zostanie przepłoszony. Wtedy główny karmiciel zapali nowy ogień od samego słońca, używając wielkiego i wspaniałego wklęsłego lustra z wypolerowanego hematytu. Pумы przekażą nowy ogień w dół *mul*, do pawilonu nowego słońca, to jest do ogniska. Przez cały dzień i noc wyznaczeni nosiciele z czterech tysięcy osad i miast przyjdą do ogniska, odpalą swoje pochodnie i zabiorą świeży ogień oraz opowieści o cudach stolicy do swoich stron. I większość ludzi będzie wierzyć, że to dzięki przewodnictwu Pum w synodach udało się uratować słońce.

Taki przynajmniej był plan Widłogonów. Koh i ja mieliśmy inne pomysły.

Dwa dni temu Koh wykonała swój ruch. Kiedy tylko minęło południe, nie zawiadamiając swoich towarzyszek Strażniczek, zwołała czterdziestu ośmiu swoich najbliższych popleczników i przekazała im ostrzeżenie o zaćmieniu. Niebiański Węgorz powiedział jej, że tym razem Czarny Pożeracz nie da się przekonać, by zwrócił to słońce, ukradnie kulę, to znaczy połknie słońce na zawsze. Ale, jak powiedziała Koh, Węgorz, czyli Gwiazdny Grzechotnik, urodzi nowe słońce, a ponieważ słońce to będzie niespokrewnione z kocimi rodami, przez następny *k'atun* dzieci Niebiańskiego Węgorza będą się cieszyć większymi łaskami niż inne klany. Zanim to jednak nastąpi, należy

oczyścić umierający świat, dlatego Grzechotnik postanowił otworzyć kłęb chmur i zesłać armię *dadacanob*, długich pszczół, jak tutaj nazywano po prostu osy z gatunku *Vespula squamosa* - głównie irytujące, rzadko śmiertelne - by użądliły w oczy tych, którzy nie idą za Grzechotnikiem. Każdy, kto nie należy do dzieci Grzechotnika, zostanie skazany na ciemność. Po tym Niebiański Węgorz powie Koh, gdzie poprowadzić wiernych, i obejmie ochroną nowe miasto Grzechotnika w Czerwonej Ziemi, czyli na południowym wschodzie. Tymczasem posłańcy przybyli do przywódców dwudziestu czterech sojusznicznych rodów i podali im, gdzie będzie punkt zbiorczy: Nagie Wzgórze. Jak tylko usłyszą bzyczenie osy, powinni zebrać rodziny i najcenniejsze rzeczy, po czym ruszyć na wschód.

Ta ostatnia część trochę mnie niepokoiła. W niepojęty sposób przeszliśmy od grupy ludzi Koh i kilku zwolenników do prawie pięciu tysięcy ludzi. Czy wystarczy dla nich jedzenia w mieście Orłów? A skoro już przy tym jesteśmy, czy będzie dość jedzenia i wody podczas podróży? Jak wielu umrze w drodze?

Nie ma sensu martwić się tym teraz, powiedziałem sobie. Trzeba tylko utrzymać to w sekrecie, zdobyć narkotyki, przesłać je do Ix i zwięzać stąd gdzie pieprz rośnie.

Koh natychmiast po tym zebraniu została wezwana przed oblicze pani Żółć, która pełniła funkcję kogoś w rodzaju matki przełożonej. Co oznaczało, że przynajmniej jeden z czterdziestu ośmiu zaufanych sprzymierzeńców pani Koh jest kapusiem. A Koh dowiedziała się, że stowarzyszenie zamierza zawetować jej członkostwo. Jeżeli głosowanie przebiegnie na jej niekorzyść, Koh będzie musiała się zabić przez utopienie. Później informator w synodzie Sępów-Powojów przesłał wieść, że rady rozważają zaproszenie pani Koh przed swoje oblicze - co znaczyło, że synody zamierzają ją uwięzić, zapewne podać torturom i egzekucji.

W południe w dniu Ciszy zwykli ludzie szeptali o tym, co powiedziała Koh na placach i targowiskach Teotihuacan. Była to plotka, credo i coraz głośniejsze przekonanie: „Następne słońce jest słońcem Gwiezdnego Grzechotnika”. Wszyscy w mieście i zapewne każdy

w Dolinie Meksykańskiej słyszał o tym - od Fali Gnoju po najbliższego zbieracza odpadków. I, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, wszystko zostało wyolbrzymione. Świat się rozpadał. Niebo upadało. Miasto miało zostać wciągnięte do rozpadliny w ziemi zero. I tak dalej, i tak dalej...

Jednak nikt nie kwapił się do prowokowania kłopotów przed zaćmieniem. Częściowo, ponieważ wyglądałoby to na oznakę słabości, ale także dlatego, że każdy, od dołów społecznych po arystokrację, brał okres Ciszy bardzo poważnie. Poza tym, jeżeli słońce się jednak pojawi, Koh straci twarz i stanie się łatwym celem.

Oczywiście synody wiedziały, że słońce powróci. Wiedziały o zaćmieniach niemal wszystko, nie tylko o saros, okresach trwających osiemnaście lat i jedenaste i jedną trzecią dnia, po których Słońce i Księżyc wracają do niemal tego samego położenia względem siebie, a cykl zaćmień zaczyna się od nowa, lecz także czy będą to zaćmienia częściowe, czy całościowe i jak długo potrwać. I zarazem starali się utrzymać masę w jak największej niewiedzy. Zupełnie jak psychiatrzy najwyższej klasy, którzy starają się, by pacjent poczuł się lepiej, ale zarazem powtarzają mu, że sytuacja nadal jest poważna, dlatego powinien regularnie ich odwiedzać.

Kiedy zaćmienie się skończy, Pумы przyjdą po nas i Koh. I zabiją tyłu, ilu im się uda. Ale zanim przyjdą, muszę wykraść ich składniki narkotyku do Gry, a inni muszą umknąć do punktu zbiórki. Och, a potem, jeżeli to przeżyjemy, będę musiał nauczyć się Gry dziewięcioma kamieniami i ukryć notatki oraz wszystko inne w iksyjskiej krypcie. Nadal nie wiedziałem, jak Doktor X zniszczył Disney World, ale to był problem na inny dzień. Powiedzmy, na plany długoterminowe.

Coś było nie tak z przestrzenią. Jakby wszystko zmałało,
skurczyło

się do rozmiarów ciasnej izby. Nie, pomyślałem, to nie przestrzeń,
lecz światło. Wszystko wyglądało nieco mniej solidnie, było jakby nie-
co bliżej. Cienie się wyostrzyły. Wzgórza, tłumy i pojedyncze pasma
moich natłuszczonych włosów wydawały się elementami zbyt wyraż-
nego reliefu. Podniósł się też niski stłumiony pomruk, jakby otwarto
zawory w piszczałkach tysięcy katedralnych organów. Zerknąłem na
słońce. Na godzinie drugiej pojawiła się jego krawędź.

Nigdy nie zetknąłem się z niczym, co potwierdzałoby istnienie
parapsychologii. Ale jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, by teraz
w mieście nawet ktoś ślepy, głuchy i zamknięty w dźwiękoszczelnej
piwnicy nie czuł tego przerażenia. Emanowały nim skały. Unosiło
się z gleby.

Ostry jak atak serca głos Fali Gnoju przebił ciszę:

Charhápiti sini, cha jucha phumuári...

Ty z czerwonymi zębami, czy teraz oskórujesz nas
i rozrzucisz
Nad mrokiem twym? I czy nigdy nie wrócisz do serca
jeziora Ze sklepienia niebios? Ty...

Dolina Teotihuacan miała własności akustyczne jak galeria szep-tów. Kiedy tynkowane budowle okryły wzgórze, echo stało się tylko mocniejsze. Bez wątplenia każde stworzenie w okolicy słyszało Falę Gnoju. Ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. I tak właśnie miało być. Fala Gnoju miał się odezwać i po ostatnich słowach miał paść sygnał do rozpoczęcia hałasu.

Skupiłem się na dwunastocalowym pióropuszu z orlich piór Hun Xoca. Dziwnie wyglądały plecionki włókien. Zmieniały się, wyostrzały. Czarny Pożeracz, o wiele bardziej potężny niż słońce, szarpał kontury każdego przedmiotu. Odwróciłem wzrok na zatłoczone stopnie *mul*. Każdego człowieka dotknęła ta choroba krawędzi, skręcając je, zacieśniając, marszcząc, jakby każde luźne włókno, każdy obraz został zgnieciony, wyprostowany i powieszony na haczyku przez jakąś wykreconą boską dłoń. Zadrzałem.

Zacząłem nasłuchiwać. Świergoty ptaków umilkły. Nie słyszałem nawet bzyczenia muchy.

Ruszajmy, chłopcy.

Przymknąłem lewe oko i zerknąłem znowu na słońce. Już kurczyło się i srebrzyło jak cienkie włókno wolframowe. Po prawej stronie pojawiły się perły Baily'ego, lśniąc między wzniesieniami otaczającymi krater Humboldta na krawędzi niewidzialnego księżycy. *Viel besser ware, wenn sie auf der Erde so wenig, wie auf dem Monde, hatte das Phänomen des Lebens hervorrufen können*, jak powiedział Schopenhauer. Najbardziej zdrowy umysłowo człowiek na świecie. Cóż, nie pora na zwłokę. Na placach i na zboczach wzgórze stłoczony tłum wydawał się napięty i groźny. Słońce otoczone było teraz obręczą światła, czyli tak zwanym pierścieniem z diamentem. Granice między światłem i cieniem na pobliznionych policzkach Hun Xoca wyostrzyły się, jakby światło padało wąską wiązką. Natłuszczona i zabarwiona na czerwono twarz zbrązowiła, a niebieska opaska na czole poszarzała, prawie jakbyśmy nagle znaleźli się w świetle sodowych lamp w jakimś przyszłym dystopolis. Korona rozkwitła i rozprzestrzeniła się wokół czarnej dziury w niebie jak macki meduzy

Chironex z parzydełkami zawierającymi kardiotoksynę. Houston, mamy całość, pomyślałem.

Niepewność lub drżenie przemknęło przez tłum. Wyczuwało się, że tysiące ludzi wstrzymało oddech, wyczuwało się również histeryczne napięcie i przerażenie, że źródło wszelkiego ciepła może nigdy nie opuścić brzucha Czarnego Pożeracza. Ja - albo raczej powiedzmy: nawet ja, najmniej przesadna osoba w tym tłumie - musiałem się napominać, że to tylko faza. Że wkrótce wszystko wróci do normy.

Czyż nie?

Nasłuchiwałem. Nadal panowała ta sama gęsta cisza. Spojrzałem w górę na oślepionego bliźniaka. Nadal całość. Pozostało mniej niż dwie minuty. No, dobra, dawaj, wracaj do domu, jak tylko poczujesz potrzebę, pomyślałem.

Kiedykolwiek.

Szlag.

Zamknąłem prawe oko, by odpoczęło, i skupiłem lewe na linii zachodnich wzgórz.

Nic.

Nasłuchiwałem.

Nic.

No, dalej. Zrób to.

Od wschodu nad dolinę nadleciał cichy dźwięk, jak łopot długiej polimerowej wstęgi. Ten dźwięk nie miał nazwy. W pierwszej chwili pomyślałem, że ludzie w dolinie nie byli nawet pewni, czy to dźwięk. A potem, kiedy narastał i stawał się coraz lepiej słyszalny, większość uznała, że to pewnie świerszcz, bo takie brzmienie było najbliższe temu, jakie znali z natury. Dźwięk się rozprzestrzeniał, a raczej rozchodził echem po placach i odbijał od ścian. Chociaż stłoczone ciała go tłumily, akordy rykoszetowały od ścian setek *mulob*. Najpierw zdawało się, że odgłos dobiegał ze wschodu, a potem może z południa, a następnie gdzieś z bliska, gdy przyłączyło się więcej niewidzialnych źródeł, coraz potężniejszy i głośniejszy. Głośniejszy, niż się spodziewałem, i bardziej dźwięczny, z wibrującym pogłosem, jakby Bóg bał się starymi wzmacniaczami Fendera.

Moi uczniowie byli bezgranicznie zaskoczeni, gdy po raz pierwszy to usłyszeli w zakurzonej piwnicy ze szczerzymi bobkami i ścianami wytłumionymi łuskami kukurydzy. Najpierw cofnęli się przerażeni, ale potem ogarnęła ich fascynacja, a na koniec przemożne pragnienie, by nauczyć się wydawać ten dźwięk po mistrzowsku. Ludziom dwudziestego pierwszego wieku trudno sobie wyobrazić, jak czuje się ktoś, kto nigdy w życiu nie słyszał skrzypiec, nigdy nie słyszał żadnego instrumentu strunowego, nawet jednej naciągniętej struny. Jak określiłby taki dźwięk? Trochę przypominałby mu pewnie cykanie świerszcza, trochę jęk piły, a trochę miauczenie kota i bzyczenie roju pszczół.

Dźwięk strun to po prostu jeden z cudów techniki. Nie istnieje nic innego tak wstrząsającego i hipnotycznego, co łączy w sobie tak wielką ostrość i takie spektrum tonów. Nic innego tak nie przewierca uszu. Nawet psy umykają na dźwięk strun, dopóki do nich nie przywykną. Efekt był porażający.

Oczywiście moi uczniowie - piętnastu skrzypków, jak ich nazywałem w myślach - nie grali bezbłędnie. Temu, co słyszałem ja i całe miasto, daleko było do Fritza Kreislera i Filharmonii Berlińskiej. Rzępolenie, co tu kryć. Nie wspominając, że instrumenty nie brzmiały nawet podobnie do wiolonczeli, skrzypiec, altówek czy sarangi. Ale skonstruowano je całkiem przyzwoicie - porządnie rezonujące, nastrojone, dobrze naciągnięte struny, na których grano smyczkami. A moi chłopcy wykonali swoje partie wystarczająco dobrze, by wywołać w audytorium ten sam dreszcz, jaki przechodzi po plecach, gdy po raz pierwszy słyszy się:



Kiedy po raz piąty skrzypkowie powtórzyli frazę, wyczułem zapach uryny i kału od tłumu oraz ten charakterystyczny zastały i gorzki zapach potu, jaki wydzielają ludzie, gdy są krańcowo przerażeni. Niektórzy źle znoszą napięcie, pomyślałem. Ach, ta cudowna woń strachu. Cuchnie jak... apokalipsa. Można było wyczuć, jak lęk napręża ciała i rozciąga je jak toffi w coraz cieńsze wiókna, aż wreszcie krystalizują się i rozpadają w czystą, pierwotną i nieuchronną panikę.

Byłem dumny z mojej drużyny. Wszyscy pracowali ciężko przez ostatnie sześć dni. Dostałem dwudziestu rzemieślników, którzy harowali niemal bez przerwy na wewnętrznym dziedzińcu wielkiego domu stolarzy w północnej dzielnicy Sępów. Rzemieślnicy zależeli od Klanu Jaszczura i byli lojalni wobec Koh. Naprawdę dobrzy ludzie. Ale i tak nie poszło łatwo. Chociaż w całej dolinie trwały ciche, lecz gorączkowe przygotowania do święta, które nastąpić miało po zaćmieniu, musieliśmy się przekradać. Za każdym razem trzeba też było przekupić inny oddział nisko urodzonych strażników Widłogonów. Myśleli, że szmuglujemy żywicę, ponieważ wyczuwali jej woń na naszych dłoniach. A co z wypróbowywaniem różnych typów wysuszonych butelkowatych tykw, czekaniem na jelita dzikiego kota, wycinaniem gryfów z cedrowych pni, wykonaniem kołków stroików, przekonaniem się, że ludzkie włosy pękają po paru przesunięciach smyczkiem, i odkryciem, jak należy je spleść w cienkie pasma, a przy tym nadal pracować nad smyczkiem, próbując pięćdziesięciu różnych

rodzajów gumy, by wreszcie znaleźć przyzwoity zastępnik kalafonii, a wreszcie poskładaniem tego wszystkiego do kupy zaledwie na dwa dni przed zaćmieniem? To było zdecydowanie najtrudniejsze zadanie, jakiego w życiu dokonałem. Trudniejsze nawet od założenia mojego akwarium dla *Chromodoris marislae*.

Okazało się, że niektórzy z mężczyzn są niezłymi flecistami, oczywiście jak na muzyków posługujących się skalą pięciotonową. A do projektu podeszli z entuzjazmem i nieskrywanym podnieceniem, chętni, by pomóc Grzechotnikowi przywołać słońce, i gotowi zrobić wszystko dla pani Koh. Do tego uczyli się naprawdę szybko, choć posługiwanie się smyczkiem musieli ćwiczyć po ciemku. Jednak jak wtedy, gdy próbowałem zanucić Hun Xocowi parę popularnych melodii, nie łapali zachodniej muzyki. Jakby nie potrafili usłyszeć tonu z frazowaniem, repetycją i rezolucją. Przypuszczam, że akordy w oktawie nie są naturalne, trzeba do nich przywyknąć, osłuchać się, nauczyć. A jednak kiedy moi muzycy załapali skalę harmoniczną, nie chcieli przestać grać. A kiedy próbowaliśmy wspomnianych pasaży, wznoszącej się skali w „I Sonacie f-moll”, opus 80, o której Prokofiew powiedział, że powinna brzmieć jak wiatr na cmentarzysku, podziało na wszystkich. Widocznie bogowie Gry nam sprzyjali.

Kiedy pasaż zabrzmiał po raz dziesiąty, dzieci zaczęły płakać i ich wysokie głosy mieszały się z tonami strun. Tłumy na placach drgnęły, ale nie był to jeszcze prawdziwy ruch. Ludzie objęli się tylko o siebie, jak cząsteczki w sprężonym gazie, szukając wyjścia.

Już za chwilę, pomyślałem.

No, jazda. Czas na fazę drugą.

Usłyszałem, że niektórzy na stopniach niżej pociągają nosami. Odwróciłem głowę w stronę placów na północy. Dzieci i starsze kobiety przecierały oczy. Mężczyźni się wiercili. Świetnie.

Krewni w pobliżu również zaczęli się kręcić i pociągać nosami.

Chyba poczułem pieczenie w oku. Auć. Świetnie.

Wychwyciłem ostrą woń. Niemal zraniła mnie w nozdrza. Doskonale.

Rozejrzałem się. Krewniacy za mną pocierali twarze. Co znaczyło, że druga grupa naszych konfederatów rozpałała ukryte ogniska.

Było ich trzydzieści sześć, rozproszonych w półkręgu po wschodniej stronie miasta na kuchennych podwórzach lub tylnych dziedzińcach czterestu różnych domów. Wierzchnią warstwę ognisk stanowiły kępy wysuszonego tropikalnego trującego bluszczu, twardego drewna oraz sumaka - który jest silnie łzawiący, jak gaz CS. Na początku dym był prawie niewidoczny. Nie bezwonny, ale bez wyrazistego zapachu. Widziałem, jak ludzie zaczęli się nerwowo kręcić na dziedzińcach osi głównej, co znaczyło, że dotarł do ziemi. Świetnie.

Koh wiedziała wszystko o tutejszej pogodzie. Dwie noce temu uznała, że bryza będzie słaba i jak zwykle ze wschodu, dzięki czemu dym utrzyma się w kotlinie. Konspiratorzy przenieśli tyle opału, ile zdołali, z zachodniej strony miasta na wschód. I proszę - stało się, jak Koh przepowiedziała. Spiskowcy wykonali świetną robotę. Musieli kupić drewno na opał, niskiej jakości gumę i - co było o wiele bardziej podejrzane - sumak, bluszcz oraz mnóstwo liści cekropii, po czym przemyścić to małymi partiami przez pierścień pielgrzymek. Musieli również ukryć krzesiwa do rozpalania ognia przed krewnymi z Klanu Powoju, którzy pełnili tu funkcję policji religijnej.

Krewny przede mną zrzucił mantę. Był to sygnał, aby się przygotować. Zrzuciłem swoje okrycie i zerwałem z pleców oszczep. Rozpakowałem obsydianowe ostrze i sprawnie złożyłem trzy części drzewca. Nawet bez metalowych dodatków składane części trzasnęły, gdy znalazły się na miejscu, w ten efektywny sposób, który daje poczucie (w tym przypadku złudne i fałszywe) czystej mocy, jak komandosowi składanie m16 w ileś tam sekund. Starając się jak najmniej wiercić i schylać, odpiąłem spod uda wiklinową tarczę, rozwinąłem ją i naciągnąłem na skrzyżowane pasma z niewyprawionej skóry. Przypominało to trochę robienie latawca. Produkt końcowy był lekki, lecz całkiem sztywny. Związałem rzemienne pasy przytrzymujące mi włócznię w prawej ręce i tarczę w lewej, po czym się wyprostowałem. Odszukałem zieloną opaskę pod jądrami i związałem ją sobie na czole jedną ręką. Była to czynność, której nigdy nie zdołałbym wykonać

jako Jed. Każdy po stronie Grzechotnika musiał mieć na czole zieloną opaskę do IWP. Czyli identyfikacji: wróg czy przyjaciel.

Oczy mi łzałyły. Zamknąłem lewe.

Właściwie to jak bardzo przyciągnęliśmy uwagę? Rozejrzałem się znowu po placach. Tłumy zaczynały się przepychać i drgać, jak cząsteczki w ruchach Browna, szukając ucieczki.

Auć. Powieka zaczęła mi nerwowo drżeć. Teraz widać już było ciemny dym. Druga warstwa opału do ognisk miała dać jak najwięcej dymu, by zasłonić choć częściowo powracające słońce.

Zamknąłem prawe oko i otworzyłem znowu lewe.

Lewą ręką sięgnąłem za pas pod przepaskę biodrową. Miałem tam małą sakiewkę. Każdy, kto brał udział w spisku, dostał podobną. Zawierała rodzaj maści z sosnowej żywicy, mlecza pszczelego, rdestu węzownika i jaj kolibra. Wziąłem nieco na najmniejszy - w miarę czysty - palec i wtarłem w prawą powiekę. Według medyka Koh, jeżeli będzie się zmieniać oko i smarować to, które odpoczywało, można będzie przejść przez dym i widzieć jeszcze długo potem, jak wszyscy inni już nie będą mogli. Chyba słyszałem kiedyś, że dawni strażacy postępowali podobnie. Ale w moim przypadku jakoś to nie działało. Powinienem sobie zanotować, żebym pamiętał o zabranii próbki tego specyfiku i wykorzystaniu w superduper naturalnych kosmetykach nietestowanych na króliczkach i albinotycznych myszkach.

Zerknąłem na *mul* Huraganu.

Coś się tam działo.

Arcymag Fali Gnoju nie mógł porządnie rozpać ognia, ponieważ światło słońca rozproszone zostało przez dym. Ale synod i tak udał, że to zrobił - rozpalili ogień krzesiwem. Jeden zaraz odpalił od ogniska wielką pochodnię na wierzchołku piramidy i nosiciel ognia, wytrenowany atleta w bufiastym i niewygodnym stroju z piór nasączonych łojem, wyciągnął ramię nad ogniem, odwrócił się i ruszył po stopniach w dół, jak planowano, a kiedy płomień ogarnęły jego ciało, zatoczył się między szeregi krewniaków Pumy. Krewniacy kopnięciami skierowali tę żywą żagiew do stopnia wielkiej piramidy - który znajdował się na tym samym poziomie, co ja i Hun Xoc,

tyle że za morzem ludzi na dziedzińcu - i niżej po schodach, na plac i do pagody-ogniska, jakby nic złego nie zaszło.

Ale pagoda już zaczynała się palić. Ktoś, może jeden z ludzi Koh, musiał tam ukradkiem podrzucić lub wystrzelić tłący się węgielek. Pagoda zapłonęła, zanim nosiciel ognia zdążył zejść ze stopni piramidy. Ale wtedy już większość publiki nie przyglądała się ceremonii na *mul*. Ludzie patrzyli w niebo, szukając Grzechotnika, próbowali uciec, walczyć, ukryć się. Usłyszałem kantorów synodu Pумы na górze przed sanktuarium, wołających przez aerofony: *hac maal, hac maal* - nowe słońce, nowe słońce; ale w zaśpiewie pobrzmiwały nuty wkradające się w głos, gdy człowiek wie, że jest ignorowany.

Za późno.

Ruchy w tłumie stały się teraz szybsze, bardziej nerwowe, jak na zatłoczonej ulicy przed zbliżającą się burzą, gdy każdy zaczyna iść szybciej, by znaleźć schronienie, nawet jeżeli jeszcze nie spadła ani jedna kropla deszczu. Fala żółto-szarego dymu przepłynęła wokół nas. Muzyka się degenerowała, coraz mniej przypominała pasaż Prokofiewa, coraz bardziej nierówne, kakofoniczne rzępolenie, które za to wydawało się głośniejsze. Instrumentów strunowych czy smyczkowych nie uważa się za głośne, ale teraz wydawały jęk o zasięgu globalnym. Z oddali dobiegł mnie okrzyk, gdy jeden z konfederatów Koh powtórzył frazę, którą przećwiczyliśmy: *a'ch dadacanob, a'ch dadacanob* - osy są tutaj, osy są tutaj! Ktoś podjął zawołanie, starsza kobieta. Wątpliwe, by była podstawionym agitatorom. Zresztą wiadomo, że ludzie powtarzają to, co krzyczą przywódcy. Paru kolejnych nawróconych ze Stowarzyszenia Grzechotnika zawtórowało kobiecie, potem następni i następni, a potem ludzie, którzy nie mogli należeć do Grzechotników. Głosy brzmiały ochryple, może od tyłu dni nieużywania podczas Ciszy. Okrzyk roznosił się na tłumy, przypominał rodzące się gradobicie nad polem kukurydzy. Ludzie Koh rozpalili bardziej atmosferę, jak cheerleaderki, dorzucając kolejną frazę, która rozniosła się w tłuszczy: słońce umarło, my umrzemy, już umarliśmy, oraz: *ak a'an, ak a'an* - to koniec, to koniec. Z lamentem mieszał się śmiech - histeryczny śmiech, jak myślę. Paru muzyków zaczęło bęb-

nić i dmuchać w piszczalki, ale dźwięk zabrzmiał niezdecydowanie i wkrótce ich wysiłki spełzły na niczym, gdy na dziedzińcach rozpacz i strach przybrały na sile. Hałas i kakofonia, które mieli wywołać zgromadzeni ludzie, choć jeszcze oczekiwane, nigdy nie nadeszły. Tłumy na dziedzińcach i dachach naprężyły się i ruszyły. W dole na zatłoczonych targowiskach zaczęła się panika.

Większość nie miała wątpliwości, że to armia os - niewidzialnych lub nie - z przepowiedni Koh i że zaraz ludzie zostaną użądleni i oślepieni. Widziałem stare kobiety, krewnych, podkastowców i małych chłopców wskazujących na niebo i krzyczących: *Ha'kin, Ha'kirt* -Grzechotnik, Grzechotnik. Mimowolnie też uniosłem głowę. Smugi dymu rozwlekały się i kłębiły. Założę się, że gdybym spoglądał trochę dłużej, uległbym fali zbiorowej halucynacji i ujrzałbym Gwiazdowego Grzechotnika w pełnej chwale: gdy rozwija się z nieba, wysuwając rozwidlony język, stosząc pióra i szczerząc kły, po których spływa święta posoka.

- *Ha'kin, Ha'kin, Ha'kin, ak a'an, ak a'an, ak a'an...*

Przerażenie przemknęło przez tłuszczę. Zdawało się, że ludzie ulegają wywołanemu feromonami imperatywowi: UCIEKAJCIE! TUTAJ UMRZECIE!

A kiedy masy rzuciły się w panice do biegu, poczułem, że kamień pod podeszwami moich sandałów drży. Zachwiałem się lekko, ale szybko opanowałem. Dzielone, zwielokrotnione przerażenie może wywołać poczucie nieważkości. Jeżeli było się w wtc jedenastego września albo na Oceanie Indyjskim podczas tsunami, albo podczas innej wielkiej katastrofy, wie się, że istnieje moment, kiedy całkowicie traci się poczucie rzeczywistości. Ludzie spoglądają na siebie i nikt nie wie, wszyscy zaś myślą tylko o jednym: umieram, a reszta świata już dawno mogła przestać istnieć. Społeczność wywołuje poczucie ciężaru, które pozostaje nawet podczas największych osobistych kryzysów. Lecz podczas kryzysów globalnych ten ciężar znika. Pozostaje tylko poczucie absurdu. Oczywiście absurd jest teraz modny, zwykło się więc go nie doceniać. Ale kiedy prawdziwy absurd naprawdę uderza... ma kły.

Teraz tłuszczka już ruszyła. Odwróciłem głowę w lewo i po raz ostatni zerknąłem na Koh. Zbiegała do nas. Nie, zaraz - niesiono ją. Jakby znalazła się w ludzkiej kolejce linowej. Usłyszałem nosowy krzyk. Miałem dobry widok, więc rozpoznałem panią Żółć, matkę przełożoną, która wrzeszczała na Koh. I chyba nie były to tylko przyziemne obelgi.

Hun Xoc klepnął mnie trzy razy w przedramię.

Parę sekund trwało, nim wziąłem się w garść na tyle, by zrozumieć, co mi sygnalizował: ruszajmy. Wyciągnąłem ramię w tył i ten sam sygnał przekazałem Łajnu Pancernika.

Krewni poniżej mnie postąpili naprzód. Pora na przedstawienie.

Zeskoczyłem z czternastocalowego stopnia. Potem kolejnego. I kolejnego.

Jeszcze czternaście stopni do przejścia. Kilka kobiet na dziedzińcu pod *mul* zaczęło zawodzić pieśń Grzechotnika. Zaraz zaczęło się przyłączać coraz więcej ludzi - śpiew i śmiech zmieszany z krzykami, jękami i dźwiękami skrzypiec wywołał hałas, który mógłby doprowadzić każdego do szaleństwa, nawet jeżeli pozostawałby w ciężkim szoku.

Stopień. Stopień.

Po niebieskich kamieniach pod stopami poznałem, że znaleźliśmy się nareszcie na placu. Krewni przede mną zamarli. Po czym ruszyli znowu. Poszedłem, czy raczej poczłapałem za nimi. Naprzód.

Sygnał: stop na plecach. Dobra.

Zatrzymałem się. Czekaliśmy.

Klepięcie w pierś. Co znaczyło: formować szyk. Klepnąłem Łajno Pancernika.

Uniosłem tarczę. Krewni stłoczyli się wokół mnie.

Okazało się, że 12 Kajman, wbrew stereotypom o ludziach, którzy wybrali karierę wojskową, ma otwarty umysł. Opowiedziałem mu o klasycznym *testudo* - czyli żółtciu - formacji wymyślonej dla oddziałów piechoty przez Aleksandra Wielkiego i stosowanej potem przez Imperium Rzymskie przeciw gorzej zorganizowanym armiom od Szkocji po Pakistan. 12 Kajmanowi pomysł się spodobał, więc go

wdrożył. *Testudo* przeznaczone było do przepychania się przez tłum i minimalizowania przy tym strat własnych. Oddział po prostu ścisną się razem i unosi tarcze, by zrobić pancierz. Żołnierze po bokach formacji trzymają tarcze w obu rękach, a ci za nimi wystawiają pomiędzy tarczami włócznie, by dźgać każdego, kto podejdzie za blisko. Niestety, nie mogliśmy użyć dużych prostokątnych drewnianych *scutum*, jakimi posługiwali się Rzymianie. Cóż, nie można mieć wszystkiego...

Uniosłem tarczę nad głowę i wpasowałem ją pomiędzy sąsiednie.

Miałem najbezpieczniejszą pozycję w szyku. Gdyby rozrysować siatkę, znalazłbym się w samym jej środku. Dlatego niewiele widziałem, a z dźwięków docierały do mnie głównie szuranie sandałów, trzask wiklinowych panczerzy i ciężki oddech towarzyszy.

Przedzieraliśmy się naprzód, roztrącając tłum. Bruk tutaj wysypany był szkarłatnymi liśćmi poinsejji i kiedy szuraliśmy przez nie, wywołaliśmy czerwoną zamieć. Nie widziałem nic z przodu, a z tyłu udało mi się dostrzec jedynie kłęb dymu unoszący się znad miejsca, gdzie znajdowała się siedziba Koh.

Szlag. Jeżeli ogień się rozniesie, będą kłopoty.

Udało nam się przedostać na zachodnią stronę dziedzińca i tamtędy na północ - bliżej osi głównej.

Nasz plan opierał się na założeniu, że nawet jeżeli krewniacy Pумы znajdą swoich dowódców i zbiorą się w grupy, nadal nie będą przygotowani na mały oddział skoncentrowany tylko na jednym celu: dostać się do ich budowli. Może nawet Klan Pумы zostawił swój magazyn farmaceutyczny względnie niestrzeżony. Cóż, przekonamy się, jak tam dotrzemy.

Uch-ach.

Dwa klepięcia w prawe ramię. Co znaczyło, że zaraz skręcamy w prawo.

Wyciągnąłem ramię i klepnąłem krewniaka za mną.

Skręciliśmy.

Testudo zmieniło nieco układ, wydłużyło się przy przechodzeniu wzdłuż północno-południowej osi głównej i skurczyło, gdy trzeba

było ją przeciąć ze wschodu na zachód. 12 Kajman, który znajdował się cztery szeregi ode mnie po prawej, teraz szedł w trzecim szeregu przede mną i wydawał stamtąd rozkazy formacji. Sygnał, by maszerować naprzód, rozbiegł się po naszym oddziale szybko jak pęknięcia na szkle.

Unosiłem się w marszu, ściśnięty między towarzyszami, że ledwie mogłem oddychać. Gdybym chciał odpocząć, wystarczyłoby, abym podkulił nogi - i zostałbym poniesiony. Zalała mnie fala... cóż, chyba należało to nazwać odwagą, a raczej odwagą w grupie. Zapewne legionieści czuli podobnie.

Cholera, pomyślałem. Nic nas nie powstrzyma.

Byliśmy już blisko osi głównej. Tamtędy mieliśmy przejść ćwierć mili na północ i potem, zanim dotrzemy do południowo-zachodniego narożnika *mul* Huraganu, musieliśmy skrócić ostro na prawo, na wschód, i wywalczyć sobie drogę do farmakopei Pum. Planowaliśmy wcześniej trasę na modelu miasta i nauczyliśmy się jej wszyscy na pamięć - do przodu i do tyłu.

Poza formacją żołwia przedstawiłem oddziałowi jeszcze jedną innowację: zakaz brania jeńców. Okazało się, że to jest dla moich towarzyszy najtrudniejsze do zaakceptowania. Tutaj wojny nie toczyły się o terytoria, lecz o jeńców. A dopiero po jeńcach liczyły się łupy.

Ale powiedzieliśmy krewniakom, że jeżeli któryś z nich złamie szyk, by wziąć jeńca, to wówczas zarówno ów krewniak, jak i jego rodzina zostaną zdegradowani i wypędzeni. Naszym jedynym celem miało być jak najszybsze dotarcie na miejsce. 12 Kajman okazał się znakomitym szkoleniowcem, bo Orły zdawały się rozumieć, co należy robić.

Otrzymaliśmy sygnał: stop. Czekaliśmy.

Kolejny sygnał nadszedł z tyłu w myśliwskim języku migowym Orłów: Jaszczury tu są. Poczułem, jak oddział napina się wokół mnie i sztywnieje. Przez szpary w szyku mignął mi błękit regaliów Klanu Jaszczura. Właśnie napotkaliśmy sześć dwudziestek, czyli studwudziestoosobowy kontyngent, krewnych Jaszczurów. Połknęli nas jak ameba pantofelka, po czym pociągnęli naprzód. W ogarniętym pa-

niką tłumie całkiem łatwo się poruszać - o ile idzie się z nurtem. I jeszcze kiedy potencjalni przeciwnicy chętnie robią za kokon amoryzacyjny.

Im dalej, tym lepiej.

Wkrótce maszerowaliśmy Drogą Śmierci. Tłumy tłoczyły się wokół i musieliśmy się przeciskać przez wąskie przerwy w ludzkiej masie, w górę i w dół po schodach, w górę i w dół, i znowu. Za każdym razem, gdy przechodziliśmy przez mur dzielący jeden dziedziniec od drugiego, w tej krótkiej chwili, gdy przeskakiwaliśmy przez ogrodzenia, mogłem dostrzec urywki tego, co się dzieje. Ale przy następnym murku odwróciłem głowę na dłużej, by lepiej się przyjrzeć.

Och... Niedobrze.

Ludzkie roje kłębiły się pod *mul* Huraganu, przepływały do stosów płonących liści i pororców oraz kart ofiarnych. Ludzie zataczali się do ognisk z wiązkami trzciny, szmat i drewna, przepychali się przez otaczający je krąg obserwatorów i dorzucali swój ładunek do stosów. Widziałem, jak krewniak Powoju w białej przepasce, trochę starszy ode mnie, unosił dziecko jak najdalej od ognia i przepychał się do stopni dziedzica. Heroiczny uczynek, pomyślałem. Ktoś jednak stara się ratować innych. Ludzie nie są tacy źli. Krewniak przeszedł nad kręgiem starych kobiet. Siedziały na osmalonych zwłokach i skubały kwiaty ze świątecznych girland, podczas gdy tuż obok ich wnuki szarpały się ze sobą i zdzierały łupy ze zmarłych.

A wokół rozbrzmiewał śmiech.

Ale ludzie nie tylko się śmiali. Pomagali sobie w samobójstwie. Na przykład widziałem, jak mężczyzna wyciąga ramię i zachęca drugiego, chyba brata, by je obciął. A brat próbował tego dokonać przy pomocy niewielkiej piły. Trzy pociągnięcia, by przepiłować kość, po czym jeszcze trzeba było odciąć ścięgna. Potem nastąpiła zmiana miejsc, tyle tylko, że osłabiony amputacją brat nie zdołał już odwzajemnić przysługi. To było jak jakaś koszmarna, slapstickowa czarna komedia, trochę jak sceny z Czarnym Rycerzem w „Monty Pythonie i Świętym Graalu”, tyle tylko, że ci ludzie naprawdę cierpieli po okaleczeniu, nawet jeżeli się śmiali. Dostrzegłem grupkę akolitów po kolei próbują-

cych przebić mur na stopniach. Wcale nie chcieli przejść. I dziecko biegnące przez krąg muzyków do wysokiego ogniska. Myślałem, że dzieciak chce je przeskoczyć. Nie uda mu się, pomyślałem, to niemożliwe. Ale chłopak tylko eleganckim szczupakiem zanurkował w płomienie i zniknął w fontannie iskier. Jego towarzysze wzniesli wiwaty. Wyglądało, jakby świetnie się bawili.

Z pewnością nie przypominało to rewolucji w rozumieniu dwudziestego pierwszego wieku. Nikt nie planował pozbycia się ludzi wyższego stanu. Podejrzewam, że nikomu z niższych klanów nie przyszłoby nawet do głowy, by przejąć władzę. Pokrewieństwo i przynależność łatwo było rozpoznać po strojach i znakach. Widzieliśmy braci, wujów i dzieci zabijających się i okaleczających nawzajem, zebrani w małe grupy praktycznie rozbijali sobie głowy, podnosili babkę lub matkę i rzucali nią jak workiem lub przegryzali im szyje. Inni, którzy nigdy by się nawet nie dotknęli, teraz mieszały się razem. Różnice społeczne zniknęły. Kobiety tańczyły z mężczyznami należącymi do konkurencyjnych klanów. Tragarze w papierowych przepaskach gołymi rękami tłukli oszczepników Pумы w skandalicznie bogatych strojach. Dwudziestu niemal nagich niewolników, którzy zerwali linę trzymającą ich na uwięzi, ale nadal byli skrępowani w pasie razem w długi szereg, przeciskało się do ogniska jak olbrzymi wij, po drodze napychając sobie usta jedzeniem złożonym w ofierze. Godzinę temu wzbudziłoby to święte oburzenie. Miasto opierało się na kruchej piramidzie hierarchii, a kiedy rozerwało się parę więzi, runęło wszystko.

To nie przypominało zamieszek w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Bardziej wyglądało, jakby festiwal Mardi Gras wymknął się spod kontroli, jak rozwiązość w obliczu czarnej śmierci, stopniowe pograżanie się w chaosie, które wiązało się z ostatnim dniem roku szkolnego, kiedy kosze na śmieci fruwały przez okna, a uczniowie skaczą po ławkach, drą i rzucają na schody podręczniki. Albo kiedy kibicom puszczają hamulce po wielkich imprezach sportowych i zaczynają się akty wandalizmu. Oczywiście to mała skala, ale ta sama atmosfera, ten sam ponadczasowy wzorec. Nic nie czyni człowieka

bardziej wolnym niż poczucie wolności niszczenia, poddanie się nienawiści i niszczenie życia w prawdziwie Sardanapalowskim stylu. Było to szaleństwo jak na koniec świata przystało.

La gran puta, pomyślałem. Chodziło tylko o odwrócenie uwagi, ludzie mieli zrobić zamieszanie, żebyśmy mogli zakraść się do Pum, ukraść narkotyk i zniknąć. Nie zakładałem, że dojdzie do takiego zamętu. Przecież ci ludzie nie chcą chyba spalić swojego domu, prawda? Nie chcą...

Może sytuacja zdarzyłaby się niezależnie od warunków, wystarczyłoby tylko odpowiednia mieszanka stresujących czynników. W Teotihuacan panowała śmiertelna kombinacja ekonomicznej desperacji i religijnych napięć, jak w Organizacji Wyzwolenia Palestyny. I chyba, jak w przypadku zamachowców samobójców, główną motywacją działania była zniewaga. Mieszkańcy Teotihuacan może nie byli gotowi, by uczynić to, czego żądała Koh, ale złość na kocie klany sprawiała, że zrobiliby niemal wszystko, by im odpłacić. Dla zwolenników Gwiazdznego Grzechotnika ten jeden mroczny dzień odnowił ich *baach* - ich twardość, chłód, macho, *soldatentum*, honor, męskość, serce i tę całą resztę, którą też można włączyć do tłumaczenia. To była szansa na załatwienie starych porachunków.

Jak dotąd Pумы nawet nie zaczęły się nami interesować. Czyli dywersja się udała, czyż nie?

Zauważyłem, że Powój w białej opasce krewniaka wrócił do pożaru. Trzymając swoje dziecko za włosy i za przepaskę, rozhuśtał je, by nabrało pędu, po czym rzucił syna w piekło, jakby to był worek odpadków. Dziecko wrzasnęło, potem umilkło, gdy upadło w żar, ale znowu zaczęło krzyżeć, głośniej i bardziej przeszywająco, dopóki jego małych płuc nie wypełnił dym.

Hun Xoc uszczyptał mnie dłonią od włóczni i pociągnął naprzód. Na górze byliśmy wystawieni na ogniste pociski. Pogalopowałem po schodach na plac. Znowu ustawiliśmy się w szyku i ruszyliśmy przez tłum.

Przeszliśmy pół dziedzińca, zanim uświadomiłem sobie, że tłok przed nami robi się większy. Krewniacy z pierwszych szeregów padli

pod naporem. Potknąłem się i wsparłem na krewnym przede mną, jak się okazało - 4 Słonecznym Rozprysku, zszywaczu skóry. Dobrze. Zawsze miło mieć pod ręką medyka. Auć.

Nic nie widziałem.

Odwrociłem się, wymacałem ramię Łajna Pancernika. Miało bliźnię od oparzenia, dlatego go rozpoznałem. Wskazałem na swoje oczy. Łajno Pancernika pochylił się, niemal mnie odpychając, ujął moją twarz w dłonie, otworzył mi powieki palcami i wylizał gałki oczne.

Przećwiczyliśmy to jako zastępnik maści. Dla obserwatorów wyglądało to pewnie, jakbyśmy postanowili jednak zająć się sobą, nie walką. Na dodatek nawet przez grubą tkaninę przepaski wyczułem, że chłopak ma erekcję. To tylko stres, chciałem mu powiedzieć. Nie myśl sobie czasem...

Oczy miałem otwarte. Och, o wiele lepiej. Ktoś naparł na formację od mojej strony. Krewniak Jaszczura. Jeden z naszych upadł bezwładnie. Został ciężko ranny. Pierwszy szereg położył go wygodniej. Nie mogliśmy jednak uniknąć deptania po nieszczęśniku. Nasz *nacom*, egzekutor, zabił go, przecinając arterie pod pachami.

Kolejnym problemem, jaki wiązał się tutaj z walką, było pragnienie, by nieść poległych z resztą oddziału. Nikt nie chce, by wrogowie zabrali ciało członka rodziny. 12 Kajman i ja wiedzieliśmy, że na to nie można sobie przy naszym zadaniu pozwolić. Ale krewniaczy nie poradziliby sobie z pomysłem, by porzucić martwych towarzyszy. Nie chcieliśmy też, by myśleli, że jeżeli polegną, pozostawimy ich na pastwę wrogów, by ich dusze stały się niewolnikami wrogów na wieki. Dlatego wypracowaliśmy kompromis. *Nacom* odcinał warokocz krewniaka i jego jądra, by zabrać je do rodziny, a ciało pozbawiał cech pozwalających na rozpoznanie - zdierał tatuaż i odbierał krewniakowi oddech, imię i *uay* czymś w rodzaju małej *samehada*-maczugi z miotłką. Ale nawet wtedy 12 Kajman musiał przypomnieć krewnym, żeby puścili ciało. Przypominało to rozkazanie głodnemu psu, by puścił gnata.

Znowu czekaliśmy. Krew zabitego kleiła się nam do gumowych podeszew sandałów. Co chwila naciskaliśmy lekko naprzód, ale za

każdym razem zostawaliśmy odepchnięci - jak szczenięta od drzwi klatki.

Może nie przejdziemy dalej. Co się dzieje? 4 Słoneczny Rozprysk postąpił krok naprzód. Zrobiłem to samo, przechodząc nad nogami trupa. Większy opór. Szlag. I nagle wszystko puściło, opór się złamał i pędziliśmy przez tłum coraz szybciej i szybciej. Moje stopy ledwie dotykały ziemi. Czulem lekki nacisk ciał towarzyszy. Tłum się przed nami rozstępował. Wyciągnąłem szyję, próbując się zorientować, gdzie jestem, ale widziałem jedynie nakrycie głowy krewniaka przede mną i ciemnożółtą ścianę *mul* Huraganu. Usłyszałem wykrzykiwane hasła, żadne z naszych. Prawdopodobnie Pum, pomyślałem. Cholera. Poczulem sygnał, by skręcić w prawo, który przebiegł przez nasze złożone ciało. Naparliśmy i wpadłem na plecy krewniaka przede mną, prawie ugryzłem go w wytatuowane na niebiesko ucho. Wcisnęliśmy się powoli w wąskie przejście między dwoma dziedzińcami. Straż przednia mogła odtrącić tylko kilka osób naraz. Poczulem dłoń na przegubie i dopiero po chwili zorientowałem się, że to wiadomość. Palce wklepa-ły: trzymaj się blisko. To Hun Xoc. Objąłem jego dłoń i uściskałem na znak, że wszystko ze mną w porządku. Zaraz też usłyszałem odgłosy walki na obrzeżach naszego szyku. Oczywiście nie był to szczęk oręża. Starciu krzemiennymi siekierami i włóczniami z obsydianowymi grotami towarzyszy tło dźwiękowe przypominające szuranie nogami, tłuczenie szkła i potrzaskiwanie drewna oraz krzyki i jęki.

Wkrótce opór ustąpił i ruszyliśmy znowu, formacja przeciskała się naprzód jak ciasto w maszynie do wyrobu pączków. Pozwoliłem się ciągnąć pod łukiem i dalej w obniżony dziedziniec. Pod stopami wyczuwałem ziemię, a raczej warstwę drżących ciał, po których stąpaliśmy. Cztery stopnie na następny dziedziniec, przez plac, a potem szesnaście stopni na następny. Szesnaście stopni. Świetnie. To znaczyło, że jesteśmy blisko.

Potknąłem się, wykonałem trzy kroki na kolanach, po czym zostałem podniesiony przez Łajno Pancernika i 2 Rękę. W chwilowej ciszy między wrzaskami tłumu usłyszałem, że 12 Kajman krzyczy, żebyśmy trzymali szyk.

Czas zwolnił. Zatrzymaliśmy się. Ludzie napierali na krawędzie *testudo*. Au. Lewe oko mi śleپło. Szlag. Trucizna z bluszczu miała wypalić się po paru minutach. Przycisnęliśmy się do siebie, starając się utrzymać przemyślny kształt żółwia, jak kryształ pod ciśnieniem. Odwracaliśmy głowy, próbując odetchnąć świeżym powietrzem. Udało nam się przejść kolejne trzy kroki, potykając się o leżące ciała. Czuję, jakbym przeciskał się przez żywą lasagne. Poczuję uścisk na kostce. Ręka. Kopnąłem ją drugą nogą i straciłem równowagę. Krewniak z przodu odepchnął mnie niezbyt przyjaźnie. Zachwiałem się, ale wysunąłem nieco włócznię umocowaną na przegubie. Ręka nadal się zaciskała, nie pozwalając mi się ruszyć. Wycelowałem ostrze w głowę. Głowę, która gryzła mnie w lewą kostkę. Niech to. Wraziłem obsydianowy szpic w policzek napastnika. Kamień zazgrzytał na zębach. Leżący puścił mnie, ale cofnął się tylko po to, by ugryźć znowu. Spoglądał dziko, z nienawiścią i zarazem jakby sennie. Wbiłem oszczep w jego oko, cofnąłem, po czym poprawiłem w usta. Ręka puściła. Wyszarpnąłem włócznię i formacja mogła ruszyć ponownie. Szlag. To jego вина. To on zaczął. Szlag.

Jest ich tak wielu, pomyślałem odruchowo. Zostanę zgnieciony na śmierć i nikt się nawet nie dowie, co zaszło. A Marena pomyśli, że zawałem. Nie dowie się nawet, że zaszedłem tak daleko, że wykonałem dobrą robotę... Zmęczony. Byłem naprawdę zmęczony. Dobrze mi tak. Nie trzeba było się zadawać z fanatykami. Ci wszyscy ludzie myślą, że mogą chodzić po lawie. *Todo por mi culpa*. Szlag, jestem skonany.

Właśnie. Skonany. Może odpocznę. Zobaczę, co się stanie. Poczuję, jakbym miał upaść, gdy formacja znowu ruszyła.

Naprzód. Dobra. Naprzód.

Wszyscy razem, wszyscyrazem, wszyscyrazemnaprzódmarsz. Hop. Hop.

Dotarliśmy do kolejnych stopni. W górę i dalej. Na dół. Chwyciłem Hun Xoca i wczepiłem się w niego jak w burtę canoe, gdy pokonywaliśmy zwałiska i ciała, ociekając potem i tłuszczem.

Przez plac. Naprzód. Przepchnąć się. Jeszcze raz. Do góry. Przez ogrodzenie, pączusie. Ten murek był dwa razy wyższy niż poprzednie,

więc gdy znalazłem się na nim, zaryzykowałem rzut oka na sytuację. Z tego miejsca miałem dobry widok na place i północne oraz zachodnie przedmieścia, i wzgórza pokryte budynkami z suszonej cegły. Wstęgi dymu unosiły się i rozszerzały, pochylając się tylko nieznacznie na zachód w nieruchomym powietrzu. Dalej strumienie pielgrzymów wylewały się po zboczach w dolinę. Meandrowały i zwijały się, powoli napierając na dzielnicę *teocalli*.

Dużo czasu zajęło mi zrozumienie, co się dzieje. Zamiast uciekać przed ogniem, tłuszcza ruszyła do miasta, na oś główną, kierując się w płomienie.

Miałem w życiu do czynienia z ryzykiem - raz czy dwa razy. Ale tu i teraz poczułem prawdziwe przerażenie. Ci ludzie będą napierać na miasto, tłoczyć się tu, gnieść się i deptać na śmierć, jak indyki podczas burzy. Jak dla mnie, właśnie zaczął się holokaust. To było jak patrzyenie na pociąg, który wjeżdża na zerwany most. Rozległy się pierwsze jęki zginiatanych i tratowanych ludzi. Pierwsze. Moja śmierć też nadejdzie niedługo. To tylko kwestia czasu. Szlag. Niech to szlag.

Zakładaliśmy, że kiedy wybuchnie pożar, ludzie zaczną uciekać. To znaczy zaczną wybiegać z miasta. Nawet Koh tak uważała. Nieprawdaż?

Łajno Pancernika chwycił mnie i skierował do schodów na kolejny dziedziniec. Wyrwałem się z jego uścisku. Łapy przy sobie, sam pójde. Wygramoliłem się przez zwalony rząd pali ofiarnych na szeroki plac. Znowu uformowaliśmy żółwia i ruszyliśmy naprzód.

Zbliżaliśmy się do placu Pum. Na środku paliło się ognisko, jakieś czterysta ramion przed nami. Po prawej wznosiły się schody na *mul* Huraganu. Oszczepnicy Pумы zbiegali tamtędy, ciemne sylwetki na tle łuny bijącej od dziedzińców na północy. Ognisko znajdowało się tylko pięćdziesiąt ramion od tamtego miejsca, więc gdy tylko schodzili z piramidy, groziło im, że zostaną wepchnięci w płomienie. Chyba nie było innego zejścia z *mul*. To znaczy nie było żadnych innych schodów, a chociaż na pewno można było zejść po ścianach, nie byłoby to łatwe. Stopnie piramidy miały wysokość dwudziestu ramion, do tego wcale nie były pionowe, lecz opadały ukośnie jak zbocza tak

gładkie, że prawie uniemożliwiały uchwyt dla rąk. We wschodnich dzielnicach, z tyłu *mul*, rozprzestrzeniały się coraz większe pożary. Prawdopodobnie Pумы uznały, że największe szanse mają, schodząc normalnie, po czym chciały ruszyć osią główną i skierować się do *mul* Jadeitowej Wiedźmy, gdzie na razie nie pojawiły się jeszcze płomienie, a potem wydostać się na trakty handlowe wiodące do Cerro Gordo.

W oddziale rozszedł się następny sygnał: dwa klepnięcia w pierś. Co znaczyło, że możemy rozciągnąć szyk i przebijając się wzdłuż muru parami.

Tak zrobiliśmy. Przycisnąłem plecy do tynku. Był ciepły i lepki.

Przesuwaliśmy się powoli na północ wzdłuż wschodniej ściany, w aleję wiodącą do farmakopei. Gdzie się podziała Koh? Powinna do nas dołączyć po drodze. Opracowaliśmy hasła-zawołania, ale teraz zrobiło się już za głośno, by ich użyć. Cóż, mnie pozostało jedynie trzymać się swojej części planu. Och... Byłem rozpalony. Naprawdę gorący. Policzek od strony ognia zrobił się suchy, zaraz zacznie mi się łuszczyć skóra. Dostrzegłem, że 4 Słoneczny Rozprysk stoi po zewnętrznej. Twarz owinął kawałkiem manty niczym bandyta z Dziekiego Zachodu. Dobry pomysł. Wyplątałem z włosów szeroką wstęgę i przewiązałem sobie usta.

Dwa klepnięcia w ramię: skręć w prawo. Formując znowu ciaśniej -szy szyk, przebiliśmy się do ceremonialnego przejścia między wysokimi ścianami z pilastrami przedstawiającymi kotowate postacie szczerzące kły. Nie było tu ani jednego krewniaka Pum. Może w ogóle się na nich nie natkniemy. Musimy tylko wejść, wyjść i wiać. Łatwizna. Teraz, gdy szyk tworzyło tylko dwóch krewniaków w linii - tyle tylko zostało z żółwia - mogłem się rozglądać. W przejściach dostrzegłem kulące się rodziny, śpiewające pokutne pieśni.

Doszliśmy do dużych drzwi, ale nie typowo trapezoidalnych, jak to u Majów, ale prostokątnych, niskich i szerokich, z dwoma skrzydłami pokrytymi czarnymi i czerwonymi kocimi maskami szczerzącymi kły.

12 Kajman podzielił siły. Większość krewnych miała czekać tutaj i zabezpieczyć wyjście. Mieli też oczyścić przejście dla pani Koh i jej

świty, jeżeli tu dotrze. Trzydziestu z nas pozostawiło tarcze i włócznie, po czym ruszyło dwójkami w krótkich odstępach czasu. Oderwałem buławę spod uda i przywiązałem luźno do nadgarstka. Taka pałka to paskudna broń. Hun Xoc wraz ze mną przekroczył martwych odźwiernych i po wilgotnym klepisku ruszył ciemnym korytarzem. *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*. Nie mieliśmy pochodni, ale zamglone światło dnia przesączało się przez ażurowy dach. Korytarz wiodł czterdzieści kroków wprost na wschód, a potem się rozwidłał. Poszliśmy na prawo, jak kazała Koh. Wkrótce korytarz zwęził się w przejście o przekroju trapezu. Gromadziła się tu wilgoć i unosił zapach pleśni i grzybów. Światło znikło. Hun Xoc przystanął. Przed nami rozległy się odgłosy walki. Tunel lekko zakręcał, więc nie mogliśmy nic zobaczyć. Szlag. Mieliśmy nadzieję, że nie spotkamy wielu ludzi, ponieważ absolutnie każdy powinien wyjść na czuwanie. Ale Pумы nie były takie głupie. Część z nich zapewne wróciła do budynku, gdy zaczęło się robić gorąco. Cholera. Krewniacy Pумы mogli nas przetrzymać tu godzinami... Zaraz!

Rząd krewniaków przed nami ruszył. Wygraliśmy. Ups. Za wcześniej to powiedziałem. Znowu musieliśmy się zatrzymać. A potem ruszyliśmy. Stanęliśmy. Ruszyliśmy. Stanęliśmy, ruszyliśmy, stanęliśmy i ruszyliśmy. Panowała piekielna ciemność. Hun Xoc i ja potknęliśmy się chyba o ciała. Jedno nadal charczało. Przykląknęłam. Wyczułem rękojeść buławy. Pomacałem niżej. Buława została wepchnięta w usta. Wyciągnąłem ją i ruszyłem dalej. W oddali dostrzegłem światło. Wkrótce wyszliśmy na zamknięty kwadratowy dziedziniec. Unosiła się tu dziwna kamforowa woń, a gładkie ściany bez żadnych otworów sięgały wysokości dwóch kondygnacji. Krzyki i panika miasta zdawały się tu nie docierać. Podłoga było miękkie. Kompost. Czarny, tłusty kompost. Dziedziniec wypełniały drzewa - podobne do osoczynowatych, nazywanych na wyspach *indio desnudo*. Drzewa te miały czerwoną i zapewne trującą korę, a tutaj rosło ich dwadzieścia w czterech równych rzędach, każde wysokie na prawie dziesięć ramion. Z ich gałęzi, jak persymony, wyrastały małe owoce. Przyjrzałem się bliżej. To nie były owoce, lecz ślimaki. Gałęzie były pokry-

te pomarańczowo-czarnymi ślimakami drzewnymi. Zapewne jakiś gatunek *Liguus* - ale nigdy takiego nie widziałem. Nie miałem jednak szansy na dłuższe oględziny, bo Hun Xoc pociągnął mnie przez ogród do niskich drzwi. Przykucnąłem i na czworakach ruszyłem za towarzyszem. Ręce zatoneły mi w ciepłym błocie i płytkiej wodzie. Przeszliśmy przez stos rozbitych naczyń do kolejnych drzwi. Również rozbitych. Hun Xoc pomógł mi wstać, gdy się przez nie przecisnęliśmy. Dotarliśmy do farmakopei.

Było to największe wewnętrzne pomieszczenie, jakie dotąd widziałem. To znaczy w tych czasach - starych dobrych czasach. Szerokie i zdumiewająco długie, ciągnące się w nieskończoność. Podwójny rząd starożytnych, drewnianych filarów podtrzymywał dach. Wyrzeźbiono je na kształt strażników, jak w tak zwanej Świątyni Wojowników w Chichén, i *pomalowano* niedawno w barwy *Pumy*. Słabe światło słoneczne dochodziło przez wysoko umieszczone wąskie otwory. W kamiennych ścianach były nisze, stały w nich kosze i naczynia, a w załomach ustawiono niskie stoły i zwoje, dzbany na wodę wielkości człowieka, misy, chochle, sita, korki, mózdzierze, tłuczki, garnki, fiolki i tak dalej. Najwyraźniej *Pumy* wytwarzały tu sporo specyfików poza narkotykami do Gry. Zapewne jakieś znachorskie mikstury. Wężowy olej i eliksir na porost włosów. Były tu małe rynny wykute w wysokich ścianach i wielkie kamienne misy, jak jacuzzi w filmach pornograficznych, z nurkującymi tu kaczkami. Wraz z odorem gnoju i paskudnym smrodem mułu unosił się leciutki aromat jak ze świec zapachowych potpourri, jak w wiejskim sklepiku. Strażnicy Dnia i akolici miotali się, pośpiesznie zrzucając gliniane pojemniki z półek, by się rozbiły. Krewniacy Orła natarli bez wahania. Próbowali unieruchomić wandalę, odebrać im naczynia, przeciwdziałać połknięciu trucizny lub podcięciu tętnicy. Pomieszczenie wypełniły trzaski i dym. Nie, nie dym. Kurz. Znachorzy, a może również znachorki - bo leżące nieopodal ciało okazało się martwą kobietą przebraną w męski strój,

więc Koh mogła mieć rację - rozrzucaли narkotyzujące proszki, rozbijając pojemniki. Żółte kłęby pyłu wirowały, unosząc się do dymników nad wygaszonymi paleniskami. Słyszałem, jak moi ludzie krztuszą się i kaszlą, a Hun Xoc krzyczy, by wszyscy się okryli. Chmura proszku o ostrym zapachu buchnęła niedaleko mnie, a choć miałem chustę na twarzy i oddychałem przez nos, i tak poczułem to świństwo. Zda się, że wciągnąłem curry.

Opadłem na zakrwawione klepisko, kichając. Błyski i trzaski różowego i białego światła oraz koszmarnie siedmiotonowe akordy syntetycznych dźwięków zatańczyły w polu mojego widzenia. Cokolwiek wciągnąłem, nie było to zaakceptowane przez Departament Zdrowia.

Sześciu naszych krewniaków złapało cztery znachorki i przytrzymało je przy stosie rozbitych sprzętów na środku pokoju. Dwie z nich wymiotowały krwią, zapewne po tym, co połknęły. W odległym kącie pomieszczenia nadal toczyła się walka. Ale wydawało się, że przebiega bezdźwięcznie i trochę jakby w zwolnionym tempie. Znajdowało się tam kolejne niskie przejście - droga ucieczki. Kilka znachorek wymykało się tamtędy.

- *Y okol paxebalob ah yan yan tepalob ah ten!* - krzyknął 12 Kajman. Z grubsza znaczyło to: jak nie zamkniecie tego przejścia, zjem wasze jaja. Jeden z Orłów pochylił się, chwycił znachorkę, która już w połowie była w przejściu, i wciągnął ją z powrotem do pomieszczenia. Ujrzałem pomarańczowy rozbłysk i pomyślałem, że to pożar, ale po chwili zrozumiałem, że to tylko mnie oczy łudzą.

Szlag, jestem w rozsypce.

Siedziałem przez dziesięć uderzeń serca, potem dwadzieścia. Zdało mi się, że znowu jesteśmy poza miastem, w cichym lesie, a potem dotarło do mnie, że to przez dźwięki - cykanie i głośnie granie świerszczy, stłumione piski i kumkanie żab. Szlag. Było tu mnóstwo stworzeń w różnych koszach. Co będzie, jeżeli nie uda nam się znaleźć tego, którego szukamy? Wystarczy nam czasu, by zmusić jedną ze znachorek do mówienia? A co, jeżeli się nie uda? Przecież ludzie tutaj mieli świadomość, że znajdują się na tonącym okręcie...

- *Hac ahau-na-Koh aan.*

To Hun Xoc szeptał mi do ucha. Wiadomość dotarła do mnie jakby przez tunel: pani Koh już tu idzie.

Zanim jeszcze się odezwał, wydawało mi się, że wyczuwam ulotny zapach z wewnętrznego dziedzińca Koh, woń morskiego wybrzeża, której nie potrafiłem zidentyfikować, technienie Gwiezdnego Grzechotnika. Ale teraz odniosłem wrażenie, że jest silniejszy niż w pokojach Koh, ostrzejszy. Gniewny.

Eskorta Koh, dwaj akolici z jej zgromadzenia, odziani jak wojownicy i dzierżący ciężkie laski jak piechurzy, przykucnęli, rozejrzeli się, po czym stanęli po obu stronach przejścia i zamigali.

Koh przeszła między nimi powoli, z majestatyczną gracją, popatrzyła w lewo i w prawo. Jak dotarła tu tak szybko? Pewnie miała pomoc nieznanym mi osób i знаła ukryte ścieżki, o których mi nie powiedziała. Jak się okazało, Koh nosiła strój wojownika Widłogonów, długą plecioną zbroję i całkowicie zasłaniającą twarz maskę wyrzeźbioną z lekkiego drewna z wygrawerowanymi małymi niebieskimi łuskami. Widać było tylko ręce kobiety i jej łydki - jedną ciemną, jedną jasną - oraz chyba błysk w przenikliwych oczach.

Podniosłem się. Nadal mieliśmy szmaty na twarzach, ale Koh nas rozpoznała - to znaczy Hun Xoca, 12 Kajmana i 1 Jaszczura oraz mnie - zapewne po znakach. Zasalutowała.

Odpowiedzieliśmy podobnie. Kobieta więcej uwagi poświęciła 1 Jaszczurowi. Czy wspomniałem, że jego ród utrzymywał niezależność i był lojalny wobec Koh? Może wspomniałem. W każdym razie to 1 Jaszczur był tym mężczyzną - przysadzistym, ze złamanym nosem - którego widzieliśmy, przechodząc przez dziedziniec Niebiańskich Tkaczy. Zdaje się, że 1 Jaszczurowi towarzyszył wtedy syn... zapomniałem, jak się nazywał ten syn. Szlag, to wkurzające. Nieważne. Zdaje się, że Koh zmusiła go do czekania, zajęta rozmową ze mną. 1 Jaszczur nie żywił do mnie za to urazy. Albo przyszedł tu po coś jeszcze, albo nie o to w ogóle chodziło czy coś, ponieważ tutaj był naszym najlepszym sojusznikiem. No dobra. Nie czas na refleksje.

Dwóch kolejnych hermafrodytycznych wojowników wystąpiło zza pleców pani Koh. Obaj nosili zbroje, ale jeden chyba był kobietą i zamiast pałki trzymał karlicę Koh, kobietę pingwina.

Pani Koh przeszła obok mnie, przewróconych stojaków i stołów oraz południowego szeregu filarów. Minęła trójkę krewniaków Jaszczura, którzy unieruchomili jednego ze Strażników Dnia Pумы, nadal żywego. Mężczyzna wykręcał szyję, próbując wykorzystać krępującego dłonie, by się udusić. Jaszczury usiedli na nim, po czym zasalutowali Koh, jakby była kimś bardzo wysoko postawionym.

Przyjęła salut i poszła dalej. Ruszyłem za nią i tą, która niosła karlicę.

Koh podeszła do najdalszej ściany i wybrała duży, ozdobny dzban z emaliowanej gliny w trzeciej niszy po lewej. Towarzyszący jej wojownik wziął naczynie, zdjął pokrywę i podsunął Strażniczce Dnia. Koh włożyła tam rękę.

Zerknąłem przez ramię wojownika. Koh wyciągnęła dłoń. Wydawało się, że na jej mokrej skórze nagle wystąpiły krosty, ale kiedy przyjrzałem się dokładniej, dostrzegłem, że po ciemnej ręce Koh czołgają się malutkie żaby. Przypominały grzbietorody amerykańskie, płaskie płazy bezogonowe, o trójkątnej głowie i oczach w złych miejscach na wierzchołkach trójkąta. Ale te żaby były mniejsze, o skórze w jasnym, sinoniebieskim, prawie liliowym odcieniu. Na grzbietach miały bąble - na wpół wrośnięte pomarańczowe jajeczka.

Kiedy wróciliśmy na dziedzińce, sytuacja w mieście zrobiła się jeszcze poważniejsza. Ludzie 12 Kajmana rozstąpili się, by wpuścić nas do szyku, a przynajmniej tego, co zostało z *testudo*. Nadeszli oszczepnicy Pum, wymachując bronią. Jeden z nich dosięgnął człowieka z eskorty Koh. Napastnicy celowali wysoko, nie w pierwsze szeregi, lecz dalej - chodziło im o zabicie ludzi w środku formacji. Co znaczyło, że zaatakowali nas doświadczeni wojownicy i co gorsza tacy, którzy mają prawdziwą broń, a nie ceremonialne ozdobne włócznie przeznaczone do prezentacji tylko podczas święta. Unieśliśmy tarcze, ale szyk się już załamał. Nadleciała kolejna fala pocisków. Hun Xoc pchnął mnie na ziemię i nakazał, bym się nie ruszał. Chciałem odwrócić się do Koh, ale Strażniczkę już otoczyli jej ludzie.

Wojownicy Koh byli wysocy, a zamiast tarcz mieli duże prostokątne plecione niebieskie koce, które trzymali wokół Strażniczki. Jak dla mnie koce wydawały się głupie i snobistyczne, ale zapewne miały też wypróbowaną skuteczność.

Kch... Nadal miałem problemy z oddychaniem. Narkotyki czy zwykła zadyszka? I co z resztą? W porządku czy się naćpali tak jak ja? Rozejrzałem się.

Niebo już się przejaśniło i przez kłęby dymu mogłem nawet zobaczyć słońce. Ale to nie miało żadnego widocznego wpływu na spanikowane tłumy. Kiedy ludzi ogarnia szaleństwo, nic nie zdoła ich powstrzymać. Większość skrzypków ucichła lub została uciszona, ale

kilku nadal grało, a raczej rzępoliło bez ładu i składu. Nadal też sły-
chać było ludzki śmiech - chichoty, rechotanie i pohukiwanie.

Jest tutaj, zasygnalizował Hun Xoc na moim przedramieniu. 12
Kajman przebił się do centrum formacji.

Był wściekły. I miał ku temu wszelkie powody. Spędziliśmy w far-
makopei przynajmniej dwadzieścia minut. Czyli o dziewiętnaście za
dużo. Z krzyków dowódcy zrozumiałem, że cztery dwudziestki krew-
niaków Pумы odkryły nas i otoczyły. A sądząc po odgłosach, prze-
grywaliśmy.

Nawet nie próbowałem się usprawiedliwiać. Bałem się, że 12 Kaj-
man odgryzie mi nos - coś, co zrobił niejeden raz innym, jeżeli choć
połowa opowieści, jakie słyszałem, była prawdziwa. Zresztą co miałem
powiedzieć? Że straciliśmy trzech krewnych, bo odetchnęli proszkiem,
a że sam też go wdychałem, więc nie należy oczekiwać, że pociągnę
jeszcze długo? Że chwilę zajęło zebranie żab? I ślimaków? I kaczek.
I drzewa. Obdarłby mnie żywcem ze skóry. Co zajęłoby mu najwyżej
trzydzieści sekund. Powinienem powiedzieć, że równie dobrze mógł-
bym uczyć świni latać, ale - niestety - podobne wyrażenie w tutej-
szych narzeczach nie występowało.

Z tym całym narkotykiem do Gry - na ile zrozumiałem - cho-
dziło o to, że ślimaki żywiły się drzewem, a potem żaby jadły ślimaki,
po czym kaczki zjadały żaby. Normalnie jak z książeczki dla dzieci
doktora Seussa. Dlatego musieliśmy zabrać każdy element. Koh po-
wiedziała, że drzewa wyrosną z uciętych gałązek. Owszem, ale i tak
nakazałem krewnym, by wyrwali jedno małe i zapakowali. Nie byłem
też pewien, co znajdowało się w glebie, więc kazałem zebrać dwie tor-
by. Do tego musieliśmy sobie poradzić z jeńcami, a ci nam tego bynaj-
mniej nie ułatwiali. Kiedy więc wyczołgaliśmy się wreszcie z ciemne-
go korytarza, wyglądaliśmy jak cygański tabor - tragarze z koszami,
dzbanami i zawiniątkami, do tego owinięte w szmaty drzewo oraz
mnóstwo innych rzeczy, bez których Koh nie mogła się obejść. Na
dodatek udało się nam pojmać czterech znachorów Pum oraz dwóch
ośmiokamieniowych Strażników Dnia, którzy nadzorowali produk-
cję narkotyku. Reszta zabiła się albo tak okaleczyła, że nie warto było

się nimi zajmować. Więc z sześcioma jeńcami i ponad dwudziestoma w pełni obciążonymi tragarzami nieszczególnie przypominaliśmy mobilny oddział wojowniczych komandosów.

I z tego, co mogłem wyczytać z wrzasków 12 Kajmana między wierszami, zwolennicy Koh też nie okazali się zbyt pomocni. Strażniczka przyprowadziła kontyngent przynajmniej stu wojowników i akolitów, o wiele więcej, niż się spodziewałem. Nic dziwnego, że nie chciała, abyśmy podróżowali razem. Próbowalbym zmniejszyć jej światę. Powiedziała też, że wyśle naszą zdobycz do punktu zbiórki. Możliwe, że Koh była większym ciężarem, niż sądziłem. Na dodatek większość jej ludzi okazała się niewyszkolona w walce, przez co częściej nam wchodziła w drogę, niż pomagała.

Kiedy pracowałem dla laboratoriów, musiałem transportować żywe zwierzęta po całym świecie. Zwykle robiłem to za pośrednictwem DHL. Wysyłałem i odbierałem ryby, tarantule, ślimaki, węże i podobny żywy inwentarz, którego nawet nie pamiętam, i tylko kilka z nich zdechło podczas transportu. Z takimi stworzeniami było łatwo - należało tylko trzymać je w miękkim i ciemnym otoczeniu, a wtedy - zamiast się miotać, jak mają to w zwyczaju ssaki - uspokoją się i po prostu będą czekać, aż zdarzy się coś lepszego. Tutaj, w starych dobrych czasach, naprawdę się postaraliśmy przy pakowaniu czterech zawiniątek - po jednym dla każdego z czterech speckurierów. Istniała zatem szansa, że nie wszystko jeszcze stracone.

Naczelnny kurier zapewnił nas, że może dotrzeć do Ix w osiem dni. Wydawało się to niemożliwe, ale 12 Kajman stwierdził, że kurierzy znają się na swojej robocie i należy im wierzyć bez zastrzeżeń. Pochodzili z zależnego od Orłów górskiego klanu, więc byli też lojalni. Zostali wybrani w zawodach. Ci tutaj należeli do najlepszych z najlepszych. Byli gotowi do drogi - każdy z listem polecającym wplecionym we włosy i nożem do samobójstwa przymocowanym do przedramienia. Stłoczyli się wokół mnie, gdy powtarzałem im, jak sprawić, by zwierzęta były spokojne, jak zmieniać wilgotne szmatki co pół dnia oraz kiedy rzucić trochę tego i owego. Podstawowe wskazówki dotyczące opieki nad żywymi stworzeniami. A jeżeli zwierzę zdechnie,

kurierzy mieli je wrzucić natychmiast do torby z solą. 2 Inkrustowana Czaszka zakopie nieżywe stworzenie wraz z moimi notatkami o Grze pod odpowiednio ułożonymi kawałkami magnetytu. A to wystarczy Marenie i reszcie zespołu. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Kurierzy jednak musieli się przedostać przez mnóstwo rozdrażnionych Pum. Musieli też trzymać się z daleka od zbirów w miastach, którzy dowiedzą się, co zaszło w stolicy, dzięki sieci sygnałowej. Pośłańców czeka też podkradanie się do wody i kradzież jedzenia.

Ale skradanie się było ich drugą profesją, po sprincie. Może im się uda. Część zwierząt też może przeżyć podróż. To możliwe.

Spojrzałem im w oczy, starając się zachowywać jak przywódca, próbując oszacować ich zapal tak, jak zrobiłby to prawdziwy dowódca pokroju 12 Kajmana. Odpowiedzieli spojrzeniami pełnymi entuzjizmu, po prostu gotowi aportować i służyć. Naprawdę wierzyli, że jestem istotą wyższą, i z radością chcieli poświęcić dla mnie życie. Poczulem się jak dupek.

To nie dla mnie, napomniałem się w duchu. To dla... ach, przyszłości.

Pamiętam przyszłość?

Miałem wrażenie, że została tylko pustka.

Czterosłoneczni pomknęli zatłoczoną aleją, na wschód, do traktu nad rzeką i do stóp wzgórz.

Połamania nóg, pomyślałem.

Szlag.

12 Kajman dał rozkaz, by się stąd zabierać. Ruszyliśmy na zachód, do osi głównej. Osiemdziesiąt kroków i wyszliśmy z uliczki, po czym skierowaliśmy się do południowo-wschodniego rogu placu Pum. Według planu mieliśmy iść na północ osią główną, po czym skrócić na zachód tuż przed *mul* Jadeitowej Wiedźmy. Po stronie północno-zachodniej przebywalibyśmy wśród Sępów, bardziej przyjaznych dla Koh i Jaszczura. Stamtąd też łatwo dotarlibyśmy do szerokiego traktu nad jeziorem.

Po kolejnych pięćdziesięciu krokach wiedziałem, że nie przejdziemy dalej. Ognisko z pagody ofiarnej przed nami było po prostu za

gorące. Szczytowe trzy kondygnacje już się zapadły, na kamieniach dopalały się gałęzie i odłamki żaru. Za ogniskiem czekały tylko kłopoty. Za placami na zachód od osi głównej rozprzestrzenił się pożar, szybciej, niż moglibyśmy przypuszczać. Nie było mowy, abyśmy szli w tamtym kierunku. Nie mogliśmy też iść tą samą drogą co kurierzy, o ile nie chcieliśmy stracić ładunku i połowy ludzi. Ci czterostoleczni byli po prostu parkourowcami - wspinali się po ciałach i odbijali od ludzkich głów, arkad i ścian, wskakiwali na dachy, po czym zeskakiwali i tak w kółko. A my byliśmy armią, małą, ale jednak armią, a armia powinna używać ulic i dróg. Zwolniliśmy tak, że prawie staliśmy. Dołączyło dwóch zwiadowców, którzy wrócili z rozpoznania. Właściwie tylko jeden zwiadowca. Drugi, przewieszony przez ramię pierwszego, umierał od zatrutej strzałki.

Zwiadowcy wspięli się na mur i stamtąd na wielkie ofiarne rusztowanie. To, co zobaczyli, było dobijające. Przejście na wschód, nasz plan awaryjny, zapychali ludzie. Niektórzy jeszcze żywi, ale większość już martwa lub na granicy życia i śmierci. Żadnej możliwości, by się tamtędy przedostać. Na dachach we wschodnich dzielnicach szalał pożar i niektóre z kładek się zawaliły. Nasi wojownicy na brzegach formacji też nie wytrzymają już długo. Krótko mówiąc, byliśmy w pułapce. Nie było po prostu drogi ucieczki z miasta. Musieliśmy zostać tutaj. Ale jeżeli zostaniemy, dopadnie nas ogień. O ile Pomy nie zabiją nas wcześniej.

Jak akrobata Hun Xoc wskoczył na ramiona 4 Słonecznego Rozprysku, by się rozejrzeć. Chciałem zrobić to samo z Łajnem Pancernika, ale 12 Kajman wrócił między szeregi i kazał mi przestać. Wyraźnie 2 Inkrustowana Czaszka nie chciał jednak się mnie pozbyć i nakazał 12 Kajmanowi utrzymać mnie przy życiu. To miło z jego strony. Hun Xoc zeskoczył i odruchowo go podtrzymałem. Posłał mi spojrzenie, które mówiło: „Mamy przejebane”.

1 Jaszczur i pani Koh precyzyjnie się do nas. Natychmiast połączyliśmy ramiona i cofnęliśmy się lekko, tworząc półkole wolnej przestrzeni. Licząc przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, zgromadzenie tworzyli: Hun Xoc, ja, 12 Kajman, 1 Jaszczur i pani Koh.

Nastąpiła niepokojąca pauza.

Popatrzyliśmy w tył i w przód. Musieliśmy podjąć jakąś decyzję i zacząć działać.

- Musimy dostać się na *mul* Huraganu - oznajmiła Koh przez maskę.

Wszyscy wbiliśmy w nią wzrok.

- Pożary nie sięgną *teocalli* - dodała. Miałem wrażenie, że chce coś dodać, ale ugryzła się w język.

I Jaszczur stwierdził, że to będzie jeszcze trudniejsze niż to, co teraz robimy. Nielatwo jest przebijać się w górę. Na dodatek Pумы na *mul* próbują zejść. Najwyraźniej im się nie wydaje, że piramida ochroni przed pożarem, czemu zatem my mielibyśmy w to wierzyć? Zresztą, dodał i Jaszczur, front zacznie się palić, gdy tylko zrobi się dość gorąco. A nawet jeżeli dostaniemy się do sanktuarium Pum, i tak tam umrzemy.

Nikt nie odpowiedział.

Koh jest bardzo sprytna, pomyślałem. Może mieć rację. Zgadza się? Zgadza się. Lepiej dorzucić swoje trzy grosze.

Powiedziałem, a raczej wychrypiałem, że *mul* Huraganu jest wyłożona macicą perłową, a nie zabarwionym i naoliwionym tynkiem jak inne *mulob*. Nie zapali się, a nawet może odbić gorąco - choć tego nie udało mi się przekazać zbyt dobrze - i że w obecnej sytuacji tutaj zginiemy na pewno. Pумы uciekały w dół, bo spanikowały, a nie dlatego, że wszystko sobie przemyślały. Na dodatek, skoro tyle ich uciekło, oznacza to, że więcej miejsca zostanie dla nas. Na *mul* mieliśmy szansę, tutaj nie było żadnych szans - i tyle. Koh miała rację.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Może wszyscy po prostu słuchali szyfrowanych okrzyków od kapitanów na krawędziach formacji, w nadziei, że walka obraca się na naszą korzyść. Ale na to nie należało liczyć, jedyne, co słyszeliśmy, to ostrzeżenia i krakanie ludzi i Jaszczura, co znaczyło: dłużej się nie utrzymamy. Kolejna salwa oszczepów trafiła krewniaków kawałek na wschód od nas.

No dalej, pomyślałem.

Nie głosowaliśmy. Każdy tylko dał znak oczyma. Zgoda.

12 Kajman, i Jaszczur i Koh wydali rozkaz w trzech różnych wersjach. Przez oddziały przebiegło: „Atakować *mul* Huraganu”.

Najpierw znaczyło to, że musimy się przebić naprzód i ruszyć na północ. 12 Kajman wrócił na swoją pozycję przy przednich szeregach, skąd wydawał rozkazy. Nakazał ludziom trzymać ciasny szyk. Jeżeli zbyt się rozciągniemy i Pумы nas rozetną na pół, niewiele z nas zostanie.

Nastąpiła kolejna trudna chwila, gdy musieliśmy czekać. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak nasza formacja wygląda z góry. Zapewne jak lizak - z długim kijkiem wojowników w alei oraz grupą przebijającą się szeroko na plac Pum. Wokół nich, jak pierścień wokół kolorowego środka, stali wojownicy Pum, a za nimi coraz ciaśniejszy tłum pielgrzymów i obywateli napierający na położony niżej teren.

Naprzód, zasygnalizował Hun Xoc. Uniosłem tarczę.

Nasz maszerujący wąż przystanął, jakby się miał zwinąć, a potem, gdy 12 Kajman wydał rozkaz, rzuciliśmy się na dziedziniec. Natychmiast skręciliśmy w prawo i przycisnęliśmy się do wschodniej, wysokiej ściany. Przynajmniej z tej strony mieliśmy osłonę. Lewą stronę ciała parzył mi żar bijący od ognia.

Maszerowaliśmy. Pумы atakowały nas z flanki, zostało tylko trzech ludzi po lewej. Kilku naszych krewniaków padło i nikt nie pochylił się, by podnieść ich ciała - co było jak udzielenie wrogom pozwolenia na to, by przeklął poległych do entego pokolenia, i zarazem świadczyło o naszej desperacji. Szlag. Gorąco. Ramię mi płonęło. Za gorąco. Ale byliśmy spychani na ognisko. Jak to możliwe, że tłumy podchodziły jeszcze bliżej płomieni?

Naprzód. Naprzód. Nic nie widać. Co się dzieje? Gorąco. Szlag. Nie słycać też oznak cholernej walki na obrzeżach żółwia. Co się dzieje? Zerknąłem w tył, ale nie dostrzegłem ludzi Koh. Ani stworzeń. Trzeba się było ruszyć, bo zwierzęta się upieką. Niech to szlag.

Przestałem myśleć. W pewnym momencie skręciliśmy w prawo w strumień ludzi pędzących ze schodów. To przynajmniej nie byli wojownicy. Byli to arystokraci, urzędnicy. Starcy. Wbiliśmy się po-

między nich. Obracali się zaskoczeni atakiem, ale woleli uciekać, niż walczyć. Dotarliśmy do schodów na niższych stopniach zawałonych ciałami. Kilku ludzi 12 Kajmana ruszyło w górę, kłując oszczepami starszych Klanu Pumy, którzy nadal schodzili. Reszta naszej formacji miała pójść w ślady awangardy.

Ale poczułem wahanie wśród otaczających mnie krewniaków. Szczególnie wśród Jaszczurów. Zatrzymali się, cofnęli lekko i zaczęli mamrotać. Podniosłem wzrok.

Ponad ramieniem 4 Słonecznego Rozprysku trzykondygnacyjne zabudowania sanktuarium na szczycie *mul* przypominały spoglądającą groźnie twarz w kłębach brązowego dymu. Wydawała się odległa i zniechęcająca. Dwa wysokie okna w kształcie litery T wyglądały jak zmrużone oczy, a cztery wejścia do najniższego piętra sanktuarium mogłyby uchodzić za szczerbaty uśmiech. Można by uznać ten uśmiech za nieludzki i szalony. Miałem wrażenie, że nad nami wznosi się szczyt sławetnej Ściany Śmierci, Eigeru od strony Interlaken. Złośliwy olbrzym. Nigdy na mnie nie wejdziecie, zdawał się mówić. I śmiał się z nas.

W zwyczajny dzień wejście na tę *mul* oznaczało natychmiastową śmierć dla każdego spoza Klanu Pum. I to nie tylko śmierć przez egzekucję, ale taką, którą nawet ludzie z dwudziestego pierwszego wieku uznaliby za nadnaturalną. To jakby średniowieczny chłop wszedł do nawy w Bazylice Świętego Piotra i splugawił ołtarz swoimi odchodami. Po czymś takim oczekuje się gromu z nieba, który trafi gnoja. *Mul* Huraganu była olbrzymim ośrodkiem mocy i wielkich kotów, odradzających się kosmicznych drapieźców, które mogły zabijać myślą, władców poziomu zero od narodzin tego czasu. Nie zadzierało się z Pumami, ani z żywymi, ani zwłaszcza z martwymi.

Jednak Koh udało się precyzyjnie między szeregami szyku i wraz z dwoma wojownikami u boku ruszyła, przestępując ciała, do stopnia zero, najniższego, po potem na schodek numer jeden i dwa. Stopnie były wysokie i kobieta musiała stawiać całą stopę, by się dźwignąć, po czym przejść dwa kroki, by dotrzeć do kolejnego schodka i zacząć

od nowa. I Koh robiła to z wdziękiem. Na trzecim stopniu zachwiała się, ale wojownik po lewej musiał ją podtrzymać - tylko przez okamgnienie, bo zaraz ruszyła dalej samodzielnie.

Tymczasem Pумы zaatakowały znowu i nad naszymi głowami zaświstały oszczepy. Kilka uderzyło pięć ramion od Koh. Wspięła się na kolejny stopień. Może nawet ona nie ośmieliłaby się na to dziesięć dni temu. Może odkąd mnie spotkała, stała się sceptyczna. A może by się zdobyła na ten krok niezależnie ode mnie. Nieważne. Czasami wystarczy jedna osoba, która przeciwstawi się władzy, by pociągnąć za sobą innych. Kiedy krewniacy Jaszczura i Orła ujrzeli wspinającą się po schodach kobietę, pewną siebie, pozbawioną wahań i wątpliwości, cały oddział - akolici Grzechotnika, krewni Jaszczura, nawet krewniacy Orła - uznał chyba, że protektor Koh jest z nią, że Gwiazdny Grzechotnik wygrał bitwę w niebiosach, dlatego ruszyli za Strażniczką, rzucając okrzyki bojowe, jakby walka dopiero się zaczęła. W tamtej chwili zapewne nie zdziwiłoby nikogo, gdyby pani Koh przeszła po wodzie lub przemieniła się w sturęką olbrzymkę, lub nawet w Grzechotnika we własnej osobie, i połknęła miasto i gwiazdy. W każdym razie Jaszczury ruszyli pierwsi, krewniacy Grzechotnika i akolici za nimi, a na końcu moje dzielne Orły. Poczulem oszałamiające podniecenie, niemal przeskoczyłem pierwsze schody i stosik ciał w bogatych strojach. Wspinaczka przypominała przedzieranie się przez galaretowatą kaskadę. Przy ósmym stopniu zwolniłem. No, dalej, powiedziałem sobie. Naprzód. Jasne. Naprzód. Ruchy. Wreszcie poczułem kleistą polepę pod palcami. Wdrapałem się na kolejny stopień. Ha! Byliśmy na schodach. Wyżej. Dalej. Nieważne bąble na ramionach. W górę.

W górę. Dalej. W górę. Naprzód. Stopień.

W górę. Zmęczenie. Dalej.

Jeszcze jeden stopień. Trzysta sześćdziesiąt dwa do przejścia. Bez problemu. W górę.

Uświadomiłem sobie, że upuściłem tarczę i posuwam się na czworakach. Nieważne. Hop. Hop. Dalej. Nie należy się martwić, skąd czerpać siłę, lecz do czego jej użyć. W górę. Hop. W górę.

Krewniacy Orła odepchnęli starszych Klanu Pумы z drogi Koh tylko na dwa stopnie przed nią. Iskry fruwały wokół, psy wyły, huki i łomoty walących się dachów mieszały się z rytmem naszych kroków, ozdobione jadem z grawerowanymi łuskami ciała klekotały, tocząc się po stopniach, nim znieruchomiały. Miałem kłopoty z kłykciami, ponieważ wspinałem się, ściskając w prawej ręce buławę. Próbowałem się jej pozbyć drugą ręką, jednak pięść zdawała się zaciśnięta wokół rękojeści na amen, rozwiązałem więc rzemienie zębami, ale nie pomogło. Pieprzyć to. Auć. Wiatr wzmógł się nieco i fala gorącego powietrza znad pożarów przetoczyła się nad nami. Pokonałem kolejne osiem stopni. Powyżej usłyszałem, jak 12 Kajman nakazuje Koh, by trochę zwolniła. Zatrzymała się na środku schodka i Hun Xoc oraz ja minęliśmy ją z prawej. Mógłbym jej dotknąć, gdybym wyciągnął rękę, ale wtedy dołączyła jej eskorta i okryła Strażniczkę niebieskimi kocami. Ruszyłem dalej. Naprzód i w górę. Czternaście stopni. Osiem stopni.

Uch!

Przycisnąłem dłonie do lękiej powierzchni schodów i próbowałem dźwignąć się do pionu, nie rozrywając sobie przy tym łydek o pokancerowaną krawędź.

Cztery stopnie.

Dalej.

Dwa stopnie. Uf. Jestem w rozsypce, pomyślałem. Gdyby był tu Szakal, obraziłby się chyba z kretelem. Przecież miał najlepsze ciało w lidze, a tu parę dni tortur zmieniło go w dziewięćdziesięciosmofuntowego słabeusza.

Jeszcze jeden stopień.

Udało się. Jeszcze jeden.

Znowu się udało. Dobrze.

O-o!

Ci, którzy odwiedzili to miejsce, wiedzą, że wejście na piramidę zajmuje dużo czasu, nawet jeżeli nie niesie się zbroi i broni ani nie jest się wyczerpanym walką, utratą krwi oraz odpychaniem ludzi, którzy próbują zejść. Na dodatek wysokość stopni była większa od tej, którą

wprowadzono później po rekonstrukcji. Obecnie schody były wyższe, a ludzie niżsi i ogólnie wyczerpani.

Dobra, dalej. Jeszcze jeden stopień.

Te schody służyły do wspinaczki. Zbudowano je, żeby onieśmielać.

Jeszcze jeden.

Udało się.

Jeszcze jeden. Stopień. Dobrze. Jeszcze jeden. Stopień. Uff.

Stopień.

Uff. Ni *modo*.

Dalej. Stopień.

Spróbowałem jeszcze raz. Nic z tego. Dotknąłem piersią ostrego występu. Osunąłem się na kolana.

Nie dam rady iść dalej. Po prostu odpocznę minutkę. Zresztą co się tu dzieje? Zerknąłem w górę.

Schody były dość szerokie dla dwudziestu ludzi i musieliśmy się rozciągnąć, by je wypełnić, przez co 12 Kajman i przednia straż znajdowali się tylko trzy szeregi przede mną. Ludzie, którzy już byli na piramidzie i próbowali się z niej wydostać, nim nadeszliśmy, atakowali krewniaków ceremonialnymi oszczepami, próbując zepchnąć ich ze stopni. Ale po stronie Pum pozostali głównie starcy, do tego odziani w świąteczne kostiumy i wielkie pióropusze, których, o dziwo, nie zdjęli. Znajdowali się tylko pięć lub sześć stopni wyżej, około stu dwudziestu osób, a za nimi stopnie zdawały się puste aż do *teocalli*.

Kiedy patrzyłem, 12 Kajman rzucił nowe rozkazy swoim kapitanom i oficerowie przekazali je krewniakom. Powoli wojownicy się przegrupowali. Z miejsca, gdzie przycupnąłem, wyglądało, jakby 12 Kajman ustawił najlepszych wojowników po lewej stronie schodów, czyli na północy, a słabszych po prawej. Potem nakazał lewej flance przejść parę stopni w górę, podczas gdy krewni po prawej, południowej stronie cofnęli się nieco w dół, a na koniec wyrównali środek. Potem cała formacja pokonała dwa stopnie z tarczami na ramionach, uderzywszy na mniej karne szeregi starszych z Klanu Pумы. Od razu

kilku spadło po prawej stronie schodów. Usłyszałem tylko ciche tąpnięcia, gdy uderzyli w morze ciał na dziedzińcu.

12 Kajman nakazał kolejną szarżę. Nasza linia pokonała kolejne dwa stopnie i paru następnych starszych spadło lub zostało zepchniętych z prawej strony schodów. I wtedy uświadomiłem sobie, że 12 Kajman dokonał bardzo sprytnego manewru. Ustawił przednią straż pod kątem, dzięki czemu nasza formacja ciągnęła się o osiem stopni wyżej po lewej stronie niż po prawej. I jeżeli krewniacy z pierwszego szeregu będą po prostu trzymać tarcze i przeć naprzód, i jeżeli utrzymają szyk, zrzucą Pумы ze schodów, spychając je na jedną stronę, zasypując gradem ciosów lub tylko przekazując sobie wzdłuż linii tarcz na południe, by zepchnąć na końcu. Jak hebel odcinający wiór od deski.

Cholera, pomyślałem. Może nam się udać.

Ruszyliśmy dalej o kolejne dwa stopnie. Zacząłem się zastanawiać, co się dzieje na dole.

Wiedziałem, że lepiej tam nie patrzeć, ale i tak popatrzyłem.

Chociaż znajdowałem się najwyżej w jednej trzeciej wysokości schodów, od przestrzeni zakręciło mi się w głowie i poczułem, że się pochylam, wystarczyło tylko rozluźnić się i poddać grawitacji, a wszystko będzie dobrze. Wbiłem ledwie odrośnięte paznokcie w zakrwawioną polepę.

Z góry dochodziły niepokojące turkoty. Starsi z Klanu Pумы cofnęli się wyżej i toczyli głowy oraz martwe ciała w dół, by je na nas spuścić. Duży tobół odbił się od stopni, stracił jednego z krewniaków w pierwszym szeregu, po czym zatrzymał się dwa stopnie powyżej miejsca, gdzie stałem. Szlag. Jeżeli stracimy przewagę i zaczniemy się cofać, to po nas. Jedna osoba może wytrącić z szyku wiele innych. Krewniacy z pierwszej linii przyciągnęli strzaskane szczątki towarzysza, po czym opuścili tarcze niżej do stopni. 12 Kajman kazał im ustawić tarcze pod kątem, bardziej na południe. Tak zrobili i głowy oraz ciała zaczęły ślizgać się wzdłuż szeregów o wiele lepiej. Nasza formacja znowu ruszyła w górę, najpierw szarża na dwa stopnie, potem cztery i osiem. Krewniacy Jaszczura przemknęli obok mnie. Zapewne

myśleli, że zostałem trafiony. Raz czy dwa któryś z nich próbował pomóc mi wstać, ale odpędzałem go machnięciem ręki. Wszystko w porządku, kolego, po prostu odpoczywam, zaraz dołączę.

Przycisnąłem czoło do krawędzi schodów. Ach. Zauważyłem, że buława mi wypadła. Ale prawa ręka nadal pozostała zaciśnięta i nie chciała się otworzyć. Musiałem wyprostować palce drugą ręką, po czym przycisnąłem obie dłonie do ciepłej polepy. A-ach, cudownie. Jeszcze tylko chwilka. Krewniacy Grzechotnika przebiegli obok po obu stronach. Przyglądałem się ich bransoletom na kostkach z przyczepionymi stożkami. Dzwoniły jak tamburyna. Gdzie jest Hun Xoc? Zastanawiałem się też, gdzie się podział Łajno Pancernika. Zresztą zaraz ich poszukam.

Zamknąłem oczy. Szlag. Nadal miałem te głupie przebłyski w stylu Timothy ego Leary ego - psychodeliczne pomarańczowe eksplozje po wdychaniu narkotycznego proszku. Wziąłem głęboki wdech. Wyczułem słaby zapach spalonego tłuszczu, woń diabelskiego grilla. Woń wywoływała instynktowne przekonanie, że to miejsce śmierci, trzeba stąd natychmiast uciekać. Ale i tak powietrze było tu czystsze. I przynajmniej oddaliliśmy się od pożarów. Trzeba jak najszybciej zabrać na górę zwierzęta, pomyślałem. Płazy są wrażliwe. Nie przetrwają oddychania dymem.

Na nadgarstku zacisnęła mi się dłoń. Otworzyłem jedno oko i popatrzyłem.

Łajno Pancernika oraz dwóch krewniaków Jaszczura wrócili po mnie. Podnieśli mnie za ramiona i ponieśli do sanktuarium. Próbowaliśmy im pomóc, ale tak naprawdę tylko bezradnie przebierałem nogami. Jeden z Jaszczurów podniósł tarczę owiniętą mokrą mantą, by osłonić mnie przed gorącem.

Z drogi, pomyślałem. Nadchodzi VIP.

Dotarliśmy na platformę przed paszczą, czyli spłaszczoną piramidą bez czubka stojącą na szczycie *mul*, i ruszyliśmy naprzód.

Średniej postury ciało Pумы zsunęło się powoli obok nas, jak głaz toczący się po zboczu podwodnej góry. Łajno Pancernika przybrał postawę gracza gotowego przejąć piłkę, zablokował je, po czym wy-

kopał za krawędź dwoma uderzeniami nogi. Dobra robota, pomyślałem. Ten chłopak powinien dostać kontrakt. Chłopak chwycił mnie znowu pod ramię i pociągnął wyżej.

Chyba na parę sekund przysnąłem. Wydaje się, że nie można zapnąć w sen podczas bitwy, ale żołnierzom zdarza się to podobno bez przerwy. Adrenalina się nagle wyczerpuje i puff- żołnierze wspierają głowy na karabinach i zaczynają chrapać.

Wreszcie Łajno Pancernika postawił mnie na ziemi.

Było tu prawie chłodno. Otworzyłem oczy.

Opadłem na czworaki i popatrzyłem na posadzkę zasypaną srebrzystymi odłamkami. Pomiedzy nimi pobłyskiwały kawałki złota. Uniosłem głowę. Wszędzie leżało mnóstwo lśniących odprysków. Domyśliłem się, że to wypolerowany piryt, pozostałości po gigantycznym wkłętym lustrze Pum. Musieli rzucić je o podłogę i rozbić, abyśmy nie mogli go przejąć.

Dopiero teraz do mnie dotarło: udało się.

Oto jest, pomyślałem. Wierzchołek świata.

Gdyby wierzyć reklamie tego imperium, znajdowaliśmy się dokładnie nad sercem, pępkiem i macicą wszechświata. Czteropoziomowa jaskinia pod *mul* była prawdziwym *omfalos*, gdzie patroni zbierali się na radę pod koniec ostatniego dnia, kiedy Chłopiec ze Strupami skoczył w ogień i stał się słońcem - tym, które właśnie umarło.

Wreszcie podniosłem głowę. Rozejrzałem się.

Krewniacy posadzili mnie przy świątyni, około dwudziestu ramion na północ od szczytu schodów, abym był mniej wystawiony na ataki z dołu. Byłem również osłonięty od bezpośrednich podmuchów gorącego powietrza znad pożarów, a choć dzień był niemal bezwietrzny, tu, na górze, dało się wyczuć lekką bryzę. Może przeżyjemy. Przynajmniej przez chwilę.

Podszedłem do krawędzi platformy i zerknąłem w dół. Och, oszałamiający widok. Przejście z ciasnego, na wpół podziemnego świata na tę wysokość... to musiało przypominać przemianę z trójwymiarowej istoty w czterowymiarową. Poniżej wewnętrzne place i prywatne dziedzińce stały otworem, jak denat na stole sekcyjnym - odkażony,

rozcięty, otwarty, osuszony i poddany procesowi plastynacji. Po lewej wielkie schody łączyły się w dole z dziedzińcem Pum. Leżały tam głowy. Ognisko płonęło w pierścieniu poczerniałych ciał, ale dalej, gdzie, jak się domyślałem, temperatura sięgała pewnie najwyższej sześćdziesięciu stopni - przynajmniej dwanaście tysięcy ludzi ściśniętych między gorącym ofiarnej pagody a wysokimi ścianami. Byli daleko i zajęło mi dłuższą chwilę wyteżenie wzroku. Ale kiedy się udało, ujrzałem wyraźnie, że ludzie wiją się z gorąca lub próbując uniknąć żaru - gigantyczna dyskoteka bólu.

Gusanos, czyli gąsienice żyjące na agawach, uznawane w Ameryce Łacińskiej za przysmak. Kiedy miałem trzy lub cztery lata ~ to jedna z pierwszych rzeczy, jakie pamiętam - byłem w *ripio*, a babcia coś smażyła. Zajrzałem do patelni. Wypełniona była czymś, co dla mnie wyglądało jak białe, bezokie dzieci skręcające się i syczące na tłuszczu - skłębiona masa śmierci. Chyba zacząłem płakać lub krzyczeć i Tio Generoso śmiał się ze mnie. Oczywiście później pokochałem te małe róbale. Ale teraz to dziecinne wspomnienie wróciło i ogarnęło mnie współczucie, jakby czas pomiędzy tamtym pierwszym wspomnieniem a obecnym był nieważny i banalny. Jedyne, co się liczyło, to tysiące istnień, które przepadły lub przepadną niedługo. Wydawało mi się, że akt boskiej kreacji jest tylko pomyłką.

Zabójstwo jednego lub dwóch ludzi może budzić dziwne, obce uczucia, ale zabójstwo mas odczuwa się zupełnie odmiennie. Szczególnie gdy się widzi tę śmierć. Nie chciałem, szepnąłem w duchu. A przynajmniej miałem powody. Jasne. Ta sama durna fraza wracała do moich myśli bezustannie. Wcale nie chciałem ich zabić, nie chciałem ich zabić, nie było innego wyboru, żadnego wyjścia, żadnego wyboru... Dość, pomyślałem. Pogrążam się w poczuciu winy, żeby utwierdzić w przekonaniu, że jestem dobrym człowiekiem. Nie jestem. Jestem draniem.

Ale jednak nam się udało. Chcieliśmy zdobyć *mul* i zdobyliśmy. Jak nam się to udało? Dzięki maści i przeciwzonemu systemowi współpracy, by wylizywać sobie oczy, większość z nas mogła widzieć. A większość ludzi nie mogła. Pomogło również czyste zaskoczenie.

I trochę organizacji, planowania oraz gotowości na to, że to, co się zdarzy, nie będzie łatwe.

No, i pomogło też to, że Pумы na placu za bardzo wierzyły w świętość *mul*, by wejść tam, gdzie im nie było wolno, nawet jeżeli pozostanie na dole oznaczało śmierć w ogniu. Doprawdy, przede wszystkim pomogło, że nie wierzyłem. I Koh - cóż, może jeszcze trochę wierzyła, ale nie tak bardzo jak przed spotkaniem ze mną. Przesady mogą być najpotężniejszą bronią na świecie, ale wątpliwość jest chyba drugą z kolei. Cortez nie wierzył i na pewno to działało na jego korzyść. Jak się nad tym zastanowić, to kiedy został odcięty i otoczony w Tenochtitlan, on i jego ludzie zrobili dokładnie to samo, co my. Zatakowali i dostali się na szczyt *mul* Huitzilopochtli. Może tubylcy nie pogonili tam za nim...

Och! A oto i ona.

Koh wspięła się na ostatnie stopnie i stanęła przed świątynią. Jej przybocznicy opuścili ochronne plety i cofnęli się z szacunkiem. Strażniczka miała nadal maskę, ale jej ramiona były obnażone - jedno jasne, drugie czarno-niebieskie. Służąca musiała poprawić jej fryzurę i pióropusz - zrobiło na mnie wrażenie, że miała czas o tym pomyśleć podczas walki, chociaż pewnie dziewczyny takie właśnie są - a luna za jej plecami tworzyła aureolę wokół zielono-złotych piór. Tłum Orłów, Jaszczurów i Grzechotników rozstał się przed nią. Strażniczka przeszła bez wahania, jak Joanna d'Arc przez północną bramę Reims. Starsi Pумы, którzy nadal cisnęli się na szczycie *mul*, odwrócili głowy w stronę kobiety. Koh zrobiła dziewięć kroków. Szła ostrożnie, czujnie i beznamiętnie, jak jaszczurka. Dwa najdłuższe pióra quetzala powiewały nad jej głową w opóźnionej reakcji na ruchy ciała, jak czułki smakujące przeszłość. Karlica, kobieta pingwin - która, tak na marginesie, musiała mieć za *uay* mewę i tylko przez burzę została zatrzymana w połowie procesu przemiany z człowieka w ptaka - przystanęła tuż przed Koh, wyciągnęła małe dłonie jak szpony, potem je opuściła, spojrzęła na prawo i lewo, a wreszcie przemówiła:

- A teraz wszyscy na południowym wschodzie, na północnym zachodzie, na północnym wschodzie, na południowym zachodzie, słuchajcie - zaintonowała ochryple i piskliwie. - Wszyscy powyżej, poniżej i w centrum, słuchajcie. A teraz wszyscy przed nami, wszyscy za nami, i wszyscy tutaj, wszyscy słuchajcie, słuchajcie.

Na platformie zapadła cisza. A potem zakłócił ją charakterystyczny dźwięk. Prawie niesłyszalny na tle paniki z dołu, lecz czujne, wyszkolone uszy krewniaków wychwyciły go bezbłędnie. Ja również. I Koh też.

Jeden z Pum najdalej po lewej nie oddał *atlatl*, swojego miotacza oszczepów - musiał go ukryć pod mantą - a teraz załadował broń krótkim pociskiem z trucizną i wycelował w Strażniczkę. A może próbował dostać jednego z nas, sprowokować do rzucenia włóczni, by znowu zaczęła się walka. Z takimi ludźmi zawsze był ten sam problem. Woleli zostać zabici, niż trafić do niewoli. W każdym razie w okamgnieniu krewniacy po obu stronach mnie zmienili nieznacznie pozycje i wymierzyli broń w starego Pumę z wycelowanym miotaczem, gotowi uderzyć. Ale Koh wzruszyła ramionami - tutejszy ekwiwalent uniesienia dłoni na znak, by poczekać - i żaden krewniak nie zaatakował.

Krewniak Pumi również nie. Koh stała nieruchomo, nie patrząc na niego i nie mówiąc ani słowa, jakby prowokując starszego wojownika do wystrzelenia zatrutego pocisku.

Nie wiem, czy odczuwała strach, ale na pewno wiedziała, że jeżeli okaże słabość, już po niej. W każdym razie - pozostała niewzruszona.

Minęło pięć uderzeń serca, potem dziesięć. Wreszcie krewny Pumi... cóż, nie tyle opuścił pocisk, co rozluźnił się lub może zmienił pozycję w sposób, który jasno wskazywał, że atak nie nastąpi.

Koh przemówiła. Jej głos był niski, zimny i majestatyczny. Brzmienie było znajome, ale ton zupełnie inny od tych, które już słyszałem. Odezwała się w starożytnym kapłańskim języku Teotihuacan, przez co rozumiałem co trzecie słowo. Na szczęście później poznałem przekład.

Wy na równi z nami, ale pozbawieni
Buław, oszczepów,
Pumy, wszystkie stłoczone w swojej cytadeli,
Przechyrzone, osaczone

Wy, w zasięgu naszych włóczni,
Ściskający swoje samobójcze ostrza,
Teraz nasz *ahau*, nasz połykający słońce węgorz,
Nasz jadeitowopióry Gwiazdny Grzechotnik
Przemówi przez *ahau-na Koh* z Niebiańskich Tkaczy,
Koh z Sępów.
Ona na równi z nim porozmawia z Pumą,
Z wodzem wojowników.

Zapadła cisza. Pумы zaszemrały trochę. Jeden ze starszych wystąpił, potwornie powoli. Podszedł półkrokiem, nie wysuwając nigdy lewej stopy przed prawą, co znaczyło, że jeszcze nie został jeńcem Koh, a zatem nie ma powodu do pośpiechu. Nosił pomarańczową maskę zasłaniającą całą twarz i gigantyczną, nastroszoną pelerynę z czerwonych piór. To musiał być sympozjarcha synodu, jak przypuszczałem.

- Ja na równi z *ahau-na Koh* mogę go wezwać lub nie - oznajmił.

Koh nie odpowiedziała. Karlica, która chyba była nieco nadpobudliwa, przestąpiła z nogi na nogę. Po dziesięciu następnych uderzeniach serca Puma wykonał znak za plecami i tłum starszych rozstąpił się, odsuwając od wejścia do *teocalli*.

Cztery wejścia prowadziły do czterech długich świątynnych *cellae*, trójdzielnej niebiańskiej jaskini, która najpewniej odzwierciedlała tę pod ziemią, dokładnie pod sanktuarium. Niewiele widziałem ze swojego miejsca, ale dostrzegłem, że komnata po lewej stronie, najdalsza na północ, była wyłożona mozaiką lub boazerią z macicy perłowej. Prawą wyłożono jasnozielonym jadem, a środkową wypolerowanym pirytem. Zdawało się, że komnaty wypełnione są ludźmi, ale niedługo później okazało się, że to przede wszystkim mumie. Czterech posługaczy wyniosło żyjące bóstwo ze środkowego pomieszczenia. Fala Gnoju siedział ze skrzyżowanymi nogami, oparty o poduszki obleczone futrem pумы, w niewielkim palankinie. Okrywały go pomarańczowo-czerwone pióra i maska z pomarańczowych piór. Jedyne, co pozostało widoczne, to kościste chude dłonie pomalowa-

ne czerwonym cynobrem oraz skrawek drżącej łydki powyżej prawej kostki. Wyglądał... cóż, wyglądał jak umierający bóg, ale taki, który w obliczu śmierci staje się tylko potężniejszy. I bynajmniej nie sprawiał wrażenia życzliwego. Gdyby mnie wysłano, by z nim negocjować, zapewne już dawno waliłbym głową w najbliższy mur i mamrotał: „Błagam, zezwól, by moja egzekucja była miłosiernie szybka, o Wielki i Jedyny”.

Tragarze zatrzymali się dziesięć ramion przed Koh. Nie opuścili go, chociaż to sprawiłoby, że jego oczy znalazłyby się mniej więcej na poziomie oczu Strażniczki, czego wymagał protokół. Koh jednak po prostu zignorowała zniewagę.

-Ty na równi ze mną, czy przyjmiesz żółty sznur? - zapytała.

-Ja obok ciebie mówię w imieniu Huraganu - odrzekł. Jego głos brzmiał jak silnik w szybie kopalni. - Kiedy wkrótce powróci z polowania, co wtedy?

-W to słońce wszyscy z was obok mnie zmienicie swój szereg - odparła Koh. - W to słońce dzieci Gwiazdznego Grzechotnika będą więc gniazdo daleko stąd.

Z grubsza to, co powiedział Fala Gnoju, znaczyło, że Huragan, Starzec Burzy, zrobił sobie krótkie wakacje i to dlatego Gwiazdny Grzechotnik uzyskał przewagę. Innymi słowy, Fala Gnoju tak przeinaczył przebieg zdarzeń, żeby wyglądało, jakby jego bóg wszystko to zaplanował. Koh natomiast powiedziała, że w ustalony dzień w najbliższej przyszłości - kiedy dokładnie, to wkrótce zostanie ustalone podczas negocjacji - uwolni Falę Gnoju i resztę jeńców, po czym wraz ze swoimi zwolennikami odejdzie z miasta.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Jak zwykle moje dwudziestopierwszowieczne ja skrzywiło się nieco. Co za gładkie słówka. Ci biedni ludzie walczyli, krzyczeli i umierali tam, na dole, a my nadal mieliśmy czas na wyszukane grzeczności i protokół. Jednak moja zapomniana nieco strona uświadomiła sobie, że ludzie NIE WYKONUJĄ tak po prostu głupich rytuałów. Oni są tymi głupimi rytuałami. Gdybyśmy nie zrobili właściwych gestów i ruchów, nic tak naprawdę by się nie wydarzyło.

I musiałem przyznać, że Koh znakomicie radziła sobie w tej napiętej sytuacji. Pумы nadal miały nad nami przewagę liczebną, do tego szczerze nas nienawidziły. Jeżeli się zbiorą razem, rozpedzą nas jak psy. O ile wcześniej nie dopadnie nas pożar.

Wreszcie odbyło się coś w rodzaju milczącego głosowania i starsi Pумы rzucili swoje obsydianowe noże do samobójstwa. Gdy ostrza odbijały się od kamiennej posadzki, wydawały niski, cichy klekot, jak bożonarodzeniowe bombki spadające z choinki. Może to był tylko fatalizm. Może nawet najwięksi spośród Pum wierzyli, że tak właśnie miało być, że wszystko, co robili wysoko urodzeni, było nieuchronne, więc teraz należy ulec nowemu panu.

Dwaj najlepsi krewni Jaszczura zawiązali żółty sznur wokół torsu Fali Gnoju na znak, że został zakładnikiem, który może zostać zarówno zabity, jak i wymieniony. Przenieśli go nad schody, by pokazać Pumom poniżej.

Dwaj ludzie Koh wyciągnęli poobijane megafony na krawędź platformy, po czym podnieśli kobietę pingwina do ustnika. Kiedy przez nie przemówiła, jej wysoki śpiewny głos zabrzmiał potężnie i nie-ludzko:

Wy poniżej nas, wy, Widłogony, Pумы, W
zasięgu naszych włócznie...

Rozkazała, by krewniacy Pумы zatrzymali się tam, gdzie byli. Jeżeli choć jeden postąpi stopień wyżej na schodach *mul*, zaczniemy zabijać zakładników i wyrzucać kości przodków z sanktuarium.

Odgłosy walki poniżej ucichły. Kilku poobijanych krewnych Grzechotnika wspięło się na platformę. Najwyraźniej napastnicy z Klanu Pумы wzięły słowa karlicy poważnie. Wokół mnie powoli zaczął się zbierać tłum inwalidów, krewniaków Jaszczura i Grzechotnika, którzy odnieśli zbyt duże rany, by walczyć dalej. Hun Xoc przepchnął się pomiędzy nimi i kucnął przy mnie po prawej.

Zapytał, czy nic mi nie jest. Zapewniłem, że wszystko ze mną dobrze, ale zaraz chyba stracę przytomność. Hun Xoc zwrócił mi uwagę,

że mam krew pod nosem, i pomógł ją wytrzeć. Zapytałem, jak jesteśmy mocni. Odparł, że straciliśmy ośmiu krewnych Orła. Jaszczury stracili czterdziestu jeden krewnych, a Koh - sześćdziesięciu. Łącznie nasza liczebność spadła o jedną trzecią. Cholera. Biorąc pod uwagę, co jeszcze nas czekało, mogło się okazać, że nie wystarczy nam ludzi. Nie wspominając o ludzkiej tragedii, rzecz jasna.

Mieliśmy przecież teraz dwustu osiemdziesięciu sześciu zakładników, włączając w to Falę Gnoju, jego dwie żony, sześciu innych członków imperialnego rodu, czterdziestu ośmiu członków synodu Pum, pięćdziesięciu dziewięciu starszych Widłogonów. Nie tak źle. Niedobrze jednak, że nigdzie na *mul* nie znaleźliśmy Odciętej Prawicy, prawdopodobnego dziedzica i następcy.

Poza tym 4 Słoneczny Rozprysk umierał, jak powiedział mi Hun Xoc. Zaledwie pięć stopni przed szczytem przebiła go włócznia obrońców. Nie widziałem tego.

Z niewielką pomocą udało mi się wstać. Pokużykałem dwadzieścia kroków na wschód, do miejsca, gdzie go położono. Usiadłem obok. Zbladł pod czerwonym olejkiem do ciała, przez co jego skóra przybrała dziwny, różowawy odcień, jak wyschnięta i niedosmażona wątróbka. Krzemieny szpikulec wbił się głęboko w jelito cienkie. Jest w strzępach, pomyślałem. Ostro-gorzko cuchnące soki trawienne i w dwóch trzecich strawione resztki wylewały się teraz przez ranę. W tych czasach i miejscu nie da się wyleczyć tak brudnej i głębokiej rany. Cholera. 4 Słoneczny Rozprysk był dobrym człowiekiem. Od-dychał jeszcze płytko. Pochyliłem się nad nim i zawołałem cicho po imieniu, ale już stracił przytomność od krwotoku.

Zacząłem się podnosić, lecz nie mogłem.

Koh zajęła pozycję na wzniesionym kamiennym ołtarzu przed środkową *celia*. Jeden po drugim starsi Pum podchodzili i każdy kładł coś - kolczyk, grzebień, bransoletę z włosów i temu podobne rzeczy - na ziemi przed Strażniczką na znak podległości i posłuszeństwa. Każdego Koh zaszczycała przyłożeniem prawej dłoni do lewego ramienia na znak, że zauważyła ofiarodawcę. Nadal miała maskę, ale byłem pewien, że na twarzy Strażniczki malowała się królewska

powaga, jakby kobieta od zawsze, nawet przed urodzeniem, wiedziała, że taka chwila nadejdzie.

Świetnie, pomyślałem. Stworzyłem potwora. Normalnie Elzę Lanchester. Narzeczoną Frankensteina. Uważaj z tymi ogniwoami Tesli, mała.

Nigdy nie wierzyłem w wielkich ludzi ze szkolnych podręczników, ale teraz, gdy widziałem historię rozgrywającą się na moich oczach, musiałem przyznać, że charyzma jednak się liczy. Czasami wszystko, co trzeba zrobić, to przejąć dowodzenie. I, jak mi się zdaje, większość tych wielkich ludzi po prostu to zrobiła.

No, cóż. Niech Koh ma swój dzień, pomyślałem. Niech się zajmie zwycięstwem. Tutaj zawsze chodziło o zwycięstwo.

I zapomnijmy, dodałem w duchu. To nie całkiem nasza wina.

Kłęb popiołu uderzył mnie w twarz i przez długą chwilę nic nie widziałem. A potem wiatr zmienił kierunek i przede mną rozpostarła się panorama spalonego miasta. Nie chcieliśmy tego, pomyśla-łem. Tak się zdarzyło - zdarzy? - w 1856 roku ludowi Xhosa, którego członkowie spalili plony i zabili krowy, skazując tym samym czterdzieści tysięcy swoich pobratymców na śmierć głodową. Zdarzyło się w latach dziewięćdziesiątych siedemnastego wieku Tancerzom Ducha. Zdarza się co roku na festiwalu Ratha Yatra, Festiwalu Wozów w Puri w prowincji Orissa, gdy ludzie rzucają się pod koła Dżagannathy. Zdarzyło się w Jonestown, siedzibie sekty Świątynia Ludu. Zdarzyło się w Orlando. Zdarza się.

I, oczywiście, to była całkowicie nasza wina. Moja wina. *Todo por mi culpa*. Moja wina, moja wina...

Spojrzałem na zachód. Na czterystu placach gorące prądy splatały kłęby dymu i iskier w grube sznury, jak złote liny przy kurtynach w staroświeckich kinach, lecz o długości i średnicy pociągów towarowych. Zwijają się przy piramidach i strzelały ku ich wierzchołkom. Jeden z tych ognistych latawców przepłynął poniżej nas, wirując powoli jak płonące kłębowisko węży. Odwróciłem wzrok na południe. W oddali za ruinami *mul* Gwiezdnego Grzechotnika można było dostrzec, że wiry ognia przesuwają się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara po granicach miasta. Miałem wrażenie, że znalazłem się w oku słonecznego cyklonu.

Podszedłem, a raczej przykuśtykałem do Koh. Zdjęła maskę ciemną ręką, podczas gdy jasną głaskała kobietę pingwina, przesuwa-jąc palcami po włosach, potem po policzku karlicy, a potem wzdłuż jej pleców, jakby drapała kota. Karlica przytuliła się, wyciągnęła, wysunęła z ramion Koh i podreptała do swojej opiekunki. Koh wstała i zrobiła cztery kroki ku krawędzi terasy. Spojrzała na dym i ciała na dziedzińcach i placach. Potem podniosła wzrok na północ i pochwyciła moje spojrzenie. Jednak ustaliliśmy, że nie będzie mnie wyróżniać w obecności Pum, dlatego odwróciła głowę na południe, do siedziby Grzechotników. Budynek już prawie się dopalił, czarny dym unosił się w zbrązowiałe niebo. Wydawało mi się, że widzę zaskakująco obcy wyraz jej twarzy, nawet z profilu i pomimo opanowania. Coś w układzie ust Strażniczki świadczyło o zwątpieniu. Cyklony iskier przypominających płatki złota lub krople roztopionej stali unosiły się za plecami Koh. Turkusowa maska kołysała się w ciemnej ręce jak martwe oblicze i odniosłem niepokojące wrażenie, że może mnie przejrzeć pustymi oczodołami. Jednak Koh nie odwróciła głowy. Tylko stała, a krzywizna jej szczęki migotała w płomieniach. Strażniczka patrzyła na dziedzińce Królestwa Słońca jak gigantyczna bazaltowa figura, jak ta Ozymandiasa znaleziona na pustyni, wygładzona przez eony piaskowych burz. Na dole ogień dotarł do sadzawek i kłęby pary strzeliły w niebo z głośnym sykiem, pożerane przez ognisty wir. Oczy Koh śledziły cyklon płomieni, po czym bez pośpiechu opadły

na spaloną symetrię, która już nie stanowiła osi świata. W tej chwili odniosłem wrażenie, że Koh przypomina postać z obrazu, Helenę na pokładzie statku Menelaosa, spoglądającą na spaloną Troję. A może bardziej Gretę Garbo w ostatniej scenie „Królowej Krystyny”. Albo może Marenę stojącą na grobli i patrzącą na zatokę pokrytą warstwą ropy. Albo może Koh wyglądała tylko jak pająk *Nephila* - prządka na środku wielkiej sieci. Nagle dostrzegłem błysk pod jej ciemnym okiem. Uświadomiłem sobie, że to łza, ale zaraz uznałem, że to zapewne od dymu. Koh założyła maskę, zawiązała ją z tyłu głowy na mocny supeł, odwróciła się i odeszła.

CZTERY

SUKCESORZY

Kto był głosem Myszki Miki? - zapytała Marena.

-Chwileczkę... - Musiałem odkaslnąć.

Jed? Chcesz się jeszcze napić?

Nie, dzięki. W porządku... Uch... Walt osobiście podkładał głos Miki.

- Dobrze. A teraz... Pierwiastek kwadratowy z pięciu?

Odpowiedziałem.

-Jak miał na nazwisko twój ostatni... zaraz - przerwała. - Ana na linii, chce, żebyśmy się pakowali.

-Tyle powinno już wystarczyć, ale... - głos doktor Lisuarte w małym pomieszczeniu zabrzmiał blisko mnie. Umilkła, ale zaraz podjęła: - Zaraz, muszę się najpierw porozumieć z laboratorium.

- Najwyraźniej mówiła do Any przez komunikator. - Dobrze, poczekaj. PTŚ? Tu Akagi, mamy trzy-dziewięć-osiem od Keelorenz.

Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, że PTŚ to laboratorium, skąd prowadzono Protokół Transferu Świadomości w Paliku, a Akagi to pseudonim Lisuarte, natomiast Keelorenz to ksywka Any Vegary. Nie wiedziałem natomiast, co oznacza to trzy-dziewięć-osiem.

- Dobrze, sprawdź - mówiła dalej lekarka. Cisza. - Mówią, że wystarczy.

Ostatnie zdanie musiało być skierowane do Mareny i mnie. Zdaje się, że laboratorium miało dość skanów moich procesów myślowych, by zakończyć transmisję.

- Więc teraz mnie odłączycie? - upewniłem się. Czuję się rozbity, zmęczony.

Potwierdziły. Lisuarte wyłączyła kibel, to znaczy wielki biały pierścień przenośnego aparatu do rezonansu magnetycznego, który otaczał mi teraz głowę. Nie słyszałem nic, gdy magnesy zwalniały. W przejściu widziałem blask przedświt. Marena zaczęła odklejać elektrody, bynajmniej nie w seksowny sposób. No, to już. Wersja mnie, która powstała na podstawie pytań i skanów, właśnie wyruszyła w drogę. W rzeczywistości nie tylko ruszyła w drogę, ale już ją odbyła, znalazła się na miejscu, zrobiła, co miała do zrobienia, i umarła - dawno, dawno temu.

Wyprowadzono mnie pośpiesznie z niszy *ahau*. Niebo było ciemnoszare, a gwiazdy zniknęły. Michael i Hitch, operator kamery, stali nadal przed wejściem do niszy, więc we dwóch na wpeł powlekli mnie, na wpeł ponieśli po zwalonych schodach i przez dwudziestosześcioramienne podnośniki. Zdawało mi się, że to trwało miesiąc.

-Mogę chodzić - zapewniłem.

-Owszem, ale niezbyt sprawnie - odparła Marena.

U podnóża piramidy znajdował się oczyszczony z gruzu splechotek ziemi ze ścieżką wiodącą w dół, obok pałacu nad rzekę. Szedłem, potykając się ustawicznie. Ana i Grgur czekali na wąskim brzegu, gdzie ja i Marena mieliśmy nasze małe tête-à-tête czternaście godzin temu. Ana mówiła w przestrzeń z dłonią przy uchu.

- Co się dzieje? - zapytała Marena Michaela, gdy ten złapał oddech. Według planów, jakie mieliśmy przygotowane, stąd miał nas zabrać Hipogryf, jednostka latająca, gdybyśmy musieli wykonać im prowizowany odwrót.

-Ana uważa, że powinniśmy się wynieść. - Michael, w przeciwieństwie do mnie, Marena i Lisuarte, słuchał cały czas rozmów radiowych.

-Dlaczego? - zainteresowała się Marena.

-Nadchodzi patrol. Chyba może tędy przejść.

-Kurwa. - Marena skrzywiła się. - Jeżeli tu nie podejdziesz, wrócimy później.

Czekaliśmy. Ana cały czas mówiła. Niczego nie wyjaśniła.

-Gdzie jest Za Nic? - zapytałem. Michael odpowiedział, że nie wie. Komandosa, jak się zdawało, również nie było w pobliżu. Odnalazłem swoją słuchawkę, włożyłem i włączyłem nasłuch.

-...szesnaście kilometrów - usłyszałem Anę. - Hej, dokąd to? -zapytała głośniej.

-Muszę wrócić do pałacu i zabrać swoje rzeczy - odpowiedziała Marena.

-Nie, Asuko. Nikt nigdzie nie idzie.

-Dlaczego po prostu nie ukryjemy się gdzieś w lesie z innymi ludźmi z DW? - zapytałem, korzystając z okazji, że Ana na chwilę przestała nadawać.

-Ponieważ jeżeli znajdą nasz sprzęt, będą mieli na nas oko - westchnęła Ana. - Musielibyśmy tłuc się do drogi numer czternaście. A nawet wtedy moglibyśmy zostać przyłapani. Już omawialiśmy ten scenariusz.

-Chyba byłem wtedy na wagarach - mruknąłem.

-W każdym razie Hipo może tu dotrzeć, ma też koordynaty z map, trafi do nas bez problemu.

-A co, jeśli... - zacząłem pytać, ale Ana mi przerwała.

-Jeżeli patrol przejdzie obok, wrócimy za dwa dni i zaczniemy kopać - odpowiedziała. - Proszę, żadnych pytań więcej.

Zamknąłem się. Ana nie powiedziała jednego. Jeżeli patrol znajdzie nasz sprzęt i resztę, dużo czasu zajmie, nim będziemy mogli tu wrócić. A Ix było jedynym miejscem, gdzie Jed Dwa mógł się pogrzebać. O ile mu się udało, należy dodać. Jeżeli nie zaczniemy kopać w królewskich grobowcach, nie dowiemy się nawet tego.

A wtedy również nie będzie żadnych wspomnień Jeda Dwa, które będzie można wpisać do mojego mózgu. Cokolwiek zobaczyłem w przeszłości, pozostanie tylko moją tajemnicą, którą zabrałem do grobu. A zarazem nie moją - mam nadzieję, że to oczywiste. Szlag. Choć pewnie powinienem czuć ulgę, ponieważ jeżeli tak się stanie, wspomnienia Jeda Dwa mogą wymazać moje, czyli te, które właśnie powstały przez ostatnie kilka minut lub od momentu, gdy podczas zapisu osobowości nasze świadomości się rozdzieliły, czyli...

- Dobra, już tu jest - głos Any przerwał mi gorączkowe rozmyślenia. - Dwie minuty.

Skinąłem głową. Będę się o to martwić później.

Nad naszymi głowami zamigotał duży, kanciasty cień. Rozległo się uderzenie i wysoki jęk startujących wielkich silników, a potem charakterystyczny niski terkot i za pasem lilii wodnych gładka tafla pokryła się drobnymi falami. Zdawało się, że maszyna pojawiła się nad nami znikąd, biała bryła z długim prostym ramieniem, które obracało się powoli w przód i w tył, jak igła olbrzymiego kompasu. Oto i Hipogryf, pomyślałem chaotycznie. Musiał mieć jakiś system szybkiego zapłonu. A tutaj szybował bez silników. Ana podkradała się do maszyny jak GI Jane - wzorcowo jak z podręcznika sił specjalnych. Militaryści. Traktują siebie zbyt serio. Ana wyciągnęła ręce i złapała plastikową dwuosobową klatkę wiszącą w powietrzu. Ktoś obok mnie zatoczył łuk, by ominąć wyziewy z wylotów silników napędzanych paliwem jp-5. Marena podtrzymała mnie za ramię i powlekliśmy się w oko wywołanej sztucznie trąby wodnej. Ana zaczęła przywiązywać nas do klatki w kształcie ostrosłupa. Podciągnęła moje galaretowate nogi, przez co prawie klęczałem w siatce. Pełno tu było pomarańczowych pasów. Uniosłem wzrok. Wielki, dziwnie wyglądający samolot zawisł na odrzucie około pięćdziesięciu stóp wyżej, minimalnie tylko korygując swoją pozycję drobnymi ruchami. Pilot zapewne wołał nie schodzić niżej, żeby nie zahaczyć rotorami o drzewa. Turbiny wytrwale miały gorące powietrze.

- Chwilka, gdzie Za Nic? - zapytałem.

- Pierwsza partia załadowana, podność - rozkazała Ana przez radio. Szarpnęło nas w górę do otworu za kłapami w brzuchu bestii. Po patrzyłem na pałac w nadziei, że dostrzegę przyjaciela lub resztę, ale klatka za bardzo się kręciła. Pomacałem się po kieszeni. Gdzie jest mój telefon? Lepiej, żeby nie został w piramidzie. Para dłoni w pomarańczowych rękawicach przyciągała klatkę do mrocznej kloaki wnętrza maszyny. Poczulem ten macho-zapach, mieszankę woni paliwa, po lichloruku winylu i starej skóry. Facet w rękawicach rozpiął pasy, po mógł wyjść Marenie i mnie, po czym spuścił klatkę ponownie na dół.

Opadłem na wykładzinę i przyjrzałem się właścicielowi urękawiczonych dłoni. Duży facet. Nosił kask z wideo, ale gogle były uniesione. Rozpoznałem drugiego pilota - a raczej, według informacji, jakie odczytałem nad kieszenią bluzy, oficera systemów uzbrojenia, choć nasz odrzutowiec nie był uzbrojony - lecieliśmy z nim z Palika do Pusilha. W Paliku była tylko dwuosobowa załoga.

- Proszę zająć miejsca z poprzedniego lotu - nakazał, jakbyśmy podróżowali luksusowymi liniami lotniczymi. Było tu dość ciemno, ale konstelacje diod LED nad każdym sprzętem i meblem ułatwiały orientację. O ile już się tu było, rzecz jasna. Wstałem i zanim Marena mnie złapała, wałnąłem głową w pokryty winylem i pianką sufit. Kobieta poprowadziła mnie do jednego z foteli. Przypominał wielki fotelik samochodowy dla dzieci. W polu widzenia pojawił się bładniebieski pasek z łatwymi do odczytania literami tworzącymi pomarańczowy napis: PROSZĘ SPRAWDZIĆ PASY, a obok mała klawiatura QWERTY. Marena usiadła obok mnie. Byliśmy najbliżej miejsca, gdzie znajdowałyby się ścianka dzieląca ładownię od kokpitu. Rozejrzałem się. Okna pasażerów zostały zasłonięte, zapewne ze względu na to, że teraz przeprowadzano operację wojskową, ale mogłem patrzeć nad głową pilota w wielką przednią szybę oraz poniżej, przez nisko umieszczone okno boczne. Kiedy rotory rozwiały nieco mgłę, dostrzegłem na rzece ciemne odbicie maszyny. Michael i doktor Lisuarte precyzyjnie przeszli przez niskie wejście i obok nas. Michael miał zająć fotel bliżej ogona, by rozłożyć równomiernie ciężar ładunku. Potem przyszedł Hitch, a za nim Grgur. Wspiął się zwinnie, niż myślałem, pochylił nad Mareną, wyszeptał jej coś do ucha, po czym przeszedł na rufę, by usiąść obok Michaela. Oficer systemów uzbrojenia, w skrócie osu, zajął fotel po prawej stronie pilota. Ana weszła ostatnia i wciągnęła klatkę. Domyśliłem się, że komandos został w lesie. Vergara wskoczyła na dodatkowe siedzisko nieco z tyłu, między pilotami. Zaczęła się przypinać, ale zaraz odwróciła się i wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie objąć za szyję. Jednak sięgnęła tylko nad moją głowę.

Poczułem nacisk wokół uszu i ogarnęło mnie wywołujące poczucie bezpieczeństwa głębokie, ciche brzęczenie, jakby wokół latały koli-

bry, oraz syk i pikanie co dwie sekundy pracującego systemu, niczym zew pasikoników podczas godów. Ana założyła mi kask. Miał normalny wizjer, ale też rodzaj gogli, które można było spuścić, by oglądać panoramiczne wideo przez wmontowane soczewki. Kiedy leciałem pierwszy raz tym odrzutowcem do Belize, zalecano, byśmy mieli założone gogle multimedialne, w razie gdybyśmy zostali zaatakowani mogącym uszkodzić oczy laserem. Na początku widok był rozmazany, ale potem urządzenie dostosowało się do moich oczu i poznałem nową jakość widzenia. Wszystko bardziej wyraźne, ostrzejsze niż w rzeczywistości, wrażenie porównywalne do słuchania skrzypiec z cyfrowego odtwarzacza komórki zamiast ze starej winylowej płyty. Widok był również jaśniejszy i bardziej kontrastowy - gogle dostosowywały się do stopnia oświetlenia - a ponieważ kamery miały większy rozstaw niż oczy, obraz wyolbrzymiał przestrzeń pomiędzy obiektami, jak na starych filmach 3D, gdzie wszystko było albo tuż pod nosem, albo daleko w tyle. Wreszcie, aby jeszcze skomplikować doznania, nad każdym obiektem pojawiał się tekst, etykiety dla różnych istotnych miejsc w odrzutowcu, podające bezpieczne dane i odczyty, a nawet informacje o pasażerach i załodze. I, rzecz jasna, na dole biegł pasek z przesuwającymi się dodatkowymi danymi, których nie potrafiłem zrozumieć. W prawym dolnym rogu znajdowała się minimapa z planem lotu i ją rozumiałem bez problemów. Pokazywała nasz kurs na północ i północny wschód, do Belize, przez rzekę Sarstoon, czyli południową granicę, oraz ujście. Wydawało się to trochę zbyt oczywiste. Nic to.

-Czy Za Nic gdzieś tu jest? - zapytałem znowu. Ma kłopoty? To ja go w to wszystko wpakowałem. Odruchowo sięgnąłem do małej klawiatury i przyciskałem różne guziki, dopóki nie znalazłem włącznika audio. Nowa warstwa dźwięków pojawiła się w wytłumionym tle, jakbym z mono przełączył się na kwadro.

-Hej, chwileczkę, czekajcie - zacząłem, ale nie usłyszałem swojego głosu. Znalazłem przycisk „mikr.” i też go wcisnąłem.

Włączyłem się na osobisty kanał Marena.

- Marena?

-Och, Jed. Wszystko w porządku?

-Tak... - mruknąłem ze znużeniem.

-Rozumiesz, co się dzieje?

-Tak, wszystko dobrze, nic mi nie jest. Czy Za Nic jest w pobliżu?

Przerwał nam głos Any.

- Wszyscy pasażerowie, proszę przerwać rozmowy.

A ty się pierdol, pomyślałem. W słuchawkach rozległ się głos Mareny:

-Jed, nie możemy go znaleźć. Mógł po prostu odejść...

-To niemożliwe - zacząłem, ale na sylabie „nie” Ana wyłączyła mi mikrofon. Zdjąłem kask. Natychmiast ogarnął mnie mrok i hałas, który tłumili urządzenia w hełmie. Czym prędzej założyłem go z powrotem. Przyjrzałem się malutkim odczytom „menu audio” w lewym górnym rogu wirtualnego pola widzenia, poprowadziłem kursor na kanał pilota, po czym włączyłem.

-...najwyżej trzy - usłyszałem.

-Dobra, wszyscy na pokładzie, lecimy! - odpowiedziała Ana. Poczulem, że spadam, wcisnęło mnie w fotel, jakbym zanurzał się w ciało Ziemskiej Ropuchy, gdy Hipo, z uniesionym tyłem niczym wieloryb z podniesionym ogonem, wznosił się obrzydliwie powoli. Nastąpił nagły wzrost ciśnienia, gdy drzwi zostały zamknięte. W bocznym oknie zarośła pomknęły w dół i w tył, po czym zniknęły, gdy odrzutowiec zanurzył się w chmurę. Po szybko spłynęły krople deszczu. Znowu usłyszałem głos Mareny:

-Jed, jeżeli czegoś ci trzeba, użyj kanału czwartego.

Znalazłem go i włączyłem.

-Za Nic nie odszedłby tak po prostu - powiedziałem.

-Mógł zostać odcięty przez patrol - zauważyła Marena.

-Nie wydaje mi się.

-On nam nigdy do końca nie ufał, wiesz...

-Chodziło mi o to, że...

- Wezwiemy go, kiedy wrócimy - zakończyła stanowczo. - To nieodpowiednia pora, by się o to kłócić.

Wpadliśmy w chłodny prąd i samolot obniżył lot. W gardle wezbrały mi torsje. Za przednią szybą mgła rozstąpiła się i miałem wrażenie, że przestrzeń owija się wokół nas, jakby zmieniała kształt w taki, jaki widać w rybnym oku, rozciągający się warstwami nad i pod nami. Podkuiliem stopy i zacisnąłem dłonie, by się opanować. Byliśmy niżej, niż sądziłem. Zerknąłem na Marenę, ale wyglądała jak ludzko-owadzia hybryda, więc odszukałem „menu: widok”, podświetliłem „monitor: załoga”, co pozwalało zintegrować kask z widokiem, jaki przetwarzany jest przez google kasku pilota i oficera systemów uzbrojenia, po czym wybrałem osu. Jakbym zmienił głowę. Nagle siedziałem obok pilota, widziałem dokładnie to, co oficer uzbrojenia. Przypuszczam, że w tym wynalazku chodziło o ułatwienie szkolenia i działań zespołowych na pokładzie. Jeżeli na przykład cała klasa może równocześnie widzieć lot oczami pilota, łatwiej jej się nauczyć, co należy robić. Albo pilot może widzieć to, co obserwator na ognie, czy coś podobnego. Otrzymywałem też mnóstwo danych: wektory, kurs, ciśnienie i temperatura, okna z informacją o prędkości lotu - dwieście czterdzieści osiem kilometrów na godzinę, pułap nad poziomem morza - trzysta osiemdziesiąt jeden metrów, pułap nad ziemią - dwadzieścia osiem i dwie dziesiąte metra, a także przewijające się komunikaty typu: „tylko zamknięte transmisje, widok nie jest uruchomiony”, a nawet ostrzeżenie przed epilepsją. Pole widzenia podjechało do góry i odruchowo próbowałem opuścić głowę, ale nic się, rzecz jasna, nie stało. Byłem na łasce oczu oficera uzbrojenia, a ten facet wpatrywał się w sztuczny horyzont wyrysowany błękitną kreską przez chmury. Znalazłem odpowiedni kanał audio, którym mogłem się połączyć z osu.

-... *no te preocupes amorata, este es el caballo* - mówił właśnie.

Rozpoznałem puentę dowcipu.

-*Si, pues* - zabrzmiała odpowiedź z gwatemalskim akcentem. Zdaje się, że osu trajkotał przez radio z miejscowym kontrolerem lotów jak ze starym kumplem. Może wszystko się ułoży. Może uda się opanować sytuację dzięki pomocy Gwatemalczyków. Ale kto w takim razie wypłoszył nas z Ix? Jakiś patrol, który nie został załatwio-

ny? Może chodziło o to, by nie mieszać do układu zbyt wielu ludzi i oszczędzić trochę kasy.

Lecieliśmy prawie wprost na wschód, tuż nad urwiskiem między stromymi stokami, a potem skręciliśmy na południowy wschód, gdzie Chisay wpływa do Rio Cohabón. Szary kredowy klif wyrósł przed nami, ale pilot, zamiast wznieść maszynę, skręcił ostro, by ominąć wzniesienie, lecąc nisko nad środkiem nurtu rzeki, przez co miałem wrażenie, że raczej ślizgamy się na snowboardzie, niż lecimy. Zdawało się, że las wyrasta wokół nas, aż nagle otworzyła się pod nami rozszerzająca się przestrzeń.

Inny głos zabrzmiał na kanale łączności.

-*Es este el vuelo 465-BA del Poptún?* - padło pytanie. Czy to 465-BA z Poptún? Odczyty identyfikacji wskazywały, że transmisja pochodzi z bazy Guzmán, wojskowego lotniska w stolicy Gwatemali.

-*Correcto* - odpowiedział OSU.

-*Perdone la molestia, mas el OC dice que pasa?*

-Pojawiły się problemy na południe od Chisec - odparł osu po hiszpańsku. - Kapral Olaquiaga z bazy w Poptún kazał nam lecieć.

-Dobra. Ale chyba jesteście spóźnieni według grafiku.

-Nie żartuj? Właśnie dlatego wracamy.

Aha, pomyślałem, OSU udaje, że jesteśmy z gwatemalskich sił powietrznych. Próbuje oszukać kontrolerów lotu na jak długo się da. Co znaczy, że nie mamy wsparcia wojsk gwatemalskich.

Hipo wzniosł się na tysiąc stóp, gdy przeskakiwaliśmy nad źródłami rzeki Oxec między Cerro Tabol po lewej i flanką zachodnich zboczy wielkiej Sierra de Santa Cruz po prawej.

-...ten kod identyfikacyjny przez nas jeszcze raz? - rozległo się polecenie z gwatemalskim akcentem.

-Gie a ce czterysta sześćdziesiąt pięć be a, dwa zero trzy osiem zero, osiem dwa jeden osiem zero dziewięć, dwa trzy cztery osiem siedem cztery dwa jeden jeden - odpowiedział oficer uzbrojenia.

-Musimy to sprawdzić - padło wyjaśnienie. - Inaczej na granicy będą wam robić problemy.

-Skontaktuję się z nimi - zapewnił osu.

- Czemu nie zaczekacie chwilę na obecnej pozycji? Zwolnijcie.

Włączyłem kanał Mareny, czyli kanał czwarty, i zasygnalizowałem swoją obecność. Marena natychmiast się włączyła. Powiedziałem jej, że Gwatemalczyki chyba zaczynają się denerwować.

-To pewnie nie problem - zapewniła. - Obserwują głównie jednostki, które nadlatują, a nie odlatują.

-...ale dlaczego naprzód? - inny Gwatemalczyk włączył się do rozmowy z pilotami.

-Jest możliwość, że terroryści odjechali wcześniej rano ciężarówką - skłamał osu. - Kazano nam sprawdzić, czy możemy wypatrzeć ich na granicy.

-Ach, dobra, ale muszę zgłaszać wszystkie loty w pobliżu granicy - stwierdził kontroler.

-Powinieneś skontaktować się z Olaquiagą - odparł osu i zaczął podawać szereg liczb, zapewne numery kontaktowe.

-Nie ma go w bazie. Musicie się skontaktować z kimś, kto go tam zastępuje.

-Możesz nas przełączyć? - zapytał osu.

-Będziesz go musiał sam łapać.

-Zrobię to - zapewnił oficer. Rozłączył się. Pilot, który, jak się domyśliłem, nie odzywał się, dopóki nie zachodziła absolutna konieczność, przełączył się na kanał zbiorczy. To znaczy mógł mówić tylko do nas, a nie do kogoś spoza Hipo.

-Uwaga - ostrzegł. - Zwiększamy prędkość.

Zanim skończył, moja głowa została wciśnięta w prawą część zagłówka fotela i poczułem naciągniętą skórę na policzku, gdy napało na mnie dodatkowe cztery lub pięć g. Pilot włączył silniki odrzutowe. Przypuszczalnie z naszego kamuflażu nie pozostało nic.

- Poczekaj jeszcze chwilę - rozległ się głos gwatemalskiego kontrolera lotów. Zaraz potem na tym samym kanale zabrzmiał głos Any:

-Co o tym sądzisz?

-Nie wiedzą, co robią - odezwał się pilot. - Utrzymajmy tę prędkość i kurs.

Prawą rękę opierał lekko na okrągłej rączce dźwigni między kolanami.

Gwatemalczyki zaskrzeczeli znowu:

- Czteryśta sześćdziesiąt pięć be a, tu pełniący obowiązki dowódcy bazy Guzmán, co robicie?

Nie odpowiedzieliśmy.

-Musicie przyjąć nowe rozkazy lub zawrócić tutaj i wylądować

-rzekł kontroler. - Przykro mi.

-*No me quiebres el culo* - odparł osu. Nie zawracaj dupy. - Nie mówisz chyba, że mamy zawracać.

-Przykro mi.

-*Olaquiaga se va a cagar* - dodał nasz oficer. Olaquiaga się wścieknie.

-*Yo no te puedo asegurar que llegues salvo* - odparł kontroler. Nie mogę zapewnić wam bezpieczeństwa. - *Te van a chingar por el culo. Agarra la onda.* - Stłuką wam tu tyłki. No, dalej, wracajcie.

Oficer uzbrojenia zamilkł na chwilę.

-*Bueno, reconocido, Guzmán.*

-*Bueno* - odpowiedział Gwatemalczyk, po czym się rozłączył.

Ale lecieliśmy dalej. Na mojej mapce kurs się zmienił. Lecieliśmy teraz na południe do Lago de Izabal, a potem dalej nad Mar de las Antillas, czyli Morze Karaibskie. Chyba chodziło o to, by zmylić Gwatemalczyków, udawać, że wracamy, a potem wrócić na kurs na niskim pułapie nad wodą, gdzie nie powinno być żadnych dużych urządzeń namierzających.

Gwatemalski kontroler znowu odezwał się przez radio:

-*465-Barcelona Antonio, aterrizaje en seco.*

-*Somos responsables de la seguridad del Corporal Olaquiaga* - skłamał osu.

-*No contestes. Pararse en seco desde ahora.* osu się wyłączył.

-Dobra, nie kupili tego - stwierdził na kanale zbiorczym.

- *465 BA, tomar tierra a Poptún* - zapiszczał kontroler. - *Esto es el ultimo apelar.*

- *No puedo* - odpowiedział OSU. - Proszę, wezwij swojego do wódce.

Przełączył się znowu na kanał wewnętrzny.

- No, to się spierdoliło - wymamrotał. - Musimy się zatrzymać.

Pilot zwolnił, wyrównał maszynę i obrócił nią, jakby zamierzał ruszyć z powrotem.

-Co robisz? - włączyła się Marena.

-Uch, krótko mówiąc, mają nas - odparł oficer.

-Musimy zdecydować - dodała Ana. - Albo pozwolimy im, by zmusili nas do lądowania, albo stosujemy plan B.

-Dobra - stwierdziła Marena.

- Co: dobra? - zapytała Ana. Cisza. - To twoja decyzja.

Mówiła nieco wyraźniej i głośniejszym głosem niż zwykle, aby upewnić się, że urządzenia rejestrujące w samolocie zapiszą każde słowo.

- Plan B. Uciekać i wyrwać się stąd - oznajmiła Marena.

- Zrozumiano - potwierdziła Ana, po czym zapadła kolejna pauza. - Dobra, zaczynamy działać, tak? Jakies obiekcje?

To zaczyna wymykać się spod kontroli, pomyślałem. Może powinienem zgłosić sprzeciw.

Nikt jednak nie powiedział ani słowa.

-Świetnie. A więc pamiętajcie, ja tu jestem jedynym dowódcą

-oznajmiła Ana. - Nikt nie przyjmuje rozkazów od Mareny czy kogokolwiek innego.

-Aj, aj! - rozległ się głos pilota.

-Ajaj - dodał osu. Co to było? Och, nagle zrozumiałem. Potwierdzali rozkaz żeglarskim „aye, aye”, zabrakło tylko *sir* lub *captain*.

-Dobra, chwilka. - OSU włączył inne pasmo radiowe. - Zepp do bazy NERV.

-Cześć, Zepp - zabrzmiał wyraźny, amerykański akcent głównego kontrolera lotów w Paliku. - Tu baza NERV, mów.

-Przechodzimy do planu B - powiedział pilot. - Prosimy o MD4.

-Zrozumiałem. Chwileczkę - padło z NERV. - Wygląda, że jesteście po uszy w gównie.

-Jak chuj.

Nasza prędkość spadła tak bardzo, że praktycznie wisieliliśmy nieruchomo. Przez kamery na dziobie maszyny spojrzałem na obszar palącego się lasu. Wpisałem: „MD4?” na klawiaturze przy fotelu. Dostrzegłem zbliżającą się sylwetkę pocisku manewrującego. Smukły, najwyżej sześć stop długości, z długim dziobem i skrzydłami. Odczyty mówiły, że jest szybki i uzbrojony w głowicę powietrze-powietrze. Kurwa. Wysłali pocisk. Kurwa, kurwa. Mamy przejebane. Zostaniemy zestrzeleni. No, ale przynajmniej nie będzie bolało.

-Dobra, Zepp - rozległ się głos z NERV. - Widzimy wasz zamiar. Cztery MD4 są gotowe do startu.

-Dzięki, NERV.

-Powiedz im, że lądujemy - rozkazała Ana oficerowi uzbrojenia.

-Dobra, Guzmán. Przyjeliśmy. Wracamy do Puerto Barrios -skłamał OSU. Moja mapa zawirowała, gdy odrzutowiec wykonywał zwrot.

- *No Puerto* - zabrzmiał głos Gwatemalczyka. - *Pop...*

Kliknięcie uciszyło go w pół słowa.

-Dobra, Zepp - odezwał się znowu kontroler z NERV. - MD4 są w górze i kierują się w waszą stronę.

-Dzięki, NERV - odpowiedział OSU. - Możesz podać PCD?

-Będą przy was za dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Skierujcie się na południe jeszcze o dwadzieścia stopni, a nie będą musiały zawracać.

-Zrozumiałem, wykonuję.

-Uważajcie na siebie, chłopcy, jasne?

-Jasne, NERV - zapewnił OSU.

-Czterdzieści stopni, podchodzę - odezwał się pilot. Pochylił się w lewo i poprowadził odrzutowiec w tak ciasny skręt, że powietrze jęknęło pod skrzydłami. Pomknęliśmy na południe wąskim rzeczonym wąwozem i dalej, nad rzekę Moxela.

-Pogoń za nami - oznajmiła Ana.

Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem innych samolotów. Chyba miała na myśli, że widać je na mapie. Kliknąłem swoją mapę i powiększyłem. Zaczynałem rozpoznawać ukształtowanie terenu. Granicę Belize przed nami wyznaczały boje świetlne dla samolotów, jak sznur lampek choinkowych. Och, tu są. Para czerwonych kropek zbliżała się do nas pod kątem trzystu dziesięciu stopni. Podświetliłem je kursorem i wpisałem „IWP”, żeby zidentyfikować - wróg czy przyjaciel. Natychmiast rozwinęła się zakładka z profilami radarowymi różnych jednostek, aż w końcu komputer znalazł pasujące. „2 comanche H-18 (?) airborne U+?” - pojawiło się w okienku. Domyśliłem się, że U+? znaczyło, że samoloty wyglądają na uzbrojone, ale jeszcze nie ma pewności. Znalazłem w menu „przechwycenie_prp”, a komputer natychmiast narysował zielony okrąg wokół nas i czerwony wokół nadlatujących jednostek. Jak dla mnie te okręgi były stanowczo za blisko siebie.

-Nie chcą nas zestrzelić - odezwał się osu. - Chcą przejąć Hipo.

Będą próbowali wcześniej zmusić nas do lądowania.

-Nie bądźmy tego tacy pewni - sprzeciwiła się Ana na kanale wewnętrznym.

La gran puta. Jak się w to wpakowałem? - zastanawiałem się gorączkowo. Godzinę temu siedziałem w przytulnej i spokojnej niszy królewskiej, miło spędzałem czas, a teraz groziła mi śmierć ze strony gwatemalskiego lotnictwa. Dlaczego Ana nie pozwoliła nas po pro-

stu aresztować? Warren wyciągnąłby nas w tydzień. Nie, w dwa dni. Nasz rozkład nie może być aż tak ważny, by nie mógł się zmienić. To znaczy owszem, tak w ogóle jest ważny, ale jednak... Kurwa. Ani przez chwilę nie spodziewałem się, że sprawy mogą zajść tak daleko. Szlag. Głupiec ze mnie. Znałem fakty. Ale wydawało mi się, że zadaję się ze zbirami z korporacji, tymczasem okazało się, że mam do czynienia z prawdziwymi zbirami-najemnikami. I, szczerze mówiąc, wiedziałem cały czas... Więc nie pora się nad sobą uzalać.

Odrzutowiec zmierzał nad środek Sierra de Santa Cruz, wspinając się z prędkością dwóch tysięcy stóp na minutę. Przemknął nad zielonym klifem z wąską, kredowobiałą rozpadliną. Zagłębienie na trasie, które ciągnęło się na południe, pozwoliło nam pomknąć tamtędy z prędkością około trzystu czterdziestu mil na godzinę. Na mapie oba okręgi zaczęły się niemal stykać.

No i tyle, jeżeli chodzi o królewskie krypty, pomyślałem. W najbliższym czasie nie ma co liczyć na wizytę w ruinach IX. Czy w ogóle kiedykolwiek. Zapewne. Jedyne, co możemy teraz zrobić - o ile dotrzemy do Palika, co wydawało się coraz mniej pewne - to poszukać krzyża ułożonego z odłamków magnetytu. Czyli miejsca, gdzie - jak chyba wspomniałem - Jed Dwa miał zakopać skrzynię z kopią notatek o Grze. A teraz musieliśmy jeszcze liczyć, że Jed Dwa ukrył notatki dość daleko od miasta, byśmy mogli się podkraść i wykopać je bez Gwatemalczyków na karku. O ile, rzecz jasna, Jed Dwa w ogóle wypełnił misję, co też nie było ani trochę pewne. Ile jeszcze tych „o ile”? Za dużo...

Kolejne pomieszane bipnięcia i na północnej stronie mapy pojawiły się kolejne znaczniki.

- W porządku, to MD4 - wyjaśnił OSU.

Hipo zwolnił. Kropki zwiększyły prędkość i zrównały się z odrzutowcem, po czym schowały pod jego brzuchem jak ryby piloty. Zapewne po to, by ukryć się przed radarem.

-Dobra, NERV, mamy je - odezwał się OSU.

-Uch, przyjąłem, Zepp. Zwalniamy sterowanie. Przejmujcie.

-Dzięki - zakończył osu, po czym przełączył się na inny kanał.

-Mamy je. Słuchaj, Keelorenz chce się upewnić, że masz gotowe Kaczki. - Miał na myśli łodzie.

-Kaczki są w porządku - nadeszło zapewnienie.

-Świetnie.

Przewinąłem mapę wzdłuż linii kursu, aż zobaczyłem rząd łodzi. Mogliśmy wybierać między dwiema parami - jedną na Mar de las Antillas i drugą w Zatoce Meksykańskiej. Gdzie niby mieliśmy płynąć? Poczulem dreszcz. Nie, *ni modos*. Załoga spuści nas na wodę, a potem tych dwóch pilotów wylądjuje w Keys, odpowie na setki pytań, odwróci uwagę i zarobi na odpowiednio wysoką rekompensatę za swój trud.

-Widzę ich, widzę - zameldował OSU. Przesunąłem kursor na kropki wrogów, IPW oznajmiło: „(2) US-B/CAH#220?” - co znaczyło, że to dwa gwatemalskie helikoptery Comanche. Miały rakiety.

-Powinniśmy się przygotować na ostrzał - ostrzegł pilot. Zmienił kurs na czterdzieści stopni na północny zachód do Punta de Manabique.

-Lepiej daj mi kule - rzucił OSU. No, serio... Wlecieliśmy w ciemny front burzowy, jakby otoczyła nas wata, a potem wzniesiliśmy się w czysty błękit.

-Wywołują nas - znowu odezwał się OSU. Włączył zewnętrzny kanał ogólnej łączności.

-...*no me friegues* - mówił gwatemalski comanche. Nie pierdol.

-Ładuj i poddaj się.

-*Diles que nos la mamen* - odpowiedziała Ana. - Każ im się wyпчаć.

Na pewno nie będą się trzymać przepisów, pomyślałem. Przecież raczej nie wolno rozmawiać z przeciwnikiem. Może Dział Wykonawczy odpuścił tę zasadę, skoro pracują dla prywatnego zleceniodawcy.

-Słuchajcie, comanche, zjeżdżać z drogi - nakazał osu na kanale ogólnym.

-*Vela las nalgas* - odparł jeden z gwatemalskich helikopterów.

-*No les hables* - wtrącił się gwatemalski kontroler lotów. Nie rozmawiaj z nimi.

- *Vete* - rzucił OSU. Cofnąć się. Nie dacie nam rady.

-Mejor ándate a la mierda!

-Mamy trochę ciężkiego gówna - ostrzegł OSU. - Spadniecie.

-*Chíngate* - padła odpowiedź gwatemalskiego pilota. Pierdoli się.

-Naprawdę nie chcę wam zrobić kuku - powiedział OSU. - Wycofać się. Ostatnia szansa.

Odciał transmisje zewnętrzne i przełączył się na kanał zbiorczy wewnętrzny.

- Słuchajcie, grupa. Na wszelki wypadek, gdybyś...

Wysoki ton E, alarm namierzania.

O kurwa! - pomyślałem.

- O kurwa! - powiedział pilot.

-Ave Maria, *START!* - warknął OSU. Ożeż w chuj! - Bez obaw, to rutyna, jesteśmy do tego szkoleni...

-Spróbuj pięćdziesiąt pięć - rozległ się głos *NERV*. - Cztery na sześć, przecinek czterdzieści dwa.

Rosnący błysk rozlał się po kabinie, gdy gwatemalski laser namierzający przemknął przez nasz odrzutowiec. Przełknąłem nerwowo wzbierające torsje.

- Mamy przejebane - wymamrotałem bezgłośnie w wizjer. - Nie wierzę, że dałem się w to wciągnąć, nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę...

Uderzyłem się w udo.

-Przyjąłem - powiedział pilot. - Kierujemy się na dziewięćdziesiąt pięć jak najniżej.

-Niski zasięg powinien być jeden osiemdziesiąt.

-Lepiej jeden siedemdziesiąt.

Czerwona kropka pojawiła się na moim ekranie. Wydawała się nieruchoma, jak wtedy, gdy coś się zbliża dokładnie z naprzeciwka.

Mierdita!

-Mam. Dobra, odliczanie od dziesięciu.

-Dobrze, namierzone. - Pilot przechylił kadłub odrzutowca i rotorów, obracając Hipo niemal w miejscu. Miałem wrażenie, że głowa mi spadnie z kręgow szyjnych.

Nagle nasze turbiny zmniejszyły moc, a odgłos rotorów ponownie się zmienił, odrzutowiec praktycznie zawisł, a w jego wnętrzu zapadła nienaturalna cisza. Poczulem ucisk w żołądku, który tylko się pogłębił i podniósł do gardła, gdy zaczęliśmy spadać. W porządku! - krzyczałem do siebie w duchu, wszystko świetnie, wokół jest dość pieprzonego powietrza, które doskonale nas utrzyma. Znaleźliśmy się poza zasięgiem radarów i mogłem już zobaczyć czerwone światła latarni Punta de Amatique o milę na wschód. Lecieliśmy na północny wschód nad zatokę.

-Dobra, cały czas się zbliżają - zameldował OSU. - Uch, dziewięćdziesiąt. Osiemdziesiąt pięć.

-Dobra, robimy u-czterdzieści dziewięć - odpowiedział pilot.

-Namierzony.

Silniki znowu zwolniły i jak dla mnie, wydawało się, że zupełnie stanęły.

Po prawej stronie MD4 włączył silnik, naśladując naszą sygnaturę cieplną. Spadaliśmy. Na około dwóch tysiącach stóp pilot nachylił rotory tak, by znowu zassały powietrze, ale nadal utrzymywał odrzutowiec w trybie prawie-spadania w kierunku piany na szczycie przylądka. Miałem wrażenie, że zanurzamy się w masło orzechowe. Na mapie pocisk wyglądał, jakby tylko wisiał w pobliżu nas, w połowie ekranu, zbliżając się odrobinę, po czym zaraz cofając. Mniej niż dwadzieścia stóp nad poziomem wody pilot puścił się w dół po obrzydliwie głębokiej krzywej. Miałem wrażenie, jakby jądra wcisnęły się mi w pachwinę i powędrowały przewodem pokarmowym do góry, a gdy dotarły do ust, przełknąłem je czym prędzej. Przysięgam, że czułem je wyraźnie, lewe większe od prawego, i każde musiałem przełknąć osobno. Pod nami rozległo się głośne fuusz-sz, jak zwolniony zawór bezpieczeństwa w gigantycznym ekspresie ciśnieniowym do kawy, a czerwona kropka minęła nas, goniąc przynętę w dół na bagna. Nie dostrzegłem tego, ale pocisk musiał uderzyć w cel najwyżej sto stóp od Hipogryfa, blisko wybrzeża i latarni. Przez kabinę przetoczyła się fala uderzeniowa i staccato echa, gdy kompozytowy kadłub odrzutowca rozciągnął się pod wpływem gorąca. Boczne wypukłe okno zapadło

się i pojawiła się na nim siateczka pęknięć. Kamienie zaterkotały po kevlarowym pancerzu ładowni, a potem nagle wszystko się uspokoiło. Przełączyłem się na tylną kamerę. Widziałem tylko rozproszone stada mew i niewielki obłok pary unoszący się nad wybrzeżem. Natrętnie pojawiała się myśl o martwych papugorybach. Opadliśmy znowu i skierowaliśmy się prosto na północny zachód, na Zatokę Hondura-ską, wznosząc się ponownie.

- No, jazda - odezwał się OSU. - Zostało im jeszcze pięć. Nie pierdolmy się.

Znowu przecięliśmy warstwę chmur. Co za gówno, pomyślałem. Gdybym chciał się bawić zabawkami komandosów i zgrywać GI Joe, to rozwalilibym mój komputer i zaciągnął się do marines, sfalszowawszy dokumentację medyczną, i zginąłbym bohatersko w Iraku. Przełączyłem się na kanał czwarty.

- Marena? W porządku?

Nie widziałem jej przez kamery kasku, a raczej widziałem tylko unoszącą się w polu widzenia etykietę z jej imieniem i nazwiskiem.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała po dłuższej chwili. - Mam Maksa na linii, Jed, więc pogadamy za moment.

Klik.

Dopiero teraz dotarła do mnie ostra woń wymiocin i chyba mocz, a może nawet kału. Komuś naprawdę puściły nerwy. Zapewne Michaelowi. Co za mięczak, pomyślałem.

-Cofnąć się - rozkazał przez radio osu. - Wyjebię was. Wyjebię was w kosmos.

-*Muerancen huecos* - odparł gwatemalski pilot. Zdychaj, pedale. Znowu odezwał się alarm, że jesteśmy namierzani. Zalała mnie kolejna fala paniki, więc czym prędzej wcisnąłem się w dający fałszywe poczucie bezpieczeństwa ergonomiczny piankowy fotel.

-Ana, pošlij im kulkę, i to, kurwa, już - rzucił pilot.

-Dobra - odpowiedziała Ana. - Pierdolić ich. Cel namierzony, ognia.

Na moich odczytach pojawiło się małe okienko z informacją, że najbliższy comanche jest celem dla drugiego MD4. Jak mówił opis,

MD4 należały do bezzałogowych aparatów wielozadaniowych. Wolniejsze niż rakiety powietrze-powietrze, jak sidewindery, ale nadal mogą dogonić odrzutowiec, wbić się w niego i eksplodować. Obserwowałem, jak MD4 numer dwa oddala się od Hipogryfa i dryfuje do comanche.

- Jesteś martwy, gównojadzie - oznajmił osu przez radio.
- *Metetela, hueco* - padła odpowiedź Gwatemalczyka.

Tymczasem drugi pocisk powietrze-powietrze zbliżał się do ogo na Hipo.

- Zmyłę tego - stwierdził oficer systemów uzbrojenia na kanale wewnętrznym. Powiększyłem obraz z kamery na ogonie. Pasma, które przypominały deszcz iskier, wystrzeliły za odrzutowcem, jakby Hipogryf urodził populację chromowych meduz. Każda iskra była samopompującym się balonem z polimerycznego mylaru, ciągnącym za sobą frędzle serpentyn i flarę. Na warstwie mapy pokazującej obraz radaru pojawiła się wielka plama zakłóceń między pociskiem i naszym odrzutowcem. W podczerwieni wyglądało to jak tysiące punkcików gorąca. Wystarczyło, by oszołomić prosty mózg pokładowy rakiety, i pocisk zбочzył z kursu. W tej samej chwili pilot zaczął kreślić kurs w kształcie litery S - manewr unikowy. Pocisk musiał detonować, bo więcej uników na razie nie trzeba było robić. Odrzutowiec znowu wrócił na kurs północno-wschodni. Nastąpiła chwila spokoju, jakby śmy nie znajdowali się w ogniu walki, lecz na wycieczce. Na mapie jednak dwa helikoptery Comanche powoli ustawiały się na wschodzie, między Hipo a słońcem. Domyśliłem się, że chcą podejść dość blisko, by wystrzelić równocześnie dwa pociski - i nie było mowy, by udało się nam uniknąć obu.

Spokój trwał coraz dłużej.

- Mama bardzo, bardzo cię kocha - powiedziała Marena do Maksa. - Jesteś najlepszym chłopcem na świecie.

Przyglądałem się, jak dwie pomarańczowe kropki wrogów zbliżają się wyraźnie. Obserwowałem odczyty pokazujące głębokość wody pod nami. I zieloną kropkę reprezentującą naszego MD4 dryfującego bliżej i bliżej do jednego z helikopterów. Na przedniej kamerze

chmury poniżej przypominały pole pomarszczonego lodu. Pojedyn-
cza bryła cumulusa nad tą płaską równiną odpłynęła na wschód jak
kopuła z gry „Arabian Nights”, kierując się nad rafy Morza Karaib-
skiego. Nadal nie widziałem żadnej maszyny. Wreszcie kropka, która
symbolizowała bliższego comanche'a, zboczyła ostro na południowy
wschód. Gwatemalczyk chyba uświadomił sobie, co się dzieje. Pocisk
pędził za nim. Helikopter zniżył lot po ciasnej paraboli, próbując za-
maskować gorąco silników nad wodą, ale było już za późno. W ok-
nie wideo mignął tylko krótki żółty błysk, gdy nastąpiła detonacja
MD4, a potem mandarynkowa smuga płonącego paliwa rozciągnęła
się nad linią horyzontu.

-*Dio perro* - powiedział nasz pilot. Niekompetentny frajer.

-Hej, zgadnij, co się stało w lacrosse - zabrzmiał radosny głos
Maksa. Byłem wystarczająco blisko, żeby zobaczyć helikopter
powoli przelatujący nad wodą w obłoku pary i ciągnący za sobą
warkocz lśniących odłamków. Katapulta wyrzuciła fotel pilota z
dymu i pary jak pręcik w kwiecie lilii zakwitającym na
poklatkowym filmie wideo. Jednak potem spadochron nie
otworzył się i Gwatemalczyk spadł spiralą w dół w confetti
płonących części i odłamków plastiku.

-*Dios mió* - westchnął OSU. Po głosie poznałem, że jest roztrzę-
siony.

-Ten drugi się katapultował? - zapytała Ana.

-Nie wydaje mi się. Te wyrzutnie to zupełnie gówno - odparł
osu. - Nigdy nie działają jak należy.

-Kurwa. To moja wina - westchnęła Ana.

Podlecieliśmy nad miejsce rozbicia się helikoptera. Woda się tu
pieniła. Można było również przez kamery dostrzec wyraźnie dru-
giego comanche'a. Myślałem, że zacznie strzelać, ale wyglądał, jak-
by się wycofywał. Albo się przestraszył, albo jego dowódca kazał mu
się nie mieszać.

Ruszyliśmy znowu na północ i skierowaliśmy się dwadzieścia pięć
stopni na Zatokę Honduraską. Przelecieliśmy blisko helikoptera. Nic
się nie stało. Lecieliśmy dalej. *En todos modos*, pomyślałem. Może
wszystko się jeszcze ułoży. Właśnie.

Nikt się nie odzywał na głównym kanale, więc wcisnąłem „podgląd”. Nikt również nie rozmawiał. Mogłoby się wydawać, że ludzie zaczną skakać, wiwatować i gratulować sobie nawzajem, ale nie. I nie sądzę, by tak się stało, bo przejęli się ofiarami. Chodziło raczej o to, że międzynarodowy drobny incydent zmienił się w międzynarodowy naprawdę poważny incydent. Nagle zawisła nad nami wcale realna groźba długiego więzienia. Nie żeby ktokolwiek wytoczył nam proces, ale jednak... I nie wróciliśmy jeszcze do domu. Nasza prędkość spadła do sześciuset kilometrów na godzinę. Podłączyłem się znowu do osu. Przeszukiwał pasma radiowe. Słyszał było oburzone głosy krzyczące po hiszpańsku i przynajmniej kilka po angielsku. Usłyszałem: „cel w zasięgu”, co nie brzmiało dobrze.

-Co się dzieje? - zapytała Ana oficera uzbrojenia.

-Niedobrze. Myślę, że Tyndall wysyła zwiadowców. Może już rozmawiali z bazą w Belize.

-Cholera.

-Ale wszyscy myślą, że jesteśmy po przeciwnej stronie.

-Świetnie. - Ana chyba się zamyśliła. - Dobra, co myślisz?

-Myślę, że powinniśmy zniknąć.

Cholera. Najwyraźniej nadal planowali, że spróbują przeprowadzić odrzutowiec do Palika.

-Daj mi minutkę - mruknęła Ana. - Jak daleko stąd do łodzi A?

-Okolo... pięciu minut. Jest nad Northeast Cay.

Rozciągnąłem okienko mapy. Pokazywało przynajmniej dwanaście innych samolotów i helikopterów nadlatujących z różnych stron, w tym dwa brytyjskie F-22 Raptor z Belize.

- Mamy do czterech, pięciu minut - stwierdził osu. Miał na myśli, że przed następnym wrogim spotkaniem.

Nastąpiła krótka, ale znacząca cisza.

-Dobra - zdecydowała Ana i włączyła się na kanał wewnętrzny ogólny. - Słuchajcie wszyscy. Opuszczamy pokład.

-Czekaj chwilę - po raz pierwszy w głosie pilota zabrzmiała wyraźna frustracja. Pewnie nie przywykł do wyrzucania dobrych rzeczy.

-To nie wpłynie na niczyją wypłatę, premię za walkę i inne dodatki
- zapewniła Ana. - Albo to, albo lądujemy w Miami i sprawdzimy, czy uda się nas wyciągnąć z paki przed Bożym Narodzeniem.

-Nie, do tego czasu będzie po ptakach. Jed musi być w Paliku, by zinterpretować dane. Zadzwoń do LW, powie to samo - wtrąciła Marena.

-No? - Ana najwyraźniej mówiła do pilota.

-Dobra - mruknął ten niechętnie. - Zróbmy to.

-Świetnie.

-Mamy sygnał Kaczki Alfa. Chcesz pogadać?

-Niech się rozproszą i szukają sygnałów tratw ratunkowych. NIE tego odrzutowca. I to będzie nasza ostatnia transmisja. Znajdą nas, prawda?

-Jasne.

-Pamiętaj, to ma wyglądać na wypadek.

-Czemu? Inaczej nie dostaniesz ubezpieczenia? - warknął pilot.

-Właśnie. A co, chcesz komuś wygadać?

-Nie, nie...

-To dobrze. - Ana ucięła rozmowę. Kierowaliśmy się na północny wschód nad Laurence Rock i potem Ranguana Cay, parę wzniesień o obłych kształtach w długim łańcuchu wznoszącym się nad przejrzystą zieloną wodą nad rafą.

-Nie mamy mechanizmu samozniszczenia - stwierdził osu.

-Ale mamy detonatory, prawda? - zauważyła Ana.

-Tak, dwa.

-Więc je wykorzystaj, by zapalić trochę gazu.

-Nie mamy tu żadnych ogniw paliwowych - zaproponował osu.

-Ale może się przewiercić do zbiornika.

-Świetny pomysł - zgodziła się Ana. - No dobra. Jakie są fale?

-Pięć stóp. Bez piany - odparł osu.

-Temperatura powietrza?

-Siedemdziesiąt cztery. Wiatr od piętnastu do czterdziestu.

-Temperatura wody?

-Sześćdziesiąt.

-Dobra. Gendo?

-Dowódcu?

-Po prostu podprowadź auto jak najbliżej i jak najwolniej, by wysadzić nas przy łodzi A.

-Aye, aye - odpowiedział pilot. Przy okazji dowiedziałem się, że jego ksywka to Gendo.

-Tylko nie wprowadź tego gówna w kubańską przestrzeń powietrzną.

-Wiem, wiem.

-I upewnij się, że nie spadnie na nikogo - wtrąciła Marena.

-Zrobię, co w mojej mocy - odwarknął pilot. Zwolnił odrzutowiec do dwustu kilometrów na godzinę. Przecięliśmy Silk Cays na Mar de las Antillas i pomknęliśmy w ciemnognatową linię prądu zatokowego przy horyzoncie.

-Wszyscy przygotować się - rozkazała Ana. - Zdjąć kaski.

Zdjąłem swój. Miał wentylator, ale i tak z czoła ściekał mi pot i powietrze wydawało się zimne na niemal łysej czaszce. Marena, Lisuar-te, Michael, Hitch, Grgur i ja popatrzyliśmy po sobie, zastanawiając się, kto wymiotował. Odrzutowiec szybko tracił prędkość. Ana prze-pchnęła się między nami na ogon. Z szarki wyjęła bezprzewodowy panel i przeszła do kokpitu.

- Upewnij się, że wyczyściłeś pozostałe dyski - powiedziała do osu, po czym podłączyła swoje urządzenie do panelu sterowania.

Bez kasku nie widziałem już, z jaką prędkością się poruszamy. Próbowiałem znaleźć prędkościomierz na panelu przy fotelu pilota, ale mi się nie udało. Jednak tak na oko chyba poruszaliśmy się wolniej niż dwadzieścia mil na godzinę.

-Wszyscy rozpiąć pasy - zabrzmiał rozkaz Any w głośniku. - Za-lóżcie kamizelki. I upewnijcie się, że macie w uchu słuchawkę.

-Ruszajmy, Jed, dobra? - odezwała się Marena. Po kilku próbach udało się jej pomóc mi wstać z fotela. Pomogła mi też założyć cienką, żółtą kamizelkę. Czuję się tak, jakby zmieniała mi pieluchę. Podała mi też gogle pływackie. Na koniec znalazła kask przypominający

ten dla rowerzystów, ale z małą lampką na czubku, i włożyła mi na głowę. Wszyscy pozostali już mieli podobne.

-Miej włączoną łączność, dobrze? - poprosiła Marena. - Na otwartym kanale, żebyś mógł porozumieć się resztą grupy. Jasne?

-Jasne - zapewniłem. Grupa. Uświadomiłem sobie, że nawet jeżeli myślę całkiem jasno, to nie poruszam się równie sprawnie. Chyba naprawdę byłem zmęczony. Seks, chodzenie w górę i w dół, zarwana noc, duży stres. Może będę mógł się zdrzemnąć na tratwie. Bez problemu.

Michael, który, jak się wydawało, wiedział coś o odrzutowcach, przycisnął się obok mnie, wyciągnął dwie długie żółte bele, które nadmuchają się w luksusowe tratwy ratunkowe z wiosłami i niewielkim silnikiem burtowym, zatankowanym, by pokonać wiele mil. Ana wróciła z kokpitu, niosąc pęk splątanych szarych zwojów. Zapewne był to twardy dysk z dziennika lotu lub pomarańczowej skrzynki. Usiadła na podłodze, pochyliła się nad płataniną kabli, po czym wyciągnęła z niej małe plastikowe pudełko i zaczęła je dźgać śrubokrętem. Michael przepchnął tratwy obok klatki wyciągarki i ustawił je nad otwieraną klapą, którą - jak zakładałem - będziemy wychodzić.

Ana wstała.

- Uwaga - odezwała się. - Wszyscy mnie słyszą?

Wszyscy słyszeli.

- Gotowi na wyskok? Kaski, kamizelki, łączność? Dobrze. Na pierwszą tratwę wejdą w następującej kolejności: najpierw Gendo, potem NATYCHMIAST Asuka i Pen-Pen, potem Akagi i Kozo. Następnie tratwa dwa: prowadzi Zepp. Za nim idą Marduk i Shiro. Potem ja. W pierwszej tratwie będzie pięć osób, w drugiej cztery. Zrozumiano?

Wszyscy chyba zrozumieli, osu przepchnął się między nami na rufę. Kucnął na samym końcu, wyciągnął z podłogi panel i zaczął szybko w nim grzebać.

- Dobrze - powiedziała Ana. - Pamiętajcie, nawet jeżeli znajdziecie się na pokładzie, musimy się przenieść do łodzi C najszybciej jak to będzie możliwe, więc cały czas pilnujcie łączności. Zrozumiano?

Tak - każdy na swój sposób potwierdził.

- Kamizelki napompują się samoczynnie przy zetknięciu z wodą. Jeżeli nie, trzeba zagwizdać tym małym gwizdkiem. Wszyscy wiedzą, jak unosić się na plecach?

Cisza.

-Jak u Jacques'a Cousteau - wyjaśniła Ana. - Ktoś ma problem z utrzymaniem się na wodzie? Pen-Pen?

-Nurkuję - odparłem.

-Da sobie radę - zapewniła Marena.

-Czy ktoś zostawił przedmioty, które mogłyby naprowadzić na nasz ślad? Wszyscy rozpięli pasy? Pen-Pen?

Wszyscy wyglądali na gotowych.

-Dobrze. Pamiętajcie, po prostu leżcie i dryfujcie. Nie szarpacie się. Wyciągniemy was.

-Zobaczymy łódź za około osiem sekund - odezwał się pilot.

-Chcesz ich uprzedzić?

-Żadnych transmisji więcej - sprzeciwiła się Ana. - Zobaczą boje.

Uderzyła pięścią w panel na suficie i wielkie drzwi ładowni rozsunały się. Ciśnienie wzrosło, jakbyśmy znaleźli się w nadmuchiwanym balonie. Szlag, ależ tu jasno, pomyślałem. Samolot znajdował się mniej niż dziesięć stóp nad szczytami fal i nawet przy tak niskiej prędkości wydawało się, że pędzi nad wodą jak szalony. Na horyzoncie wznosił się tuż nad niskimi chmurami Northeast Cay biały, cyfrowo ostry księżyc z Krwawą Królicą uciekającą przed Panami Nocy. Ana wyrzuciła zniszczony rejestrator lotu przez drzwi.

Z rufy odrzutowca rozległ się syk i nadpłynęła fala zapachu smaru. Rozejrzałem się. Z podłogi, gdzie wcześniej klęczał osu, unosił się wcale spory gęsty gejzer. Oficer otworzył jeden z przewodów paliwowych i właśnie montował na nim urządzenie, które przypominało tani cyfrowy budzik. Detonator, domyśliłem się. Cholera, czas stąd spadać. Już.

- Dobra, ruszamy - rzuciła Ana.

Gendo, który dzięki włączonemu autopilotowi nie miał już nic więcej do zrobienia na pokładzie, wypuścił pierwszą tratwę, wypchnął ją przez otwór i zniknął zaraz za nią.

- Dalej! - krzyknęła Ana.

Marena chwyciła mnie za ramiona i zmusiła, bym kucnął.

-Teraz. Trzy, dwa, jeden. Jazda!

-Czekaj - chciałem powiedzieć, ale głos nie przebił się przez wycie wiatru. Wydawało się, że woda pod nami przesuwa się tak szybko, jak na pasie szlifierki. Wszystko było rozmyte. Marena pociągnęła mnie w tył ze sobą, lekko oderwaliśmy się od drzwi i poszybowaliśmy w dół jak filiżanka i spodek, które spadają ze stołu na twardą podłogę.

Przelecieliśmy nad Oaxaca w polimerowej kabinie. Kiowa Ch-138 był mały, powolny i otwarty - w przeciwieństwie do Hipogryfa. Tysiąc pięćset stóp poniżej tereny uprawne ustąpiły miejsca lasom, a potem kosodrzewinie na zboczach *altiplano*. Był 29 lutego, godzina 9:40 - dzień bez nazwy i bez patrona, występujący raz na tysiąc czterdzieści razy, przez co czułem się zawsze szczęściarzem w zupełnie odmienny od Majów sposób. Od nieprzyjemności w zatoce minęło pięć dni, pogoda zrobiła się słoneczna, dwadzieścia stopni Celsjusza, a my znaleźliśmy się osiem tysięcy czterysta stóp nad poziomem morza. Cudownie. Szesnaście godzin wcześniej dostaliśmy wiadomość, że jeden z satelitów zdolnych do wykrywania pól magnetycznych znalazł krzyż.

Znak znajdował się w strefie, którą określono jako bezpieczną, ale w sporej odległości od Ix. Co on, czy może ja, robił tak piekielnie daleko? Może Jed Dwa miał powód, by udać się do Teotihuacan. Albo próbował tam dotrzeć. I zakopał notatki o Grze w miejscu, dokąd doszedł, ponieważ obawiał się, że może nie wrócić do Ix.

Albo wiedział, że nie wróci.

Tak czy inaczej - zaszedł aż tam, prawda? To dobrze. Może jednak nie powinienem się tak bardzo martwić.

Skierowaliśmy się na zachód do centrum niskiej niecki na północnych wyżynach obok Coixtlahuaca. Rósł tu sosnowy kosodrzew i wrzosowate *ocotilla*. Wspaniałe królestwo tarantul. Czterech potęż-

nych facetów z DW w Meksyku, ubranych jak niedzielni właściciele rancz - w zbyt nowych, zbyt drogich stetsonach - zabrało nas z niewielkiego obozowiska. Mieli dwa osły z dużymi jukami, paraboliczną antenę radaru do penetracji gruntu na trójnogu oraz mały generator i kompresor ustawione przy czterostopowym zgrabnym dołku.

Nasz helikopter wylądował na swoim cieniu, wzbijając chmurę zwiru. Ana, Michael, Marena i ja wysiedliśmy. Ana przez chwilę rozmawiała z komandosami. Reszta zajrzała do dziury. Ci dwaj wkopali się na pięć stóp przy pomocy tylko kilofów i szpadli. Pozostało jeszcze dwie stopy, ale teraz należało stosować nieco delikatniejsze, plastikowe szufle. Michael kazał się nam nie martwić i pozwolić koleśiom skończyć. Czterdzieści minut zajęło dokopanie się do dużej płataniny na wpół skamieniałego błota. A przynajmniej czegoś, co tak wyglądało. Komandosi z DW wyciągnęli zawiniątko i oczyścili pędzlami. Była to głęboka i szeroka misa z wypalanej gliny, o średnicy dwudziestu cali i głębokości czterech, zamknięta pokrywką z uchwytem w kształcie żaby. Popękana na całej powierzchni, z kilkoma dziurami, gdzie odłamki odpadły, ukazując twardą powierzchnię brązowego wosku. Trochę za duże naczynie jak na przechowanie listu. Włożyliśmy ją do dużego plastikowego pudła próżniowego, zapakowaliśmy do helikoptera i odlecieliśmy. Przygazowaliśmy znowu do Nochixtlan - przypadkowo niezbyt daleko od jeziora Green Glass, które znajdowało się w zasięgu wybuchu z 2010, poleciliśmy do miasta Oaxaca i przesiedliśmy się na cessnę. Ashley Dwa, ulubiona asystentka Taro, czekała już na pokładzie z tacą staroświeckich styropianowych kubków wypełnionych czarną jak smoła bustelo - cholera, wspaniale było napić się prawdziwej domowej kawy zamiast tego organicznego świństwa, do którego przywykłem w USA. Wziąłem od razu dwie porcje. Cessna zabrała mnie na wschód-północny wschód, do Palika.

-Uważacie, że to jedyny krzyż, jaki zostawił? - zapytała nas Ashley. - Oczekiwaliśmy, że nas powiadomi, czy znajdzie się w tym grobie, czy nie.

-Może nie udało mu się wrócić do Ix - zauważył Michael. Zerknął na mnie. - Wybacz.

-W porządku - zapewniłem. Jasne, pomyślałem. Ale co, do cholery, się stało? Poza innymi dobrymi powodami, jak choćby ciekawość, zastanawiałem się również dlatego, że to po prostu przytrafiło się mnie. W pewnym sensie.

-Zresztą nie zanosi się, że będziemy mieli szansę zajrzeć do grobowców. Prawdopodobnie roi się tam od żołnierzy.

-Może, ale i tak będziemy musieli sobie z tym poradzić - zauważyła Marena. - Może udało mu się znaleźć dla siebie grobowiec, ale drugi krzyż został wykopany lub zniszczony. Albo Jed miał powód, by nie zostawiać drugiej wiadomości. Albo może coś jest w tej paczce, prawda? Może nie zostawił jej sam, może kogoś wysłał. Z jakiegoś powodu.

-No, to upewnię się, że dowiemy się tego jak najszybciej - stwierdził Michael.

I zaraz zabrał się do spełnienia obietnicy. Szczęście jego magistrantów zmieniło pomieszczenie w podziemiach Palika w pracownię archeologiczną i godzinę po naszym powrocie mogliśmy już obejrzeć zdjęcia rentgenowskie oraz skany tomograficzne, podczas gdy młodzież pracowała na zmiany przy wielkim, wypełnionym argonem przezroczystym pojemniku z tworzywa, gdzie złożyliśmy nasze znalezisko, i zeskrobywała wosk. W misie znajdowało się siedem przedmiotów. Sześć stanowiły małe zamknięte naczynia. Na skanach tomograficznych niewiele było widać, ale w trzech dało się dostrzec kości małych zwierząt. Ostatni przedmiot stanowił pojemniczek z niewypalanej gliny wielkości grubej książki. Wewnątrz znajdowały się trzy harmonijkowe księgi Majów, zapakowane chyba w sól. Michael powiedział, że prawdopodobnie można by odtworzyć teksty bez otwierania pojemnika, tak samo, jak to zrobiono w przypadku Kodeksu Norymberskiego, ale ponieważ w środowisku z argonem nic nie grozi rękopisom, więc szybciej będzie po prostu wyjąć książki i przeczytać normalnie. Co - jak stwierdził - zajmie najwyżej osiem godzin.

Zatem pozostali (z wyjątkiem Michaela) powlekli się do swoich pokoi. Nikt jednak jakoś nie kwapił się, żeby świętować. Jeszcze nie. Zastanawiałem się, czy nie zapukać do drzwi Marena, ale uznałem, że jestem nadal zbyt rozbity, zmartwiony, a raczej zbyt nieufny, na-

wet jeżeli wyglądało na to, że chyba nareszcie odnieśliśmy pierwszy sukces. Jednak rozpoczęło się międzynarodowe śledztwo dotyczące wypadku Hipogryfa i trudno było zakładać, że w końcu ślady nie doprowadzą policji do nas. A patrol, który nas wypłoszył z Ix, znalazł ekwipunek w ruinach, więc nadzieje, że wrócimy tam i spróbujemy ożywić Jeda Dwa, wydawały się bardzo wątpliwe. Na dodatek Za Nic nadal nie dawał znaku życia.

Ana Vergara na zebraniu po powrocie stwierdziła, że jej zdaniem Za Nic sprzedał nas Gwatemalczykom.

- To nie przypadek, że patrol przyszedł prosto do nas - powiedziała. - Nie ma mowy, że po prostu się rozglądali. A nasi ludzie na tym terenie byli pewni.

Pokazano nam też zapis transferu dużej sumy na konto Za Nic w Nikaragui oraz wypłaty tych pieniędzy.

Ale - jak na to odpowiedziałem - to mógł zrobić ktokolwiek. Nawet gdyby to było wideo z Za Nic odbierającym osobiście pieniądze, niczego by nie dowodziło.

- Za Nic za nic nie postąpiłby w ten sposób - stwierdziłem stanowczo. - Nie dlatego, że nie mógłby, ale dlatego, że miał dostać po wszystkim premię.

To musiał być ktoś z tak zwanych pewnych ludzi, jakich naraił Dział Wykonawczy, ktoś z wioski, dw rzucił pieniędzmi na prawo i lewo, pomyślałem. A im więcej ludzi wie, że coś się dzieje, tym bardziej prawdopodobny jest wyciek informacji. W istocie z każdą nową osobą to prawdopodobieństwo rośnie dziesięciokrotnie. I moim zdaniem, czego jednak nie powiedziałem głośno, to zapewne ludzie z dw podłożyli gotówkę na konto Za Nic, by napiętnować go jako czarny charakter i ukryć własną niekompetencję.

W każdym razie nawet jeżeli tego nie zrobili, winili mnie za porażkę. To przecież ja nalegałem, by zabrać kogoś z zewnątrz, i proszę, do czego doszło, dw zastanawiał się też, czy poza wydaniem nas Gwatemalczykom Za Nic mógł puścić farbę o szczegółach projektu Twix. Powtarzałem, że chciałbym ujrzeć twardy dowód, że Za Nic nas wydał, inaczej nie uwierzę w żadne tego rodzaju oskarżenia. Nikt nie

chciał mnie denerwować, ponieważ nadal mogłem się przydać do rozwinięcia Gry. Ale właśnie nadeszła jedna z tych chwil, gdy każdy na mnie patrzył trochę krzywo. Nawet Marena miała wątpliwości. I nie mogłem jej za to winić.

Przewracałem się z boku na bok przez dwie godziny, w końcu jednak się poddałem - wiedziałem, że nie zasnę. Przetruchałem przez plac do stanowiska ochrony i włączyłem jeden z całkowicie odciętych od sieci laptopów, po czym przejrzałem raport Departamentu Obrony na temat śledztwa badającego przepływ pieniędzy powiązany z horrorem w Disney World. Raport był w formacie PDF i miał trzysta trzydzieści pięć stron. Marnie uporządkowany, słabo zredagowany i na dodatek ostemplowany wszędzie „tylko do odczytu”, „utajnione, poziom dostępu - szary”, jak rekwizyt z filmu szpiegowskiego klasy B. Jednak miał wnioski. Stwierdzał, że oba izotopy polonu - dwieście dziewięć i dwieście dziesięć - których użyto podczas ataku, zostały z całą pewnością wyprodukowane w Związku Radzieckim w latach osiemdziesiątych. Podobnie jak uzbrojony węgiel substancje zostały rozdrobnione tak bardzo, że cząstki zachowywały się niemal jak lżejsze od powietrza, na dodatek pokryte były cienką powłoką węglowodorową, co pozwoliło im wiązać się z kroplami wody w smogu, który tego dnia również mógł być wywołany sztucznie. Wszystko to wskazywało na profesjonalną, wojskową akcję. System regulowanego rozrzutu prawdopodobnie był dość rozbudowany, włącznie z co najmniej dwoma stugalonowymi zbiornikami ciśnieniowymi i zapewne zdalnie sterowanymi zaworami z jakimś sprzężeniem zwrotnym. Jak dotąd jednak nie znaleziono ani zbiorników, ani nawet nie określono dokładnie miejsca, skąd rozpylona została substancja promieniotwórcza, chociaż na pewno znajdowało się ono w pobliżu jeziora Buena Vista.

Raport stwierdzał również, że ostatnio rosyjskie i kazachstańskie zakłady produkowały około stu gramów polonu dwieście dziesięć na rok, głównie dla celów medycznych i przemysłowych. Nad Orlando rozpylono trzydzieści razy więcej - ilość, która w prywatnym obrocie handlowym kosztowałaby ponad dwa i pół miliarda dolarów. A to nic w porównaniu z ilością tańszego izotopu dwieście dziewięć, który

rozrzucano w tym samym czasie. Najwyraźniej gdzieś na wschodzie produkowano więcej polonu, niż oficjalnie było wiadomo. A nawet jeżeli produkowano go tanim kosztem i sprzedano w barterze, a nie za pieniądze albo jeżeli Doktor X był, powiedzmy, bezpośrednim spadkobiercą tego, kto produkował polon, to i tak z rąk do rąk musiały po drodze przejść ogromne bogactwa.

Rzecz jasna, większość z tego już wiedziałem, i to z detalami. I, oczywiście, Departament Obrony oraz amerykańskie i sojusznicze służby wywiadowcze szły tym samym tropem co my. Ale nie oznaczało to, że możemy sobie darować. Musieliśmy po prostu zrobić to lepiej.

I to właśnie robimy, pomyślałem. Przewaga, jaką mieliśmy - poza Grą Ofiarną - opierała się na tym, że próbowaliśmy znaleźć prawdziwych wykonawców, gdy tymczasem wszystkie agencje rządowe niewiele to obchodziło. Jedyne, co naprawdę je obchodziło, to podwyżki funduszy. Agencje musiały przecież zatrudnić jak najwięcej ludzi, zając się tym najdłużej jak się da i przede wszystkim - wydać jak najwięcej pieniędzy.

A my byliśmy nieliczni i skuteczni. Może Doktor X posłużył się złotem, pomyślałem. Prosto ze źródła. Lepiej przyjrę się firmom wydobywczym jeszcze raz. Może kopalnie w Afryce? Zamknąłem laptop. Przeklęta maszyna zażądała sprawdzenia mojej tęczówki, zanim pozwoliła się wyłączyć. A potem sprawdziłem wiadomości na CNN.

Wieści nie były różowe. W USA bezrobocie sięgnęło dwudziestu pięciu procent. Administracja wydała oficjalne oświadczenie, że Bóg karze nas za niemoralność i sekularyzm. W stanach takich jak Teksas i Kentucky wprowadzono obowiązkową ciszę rano i w południe, podczas gdy prezydent przewodził masowym modlitwom na południowym placu przed Białym Domem, a dzisiaj przed telewizorami uczestniczyło w nich trzydzieści milionów ludzi. W ostatnim tygodniu zrestrukturyzowano wojska lądowe, marynarkę i siły specjalne - miały odtąd stanowić jedną służbę, która słuchać będzie rozkazów od jednego sztabu - a wkrótce do systemu mają być również włączone lotnictwo i NASA. Około dwustu tysięcy członków służb zbrojnych zostało zwolnionych, a ich stanowiska i zadania przejęli prywatni wykonawcy.

Agencja Moody's obniżyła ocenę inwestycyjną i ranking kredytowy USA do A. Wartość złota skoczyła do pięciu tysięcy dolarów za uncję. Wczoraj w Chester w stanie Illinois osadzeni przejęli więzienie, a SWAT, zamiast podjąć negocjacje, wyciągnął ciężką artylerię i rozpętał piekło. Budynek spłonął do fundamentów wraz ze wszystkimi w środku. Jak dotąd decyzja policji spotkała się z dziewięćdziesięcioprocentowym poparciem społecznym, na co wskazywała ankieta na YouCount.gov. Dearborn w Michigan przyjęło prawo szariatu.

Na scenie międzynarodowej - ponad dwa miliony uchodźców uciekało z Bangladeszu do Indii. Nasi starzy dobrzy znajomi - Gwatemala i Belize - znowu zaczęli sobie skakać do oczu, choć o tym już wiedziałem, codziennie dochodziły pogłoski o ostrzale podejrzanych oddziałów na granicy. Bioinżynierowie z Zion-Tech w Hajfie ogłosili, że udało im się wyhodować jednolicie czerwoną jałówkę. I... - co ludziom bez serca, czyli podobnym do mnie, wydało się pewnie komiczne - huragan Twinkie wzbierał nad Kubą.

Oczywiście te złe wiadomości dla nas oznaczały dobre wiadomości. Zła sytuacja działała na naszą korzyść - tak wiele spraw się nawarstwiało, że incydent z Hipogryfem mógł zaginąć w tym nawale. Laurence powiedział, że amerykańskie trzyliterowe agencje - i, rzecz jasna, belizeńskie oraz gwatemalskie, a także meksykańskie i brytyjskie - mają tak wiele spraw, że zapewne nie mogą oddelegować do śledztwa więcej niż paru ludzi. Zwłaszcza jeżeli uznają, że incydent prawdopodobnie wywołał jakiś miliardar narcotráfico próbujący w pośpiechu opuścić Gwatemalę. Choć wydawało się to zdumiewające, istniała spora szansa, że uda nam się ująć z tego zamieszania bez szwanku. Może nawet firmy ubezpieczeniowe wypłacą odszkodowanie za Hipogryfa.

Tuż przed świtem wróciłem do laboratorium. Marena i Taro już tam byli. Michael cuchnął, jakby wcale nie wychodził. To znaczy, że nie spał. Był także niezbyt chętny do pomocy Laurence Boyle, który teraz, gdy odnieśliśmy pierwszy sukces, zmienił się znowu w korporacyjnego liczykrupę. W wypełnionym śnieżną bielą pudle rozłożono ostatnie sześć stron jednej z trzech ksiąg. W nieostrych, nierównych

krzywych rozpoznałem swój charakter pisma. Arkusze, ustawione od końca, sfotografowano różnymi aparatami zamocowanymi w pokrywce pojemnika. List Jeda Dwa został natomiast już rozszyfrowany.

Tymczasem po drugiej stronie pojemnika z argonem otwarto kanopę i urękawicznione dłonie pobierały próbki brudnej masy ze środka. W godzinę zostaną dostarczone do laboratoriów Warrena w Salt Lake, a tam poddane analizie.

- Chcesz przeczytać swój list? - zapytał Michael.

Próbowałem wymyślić jakąś sarkastyczną odzywkę, ale skończyło się na kiwnięciu głową. Michael wrzucił zdeszyfrowany tekst na ekran.

Dziwnie się czułem. Mogłem sobie wyobrazić własny głos, ale niewiele więcej. Nie wiedziałem, co mój bliźniak zrobił i widział. Wstydzilem się, że nie zdołał wykonać zadania w całości, ale zarazem z trudem mogłem uwierzyć, że ja, czy może on, zrobiłem aż tyle. Nic dziwnego, że byłem też z siebie dumny, chociaż - a może właśnie z tego powodu - osobiście nie zrobiłem przecież nic.

(odkodowane)

nowe słowo klucz:

jbnnuiidsxjwnnqobeoflcoptxsvqcd-fehjrmr

Od: Jed DeLanda

w drodze na Nagie Wzgórze

(Monte Alban, Oaxaca)

Do: grupa Twix

Ruiny Ix, Alta Verapaz, RG

31 marca 664 roku, środa, około 11:00

Droga Mareno, Taro, Michaelu, Jedzie Jeden i wszyscy inni!

*Czterdzieścioro sześcioro z nas, pozostałości po głównych od-
działach, przebiło się przez przedmieścia Teotihuacan i osiem-*

naście słońc temu dotarło do ludzi 14 Zranionego, którzy czekali w ustalonym miejscu. 14 Zraniony stracił niemal połowę oddziałów, a zwiadowcy twierdzą, że resztki Klanu Pomy, które przegrupowały się pod rozkazami Odciętej Prawicy, atakują i masakrują każdego Orła i dziecko Grzechotnika, na jakie się natkną w dolinie. Teraz ścigają nas. Krąg ognia i zniszczenia żyje już własnym życiem, rozprzestrzenia się od ruin metropolii jak zapadająca się ziemia. Minęliśmy osady, gdzie mieszkańcy zagłodzili się na śmierć, ponieważ uwierzyli, że skoro świat się skończył, nie ma sensu jeść.

Jednak wokół jest też wielu żywych. Wielu straciło domy lub nie chce do nich wracać, więc przylączają się do nas. Nasze szeregi nieustannie rosną.

Większość nie jest wojownikami. Ale tego ranka pani Koh wysłała około setki heroldów - używam tego pojęcia, bo chyba najlepiej opisuje ich profesję: połączenie biegaczy, rekrutujących i misjonarzy - by wezwali dwudziestki weteranów wojennych towarzyszące pielgrzymkom wyznawców Gwiezdnego Grzechotnika, które nadal mogą być w okolicach, gdzie nie dotarł pożar i zamieszki. Posłańcy mają również zanieść wieść do przywódców kilku miast, które całościowo przeszły na ścieżkę Grzechotnika, że pani Koh chce się z nimi spotkać w Akpaktepec, oaxacańskim mieście Grzechotnika leżącym o dwa dni na zachód od stolicy. Jako wsparcie zbierzemy po drodze jak najwięcej rodzin, które przeszły na kult Grzechotnika, i ruszymy na wschód do Nagiego Wzgórza, gdzie ród Chmury obiecał nam schronienie. To wrogowie Pomy, czyli nasi potencjalni sojusznicy. Stamtąd, jeżeli się uda, powędrujemy w głąb lądu, z dala od bitych traktów, na wschód i południe - do Ix.

Jak widać, moje szanse na powrót do Ix są znikome. Dlatego uznałem, że pierwszy krzyż zostawię tutaj, na wszelki wypadek, gdyby stało się najgorsze. Nie nauczyłem się jeszcze tego, czego miałem się tu nauczyć. Ale mam nadzieję (jak widać), że w załączonych notatkach dostaniecie dość informacji, by zre-

konstruować Grę, i że składniki dopalaczy do Gry przetrwały stulecia w wystarczająco dobrym stanie. Oby udało się wam je odtworzyć chemicznie lub nawet klonować. Jeżeli tak, może było warto, wbrew temu, co tutaj widzę. Wiem, wiem, to sentymentalne, aż skręca flaki. Wybaczcie żalobny ton - więcej napiszę później, jeżeli to będzie możliwe. Pozdrawiam -

JDL2

ps. Jed, mógłbyś podarować Maximónowi więcej tych cygar, co ostatnio? Dzięki - J2

Oto spalanie, oto oczyszczenie - oznajmiłem w ch'ol. Wziąłem szczyptę tytoniu, przeżulem i wtarłem nieco po wewnętrznej stronie uda. Teraz pożyczam tchnienie dnia, który jest dziś, *Ox la hun Ok, Ox la uaxac K'ayab*, 13 Pies, 18 Błękit, dziesiątego słońca trzeciego *tun* dziewiętnastego *uinal* dziewiętnastego *k'atun* trzynastego *b'ak'tun*, w południe ósmego *kwietnia* roku Pańskiego 2012, w sześćdziesiątą pierwszą rocznicę urodzin mojej matki i dwieście pięćdziesiąt siedem słońc przed ostatnim słońcem ostatniego *b'ak'tun*. Teraz proszę patronkę dzisiejszego dnia, świętą Konstancyne, i wzywam świętego Szymona, którego imię dla nas, jego przyjaciół, to Maximón, by strzegli tego kawałka ziemi, by zwrócili oczy tu.

Wziąłem głębszy wdech.

- *Quinchapo wa k'ani, pley saki piley* - oznajmiłem. - Ukorze-
niam się w centrum wirujących światów. To siew, to uprawa. A teraz
rozrzucam czerwone czaszki, białe czaszki.

Kliknąłem „rozrzucić”. Trzysta sześćdziesiąt tak zwanych wirtu-
alnych ziaren rozsypało się na dwa miliony osiemset tysięcy pikseli,
które pokrywały ścianę ciemności w ergonomicznie luksusowym izo-
lowanym pokoju, który znajdował się w Paliku, czterdzieści stóp pod
boiskiem Hyperbowl. LEON zawahał się, pogrążony w myślach.

Wyciągnąłem się w nowym, wygodnym i drogim fotelu z masa-
żem *shiatsu*. Na lewym ramieniu pod opaską czujnika mierzącego ciś-

nienie krwi poczułem swędzenie. Podrapałem się. Cóż, oto jesteśmy. Znowu, pomyślałem. Powinienem się domyślić, że wszystko sprowadzi się na koniec do świata online. Ponieważ nadal jestem tylko tresowaną małpą. Jak wszyscy. Harujący w kopalni danych. Szlag. To ja powinienem był cofnąć się w czasie. To ja powinienem był zobaczyć starożytny świat. Pewnie. To ja powinienem być Jedem Dwa. Szczęśliwy drań. On to wszystko ujrzał na własne oczy. Klejnoty i *mul*. Ocelotowe indyki i błękitne oceloty. Oceany piór wszędzie i...

LEON zabrzączał.

Przesunął czerwony pionek o jeden *tun* na północ, do dwudziestego ósmego kwietnia, i oznakował go jako *kakilix*. To taki rodzaj dnia, w którym wszystko może się zdarzyć. Jak w przedszkolu.

„Twój ruch” - pojawił się komunikat w oknie pliku.

Hm...

Przez ostatnie trzy tygodnie przygotowaliśmy LEON-a, aby mógł pracować jako wyszukiwarka. Dzięki czemu dodatkowo obok okna Gry można było otworzyć okno pokazujące propozycje wyszukane przez LEON-a i, używając swoich ruchów w Grze, wpływać na wyniki wyszukiwania. Dzieciaki Taro ulepszyły też interfejs, dzięki czemu poprawiła się jakość interakcji i łatwiej można było sobie wyobrazić, że gra się przeciwko ludzkiemu przeciwnikowi. Nadal jednak LEON wykonywał tylko poprawne ruchy. To znaczy - nie przemyślane czy nawet najlepsze. Jedynie poprawne. Można by je nazwać podręcznikowymi, gdyby istniał podręcznik do Gry. Rzecz w tym jednak, że w grach na wysokim poziomie, dowolnych - w go, szachach, planszówkach - ruch podręcznikowy nie różni się specjalnie od złego ruchu.

A czasami jest to ruch, przez który się przegrywa.

Taro był rozczarowany obrotem spraw. Nie mógł uwierzyć, że nie istnieje żaden algorytm, żadna sekretna formuła - nic, czego mógłby nauczyć komputer i dzięki temu rozwiązać wszystkie problemy świata. Taro pragnął szczęśliwego zakończenia, LEON był jego dzieckiem i Taro chciał, żeby ta płatanina kabli znalazła rozwiązanie jego równań - i pragnął tego tak bardzo, że niemal uwierzył, że tak się stanie.

Tymczasem dostaliśmy mnóstwo opisów i strategii Gry oraz te pięć naczyń z narkotykami i częściami ciał zwierząt. Co nijak nie podniesie komputerowej mocy LEON-a, nie bardziej niż zalanie kawą twardego dysku. Próbowałem wyjaśnić Taro, że Gra to nie coś, co można obliczyć, że to styl życia, że nie ma w niej większej tajemnicy niż w grze na wiolonczeli, ale nie miał nastroju, by mnie wysłuchać. Taro to naukowiec do szpiku kości. Jeżeli rozwiązanie problemu nie można było zapisać na tablicy, nie stanowiło ono części jego *Welter-klarungsmodell*.

I doprawdy, skąd w ogóle przekonanie, że Grę uda się rozpracować na komputerze? Została przecież stworzona jako soczewka dla umysłu, a nie jeszcze jeden bezmyślny bajerancki gadżet. Żeby komputer grał jak człowiek, trzeba zbudować maszynę tak ogromnie skomplikowaną jak ludzki mózg. A LEON nawet minimalnie nie dorastał do tego poziomu. Nieważne, jak wiele komputerów zaprzęgniemy do tego zadania, i nieważne, jak szybko będą się uczyć - dla nich nadal pozostanie to tylko proces zero-jedynkowy.

Naturalnie, gdy tylko przeczytaliśmy o dopalaczach i zanim jeszcze poddano je analizie, próbowałem podkraść choć trochę, żeby zjeść prosto z naczynia, jak cukierki. I, naturalnie, dostałem po łapach.

Ale nie sądziłem, że zespoły naukowe podejną do sprawy tak sztywniacko. Powtarzałem, że powinno się uwierzyć Jedowi Dwa na słowo, oszacować dawkę, jaką przyjął, i spróbować ze mną. Ale dobrzy ludzie z laboratoriów Warrena - psychofarmaceutyczne ramię korporacji - chcieli najpierw zrobić jak najwięcej testów.

Dowiedzieli się, że dwa aktywne komponenty w doznaniu *tzam lic* to bufotenina - naturalny związek psychodeliczny wydzielany przez niektóre ropuchy i rośliny - jak również tryptamina i związki benzamidowe, które są podobne do sztucznych neurostymulatorów. Stosowane razem zwiększają wyraźnie poziom aktywności neuronów w niektórych obszarach kory mózgowej. Ale chyba ważniejsze okazały się wyniki testów na ślimakach. Tomografia pokazała, że u morskich ślimaków zarejestrowano bezprecedensowy wzrost plastyczności synaptycznej, a dokładniej - ogromne zwiększenie się w mózgu liczby

nowych ścieżek i różnego typu połączeń podczas okresu bioaktywności podanych substancji chemicznych. Z czasem narkotyki do Gry mogły podobno zmienić układ mózgu.

Po siedmiu dniach udało się zsyntetyzować dość substancji, by rozpocząć testy na zwierzętach. Pierwsze obserwacje wykazały, że narkotyki działają w systemie nerwowym etapami. Podczas fazy pierwszej ogromnie podnoszą pamięć terenu oraz orientację w przestrzeni i wycucie kierunków. Naukowcy przepuścili ślimaki morskie przez kółka wodne w ciemnym pokoju, a potem włożyli zwierzęta do nowego, dobrze oświetlonego akwarium i w minutę wszystkie przestały się kręcić, po czym podpłynęły do wschodniego narożnika, gdzie w starym akwarium znajdował się podajnik pokarmu. Oglądałem nagranie z myszami, które przeplwały przez wodne labirynty i już przy drugiej próbie małe dranie pamiętały drogę nawet przez najbardziej skomplikowane płataniny korytarzy, jakie udało się zbudować w ograniczonej przestrzeni pomieszczeń laboratoryjnych. Małpy robiły jeszcze bardziej zdumiewające rzeczy. Zwyczajny makak może przejść po linie, ale na dopalaczach może spacerować po rozhuśtanej linie w ciemności, a potem na komendę skoczyć do kolejnej, po której szedł godzinę wcześniej. Lisuarte powiedziała, że zmysł równowagi i koordynacja mięśni przypominają jej efekty działania propranololu, jednego z pierwszych beta-blokerów, który zażywało wielu dawnych muzyków przed koncertem. Podczas tej fazy powoli wzrasta współczynnik inteligencji ponad przeciętny poziom charakterystyczny dla danego osobnika. Przytrafiło się to nawet ślimakom, które wbrew powszechnym przekonaniom także posiadają inteligencję, a zatem i jej współczynnik, choć do poziomu Goethego trochę im brakuje. Makaki nauczyły się dziesiątek nowych znaków rąk. Zaczęły rozwiązywać układanki dla pięciolatków. Zorganizowały wspólnie ucieczkę z klatek, wyznaczając jednego, który włączy alarm przeciwpożarowy w porze ich kąpieli. Przypominało to scenę z tego filmu o superinteligentnych szczurach laboratoryjnych, „Tajemnica IZBY”.

A kiedy faza inteligencji osiągała szczyt, zaczynały się zmiany na innych, dziwniejszych polach - ujawniały się umiejętności, jakich

nie mogły sprawdzić testy IQ. Na przykład małpy zrobiły się hiperwrażliwe na kolory. W ogólności ludzie potrafią odróżnić parę tysięcy barw. Ci, którzy zajmują się malowaniem, mogą dobić dziesięciu tysięcy. Makaki wyróżniają paręset. Ale podczas trzeciej godziny na narkotykach ta liczba zwiększyła się czterokrotnie. Okazało się też, że ślimaki, a także ssaki, choć w nieco mniejszym stopniu, stały się wrażliwe na wibracje infradźwiękowe i na prądy elektryczne w wodzie lub przepływające przez podłogi klatek. Kiedy małpy umieszczano w klatkach, jedna statyczna iskra elektryczna mogła je pobudzić do wrzasku. A kiedy zwiększono im dawkę dopalaczy, laboranci dostrzegli też negatywne skutki uboczne - to znaczy poza spodziewanymi mdłościami, zimnym potem i kaszlem. U *Macaca mulatta* onychofagia i trichofagia rozwinęły się do postaci przewlekłej, stwierdzono w raporcie. Innymi słowy, małpy zaczęły obgryzać paznokcie i zjadać sobie sierść. A u *Aplysia californica* powtarzalne dawki doprowadziły do ostrej autofagii. Co znaczy, że ślimaki zjadały siebie, dopóki nie zmarły.

Doktor Lisuarte i badacze z laboratoriów znaleźli się w niezręcznej sytuacji. Na pewno byli świadomi, jak lukratywny jest rynek środków pobudzających. Mówiło się nawet, że przypadkowo dokonali paru przełomowych odkryć w tych dziedzinach. Osłabiony nieco zestaw miałby świetlaną przyszłość w medycynie. Ale jak wiele dużych korporacji Warren Group łożyła sporo w narkotykową prohibicję i propagandę antydopingową - do tego stopnia, że pewnie zarząd zaczął w to wierzyć. A i to całe mormońskie nastawienie też nie pomagało. Krótko mówiąc, ludzie od Warrena mieli klapki na oczach. I nie zauważali, że wszyscy wokół ustawicznie byli na prochach. Michael Weiner łykał oksykodon jak dropsy, głównie wtedy, gdy nie pociągał australijskiego rumu z piersiówki. Tony Sic nadal brał sterydy i androgeny, chociaż już od czterech lat nie grał zawodowo w piłkę, a stażyci w laboratoriach palili marihuanę i robili sobie imprezy z extasy dla białych kujonów każdego wieczora z wyjątkiem niedziel. Nawet Taro brał modafinil. Marena zaczęła znowu palić paczkę dziennie. Pracownicy budowlani byli naćpani po dziurki w nosie, ich dzieci wąż-

chały toluen, a przynajmniej połowa mormońskiego personelu wysłała wódkę z red bullem, gdy myślała, że nikt nie widzi. Wydawać by się mogło, że pojawi się choć śladowy sceptycyzm wobec korporacyjnej propagandy. Ależ skąd.

Marena zadzwoniła do mnie z Kolorado - przez nową, szyfrującą przekaz komórkę, o której, jak zapewniła, firma nie ma pojęcia - i powiedziała, że chciała pociągnąć za parę sznurków, by trochę przyspieszyć sprawę, ale nie powinienem naciskać, żeby mnie nie wykopano z projektu. Boyle i reszta zarządu to banda księgowych, stwierdziła. Wspólnie mają tyle ciekawości, co słoik zeschniętego *kimchi*.

- Och, rzecz jasna - zgodziłem się potulnie.

Ale jeżeli Lindsay zobaczy raporty, wpłynie na pozostałych i zarząd się trochę rozluźni. Marena powiedziała mi również, że martwi się o moje zdrowie i dlatego nie chce, abym brał te nieznanne substancje bez nadzoru. To miło z jej strony, że wzięła na siebie syzyfowy trud. Oczywiście powiedziałem jej o tym.

- Po prostu jeszcze trochę poczekaj - poprosiła w odpowiedzi.

W każdym razie dziesiątego marca pojawiły się wyniki testów toksykologicznych wykonanych na transgenicznych jukatańskich świnkach miniaturkach. Świnki bardzo zmydrzały i nie wykazały żadnych poważnych problemów zdrowotnych. A biochemicznie są przecież bardziej niż w połowie podobne do człowieka - jak twierdziła Lisuarte. Święta prawda, skoro ludzie, przynajmniej behawioralnie, okazali się bardziej niż na wpół świniami. Oczywiście podejrzewałem, że w laboratoriach Warrena przeprowadzano już próby na ludziach, najprawdopodobniej w Indiach, żeby nikt spoza laboratorium się nie dowiedział. Szczególnie taki wolny strzelec jak ja. W każdym razie obiecano, że będę mógł spróbować za tydzień.

Ale tak się nie stało. Dni mijały i zbliżała się data 4 *Ahau* - i nikt z nas czy w ogóle ktokolwiek nawet na krok nie zbliżył się do potencjalnego niszczyciela świata. A za granicami naszej małej enklawy świat powoli się rozpadał.

Osiemnastego ludzie z laboratorium nareszcie przysłali prawie po pół litra każdego z komponentów wspomagających Grę.

- Mówiłam ci, że tak będzie - ucieszyła się Lisuarte. - Oni też się martwią, tak samo jak my.

I chyba miała rację. Może i byli korporacyjniakami, którzy unikają ryzyka, może stanowili grupę dzieciaków z wielką bronią, napcha-nych mądrościami z kalendarzy, może powtarzali bezmyślnie republikańskie hasła wyborcze w stylu „po prostu powiedz: nie!”, ale przede wszystkim byli ludźmi. Mieli rodziny, mieli inwestycje, mieli ambicje i medyczne potrzeby... i jak my wszyscy umieli trochę liczyć.

Formularze zostały przysłane i podpisane. Lekarze z głównego szpitala w Salt Lake przyjechali mnie przebadać, żeby - jak przypuszczałem - była podkładka, w razie gdyby/jeśli wszystko poszło źle. Prawnicy podsunęli mi dokumenty, a ja je podpisałem. Zapewne nie powinienem, ale nie było czasu na subtelnosci. Dziewiętnastego Lisuarte dała mi zielone światło. Mogłem zażyć trzydzieści miligramów mieszanki chronotropowego i topotropowego specyfiku, pod warunkiem że będę monitorowany przez cały czas. Ale kiedy zażyłem dopalacze Majów po raz pierwszy, byłem zbyt rozbity, żeby grać.

Wystąpiły u mnie wszystkie objawy, włączając zawroty głowy, mdłości, mroczki w oczach jak te zwiastujące migreny i omdlenia, a także samobójczą depresję. Kiedy lekarze weszli do izolatki, zsunąłem się z krzesła i - według tego, co mi opowiedziała Lisuarte - przygryzłem sobie usta i próbowałem otworzyć żyły na udzie przy pomocy myszki Logitechu. Trzeba mnie było skrępować i zabrać do szpitala. Zapewniłem, że tego rodzaju objawy nie są dla mnie niczym nowym, przechodzę je kilka razy dziennie - gdy mam dobry dzień, rzecz jasna, i że jedyne, czego mi trzeba, to kolejna dawka i powrót do pracy. Ale lekarze wyplukali mi dopalacze z organizmu i zakazali zbliżać się do pracowni.

Wtedy naprawdę zacząłem się martwić. To znaczy nawet po tym, jak narkotyki przestały już działać i moje samopoczucie wróciło do normy, nadal byłem w porządnym dołku. Przeszedłem wodę, ogień, wiatr i ludzkie ekskrementy, by dostać te prochy - no właściwie to większość pracy wykonał Jed Dwa, ale jednak - a teraz nie mogłem zażyć nawet odrobiny. Lisuarte przypuszczała, że to alkaloidy w wy-

sokim stężeniu mogą w zestawieniu z moimi lekarstwami wywoływać paskudne interakcje. Szczególnie że dopalacze Gry blokowały za dużo odzyskiwanego kwasu glutaminowego, co prowadziło do nadmiaru azotanów, a te do ekstatyczno-toksycznych pragnień samookaleczenia, myśli samobójczych i mnóstwa innych niepożądanych efektów. Przez następny tydzień doktor L. wymieniła mój zaufany zestaw specyfików na koktajl nowszych, jeszcze bardziej paskudnych modyfikatorów zachowań. Kiedy dostałem listę dawkowania i specyfikacje, nie mogłem nic zrozumieć, więc przesłałem wszystko do zaprzyjaźnionego lekarza w Miami. Doktor stwierdził, że ujmując rzecz metaforycznie, będzie to jak wbicie mi wielkiego gwoźdźca młotem pneumatycznym. Ale ponieważ bardzo chciałem spróbować dopalaczy Gry, zażyłem specyfiki podane przez Lisuarte. Zdumiewające, ale nowy zestaw farmaceutyków zadziałał. Zaledwie po kilku dniach pojawiły się efekty, jakich pragnęliśmy - wydawało się, że niewiele zostało z dawnego Jeda. Zamiast wrednego, ponurego i mściwego troglodyty, jakim lubiłem być, pojawiło się ostrożnie optymistyczne i raczej dobrotliwe indywidualum, które również nosiło imię Jed. Moje nowe ja okazało się nawet prawie niewzruszone. Na przykład - tylko jako przykład - Marena odleciała dziesiątego, by zobaczyć się z Makssem, i obiecała, że wróci za tydzień, ale minął prawie miesiąc, a jej ciągle nie było. Twierdziła, że podróże zrobiły się niebezpieczne, i to dlatego. I to prawda, zaczynało się robić naprawdę niedobrze pod tym względem. Ludzie uciekali do niektórych miast i opuszczali inne. Zwykła odprawa ciągnęła się godzinami. Linie lotnicze gromadziły zapasy paliwa. Jedna trzecia hangarów na większości lotnisk zmieniała się w zamknięte obozy przymusowej kwarantanny. A jednak słowa Mareny brzmiały dla mnie jak wymówka. Gdyby Marena dała szansę gangowi Warrena, dawno już byłaby w Paliku. W sumie takie zachowanie do niej nie pasowało - Marena nigdy nie trzymałaby się z daleka od własnego projektu, zwłaszcza kiedy napotyka trudności. Może wiedziała coś, czego mi nie powiedziała. Może nie mogła znieść już mojego widoku. Albo po prostu nie chciała, by Max opuścił szkołę. Marena i ja zamieszkaliśmy razem, o ile spanie w tym samym pokoju w ba-

raku z prefabrykatów liczy się jako wspólne mieszkanie, i myślałem, że staliśmy się sobie bliscy, ale po jej odlocie już nie byłem tego taki pewny. W normalnych warunkach wściekałbym się i szalał, pewnie próbowałbym za nią polecieć i łasić się jak tchórzliwy pies. Ale teraz, kiedy myślałem o Marenie, na chwilę popadałem w tęskną zadumę, po czym z ponurym grymasem wracałem do tego, czym się właśnie zajmowałem - jak każdy człowiek, który potulnie akceptuje dzienną dawkę desperacji. Za Nic nadal nie dawał znaku życia. Na początku denerwowałem się tak, że chciałem wracać i go szukać, ale teraz po prostu spokojnie czekałem, co się stanie. Może Za Nic też wpadł w czarną dziurę, zupełnie jak ja.

Nie byłem również pewien, jaki jest mój status prawny. Przynajmniej sześć różnych wydziałów prowadziło śledztwo w sprawie „incydentu z Hipogryfem” - niezły tytuł na nową pośmiertną powieść Roberta Ludluma - i udało im się wreszcie powiązać go z Działem Wykonawczym, co oznaczało, że reszta z nas wkrótce też może się znaleźć pod lupą. A na domiar złego pozwolono Sicowi i paru innym stażystom wypróbować dopalacze i na nich narkotyki podziaływały dobrze. Sic studiował notatki Jeda Dwa i doszedł do nowego układu Gry, a potem, z oświeceniem krwi, przewyższył mnie. W normalnych warunkach wpadłbym w szal zazdrości, nieważne, że stawkę stanowiło być albo nie być świata. A teraz tylko nie przestawałem ćwiczyć.

Moje drugie podejście do dopalaczy poszło lepiej. Rozegrałem dwie partie i wygrałem w cuglach. Po piątej dawce byłem tak dobry w Grze czterema kamieniami, jak wcześniej dwoma. Poprosiłem o podniesienie dawki. Lisuarte odmówiła. Dziewięć dni wcześniej skończyłem Grę pięcioma kamieniami. Teraz robiłem postępy z sześcioma, a wczoraj nawet miałem niewiarygodne przebliski Gry siedmioma kamieniami. Ale - jak pewnie wspomniałem - Gra siedmioma kamieniami nie jest po prostu dwa razy trudniejsza niż sześcioma, czy nawet nie siedem razy trudniejsza, czy też czterdzieści dziewięć razy. To prawie siedem silnia, czyli pięć tysięcy czterdzieści trzy razy trudniejsza. Zatem, patrząc realistycznie, na obecnym poziomie nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że kiedyś zagram ośmioma pionkami, nie

wspominając o dziewięciu. W życiu się nie nauczę, a już na pewno nie w parę miesięcy. Czasami, kiedy czytałem notatki Jeda Dwa o tym, co potrafiła ta jego pani Koh, która nie tylko grała dziewięcioma kamieniami, ale używała żywych zwierząt jako pionków, a potem robiła to coś z pajęczyną, wydawało mi się, że moje alter ego przesadza. Ale czemu miałby? Albo czemu miałbym przesadzać?

Dwudziestego drugiego Laurence powiedział, że on - miał na myśli Lindsaya - chce, abym opracował horror w Disney World. Odpowiedziałem, że chciałbym zająć się bezpośrednio sprawą zagłady świata, i zwróciłem się o poparcie do Taro i Mareny. Zdecydowaliśmy, że poświęcę dwa dni na szukanie Doktora X, sprawcy horroru. Jeżeli go wskażemy, powiedzieli, Departament Bezpieczeństwa Narodowego pozwoli nam robić, co zechcemy. Potem wszystko, co powiemy o 4 *Ahau*, natychmiast zostanie potraktowane poważnie, niezależnie od tego, jak dziwacznie będzie wyglądać. Zabrzmiało to rozsądnie, jednak byłem pewien, że kryje się za tym o wiele więcej. Ale już przejrzałem notatki Jeda Dwa o Doktorze X z Gry, jaką przeprowadziła pani Koh, i na pewno wywołały u mnie mnóstwo skojarzeń i przebłysków. Chociaż, czytając notatki raz po raz, czułem irytację na swojego sobowtóra. Napisał o tym tylko czterdzieści tysięcy słów, czyli niewiele, gdy się próbuje zapamiętać każdy najdrobniejszy nawet szczegół, ponieważ później może się okazać niezwykle ważny. I jeszcze ten styl. Przebijał w nim nadęty uśmiezek rozleniwionego drania, ton, od którego cierpły mi zęby. Rozumiałem, że pisał/pisałem w trudnych warunkach, ale... Cóż, często popada się w złość na siebie, nawet jeżeli nie zostało się rozdartym na pół. W każdym razie czytałem zapis Gry o horrorze w Disney World raz po raz. Najwięcej o tym, jak on albo powiedzmy - ja odnosiłem nieodparte wrażenie, że Doktorem X jest ktoś, kogo dobrze znam z nazwiska, choć nie spotkałem go osobiście, ktoś nadal żyjący, kto okrążył świat niejeden raz, może ktoś, kogo nie doceniłem, albo ktoś, kogo nie brałem pod uwagę, ponieważ wydawało się to zbyt oczywiste. A jak rzekł Jed Dwa, Doktor X to ktoś, kto ongiś częściowo stał po stronie światła, ale teraz znowu wybrał ciemność.

Ach.

Tego dnia przyszedłem do mojego biurka trochę później i rozrzucałem pierwszą garść nasion w południe. Próbowałem zintegrować Grę z wyszukiwarką LEON-a. Tajne kontrakty, pomyślałem. Konta na Kajmanach. Urzędnicy żyjący ponad stan. Odrzutowce, jachty i bugatti zawracające na nieodpowiednich podjazdach. Wygrane hazardowe. Żony, które nieoczekiwanie odziedziczyły spadek sto razy większy, niż przypuszczano. Antyki, dzieła sztuki, stara biżuteria z nowymi kamieniami. Cokolwiek. No, dalej. *Quid bonum? Idź za dolarem...*

Szlag, blokada.

Przejrzałem jeszcze raz wyniki, przesiewając jeden olbrzymi blok danych przez inny, a potem śledząc punkty, gdzie się przecinały. Skałałem po śladach pieniędzy. No, dalej. Naprzód. Ku wielkiej kasie. Ku tym, których kochała mamona. Krok po kroku. Naprzód. Bez wątplenia to jedna osoba, pomyślałem. Całość była zbyt spójna, nie pasowała do myślenia grupowego. A co do tego, kto czerpał korzyści... Cóż, to właściwie łatwe - na całym świecie każdy, kto miał wojskowy kontrakt, czerpał korzyści. Przypuśćmy, że to jeden z nich. Który? Czy je akcje poszły w górę najbardziej? Albo skoczyły na drugie miejsce. No, dalej. Powiedzmy, że to korporacja A. Tyle tylko, że korporacja B posiada większość korporacji A. Ale może to korporacja C odniesie największe korzyści? Albo korporacja D, która zamierza je wszystkie wykupić. Tędy. Tędy. Tędy. Tędy. Hip-hop. Łańcuch przyczyn. Łańcuch skutków. Rosyjskie matroszki w matroszkach. Rosyjskie matroszki ukrywające mnóstwo syjamskich matroszek. Z potrójnymi syjamskimi matroszkami i poczwórnymi. No, dalej. Każdy łańcuch ma słabe ogniwo...

Ach.

Zdecydowanie chodziło o pieniądze. Kasa płynęła wokół czegoś, konturu - może głowy, może... Prawie mogłem to dostrzec, emocjonalnie... To znaczy nie było żadnego obrazu, ale wyczuwałem wyraźnie nienawiść wokół tego punktu, może nie tyle z samego pola, lecz...

Tak. Nienawiść innych ludzi.

On jest wyrzutkiem.

No, dalej. Pomyślmy.

Ktoś bogaty i wpływowy, kogo nikt nie lubi. Ktoś znienawidzony nawet przez ludzi po jego stronie. Ktoś przegrany. Ktoś z wykrzywioną twarzą. Ktoś, kto potwierdzi moje najgorsze podejrzenia. Ktoś uznawany za naprawdę złego. W każdym razie uznawany przez większość ludzi. Jakiś wygnany imam? Ten koleś z Birmy? Nie, nie to. Szlag, głupieję na starość czy co?

Może nie mogłem nic zobaczyć, ponieważ było tego więcej, niż się spodziewałem. Może wcześniej już miałem rozwiązanie, ale je odrzuciłem? To tak, jak się wtedy, gdy się szuka kluczyków od samochodu. Zaczyna się sprawdzać wszystkie zakamarki, ponieważ już się sprawdziło kieszenie, a potem, gdy przewróci się dom do góry nogami, okazuje się, że kluczyki miało się właśnie w kieszeni, ale przez pierwsze dziesięć sekund szukania pomyliło się je, powiedzmy, z kluczami od domu i to wystarczyło, by... Wiadomo, o co chodzi.

Dobra, dalej. Naprzód. Ruch LEON-a, mój ruch. Łańcuch zdarzeń. Łańcuch, łańcuch, łańcuch, łańcuch pokarmowy. Ruch LEON-a, mój ruch. Ruch LEON-a...

Och! Oto jest.

Osiemnaście miliardów euro. I to tylko w jednej transakcji. Elementy układanki niechętnie przesuwają się na swoje miejsca, jak zapadki w starym, zardzewiałym zamku. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem...

Nie Richard. Firma.

Mam cię!

Spodziewałem się, że Departament Bezpieczeństwa Narodowego i inne agencje będą dobrze opłacone, więc nic się nie stanie po tym, jak wskazaliśmy sprawcę. Albo może spróbują nas uciszyć. Ale najwyraźniej rząd nadal nie był jeszcze wystarczająco jednomyślny, ponieważ, co zdumiewające, rano dwudziestego ósmego FBI w tym samym czasie wkroczyło do biur Halliburtona w Houston i Bakersfield, do budynku KBR w okręgu Harris i do dwunastu filii oraz stu dziesięciu serwerów, które stanowiły własność Dyn-Corp lub firm córek kontrolowanych przez grupy Carlisle. Dwieście czterdzieści trzy osoby zostały aresztowane. A według słów Laurence'a - który usłyszał to od Lindsay, ten zaś bez wątpienia dowiedział się albo od kogoś z wewnątrz, kto miał relację z pierwszej ręki, albo od samego Boga - funkcjonariusze w czterech miejscach znaleźli pliki na temat polonu w aerozolu, a na jednym z serwerów znajdowało się opracowanie mówiące o tym, że centralizacja sił militarnych jest naszym największym priorytetem i osiągniemy ją dzięki wywołaniu odpowiedniego zamieszania. Podejrzewam, że pieniądze było już łatwo wytropić, gdy się miało wszystkie elementy układanki. W skrócie - zamachowcy wykorzystali system *hawala* do obrotu gotówką. *Hawala* w uproszczeniu działa na zasadzie powiązań między ludźmi, którzy są członkami wielkich islamskich klanów. Ludzie ci ufają sobie na słowo i niczego nie załatwiają na papierze. Żadne pieniądze nie zostały nigdzie przeniesione, choć złożono odpowiednie obietnice regulacji zobowiązań. Kilka lat wcześ-

niej - dokładniej w 2006 - paru właścicieli hoteli w Dubaju zatrudniło przez Moskwę kontrahentów do budowy prywatnych dróg oraz lotnisk. Trochę przepłacili. Kontrahenci użyli pieniędzy, by spłacić długi wobec innej firmy - prawdopodobnie jednej z tych, które połączyły się w Łukoil. W ten sposób Łukoil stał się właścicielem nieudokumentowanego polonu wyprodukowanego przez firmowy zakład. Wtedy też ludzie z Carlisle policzyli sobie mniej za prace budowlane obejmujące sieć hoteli w Jordanie i Libii. I tak się to rozwijało dzięki dziesiątkom transakcji na słowo. Dlatego mogło się wydawać, że uda się to wszystko zamieść pod perski dywan. Ale osiemnaście miliardów to jednak duża suma, nawet w dzisiejszych czasach, i spora jej część musiała zostać gdzieś zdeponowana. A z nowym prawem bankowym i udoskonalonymi wyszukiwarkami coraz łatwiej było znaleźć zdeponowane środki, które odpowiadają szacowanym brakującym sumom gdzie indziej. Kiedy LEÓN i jego odpowiednik w Departamencie Bezpieczeństwa dowiedzieli się, czego mają szukać, po prostu zaczęli przewalać dane, dopóki nie znaleźli dwóch odpowiadających sobie wzorców jak dwóch odcisków palców podobnych na tyle, by przekonać sąd.

Jednak nawet z tym nie udało się postawić zarzutów Dickowi Cheneyowi - był jedynie podejrzany - i, jak należało się spodziewać, najwyraźniej przekupił go trzeba i zniknął.

I raczej nie uda się go znaleźć, pomyślałem. Drań ma więcej kryjówek niż zimnowojenny program rozmieszczenia głowic obronnych. Nawet gdybym miał rozpracować go Grą, zapewne Cheney by się przemieszczał z jednej kryjówki do drugiej, a ja pozostawałbym zawsze krok z tyłu. Cóż, wykonałem swoją robotę. Nie przyniosło mi to satysfakcji, ale życie nigdy nie daje satysfakcji. Zapewne więcej okaże się później. A to wyciągnie na widok publiczny wiele osób i może jedna z nich puści farbę i wygada się o Dicku. Jak dotąd odpowiedzią mediów na wejścia do firm były jedynie spekulacje, ale prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu pojawi się wielki przeciek o tym, co naprawdę zaszło.

Albo sam narobię hałasu, pomyślałem. Jak tylko oderwę się od innych niecierpiących zwłoki spraw.

A sprawy w szerokim świecie szły coraz gorzej i gorzej. Bangladesz był niemal całkowicie pozbawiony elektryczności, jedzenia, wody pitnej i prawa. Miecz Allaha atakował amerykańskie bazy w Pakistanie. Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego przyznała, że nie doszacowała liczby przypadków śmiertelnych na Florydzie i że według najnowszych obliczeń przewiduje się, że ciągu najbliższych paru lat umrze jeszcze sześćdziesiąt tysięcy ludzi, co oznacza, że horror w Disney World pochłonie łącznie ponad sto tysięcy ofiar. Prawdopodobnie dokładniej sto dwadzieścia cztery tysiące trzydzieści osób, pomyślałem. Mniej więcej. Nie było dość specjalistycznych placówek, by zająć się wszystkimi poszkodowanymi w USA, więc bardziej zaawansowane przypadki odsyłano za morze, chociaż na Florydzie powstawało właśnie największe na świecie hospicjum. W dużych miastach czternaście razy ogłaszano stan wyjątkowy, gdy jacyś psychopaci próbowali naśladować zamach w Orlando. Wszystkie okazały się czyste, czyli bez prawdziwego polonu, ale akcje ewakuacyjne pochłonęły miliardy. Dla konwencjonalnych materiałów wybuchowych nadeszło odrodzenie. Dwa dni temu zamordowano osiemdziesiąt osób w podwójnym samobójczym zamachu w DeKalb w stanie Illinois. Jak większość nowych ataków bombowych incydent w DeKalb przebiegał dwuetapowo - najpierw nastąpiła duża eksplozja, która zmiotła budynek mieszkalny i którą sprawca oglądał przez lornetkę, a potem, kiedy dom się zawalił, zamachowiec wysadził się przy pomocy urządzenia wielkości ręcznego granatu. Ekipa śledcza była niemal całkiem pewna, że zamach należał do grupy niezwiązanych, czyli nie miał podłoża ideologicznego, lecz stanowił jeden z wielu podobnych aktów, jakie popełniali zwykli ludzie. Ludzie, którzy mieli dość i chcieli zabrać ze sobą na tamten świat jak najwięcej sobie podobnych, miejscowych urzędników lub współpracowników. Tacy sprawcy jeszcze kilka lat temu zadowoliliby się garstką ofiar, które mogliby ustrzelić. A co najgorsze, w Grze pojawiły się wskazania świadczące, że sprawca zagłady świata właśnie wykonał pierwszy ruch.

W ostatnich dniach marca rachunki prawdopodobieństwa LEON-a wskazywały, że świat - z grubsza rzecz ujmując - permanentnie prze-

kroczył linię krytyczną. To znaczy ludzka historia znalazła się w punkcie, gdzie najmniejsze nawet zakłócenie może wywołać potężną lawinę zdolną zetrzeć z oblicza ziemi wszystko na swej drodze. W tej sytuacji stawało się jasne, że nawet jeżeli zidentyfikujemy i zatrzymamy pierwszego (hipotetycznego) samotnego niszczyciela, niemal natychmiast pojawi się kolejny jemu podobny. I będzie ich więcej. Przy wzrastającej liczbie najpierw pojawiać się będzie jeden na, powiedzmy, dwa, trzy lata, ale z czasem co miesiąc, a potem jeden dziennie, i tak do nieuchronnego końca. A jeżeli chodzi o koniec, to nawet jeżeli pierwsza apokalipsa nie zakończy się sukcesem, nawet jeżeli obejmie tylko jeden kontynent, incydent na taką skalę bez wątpienia wpłynie negatywnie na pozostałe społeczności i osłabi je do tego stopnia, że będą praktycznie bezbronne w obliczu kolejnych katastrof. Jak to ujęła Ashley Dwa, system immunologiczny świata zostanie drastycznie zakłócony i nawet najmniejsze przeziębienie może mieć fatalne skutki.

Powtarzałem, że potrzebuję większej dawki. Lisuarte twardo odmawiała. Około czwartego kwietnia zacząłem mieć przeczucie, że już jest za późno. Albo niedługo tak będzie. Tylko przeczucie, ale nie podobała mi się data, którą oznaczył LEON - dwudziesty kwietnia. To nie był pierwszy raz, gdy ta data się pojawiała. I za każdym razem wydawało mi się, że wokół niej lśni szara poświata. I wcale nie dlatego, że był to Dzień Gołębia. Data wydawała mi się punktem, skąd nie będzie powrotu. Może sprawca apokalipsy w tym dniu zamierzał zakazić populację wirusem, który da objawy dopiero w 4 *Ahau*. A może była to bomba konwencjonalna lub reakcja łańcuchowa, zainicjowana właśnie dwudziestego kwietnia. Niezależnie wyczuwałem, że nasza godzina zero właśnie nadeszła. Może nawet już wczoraj. Pora na plan D - działania drastyczne.

Łatwo jest okraść kogoś, kto ci ufa. Oszukanie doktor Lisuarte byłoby trudne. Ale Taro miał dostęp do lodówki z prochami, a jego pracownia nie była najbardziej uporządkowanym miejscem na świecie. Na dodatek ja i Ashley Dwa mieliśmy, cóż... romans. Nieobecność Mareny i uziemienie męża Ashley w Pekinie, kiedy dla świata zaczynał się świt żywych trupów, nie mogły się na nas nie odbić. W zasadzie

był to związek dla wygody. Ashley nie należała do kobiet, które się zauważa, ale jeśli się zdjęło jej okulary i fartuch laboratoryjny, po czym zabrano do przyciemnionego pokoju, mogłaby udawać pulchniejszą bliźniaczkę Ziyi Zhang. Próbowwała nauczyć się Gry - i była chyba najgorszym graczem w okolicy - a ja dawałem jej indywidualne korepetycje z bonusem. Nic poważnego, gdyby nie to, że Ashley zatrzymywała dla mnie szczyptę dopalaczy ze swoich dawek. Topotropowy komponent musiał być w płynie, więc przechowywano go w małych czterdziestomiligramowych błyszczących fiolkach. I do dzisiaj udało mi się zebrać dodatkowe czterysta osiemdziesiąt miligramów, ukrytych w pojemniku-tubie po drażetkach witaminowych. W izolowanym pomieszczeniu do Gry nie było kamer, przynajmniej takich, które mogłem znaleźć, a i nie przestrzegano zbyt sztywno reguł bezpieczeństwa. Jeszcze.

Wyciągnąłem ostrożnie cylinder spod ramienia, wsunąłem pod prawą, niesmarowaną tytoniem nogę i otworzyłem pokrywkę. Rozległ się odgłos jak powoli otwieranej butelki coli. Nagle poczułem, jakby w tętnicy udowej zastygła mi bryła lodu, która zaraz się roztopiła.

Za dwadzieścia minut przekonam się, czy dobrze dobrałem dawkę. Z grubsza powinna to być jedna piąta tego, co według naszych obliczeń wzięła pani Koh podczas ostatniej Gry z Jedem Dwa. Oczywiście ona miała całe życie, by wyrobić sobie tolerancję. Ludzie z laboratoriów Warrena twierdzili, że tak duża dawka może okazać się fatalna w skutkach. Śmiertelnie fatalna. A przynajmniej może wypalić mi hipokamp. Jasne. Pierdziele. Zresztą jak dostanę ataku, personel Li-suarte wpadnie tu, poda mi rozluźniacze i przywróci do normy. Dzisiaj medycyna może wszystko. Prawda? Nic to, miałem ważniejsze problemy. Muszę się skupić.

Ruszyłem moją pierwszą z dziewięciu czaszek na dwudziestego ósmego marca i przesunąłem ziarno LEON-a. Co ty na to, sztuczniaku? „Myśle” - pojawiła się w jego oknie dialogowym odpowiedź. Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Rozglądanie to trochę mylące określenie, ponieważ teraz czułem nieustanne trzaski iskier we krwi płynącej moimi arteriami. Widziałem naprawdę, jeżeli można tak powiedzieć,

widziałem wszystkie drobne drżenia i zawirowania, czułem, że każdy atom mojego ciała ma parę na planszy. Może tak właśnie niewidomi z wszczepionymi kamerami i elektrodami językowo-gardłowymi widzą przy pomocy języka.

BIP.

LEON ruszył o dwa pola, do centrum.

Hm.

Pchnąłem moją czaszkę naprzód. Ogarniało mnie uczucie, jakie pojawia się przy wchodzeniu po schodach - rozciąganie i zarazem skurcz. Trudno to opisać, ale emotywnie to jak wtedy, gdy całe życie spędziło się w małym mieście i zna to miejsce na wylot, ale nigdy nie widziało się go na mapie, aż pewnego dnia wchodzi się, powiedzmy, na wysoką wieżę radiową, którą wzniesiono w centrum, i po raz pierwszy można spojrzeć z góry na rodzinną ziemię. W parę sekund zaczyna się rozumieć to, o czym wcześniej się nawet nie wiedziało, że trzeba rozumieć. Dostrzega się miejsca, które wydawały się tak daleko od siebie, a okazały tak blisko, ulice, które uznawało się za proste, bieżną zaskakująco nierównymi liniami, parki - uznane za prostokątne - okazują się nieregularnymi trapezami, znane budynki, z dołu duże, teraz są małe, mniejsze niż te mniej znane domy, które uznawało się za mniejsze... Wszystko widzi się w nowej perspektywie, z nowym zrozumieniem, którego nie można osiągnąć, po prostu żyjąc na dole w tym miejscu - nawet gdyby żyło się setki lat.

Problem z tą nową perspektywą jednak polega na tym, że wydawać by się mogła radosna, nawet zabawna. Ale tak nie jest. To przerażające doznanie. Szczególnie przerażające za pierwszym razem, rzecz jasna. I zawsze takie pozostanie. Większa percepcja to większy strach. I w rzeczy samej - tak być powinno.

Kiedy czytałem o zwierzętach użytych przez panią Koh, nie zaskoczyło mnie to tak bardzo, jak Jeda Dwa. Doprawdy, traktowałem siebie ostatnio jak małpę, więc nic dziwnego. To znaczy, aby naprawdę grać pionkiem, czyli czaszką, trzeba się bać. Trzeba patrzeć na otoczenie jak zwierzę uciekające przed pogonią, dostrzegać drapieżnika w każdym cieniu. A kiedy rozszerza się zrozumienie, nie wzrasta

poczucie siły i władzy, lecz jedynie coraz większego lęku. To lęk nie tylko o siebie, lecz także o inne zwierzęta-ofiary, członków stada, które nagle dostrzega się wokół, tak wielkie, że niepoliczalne. I zamiast znajdować drogi ucieczki, ma się świadomość, że tak wiele jest wokół zwierząt, które mogą stać się ofiarami drapieżników, a tak daleko do bezpiecznego schronienia. Zaczyna się rozumieć, jak nieprawdopodobna i ulotna jest świadomość, jak wiotka. Im wyżej na tych metaforycznych stopniach świadomości, tym silniejsze poczucie efermeryczności istnienia. Zaczyna się widzieć dokładniej terażniejszość, szerzej ogarniać przeszłość, a nawet dostrzegać przebliski bardziej prawdopodobnych przyszłości i bardziej możliwych przeszłości - na przykład miliardy linii, na których się nie narodziło - a nawet alternatywne terażniejszości i nieistniejące przyszłości, i światy niemożliwe, uniwersa, gdzie światło jest powolne i punktowe, a grawitacja szybka i zmienna, gdzie dwa plus dwa równa się jeden, a nawet takie, gdzie dwa plus dwa równa się, powiedzmy, grejfrut. I to wcale nie jest intrygujące. To przerażające.

Lecz jeżeli przejdzie się przez ten zawrót głowy, zaczyna się naprawdę dostrzegać wzory. Zminimalizowałem okno z planszą Gry na ścianie wideo i zerknąłem na przepływające roje surowych danych. LEON właśnie przegryzał się przez informacje odnoszące się do ludzi o tych samych nazwiskach i imionach. Upewniał się, że zostały dopasowane do odpowiednich osobników. A pod informacjami rozumiem wszystkie powiązane dane - genealogię, strony internetowe i linki do znajomych, oświadczenia kredytowe, zakupy, oceny szkolne, urodziny, zdjęcia, hobby ujawnione i dodatkowe, historię wyszukiwań, szacowany haploidalny łańcuch genetyczny w komórkach płciowych, powiązane dane medyczne, wodospad Iguacu faktów, prawie-faktów i fałszywych danych w każdym możliwym języku świata, naturalnym i sztucznym. W największym przybliżeniu widziałem to, co mógłby widzieć Bóg, więcej, niż widzi Google, ponieważ Google widzi tylko wyniki wyszukiwań zadanych przez nie tak znów inteligentne ludzkie stworzenia. Szukanie potrzebnych informacji musi być bardziej celowe i selektywne. Trzeba się skupić. I nie mam tu na myśli

koncentracji na drobnym szczególe, jak w zwykłych poszukiwaniach. Bardziej przypomina to patrzenie na stereogramy, gdzie należy skupić wzrok poniżej obrazka i jeżeli się nie rozproszy uwagi, zaczyna się widzieć kształt, a dokładniej przestrzeń raczej niż kształt, bo tak naprawdę widzi się właśnie przestrzeń; jeżeli to się uda, jeżeli użyje się tylko jednego oka, można zobaczyć całość, a jeżeli wtedy się skupić, kształt zaczyna się robić wyrazistszy, odcinać się od tła, nabierać głębi i faktury, aż nareszcie rozpoznaje się, co to jest. Kiedy pył Sternika rozpuszczał się w moim systemie nerwowym, czułem, jakbym powoli otwierał drugie oko, zaczynałem dostrzegać zarys na wschodzie, mięśnie tęczówki powoli się kurczyły, by wzrok mógł skupić się na tym, co znajdowało się poza kaskadami nazw, liczb i szacunków oraz kwadrylionów innych śmieciowych danych, budujących monstrualny świat. Zaczynałem już rozpoznawać, co widzę - coś zbudowane z tych wszystkich danych, a zarazem niezupełnie z nich, mający przedemną. Zbliżało się coś strasznego.

LEON wykonał ruch. Ja wykonałem ruch. Potem on. Ruszyłem w kierunku majaczącego kształtu. Wyczuwałem, że może to być stożkowata piramida lub wygasły wulkan, ale koszmarnie dotknięty erozją, popękany i pełen sypiących się rumowisk. Ale tuż pod szczytem było coś dziwnego, zgrubienie jak gigantyczna kurczajka.

LEON wykonał ruch.

Hm...

Wykonałem ruch, przepychając się przez huragan danych. Cały ten zgiełk i tak wątyły sygnał, pomyślałem. Jak śnieżący obraz w telewizorze, LEON zrobił kolejny ruch. Hm... Nie tu. Nie tam. Coraz trudniej było wyczuć ścieżkę naprzód. Coraz mniej i mniej twardych punktów do oparcia nóg podczas przeprawy przez bagno.

Ruch LEON-a.

Hipotetyczne ruchy zamglily się i rozplynęły. Widziałem jasno drogę przed sobą. Wykonałem ruch. Teraz miałem wrażenie, że wspinam się po wysokich, nieregularnych od erozji stopniach. Wokół wznosiły się wielkie bryły, ale nie potrafiłem ich zobaczyć, a raczej nie umiałem ich wizualizować, bo tak naprawdę nie widzi się żadnego pejzażu Gry, raczej się ją wewnątrz wyczuwa. Może tak właśnie było z tym niewidomym himalaistą, Erikiem Weihenmayerem, który zdobył Koronę Ziemi z Everestem włącznie. Ponieważ nie mógł ogarnąć całościowo widoku, musiał zbierać informacje po kawałku, sekwencjami, wyczuwać drogę wzdłuż ściany między bezkształtny-

mi wzniesieniami i nieznanymi przepaściami, a potem złożyć w wyobraźni model trasy, niełatwo i jednowymiarowo, jakby nizał paciorki na nitkę. Stopnie prowadziły do 4 *Ahau*. LEON wykonał ruch. Ja wykonałem ruch. Wyżej, wyżej. Dalej. Odgłos, a raczej doznanie - jak wspomnienie dźwięku - nadeszło z okolicy wierzchołka, niemal niesłyszalny, nieregularny pomruk, który przypominał mi coś, co już słyszałem, dawno temu, coś... hmm... Wspomnienie miałem na końcu swojego mentalnego języka, ale nie mogłem przywołać dokładnego obrazu lub znaczenia. Nie pora się tym przejmować. Koncentracja. Teraz zaczynałem wyczuwać, że obok szczytu jest zapadlisko, odwrócony stożek, który w cholskim nazywamy *k'otb'aj* -jaskinia w niebie, LEON wykonał ruch, próbując zepchnąć mnie ze szlaku na szczyt. Wprowadziłem kolejną czaszkę i ustawiłem, LEON wykonał kontrę. Hm... On idzie, ja idę, on idzie... Dobrze. Ruszyłem w górę zbocza.

Jego ruch. Mój ruch. Wyżej, wyżej. Zdawało mi się, że wspinam się po porowatych czerwonych kamieniach, że pod stopami chrzęści mi pumeksowy żwir badlandów. Wyżej. Miałem uczucie, że znajduję się nad linią drzew. Jego ruch. Mój ruch. Wyżej. Teraz dotarłem tak wysoko, że nawet kondory się tu nie zapuszczały. Dotarłem na zachodnie zbocze góry, nadal ciepłe od dalekich i wątych promieni poszarpanego słońca. To było inne słońce, nie słońce dnia. To słońce *b'ak'tun*, trzystudziwiećdziesięcioczworoletnie słońce, które nie osiągnie zenitu przed 4 *Ahau*. A ponieważ znajdowałem się po drugiej stronie świata - po stronie odbicia - można powiedzieć, że słońce wschodziło na zachodzie.

Wyżej, wyżej. On idzie, ja idę. Mój ruch.

Ach-ch!

Tu nastąpiła przerwa.

Jakbym znalazł się na poziomym wylomie czy płaskowyzu albo tym, co nazwać można *tablero*, jeżeli porównać wzniesienie do ruin *mul* w teotihuacańskim stylu. Niezbyt daleko znajdowało się szerokie przejście na półkę, poszarpany, nierówny owal z nieregularnym wałem spadającym ukośnie w głąb góry, a za nim, na zboczu obok,

łagodnie wznoszący się *talud*... i dalej krawędzie kolejnego *tablero*. Muszę tylko pokonać gigantyczny garb, bladopomarańczowy w słabym nieświetle. Ruszyłem znowu naprzód, LEON wykonał ruch. Ja wykonałem ruch. Dobrze.

Pomruk przybrał na sile, czy może powinienem powiedzieć, że doznanie stało się silniejsze. Przypominał beczenie, naturalne trąbienie - i bez wątpienia dochodził z jaskini. A na podstawie odbić i echa dawało się wywnioskować, że grota jest większa niż góra, a nawet -że wewnątrz znajduje się tłum stworzeń. Były jak nietoperze, ale nie nietoperze. Mogły wisieć w grupach rodzinnych, podobnie jak nietoperze, a przynajmniej zbierać się rodzinami, i wiedziało się, że jest ich tak dużo, jak nietoperzy w jaskini, a nawet więcej, bez wątpienia tryliony. Ale nie wydawały odgłosów jak nietoperze. I były większe. Miałem też wrażenie, że bezwłose. Czym były? Odgłos przypominał mi coś, coś z dzieciństwa, ale nie z Gwatemali, coś innego... Och, świetnie. Już wiem.

Eumetopias jubatus. Około trzech lat po tym, jak zacząłem mieszkać z Odegardami, zabrali mnie w podróż do kościoła w San Francisco, a potem do Seattle, a w drodze powrotnej autobus zatrzymał się przy Jaskiniach Lwów Morskich - otwartym przy drodze prywatnym parku, atrakcji turystycznej obok miasteczka Florence, na wybrzeżu w stanie Oregon. Wiosną zbierało się tam około trzystu lwów morskich Steller'a i odbywało gody na półkach skalnych. Zjeżdża się windą wzdłuż klifu, a potem przechodzi ciasnym wąwozem w wapieniu na wykuty w skale balkon, skąd można popatrzeć na grotę z wysokości prawie trzech pięter, podczas gdy sklepienie jaskini wznosi się dziesięć pięter wyżej. I wtedy próbuje się zrozumieć cały ten zgiełk, kakofonię pomruków i plaśnień tłuszczu oraz kości. Krowy skrzeczą, gdy ważące dwa tysiące funtów byki je dosiadają, a kawalerowie i dominujące samce ryczą na siebie godzinami. Ryki odbijają się rezonującym echem od mokrych kamiennych ścian. W dzisiejszych czasach głośny i przerażający dźwięk kojarzy się z tym, jakie stworzył człowiek: młoty łomoczące przy rozbijaniu skał, huk rozgrzewanych silników odrzutowca, strzały z dział i wybuchy et cetera. Ale odgłosy

w tamtej jaskini były stuprocentowo naturalne i nie zmieniły się od milionów lat, a prawdopodobnie niewiele różniły się od wrzasków ankylozaurów czy stad pentaceratopsów - i były to najbardziej przerażające, nieznośne dźwięki, jakie się w życiu słyszało i których na pewno nigdy się nie zapomni. Ruszyłem naprzód. Odgłosy kazały mi przypuszczać, że stworzenia się prostują, wyciągają skrzydła i wlecają z jaskini, gdy tylko słońce ostatniego *b'ak'tun* zapłonie w 4 *Ahau*. Wyroją się w strumień *tunob* i *k'atunob* oraz sploty i zwoje *b'ak'tunob*, a potem rozpierzchną nad światem, rozrosną i zapanują. Jeśli się nie widziało wylatujących z jaskini chmar nietoperzy, nie można sobie tego wyobrazić. A jeżeli się widziało, dalszy opis jest niepotrzebny. Najbardziej jednak przerażający był bezlik tych stworzeń. Wydawało się, że wewnątrz ziemi wypełniają nietoperze.

Wymacałem drogę przez przejście. Teraz słyszałem wyraźniej pomruki i beczenie. Miało tak wiele wariantów i powtórzeń, że nie mogło być przypadkowe. Zatrzymałem się na dłużej na tym polu, próbując zrozumieć słowa.

To na pewno język, i owszem, pomyślałem. Ale taki, jakiego w życiu nie słyszałem. Założyłbym się nawet, że nie był to ludzki język. Niektóre sylaby przypominały mi te wydawane przez wyjce, kiedy... Hmm. Gdybym słyszał je jeszcze trochę wyraźniej, gdybym mógł tu się zatrzymać na trochę dłużej, chyba umiałbym się nauczyć słów, zrozumieć znaczenie... ale LEON znowu się ruszył, ponieważ LEON nie przestał myśleć, gdy mój wewnętrzny zegar tykał, a słońce wznosiło się z zachodu do 4 *Ahau*, i wiedziałem, że MUSZĘ WYKONAĆ RUCH, więc pchnąłem swoje dziewięć czaszek naprzód o dwa pola, starając się nie odpowiadać na posunięcia LEON-a zbyt defensywnie. Nie wolno pozwolić LEON-owi, by przejął inicjatywę, pomyślałem.

Minąłem właśnie grootę i dotarłem do miejsca, gdzie z dołu mogłem dostrzec zwisający nade mną głaz. Z tej perspektywy wydawało się, że nic nie przytrzyma wielkiej skały. Jeżeli teraz się oderwie i ześlizgnie, rozgniecie mnie jak robaka pod okutym obcasem. Ale, co ważniejsze, potoczy się na wyjście z groty i zamknie je, a te stworzenia wewnątrz nigdy, przenigdy się nie wydostaną.

LEÓN cofnął się o jedno pole. Ja przesunąłem się o jedno pole na przód, do miejsca, gdzie czułem, że cel jest na wyciągnięcie ręki.

Ach!

Skąła drgnęła. Przerazające.

Wbiłem się w fotel, zwijając w ciasny kłębek, jakby głaz już się na mnie toczył, i dopiero po dłuższej chwili, gdy uświadomiłem sobie, że nic takiego się nie stało, mogłem wczuć się znowu. Skąła znajdowała się nadal na swoim miejscu, gdziekolwiek to miejsce było, gigantyczny głaz utrzymywany tam jedynie siłą grawitacji i chwiejący się majestatycznie na wietrze... Kotłuszący się kamień. Jak ten, na którym stoi Pagoda Kyaiktiyo, pagoda na Złotej Skale w Birmie. Wydaje się, że głaz zaraz się stoczy, właściwie budzi zdziwienie, że jeszcze się nie stoczył. Ale skąła stoi przynajmniej od dwóch tysięcy lat, jeśli brać pod uwagę tylko źródła historyczne. Jednak wyczuwałem, że głaz nade mną jest lekko niezrównoważony, że o włos odchyła się od swojego środka ciężkości na zachód, jakby kamień chciał spaść dokładnie w otwór groty i zamknąć go na zawsze. I wtedy, kiedy się zbliżyłem, mogłem już wyczuć maleńki kamyk wysuwający się spod głazu i półki, na której spoczywa wielki kamień. A potem poczułem, że jest tam też włókno lub pasmo owiązane wokół kamyczka i naciągnięte mocno, jak struna c8 fortepianu, w stronę pustej przestrzeni po lewej. Wtedy pojąłem, że to śmiertelna pułapka, jak te budowane przez Wilusia E. Kojota, by złapać Strusia Pędziwiatra, albo taka, jak Pajutowie stosowali do tępienia susłów i lisów pustynnych. Uświadomiłem sobie również, że w oddali ktoś trzyma drugi koniec sznurka i jest gotów pociągnąć, wyszarpnąć maleńki kamyk i sprawić, że wielki głaz runie w przepaść. Wiedziałem, że jedyny sposób, by to powstrzymać i pozwolić, by mieszkańcy groty opuścili ją na czas, to znaleźć tego drania trzymającego strunę, znaleźć sprawcę zagłady i dopilnować, by nie pociągnął.

Wyciągnąłem się w ergonomicznym fotelu i przesunąłem palcami po moich, na szczęście odrastających włosach. Ledwie mogłem to poczuć. Próbowalem dotknąć nosa, ale musiałem spojrzeć, by wiedzieć, że to zrobiłem. Drętwieję, pomyślałem. Szlag, znowu się rozkładam. Pochyliłem się. Powróciło wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by

dotknąć struny. Była zbyt cienka, by dostrzec ją gołym okiem, czy raczej oczyma wyobraźni, ale nadal emanowała szarością, co znaczyło, że rozciąga się w kierunku północ-północny zachód, w stronę czarnej ćwiartki planszy, ale też blisko białej. Znowu potarłem się po głowie i cofnąłem nieco. Wydawało mi się, że widzę strunę rozciągniętą aż nad Pacyfik, gdzie niknęła we mgle. Do Alaski? Stąd nie potrafiłem stwierdzić. Znowu to poczułem. Nie mogłem przyczepić do tej linki przewodnicy i ześlizgnąć się po niej, nie dlatego, że była wyobrażona - choć rzecz jasna była, nieważne, jak realna wydawała mi się w tym momencie - ale ponieważ Gra nie działa w ten sposób. To jakby zdecydować nagle, że skała spadnie prostopadle. Nic z tego. Musiałem przejść świat, by dostać się do miejsca, gdzie znajdował się drugi koniec liny. Był. Jest. Pognałem na północne stopnie i skierowałem się na północny zachód przez równinę, LEON popędził za mną. Skoczyłem naprzód jeszcze raz. LEON za mną. Miejscami wydawało mi się, że wyczuwam strunę nad głową. Co znaczyło, że jak dotąd ostatnie wybory były słuszne i ten nasz facet - bo już założyłem, że to będzie facet, ponieważ laski w ogólności nie były raczej skore do ludobójstwa - ma powiązania z północno-zachodnim Pacyfikiem. Nie żeby to jakoś szczególnie zawężyło pole poszukiwań - to jakby powiedzieć: kuchnia azjatycka. Wyszukiwarka wylistowała parę tysięcy terabajtów danych. Szlag, potrzebne mi lepsze obliczenia. Procesy stochastyczne. Lepiej dopasowane funkcje. Może coś ze złożoności i trzech szeregów prawdopodobieństwa Kołmogorowa. Szlag, to Kołmogorow powinien tu być. Na tym etapie nie ma nikogo, kto byłby całkowicie wyłączony ze zdarzeń. Aby pozostać nieudokumentowanym w uniwersum online, trzeba by chyba dopiero co się urodzić w plemienu myśliwsko-zbierackim w górach Nowej Gwinei. Ale wtedy nie będzie się także sprawcą apokalipsy. Nasz facet musi posiadać umiejętności techniczne. Prawie nie było szans, by w przedziale ostatnich czterdziestu lat nie figurował na liście jakieś w miarę przyzwoitej szkoły lub uczelni. A nawet jeżeli pobierał nauki w domu, indywidualnie, na pewno został zarejestrowany w regionalnej komisji edukacyjnej lub stanowym wydziale edukacji. Zatem to ogranicza zbiór potencjalnych

podejrzanych do najwyżej miliarda dusz z całej światowej populacji, która liczy sześć i osiem dziesiątych miliarda. A kiedy dorzucić do tego północno-zachodnie wybrzeże Pacyfiku, wychodzi, powiedzmy, trzydzieści milionów. Żaden problem.

Przesunąłem się o trzy pola na wschód, dalej w przyszłość, do listopada. Dane zawirowały - nazwiska, adresy, numery ubezpieczeń zdrowotnych, dane o stosunku do służby wojskowej, zatrudnienie, inwestycje, nazwiska rodowe, kody pocztowe, dane z kartotek policyjnych, wymazane kartoteki z aresztowań przed pełnoletnością, lista zatrudnionych w korporacjach, lista zatrudnionych w rządzie, zawodowe stowarzyszenia, komitety, gildie, kluby rozrywkowe, tajne stowarzyszenia, członkostwo w kościołach, subskrypcje gazet, alerty Google, dokumenty rejestracyjne samochodów, rachunki i billingi telefoniczne, listy zamówień, nawet listy członków drużyn paintballa - nierozplątywalne węzły skrzyżowanych informacji jak skalp matowych, skołtunionych włosów. Ruszyłem dalej, LEON prześledził dane, oszacował je, odrzucił wszystko poza jedną stutysięczną procenta i wykonał swój ruch.

Nic. Świetnie. Ruszyłem naprzód, do grudnia. Nadeszła kolejna porcja bitów. Czekałem. Sieć była dziś wyjątkowo wolna. Nowe trojany unieruchomiły serwery, nie tylko lokalne, lecz także huby i routery na liniach T3. Ludzie mówili, że czegoś takiego może dokonać jedynie rząd USA. Albo sprytny dwunastolatek z klawiaturą i wyobraźnią, pomyślałem, LEON przetrwał całość, oszacował każdy bit informacji pod kątem przydatności w tropieniu hipotetycznego anioła śmierci. Wykonał ruch. Potem ja wykonałem swój. Kolejne trzy razy dzień do dwunastej bitów, LEON przejrzał je bez narzekań. Tym razem sprawdził je pod kątem znanych religii milenarystycznych i kultów apokaliptycznych. Było ich całkiem sporo - koniec świata zawsze był popularny - i Taro nalegał, aby wprowadzić do systemu automatyczne sprawdzanie ich co kilka ruchów. Jednak moim zdaniem niszczytel był niezależny, a przynajmniej nie należał do aktywnych członków ruchów religijnych. Może etnicznie pochodził ze społeczności mużłmańskich lub był ekszwiadkiem Jehowy, czy nawet wygnańcem z Zakonu Świętyni Słońca lub innego - dałbym sobie jednak głowę

uciąć, że nie należał do aktywnych członków. To samotnik. I bynajmniej nie taki frajer jak Oswald. Prawdziwy samotnik.

LEON wykonał ruch. Szlag. Nic.

Hm...

Dobra, powoli. Wdech, wydech.

Trzeba zawęzić pole poszukiwań. Ten drań na pewno się chwalił. Choćby troszeczkę. Cofnąłem się lekko - do tego, co nazywaliśmy Wielkimi Wrotami. Była to galaktyka usług hostingowych, utrzymywania stron internetowych i połączeń ze społecznościami sieciowymi online plus zapewnienie przepływu miliarda e-maili, wiadomości tekstowych, rozmów telefonicznych przekonwertowanych przez komputer na tekst i tym podobnych danych. Słowem, potwór, dwa razy dziesięć do trzynastej bitów na milisekundę. Co ty na to, LEON-ku?

Dał radę. Skrzyżował wszystko, co dotąd uzyskaliśmy z kolejną porcją danych - z Twittera, Facebooka, MySpace'a, Bloggera, Bebo, Orkut, Filckra, Technorati i setek innych mniejszych, ciemniejszych, aktywnych, zachowanych i opuszczonych portali. Dobry piesek, pomyślałem. I pomyśleć, że Internet kiedyś nazwano infostradą. Powinno się go raczej nazwać infozsypem. Największe i najbardziej cuchnące wysypisko świata. Największe śmietnisko myśli na ziemi. Jednak LEON dał sobie z nim radę. *Esta bien*.

Jeszcze trochę przycinania danych. Ruszyłem w przestrzeń nazwaną Szybolet. Z grubsza rzecz ujmując, były to zestawienia określonych słów (Dzień Gniewu, Dajjal, chillism, Abandon, Kali Yug), określonych wyrażen (mam bombę, nienawidzę ludzkości, świat musi zostać zniszczony) oraz poleceń, które przypominają wzrastające zdolności samouczenia się LEON-a w kwestii wyszukiwania podobnych i skojarzonych fraz. Kazałem sprawdzić również wyrażenia z błędami, ale pominąć rzadkie języki. Masz kilka sekund, zasłużyłeś sobie.

LEON pomyślał, LEON wykonał ruch.

Ha.

Dziesięć tysięcy czterysta czterdzieści.

Tyle na teraz - a był to trzysta osiemdziesiąty piąty ruch w Grze - a może powinienem powiedzieć, że LEON i ja zidentyfikowaliśmy dzie-

sieć tysięcy czterystu czterdziestu potencjalnych sprawców apokalipsy.

Oczywiście wielu odrzuciliśmy. I może niechcący wylaliśmy nasze dziecko z kąpielą. Jednak nadal mogłem się założyć, że nasz facet był w tym zbiorze.

Nieźle. Teraz jeszcze trochę selekcji. Dobra.

Wykonałem ruch. LEON wykonał ruch. Struna nadal biegła mi wysoko nad głową, ale coraz bliżej ziemi. Osiem czaszek. Straciłem jedną. Siedem czaszek. Nie Alaska. Ha. Nareszcie do czegoś dochodzimy. Hm... Nie Kalifornia...

AHA!

Faceta nie ma w USA.

Jest Kanadyjczykiem.

I rozgrywając okoliczności jeszcze raz, wychodziło, że nadal jest w Kanadzie. I na podstawie przecucia obstawiłbym Kolumbię Brytyjską lub Albertę. Opuścił Północ. Taak. I tak cię dorwę, ty popierdolony dupku.

Wykonałem ruch. To było tak, jakbym znalazł się w pobliżu Vancouver dziesiątego grudnia, jedenaście dni przed 4 *Ahau*, i rozglądał się we mgle. Niewiele mogłem dostrzec, ale czułem, że mgła opada, że widok się przejaśnia, LEON wykonał ruch. Dobrze. Nie tutaj, pomyślałem. Tutaj. Nie. Nie tutaj. Nie tam. Nie tu. Nie to. Przeglądałem profile. Większość stanowiły zaledwie nazwiska lub nicki z paroma odnośnikami do stron społeczności internetowych. Niektóre nie miały nawet nazwisk, tylko kody identyfikacyjne użytkowników. I tak trzeba je sprawdzić, pomyślałem. Żebracy nie mogą wybrzydzać. Dobra. Tutaj. Nie tu. Nie on. Nie on. Teraz miałem wrażenie, jakbym już prawie dotykał szarej struny, tyle tylko, że struna umykała to w tę, to w inną stronę, szarpała się na porywistym wietrze. Tutaj. Chwycałem ją. Nieistotne bity opadły jak płatki śniegu i roztopiły się w ciepłym powietrzu. Chybiłem. No, dalej. Ruch. Teraz mój ruch. Dobrze. Rzeczywiście, zaczęło się przejaśniać. A raczej... Hm... Nie przejaśniało się w sensie, że kształty i kontury stawały się wyraźniejsze. To światło, światło...

Ach.

Przede mną rozpalą się luna, jasnoczerwona, intensywna luna, jak kolor lakieru na paznokciach Maximóna w San Cristóbal Verapaz. Dziwne, pomyślałem. Czerwień przynależy do południowego wschodu. Co robi tutaj, w krainie szarości? Czy poszedłem w złym kierunku? Może...

Bip. LEON wykonał ruch.

Och.

Jasna czerwień. Dobrze.

Ruszyłem. Siedem czaszek, LEON ruszył. Sześć czaszek. Zawahałem się. Wykonałem ruch. Zostało mi pięć czaszek, LEON wykonał ruch. Cztery czaszki. Zacząłem kolejny ruch. Nie, zaraz. Cofnąłem pionka. Szlag. Nie myślę jasno.

Głęboki wdech.

Zerknąłem na zegar na monitorze. Zbliżała się trzecia po południu. A zatem grałem już prawie osiem godzin - nigdy w życiu nie grałem tak długo. Ale też czułem się źle jak nigdy w życiu. Wśród objawów występowały zaburzenia równowagi, zwolnienie rytmu serca i trudności z przypomnieniem sobie, jak mam na imię. Ścisnąłem klawiaturę, jakby to była ostatnia deska ratunku. Muszę wytrzymać. To już prawie koniec Gry.

Resztki pyłu Sternika rozbłysły bioaktywnie, tuż zanim moje przeciążone synapsy opadły do fal alfa. Zacząłem się zastanawiać, czy kolor może być wskazówką prowadzącą do czegoś innego - kształtu, zwierzęcia, czegoś skojarzonego z tym kolorem, czegoś, co widziałem wcześniej, numeru może lub nawet słowa czy frazy.

Wykonałem ruch. LEON wykonał ruch. Trzy czaszki, dwie czaszki.

Może to słowo? Nie, dwa słowa. Dwa krótkie słowa. Coś, co już kiedyś widziałem, co na pierwszy rzut oka nie miało wiele sensu, co to jest, co to było...

Mój ruch.

Jedna czaszka.

Hell Rot.

W pierwszym oknie osiemsetmilowy zimny front, reprezentowany jako choleryczna żółć na tle granatowej Zatoki Alaski, przetaczał się na zachód z prędkością dwunastu mil na godzinę. Według załączonego tekstu na zakładce front osiągnie wybrzeże Kolumbii Brytyjskiej około wpół do szóstej rano PST (Pacific Standard Time), za pięćdziesiąt minut. Świt nadejdzie o 5:22, dwadzieścia jeden minut po przewidywanym czasie dotarcia. W drugim oknie niepowiększony obraz z KH-13 Ikon, satelity obserwacyjnego - można było zobaczyć mroczną Zatokę Georgian po lewej, pomarańczowe sodowe oświetlenie Vancouver przecięte ciemną rzeką, a dalej, po prawej, długi ogon białych lamp przy autostradzie Trans-Canada, wiodącej na wschód szerokim łukiem wzdłuż rzeki Fraser. Na końcu łańcucha świateł, po prawej stronie ekranu, można było dostrzec lunę miasta Chilliwack. Zakładka z tekstem wymieniała kilka kluczowych faktów: że Vancouver jest drugim co do wielkości ośrodkiem biotechnologicznym na kontynencie północnoamerykańskim i najszybciej rozwijającym się w Kanadzie, że miasto niezmiennie zaliczane jest w światowych rankingach do czterech metropolii o najwyższym standardzie życia, że średni poziom inteligencji obywateli szacuje się na dziewięćdziesiąt osiem punktów IQ i że - może dla przeciwwagi, choć nie było to teraz istotne - na półkuli zachodniej miasto ma najwyższą liczbę samobójstw *per capita*.

Trzecie okno pokazywało wycinek dwóch mil kwadratowych Chilliwack. Nie wydawało się szczególnie groźne. Były tu dwie sieci dróg - jedna północno-południowa, druga w północno-zachodniej ćwiartce skracająca o dwadzieścia stopni zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na południu ulice robiły się dłuższe i bardziej splątane, co wskazywało, że przebiegają przez lepsze i nowsze dzielnice mieszkalne. Na wschodzie znajdowały się starsze tereny mieszkalne, z większymi domami, ale ścieśnionymi w mniejszych arealach między przecznicami, krótszymi na osi północ-południe i dłuższymi na tej wschód-zachód. Marguerite Avenue przecinała obszar ze wschodu na zachód, a 820 Marguerite było środkiem dzielnicy. Tutaj panel tekstowy oznajmiał, że w Chilliwack mieszka ponad siedemdziesiąt osiem tysięcy osób, że choć gospodarka opiera się głównie na rolnictwie, wielu ludzi stąd pracuje w dużym mieście, sześćdziesiąt mil na zachód, wybierając spokój za cenę długich dojazdów do pracy, że wartość przeciętna dochodów wynosi czterdzieści osiem tysięcy dolarów kanadyjskich oraz że współczynnik urodzeń to dziewięć i osiem dziesiątych na tysiąc, a współczynnik śmierci siedem na tysiąc rocznie. Wkrótce będzie to zero w pierwszym przypadku i tysiąc w drugim, pomyślałam.

- Dlaczego nie aresztowano go, gdy wyszedł z domu? - wyszep tała mi do prawego ucha Ashely Dwa. Właśnie zajrzała.

- Nie wychodził od czterech dni - wyjaśniłam.

-Och.

- Nieważne. Policja uważa, że facet ma gdzieś ukrytą Kozę. Dla tego przyspieszyli akcję na dziś.

Znowu powiedziała „och”, po czym usiadła obok i zerknęła na ścianę wideo. Znajdowaliśmy się w dużej sali konferencyjnej tymczasowego budynku zgromadzeń obok Hyperbowl - my, czyli Taro, doktor Lisuarte, Larry Boyle, Tony Sic, stypendyści Taro, Michael Weiner, który wypychał krzesło obok mnie po lewej, ja i prawie każdy, kto brał udział w projekcie „Parcheesi”, poza Mareną, która z niezrozumiałych dla mnie powodów obserwowała wszystko ze swojego domu w Kolorado. W tej całej sprawie wyczuwało się takie *gemütlich*...

prawie mogłem sobie wyobrazić, że jesteśmy grupą licealistów, którzy zebrali się spontanicznie w pokoju telewizyjnym, żeby oglądać wybory prezydenckie lub „Jak Grinch ukradł święta”.

Nic z tego, pomyślałem. Nic z tego.

- Nadjeżdża druga cysterna - powiedział Laurence Boyle. Wskazał na sąsiednie okno, numer cztery, niebieskim wskaźnikiem laserowym. Okno pokazywało nocny podgląd w czasie rzeczywistym transmitowany z satelity, widok obejmował cztery przecznice z domem Czerwicka w środku. Można było dostrzec, że dom jest kryty dachem dwuspadowym, ma przybudówkę o płaskim dachu - garaż na dwa samochody - oraz duże zadaszenie nad wąskim i długim podwórzem z tyłu. Niestety, gonty były ze stopu z miedzią i odbijały podczerwień na tyle, by przejrzanie przez nie z góry sprawiało trudność. Cysterna, którą Boyle wskazał, wyglądała jak puszka red bulla. Z wygaszonymi światłami dołączyła do swojej bliźniaczki zaparkowanej na ulicy Emerald, dwie przecznice na południe od Marguerite.

Uniosłem się, by spojrzeć nad głową Tony ego Sica na okno numer pięć. Przedstawiało ładne zdjęcie zrobione teleobiektywem z wieży radiowej pięć przecznic od centrum miasta i dawało niezły widok na domy około numeru osiemset w zakresie kąta czterdziestu pięciu stopni. Stąd można się było zorientować, że interesujący nas dom ma z grubsza cztery sypialnie i akurat tyle elementów zdobniczych, by wyglądał na budynek w stylu kolonialnym. Cztery stopnie prowadzące do głównego wejścia, niewielki zadaszony ganek, co może spowolnić grupę na sekundę lub więcej. Ale dom nie należał do dużych, zbudowany został w 1988, tuż przed okresem makdonaldyzacji - i kapitan ERT, Emergency Response Team, oszacował, że jego grupa dotrze do celu w osiem sekund. Domy w sąsiedztwie nieco się różniły, ale ogólnie wyglądały tak samo. Na frontowych podwórkach rosły średniej wielkości klony. Jeszcze nie okryły się liśćmi. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. A nawet jak wzorzec normalności. Mogłem wam powiedzieć, pomyślałem. Wiadomo od dziesięcioleci, że przedmieścia to zły pomysł, ale i tak się je buduje - i proszę, oto miejsce, skąd nadejdzie siedmiogłowa bestia.

Mamuśka i ojculek - w wieku trzydziestu sześciu lat Madison Czerwick nadal mieszkał z rodzicami - prawie na pewno przebywali w głównej sypialni na drugim piętrze. W pokoju z tyłu był ktoś jeszcze, prawdopodobnie młodszy brat. Madison - z którym wszyscy byliśmy teraz po imieniu - przebywał zapewne w swoim pokoju. Inne wskaźniki pokazywały wzorzec nocnej aktywności w domu. Innymi słowy, żadnej telewizji czy lamp biurowych na parterze czy wyższych kondygnacjach. Nawet myszy się tam nie ruszały, jak od ponad godziny pokazywały wszystkie komputery. Telefony, palmtopy i inne gadżety pozwalające się łączyć z Internetem były nieaktywne. Pobór mocy pozostawał niejednoznaczny, co oznaczało, że coś, ale nic wielkiego, może pracować w piwnicy. Prawdopodobnie wszyscy członkowie rodziny umościli się już w łóżkach i smacznie spali. A wizje zagłady ludzkości tańczyły im w głowach. Głowa...

-Mówią, że cysterny mogą podjechać i przyłączyć węże w pięć minut - rozległ się głos Any przez głośniki. Dało się też słyszeć pomieszane głosy w tle.

-Dziękuję, panno Vergara - odpowiedział Boyle. Panno? Hę? Każdego innego dnia zarówno ja, jak i reszta zaczęlibyśmy chichotać. Dzisiaj nikomu jednak nie było do śmiechu. Ana - która okazała się nie pionkiem, a graczem, co sobie uświadomiłem chyba całkiem niedawno - była jednym z trzydziestu paru gości w elegancko przygotowanej przyczepie około dziesięciu przecznic od domu numer osiemset dwadzieścia.

-Dobra, są tutaj - oznajmiła Ana. Jej kursor przesunął się do okna numer pięć i okrążył czteroosobowy zespół, który mocował długie białe węże do tyłów dwóch chromowanych cystern. Ułożyli oba przewody schludnie na prawie pięćdziesiąt stóp od osiemset dwadzieścia, pozostawiając parę stóp luzu na każdym końcu. Przez chwilę nic się nie działo. Potem zawory zostały odkręcone i każdy wąż wypełnił się tuż przed luźną częścią, gdzie zapewne znajdował się kolejny zawór. Niemal widziało się mgiełkę wilgoci kondensującą się wokół przewodów. Wypełnione były płynnym azotem, co - jak mieliśmy nadzieję - powstrzyma Kożę.

Już w pierwszym dniu śledztwa detektywi wykryli, że Madison był o krok od starcia z oblicza Ziemi rozmnażającej się populacji dzięki celowo wyhodowanemu i zmodyfikowanemu szczepowi *Brucella abortus*. Pod koniec drugiego dnia śledztwa potwierdzono, że aktywność Madisona w sieci, szczególnie pobieranie map haplotypów, wskazywała, że czynnie szczypie ich DNA. *Brucella* są wrażliwymi i dobrze wychowanymi bakteriami. Można się nimi zarazić tylko, jeżeli się przyjmuje poród młodej krowy albo pije surowe kozie mleko z Grekiem Zorba. Przez lata brucelozę nazywano gorączką maltańską, chorobą Banga, gorączką falującą, gorączką kozią, gorączką skalną, gibraltarską, gorączką Rio Grande, a niekiedy zaraźliwą aborcją i tysiącem innych nazw. My nazwaliśmy ją Koza. W porównaniu do zakażenia z Disney World symptomy brucelozy nie były tak sensacyjne: nagłe poty o zapachu wilgotnego siana, bóle mięśniowe, zawroty głowy i omdlenia oraz, oczywiście, śmierć. Naprawdę przerażające, szczególnie te poty. Lepiej zaopatrzyć się w jakiś dobry dezodorant w drodze na tamten świat.

Najgorszą sławę Koza zyskała przez to, że była pierwszą bakterią rozpyloną przez rząd USA. W 1953 testowano ją na zwierzętach, używając tych samych pakietów, które później zastosowano dla wąglika. Piloci sił powietrznych wybrali brucelozę, ponieważ, w przeciwieństwie do wielu bakterii, ta może przeżyć zmiany wysokości przez wiele godzin, a co więcej, może przeniknąć przez nieuszkodzoną ludzką skórę, więc nawet gdy siedzi się w ochronnym namiocie z maską przeciwgazową na twarzy, jeżeli pojawi się zaróżowienie, to koniec.

Na dodatek w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku to, co zostało z ówczesnych szczepów, zostało zaksięgowane i zmagazynowane w arsenale w Pine Bluff w Arkansas - praktycznie zamrożone i zapakowane do dwóch igloo. W latach osiemdziesiątych wszystko to miało być zniszczone. Ale chyba komuś to nie pasowało - albo dlatego, że chciał opracować obronę, albo sprzedać, a może i jedno, i drugie.

W ciągu szesnastu miesięcy, odkąd zwolniono go z pracy w miejskim laboratorium biochemicznym, Madison bardzo mocno zmodyfikował Kożę. Wersja Czerwicka - przynajmniej według przypusz-

czeń Centrum Chorób na podstawie strzępków danych wyciągniętych z jego twardego dysku - miała swoje zwykle urocze właściwości, takie jak ultraszybka reprodukcja, odporność na odkażanie, bezobjawowe zakażenie i precyzyjny nanochronometr. Ale najpiękniejszym uszlachetnieniem i ulepszeniem szczepu było to, co specjaliści od epidemiologii nazywają wektorem. Klasyczne szczepy *Brucellis* mogą przenosić się z niektórych gatunków zwierząt na ludzi i zapewne z ludzi powtórnie na zwierzęta. Ale większość zwierząt albo nie łapie zakażenia, albo też ze względu na tryb lub długość życia nie jest dobrym wektorem do przenoszenia schorzenia na ludzi. Praca Madisonsa poszerzyła znacznie ich możliwości. Nowy szczep mógł szybciej mutować i lepiej się przystosować do warunków niż zwykła, naturalnie powstała bakteria. Zdaje się, że nowy szczep mógł dostosować swoje DNA do specyfiki białkowej setek rodzin zwierzęcych, nie tylko naczelnych. Odmiana *B czerwicki* mogła pokonywać bariery gatunkowe raz po raz, w tę i z powrotem, przez cały przekrój biosfery. Zwykle epidemie stają się mniej zjadliwe, gdy się rozprzestrzenia - inaczej nie zostałyby żadne osobniki mogące przekazywać chorobę - ale z tak wieloma gatunkami podatnymi na Kozę minęłoby dużo czasu, zanimby do tego doszło. Niektóre z przewidywań Centrum Chorób zakładały, że prawdopodobnie epidemia tej brucelozy zabiłaby wszystkie gatunki naczelnych i większość pozostałych ssaków. Co świadczyło, jak wściekłą bestyjką był nasz Czerwick. Ludzkość to jedno, ale kiedy ktoś chce wymordować niewinne zwierzęta, to naprawdę dno.

Tak samo jak jej przodków, Kozę zapewne dałoby się wyleczyć zastrzykami domięśniowymi ze streptomycyny. Ale przy zgranym w czasie, jednoczesnym wystąpieniu objawów u wielu osób, nie wystarczyłoby antybiotyków, nawet gdyby zostało dość ludzi, którzy umieliby je podać. Oczywiście Centrum już pracowało nad szczepionką, ale tydzień lub więcej zajmie przygotowanie teoretyczne, a ponad rok - produkcja preparatu medycznej jakości. Przewidywania Centrum Chorób, przynajmniej te z udostępnionych nam raportów, sugerowały, że ludzie na obszarach arktycznych mogą przeżyć epidemię. Ale przy odporności Kozy na zimno nie będzie ich zbyt wielu. Geny

umożliwiający zmianę nosiciela mogłyby sprawić, że nawet obszary podbiegunowe na długie dekady staną się zbyt gorące dla człowieka. Przynajmniej na dekady...

-Jak wiele bakterii on tam ma? - zapytała Ashley Dwa. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że pochyła się nad moim uchem. Zapewne była zbyt uprzejma lub zbyt nieśmiała, by szarpnąć mnie za ramię i zmusić, bym na nią spojrział. Pochyliłem się do niej nieco.

-Ana uważa, że około dwóch galonów. Zużywał roztwór koloidalny, jakby to był ketchup.

-Czy to wystarczy?

- Masz na myśli, czy wystarczy na całą planetę?

-Aha.

-Jeżeli się przyjmie, że na galon przypada około trzy, cztery tryliardy mikrobów... Założmy, że z tego dziesięć procent dziennie się podzieli, a dwadzieścia umrze, to ci zostanie... uch, dwa razy dziesięć do osiemnastej bakterii na tydzień, czyli więcej niż przy większości chorób. No wiesz, takich, co mogą potencjalnie zmienić się w epidemię.

-Och - westchnęła.

-Właśnie, właśnie. A zależnie od dodanych właściwości... W miesiąc ten bakcyl może stać się równie powszechny jak, powiedzmy, wirus kataru.

-*Gesundheit* - mruknął Michael Weiner z drugiej strony. Na zdrowie.

- Dzięki - odparłem. - Nie ma to jak wisielczy humor.

Skinął głową.

-Wygląda na to, że przynajmniej wiadomo już wszystko - stwierdziła Ashley Dwa.

-Oby - przyznałem. Ale rzeczywiście, miała rację. Albo na to wyglądało. Jak widziałem, policja kanadyjska i amerykańska wykonały zdumiewająco dobrą robotę.

Myślałem, że założenie sprawy i rozpoczęcie śledztwa będzie ciągnęło się tygodniami, ale detektywi byli gotowi w kilka dni. Chociaż pewnie wystarczyło oprzeć się na poszlakach z Internetu. Madison zostawił dość wskazówek na swoim blogu, który odnalazłem właś-

nie dzięki Grze. Sposób, w jaki wypowiadał się o horrorze w Disney World... Jakby się bał, że ktoś go uprzedzi, że jakiś małolat zajmie jego miejsce w historii, a nie jak ktoś, kto się przejmuje zagładą ludzkości. Trzeba było się tym zająć wcześniej, pomyślałem enty raz. Kretyn. Mogłem temu zapobiec wcześniej. Tyle że to nie takie łatwe, prawda? Szczególnie dla kogoś takiego jak ja, komu empatia przychodzi z trudem. Nieważne, powinienem wyluzować. Heli Rot nie należała do wielkich i znanych stron w Internecie, ale tysiące ludzi ją jednak widziało, włącznie ze specjalistami z Departamentu Obrony, którzy zajmują się profilami psychologicznymi. Ale żaden z nich o niej nie doniósł, chociaż pojawiały się tam choćby takie teksty:

Ludzkość tworzyła filmy i gry oraz opowieści

0 CZASACH KOŃCA przez CZTERY TYSIĄCE LAT.

A powód był taki, że WIEDZIAŁA, że to jest

SŁUSZNE i że NALEŻY TO UCZYNIĆ. A teraz

nareszcie jest to osiągalne, [sic]

Może strona nie została wskazana po prostu dlatego, że Madison nie ujawnił żadnych szczegółów. Nie wspomniał żadnych nazwisk, miejsc lub dat. To ostatnie było dziwne, z błoga wynikało bowiem, że datę dwudziestego pierwszego grudnia Czerwick wybrał zupełnie arbitralnie. Żadnych wzmianek o kalendarzu Majów czy w ogóle o kulturach prekolumbijskich, czy czymś podobnym. Jakby wyciągnął tę datę z kapelusza. A byłem pewien, że nie.

- Dwieście sekund - oznajmiła Ana.

Wszyscy w pokoju nieco się wyprostowali. Michael Weiner zaczął kasłać, więc nie mógł obserwować, ale nikt nie próbował go uciszyć. Ktoś tylko pogłośnił przekaz, abyśmy mogli usłyszeć wyraźnie wszystko, co mówił dowódca prowadzący akcję. Dowódca właśnie sprawdzał gotowość.

-Jednostka chemiczna A - rzucił, sprawdzając oddziały zajmujące się substancjami niebezpiecznymi.

-Na miejscu - odpowiedziała kobieta z jednostki A.

- Jednostka chemiczna B?

W sześćdziesiąt sekund okazało się, że do akcji ruszą specjalistyczne oddziały chemiczne, specjaliści od trucizn, oddział od zagrożeń biologicznych, który rozpylił środek antywirusowy i antybakteryjny, dwóch ekspertów od inhalacji, dwie ciężarówki z kompresorami gazu, samochód pełen psów tropiących, oddział saperów, robot saperski na składzie oddziału saperów oraz operator wzmiankowanego robota. Następnie zgłosiły się trzy pięcioosobowe drużyny prewencyjne. Choć nie nazywano ich drużynami, lecz grupami. Każda miała dowódcę, dwóch skrzydłowych, czujkę i strażnika na tyłach. Dwie osoby miały iść od frontu, przez główne wejście na parter i piętra. Pozostałe od tyłu, sprawdzając kuchnię i schodząc do piwnicy.

-Góral A - odezwał się dowódca akcji.

-Na miejscu - zameldował góral A.

Sześciu innych zwiadowców, czy też górali, zgłosiło się po nim. Każdy znajdował się albo na słupie telefonicznym, albo na dachu, skąd mieli dobrą widoczność celu. Zwykle pełnili rolę strzelców wyborowych, ale dzisiaj byli nieuzbrojeni. Operacja Koza różniła się od rutynowych akcji choćby tym, że obowiązywał tu zakaz broni. I nie chodziło o to, że nie istniało niebezpieczeństwo ostrzału ze strony celu - kto by się tym zresztą przejmował w obliczu zagłady ludzkości? - lecz dlatego, że ujęcie podejrzanego żywego i w miarę zdrowego było ważniejsze niż życie funkcjonariuszy i żołnierzy.

Wreszcie na koniec w polu widzenia kamer pojawiły się oznakowane pojazdy. Dwa ambulanse wjechały w Marguerite i zatrzymały się o przecznicy od domu. Załoga strażaków zaparkowała na Emerald. Około dwudziestu wozów policyjnych pojawiło się jakby znikąd i uformowało krąg blokady o średnicy czterech przecznic ze środkiem pod numerem osiemset dwadzieścia.

-Jakieś pytania? - rozległ się głos dowódcy. - Świetnie. Siedemdziesiąt sekund. Co z gotowością osiem-dwadzieścia?

-Wszystkie łącza gotowe - zabrzmiał głos z brytyjskim akcentem. Co znaczyło, że w każdej chwili można odciąć prąd, gdy tylko oddziały prewencyjne dotrą do drzwi. Dzięki temu nie będzie moż-

liwości, by jakiegokolwiek światło oślepiło ludzi z noktowizorami, ani też nie odezwie się alarm u Czerwicków i nie sprowadzi prywatnych jednostek ochrony. Na szczęście Czerwickowie mieli tylko dwa koty, ale żadnego psa. Ana powiedziała, że psy sześciu sąsiadów, które mogłyby okazać się czujne i narobić hałasu, zostały uspokojone. Nie było jasne, jak tego dokonano, ale nikt przecież nie chciał alarmować ludzi w domach obok, więc pewnie paru speców włamało się i nakarmiło zwierzęta diazepamem. Przygotowanie łączy obejmowało również coś, co się nazywało „opóźnieniem na kablu”. Około drugiej nad ranem specjaliści cofnęli dom o sześćdziesiąt sekund w czasie. Zerwali połączenie z zegarem atomowym w komputerach Madisona, wrzucili minutowe opóźnienie na odbierany Internet i wskaźniki w telefonach komórkowych, wysyłali nawet nowy, opóźniony o sześćdziesiąt sekund sygnał telewizyjny do anteny satelitarnej na dachu oraz transmisję radiową, gdyby ktoś z domu chciał posłuchać radia. Oczywiście zwykłe zegary mechaniczne lub zegarki na rękę pozornie będą się spieszyć, ale kto w ogóle jeszcze ich używa? Ale nawet gdyby jakiś wyszczekany i zbyt wścibski osobnik dowiedział się o akcji i zaczął o tym paplać w mediach, zespół od łączy dowiedziałby się o tym na czas i odciąłby połączenie tak, by nie dotarło do Madisona i jego rodziny.

- Dobrze - odezwał się znowu dowódca akcji. - Brązowi, chcę, abyście...

Przekaz się urwał. Zapadła cisza.

Odniosłem wrażenie, że wszyscy - w sensie: wszyscy w sali konferencyjnej - spięli się i zamarli. Pewnie był to odpowiednik tego, co się czuje, gdy się patrzy na czarne zamazanie w tekście na przykład dokumentu CIA.

- Założę się, że sprawdza MPW - powiedziała Ana. Miała na myśli materiały potencjalnie wybuchowe, których eksplozja może nastąpić na skutek kontaktu z powietrzem. Nawiązywała do tych niewielu in

formacji, które mieliśmy i które zapewne mieli ludzie z fikuśnej przy czepy oraz również Lindsay Warren we własnej osobie, oglądający ten sam zestaw okien na wideoekranie w bezpiecznym, nieprzepuszczal-

nym dla patogenów pomieszczeniu w kompleksie Hyperbowl. Albowiem takie pomieszczenie musiało tam być.

Wcześniej podczas omawiania operacji Koza więcej niż jedna osoba wspomniała o tym, że powinno się zlikwidować całe miasto. Najwyraźniej w dzisiejszych czasach eliminacji wszystkiego, co żyje, można dokonać przy odpowiednio rozmieszczonych materiałach wybuchowych, eksplodujących w kontakcie z powietrzem. Ana przyznała, że rząd USA zrobił to dwa razy w Afganistanie - i za każdym razem żadne substancje biologiczne nie wydostały się poza teren zniszczonych fabryk. Jednak im bardziej dokładnie rozważano przebieg operacji Koza, tym szybciej propozycja ta zniknęła z planu działań. Bynajmniej nie ze względu na jakieś moralne opory, ale ponieważ - wbrew opracowanemu profilowi psychologicznemu, który stwierdzał, że to raczej wątpliwe - istniała możliwość, że Madison jednak nie działał sam. Miał współników lub przynajmniej zwolenników, wysłał e-mailem swoje badania do kogoś albo inni ludzie przysłali mu jakieś dane, albo - najbardziej koszmarna możliwość - już zaczął rozpowszechniać brucelozę. Nie było jasne, jak planował sobie z tym poradzić, lecz nie było to trudniejsze niż rozesłanie niewielkich paczek po całym świecie zwykłą pocztą.

Dwa dni temu Ana przyznała, że zapewne nadal wokół miasta są rozmieszczone materiały wybuchowe i ktoś je będzie mógł zdetonować, jeżeli okaże się, że odbyło się niekontrolowane wypuszczenie bakterii chorobotwórczej do środowiska. Powiedziała też, że zrezygnowano z planu eliminacji całego miasta głównie dlatego, że byłaby to naprawdę wielka sprawa i ani dyrektorzy FBI, ani kanadyjskiego csis nie chcieli, by ich udział w tym wyszedł na jaw. Jeżeli jednak eksperci od zagrożeń biologicznych odkryją, że nastąpiło uwolnienie bakterii, powinniśmy się spodziewać, że miasto zniknie z powierzchni ziemi, i mieć nadzieję, że gorąco eksplozji zabije niebezpieczne mikroby. Michael zapytał ją wtedy, dlaczego nadal jest w strefie wybuchu, ale Ana wykręciła się od odpowiedzi. Podejrzywałem, że była zbyt zafascynowana akcją, by się przejmować takimi drobiazgami jak własne życie.

Głos dowódcy powrócił.

- ...nus dwadzieścia sekund. Wszyscy gotowi?

W sali konferencyjnej zapadła cisza jak makiem zasiał. W pomieszczeniu, gdzie przebywała Ana, też panowało milczenie. Na ekranach ściany wideo dom przy Marguerite 820 wyglądał jak wzorzec spokoju na ziemi. Ktoś uruchomił kanał z transmisją mikrofonów parabolicznych na Marguerite - usłyszeliśmy gruchanie gołębi i cichy szmer wiatru w nagich gałęziach, ale nic więcej.

- Zaraz, czekać - przerwał spokój dowódca. - Wstrzymać odliczanie.

Wszystko zamarło. Od początku było nieprzyjemnie, ale atmosfera się tylko pogarszała, aż zrobiła się nieznośna. Ludzie wokół mnie zeszywnieli. Wyczułem zapach potu. Obok rozległ się dziwny dźwięk i gdy zerknąłem, zorientowałem się, że to szczękanie zębami. Ashley Dwa szczękała zębami. Powinienem objąć ją ramieniem? Nie, nie powinienem. Jeżeli poczujecie dotknięcie, dostanie udaru.

- Okno szóste - rozległ się głos Any. - Nic takiego, to tylko są siadka.

Jej kursor wskazał na postać z nastroszonymi rudymi włosami, w szarym szlafroku. Kobieta spod numeru osiemset osiemnaście, z domu naprzeciwko. Poczłapała do samochodu stojącego jak zwykle na podjeździe, powoli otworzyła drzwi, przeszukała przednie siedzenie i schowek po stronie pasażera, nie znalazła poszukiwanej rzeczy, więc przesunęła się bez pośpiechu na miejsce kierowcy. Miałem ochotę rwać sobie włosy z głowy. Dwanaście sekund do najbardziej krytycznego momentu w dziejach ludzkości od meteorytu Chicxulub, a musieliśmy czekać, aż ta kobieta znajdzie swoje tabletki przeczyszczające. Kobieta chyba znalazła to, czego szukała, bo wygramoliła się z samochodu, zamknęła drzwi i powoli ruszyła w swoich futrzastych kapciach do domu. Byłem pewien, że ktoś z nas zwymiotuje albo straci kontrolę nad zwieraczami lub przynajmniej zemdleje. Nic takiego się nie stało. Chociaż przypuszczam, że wszyscy mieliśmy erekcję. Albo stosownie dużo medykamentów we krwi.

Drzwi do domu kobiety nareszcie się zamknęły.

- Dobrze - rozległ się głos dowódcy. Zdaje się, że lekko drżał. - Wszyscy nadal na miejscach? Świetnie. Zaczynamy ponowne odliczanie - dwadzieścia sekund do rozpoczęcia akcji.

Poczułem kroplę wilgoci na policzku i uświadomiłem sobie, że to pot kapiący mi z czoła. Wytarłem twarz rękawem kurtki - tej samej, którą miałem na sobie podczas jazdy jeepem z Mareną i Maksem około siedemdziesięciu milionów lat temu - zdjąłem czapkę, przeciągnąłem palcami po milimetrowej szczecince, po czym znowu ją włożyłem. Uch. *De todos modos.*

- Siedem, sześć... - odliczał cicho dowódca akcji. - Gotowi? Trzy, dwa, jazda.

W oknie numer pięć dziesięć osób, czyli grupy prewencyjne A i B, przecięło trawnik jak cienie kruków przelatujących na dach. Zdaje się, że mieli klucze do każdego wejścia, bo drzwi otworzyli bezszelestnie i zniknęli w środku.

Zajęło im aż cztery sekundy przejście przez hol do salonu i jadalni, a potem w górę po pokrytych akrylową wykładziną schodach. Z kamery na helmie jednego z funkcjonariuszy dostrzegłem oprawione w plastikowe ramki zdjęcia na ścianie - fotografię ukończenia szkoły przez rodziców, ich ślub, Madisona przyjmującego nagrodę za projekt naukowy na wystawie w liceum. Kiedy do akcji wkracza SWAT, zazwyczaj robi jak najwięcej hałasu, ale to wkroczenie było inne - zakładano bowiem, że Madison może trzymać palec na detonatorze. Dlatego nie było słyhać nic poza cichym trzeszczeniem podłogi pod butami i brzęczeniem starej lodówki w kuchni. Przez pokoje przemykały cienie, jakby dom był ptaszarnią, a kruki właśnie przemykały do swoich gniazd. Prewencyjni wpadli jednocześnie do każdej z trzech sypialni. O Chryste! Pysk. Straszna paszcza drapieżcy, szczerząca na nas kły z kamery numer sześć na helmie. Wszyscy cofnęli się z westchnieniem zaskoczenia. Najszybciej opanowała się Lisuarte. Choć raz. Okazało się, że to kot Czerwicków zaatakował jednego z funkcjonariuszy. Zaraz też zniknął z pola widzenia. Kiedy trochę ochłonęliśmy z napięcia, mogliśmy już zobaczyć na dwóch innych obrazach z kamery,

że rodzice zostali delikatnie, acz stanowczo przytrzymani w łóżku. Szybki ruch ręki w kevlarowej rękawicy i pani Czerwick nie mogła już krzyżeć. Na kamerze numer dziewięć można było obejrzeć, jak nakładany jest kaptur unieruchomionemu młodszemu bratu Madisona. Brat miał dwadzieścia osiem lat i wierzgał, próbując się wyswobodzić, ale bez skutku. A na obrazie z kamery szóstej - tej, na której widzieliśmy atak kota - widać było pokój Madisona i... Hm. Madisona nie było w łóżku.

-Och, *cono* - jęknął Tony Sic.

-Numer szesnaście - odezwał się Larry Boyle. Jego głos brzmiał nienaturalnie piskliwie. - Numer szesnaście.

Wszyscy spojrzeliśmy na okno numer szesnaście. Pokazywało również obraz z kamery funkcjonariusza z grupy C. Dostrzegłem niewyraźne fragmenty chyba schodów do piwnicy, a potem w okamgnieniu ukazała się sofa. I nagi umięśniony tors na sofie. Oraz twarz nad owym tarsem. Wielkie rozwarte usta. Na twarzy Madisona. Potem usłyszeliśmy dźwięk, jakby zmienny huk wielkiego subwoofera, i obraz zszarzał.

-Granat hukowo-błyskowy - rozległ się głos Any na tle skrzyków i jęków w tle.

-Granat? - zainteresował się Michael Weiner. Procesor w kamerze hełmu zaczął dostosowywać obraz i w oknie pojawiło się parę niewyraźnych kształtów.

-Błyskowo-ogłuszająca broń dywersyjna. Jeden z grupy C wrzucił, jak to ujął, dwa „czarusie” do piwnicy.

Broń wyglądała jak dwie spłaszczone piłki do tenisa sklejone razem. Jedna stanowiła normalny granat rozbłyskowy z flarą o mocy ośmiu milionów kandel wydającą huk o sile stu osiemdziesięciu decybeli. Druga to granat odłamkowy, który wyrzucał około dwustu małych kulek z twardej gumy. Było to rozsądne zabezpieczenie, szczególnie jeżeli podejrzanemu udało się zasłonić oczy i uszy przed eksplozją.

- Jasne - odparł Michael.

- Cii, chcemy to usłyszeć - upomniał go Larry Boyle.

Słuchaliśmy, ale jedyne, co do nas docierało, to beczący jęk, który zmienił się w dyszenie, a potem nagle Madison chyba odzyskał głos.

-Jakie są zarzuty? - zapytał. Jego wysoki tenor słyszeliśmy już w Internecie, ale w czasie rzeczywistym brzmiał dziwnie, zapewne ze względu na spokój. Prewencyjni włączyli teraz światła na hełmach i mogliśmy wyraźnie zobaczyć żuchwę Madisona. Chyba chciał powiedzieć „oficerze”, ale wtedy pięść w kevlarowej rękawicy zamknęła mu usta. Prewencyjni mieli nie pozwolić mu mówić, choćby ze względu na możliwość, że w pobliżu mógł znajdować się przełącznik aktywowany głosem. Minęły jeszcze dwie sekundy abstrakcyjnych zygzaków i kształtów w okienkach z kamer, a potem w okienku kamery numer trzynaście pojawiły się dłonie przytrzymujące otwarte usta Madisona i palce grzebiące mu pod językiem, jakby Madison był agentem organizacji SMERSH z lat sześćdziesiątych, próbującym przegryźć kapsułkę z cyjankiem. Całkiem jak w powieści sensacyjnej z Bondem. Wreszcie funkcjonariusze pociągnęli go do wyjścia po schodach. W oknie numer pięć pojawił się ponownie trawnik Czerwi-cków i Marguerite Avenue, wypełnione umundurowanymi na czarno oficerami. Nagle widok ten skojarzył mi się ze sceną na placu zabaw z filmu Hitchcocka „Ptaki”. Włączono ponownie przekaz dźwięków z otoczenia i od razu usłyszeliśmy nadlatujące helikoptery oraz syreny. W mniej niż pół minuty Madison został przywiązany do noszy i załadowany do ambulansu. Druga karetka właśnie odjeżdżała z resztą jego rodziny. Skupiliśmy się na obrazie w oknie numer trzynaście, funkcjonariusz z tą kamerą jechał z Madisonem i chyba znów miał nas uraczyć rzadkim widokiem twarzy niedoszłego zamachowca, ale wtedy obraz nagle zszarzał.

-Nie mamy tam innej kamery? - zapytał Michael.

-Nie, nie wolno nam oglądać transmisji z tej drugiej - zabrzmiała odpowiedź Any. - Przykro mi.

Po raz kolejny informacje dla nas zostały ocenzone. Nie powinienem brać tego do siebie, pomyślałam. Goście w przyczepie dla VIP-ów, dyrektorzy w Waszyngtonie i Ottawie, a także - jak

się domyślałem - nawet Lindsay zapewne nie mogli niczego widzieć, na wypadek gdyby doszło do znęcania się i tortur podczas przesłuchania podejrzanego. Może dostaniemy później jakieś nagrania, ale zawsze były takie fragmenty, których nikt spoza ścisłego kręgu wtajemniczonych nigdy nie zobaczy.

Nie warto się tym martwić w tej chwili, uznałem. Lepiej zapytać Marenę, kiedy wraca. Miała talent do wyciągania różnych brudów. Zerknąłem znowu na panoramę w oknie numer pięć. Duże ciemne SUV-y ustawiły się przed i za ambulansem z Madisonem. Policjanci na motocyklach zajęli pozycje na flankach samochodów. Powoli konwój ruszył na wschód ulicą Marguerite. Potem skręcił na południe w Young i skierował się do drogi numer jeden.

I to wszystko? - zastanawialiśmy się. Patrzyliśmy po sobie. W piwnicy oddziały postawiły pięć kamer i na ścianie pojawił się rząd nowych okien. Technicy wojskowi i policyjni przechodzili ostrożnie w tę i z powrotem, oczyszczając pomieszczenie z pułapek. Na ekranie telewizora ciągle trwała scena z dwiema kobietami z porno, przy którym Madison pewnie się masturbował. Nikt nie dotknął ani myszy, ani klawiatury, komórki, laptopa, pilotów czy innych podobnych urządzeń.

-Uwaga, dwa główne cele, sekcja Delta - rozległ się głos dowódcy akcji.

-Co się dzieje? - zapytał ktoś.

-Chodzi o te dwie zamrażarki - wyjaśniła Ana. - W garażu. Sprawdź w oknie trzydziestym czwartym.

Na obrazie dwóch pracowników w chromowo lśniących skafandrach stało z tyłu pick-upa Czerwicków i machało rozpylaczami na długich rurach wokół sięgających im do pasa zamrażarek.

- Spryskują je - wyjaśniła Ana. Chodziło jej o to, że funkcjonariusze spryskują urządzenia ciekłym azotem z cystern. Nawet gdyby bakterie wyciekły, nie przejdą przez lód.

- To wspaniale - ucieszył się Larry Boyle. - Dobra robota. ZAMKNIJ się! - pomyśleli zapewne wszyscy zgromadzeni. Spadaj na drzewo.

Oddział chemiczny, jednostka B, wszedł na dach, gdzie rozwijał płachty niebieskiego winylu. Inne zespoły wbijały metalowe pręty w ziemię na rogach trawnika. Chodziło o to, żeby najpierw szczelnie zapieczętować dom folią, a potem wznieść nad nim większą barierę ochronną, przypominającą namiot cyrkowy, która obejmie budynek mieszkalny i garaż. Zaraz potem przestrzeń między domem i namiotem miał wypełnić CO₂, wpompowany przez dwa systemy sprężarek, natomiast powietrze z namiotu zostanie wypompowane do cystern, sprężone i poddane analizie. Potem będzie można przestrzeń wypełnić argonem. A kiedy ciśnienie w gazach się wyrówna, oddziały zajmujące się zagrożeniami biologicznymi przeszukają dom. Wózek widłowy przytoczył się na podjazd do garażu, by załadować bloki azotu do ciężarówek z uszczelnionymi i hermetycznie zamykanymi pakami. Jak wszyscy inni podejrzani - ludzie i przedmioty - trafią do ośrodka badania zakażeń w Vancouver, do którego powietrze wpływa, ale już nie wylatuje. Szarość powoli przesączała się przez elektryczne oświetlenie. Lampy zaczęły migotać. Nadszedł wreszcie zimny front atmosferyczny. Kolejny zwykły dzień na dalekiej białej północy.

Odwróciliśmy się od ściany wideo i popatrzyliśmy na siebie. Kiedy stopniowo było już coraz mniej do oglądania, ludzie zaczęli się wymykać z sali. Michael Weiner klepnął mnie na pożegnanie w plecy, jakby chciał powiedzieć: „Dobra robota, Columbo”. Paru stażystów chyba zamierzało się urwać i świętować przedwcześnie. Reszta z nas siedziała lub stała, ale nie wyszła. Nie mogliśmy uwierzyć, że to już koniec, i czekaliśmy na kogoś, kto nas o tym zapewni. W końcu wyszedłem i wsiałem do windy dla personelu po wschodniej stronie Hyperbowl. Dzień był szary i wilgotny, ale czułem, że poranny deszcz nie wróci. Kierowca meleksa przy stadionie zapytał, czy podwieźć mnie do kwater, ale odmówiłem. Do pokoju miałem zaledwie dwie mile, a ostatnio jedyny ruch, jakiego zażywałem, to chodzenie.

- Hej - usłyszałem Ashley Dwa. Poczułem dotknięcie na łopatkę. Odpowiedziałem „hej”. Dostrzegłem parę pracowników idących pięćdziesiąt jardów za nią, zapewne kolejna porcja z kontyngentu, który laził za mną nieustannie w kompleksie Hyperbowl i kwaterach miesz-

kalnych. Nawet jeżeli wyśledziłem Madisona, nadal stanowiłem kłopot z powodu mojego przedawkowania pyłu Sternika. Powiniennem nie zwracać na nich uwagi, pomyślałem. Przecież są tu dla mojego dobra. Pewnie.

Ashley chciała wpaść, ale powiedziałem, że potrzebuję wypoczynku. Odeszła. Naprawdę miła z niej dziewczyna. Zażyłem dwie niebieskie pigułki valium i opadłem na łóżko. Szlag, naprawdę jestem trochę wykończony. Tak naprawdę nie rozluźniłem się od... Nie wiem od kiedy. Od ósmej klasy zapewne. Kręciłem się na posłaniu, to drzemiąc, to znów się budząc, przez dwanaście godzin. Co chwilę sprawdzałem raporty z przebiegu działań w domu Madisona. Żadnych nowych wieści. Tony Sic przesłał wcześniej wiadomość tekstową, że wszyscy po prostu siedzą przy maszynach z przekąskami i napojami jak na szpitalkach, a raczej jak na sztyletach i soplach. O 2:08 nad ranem wziąłem kolejne dwie pigułki. Pamiętam godzinę tak dobrze, bo cztery minuty później Ashley Dwa załomotała do drzwi mojej sypialni. Ana wezwała wszystkich na naradę. Na drugim przesłuchaniu Madison zeznał, że w zeszłym tygodniu już rozprowadził prawie kwartę *Brucecellis*, którą osobiście przetestował na członkach rodziny, kilku przyjaciół zdradzało objawy zakaźnego stadium brucelozy, a to - jak zakończył z zadowoleniem - jest praktycznie koniec, tyle że na śmierć trzeba będzie jeszcze chwilę poczekać.

Pod Mokrą Jaszczurką zwykle panował tłok, ale teraz, o pierwszej po południu, lokal był w dwóch trzecich pusty. Miałem wrażenie, że obsługa. pozwoli mi tu siedzieć cały dzień o dwóch drinkach Mai Tai. Nie wiedziałem, dlaczego Marena chce się ze mną spotkać właśnie tutaj, chyba że z powodu niewielkiej odległości od lotniska w Belize. Może chciała zwabić mnie na pokład swojego odrzutowca i ściągnąć z powrotem do Palika? Siedziałem przy zbyt małym, chwiejnym stoliku na werandzie drugiej kondygnacji i obserwowałem Fort Street, próbując odgadnąć, który z parkujących samochodów należy do śledzących mnie ludzi z Działu Wykonawczego. Stawiałbym na forda econoline z około 1980 roku. Widok wydawał się ponury, bo nowe szyby w lokalu były mocno przyciemnione. Zapewne przy barze siedzi druga para dupków, w razie gdybym próbował uciekać pieszo. Doprawdy, powinienem zrobić im zdjęcia, a potem pogonić. Albo sprawdzić, skąd oni wszyscy są. Tylko kogo to obchodziło? Lindsay włożył we mnie kupę szmalu. Jeżeli chce mieć przekonanie, że chroni swoją inwestycję, niech ma. Zerknąłem na duży wyświetlacz mojego nowego telefonu. 1:39 po południu. Tło pulpitu - no, może pulpit to określenie trochę na wyrost w przypadku wyświetlacza komórki, ale wiadomo, co chodzi - stanowiła rekonstrukcja zwalonego muralu, który widzieliśmy w pałacu w Ix, tego z nietoperzami i bliźniakiem wchodzącym na *mul* Ziemskiej Ropuchy. Michael przyłożył się i dzięki programowi graficznemu rekonstrukcja wyglądała jak nowa. Ale

i tak trudno było dostrzec, co jest czym. Osa zabójczynie świerszczy wylądowała na aparacie. Włączyłem wibracje i owad odleciał, brzęcząc w wilgotnym powietrzu. Padało wcześniej, a teraz, gdy nie było słońca, robiło się parno i duszno jak w łaźni. Dobre warunki do rozwoju bakterii, pomyślałem.

Szczególnie niektórych zarazków...

Tyle tylko, że to nie miało się zdarzyć. Do dziś - a był dwudziesty ósmy marca - było jasne, że kiedy Madison powiedział o wypuszczeniu Kozy, po prostu mydlił nam oczy. To, co znaleziono w zamrażarkach, okazało się poważne, dobra. Ale Madison ciągle zmieniał zeznania. Najpierw twierdził, że bakteria jest już w obiegu, a potem oznajmił, że ma współników, którzy planują ją wypuścić, a potem, że wysłał kilka pojemników w różne strony świata z czasowym zapalnikiem, który wybuchnie bez wydzielania ciepła około listopada. Jednak jak dotąd - na ile można było ocenić w oparciu o lakoniczne raporty Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego - im dłużej go naciskano, tym mniej prawdopodobnie brzmiały zeznania. Zresztą Koza nie przeżyłaby długo bez opieki. A na podstawie ilości roztworu koloidalnego i innych składników, w jakie zaopatrzył się Madison, w dniu akcji służb specjalnych miał wszystko, co wyhodował. Gra również potwierdzała przypuszczenia departamentu. To znaczy partie Gry rozegrane zarówno przeze mnie, jak i Tony ego i innych sugerowały, że Koza nie wyszła w świat i zapewne nigdy nie wyjdzie.

A jeżeli chodziło o datę 4 *Ahau* - cóż, to było trochę dziwne. Jak dotąd jedyne, co powiedział na ten temat Madison, to stwierdzenie, że wybrał datę, bo „sporo ludzi w to wierzy”. I Madison zamierzał im dać to, czego chcieli. Poza tym nie wspomniał nic o Majach. A jeżeli powiedział, gliny nie puściły o tym farby.

Pociągnąłem jeszcze jeden łyk espresso. Hm. Wlałem do filiżanki porcję rumu, wyciągnąłem piankę marshmallow z woreczka w kieszeni spodni, wrzuciłem do kawy, wymieszałem i spróbowałem jeszcze raz. O wiele lepiej.

Pieprzyć Madisona. Musi mu wystarczyć, że stał się największym przegrany wszech czasów na świecie. A ponieważ spartaczył swoje

wielkie przedsięwzięcie, musiał teraz wyznaczyć wszystko - czyli podać nazwiska ludzi, którzy wiedzieli o Kozie - abyśmy mogli sprawdzić, czy coś jednak nie zostało przeoczone. Gnojek.

Ale przynajmniej został złapany, pomyślałem po raz enty. Nadal byłem zdumiony, że rząd, a raczej dwa rządy - które, jak można by przypuszczać, wszystko robią źle - zadziałały tak sprawnie razem. Nie żeby znalazły Madisona bez pomocy naszego zespołu, o nie. I jeszcze teraz powtarzały, że sprawa Madisona powinna pozostać tajna na wieki wieków, aby nie inspirowała naśladowców. Zaskakujące, ale się z tym prawie zgadzałem. A przynajmniej zamierzałem to przemyśleć, zanim podniosę raban. Oczywiście, jeżeli rządy chciały, aby zespół „Parcheesi” utrzymał sprawę w sekrecie, mogło to oznaczać, że zaczną nas także od wszystkiego odsuwać. Nas wszystkich, którzy wiedzieli o Madisonie i całej reszcie. Stary truizm, że gdy się cierpi na paranoję, to jeszcze nie znaczy, że nie ma ludzi, którzy chcą cię dopaść - cóż, nie bez powodu uznano to za truizm. Ponieważ to prawda. Naturalnie dlatego chciałem się wyrwać choć na chwilę z Palika. Może gdybym użył tożsamości Martina Cruza, a potem dopiero zamienił ją na kamuflaż Jeda... Hm... Rozejrzałem się raz jeszcze. Nikogo.

Hm...

Dziwna była świadomość, że świat nadal będzie się kręcił, czułem prawie ulgę po tylu...

-Cześć - przywitała się Marena. Miała czapeczkę z napisem „Magie” i dość obcisłą górę i dół. Wydawała się trochę szczuplejsza i bledsza, ale w tym dobrym aspekcie.

-Cześć - odpowiedziałem. Głos mi się lekko załamał. I tyle, jeżeli chodzi o sprawianie wrażenia wyluzowanego faceta. Wstałem. Pocałowała mnie, ale prawie niewyczuwalnie.

-Proszę, *nehmen Sie Platz* - dodała. Jed gentleman.

Usiadłem. Marena usiadła. Miałem pudełko cygar, o które prosił Jed Dwa, leżące na stole po jej stronie. Jak dotąd nie znalazłem w okolicy Maximóna. Jeszcze. Wysunąłem krzesło i przełożyłem tam cygara.

- Dobrze wyglądasz - rzuciłem. - Lepiej.

-Dzięki.

-Ta-a...

Cisza.

-Co powiesz na Kon-Tiki Zombie? Chyba podają to w grejpfrucie w parasolką i w suchym lodzie z topiącymi się lodami w kształcie głowy z Wyspy Wielkanocnej i innymi dodatkami.

-Chcesz powiedzieć, że to ze mnie zrobi zombie?

-Och, heh.

-Dzień dobry, witam w Mokrej Jaszczurce - przerwała nam kelnerka. - Polecamy dziś Mai Tai z Atolu Bikini, które zrobione jest z domowego rumu kokosowego i...

Marena przerwała jej uniesieniem dłoni.

- Mogę dostać butelkę wody mineralnej i glen moray? - poprosiła. - Dziękuję.

Kelnerka odeszła pośpiesznie.

-Co u Maksa? - zapytałem.

-Mówi, że jego nowa szkoła jest zbyt artystyczna.

-Artystyczna?

-Właśnie. Pełno tam dzieciaków, które robią wyklejanki z liści i inne takie gówna.

-Nie wygląda na przyjemne miejsce.

-No. Ale Max sobie radzi. Pozdrawia cię.

-Też go pozdrów.

Wróciła kelnerka z whisky i wodą.

-Nie masz ochoty na burgera? - zapytałem Marenę.

-Wybacz, nie jestem głodna.

-Ani ja - mruknąłem. - Wybacz.

Kelnerka odeszła. Marena spojrzała na ulicę. Na prawym poboczu, niedaleko forda econoline, stało kasztanowe BMW x1 SUV.

-To twój wóz? - Wskazałem BMW.

-Aha. - Spojrzała na mnie i rozparła się wygodniej na krześle.

-Żadnych papierosów? - zapytałem.

-Ani jednego od Dnia Madisona - przyznała.

-Wspaniale.

-Ale mogę cię poczęstować lizakiem z nikotyną.
-Och nie, dzięki. Może masz ochotę na marshmallow?
-Wiesz, przykro mi łamać ci serce, ale większość ludzi nieszczę-
gólnie lubi marshmallow. A przynajmniej nie na tyle, by jeść je
torebkami.
-Naprawdę? Przecież sprzedaje się tego tony.
-To tylko dla... Nieważne.
-Myślisz...
-Więc nadal jesteś na... Wybacz. - Marena westchnęła. - Co mó-
wiłeś?
-Co? Och, przepraszam. Nic ważnego.
-Ależ mów. Śmiało.
-Nie, nic nie mówiłem. O co chciałaś zapytać?
-Nadal jesteś na kontrakcie, prawda?
-Tak. - Wzruszyłem ramionami. - Ale zrobiłem sobie małe wa-
kacje.
-No wiem, że to nie jest hotel Plaza w Atenach, ale gdybyś wró-
cił, byłoby wspaniale.
-Do Palika?
-Właśnie. Do wioski olimpijskiej. Nic ekscytującego, ale Lindsay
będzie miał uroczystość przecięcia wstęgi w Hyperbowl.
-Tak szybko? Stadion już jest gotów?
-Nie, ale trzeba pokazać się Komitetowi Olimpijskiemu, więc
Lindsay pewnie chce zrobić to z pompą.
-Na pewno tam niedługo zajrzę - obiecałem. Hm. Czyżby Ma-
rena naprawdę chciała, żebym był w Paliku? To znaczy, czy
chciała, abym wrócił, żebyśmy znowu mogli być razem? Czy
tylko chciała, żeby łatwiej mnie można było mieć na oku? Nasza
rozmowa niezbyt się kleiła. Wyczuwało się w niej ten niezręczny
dystans. Może powinienem po prostu wrócić. Tyle tylko, że
jeżeli Marena mnie tam chciała, w sensie: CHCIAŁA MNIE, zapewne
już dotknęłyby mnie pod stołem czy coś w tym stylu. Prawda?
Niech to szlag, miałem wrażenie, że znowu jestem licealistą z
problemami w związkach. To dlatego nie znoszę relacji interper...

-Pewnie wiesz, że Lindsay pracuje nad tym, by pozbyć się żołnierzy z Ix - Marena przerwała mi rozmyślania. - Więc niedługo będziemy mogli tam wrócić. I to nawet legalnie.

-Naprawdę? Nawet jeżeli w Belize jest wojna? Według CNN dziś rano nadal trwał ostrzał z obu brzegów Rio Sarstun.

-Powtarzam tylko to, co powiedział mi Larry - przyznała. - Będziemy mieli swoją godzinę chwały.

-Oczywiście, na pewno wezmę udział w wyprawie do Ix.

-Cudownie.

Skończyłem moją ulepszoną kawę. Wyprostowałem się nieco i rozejrzałem. Marena też się wyprostowała i rozejrzała. Znajome szczekanie psa rozległo się nieopodal. Dzień robił się coraz bardziej parny i duszny, jakby w powietrzu unosił się tlenek węgla.

-Co planujesz robić tak w ogóle? - zapytała Marena. - Znaczy w perspektywie długofalowej.

-Nie wiem. Pogmerałem trochę w moich kontraktach na kukurydzę. Nadal muszę rozegrać kilka partii go i zebrać dwieście tysięcy miliardów dolarów.

-Co powiesz na biznes z podróżami w czasie?

-No, chyba to przemyślę, odczekam trochę, aby potem wejść w to wcześniej.

-Ha. No tak.

-Właśnie. Ale, wiesz, gdyby podróże w czasie wypaliły, już byśmy o tym wiedzieli.

-Skąd to przekonanie?

-Gdyby podróże w czasie miały się wydarzyć i stać dostępne na większą skalę za jakiś czas w przyszłości, wtedy dzisiaj mielibyśmy już gości z tej przyszłości. Wiedzielibyśmy już o nich.

-Może podróż w czasie okaże się za droga - zauważyła Marena.

-Owszem, ale wiesz... Telewizja kiedyś była droga. Przekaz przez tunel czasoprzestrzenny może być drogi teraz, ale za dwadzieścia lat stanie się tani jak barszcz, a wtedy każdy będzie chciał spróbować. Technologia się rozprzestrzenia.

-Heh. Cóż, może... może podróżnicy z przyszłości już tu są, ale nie wolno im o tym mówić.

-Czemu? Czy nie byłoby lepiej, gdyby nam powiedzieli, na co uważać, czego się strzec?

-Ale czy Taro nie powiedział, no wiesz, nie wspomniał czegoś o tym, że nie możesz nic zrobić z powodu problemu z wujem?

-Paradoksu dziadka.

-Właśnie.

-Owszem, wspomniał - przyznałem. - Ale im dalej się cofniesz, tym mniejszy jest to problem. Zatem ludzie z dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości, mogliby tu przybyć i nie wpaść w jakieś wielkie tarapaty.

-Może mieszanie ludziom w głowach będzie nielegalne. Bo przecież to jednak zwyczajne morderstwo, prawda?

-Pewnie, ale nie sądzę... To znaczy, nawet gdyby istniało prawo, które zakazuje podróży w czasie i wymazywania innym mózgu, nawet gdyby to uznano za morderstwo, to przecież nigdy taki zakaz nie powstrzymałby ciekawskich, prawda? Szczególnie że przecież technicznie znaleźliby się poza zasięgiem tego prawa. Będą bowiem w przeszłości.

-To możliwe - przyznała Marena. Wypiła na raz połowę szklanki whisky. Dopiero teraz usłyszałem klaksony. Zacząłem się zastanawiać, czy gdyby to były głosy ptaków, ludzie uznałyby je za przyjemne. Zapewne nie. - Och, tacy podróżnicy mogliby przejmować ciała tych, którzy i tak mają umrzeć, a potem pomóc ich rodzinom czy bliskim, by to zrekompensować...

-Nie, nie wydaje mi się, że to problem, którego nie dałoby się obejść.

-Więc nadal uważasz, że nie ma tu gości z przyszłości, ponieważ nie istnieje żadna przyszłość?

-Cóż... Tego nie wiem - przyznałem.

Napiła się wody mineralnej prosto z butelki. Zapadła cisza.

- Przykro mi - westchnąłem. - Pewnie myślisz o Maksie.

-Tak.

-Może istnieje inne dobre wyjaśnienie. Prawdopodobnie tak jest. Wybacz.

-Nie, to ja przepraszam. Zachowuję się jak pieprzona matka.

-To dobrze. Bycie matką dodaje ci uroku.

-Wiesz, rzecz w tym - zaczęła - że kiedy ma się dziecko, wcale nie wydaje się to jakoś ważne czy wartościowe. Dopóki ktoś... gdyby jakiś obcy albo bóg czy ktokolwiek pojawił się i powiedział: „Słuchaj, jeżeli oddasz mi swoje dziecko, wyleczę raka i sprawię, że wszyscy inni będą żyli wiecznie, a nawet sprawię, że wszelkie cierpienie we wszechświecie zniknie”, ja wtedy odpowiedziałabym: „Dziękuję, nie”.

-To dobrze.

-To jakaś chemiczna zmiana. Zmieniłam się w system podtrzymywania życia dla drugiego człowieka.

-To świetnie - zapewniłem. - Naprawdę mi przykro, że wspominałem o tym...

-Nie, w porządku. - Dopięła resztę glen moray.

-Może stara dobra Gra da nam wskazówkę, o co chodzi - zaproponowałem.

-Może... - Skinęła głową. - A skoro już przy tym temacie jesteśmy, to chyba zostało sporo do zrobienia z Grą, prawda? Madison nie jest jedynym i ostatnim wielbicielem apokalipsy.

-Nie jest.

-Musisz nad tym pracować. Jesteś jak ten funkcjonariusz z Prewencji w opowiadaniu Philipa Dicka.

-Muszę?

-No wiem, że nie jestem już twoją szefową. Ale wiesz, chodzi o to, że ty jesteś James Bond. Tyle że nie musisz wychodzić z biura.

-Dzięki.

-Przepraszam.

-Nic nie szkodzi. Zresztą nie jestem już jedyny. - Wzruszyłem ramionami. - Mam na myśli Tony ego i spółkę. Radzą sobie całkiem nieźle, więc... no wiesz. Mogą sami zająć się kolejnymi aniołami śmierci.

-Ach.

-A LEÓN robi się coraz lepszy - dodałem. - Za kilka lat będzie grał bez niczyjej pomocy. Nie będziemy nawet wiedzieć, co właściwie robi. Dla człowieka będzie to zbyt skomplikowane, żeby się połapać.

-Będziemy więc musieli zaufać LEON-OWI, CO?

-No, to zupełnie inna sprawa.

Rozejrzałem się znowu. Słońce walczyło z chmurami. W jednej z alejek ktoś głośno wymiotował.

-Czy to miasto przypadkiem nie jest zbyt niskiego sortu dla damy z klasą jak ty? - zapytałem.

-Ta-ak... Takie miejsca degradują nas po jakimś czasie, prawda?

-Tak mniej więcej po dziesięciu sekundach.

-Więc dlaczego tu jesteś? - zapytała Marena.

- Nie jestem damą z klasą.

Odgłosy torsji powoli ucichły. Cisza.

-Słuchaj. - Marena pochyliła się lekko nad stołem. - Chciałam się z tobą spotkać osobiście, bo odkryłam coś nieprzyjemnego. Wściekniesz się. Naprawdę.

-W porządku, nie martw się o to.

-Ale masz prawo być wściekły. To, co cię spotkało... To naprawdę wstrętne.

-Czyli? Zgaduję, że zostanę aresztowany.

-Nie, to nic z tego rodzaju... No dobra, posłuchaj. Wiesz, że te do-palacze, które wywołują oświecenie, iskry we krwi... Wiesz, że składają się z dwóch komponentów i jeden daje poczucie, że przestrzeń nie istnieje czy coś podobnego? Ten, który kojarzy się z żeglarstwem?

-Stary Sternik.

-Właśnie. - Marena pokiwała głową. - Pogrzebałam o tym trochę.

-Tak?

-I... i okazało się, że ludzie z laboratoriów Warrena nie byli całkiem... To znaczy powiedziano nam, tobie i mnie, coś, co nie zgadza się z rzeczywistością.

-A dokładniej?

-To nie jest tylko substancja chemiczna.

-A co to jest?

-Pasożyt.

Cisza.

-Proszę...? - wykrztusiłem.

-To jakiś mikrob, który wytwarza substancję psychoaktywną...
Jak u tych ślimaków zombie, które mają robaki w czułkach, no
wiesz, takie, co sprawiają, że te ślimaki wspinają się na drzewa,
żeby ptaki je zjadły...

-Przywra *Leucochloridium*.

-Właśnie. Albo jak to, co sprawia, że myszy przestają się bać ko-
tów.

-Toksoplazmoza.

-To dlatego ten drugi związek musiał być podawany w wodzie,
pływały w niej naprawdę małe, malutkie mikroby.

-Uch... E... - tyle zdołałem powiedzieć. Czulem lekki zawrót głó-
wy, choć nie przypuszczam, żebym się zachwiał. Przynajmniej
nie tak, by było to widoczne.

-I właśnie dlatego tyle czasu zajęło przygotowanie tego preparatu.
Trzeba było sklonować te mikroby z innych czy coś podobnego.

-No dobrze, ale... Słuchaj, ale czym one dokładnie są?

-Te mikroby?

-Właśnie. Czy to płazińce, pierwotniaki czy...

-Nie wiem. - Spojrzała mi w oczy. Również spojrzałem jej w oczy.
Spuściła wzrok.

-Dlaczego po prostu nie wyizolowali związków psychoaktyw-
nych z wydzielin i nie podali ich nam?

-Nie wiem - powtórzyła. - Przypuszczam, że zajęłoby to zbyt
dużo czasu albo nikt nie wiedział, który składnik wywołuje
efekty, albo wytwarzanie tego związku wymagało udziału
ludzkiego neuro-transmitera, albo... Nie wiem. Ty się znasz
lepiej na tego rodzaju...

-No dobrze, dobrze. Ale jakie symptomy wywołują te mikroby,
jaki mają cykl życia, jakie są skutki krótkoterminowe i
długotrwałe, jakie są prognozy...

-Laboratoria już pracują nad lekarstwem.

-Lekarstwem czy kuracją? Jak dotąd nie ma nawet lekarstwa na malarię.

-Może tylko nad kuracją.

-Szlag.

-Jeżeli możesz się jeszcze wstrzymać z przyjazdem... No, nie wiem, co chcesz zrobić, ale obawiałam się, że możesz wpaść na pomysł, by przesłuchać doktor Lisuarte...

-To nie taki zły pomysł.

-Jeżeli możesz się od tego wstrzymać, jak tylko tam wrócę - miała na myśli Palik - sprawdzę, co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, i zadzwonię do ciebie.

-Możesz wszystkich tam zdenerwować.

-Nie zrobię tego. Zaufaj mi.

-A co z Ashley Dwa i resztą ludzi, którzy przyjmowali dopalacze?

-Nie wiem. Zamierzam sprawdzić, nad czym pracują laboratoria i gdzie znaleźć dokumentację, i wszystko, co się da, a przede wszystkim zamierzam powiedzieć o całej sprawie Lindsayowi, który na pewno w tym nie siedzi, ponieważ ci ludzie zawsze próbują mu mówić jak najmniej. A potem ty i ja się tym zajmiemy. Ale teraz naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

-Nie przepraszaaj. Poradzimy sobie.

Cono, cono, cono, pomyślałem przy tym. Mam przewalone. Naprawdę ci ludzie z korporacji powiesili mnie na haku i pozwolili się wykrwawić... A teraz na mnie...

- Przykro mi.

- W porządku.

Cisza.

-Ale poza tym wyglądasz dobrze - stwierdziła Marena. W jej głosie zabrzmiały niskie nuty nieuchronnego zakończenia.

-Musisz iść?

-Samolot pewnie już jest zatankowany.

Nie mogę jej naciskać, pomyślałem. Zapomnijmy. Nie warto się łudzić, nie warto popadać w szaleństwo ani błagać. Nic z tych rzeczy.

Marena jest zajęta. I naprawdę musi pracować. Przecież ma dziecko. I imperium, którym trzeba kierować. Ma mnóstwo spraw na głowie. Jest w korporacji. Ma wypełniony kalendarz. I żyje na najwyższych obrotach.

-Hej, na pewno nic ci nie jest? - upewniła się Marena.

-Na pewno - potwierdziłem. - Mogę odejść w każdej chwili.

-Bardzo zabawne.

Jak można się było spodziewać, zapadła kolejna długa i niezręczna cisza. Czy mi się zdaje, czy czuję zapach wymiocin? Może to tylko igraszki mojej nadpobudliwej wyobraźni.

-Czuję się trochę niezręcznie - przyznałem.

-Wybacz. - Spuściła wzrok na błękitną ceratę na stoliku.

-W porządku.

Niech to szlag. Po prostu rozłożyłem nogi i poprosiłem: „Zrób to ostro”. Cipa ze mnie. Żałosna, głupia cipa.

- Dobrze... Słuchaj, jest jeszcze jedna sprawa. Miałam o tym nie wspominać teraz, ale chyba powinnam. Zamierzam wyjść za męż. Znowu.

Cisza.

-Ale chyba nie za mnie - rzuciłem.

-Uch, nie. Za sąsiada z Woody Creek. Nie znasz go.

-Ach. No to... Gratulacje.

-Daruj sobie. Wiesz... Chodzi o to, że... Sądzę, że to między nami jest naprawdę niesamowite. Ale nie wydaje mi się, żebyś chciał się ustatkować. Chcesz?

-No... y... Nie, ustatkuję się... to znaczy nie, nie chcę się ustatkować, nie.

-Dziewczyny tego potrzebują. - Westchnęła. - Wiem, że to śmieszne, ale po prostu zegar biologiczny tyka. Żyjemy w pełni tak krótko, a ta cała zagłada świata tylko... To znaczy słuchaj, dziewczyny potrzebują tych głupot... Tak naprawdę nieważne, kto to jest, jeżeli, cholera, no... jeżeli tylko nosi spodenki khaki i trenuje drużynę lac-rosse, w której gra Max, i nie śpi przez cały dzień, przychodzi w nocy do łóżka i... Wiem, że to strasznie nudne, ale tego mi trzeba.

-Nuda jest seksowna.

-Ta-ak. Dla dziewczyn w pewnym wieku na pewno.

-Racja.

Głupio się czułem, lekki, ale nie w tym dobrym sensie. I może bardziej z powodu tego, co się stało między mną i Mareną, niż z powodu mojego nowego statusu zakażonego nosiciela.

-Nieważne. Po prostu przyjedź i porozmawiajmy o tym, kiedy będzie na to pora, dobrze?

-Dobrze.

-Na pewno z tobą w porządku?

-W porządku.

-Dobrze. Lepiej już pójdę. Przysięgam, że naprostuję tę sprawę z pasożytem. Zadzwoń do mnie.

-Tak zrobię.

-Jutro - nakazała Mareną z naciskiem, wstając. - Naprawdę tego chcę.

-Zadzwonię - przyrzekłem i też wstałem.

Pocałowała mnie. Nie całkiem na to zareagowałem. Odwróciła się i ruszyła do wyjścia przez salę lokalu. Popatrzyłem nad tarasem.

Niech to szlag, pomyślałem.

Rzecz w tym, że kiedy spotkałem Marenę, wydawało mi się, jakby pochodziła ze świeższego, chłodniejszego świata, bliżej jasnego środka uniwersum. I wtedy to było: nawet o niej nie myśl. Nie przez najbliższe kwintyliony lat. A potem myślałem, że widziałem Marenę w nieco fałszywym świetle, odkryliśmy wzajemne porozumienie, a ten chłód był jedynie udawany. Teraz, gdy chłód wrócił, zacząłem się zastanawiać, czy owo porozumienie nie było tylko grą. A może i jedno, i drugie było udawane, ale Mareną odgrywała porozumienie tylko na specjalne okazje. Suka. To, czego potrzebowałem... Och, oto i ona.

Wyszła z lokalu dwadzieścia stóp niżej i przecięła Fort Street. Nie podniosła głowy. Ups, nie. Jednak podniosła. Pomachała mi. Ja też jej pomachałem. Odwróciła się i wsiadła do BMW. Samochód ruszył. Rozparłem się na niezbyt wygodnym krześle.

To było... niezdolnie niezręczne, pomyślałem.

Ćma w porządku.

Cholera.

Głupio, bezsensownie i nieuchronnie zacząłem wspominać tamtą chwilę po incydencie z Hipogryfem, lecz przed tym, jak odnaleźliśmy krzyż z magnetytu. Czytałem, a Marena spała i śniła, jej oczy drgały pod gładkimi powiekami. Okno było otwarte i wleciała przez nie średniej wielkości ćma, jakaś z rodziny zawisakowatych. Podleciała do wyświetlacza mojej komórki, odbiła się i wylądowała na czole Mareny.

-Pająk - wymamrotała Marena nadal w pół śpiąca, ale trochę zaniepokojona. - Zabierz go.

-To tylko przyjazna ćma - szepnąłem jej do ucha.

-Och - westchnęła nieprzytomnym dziecinnym tonem. - Ćma w porządku. Przyjazna.

Obróciła się do mnie. Poczulem się wtedy, jakbym miał małą córkę, kogoś, kto mi ufa bezwarunkowo...

Kurwa.

W życiu zdarzają się chwile absolutnej bliskości, ale kiedy wraca się do zwykłych brudnych spraw dnia codziennego, czuje się niepokój, że już nie ma tej bliskości, więc próbuje się odnaleźć ją znowu. I tak powtarza się cykl, ale nic z niego nie wynika. A przecież istnieje intymność i dystans oraz stara jak świat, wieczna, nierozwiązywalna i katastrofalna rozdzielność między jednym i drugim, więc trzeba tylko utrzymywać... Kurwa. Zna się jakąś osobę na wylot, wie się, jak przeżywa orgazm, jak śpi, a potem, o poranku, zmieniamy się znowu w parę drani. I nienawidzi się za to siebie i jej. Żalodne. Czego się spodziewałem? Że Marena i ja odjedziemy w zachód słońca brązowym BMW? To była tylko przygoda na dziewięć nocy. A może na osiem?

Może powinienem wrócić, pomyślałem. Może uda nam się wrócić do tej plaży przy IX. Izolacja, nic do roboty, brzydki koledzy. Wylądujemy w łóżku jeszcze tego samego dnia. Nic wielkiego. W dzisiejszych czasach to tylko szybki numer w krzakach, a potem Marena może temu facetowi z Wood...

Ale nie. Nie warto się łudzić. Marena tylko ze mną pogrywała, żebym harował jeszcze ciężej. Bylebym zgłosił się na ochotnika do samobójczej misji i spędził ostatnią noc przed rozproszeniem grupy z Miss Seulu. Dupek ze mnie.

A najgorsze było, że to takie konwencjonalne. Głupi krótki romans, moje głupie emocje, nieunikniona ostatnia rozmowa, banalna i nieciekawa. Nie jestem pogruchotany wewnętrznie, niestabilny i na wpół autystyczny. Gorzej. JESTEM ZWYCZAJNY. Talent czy nie, pieniądze czy nie. Gra czy nie. Zwyczajny.

I nawet kiedy gram, to tak naprawdę nie ja używam Gry. To Gra używa mnie. Tak samo jak Marena. Tak samo jak wszyscy.

Frajer.

Zdjąłem czapkę i wytarłem opaskę przeciwpotną. Mroźne międzygwiazdne plazmowe wiatry hulały mi pod czaszką. Cóż, może na to zasłużyłem, pomyślałem. Nie jestem nawet dobry w Grze. Nie potrafię dojść do poziomu dziewięciu kamieni. Nawet z pomocą komputera, który ma mózg objętości Mgławicy Oriona. Nie potrafię nawet skończyć ośmiokamieniowej partii.

Założyłem czapkę.

Niech to szlag.

Zresztą o co, cholera, chodzi?

Hm.

Tylko jedna malutka samotna Gra, pomyślałem. Pół godziny. Wystarczy rozegrać ją dalej z ostatniej pozycji. Nic wielkiego. Mogę przecież odejść w każdej chwili. Naprzód, poprawię sobie trochę samopoczucie.

Sięgnąłem do niewielkiej sakiewki w drugiej kieszeni i wyjąłem tytoń. Wsunąłem szczyptę do ust i przeżułem starannie. Dobra. Wstałem, przeciąłem hałaśliwą salę z barem na drugim piętrze i po schodach zszedłem do łazienki. Na drzwiach widniał napis: BAD BOYS. Tam z tubki wyjąłem ostatnią porcję mojego tajnego zapasu *hatz'k'ik'*. Wyplułem tytoń. Boże, pomyślałem, jestem wstrętny. Głupi nawyk. Wtarłem resztki tytoniu w ślad po wewnętrznej stronie uda, dopro-

wadziłem się do porządku, przemyłem twarz letnią wodą i wróciłem do swojego stolika.

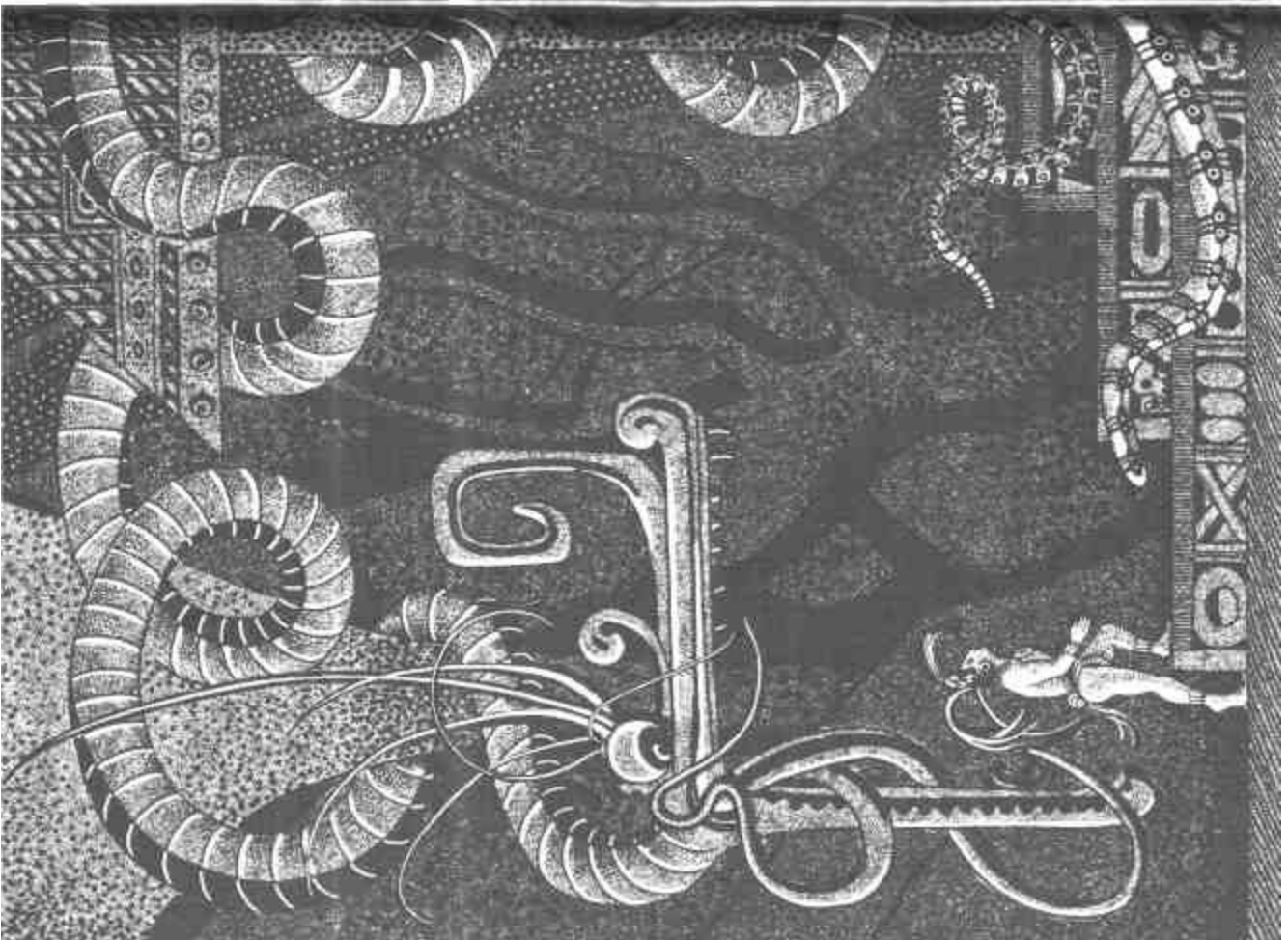
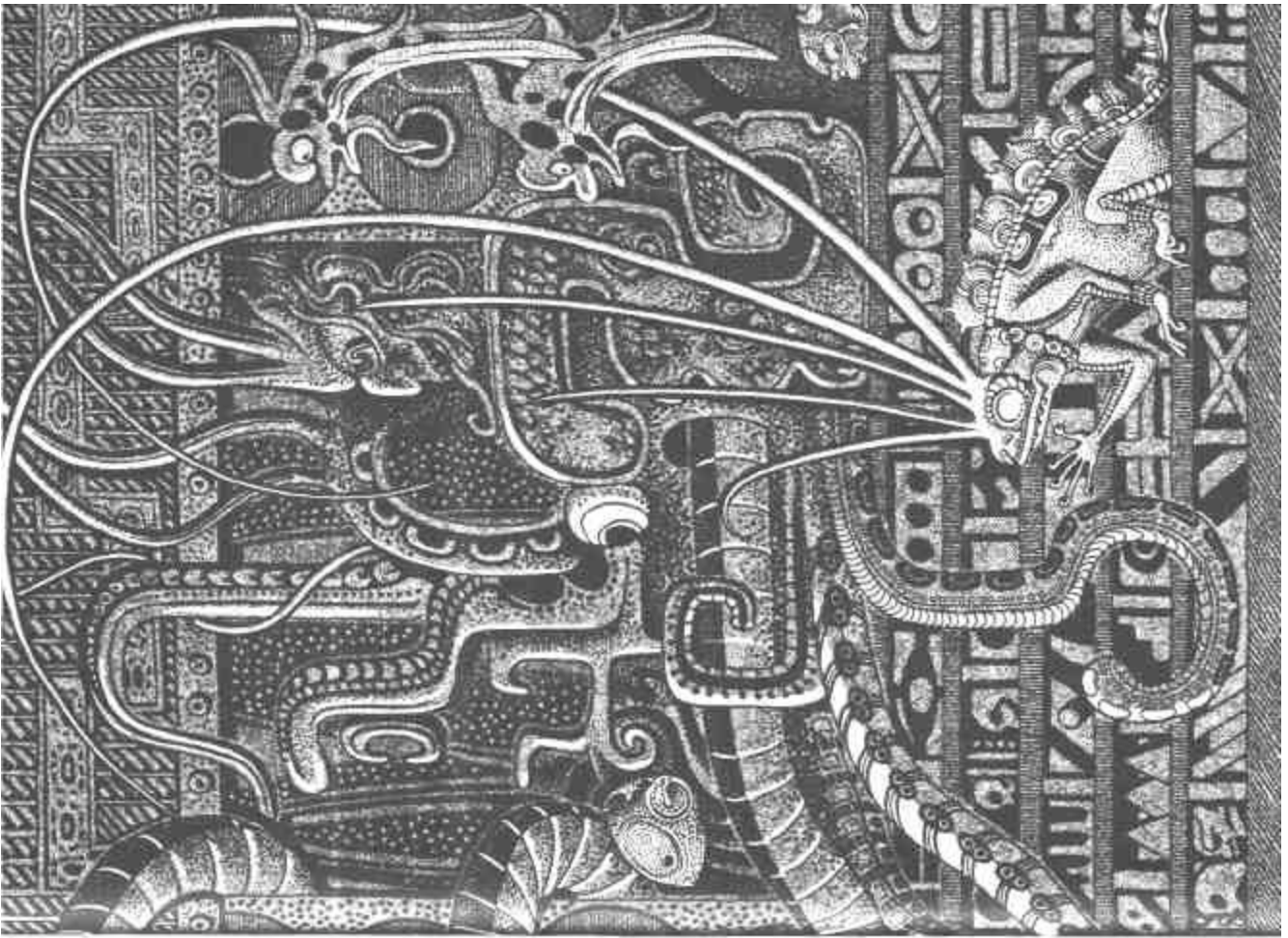
Włączyłem komórkę. Iksyjski mural nadal był na wyświetlaczu. Szlag, co właściwie przedstawia ten obraz? Nieważne. Kliknąłem „ofiara”. Pojawiła się plansza do Gry. Aby poczuć się niezależnym, odciąłem połączenie z Internetem. Nie potrzebowałem go tym razem. Wiedziałem już dość dobrze, co się dzieje. Fakty miałem w zasięgu ręki. Zbyt wiele faktów. Najtrudniej jest zrozumieć wagę informacji w powiązaniu z innymi. Na przykład: „osa *Sphexius* znajduje się obok mojej szklanki z rumem” i „wszechświat składa się z około cztery razy dziesięć do siedemdziesiątej dziewiątej atomów”. Obie informacje to fakty, ale jedna jest o wiele ważniejsza od drugiej. Nie mówię jednak która.

Zacząłem wyczuwać drżenie rozprzestrzeniające się od mojego lewego uda w dół do stóp i w górę do krocza.

-Oto spalenie, oto oczyszczenie - wymamrotałem. Odtworzyłem układ z mojej ostatniej dobrej Gry, tej, podczas której szukałem Madisona. Nie byłem pewien, dlaczego zamierzałem wrócić właśnie do niej, ale czasami po prostu chce się dokończyć partię w alternatywny sposób, aby sprawdzić, kto wygrałby tym razem. To jak z filmami. Nieważne, jak bardzo nie przypada jakiś do gustu, nadchodzi taka chwila, po której zostaje się w kinie, żeby zobaczyć zakończenie.

-A teraz pożyczam technię dzisiejszego dnia - zaintonowałem. *La hun Kawak, ka Wo*, 10 Huragan, 2 Ropucha, dziewiętnaste słońce piątego uinal dziewiętnastego tun dziewiętnastego *k'atun* trzynastego *b'ak'tun*.

Przesunąłem moją ósmą czaszkę naprzód, na pole 4 *Ahau*, w górę zachodniego zbocza zniszczonej przez erozję góry otoczonej rdzawym pyłem, do jaskini w niebie, z której niosły się echem wycie i krzyk.



Jednym z charakterystycznych efektów działania narkotyków do Gry jest to, że zdają się one tworzyć w umyśle osobne miejsce. Można zrobić sobie przerwę i przez kilka dni lub tygodni zajmować się codziennymi sprawami, można nie myśleć wcale o Grze, ale kiedy weźmie się kolejną działkę, wraca się dokładnie do punktu, gdzie się przerwało, i podąża dalej bez konieczności przypominania sobie, co się robiło, lub reorientacji. Przypuszczam, że nie różni się to tak bardzo od oglądania kolejnego odcinka ulubionego serialu telewizyjnego lub czytania dalej książki albo od gry w „Warcraft” na komórce, tyle tylko, że jest to bardziej autogenne i o wiele bardziej intensywne doznanie.

W każdym razie, chociaż na pewnym poziomie świadomości zdawałem sobie sprawę, że siedzę przy rozchybotanym stoliku na tarasie lokalu w stolicy Belize, to kiedy skupiłem się na planszy, natychmiast wróciłem do tego samego miejsca, gdzie znajdowałem się podczas poszukiwań Madisona - do rumowiska zachodniego zbocza góry. Prawie bez wysiłku mogłem wyobrazić sobie ciepło starego słońca na plecach i syk ceglastoczerwonych kłębów kurzu unoszącego się wokół mnie. Kiedy przesunąłem moją ósmą czaszkę naprzód, zrobiło się jaśniej i wydało mi się, że czuję kamienne podłoże pod stopami i woń palonych kości.

Tędy, pomyślałem. On idzie. Ja idę. Tędy. Wspinam się przez chmury pyłu w kłęby pary i wyżej, poprzez warstwę chmur popiołu.

Potknąłem się. Stopnie postarzały się od mojej ostatniej wizyty, stały się niemal zbyt zrujnowane, by się na nich utrzymać, ale szedłem dalej na czworakach, a raczej mentalnym odpowiedniku tej pozycji, poza popiół i przez chmury z odłamków lodu na zamrożony obszar tuż pod sklepieniem nieba - na zerodowaną terasę. Pohukiwania i krzyki były głośniejsze niż wcześniej. Chwiejny gład zniknął. Przez chwilę próbowałem przyjrzeć się nadchodzącym ze wschodu światom, ale skrywała je krzywizna góry. Znowu opadłem na czworaki. Rozpadlina na zboczu przede mną poszerzyła się od dnia nazwanego 18 Błękit. Kiedy wymacywałem do niej drogę, kamienie pękały i otchłań otwierała się coraz bardziej. Już wyczuwałem, że jest za głęboka dla czaszki numer osiem.

I tak tam pójde, pomyślałem. Żaden problem.

Przesunąłem moją dziewiątą czaszkę. Głębia się rozwarła - była większa niż jakakolwiek jaskinia na ziemi. Pewnie czeka mnie zejście jak po metanowo-lodowym zboczu w szeroki na mile bąbel wewnątrz jednego z księżyców Saturna. Dziewiąty pion miał solidne połączenie z ósmym, więc czołgałem się coraz niżej i niżej, do środka kuli, w hałaśliwy wir. Stworzenia krążyły szybko wokół mnie, blisko, ale bez jednego dotknięcia, w ten sam sposób, w jaki nietoperze przelatują obok człowieka stojącego w wejściu do ich grotu o zachodzie słońca. Czuje się wtedy gorzki zapach ich guana i ruch powietrza, można usłyszeć cichy szmer skrzydeł jak szelest liści na porywistym wietrze -ale nietoperze zawsze, zawsze omijają ludzką przeszkodę... Jednak stworzenia wokół były większe od nietoperzy, wolniejsze również i... jakby delikatniejsze - albo tylko tak mi się wydawało - i bezskrzydłe. Poza tym nietoperze ludzie uważają za ciche, a te istoty były ogłuszająco hałaśliwe. Może tutaj uciekał umysł Dantego, kiedy wyobrażał sobie smagane wichrem *luxuriosi* w drugim kręgu Pieła. Kiedy moje wewnętrzne oczy dostosowały się do ciemności, obecność istot stała się wyraźniej wyczuwalna, a chociaż nie widziałem jednostek, zaczynałem dostrzegać lataninę. Bardziej przypominała ruchy mieszkańców morskich głębin, choć teraz już stworzenia nie były podobne do lwów morskich. Może raczej do bieluch z kopulastymi głowami

i szorstką białą skórą... Tyle tylko, że przez wygięte grzbiety sprawiały wrażenie garbatych. Może stworzenia te były krasnoludami - małe, przysadziste, o wielkich głowach... Lecz miały też krótkie grube ogony i jedynie prymitywne załączki ramion, trochę jak u kijanek. Może zaraz przemienia się w żaby? Ale zauważyłem uszy i łomoczące serca pod przezroczystą skórą, a także nabrzmiałe oczy poruszające się pod powiekami, jak...

To były embriony.

A'anob, sukcesorzy, duchy nienarodzonych.

Nic dziwnego, że było ich bez liku, miliony, kwadryliony i tak bez końca. Znajdowała się tu cała przyszła populacja, wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy narodziłoby się po 4 *Ahau* i którzy nigdy by się nie narodzili, gdyby gład spadł i zastawił otwór jaskini. A kiedy słońce *b'aktun* osiągnie zenit w 4 *Ahau*, oświetli grootę i niepoliczalne rzesze *a'anob*. Eter w jaskini się ogrzeje i rozszerzy, a *a'anob* nieuchronnie i nieubłaganie zostaną uniesieni, po czym fala za falą rozwiani nad ziemią. Pamiętam, co napisał Jed Dwa: że pani Koh wspomniała o trzech jaskiniach na poziomie zero. O jaskini zmarłych, która jest po drugiej stronie świata, na zachodzie; o jaskini oddychających, którą oczywiście nazywamy światem; oraz właśnie o jaskini nienarodzonych.

Patrzyłem. Nasłuchiwałem. I nagle to do mnie dotarło - nienarodzeni byli szczęśliwi.

Cienie potencjalnych osobowości bawiły się albo - jeśli użyć staroświeckiego określenia - figlowały. Przeplýwały w grupach, goniły się jak wydry, uderzały o siebie biodrami niczym tancerze disco z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Wirowały wokół w czystej radości ruchu.

Powoli, jak wcześniej moje wewnętrzne oczy, tak teraz uszy zaczęły się dostosowywać do otoczenia. Kakofonia wycia nabierała sensu. Najpierw zrozumiałem, że nienarodzeni nie wrzeszczeli na siebie. Wołali do mnie, właśnie do mnie, w języku ur, jaki znają dzieci. I teraz nareszcie mogłem zrozumieć ich słowa:

ZOSTAW NAS TUTAJ!
TY ROZRYWACZU CIAŁ! PROSIMY, ZOSTAW NAS TUTAJ!
NIE CHCEMY ODEJŚĆ!
NIE CHCEMY ŻYĆ W SŁOŃCU!
ZAMKNIJ NAS TUTAJ!
CHROŃ NAS!
UKRYJ NAS!
UPUŚĆ GLĄZ!

Ani jeden z nich nie chciał się narodzić.

Jednak nie mogłem tu zostać. W pewnym momencie, nawet w Grze solo, trzeba wykonać ruch. Czuję, jakby dziewięta czaszka rozpychała krawędzie pola, na którym się znajdowała. Wspiąłem się o cztery pola ku niebiesko-zielonej osi, poprzez bruzdy lat, z jaskini w zimne powietrze, jak pies strząsając owodniową mgłę. Nadal słyszałem krzyk *a'anob* za plecami, błaganie, bym pomógł im pozostać nienarodzonymi, z dala od świata bólu. Mój ostatni pion wspinał się i wspinał, aż natrafił na płaski jadeitowo-zielony blok, wielkości bazy-mety w bejsbolu. W rozrzedzonym powietrzu nie było już chmur. Wyprostowałem się i rozejrzałem. Płaszczyzny czasu obracały się przede mną, białe, czarne, żółte i czerwone. Dotarłem do szczytu.

-Mogę ci przynieść coś jeszcze, kochany? - zapytała kelnerka cicho.

-Och... Mogę prosić o jeszcze jedno potrójne espresso? - odpowiedziałem. - I jeszcze raz rum?

-Jasne, kochany.

Kelnerka odwróciła się i odeszła. Przeciągnąłem się i usiadłem wygodniej. Pies nadal szedł niedaleko, wysokim tonem, prawie wyjąc, jak Pustynny Pies. Przypomniałem sobie parę minut z tamtej ostatniej nocy, gdy podkradłem się do klatki, wiedząc, że moi przyrodni bracia chcą o poranku zamęczyć zwierzę na śmierć. Dałem Pustynnemu Psu wody i pogłaskałem go przez pręty, a potem, kiedy było jasne, że słońce nie zaczeka, wyjąłem pasek z plecaka i znalazłem

metalową pałeczkę, chyba odciętą z jakiejś części samochodowej. Zawiązałem pasek na szyi Pustynnego Psa, przecisnąłem pałeczkę przez węzeł i skręciłem mocno. Pasek wcisnął się głęboko w bujną sierść, ale zwierzę pozostało dziwnie ciche, drżało, ale nie próbowało się wyrwać. Dlatego byłem pewien, że wiedziało, co chcę zrobić. W mniej niż minutę Pustynny Pies umarł, a w jego oczach wbitych we mnie zastygła wdzięczność.

Wróciła kelnerka. Napiłem się rumu, pociągnąłem łyk kawy i -łytko na złość Marenie - zjadłem piankę marshmallow.

Ach, o wiele lepiej.

Zerknąłem na planszę, gdzie nadal stałem na turkusowym polu w środku, na szczycie odwróconej góry. Rozejrzałem się. Poniżej burze się uspokoiły i pył opadł na równiny. Cztery linie schodów lub szlaki czy arterie prowadziły w dół z jadeitowego głazu.

Północno-wschodnia ścieżka wiodła wybrzeżem, obok zbutwiałych, rozpadających się osad, srebrzystych grzywiastych fal zatok, nad podmorskimi kanionami, pod linami gigantycznego aluminiowego sterowca i obok barwnych marmurowych miast, aż do pływających odłamków lodu, a potem kry i pola lodu. Gorący, smolny zapach niedawnej przeszłości niósł się po lewej. Obróciłem się o dziewięćdziesiąt stopni przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, w stronę północnego zachodu. Ujrzałem żułłowe diuny i smugi radioaktywnego popiołu, a dalej za tą pustynią z oleistymi plamami i suchymi zagłębieniami jak misy, w których z lśniącego, ciemnego żaru unosi się kwaśny gaz, z pasmami smoły na ściankach, tam, w oddali, płynęły kłęby dymu z parowozów, a tłumy wygłodzonych rodzin ciągnęły włóki przez prerie. A jeszcze dalej, za stadami mew jedzących odpadki nad ciemną wodą - tundra i kruszący się lód w nieustannym zmięczeniu.

Popatrzyłem na południowy zachód, nad malarycznymi słonymi bagnami, przez które pelzały pancernowce, i równinami, gdzie wielkie kanarkowożółte drapieżne ptaki ścigały stada koniowatych. Zauważyłem rudawego pancernika rozmiarów jeepa Mareny, kręcącego się w suchej niecce, a dalej formację *Quetzalcoatlus northropi*, pterozaurów o skrzydłach rozpiętości czterdziestu stóp, lśniących od spodu

złotem. Kecalkoatle opadały spiralnie nad zwłoki wielkich krokodyli na lewym brzegu Morza Kredy. Jeszcze dalej znajdowało się więcej i więcej stworzeń oraz miejsc i czasów, chwil przeszłości zatrzymanych jak kadry animacji, uwięzionych w brzdach kanionów.

Dotarłem do miejsca, gdzie znowu musiałem skierować się w lewo.

Na południowym wschodzie świt rozwierał krwawe, pozbawione pazurów palce nad krainami czystych możliwości, które rozciągały się dalej i dalej, poza miejsce, gdzie powinna się pojawić linia horyzontu, gdyby to były obszary na powierzchni kuli. Miałem wrażenie, że stoję na planecie wielkości Jowisza albo na naprawdę płaskiej i nieskończonej równinie, a ponieważ powietrze było nieskazitelnie przejrzyste albo dlatego, że nie było tu wcale powietrza, mogłem zobaczyć szczegóły zdarzeń nawet z ogromnej odległości równie wyraźnie jak te w pobliżu. W sumie za dużo szczegółów. Za dużo.

Obróciłem się ponownie - powoli, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Nadeszła ostatnia faza działania Sternika, kiedy zaczyna się wyczuwać to, co pani Koh nazwała „innymi wiatrami”. Jed Dwa wyjaśnił, że miała na myśli chyba żywioły lub niewidzialne spersonifikowane siły. Jeżeli chodzi o mnie, najpierw widzę ciepło. Wygląda jak fotografia w podczerwieni, ale to promieniują ciała, a urządzenia i ziemia mają kolor fluorescencyjnego brązu oraz pachną rumem i papryką. Potem przychodzą inne obrazy - diamentowe słoneczne rozbłyski okrążające planetę i wracające do Słońca, ponure kasztanowe fale radiowe przepływające jak fale terabajtów bezużytecznych danych, fale elektromagnetyczne w odcieniach, jakie powstałyby ze zmieszania pomarańczowego i fioletu, gdyby nie istniała szarość, a na granicy mojego nadświadomego postrzegania błękitne cyklony promieni gamma, przebijających się przez moje ciało jak pociski ze strzelby przez rój gzów. Wydawało mi się, że słyszę asteroidy skrzeczące na ziemię, że mogę poczuć drzenie płyt tektonicznych, energię zdolną wznosić granitowe sprężyny, że dostrzegam grawitację - która ma odcień morwowo-fioletowy - rozprzestrzeniającą się od Ziemi, kotłującą w stronę ciemnych gwiazd i wysączającą przez wrzody istnienia. Nawet czarne dziury zrobiły się trochę widoczne - kontury oblewane przez prądy

międzygwiezdny pyłu. Zaczynałem dostrzegać pomniejszych siły, albo raczej skromniejsze - moc żyjących istot, oddychanie roślin błyszczące zielenią i ochrą, pomarańczową bezlitosność drzew duszących swoich sąsiadów, szlaki feromonów, po których zwierzęta przesuwają się jak rzędy paciorków na nitkach. I na koniec nareszcie ujrzałem ludzkie siły. Pociąg seksualny świecący jasno niczym wiśniowa flara i przepływający przez społeczne odpadki jak fale w kałuży oleju, pocętkowane rozbłyskami orgazmów, których smak, jak mi się zdaje, mogłem wyczuć z daleka. Orgazm ma smak morskich jeżowców. Białozielone iskry i łuki strachu wznoszące i przecinające krajobraz, które pękają w kuliste wiązki błyskawic nad szkołami, szpitalami i strefami wojny. *Yaj* - ból lub dym bólu - wznosił się nad równiną jak poranna mgła z wrzącej krwawej rosy. Stąd brała się owa sino-szara luna, niemal liliowa, ale nie dobra. Mgła zbierała się we wstęgi, kłęby i chmury. Miała ten sam smak, który - jak powiedział Jed Dwa - można wyczuć od zwierząt zamęczonych na śmierć; pozaziemska woń, przeciwieństwo cynamonu. Esencja, od której najbardziej uzależnieni są patroni.

Jak chyba wspomniałem wcześniej, słowo *yaj* znaczy po cholsku ból, ale bardziej dym bólu lub ból składany jako wotum, czyli bardziej święty ból. Antonimem dla tego wyrazu jest *je'elsay*, co można przełożyć jako przyjemność lub szczęście, ale prawdziwe znaczenie dotyczy stanu pasywnego, jak przy odpoczynku lub relaksie. I chociaż stałem przez, jak mi się zdawało, godziny, *yaj* przypominało dach chmur okrywający krajobraz, a chwile *je'elsay* były niczym trawiaste, jasnozielone szczyty, iglice przebijające gdzieniegdzie sklepienie.

Nie ma żadnego porównania, pomyślałem. Jeżeli weźmie się wszystkie momenty bólu danej osoby i wszystkie chwile szczęścia, będzie to jak galon i kropla. A im dalej patrzyłem, tym... cóż. Mogłoby się wydawać, że w przyszłości będzie lepiej, że znikną wojny i powstaną leki na każdą chorobę, a przynajmniej będzie można każdemu podać pigułkę szczęścia i posadzić przed dwumilionowopikselowym ekranem... Ale nie. Gdy spoglądałem w daleką przyszłość, dostrzegłem, że ból stanie się nawet częstszy, a żaden z n-milionów możliwych światów nie ma więcej niż kilka poszarpanych wysepek *je'elsay* wznoszących się nad morzem bólu.

szących się nad chmurami *yaj*. Z takiego czy innego powodu zapowiadało się tylko, że przyszłość będzie gorsza i coraz gorsza.

Próbowałem jednak oszacować to wszystko. Ale im dłużej liczyłem, kalkulowałem i porównywałem, tym bardziej czułem się jak, powiedzmy, Maria Curie, która dostała dziewięć ton rudy uranu z poleceniem, by wyekstrahować z tego rad, i po trzech latach na dnie ostatniej próbówki miała osad tak rozrzedzony, że prawie niezauważalny, gdyby nie świecił jak cholera.

Wreszcie się poddałem.

Doprawdy, żadna niespodzianka, pomyślałem. Ból przecież jest ^{n^{kurwa}} razy bardziej potężny. Każdy, kto doświadczył prawdziwego cierpienia, wie, że poświęciłby więcej niż godzinę dowolnej przyjemności, by przynajmniej na chwilę uniknąć bólu. Wracało do mnie wspomnienie wideo z horroru w Disney World, dziewczynki z wykrzywioną, zalaną łzami twarzą. Parę minut wcześniej ta mała była szczęśliwa, tryskająca radością i optymizmem, zapewne bawiła się jak nigdy w życiu, a potem wszystko się dla niej zawaliło. Wystarczyło tylko uświadomić sobie, jak nieprzekraczalny dystans dzieli jej stan pokazany na wideo od tego sprzed kilku minut i że dla tej dziewczynki ów dystans pozostanie wszędzie i na zawsze. To wspomnienie miało wskazać, że wniosek nasuwa się tylko jeden: wymazać natychmiast cały wszechświat, sprawić, by znikł w kwarkowej chmurze dymu, ponieważ jest tak koszmarnie zły i nieprawidłowy, że żadna miara szczęścia nigdy tego nie wynagrodzi. Nawet gdyby za tydzień od dziś wynaleziono preparat przeciw starzeniu się i lekarstwa na inne choroby, a także odkryto zimną fuzję, teleportację i wspaniałe nietuczące pączki, nawet gdyby po tym nastąpiło trylion lat szczęścia ludzi, którzy by nie musieli umierać, nadal nie warto byłoby zachować świata na tak długo, ponieważ inne dzieci przeżyły podobnie głębokie rozczarowanie, jak owa dziewczynka z filmu, i nic, co nadeszłoby po tym, nie mogłoby zrównoważyć ogromu nieszczęścia owego dziecka. Jeżeli ma się choć odrobinę współczucia, pojmuję się, że cierpienie dzieci unieważnia wszystko, co w świecie dobre. A jeżeli nie ma się współczucia, wówczas wystarczy poczuć ból, by zrozumieć.

A ludzie, którzy myślą, że nigdy tego nie zaznali - może to nawet dobrzy ludzie, ale nałogowo uzależnieni od wyparcia. Są jak dzieci prowadzone przez stado krów i zachwycające się, jakież te zwierzęta miłe, jedząc przy tym hamburgery. Bólu nie da się uśmierzyć całkowicie, nie można go złagodzić, nie można wynagrodzić i nie zdoła się znośić. A przede wszystkim nie wolno go powtórzyć.

To banał, oczywiście. To znaczy ogrom cierpienia i bólu. To jak mówić o prędkości światła. Wszyscy o niej wiedzą i czasami mówią obojętnie i z zerowym zrozumieniem. Ale w przeciwieństwie do prędkości światła istnieje dobry powód dla niezrozumienia bólu - ponieważ kiedy się zaczyna go rozumieć, po prostu mu się poddaje. Niektórzy uciekają z pokoju i chowają się w wannie. I łudzą nieskończenie, że uda im się to przetrwać.

Cóż, ta iluzja może była dotąd konieczna. Ale teraz koniec jest osiągalny. I wiadomo, co należy zrobić.

O-och!

Zachwiałem się. Oderwałem wzrok od horyzontu i odzyskałem równowagę. Lepiej.

Niech to. Nadal słyszałem krzyki nienarodzonych.

I nic dziwnego, pomyślałem. Wyrrywamy ich na świat, podajemy dziewięć ton szkodliwych śmieci i pół grama świecącego pyłu, a potem chcemy, by zachowywali się, jakby zawarli sprawiedliwą umowę. Ludzie zgadzają się na aborcję płodu, którego życie będzie nieuchronną niedolą - na przykład takiego, co od urodzenia będzie dotknięty rybią łuską arlekinową - ale zapominają o płodach, które urodzą się z chorobami wywołującymi przewlekły ból, nieustanną codzienną agonię.

Rzecz w tym, że nie ma się obowiązku dawania czegoś miłego innym, szczególnie komuś, kto się jeszcze nie urodził. Ale istnieje obowiązek, by nikogo nie krzywdzić. A zmuszać nienarodzonych do przebudzenia i świadomości to bez wątpienia wyrządzenie im krzywdy. Świadomość może być tylko jedną z wielu brudnych zagrywek, jakich używa DNA, by się replikować, ale to nie znaczy, że musimy się na to nabrać. Dla nas świadomość to błąd.

Upiłem rumu.

W dniu nazwanym 4 *Ahau*, 8 Ciemność, 0.0.0.0.0. - czyli 13 sierpnia 3113 przed naszą erą - starożytni zebrali się na naradę ze swoimi przodkami, by dać im następców. Mieli to być następcy, którzy będą ich karmić, modlić się do nich, pamiętać ich i przede wszystkim dawać im napój bólu. *Je'elsay* jest dla nas, *yaj* jest dla patronów. Bogowie kochają go tak, jak enofile wino z najlepszych roczników, jak motyle słodzoną wodę, a wielbicielowie wyścigów samochodowych kraksy.

Ale to ma trwać tylko przez określony czas. Trzeba dać patronom, przodkom lub też bogom dokładnie to, co jest się im dłużnym, ale nie trzeba dawać im nic więcej.

Zatem Wielcy Strażnicy Dnia, Wiedzący, obliczyli, że 4 *Ahau* to dzień, gdy koszmarna odplata nareszcie się skończy. Był to dzień, by zrobić to, co należy, dla Sukcesorów.

Wyprostowałem się. Zacisnąłem i rozprostowałem palce, potarłem policzek, rozejrzałem się. Pies szczekający znajomo wreszcie zamilkł. Za parę minut promienie słońca padną na mój stolik. Przywołałem kelnerkę.

Tak naprawdę, pomyślałem, aby być Strażnikiem Dnia, nie trzeba umieć grać czy dobrze znosić Solnika i Sternika. Chodzi o prawdziwą odpowiedzialność - o to, by umieć ocenić świat i nie dać się zamrozić sentymentom, nie tracić czasu na myślenie życzeniowe o zaboronach i przesądnych panaceach oraz nie pozwalać sobie na selektywne wypieranie faktów. Czyli odrzucać to, co robią normalni ludzie. Obowiązkiem Strażnika jest widzieć sprawy jasno, rozumieć wystarczająco, by ocenić, co jest w danym momencie słuszne, a następnie uczynić to, co należy, a nie to, co poprawi samopoczucie. Troszczyć się o *a'anob*, pomyślałem. Wiedzą, o czym mówią. *K'a'oola'el*, *k'a'oltik*. Ten, który wie, wie.

Mądra kobieta, która napisała Kodeks, nie mówiła nam, co się stanie, ale co powinno się stać.

Kelnerkaa zakręciła się w pobliżu. Po raz pierwszy tak naprawdę na nią spojrziałem. Miała cerę barwy *frappuccino*, włosy postawione na punka i szczerą twarz. Wyglądała mi na najwyżej piętnaście lat. Choć nie byłem w Grze, widziałem halo wokół jej talii w tym strasznym kolorze *yaj*, poszarzałych sińców jak rozgrzana cyna. Ból w dole brzucha, pomyślałem. Trudna ciąża? Nie, widziałbym to. Wrzód? Albo cysta macicy. Lepiej o to nie pytać. Może umysł mi się wyostrza, ale nie jestem przecież lekarzem.

Zapłaciłem. Dziewczyna odeszła.

En todos modos.

Jednak wciąż coś mnie dręczyło. Jak Koh mogła nie wiedzieć o tym, co Kodeks mi przekazywał? Albo raczej - wiedziała, oczywiście, że wiedziała, ale jak mogła mi nie powiedzieć, a raczej jak mogła nie powiedzieć Jedowi Dwa?

Przypuszczam, że chciała, abyśmy my, czy raczej abym to ja odebrał wiadomość. Ach, zatem trochę manipulowała Jedem Dwa. To nic nowego. Ale jak to możliwe, że Jed Dwa niczego się nie domyślił?

Pewnie miałem ważniejsze sprawy na głowie. I, co tu kryć, bywam bardzo naiwny. Zwłaszcza gdy w sprawę zamieszana jest młoda, ładna dama.

Cóż, on nigdy się nie dowie. To znaczy Jed Dwa.

Napiłem się rumu. Życzę mu szczęścia. Drań.

Wyciągnąłem znowu portfel i zostawiłem pięćset procent napiwku, ponieważ, wiadomo, co za różnica? Skończyłem kawę. Wziąłem jeszcze jedną piankę marshmallow.

Pasożyty, tak? *Mierditas*. Och, dobra. Może źle znoszą alkohol. Dopilem rum. Rozparłem się wygodniej.

Zatem to spada na mnie, pomyślałem. Ogarnęło mnie poczucie... cóż, to było potężne poczucie obowiązku. Ale nie takie oszałamiające, lecz energetyzujące.

Zresztą, jak wspomniałem, to musi być ktoś, kto patrzy na świat i całkowicie go odrzuca. Racja? Ktoś, kto może pojąć wielkość i znaczenie tego, co musi się zdarzyć, i kto może zaakceptować tę powinność, a przy tym ktoś, kto poradzi sobie z dźwiganiem takiego brzemienia.

Esta bien. Bez problemu.

Rozumiałem to. I miałem silną wolę. Miałem też w sobie wstręt i desperację. A co najlepsze, nie byłem jakimś farbowanym popieprzonym specem od DNA jak Madison. Zresztą Madison pewnie zepsuł połowę swoich bakcyli. Na Antarktydzie lub gdzieś tam ocalałyby jakieś wolne od zarazków schronienia i w końcu wszystko trzeba by było zaczynać od nowa, wszystko poszłoby na marne. Cóż, tym razem tak się nie stanie. Nie na mojej warcie.

To wielka odpowiedzialność, ale na pewno jej podołam.

W rzeczywistości, pomyślałem, to powinno być łatwe. Dostałem wiadomość, informację, co powinno być zrobione, ale co ważniejsze -dostałem także narzędzie, by to osiągnąć.

Zamknąłem planszę Gry i wstałem. Nareszcie bez żadnych wątpliwości wiedziałem, co mam zrobić.

Koniec książki 1

fibD5ARIU52

- ahau** - pan, władca
- ahau-na** - pani, szlachetnie urodzona
- bacab** - „dźwigający świat”, jeden z czterech miejscowych ahaub podlegających kalomte
- b'ak'tun** - okres 144 000 dni, około 394,52 roku
- b'alche'** - piwo z bzu
- b'et-yaj** - dręczyciel, kat
- ch'ol, cholski** - dwudziestopierwszowieczna odmiana języka, jakim mówiono w Ix i innych miastach Majów
- grandeza** - sakiewka z kamykami
- h'men** - kapłan lub szaman zajmujący się kalendarzem, nazywany także Strażnikiem lub Opiekunem Dnia
- hun** - jeden
- k'atun** - okres 7200 dni (prawie dwudziestu lat)
- k'iik** - krewny, krewniak, czyli mężczyzna należący do wojowników
- k'in** - słońce, dzień
- koh** - ząb
- kutz** - cętkowany indyk z regionu neotropikalnego
- milpa** - pole kukurydzy o powierzchni około 21 x 20 metrów, uprawiane tradycyjnie i wypalane
- mul** - wzgórze, a także piramida lub wulkan
- nacom** - ofiarnik
- pitzom** - gra w piłkę Majów
- popol na** - dom rady
- quechquemitl** - trójkątna narzuta noszona przez meksykańskie **kobiety**
- sacbe** - biały szlak, święta grobla
- sinan** - skorpion
- tablero** - poziomy element charakterystyczny dla piramid w Meksyku
- talud** - spadzisty element charakterystyczny dla piramid w **Meksyku**
- teocalli** - słowo z języka nahuatl oznaczające „dom boga”, **świętynię**
- tun** - 360 dni
- tu'nikob'** - ofiarnicy **lub kapłani** składający ofiary, dosłownie: **karmiący** piersią
- tzam lic** - iskry we krwi, **pod skórą**, łaskotanie, drzenie **pod skórą**
- tz'olk'in** - rok rytualny składający się z 260 dni
- uay** - duch współegzystujący z człowiekiem, mający formę zwierzęcia
- uinal** - okres dwudziestu dni
- waah** - tortilla
- Xib'alb'a** - kraina zmarłych rządzona przez Dziewięciu Panów Nocy
- xoc** - rekin
- yaj** - ból, dym bólu
- yucatec** - współczesny język z Półwyspu Jukatan, którego odmiany używano również w okresie klasycznym Majów